

*Wspominając
ludzi
„Kultury”*

PATRONAT NAD SERIĄ OBJĘLI

Prezydent Miasta Gdańska Paweł Adamowicz

Prezydent Miasta Lublina Krzysztof Żuk

Prezydent Miasta Wrocławia Rafał Dutkiewicz

DOTYCHCZAS W SERII UKAZAŁY SIĘ

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

Listy z Wyspy

CZESŁAW STRASZEWICZ

Turyści z bocianich gniazd

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI

Wracam z Polski

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

Agonia komunizmu

JERZY STEMPOWSKI

Po powodzi

ANDRZEJ BOBKOWSKI

Coco de Oro

MICHAŁ HELLER

Maszyna i śrubki

LEO LIPSKI

Powrót

WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

Zagubieni romantycy i inni

Kościół na łamach paryskiej

Kultury w latach 1946–2000

wybór, opracowanie i posłowie TOMASZ DOSTATNI OP

STANISŁAW VINCENZ

Po stronie pamięci

Zamiłowanie do spraw beznadziejnych

Ukraina w „Kulturze” 1947–2000

wybór, opracowanie i posłowie BOGUMIŁA BERDYCHOWSKA

w kręgu
paryskiej **KULTURY** ■

LUDZIE
KULTURY

*Wspominając
ludzi
„Kultury”*

WYBÓR, OPRACOWANIE I WSTĘP
Sławomir M. Nowinowski

INSTYTUT LITERACKI KULTURA – INSTYTUT KSIĄŻKI
PARYŻ – KRAKÓW 2016

Sławomir M. Nowinowski

Conducted by Jerzy Giedroyc

Osobliwy to pomysł proponować współczesnemu Czytelnikowi lekturę książki złożonej z niemal samych nekrologów. W dodatku napisanych przed kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu laty. Kultywowana ongiś forma serdecznego pożegnania niesłusznie kojarzy się dziś z solenną *laudatio funebris* wysławiającą rzeczywiste czy też domniemane zasługi, przymioty i osiągnięcia zmarłego. Wygłaszający mowy pogrzebowe zwykle jednak nie posługują się techniką światłocienia, tak chętnie stosowaną przez nekrologistów. Pozwala ona lepiej oddać subtelności biografii, wydobyć z niej to co istotne, a nie tylko piękne lub chwalebne.

Wspomnienia pośmiertne nie mogą aspirować do zaszczytnej kategorii „przekazów obiektywnych”. Nie odzwierciedlają wszak aktualnego stanu badań naukowych, lecz osobiste refleksje i emocje autorów zapisane w ich pamięci nastroje, dźwięki lub obrazy przeszłości. Raczej nie cieszą się uznaniem łowców sensacji i domorośłych katonów. Zdecydowanie bardziej cenią je historycy, jak również przedstawiciele kilku pokrewnych dyscyplin nauki. Często jednak i oni poprzestają na przywołaniu zawartych w nekrologach celnych charakterystyk, zabawnych anegdot lub błyskotliwych opinii. Nic więc dziwnego, że znakomita większość z nich szybko popadła w zapomnienie.

Taki los spotkał również niemałą część wspomnień pośmiertnych opublikowanych w „Kulturze” oraz „Zeszytach Historycznych”. Wśród nich są napisane przez stylistów tej miary co Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński lub Czesław Miłosz. Waler literacki jest wprawdzie wystarczającym, ale nie jedynym powodem, dla którego należy przypomnieć chociaż niektóre z nich. Przed wskazaniem innych kryteriów trzeba postarać się o odgadnięcie zamysłu Jerzego Giedroycia. Łamy wydawanych przez niego periodyków były zbyt cenne (w sensie dosłownym i metaforycznym), aby trafiały na nie teksty, do których nie przywiązywał większej wagi. Tymczasem rubrykę nekrologów *Ci, co odeszli* prowadził równoległe w „Kulturze” i „Zeszytach Historycznych”.

Zamieszczał w niej z artykuły (z reguły krótkie, ale zdarzały się wyjątki) poświęcone zmarłym w kraju lub na emigracji działaczom niepodległościowym i społecznym, żołnierzom i duchownym, ludziom kultury i nauki. Z mniejszą częstotliwością ukazywały się w niej nekrologi cudzoziemców, którzy przysłużyli się Polsce, prawdzie lub wolności. Zdarzało się, że Redaktor publikował wspomnienia pośmiertne poza stałą rubryką. Gdy dotyczyły osób nadzwyczajnie przez niego cennionych czy też szczególnie mu bliskich, drukował je nawet na pierwszych stronach „Kultury”.

Decyzja o zamieszczeniu artykułu w periodykach Instytutu Literackiego w Paryżu należała wyłącznie do Jerzego Giedroycia. Nie zawsze jednak to on był odpowiedzialny za brak nekrologu na ich łamach. Czasami podejmowane przez niego starania o odpowiedni tekst spełzły na niczym. Bywało, że deklarujący gotowość ich napisania nie byli w stanie dotrzymać napiętych terminów lub sprostać oczekiwaniom Redaktora. Nie kontentowały go bowiem życiorysy urzędowe okraszone okolicznościowymi frazesami. W desperacji wołał sam sporządzić krótką notę biograficzną, niż folgować cudzej emfazie. Wzbraniał się także przed publikowaniem wspomnień poświęconych ludziom zapewne niepospolitym, wszelako hołdujących wartościom zgoła odmiennym od tych, które sam wyznawał. Odnotowywał wprawdzie i ich zgony, ale w kronice wydarzeń. Najwyraźniej uważał, że nekrolog w redagowanym przez siebie czasopiśmie powinien być formą uhonorowania zmarłego przez środowisko ideowe, a nie tylko odautorskim wyrazem uznania, pamięci lub wdzięczności.

Wśród wyróżnionych w ten sposób całkiem pokaźną grupę stanowili ci, których zwykło się uważać za ludzi „Kultury”. Prawo posługiwania się tym szacownym mianem mieli w pierwszym rządzie mieszkający od 1947 roku w mocno podupadłej willi Le Belvedere przy 1, avenue Corneille w Maisons-Laffitte, którzy w 1955 roku przenieśli się na stałe do zbudowanego domu w stylu angielskim usytuowanego przy 91, avenue de Poissy (właściwie już poza granicami miasteczka). Przysługuje ono lwiej części autorów książek i artykułów redagowanych pod wyżej wymienionymi adresami oraz wszystkim, którzy przyczynili się do druku lub kolportażu (w kraju i na obczyźnie) wydawnictw sygnowanych złamaną jõeską kolumną¹. Zasłużyli na nie też inni współpracownicy Instytutu Literackiego, wpierający jego twórcę myślą, mową, uczynkiem, gotówką lub kredytem. Zapewne niejeden

¹ Por. G. Pomian, *Czterdzieści lat Instytutu Literackiego*, [w:] *Kultura i jej krąg 1946–1986. Katalog wystawy czterdziestolecia Instytutu Literackiego w Paryżu*, red. G. Pomian i inni, Paryż 1988, s. 42.

prenumeratorem „Kultury”, znawcą *Maszyny i śrubek*, odkrywca *Rodzinnej Europy* czy admirał *Esejów dla Kassandry* nazywał tak w myślach również siebie, marząc, że Redaktor kiedyś autoryzuje jego ciche wyznanie wiary lapidarnym: „Ma się rozumieć”.

Z pastiszu numeru „Kultury”, zamieszczonego na... jej łamach wiosną 1955 roku, można było się dowiedzieć, że w skład redakcji periodyku wchodził wtedy: „Redaktor Jerzy Giedroyc, Redaktor Giedroyc Jerzy, Jerzy Giedroyc, Redaktor, Giedroyc, Jerzy oraz inni członkowie zespołu »Kultury«”². Nic nie wiadomo, aby przez następne czterdzieści pięć lat zaszły w niej jakieś zmiany. Zapytany (już całkiem poważnie) przez historyka, jak tworzył się zespół „Kultury”, Jerzy Giedroyc nie ukrywał, że redakcja w dosłownym tego słowa znaczeniu nigdy nie powstała. Od początku natomiast istniał „krąg ludzi bliskich sobie: Czapski, Mieroszewski, Stempowski. Bez nich wydawanie pisma byłoby niemożliwe”³.

Z czasem wykrystalizowało się szersze gremium złożone z ludzi, których zdanie Redaktor cenił i brał pod uwagę.

Redagowanie „Kultury” – tłumaczył – było dla mnie poruszaniem się między tymi osobami i dokonywaniem arbitrażu między wyrażonymi przez nie poglądami, niekiedy różniącymi się od siebie, a niekiedy wręcz niedającymi się pogodzić. Ale chociaż zespół „Kultury” był dla mnie czymś najzupełniej realnym, to nie istniał on bynajmniej dla jego członków. Nie tylko dlatego że nie spotykali się na zebraniach. Przede wszystkim dlatego że był zbiorem indywidualności, które mogły współżyć ze sobą wyłącznie na dystans⁴.

O sugestywny szkic do konterfektu środowiska „Kultury” pokusił się pod koniec lat pięćdziesiątych Wacław Alfred Zbyszewski, obserwujący wtedy już przeszło ćwierć wieku (nie tylko) edytorskie przedsięwzięcia Jerzego Giedroycia. Nazwiska jego powojennych współpracowników – konstatował – „układają się w jakąś arabeskę, niezrozumiałą na pozór, ale jednak dającą się odczytać i odcyfrować uczonym specjalistom od hieroglifów”⁵. Świadomość różnorodności tradycji politycznych i intelektualnych, z których się wywodzili, oraz biegunowej nierzadko odmienności ich doświadczeń indywidualnych i pokoleniowych nie ułatwiała jednak definiowania profilu ideowego kręgu „Kultury”. Właściwie należałoby w tym miejscu użyć liczby mnogiej. Autor

² *Nasza stała lektura*, „Kultura” 1955, nr 3 (89), s. 70.

³ M. A. Supruniuk, *Uporządkować wspomnienia. Nieautoryzowane rozmowy z Jerzym Giedroycem*, Toruń 2011, s. 112.

⁴ J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, opracował i posłowiem opatrzył K. Pomian, Warszawa 1994, s. 214.

⁵ W. A. Zbyszewski, *Zagubieni romantycy. Panegiryk – pamflet – próba nekrologu?*, „Kultura” 1959, nr 10 (144), s. 32.

Zagubionych romantyków uważał bowiem za konieczne wyróżnienie wśród wielu powołanych garstki wybranych. Ci ostatni przywodzili mu na myśl (z jednego tylko powodu) proustowski *le petit cercle Verdurin*. Wśród nich także „byli i są *les fidèles*, wierni, którzy stanowią trzon i ośrodek, i szkielet, i armaturę: a poza tymi *fidèles* już byli i są tylko obcy”⁶.

Wzbraniając się przed wyjawieniem, kto do tego grona należał „od zawsze”, a komu (i dla czego) przywilej ten został nadany lub odebrany później, Wacław A. Zbyszewski nie uchylił się przed wskazaniem kilku przekonań podzielanych przez nich wszystkich. Za najważniejsze uważał uznanie autorytetu, a w konsekwencji i przywództwa Redaktora.

Bez Giedroycia – wyrokował – „Kultura” by nie powstała, tak jak się bez niego nigdy nie utrzyma. Może przyjąć człowiek zdolniejszy, o bardziej wyostrozonym zmyśle politycznym czy literackim. Wszystko jedno: pismo upadnie. Wydawnictwa się nie ostoją. *Les fidèles* się rozlecą⁷.

Nie mniejszą wagę przywiązywał do poczucia służby wspólnej sprawie (zarówno w narodowym, jak i uniwersalnym sensie). Wiązało się to z gotowością do rezygnacji z własnych planów, aspiracji lub choćby spokojnego lub dostatniego życia, oddaniem do dyspozycji Redaktora niemałej części własnego życia, sił, talentu. Wreszcie, *last but not least*, przeświadczenie o fundamentalnym znaczeniu wolnego słowa, niezależnej myśli, niepodlegającego żadnej (nawet „patriotycznej”) cenzurze druku w dążeniach do odbudowy Niepodległej. Szczególnie istotne, gdy trzeba było „naszym emigracyjnym czynnikom »miarodajnym« i czynnikom krajowym, i czynnikom zachodnim unaocznąć, że redaktor polski i pisarz polski mają prawo do własnego zdania, że nie ma względów, które by pozwalały komuś swoje zdanie narzucać, kogoś obwoływać »zdrajcą«, dlatego tylko że jest innego zdania”⁸.

Nakreślona przez Wacława A. Zbyszewskiego „beżładna sylwetka »Kultury«” byłaby niepełna, jeśli pominąć dołączone do niej portrety „codziennych towarzyszy pracy” Redaktora: Zofii Hertz – nazwanej trafnie „strażnikiem i westalką »Kultury«”, Zygmunta Hertza – w którym dostrzegł Sancho Panse laffickiego Don Kichota, oraz Józefa Czapskiego – ministra spraw zagranicznych Instytutu Literackiego w Paryżu i zarazem jego „*dix sous de luxe*”⁹. Charakterystyka Jerzego

⁶ *Ibidem*, s. 37.

⁷ *Ibidem*, s. 39.

⁸ *Ibidem*, s. 39–40.

⁹ *Ibidem*, s. 41–45.

Giedroycia (a właściwie zawczasu napisany nekrolog) jego pióra ukazała się dopiero w ostatnim numerze „Kultury”¹⁰.

O fenomenie polskiego falansteru w Maisons-Laffitte wiemy dziś znacznie więcej niż czytelnicy pierwodruku *Zagubionych romantyków*. Pisali o nim we wspomnieniach jego przyjaciele i współpracownicy¹¹. Ze złożeniem relacji nie zwlekał Jerzy Giedroyc i Zofia Hertz ani nawet Henryk Giedroyc¹². W różnych konwencjach i tonacjach (od uroczystej po skandalizującą) ujmowali problem historycy, reżyserzy filmowi oraz dziennikarze. Coraz większe zainteresowanie budzą biografie i dokonania twórcze poetów, pisarzy, krytyków literatury i sztuki oraz myślicieli politycznych, którzy odważyli się złożyć swe rękopisy w „dziupli »Kultury«”.

Prowadzone w archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu systematyczne kwerendy przyniosły już wiele odkryć, umożliwiły weryfikację (zarówno w sensie pozytywnym, jak i negatywnym) niejednej obiegowej opinii. W świetle korespondencji Jerzego Giedroycia tracą na wartości intuicyjnie ustalone przed dziesięcioleciem hierarchie spraw, a zwłaszcza ludzi. Okazuje się, że osoby nigdy o to nawet niepodjęrzewane odegrały w życiu Redaktora ważną rolę. Nie tylko dostarczały kamyków do cierpliwie przez niego układanych mozaik politycznych, literackich i historiograficznych, ale miały też spory udział w przygotowaniu ich projektów. Arbitralne wyznaczanie granic pomiędzy kolejnymi kręgami ludzi „Kultury” nie wydaje się celowe ani roztropne, zwłaszcza przed zakończeniem badań archiwalnych i gruntowną analizą ich wyników.

Trzeba dokonać pobieżnej próby archeologii polskiej inteligencji – stwierdził na początku lat osiemdziesiątych Konstanty A. Jeleński – aby uchwycić wspólny mianownik na pozór tak niejednorodnego środowiska współpracowników „Kultury”, w którym znaleźli swoje miejsce piłsudczycy i ekskomuniści, lewicowi i liberalni konserwatyści pochodzenia ziemiańskiego lub z burżuazji (często pochodzenia żydowskiego), rzadziej pochodzenia chłopskiego, i jeszcze rzadziej robotniczego¹³.

¹⁰ *Idem*, *Niedoszły polski „Lawrence of Arabia”...*, „Kultura” 2000, nr 10 (637), s. 29–45.

¹¹ Zob. O „Kulturze”. *Wspomnienia i opinie*, zebrali G. i K. Pomianowie, Londyn 1987; Jerzy Giedroyc. *Redaktor, Polityk, Człowiek*, zebrali, do druku przygotował i wstępem poprzedził K. Pomian, Lublin 2001.

¹² J. Giedroyc, *op. cit.*; M. A. Supruniuk, *op. cit.*; B. Toruńczyk, *Rozmowy w Maisons-Laffitte 1981*, Warszawa 2006; I. Chruślińska, *Była raz „Kultura”... Rozmowa z Zofią Hertz*, Paryż–Lublin 2003; *Ostatnie lato w Maisons-Laffitte. Jerzy Giedroyc, Zofia Hertz, Henryk Giedroyc, sierpień 2000 r.–listopad 2001 r.*, rozmawiała i opracowała H. M. Giza, Wrocław 2007.

¹³ K. A. Jeleński, „Kultura”: *Polska na wygnaniu*, „Aneks” 1981, nr 24/25, s. 245.

Nie ograniczył się do przywołania odziedziczonych po szlacheckich antenatach mitów wolności i równości, które tę warstwę konstytuowały, oraz do zaakcentowania jej związków z lewicą zachodnio-europejską, która prowadząc w XIX wieku walkę z sojuszami tronów i ołtarzy, za naturalne uznała wsparcie polskich dążeń niepodległościowych. Przypomniwał też dramatyczne konsekwencje uznania w następnym stuleciu przez pokąsną część inteligencji za wykładnię swoich poglądów *Mysli nowoczesnego Polaka*. Pozwoliło mu to przyjąć za jedyny wspólny mianownik środowiska skupionego wokół periodyku Jerzego Giedroycia „wrogości wobec tego składnika polskiej tradycji, jakim jest nacjonalizm”¹⁴.

Diagnoza autora *Zbiegów okoliczności* mogła sprawiać wrażenie niewyczerpującej czy wręcz zdawkowej. Dotykała wszakże kwestii najistotniejszych: wizji Europy Środkowo-Wschodniej, koncepcji państwa polskiego, stosunku do praw człowieka i obywatela, płaszczyzny relacji z sąsiadami (w aspekcie wewnętrznym i międzynarodowym), obecności religii w życiu społecznym. W rzeczy samej akcesu do kręgu „Kultury” nigdy nie składali zwolennicy kulturowego getta, wyznawcy plemiennego patriotyzmu, przeciwnicy dialogu, niezdolni do walki z „upiorami przeszłości”. Owszem, Jerzy Giedroyc niekiedy publikował nadsyłane przez nich wartościowe teksty literackie. Polityczne polemiki opatrywał adnotacją niepozostawiającą wątpliwości, że dystansuje się od ich treści lub wymowy¹⁵.

Redaktor często podkreślał, że zawsze był lojalny wobec swych współpracowników:

Lojalność jest dla mnie czymś bardzo ważnym. Brak lojalności czy podejrzenie o jej brak jest dla mnie najcięższym zarzutem¹⁶.

Biada tym, którym go postawił.

Nie wszyscy pojmowali lojalność tak jak on. Niektórzy mylili ją z zupełnie innymi cechami, a nawet emocjami. Stąd oskarżenia o brak empatii, bezduszość, wyrachowanie. Przyglądający się z bliska pracy Redaktora przez siedemnaście lat Leszek Czarnecki uznał je za rezultat niezrozumienia jego priorytetów:

Był tak zaabsorbowany swoją wizją, że musiał mieć dystans do ludzi, bo inaczej rozmieniłyby się na drobne i nie zrealizowałyby celu. Nikomu też nie obiecywał, że

¹⁴ *Ibidem*, s. 247.

¹⁵ Zob. R. Habielski, *Dokąd nam iść wypada? Jerzy Giedroyc od „Buntu Młodych” do „Kultury”*, Warszawa 2006, s. 197.

¹⁶ J. Giedroyc, *op. cit.*, s. 215.

weźmie go na kolanka i będzie się bawił w Zygmunta Freuda. Jak Anders – wydawał rozkazy, a żołnierze musieli je wykonywać¹⁷.

W przeciwieństwie do zwycięzcy spod Monte Cassino strateg z Maisons-Laffitte wykonywał równocześnie obowiązki kwatermistrza. Płacił honoraria, zabiegał o stypendia, nagrody i posady. Przesyłał książki, wycinki prasowe, ułatwiał zbudowanie warsztatu pracy. Nie pozostawał obojętny wobec problemów i dramatów osób, z którymi współpracował, nawet gdy kontakty z nimi uległy rozluźnieniu czy wręcz zerwaniu. Niektórzy z nich nigdy nie dowiedzieli się, komu zawdzięczali pomoc.

Jerzy Giedroyc był lojalny wobec ludzi „Kultury” również po ich śmierci. Liczne tego dowody odnaleźć można w jego korespondencji. Odczuwał potrzebę dzielenia się poczuciem doznanej straty, doświadczanej pustki, pogłębiającego się osamotnienia. W liście do Stefanii Kossowskiej skarżył się:

[...] umarła Agnieszka Osiecka, z którą byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Okazuje się, że bardzo niedobrze żyć zbyt długo¹⁸.

Zrządzeniem losu przyszło mu oddać ostatnią posługę niemal wszystkim domownikom „Kultury”, wielu jej autorom oraz bliskim współpracownikom. Zamawiał wtedy (nieodmiennie w paryskiej Notre-Dame-de-l'Assomption albo u tamtejszych pallotynów) msze święte za spokój ich dusz i rezerwował w najbliższym numerze „Kultury” lub „Zeszytów Historycznych” miejsce na wspomnienie o tych, co właśnie odeszli.

Nekrologistów wybierał z rozmysłem, a prośby wzmacniał zindywidualizowanymi argumentami. Po zgonie Władysława Wolskiego apelował do Władysława Żeleńskiego:

[...] nie bardzo wiem, kto mógłby to zrobić poza Tobą. Ludzie powymierali, a tych kilku urzędników MSZ, którzy go znali, napisze jakieś banały. Bardzo liczę, że mi nie odmówisz¹⁹.

Potrafił zagrać na emocjach, a nawet ambicji, odwoływał się do poczucia wdzięczności lub obowiązku. Opornym oferował pomoc w postaci wykazu publikacji lub kalendarium życia zmarłego. Sporadycz-

¹⁷ Cyt. za: M. Grochowska, *Jerzy Giedroyc. Do Polski ze snu*, Warszawa 2009, s. 278.

¹⁸ Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu (dalej: AIL), KOR RED Kossowska Stefania, List J. Giedroycia do S. Kossowskiej, 21 III 1997, zob. *ibidem*, KOR RED Chrzanowski Tadeusz, List J. Giedroycia do T. Chrzanowskiego, 4 X 1991; J. Giedroyc, C. Miłosz, *Listy 1964–1972*, oprac. M. Kornat, Warszawa 2011, s. 254, List J. Giedroycia do C. Miłosza, 14 VIII 1969.

¹⁹ AIL, KOR RED Żeleński Władysław, List J. Giedroycia do W. Żeleńskiego, 24 I 1977.

nie precyzował swoje oczekiwania. Pytając Jerzego Pomianowskiego, czy może liczyć na „bardzo piękne wspomnienie” o Irinie Aleksiejewnie Iłowajskiej, zaznaczył: „Bardzo to kładę Panu na serce”²⁰.

Potencjalni autorzy różnie reagowali na prośby Redaktora. Czesław Miłosz napisał tekst o Witoldzie Gombrowiczu, „siedząc pod namiotem” podczas wakacyjnej wyprawy do kanadyjskiego Jasper National Park²¹. Odmówił natomiast przysłania artykułu po śmierci Jerzego Stempowskiego:

[...] po prostu nie mogę robić się specjalistą od nekrologów. Już był Wat, Gombrowicz. Więc niech teraz przynajmniej inny zespół go pożegna²².

Nie krył też rozdrażnienia, gdy Jerzy Giedroyc doniósł mu o beznadziejnym stanie zaprzyjaźnionego z nim Zygmunta Hertza:

Dostałem Twój list, pisany jeszcze przed śmiercią Zygmunta, w którym prosisz o wspomnienie. Otóż dostatecznie głęboko tę śmierć przeżyłem, żeby odnieść się do Twojej prośby negatywnie. Wydaje mi się, że Zygmunt zasługuje na więcej niż artykuły pisane na gorąco, które zawsze mają charakter panegiryczny i przypominają mowy nad grobem. [...] Ja oczywiście chcę o Zigmuncie pisać, ale bez daty na karku²³.

Wiele wspomnień zebranych w niniejszym tomie zasługuje na historyczną głosę. Napisanie ich trzeba wszak odłożyć na bardziej stosowną chwilę. Nie można jednak zwlekać z przypomnieniem nekrologów najwybitniejszego publicysty politycznego „Kultury” oraz jednego z najznamienitszych jej prozaików.

Jerzy Giedroyc pożegnał Juliusza Mieroszewskiego epitafium wykutym niczym z marmuru:

Był rzadkim okazem pisarza politycznego oddanego swemu piśmu bez reszty. W małym londyńskim pokoiku, wypełnionym książkami i gazetami, myślał o jednym tylko: o kolejnym artykule do „Kultury”. [...] Zapewne, „Kultura” będzie sobie dawać radę bez Niego, ale nie – jak w przesadnej skromności sądził – doskonale. Śmierć Mieroszewskiego stwarza w naszym piśmie wyrwę, której nikt nie wypełni. Wraz z Nim umarła część „Kultury”²⁴.

Dokładnie dziesięć lat później wydrukowano je w „Kulturze” po raz wtóry. W międzyczasie nikt nie czuł się na siłach napisać wspomnienie o porte-parole Redaktora.

²⁰ AIL, KOR RED Pomianowski Jerzy, List J. Giedroycia do J. Pomianowskiego, 7 IV 2000.

²¹ J. Giedroyc, C. Miłosz, *Listy 1964–1972...*, s. 254, List C. Miłosza do J. Giedroycia, 4 VIII 1969.

²² *Ibidem*, s. 275, List C. Miłosza do J. Giedroycia, 10 X 1969.

²³ J. Giedroyc, C. Miłosz, *Listy 1973–2000*, oprac. M. Kornat, Warszawa 2012, s. 271–272, List C. Miłosza do J. Giedroycia, 10 X 1979.

²⁴ „Kultura” 1976, nr 7–8 (346–347), s. 2.

Przejmujący jest nekrolog Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który zmarł głęboko poróżniony z Jerzym Giedroyciem. Prócz nazwiska tylko:

[...] wybitny pisarz, przez wiele lat bliski współpracownik „Kultury” zmarł w Nepolu 4 lipca 2000 roku – Redakcja „Kultury”²⁵.

Więcej ani słowa.

Ostatni numer „Kultury” zaczynał się od wspomnień poświęconych jej Redaktorowi. Nekrologi Zofii Hertz i Henryka Giedroycia ukazały się w „Zeszytach Historycznych”.

Jerzy Giedroyc – zauważył z właściwą sobie przenikliwością Krzysztof Pomian – należał do bardzo nielicznej kategorii osób, które nie dzielą, ale łączą. Miał dar skupiania wokół siebie osobowości bardzo różnych, które często nie znosiły się nawzajem i którym było wspólne tylko to, że z nim współpracowały – lub niewiele poza tym. Pozwoliło to Instytutowi Literackiemu i „Kulturze” mieć autorów o rozbieżnych niekiedy poglądach, gustach i stylach, a samemu Jerzemu Giedroycowi stać na czele tej jedynej w swoim rodzaju orkiestry, gdzie każdy wykonywał własną partię bez oglądania się na pozostałych, ale tak że za sprawą dyrygenta wszystkie one wtapiały się – z rzadkimi tylko dysonansami – w jedną polifoniczną całość²⁶.

Książka, którą Czytelnik trzyma w rękach, poświęcona jest członkom tej wyjątkowej orkiestry, którą przez ponad pół wieku Redaktor dyrygował z Maisons-Laffitte. Przez nich samych też została napisana.

²⁵ „Kultura” 2000, nr 7–8 (634–635), s. 146.

²⁶ K. Pomian, *Słowo wstępne*, [w:] Jerzy Giedroyc. *Redaktor...*, s. 12.

Niedoszły polski „Lawrence of Arabia”...

Za moich lat studenckich (1921–1925) popularną osobą był w Krakowie prof. dr Jerzy hr. Mycielski. Wykładał on historię sztuki, jako profesor zwyczajny; jego następcą na tej katedrze był i jest mój przyjaciel, Karol Estreicher, syn wielkiego Stanisława Estreichera, rektora i profesora UJ, publicysty „Czasu” i jednego z ostatnich stańczyków. Mycielski miał kozią bródkę, miał słabość do młodych studentów, między innymi do mnie, których nawet na A–B krakowskiego Rynku obejmował i klepał przy powitaniu, mówił bardzo głośno, był starym kawalerem, i był człowiekiem sympatycznym, kulturalnym i życzliwym. Otóż na jego temat krążyła po Krakowie sławna anegdota-pytanie, które brzmiało: „Jaka chwila była najszcześniejsza w długim życiu Jerzego Mycielskiego?”. Właściwa odpowiedź była następująca: „Chwila, gdy Mycielski rodził się z Tarnowskiej...”.

Największą katastrofą Jerzego Giedroycia była data jego urodzin. Gdyby Giedroyc się urodził tylko o 10 lat wcześniej, w 1896 zamiast w 1906, miałby on akurat 18 lat w chwili wybuchu wojny 1914, byłby więc świeżo upieczonym maturzystą. Nie wątpię ani sekundy, że choć Giedroyc urodził się w Warszawie, i tam skończył studia, zarówno gimnazjum, jak i uniwersytet, to jednak znalazłby na pewno jakiś sposób przedostania się do Krakowa, i tam by na pewno zaciągnął się do Legionów, może by brał udział w wymarszu Pierwszej Kadrowki. Któż może wątpić, że byłby dzielnym żołnierzem, doskonałym oficerem, oddanym ciałem i duszą „Dziadkowi”, „Komendantowi”, słowem Józefowi Piłsudskiemu, a ten wnet by zauważył tego krajana, potomka wielkiej i prastarej rodziny litewskiej, że nie tylko by polubił, ale nabrałby prawdziwego sentymentu do tego tak niebywale rasowego, tak fenomenalnie przystojnego chłopaka, który jeszcze w latach trzydziestych nie mógł przejść przez ulicę ani sięść w kawiarni bez zwracania natychmiast uwagi wszystkich na siebie. Nici pochodzenia, klasowe, sytuacji socjalnej, a jeszcze bardziej wspólnych dusz romantycznych, wspólnych marzeń o wskrzeszeniu Polski Jagiellońskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego, wspólna pasja do konspiracji, do tajemnicy,

wspólna bezinteresowność i pogarda dla materialnej strony życia, wspólna obcość wobec problemów XX wieku, wspólna odwaga, oddanie młodszego, życzliwość ojcowska starszego – wszystko to zrobiłoby z Giedroycia autentycznego i może nawet czołowego piłsudczyka. Jak daleko by Giedroyc „zajechał”? Myślę, że w Legionach by się szybko dochrapał stopnia kapitana albo majora, że w 1917 roku znalazłby się w POW, że bardzo prędko by trafił do politycznego otoczenia marszałka Piłsudskiego, że byłby już w bardzo młodym wieku, już w latach 1919–1920, przeznaczony do ważnych misji na Wschodzie, na Litwie, na Białej Rusi czy na Ukrainie. Któż może wiedzieć, jakie to byłyby misje: czy wywiadu w Rosji, na tyłach nieprzyjaciela, czy organizowania powstań narodów szukających na Wschodzie niepodległości, czy szukania kontaktów z bratnią Litwą? W każdym razie widzę w tych pierwszych latach niepodległej Polski wielką rolę dla Giedroycia, zupełnie niewspółmierną do jego wieku (skoro zakładam, że urodziłby się w roku 1896, miałby w 1920 roku zaledwie 24 lata, a więc byłby gołowąsem), widzę go jako męża zaufania, jako polskiego „Lawrence of Arabia”, w trudnych i odpowiedzialnych misjach, z ramienia zarówno samego Marszałka, jak i Sławka; tylko do tych dwóch ludzi, jak on sam romantyków z krwi i kości, jak on sam bez reszty żyjących ideą „prometejską”, ideałem federacji ludów dookoła Polski wielonarodowej, powstającej jak feniks z popiołów, Giedroyc się naprawdę nadawał. Nie ma ofiary, nie ma bohaterstwa, przed którym Giedroyc by się cofnął, gdyby w roku 1920 danym mu było pracować i walczyć u boku Piłsudskiego i Sławka. Byłby konspiratorem, jak oni, marzycielem, jak oni, romantykiem, jak oni. Ależby Giedroyc był szczęśliwy, bez reszty szczęśliwy, nawet ginący, nawet ranny, nawet torturowany, gdyby mógł wówczas odgrywać prawdziwą rolę przy boku Józefa Piłsudskiego! Ależby mu pozostał wierny i oddany, także po zamknięciu heroicznej karty lat rządów i bojów Pierwszego Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza!

Niestety, to wszystko, mogło być, ale nie było. W heroicznym okresie Legionów, POW, prób budowania Ukrainy Jerzy Giedroyc był dzieckiem, później chłopakiem, ale nie mógł włożyć munduru, nie mógł pochwycić karabinu, nie mógł być żołnierzem Józefa Piłsudskiego. Może dziecinnym głosem zawołał raz czy drugi „Niech żyje Dziadek” na widok zwykłego powozu zaprzęzonego w parę pięknych, siwych arabów, którym Marszałek, wówczas z ciemnym wąsem i w maciejówce, udawał się niekiedy z Belwederu na Wiejską, do Sejmu. Ale na tym nie koniec. Pięknie i dobrze świadczy o Giedroyciu, o jego

głębokim respekcie dla Piłsudskiego, że nigdy siebie piłsudczykiem nie nazywał, uważał, że to miano, a może ten tytuł, jest własnością wyłączną tylko dawnych żołnierzy Józefa Piłsudskiego. Tak naprawdę było. Księgę swoich „wiernych chłopców”, jak ich nazywał, Piłsudski zamknął definitywnie w dniu, w którym opuszczał Belweder w grudniowy poranek w 1922 roku. To był koniec okresu heroicznego. Potem miał podwładnych, ministrów, dostojników, wielbicieli, zwolenników, ale już nie „chłopców”; lista była definitywnie zamknięta. Piłsudski przedwcześnie się postarzał, nowe pokolenie przestało go interesować, a zresztą do czego miało służyć? Myślę, że miał rację Kazimierz Okulicz, gdy mi dowodził, że już po traktacie ryskim Piłsudski wewnętrznie przestał wierzyć, iż ma jeszcze jakąś „misję” do spełnienia. Właściwie jego wielki plan czy marzenie federacyjne było odłożone do lamusa w roku 1926; jako faktyczny dyktator Piłsudski poczynił tylko robotki konserwacyjne, jeżeli chodzi o jego politykę wschodnią, jedyną, którą się naprawdę interesował, robotki, które „na wszelki wypadek” uprawia każde MSZ, każdy sztab generalny, za sekretem ciężkich kas ogniotrwałych.

Gdyby Giedroyc był takim „chłopcem” Piłsudskiego, to, być może, zrobiłby po maju karierę Hołówki; nie zrobiłby kariery Becka. Ale, jak mówiłem, fatalna data urodzenia zamykała mu wszystkie drogi do Piłsudskiego. „Wódz” organizacji studenckiej mógł interesować konspiratora na przełomie wieku, ale był obcy i obojętny steranemu i schorowanemu Marszałkowi, który, bodajże raz tylko, Giedroycia przyjął w Belwederze w roku 1929. Poza samym Piłsudskim tylko jeden Sławek mógł być znaleźć z Giedroyciem ten wspólny język, który kreuje prawdziwe oddanie, prawdziwą współpracę. Znowuż było na to za późno. Sławek był tylko echem Piłsudskiego, to nie był samodzielny umysł. I Sławek też przedwcześnie się postarzał, i po przewrocie majowym nie był nigdy w stanie nowego narybku sobie wychować.

* * *

To wszystko są domysły, przypuszczenia. Jak wyglądała rzeczywistość? Młody chłopak, arystokrata z tradycji rodzinnej, z atawizmów, z usposobienia, jest jednocześnie bardzo typowym przedstawicielem tej inteligencji polskiej, która wchodzi do życia w kraju absolutnie niezdolnym do zatrudnienia i stworzenia przyszłości dla tej warstwy, liczniejszej niż kiedykolwiek przedtem, i co roku coraz liczniejszej, a ta warstwa nie jest w stanie Polsce dać tych *cadres*, których ten kraj, zacofany w stosunku do Zachodu, na wpół wschodni, pozbawiony

kapitałów, pozbawiony biznesmenów, pozbawiony techniki, na gwałt potrzebuje. Ta inteligencja rwie się nie do techniki, ale do polityki, szuka zatrudnienia w urzędach albo w wojsku.

Giedroyc kończy prawo, ale nie w Krakowie, gdzie studia prawnicze były serio, lecz w Warszawie, gdzie niestety nie były wiele warte. Co gorsze, Giedroyc nigdy nie miał prawdziwego zamiłowania do studiów prawniczych, tym bardziej ekonomicznych. Roman-tyk, o woli i ambicji silniejszych od zainteresowań czysto intelektualnych, byłby zapewne poczuł się szczęśliwszy, gdyby studiował polonistykę albo historię, a zwłaszcza gdyby skończył szkołę oficerską, później Wyższą Szkołę Wojenną. Jako młodego wojskowego widzę go w roli śp. S. Zaćwilichowskiego; był od niego człowiekiem nierównie większej kultury, nierównie bardziej odczytanym, bardziej subtelnym, bardziej „ideowym”, mniej zajęтым rozgrywkami i intrygami, które niektóre służby rozwijają zapewne dla dostania się na naprawdę odpowiedzialne stanowisko. Giedroyc nigdy nie miał w sobie dość siły, by zająć naczelne stanowisko, nigdy by nie potrafił stać się nie tylko Piłsudskim czy Sikorskim, ale nawet Beckiem. Ten człowiek, tak często uważany za suflera, w gruncie rzeczy nie mógł wydobyć z siebie maksimum bez szefa, bez kochanego, uwielbianego szefa. Tego w Polsce, rządzonej w gruncie rzeczy przez armię, znalazłby łatwiej i prędzej, gdyby sam poszedł po linii kariery wojskowej. Ale i to nie jest pewne. Trzeba by było zdumiewającego zbiegu okoliczności, by szybko starzejący się Marszałek Piłsudski mógł koło roku 1930 zauważyć młodego oficerka, tym bardziej się na nim poznać, tym bardziej go polubić. A jego następcy? Nie sądzę, by Rydz się na Giedroyciu poznał; był zbyt apatyczny, by zrobić wysiłek, którego wymaga bliska i szczerza współpraca przez ćwierć wieku różnicy w latach. Sikorski na pewno nie był romantykiem, i nigdy by Giedroycia nie polubił. A Giedroyc miał zbyt wiele indywidualności, zbyt wiele ambicji, by się kontentować zwykłą karierą urzędniczą albo oficerską, i by się naprawdę przywiązywać do szefa, który by nie był politykiem z prawdziwą klasą. A jednak właśnie mu na to zeszło.

Za młody, za późno urodzony, niedoksztalony, bez zmysłu do spraw gospodarczych, nie dlatego by do nich nie dorastał, ale po prostu dlatego że zagadnienia ekonomiczne i socjalne go nigdy naprawdę nie interesowały, Giedroyc znalazł się w szeregu tych młodych, ambitnych urzędników do zleceń, którzy w świecie administracji państwowej próbowali po roku 1930, a przed wrześniem, wybić się, wyrósć, nabrać prawdziwego politycznego ciężaru gatunkowego.

We wszystkich krajach świata, we wszystkich reżymach, istnieją takie kariery, istnieją tacy młodzi i ambitni urzędnicy, których można określić jako polityków biur ministerialnych. I tu znowuż Giedroyc miał pecha. Wszystkie starsze, bardziej wpływowe stanowiska *dans les allées du pouvoir*, „w korytarzach władzy”, jak mawiają Francuzi, były w Polsce obsadzone przez wojskowych, i wyrąbać sobie miejsce pod słońcem w tym nadmiarze ludzi, uczciwych, patriotycznych, ale bez cienia przygotowania do zadań administracyjnych, cóż dopiero do polityki, nie było łatwe. Dla Giedroycia widziałbym miejsce tylko albo w MSZ-ecie, naprzód u wzorowego urzędnika, jakim był np. Lipski, potem u boku Hołówki; albo też w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, w wydziale spraw narodowościowych, do których wniosłby i zapął, i dobrą wolę, i świeżość spojrzenia, i mógłby sobie zdobyć zaufanie partnerów. W obu tych dykasteriach, w tych obu domenach, Giedroyc by się może wyżył. Ale przy Rogerze Raczyńskim, w Ministerstwie Rolnictwa, Giedroyc nie był na tyle ekspertem, by móc wyrzucić wpływ fachowca; i to samo, i jeszcze bardziej, trzeba by powiedzieć o [Antonim] Romanie i Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Giedroyc mógł obu swoim szefom dać doskonałe rady taktyczne, ale daleko to sięgać nie mogło: raz, bo i Roger, pomimo ogromnego osobistego uroku i dużej inteligencji, nie był człowiekiem nadającym się na ministra rolnictwa, a tym bardziej Roman nie nadawał się na „wielkiego” ministra przemysłu i handlu: był to człowiek miły, dość przeciętny, ale bez pazura, bez większej dynamiki. A poza tym Polska, tak uboga, tak słaba, o tak archaicznej strukturze, o tak fatalnym układzie socjalnym i narodowym, o tak złych stosunkach ze wszystkimi sąsiadami, ta Polska nie miała nigdy najmniejszych szans wyrwania się z toni światowego kryzysu o własnych siłach. I Roger Raczyński, i Roman potrzebowali u swego boku Bóg wie jakich fachowców o kolosalnym doświadczeniu w prowadzeniu gospodarstw rolnych albo koncernów przemysłowych; Romanowi byłbym radził zawsze wziąć na swego mentora Tennenbauma, pomimo jego przerażającego protekcyjizmu, a na mentora dla Rogera Raczyńskiego doprawdy nie widzę nikogo, bo w Polsce trzeba było, wobec przeludnienia wsi, wszystko pakować w uprzemysłowienie, nic nie dając rolnictwu, gdzie szanse zatrudnienia i zarobku były zawsze dużo mniejsze. A poza tym nie trzeba się łudzić: w każdym kraju, w każdym państwie, w każdym ustroju decydującą rolę w polityce gospodarczej odgrywa nie Ministerstwo Przemysłu i Handlu, i nie Ministerstwo Rolnictwa, ale wyłącznie Ministerstwo Skarbu; albo minister skarbu jest dyktatorem

gospodarczym, i siłą rzeczy drugą osobą w państwie, albo jest bałagan. We Francji, gdzie podział na administrację polityczną i zwykłe „urzędożenie” jest przeprowadzony konsekwentnie i doskonale, „gabinety ministrów”, czyli zespół urzędników do zleceń, urzędników, są nafaszerowane urzędnikami Ministerstwa Skarbu, z tytułem *inspecteurs des finances*; i to ci ludzie, którzy mają za sobą szalenie trudne konkursy egzaminowe oraz kolosalne doświadczenie, stanowią sztab i grono wpływowych doradców każdego resortu i każdego kierownika resortów gospodarczych. Później z tych to *inspecteurs des finances*, którzy współpracowali z tuzinami najrozmaitszych ministrów w najrozmaitszych ministerstwach, rekrutują się bądź kandydaci na deputowanych, i to nie tylko partii u władzy, ale i najbardziej opozycyjnych (jak np. Michel Rocard, b. *inspecteur des finances* u samego pana Giscarda d’Estaing, a potem sekretarz gen[eralny] PSU, ditto młody Chevènement, który jest wodzem „młodych Turków” w partii Mitterranda), i ci później stanowią śmietankę kandydatów na ministrów, są to tak zwani *ministrables*, bądź też idą do przemysłu upaństwowionego lub prywatnego na najwyższe stanowiska (tak zwany *le pantouflage*). Otóż niewątpliwie w Polsce podobna reforma gabinetów ministerialnych była konieczna, ale sposób rekrutacji tego narybku był błędny; oficerowie zawodowi się do tej roli nie nadają, trzeba tu mieć wybornych prawników, doświadczonych administratorów, pierwszorzędnych skarbowców, a nie zbyt młodych, zbyt obiecujących młodych ludzi; we Francji był jeden taki przykład młodego gołowąsa, który przy boku p. Albina Chalandon wyrósł dalej i szybciej, niż się należało, i to się źle skończyło, i dla ministra, i dla p. Aranda. A mamy i inny przykład, jeszcze bardziej wymowny, mianowicie w Ameryce: całego Watergate nigdy by nie było, gdyby pp. Haldemann, Ehrlichmann, Dean i inni rekrutowali się z prymusów egzaminów prawno-skarbowych, którzy przeszli porządną i twardą szkołę po wszystkich dykasteriach i na wszystkich szczeblach kariery.

Pech Giedroycia nie kończył się na tym. W sposób niezmiernie typowy dla Polski Giedroyc już od najmłodszych lat łączył działalność urzędniczą z aktywnością dziennikarską i redakcyjną, mianowicie założył pismo młodzieżowe „Bunt Młodych”, później przezwane „Polityką”, i dzielił swój czas pomiędzy swym biurem męża zaufania u boku najprzód Rogera Raczyńskiego, a potem Romana, a swą redakcją na ulicy Długiej, gdzie redagował z talentem i niezmiernym wysiłkiem pismo względnie opozycyjne, ale wewnątrz systemu pomajowego.

Nie tylko konkretne zadania i obowiązki, ale i mentalność urzędnika do zleceń, choćby na najwyższym szczeblu, choćby cieszącego się największym zaufaniem przełożonych, i redaktora czasopisma są, i muszą być, radykalnie różne. W każdej administracji obowiązuje, bo obowiązywać musi, hierarchia służbowa i dyscyplina; urzędnik, choćby najwyższy, nie jest samodzielnym źródłem decyzji, tym bardziej polityki, jest wykonawcą. Redaktor musi być przede wszystkim niezależny, a więc niezależny także od rządu, od władz, od biurokracji, musi być zawsze, jeżeli nie opozycyjny, to co najmniej krytyczny, inaczej traci czytelników. Redaktor pisma, które jest samowystarczalne, to znaczy nie zależy ani od ogłoszeń, ani od subwencji, musi trzymać ucho przy ziemi, być bardzo wrażliwy na nastroje swoich czytelników, nie może iść za daleko w markowaniu swych osobistych poglądów, zwłaszcza gdy te kolidują zbyt silnie z ich interesami, a więc i poglądami.

Szanse kariery politycznej redaktora, wydawcy, publicysty, dziennikarza, a także radioty, są bardzo nikłe, dużo mniejsze od szans zawodowego polityka czy wysokiego urzędnika: ci mogą zawsze znaleźć bezpieczną przystań w milczeniu, które dla nikogo nie jest do tego stopnia złotem jak właśnie dla kandydatów do władzy; wydawca, redaktor, dziennikarz musi się nolens volens WYCHYLAĆ, a każde zajęcie stanowiska jest pełne zasadzek; któż może być pewny, że stawia na dobrego konia, że przewidział wszystkie możliwości, że nieprzewidziane wypadki nie postawią go w zupełnie innej sytuacji? We wszystkich podobnych wypadkach przezorna milkliwość jest wskazana; i jakżeż jest łatwa dla polityka, który zamyka się w swoim mieszkaniu, dla urzędnika, który zagłębia się w rutynowe papierki na swoim biurku albo bierze urlop zdrowotny? Ale brać dziennikarską, z wydawcami i redaktorami włącznie, raz po raz się naraża, i na niej jakże często się wszystko skrupia. Wydawcy, redaktorzy, publicyści, dziennikarze mają z reguły dużo więcej wrogów niż urzędnicy; i niestety jest bezlik dziennikarzy, którzy podstawiają sobie nogę, uprawiając kretyńskie polemiki, zarzucając kolegom zawodowym, od których ich dzielić nie nieznaczące drobiazgi, że ci „nie uprawiają POWAŻNEJ publicystyki”: jakby kryterium publicystyki „poważnej” albo „niepoważnej” było łatwe do ustalenia. Jedno takie kryterium jest wyraźne i niewątpliwe: czy pismo, czy publicystyka jest nudna, czy też interesująca, czy pismo jest redagowane, względnie artykuły są pisane z talentem lub bez.

Znam Giedroycia, urzędnika do zleceń, bardzo mało; nigdy nie byłem u niego w ministerstwie, nigdy nie uczestniczyłem w jego kon-

ferencjach z szefami. Natomiast Giedroycia-redaktora znam od 40 lat doskonale, i mogę być pod tym względem świadkiem koronnym. Był on naprzód redaktorem pisma młodzieżowego, omal akademickiego, „Bunt Młodych”, później przemianowanego na „Politykę”. Nie pamiętam dokładnie daty tego przemianowania, ale z grubsza data ta zbiegała się ze śmiercią Marszałka Piłsudskiego, która wyzwoliła w pewnym sensie prasę w ogóle, a specjalnie prasę prorządową, specjalnie piłsudczyków; podczas gdy za życia Marszałka opozycja prasy „sanacyjnej” wobec rządów Pana Marszałka była nie do pomyślenia, nawet gdy faktycznie rządy w imieniu Marszałka były sprawowane przez kogo innego, to po jego śmierci prasa ta stała się dużo bardziej samodzielna, czego najlepszy przykład dała półoficjalna „Gazeta Polska”, póki była redagowana i kierowana przez płk. Matuszewskiego.

Giedroyc był założycielem, wydawcą, redaktorem, twórcą, inspiratorem i „Buntu Młodych”, i „Polityki”, i później, po wojnie, paryskiej „Kultury”. W warunkach polskich, beznadziejnej nędzy, ogromnie ograniczonego czytelnictwa, stworzenie, kontynuowanie wydawania pisma było zadaniem piekielnie trudnym, i fakt, że naprzód młody chłopak, potem człowiek bez środków, bez poważnego oparcia finansowego, potrafił przez całe życie, z wyjątkiem przerwy wojennej, wydawać własne pismo, utrzymać swą niezależność, głosić plus minus całe życie mniej więcej te same poglądy, „prometejskie”, piłsudczykowski, ściśle inteligenckie, romantyczne, mocarstwowe, z dziwacznym, ale jakże polskim miszmaszem kultu wielkich ludzi i silnej władzy oraz sentymentalnej „lewicowości” – to jest wyczyn nadwyzczajny, i którego nigdy nie oczekiwałem. Uważałem przez całe życie Matuszewskiego i S. Mackiewicza za ludzi dużo bardziej utalentowanych od Giedroycia, jako publicystów i redaktorów; obaj nie potrafili stworzyć sobie trwałego pisma, Giedroyc potrafił! Dotąd nie rozumiem, jak to mógł zrobić.

Wracając do czasów przedwojennych – o „Kulturze” pomówię później – było wówczas wiele periodyków, które próbowały dawać wyraz opinii mniejszych grup czy zespołów, czasami klik i kanap; prawie wszystkie wiodły żywot suchotniczy i nie zostawiły po sobie żadnego śladu. Był np. taki „Pion”, wydawany przez Tadeusza Święcickiego, człowieka bardzo miłego i uroczego: ale któż dzisiaj to pismo pamięta? Był „Przegląd Współczesny” Stanisława Wędkiewicza, finansowany przez Stanisława Badeniego; ocean nudy i banału. Poza prasą codzienną, która należy do innej kategorii, istniały tylko trzy tygodniki, które się w Warszawie przedwojennej naprawdę liczyły: „Wia-

domości Literackie”, „Prosto z Mostu” i „Bunt Młodych”. Dwa pierwsze wydawnictwa miały oparcie w poważnych, na nasze stosunki, kapitalach, miały licznych czytelników, miały echo w dużych odłamach opinii inteligenckiej; organy Giedroycia były mrówką w porównaniu z tymi wielkoludami, a jednak coś znaczyły, czymś były i jakiś ciężar gatunkowy miały. „Prosto z Mostu” nie czytywałem regularnie, S. Piaseckiego spotkałem tylko raz czy dwa, i całkiem przelotnie, ale znałem większość współpracowników „Wiadomości”, i zwłaszcza ich wydawcę i redaktora M. Grydzewskiego. Grydzewski miał w stosunku do Giedroycia szereg atutów: był zawodowym historykiem i polonistą, znał bez porównania lepiej literaturę polską i był sam dużej miary eseistą; po 1950 roku, kiedy grono wartościowych współpracowników „Wiadomości” zaczęło z natury rzeczy wymierać i maleć, „Wiadomości” londyńskie stały głównie kolumną samego Grydzewskiego, która aż do jego choroby stała się najlepszą i najcenniejszą rubryką tego pisma. A Giedroyc nie był, nie jest pisarzem, musi zawsze się wypowiedzieć przez kogoś; to nie jest to samo. Obaj byli liberałami, obaj szanowali wolność autorów, a to dla redaktorów jest jedynym sposobem zaskarżenia sobie uznania i szacunku u swoich współpracowników. Ale na tym analogie się kończyły. Grydzewski był w gruncie rzeczy konwencjonalny, w gruncie rzeczy siedział za prądem; mimo pozorów był on znacznie bliższy „Kuriera Warszawskiego” niż czy to „Gazety Polskiej”, czy „Naszego Przeglądu”. Grydzewski, pomijając może skamandrytów, dla których zachował do końca życia sentyment, w gruncie rzeczy szukał uznanych i niespornych „nazwisk”; Giedroyc, przeciwnie, miał całe życie pasję do odkrywania „nowych” talentów i tylko z żalem, z bólem rozstawał się z własnymi „wynalazkami”, i dopiero z chwilą, kiedy kontynuowanie takiego czy innego nudziarza albo grafomana okazywało się absolutnie niemożliwe. Biorąc terminy wyścigowe, można powiedzieć, że Grydzewski stawiał zawsze na faworytów, a Giedroyc – na outsiderów. Oczywiście ten który stawia z reguły na faworytów, wygrywa częściej, ale za to mniejsze ma wygrane niż ten, który ryzykuje dużą stawkę na outsidera; a per saldo, która polityka się opłaca? Osobiście nie byłem i nie jestem ryzykantem, więc gdybym grał na wyścigach, stawiałbym na faworytów, nie na outsiderów. Grydzewski był uszczęśliwiony, ilekroć uznana wielkość literacka pojawiała się na jego łamach; cieszył się z każdego Boya, triumfował z każdego Nowaczyńskiego czy Kota, a już szalał, gdy blisko stuletni Aleksander Świętochowski nareszcie raczył napisać artykuł dla „Wiadomości”. Każdy, kto stawia na outsiderów, musi się li-

czyć z szeregiem wpadek. W „Buncie Młodych-Polityce” tych wpadek było dużo, może najwięcej wśród piramidalnie nudnych „ekonomistów” i tym podobnych, ale Giedroyc wygrał dwa ekstranumery, mianowicie Adolfa Bocheńskiego i Ksawerego Pruszyńskiego. Bocheński miał żywy i oryginalny talent historyczno-polityczny, doktrynera czy teoretyka polityki zagranicznej; A. Bocheński był dużo bliższy prawdy niż Beck czy tym bardziej opozycja Frontu Morges, jedyna która się liczyła, a której teorii, szlachetne i piękne w zasadzie, miały ten minus, że kompletnie zapoznawały potworną słabość Polski, ambicje Rosji, egoizm i zmęczenie Francji. Ksawery Pruszyński był doskonałym stylistą, miał wielki talent narracyjny, wielką łatwość pisania, może aż za wielką, zwłaszcza w czasie wojny, ale jego багаż intelektualny był niewielki. To były dwa asy atutowe Giedroycia przed wojną; inne mu się nie udały, ale był on zawsze pewnym fermentem, pobudzał, dopingował, czego o redakcjach dziesiątków wydawnictw, z którymi też współpracowałem – aby żyć – jak np. „Przeglądu Współczesnego”, „Przeglądu Gospodarczego” Lauterbacha, „Tygodnika Ilustrowanego” etc., powiedzieć nie mogę.

Zasoby Giedroycia były zawsze bardzo skromne, ale był on, na swoje warunki, hojny i zawsze pełen dobrej woli; ja sam dzięki jego pomocy przeżyłem niejeden ciężki moment, a takich jak ja były nie dziesiątki, a setki. Ta hojność i szczodroblliwość były możliwe tylko dlatego, że Giedroyc ścisnął swe wydatki wydawnicze i redakcyjne do nieprawdopodobnego minimum; w przeciwieństwie do pism i radiostacji oficjalnych sam dawał przykład abnegacji, niespożytej pracowitości i nieliczności stałego personelu, wszystko pakował zawsze w tak zwanych dzisiaj freelancerów, i ta polityka, po stokroć słuszna, mu się opłaciła; to ona mu zrobiła grono oddanych przyjaciół, a bez takiego grona utrzymać pisma nie można.

Dopiero po wojnie, jako wydawca i redaktor „Kultury”, Giedroyc dał pełnię swych talentów w tej dziedzinie: „Bunt Młodych” był zajmującym pismem młodzieżowym, ale ze wszystkimi przesadami i wadami tego typu wydawnictw; dobre pisarstwo, dobra publicystyka przychodzą dopiero z wiekiem, dopiero po czterdziestce. Żaden talent nie zastąpi doświadczenia, wyrobienia; jedynym wyjątkiem, a i to nie zawsze, może być poezja, czyli najbardziej romantyczna, najmniej przemysłana część literatury.

Tak się składa, że nasza epoka, która ma zapewnić po raz pierwszy godziwą stopę życiową wszystkim warstwom i wszystkim narodom, a więc epoka egalitaryzmu, a nie wolności, odwraca się od romanty-

zmu, i to zarówno w polityce, jak i w poezji, w malarstwie itd. Niemniej Giedroyc zaczął wydawać swoją paryską „Kulturę” jako wyraźny organ romantyków, nostalgików, epigonów piłsudczyzny i „misji Polski na Wschodzie”. Osobiście nigdy nie wierzyłem, by dało się wskrzesić Rzeczpospolitą Obojga Narodów, do której byłem sentymentalnie przywiązany, tym mniej stworzyć to, co nie doszło do skutku w XVII wieku, a więc w nierównie lepszych warunkach, mianowicie Rzeczypospolitej Trzech Narodów, Polaków, Litwinów i Ukraińców; poza tym heroldzi tej koncepcji na łamach „Kultury”, Wraga i Bączkowski, nie imponowali mi ani talentem, ani poziomem swej wiedzy i swej znajomości gry, zwanej Dyplomacją Wielkich Mocarstw. Upatrywałem poza tym najgłębszą antynomię w programie, który zdawał się zdążać do zażyłej przyjaźni „polsko-radzieckiej”, na tle wrogości, a co najmniej podejrzliwości wobec Niemiec, fanatycznej „obrony” granic zachodnich i prób popierania nacjonalizmu ukraińskiego. Wydawało mi się, i dzisiaj wydaje mi się bardziej niż kiedykolwiek, iż naród polski, żyjąc po raz pierwszy od 700 lat bez żadnych większych mniejszości w swoim łonie, doszedł do wniosku, że tak jest lepiej, i że naród ten wcale nie dąży do sytuacji, w której by znowu musiał się głowić nad zagadnieniami współżycia różnych narodów. Można powiedzieć, że takie nastawienie jest zubożeniem duchowym: to prawda. Można powiedzieć, że prędzej lub później naród polski przekona się, iż nie może dalej istnieć samotnie wobec dwóch olbrzymów, rosyjskiego i niemieckiego. To nie tylko prawda, ale to już nastąpiło.

Ale równocześnie nastąpił i inny proces, jeszcze ważniejszy; naród polski sobie powiedział, czego nie chciał sobie powiedzieć w latach Niepodległości, że jest narodem środkowoeuropejskim, który chce za wszelką cenę odwrócić się od Wschodu i jego problemów, a współżyć z Czechami, z Austrią, z Niemcami, także z Węgrami i Rumunią, tym bardziej z całą Europą Zachodnią, jeżeli ta nas tylko przyjmie na swoje łono i uzna nas za swoje dzieci, a odwrócić się od Wschodu, który nam przyniósł same zawody, same katastrofy.

Lubimy powtarzać, że wysiedleńcy niemieccy z ziem nadodrzańskich zaaklimatyzowali się w Niemczech Zachodnich, i nie chcą wracać do swych dawnych ziem ojczystych. To prawda. Ale tak samo jest prawdą, że młode pokolenie, urodzone w Szczecinie czy Wrocławiu, z rodziców ze Lwowa czy nawet z Wilna, nie tęskni do stron ojczystych, których nigdy nie znało. Odnosi się to także do tych, co pamiętają nasze Kresy Wschodnie, ale jakoś się urządzili w Warszawie czy w Krakowie. A już nigdy nie spotkałem Polaka z Kresów czy skąd-

inąd, specjalnie pochodzenia chłopskiego czy robotniczego, który by mi powiedział, że tęskni do współżycia z Ukraińcami, Białorusinami, Żydami etc. Nie, dzisiejsza Polska nie chce być szeregiem Ulsterów ani też nową edycją Austro-Węgier; chce być państwem narodowościowo jednolitym, językowo jednolitym, ale ściśle powiązonym z Europą Środkową i Zachodnią; tylko w ideale europejskim, w przycupnięciu, jako lojalna stаницa kresowa Europy, widzi Polska dzisiejsza nadzieję swobód narodowych i wyższego poziomu życia oraz pojęć cywilizacyjnych, które nam zawsze odpowiadały. Toteż nigdy nie robiłem dramatów z powodu tendencji „Kultury”; gdyby nastroje w Polsce, specjalnie w młodym pokoleniu, były inne, to bym może się bardziej tymi teoriami zaniepokoił, a zwłaszcza gdyby Rosjanie okazywali najmniejszą chęć pójsia po drodze też liberalnych i wolnościowych, Giedroyciowi drogich; ale nigdy poważnych wskazówek takich tendencji w Moskwie nie było, wręcz przeciwnie. Witanie w Gomułce nowej ery, rozpisywanie się o „polskiej drodze do socjalizmu”, upatrywanie lepszego jutra w rozszerzaniu titoizmu na plus minus całe imperium satelickie wydawało mi się naiwne; ale to nie znaczy, by takie złudzenia były szkodliwe. Były szkodliwe w biednej Czechosłowacji, gdzie nieszczęsny Dubček, choć wychowany w Rosji, poznał całkowicie mentalność Rosji, którą rozumiał dużo gorzej niż niejaki Hitler; ale nie był on jedyny – pani Meir takż całkowicie się na mentalności komunistów rosyjskich zawiodła, a natomiast szejki arabskie, choć w przeciwieństwie do pani Meir nie znały Rosji zupełnie, nie mówiły po rosyjsku, miały dużo trzeźwiejsze poglądy na Rosję i na politykę jej rządu. Co do Gomułki Giedroyc żył w świecie pełnej ułudy; ale na szczęście są to *tempi passati*; dzisiaj jego stosunek do Rosji i do Polski Gierka jest dużo trzeźwiejszy, chociaż wciąż mi się wydaje, że jego pasja do analizowania „komunizmu” czy „socjalizmu” jest walką z wiatrakami.

Obok reminiscencji, dzisiaj dużo słabszych niż 20 lat temu, dawnych marzeń romantycznych z epoki Józefa Piłsudskiego widzę w „Kulturze” Giedroycia duży wpływ lewicującej, a raczej pseudolewicowej publicystyki i pseudoliteratury francuskiej, jej pasji do poruszania zagadnień rzekomo ekonomicznych, rzekomo socjologicznych, rzekomo filozoficznych, do tarzania się w neoscholastyce, zwanej marksizmem. Było rzeczą nieuniknioną, iż przy obecnym rozpowszechnieniu tych manii w kołach „postępowych” w Paryżu snobistyczna część polskiej inteligencji, specjalnie tej, którą cechuje totalna ignorancja problemów ekonomicznych, również rzuciła się na marksizm, by ugrymować się na ostatnią modę. To samo było w ubiegłym

stuleciu z heglizmem. Słowacki i nierównie inteligentniejszy, i bardziej od „Juleczka” wykształcony Krasiński pisali długie i przenuadne tasiemce na temat Hegla (dzisiaj cała ta pisanina jest nie do czytania i wszyscy zgodnie uważają, że Krasiński, Słowacki, Hoene-Wroński etc. marnowali czas i papier, o filozofii nie mieli pojęcia, o Heglu nie mieli pojęcia, cały ich udział w interpretacji heglizmu, w przeciwieństwie do glossów Marksa na tenże temat, był równy zeru. To samo jest dzisiaj z marksizmem.

Polacy nie są narodem filozofów ani teoretyków, nigdy nie wydali ani jednego teologa, ani jednego filozofa godnego tej nazwy i jako naród, nigdy się nie interesowali i nie interesują się nawet metafizyką, cóż dopiero autorami, którzy, jak Hegel i Marks, metafizykę negują. Ale znowuż, *il n'y a pas de quoi fouetter un chat*. Gomułka gadał bez końca o marksizmie, o socjalizmie, i znudził i zanudził cały kraj, stał się znienawidzony. Gierkowi wszyscy mają za dobre, że przestał uprawiać styl „Gomuło-godzin”; przynajmniej tyle dobrego. Nieszczęsna inteligencja, o studiach prawniczych czy humanistycznych, zbyt liczna, zatruwiona o swe posady i przywileje, zagrożona przez świat robotniczy, który nie chce tych darmozjadów utrzymywać, szuka nerwowo jakiejś doktryny, która by mogła uzasadnić płacenie z takiej czy innej kasy państwowej części (jak największej) pieniędzy podatkowych tym nieszczęsnym pasożytom. Doświadczenie uczy, że to udaje się tylko sługom kultu, wyznania, religii, ale nie filozofii, nie teorii; może z nich żyć paru tzw. geniuszów, ale nie hordy nudziarzy. Ludzie prości gotowi dzielić się zarobkami z tymi, co ich bawią, z aktorami telewizji, kina, z rykajłami, z pornografami, ale tylko totalizm może zmusić jakiś kraj do utrzymywania tabunów przenudnych ideologów.

Nic nie zostanie po Sartrze i Camusie, po marcuse'ach czy clavelach, *e tutti quanti*. Ale znowuż nie widzę powodów do rozdzierania szat z powodu dawania tym „fałszywym prorokom” możliwości wygadania się.

Nigdy nie ceniłem „głębi” śp. hrabiego (tytuł ten nadał mu „Le Monde”) Gombrowicza, ale nigdy mnie nie irytował, bo go po prostu nie czytałem. Zawsze mnie dziwiło, gdy moja kuzynka, śp. Rena Jeleńska, kobieta pełna uroku i subtelnej kultury, szalała na temat kultu, który jej syn, K. A. Jeleński, miał dla Gombrowicza: *Comment peut-il, comment peut-il?* – powtarzała bez końca w tej polsko-francuskiej rozmowie, tak typowej dla pewnych klas społecznych ubiegłego wieku, a których była jedną z ostatnich, i najbardziej czarujących, przedstawicielek. Zawsze próbowałem przeciąć ten potok

wymowy i oburzenia, łagodnie sugerując: *Mais ma Chère Rena, pourquoi T'excites-Tu comme celá? Quelle importance l'admiration de Ton fils pour Gombrowicz peut-elle avoir? Fais comme moi: s'il T'irrite, ne le lis plus, ni rien sur lui!* Ileż było takich „popularności”: Hoene-Wroński, o którym pisałem kiedyś całą rozprawę dla Władysława Leopolda Jaworskiego, Irzykowski, który wydawał mi się pretensjonalnym beztalenciem, Stanisław Brzozowski, u którego nie znalazłem ani jednej ciekawej i oryginalnej myśli itd. Wielkich pisarzy jest niezmiernie mało, po kilku zaledwie w każdym narodzie na stulecie. *Et encore!* Na dobrą sprawę uważam, że z całej prozy naszego dwudziestolecia zostaną tylko dla potomności Boy i Maria Dąbrowska. W publicystyce tegoż okresu kto zostanie? Stanisław Estreicher, którego artykuł pt. *Rokosz na wieść o zamachu majowym*, ma akcenty ks. Skargi; politycznie ten artykuł był dla partii krakowskiej katastrofą, literacko będzie zawsze arcydziełem. A poza tym byli S. Mackiewicz i Matuszewski, i na tym koniec. Tak jest wszędzie. Jest 12 tysięcy zawodowych dziennikarzy francuskich i z tych tylko 80 jest znanych na jakimś poziomie, reszta się zupełnie nie liczy. A z polityków kto zostaje? Z generałów? Z ministrów skarbu? Z rewolucjonistów? A i to trzy czwarte nazwisk znanych w historii – to potwory.

Nie wierzę, by Péguy i jego *Cahiers de la Quinzaine* wywarł prawdziwy wpływ na Francję, i nawet na de Gaulle’a osobiście, choć wielu historyków twierdzi, że de Gaulle był bliższy myślowo Péguyemu niż Charles’owi Maurras. Wpływ Voltaire’a czy J. J. Rousseau był też prze-reklamowany, choć były to czasy, kiedy panował tylko jeden język, francuski, jedna literatura się liczyła, francuska, a dzisiaj króluje wieża Babel. Nagroda Goncourtów dzisiaj nic nie znaczy, Nagroda Nobla z literatury dzisiaj nic nie znaczy, nasze nagrody „literackie” są tylko zasiłkami dla nędzarzy, nic więcej, więc wszystkie moje laurki dla współpracowników „Kultury”, tak samo jak i moje krytyki, są bez znaczenia. Powiem jednak, że gdybym miał być kiedyś powołany do jury dla oceny blisko już trzydziestoletniej pracy Giedroycia jako redaktora, jako promotora tych czy tamtych, to bym mu dał złoty medal za znalezienie dwóch piór: Jerzego Stempowskiego i Marka Hłaski. Można powiedzieć, że dopiero Giedroyc ich odkrył, bo przedtem Stempowski był mało znany, a Hłasko właściwie wcale. Inni byli już odkryci przez „Wiadomości”, jak np. Józef Mackiewicz, którego *Ballada o nowym sterniku*, drukowana po raz pierwszy w „Kulturze”, powinna się znaleźć we wszystkich wypisach szkolnych w Polsce aż po koniec czasów. Miłośz, gdy nie nudzi na temat komunizmu, jest doskonałym

krytykiem literackim, oczywiście niesprawiedliwym, stronnikiem, ale któryż krytyk nim nie jest? Sainte-Beuve? Przecie to kpiny. Wyliczyłem już cztery wybitne nazwiska, pewno przeoczyłem jedno lub drugie. Na jeden miesięcznik to już fenomenalne. A że obok ziarna są i plewy, to co można na to poradzić? Brzydule też muszą żyć, i tak samo nudziarze i grafomani. By nie wywoływać burzy protestów, zaznaczam, że Tadeusza Nowakowskiego, Łobodowskiego etc. zaliczam do „stajni” „Wiadomości”, bo tam pisywali i dłużej, i częściej, i wcześniej niż w „Kulturze”.

Czas już kończyć. Zły los, zbyt późne przyjście na świat nie pozwoliły Giedroyciowi stać się naszym „Lawrence of the Ukraine” w roku 1920, kiedy prawdopodobnie zginąłby bohatersko, nie zrealizowawszy swych marzeń. Byłaby to piękna karta w dziejach polsko-ukraińskich, a legendy i ich bohaterzy mają swoją wartość. Ale wówczas nie znałbym nigdy Giedroycia, byłby dla mnie tylko nazwiskiem, jak Ordon, jak Emilia Plater, jak emir Rzewuski, do którego może jest z temperamentu, z urody, z urodzenia najbardziej podobny. Giedroyc, urodzony wcześniej, może by odpłacił dług Włochom za pułkownika Nullo, ginąc w marszu tysiąca walecznych. Ale bym go nie znał. A tak nigdy nie zapomnę chwili, gdym go widział po raz pierwszy w życiu na tarasie warszawskiego Yacht Klubu, w piękny dzień czerwcowy, razem z żoną, Tatianą, Tanią dla przyjaciół. Była to najpiękniejsza para, jaką widziałem w życiu, on wyglądał na księcia z *Tysiąca i Jednej Nocy*, ona na królową piękności, mody, szyku, szarmu, uśmiechu. W porównaniu z tą promienną parą John Kennedy i Jackie, wyjeżdżający do Londynu z MacMillanami, to była tylko kopia, tylko naśladownictwo.

Czesław Miłosz

Uwagi wdzięcznego współbiesiadnika

W pierwszych dniach lutego 1951 roku zjawiłem się w „Kulturze”, czyli w domu przy avenue Corneille, gdzie mieściła się redakcja, tudzież mieszkał trzyosobowy zespół wydający to pismo. Dom, z gatunku tzw. *pavillons* francuskich przedmieść, stał w zaniedbanym ogrodzie i był równie zaniedbany. Doprowadzenie go do stanu mieszkalności kosztowało zespół wiele trudu. Przesiadывali zwykle w kuchni przy stole pokrytym ceratą, jako że ogrzanie innych pokoi piecykami, w których paliło się węglowe brykiety, częściowo tylko się udawało. Stół służył do posiłków przyrządzanych przez Zosię, do czytania korespondencji, do robienia korekty. Ta trójka, tj. Jerzy Giedroyc, Zosia i Zygmunt Hertzowie, przebywali, ośmielałem się tak powiedzieć, na dnie kłęski. Byli wrogami Imperium, natomiast Imperium miało wszystko po swojej stronie: wygraną wojnę, miliony w łagrach, kontrolę nad połową Europy i kontrolę nad umysłami w drugiej jej połowie, pieniądze na propagandę, dobrze opłacany aparat policyjny i szpiegowski. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić rozmiary triumfu tego państwa. W Polsce dobrze zdawano sobie z tego sprawę i emigracja stawała się symbolem niebytu, co miało wpływ obezwładniający. Zaledwie jednak zaczęto przystosowywać się do swego miejsca w brzuchu molocha, nastąpił rok 1949 i utrata złudzeń, jeżeli ktoś je żywił.

Myślałem tak jak moi koledzy w Polsce i, lądując w „Kulturze”, przyłączałem się, moim zdaniem, do kłęski. A jeżeli pisałem, to z pozycji „człowieka przewróconego”, jak powiadał Gombrowicz. Moje środowisko w Polsce kierowało się towarzyskimi ambicjami i niepiśnianym kodeksem towarzyskiego taktu. Zostać emigrantem znaczyło spaść w towarzyskiej hierarchii. Ogłosić się antykomunistą było po prostu nietaktem. Wspominam o tym, bo odpowiada to prawdzie, choć nikt już nie chciałby się do tego przyznać. Moja ponurość, nawet histeria i prowokacje stąd się brały, że cierpiełem męki ponizonej ambicji. Dzisiaj w całej dyskusji o komunizmie za mało uwagi udziela się towarzyskiemu prestiżowi. Później, za Solidarności, potrzeba tego prestiżu działała w odwrotnym kierunku. W 1951 roku byłem zatruty

nie tylko heglizmem, także samotnością kogoś, kto zrywa ze swoją konfraternią, jedyną jaką ma na świecie. Staje się samodzielną, nawet odważną jednostką, ale mimo woli.

Jerzy Giedroyc pochodził z innych układów i inne były jego presje środowiskowe. Opierając się im, wyzwalał się z etnocentrycznej ortodoksji patriotów. Jego wizja możliwej współpracy polsko-ukraińskiej, polsko-litewskiej i polsko-białoruskiej była (wtedy!) szaleńcza, a pomysł oddziaływania na Polskę z odległości – karkołomny. Choć właśnie w tej swojej części człowieka stamtąd, ze Wschodu, jak Jerzy Stempowski czy Stanisław Vincenz, znającego tamte problemy narodowościowe, był mi bliski. To naprawdę tworzyło nic porozumienia.

Nienawidziłem sowieckiego potwora i byłem świadomy, że cudem uniknąłem łagru. Wydostając się z Polski, wziąłem na siebie obowiązek walki. Ale to nie znaczy, że wierzyłem w zwycięstwo i wcale nie zamierzam przyłączać się do tych, którzy teraz utrzymują, że zawsze wiedzieli, co będzie.

Jerzy Giedroyc w swojej niezłomności był dla mnie postacią enigmatyczną. Czy naprawdę wierzył, że podział Europy ulegnie zmianie wcześniej niż za sto lat? Czy też, wobec całkowitego nieprawdopodobieństwa sukcesu swoich poczynąń, postępował, jak postępował, w imię zasady stoickiej, dlatego że tak trzeba, bez obliczania szans? Jego uparta działalność i wybór jednego celu, któremu poświęcił życie, zasługiwały na mój szacunek i niechętny podziw. Niechętny, bo przeciwko niemu zwracała się wszelka realistyczna ocena. Jednakże w swoim bezwzględnym oddaniu celowi nie był sam: stała za nim murem ta, bez której nie byłoby „Kultury”, przez której ręce przechodziła każda stronica pisma, sekretarka i naczelny szef ich falanstwu w jednej osobie, Zofia Hertz. Też na próżno próbowałem odgadnąć, jaka w niej siedzi siła napędowa, że zdolna jest co dzień do czterestu godzin pracy. W imię idei? W imię samego uporu, jak wtedy, kiedy rąbała las na zesłaniu w Marijskiej Republice? Z głębokiej wiary w sensowność przedsięwzięcia? Bo powiedzmy szczerze, że Zygmunt tyrał, pakował egzemplarze i woził ręcznym wózkiem na Gare Saint-Lazare nie dlatego, że wierzył. Poświęcał się świadomie, z miłości do żony, lojalny wobec wybranej przez nią misji. Ponieważ był sceptykiem, okazywał się bardziej dostępny mojemu sceptycznemu usposobieniu.

Powracam teraz, po śmierci Giedroycia, do tych pierwszych lat „Kultury”, dlatego że tak tylko umiem myśleć o wielkości dzieła, które zostawił. Wygrał, ale ryzyko przegranej należało do gry, będącej próbą charakterów. Co prawda można by składać mu hołd za dar przewi-

dywania, jednakże wtedy brakło logicznych przesłanek do upadku sowytyzmu, a i dzisiaj jego zapadnięcie się od środka wymyka się pojęciu przyczyn i skutków, podobne natomiast jest do cudu. Jako że publikowałem przez dziesiątki lat w „Kulturze” i w Instytucie Literackim, korzystam niezasłużenie z części sławy należnej Giedroyciowi i jego najbliższymi współpracownikom. Myślę, że właśnie pokazując mizeryę początków, sprowadzam do właściwej skali mój udział, literata, który korzystał z gościny i opieki ubożuchnego wydawcy.

Giedroyc jest jedną z wielkich postaci polskiej historii. Na pewno oceny jego „Kultury” będą się zmieniać, ale zawsze będzie obecny przy debatach o bolesnej likwidacji dziedzictwa dawnej Rzeczypospolitej, jako człowiek, który wcześniej zrozumiał, że stosunki pomiędzy wchodzącymi niegdyś w jej skład narodami muszą być oparte na nowych zasadach. Śmierć jego jest stratą dla Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, ale dzięki niemu nigdy już, miejmy nadzieję, nie zdobędzie przewagi polski etnocentryczny sposób myślenia.

Pożegnanie z Jerzym Giedroyciem

Bardzo trudno jest pogodzić się z okrutnym faktem, że Jerzy Giedroyc już nie żyje. Był zbyt wielkim symbolem, symbolem bycia i trwania, moralnym i politycznym autorytetem ponad podziałami partyjnymi, przesądami klasowymi i konfliktami narodowościowymi. Jak rzadko kto reprezentował umiar i rozsądek, był uosobieniem tolerancji. Są to cechy charakteru raczej rzadkie na naszych szerokościach geograficznych i nietypowe dla politycznego obyczaju. Jego śmierć powoduje głęboką wyrwę w nieformalnym, ale od wielu lat praktykowanym układzie sił i tendencji. Nie będąc w środku szybko zmieniających się nastrojów, mógł z dala nie tylko obserwować procesy przemian – nie zawsze uchwytnych nawet dla ich uczestników – ale przez powagę i ciężar gatunkowy swojej postaci w wydatny sposób wpływać na politykę współczesnych elit politycznych.

Przypominanie dziś, w obliczu majestatu śmierci, że był jednym z największych Polaków XX stulecia, jest truizmem i właściwie banałem. Ale stwierdzenie wielkości jego postaci na tle straszliwej epoki, wciąż jeszcze zionącej atmosferą nieprawdopodobnych okrucieństw zdegenerowanych systemów władzy i ogromem ludzkich nieszczęść, jest tylko skromną i oczywistą daniną. W ostatnich latach czasem wydawało się, że nie tylko ogół naszych społeczeństw, od którego trudno oczekiwać dociekliwości i przenikliwości, ale nawet klasa polityczna z kręgu podstawowych działań Jerzego Giedroycia – czyli Polski, Białorusi, Litwy i Ukrainy – nie dostrzega głębi i doniosłości życiowego dzieła tego nie tylko zdolnego wydawcy, genialnego redaktora, ale przede wszystkim politycznego wizjonera.

Nie trzeba grzeszyć zbyt wybujałą fantazją, aby wyobrazić sobie, co działałoby się w naszym regionie, jakie konflikty, awantury narodowościowe i graniczne hulałyby po głowach społeczeństw Europy Środkowo-Wschodniej, gdyby nie zwyciężyła koncesja przyjaźni i współpracy wypracowana w kręgu paryskiej „Kultury” pod egidą Jerzego Giedroycia.

Jego dalekowzroczność i zbawienny opór wobec małości i krótkowzroczności ówczesnych emigracyjnych oponentów sprawiły, że projekt – na miarę tamtych czasów i poglądów – zakrawający na niezniszczalną utopię, wyprowadził naszą ówczesną geopolitykę z ulicy bez wyjścia na współczesną drogę pojednania i współpracy. To ten potomek litewskiego, z czasem spolszczonego, arystokratycznego rodu zdobył się na rewolucyjną koncepcję radykalnego zerwania z koślawą przeszłością – bez przelewu krwi, a drogą ewolucyjnej perswazji, nieustannego dłubania skały obojętności i niewiary.

Całe dzieje ludzkości nie znają podobnego fenomenu, aby grupa ludzi na emigracji, oddalona od kraju ojczystego o tysiące kilometrów i nierozporządzająca ani potęgą militarną, ani wielką fortuną, zdołała nie tylko opracować projekt uśmierzenia dawnych przeciwnieństw i przygotowania okresu współpracy ponad granicami – bo takich projektów było wiele i wszystkie one pozostały na papierze – ale z koncepcją tą dotrzeć do nowych klas politycznych i zdobyć ich poparcie dla jego realizacji w nowym układzie sił w Europie.

Historyczne zasługi zmarłego wielkiego Polaka wykraczają daleko poza granice stosunków polsko-ukraińskich, ale właśnie w tej dziedzinie są powodem szczególnej dziękczynności. Jestem święcie przekonany, że przyszli badacze nieprostych dziejów naszego sąsiedztwa ocenią wkład i wysiłek Jerzego Giedroycia jako epokowe dzieło w wytyczeniu drogi do nowego cyklu w naszej wspólnej Przyszłości.

Jerzy Giedroyc, kustosz pamięci

Od dawna wydaje mi się, że pytanie o „Jerzego Giedroycia widzenie historii” stanowi zasadniczą perspektywę dla zrozumienia niezwykłego zjawiska, jakim był twórca Instytutu Literackiego. Chciałbym przedstawić kilka refleksji związanych z tym tematem i zanotować kilka zapamiętanych migawek.

Sądzę bowiem, że w wypadku Jerzego Giedroycia mamy do czynienia z owocnym splotem czterech elementów: był redaktorem polityki (suflerem idei, krytykiem poczynąń statystów i ugrupowań); był redaktorem kultury polskiej (przede wszystkim literatury); był wydawcą (organizował administrację pism, zapewniał ich finansowanie); był wreszcie archiwistą (stworzył bazę dokumentacyjną dla swojej działalności, troszczył się o utrwalenie zapisów przeszłości). Okazał niezwykły organizacyjny talent w czterech dziedzinach: polityki, kultury, finansów, dokumentacji. Talent w każdej z tych dziedzin jest rzadki, złączenie tych talentów w jednej osobowości było zjawiskiem jedynym. To złączenie stoi u podstaw głębi i trwałości oddziaływania Jerzego Giedroycia.

Idąc dalej tym tropem, chciałbym zaryzykować uogólnienie, że przed wojną u redaktora „Polityki”, doszły do głosu, w formie jeszcze niepełnej, dwa z tych talentów: do polityki i do organizacji bazy finansowej. Dopiero u redaktora „Kultury” znalazł wyraz pełny splot wszystkich czterech wspomnianych elementów: stworzył Instytut Literacki, wydawnictwa, które oddziaływały trwale na politykę i na kulturę naszej epoki nie tylko w Polsce; stworzył finansowe i organizacyjne podstawy dla tej instytucji, której zapewnił trwałość zdumiewającą, nie tylko jak na warunki emigracyjne; stworzył wreszcie Dom „Kultury”, jego bibliotekę, jego archiwa, jego zbiory sztuki, dokumentów. I tu tkwi wyjaśnienie tego skoku jakościowego, jaki nastąpił między redaktorem „Polityki” a redaktorem „Kultury”.

Jerzy Giedroyc był świadomy, że pisma i wydawnictwa, które zbudował, nie mogą być kontynuowane bez niego. Dążył do tego, aby organizacyjnie (finansowo) zapewnić przetrwanie Domu „Kultury”,

biblioteki, archiwum. Jeszcze za życia zdecydował o publikacji swojej korespondencji w serii „Archiwum »Kultury«” i zarządził, że to wydawnictwo ma być kontynuowane.

Te decyzje wynikały z jego stosunku do historii, do zapisów przeszłości. Rozumiał ich znaczenie. Tak było od dawnych lat. Interesował się żywo historią w czasie studiów uniwersyteckich. W obliczu katastrofy narodowej, której był świadkiem (likwidacja całych warstw społecznych; utrata pomników kultury materialnej i duchowej; wyrzucanie milionów ludzi na obce im terytoria; miasta obrócone w gruzowiska), to wyczulenie na materię historyczną uległo jeszcze wzmocnieniu.

Kilka migawek. Opowiadał mi Józef Czapski, że gdy Jerzy Giedroyc został przydzielony na skromne stanowisko w podlegającym Czapskiemu Wydziale Prasy Armii Polskiej na Wschodzie, zabrał się od razu do pisania listów na cały świat. Wystukiwał je dwoma palcami na maszynie, gdzieś w baraku na pustyni. Nawiazywał kontakty, wynajdywał współpracowników, którym zlecał zadania, zbierał świadectwa. I zawsze pisał przez kalkę (czasem źle założoną), chciał zachować kopie tej korespondencji. Mówiła mi Zofia Hertz, że już wtedy, w warunkach polowych, pierwszą zasadą, jaką jej Jerzy Giedroyc narzucił, był zakaz wyrzucania jakiegokolwiek dokumentacji. Już wtedy rozumiał wagę utrwalania działalności redakcyjnej i czynił to z imponującym rozmachem. Inna anegdota o tamtych latach, opowiedziana mi przez Czapskiego: jechali samochodem wojskowym z Włoch do Francji, było to bodajże w roku 1945, mijali w północnych Włoszech jakiś olbrzymi gmach, pałac czy zamek, stojący na pustkowiu; Czapski powiedział, ot tak, od niechcenia: „nie rozumiem, po co ludzie budowali tak wielkie gmaszyska, na co się to komu może w dzisiejszych czasach przydać”; na to Giedroyc, po chwili namysłu, z całkowitą powagą: „zupełnie się z tobą nie zgadzam, to byłby doskonały dom do pracy”.

Ta dalekowzroczność, rozległość planów i umiejętność ich praktycznej realizacji uderzały w siedzibie Instytutu Literackiego od początku. Wacław Zbyszewski, autor bez wątpienia najcelniejszego – i najbarwniejszego – portretu konstelacji skupionej wokół Jerzego Giedroycia, wspominał, że podczas pierwszych wizyt w siedzibie „Kultury” w Maisons-Laffitte, jeszcze na avenue Cornaille, najbardziej go zadziwił widok biblioteki, tomów starannie zebranych, ponumerowanych, skatalogowanych. Gdy w roku 1954 „Kultura” musiała wynieść się z pierwotnej siedziby i Giedroyc szukał nowego pomieszczenia,

narzekał: „straszni są ci minimaliści”, gdy jego współpracownicy (Zygmunt Hertz) uważali, że mierzy zbyt wysoko, kupując tak obszerne pomieszczenie. On widział już archiwum i bibliotekę dotyczącą nie tylko spraw polskich, lecz całej Europy Środkowo-Wschodniej. Zakup tego domu okazał się jedną z najważniejszych inwestycji w kulturę polską. Giedroyc stwarzał w ten sposób fakty dokonane (dokonujące się w złączeniu wieloletniej codziennej ciężkiej pracy i dalekowzrocznych projektów) w dziedzinie polityki, i to nie tylko polskiej.

We wrześniu 1967 roku dane mi było już nie tylko odwiedzić Dom „Kultury”, lecz także zamieszkać tam i przez pewien czas dzielić życie redakcji. Mocno wryły mi się w pamięć i w wyobraźnię oglądane tam zbiory: oprawne w ciemnozielone płótno tomy wycinków dotyczących „Kultury”, komplety czasopism, czasem czysto fachowych, wydawałoby się całkiem odległych od zainteresowań redakcji „Kultury”, ale dotyczących spraw polskich, kultury polskiej czy też kultur obcych widzianych przez Polaków bądź też dotyczących krajów naszego regionu, w wielu językach, encyklopedie, kompendia, jakbym oglądał bibliotekę podręczną kilku instytutów badawczych, kilku muzeów... Uderzyła mnie praktyczność w połączeniu z szerokością i odwagą wizji. Pamiętam, z jakim podziwem pokazywał mi Giedroyc wielotomowe publikacje encyklopedyczne wydawane przez emigrantów litewskich i ukraińskich, i jego wyrzuty, że emigracja polska nie zdobyła się na podobny wysiłek.

W pokoju na prawo od wejścia, na ziemi, widziałem prawie zawsze stos paczek z książkami. Zaadresowane były: prof. dr Tadeusz Manteuffel, Instytut Historii PAN, Warszawa. Kilka razy pomagałem Zygmuntowi Hertzowi zawozić na pocztę te paczki z wydawnictwami wybranymi przez Giedroycia. Otaczał opieką wiele bibliotek, nie tylko w Polsce, ale Biblioteka Narodowa i Biblioteka Instytutu Historii były mu chyba szczególnie bliskie. Miał bardzo silnie rozwinięte poczucie odpowiedzialności za polskie archiwa. Interesował się tymi w kraju i tymi rozsianymi po świecie. Jego ambicją było, aby Dom „Kultury” stał się Domem Polskiej Pamięci. Z satysfakcją opowiadał, że u niego złożył swoje archiwum profesor Adam Krzyżanowski. Opiekował się ciężko chorym wówczas profesorem Stanisławem Kotem, który należał niegdyś do jego przeciwników politycznych, jednak gdy chodziło o utrwalenie dokumentacji przeszłości, Giedroyc był rzeczywiście człowiekiem ponad partyjnymi podziałami; odnosiłem wrażenie, że do ocalenia i utrwalenia dzieła Stanisława Kota przywiązuje wagę specjalną, jakby chciał pokazać, że sprawą nadrzędną jest troska o za-

chowanie narodowego dziedzictwa. Stefan Kisielewski powiedział mi w sekrecie na początku lat siedemdziesiątych, że prowadzi dziennik i że przechowuje go w dwóch miejscach, z których jedno było „U Księcia”. O tym, że dziennik prowadzi Zygmunt Mycielski, wiedziałem od Henryka Krzeczковского, który te zapiski czytał i był pod ich wrażeniem; nie przypuszczałem, że stanowią tak szczere i ważne świadectwo o Polsce – i Europie – XX wieku; Mycielski złożył je u Giedroycia, uznał, że to jest najpewniejsze miejsce. Także w jego oczach Dom „Kultury” stanowił suwerenne Xięstwo na Lafficie, wysepkę wolnej Polski, gdzie można przechować niezafałszowaną pamięć i swobodną myśl. To bardzo poważne sprawy, powinny być mocno utrwalone w naszej świadomości.

W roku 1972 dostałem paszport po kilkukrotnych odmowach. Znow zamieszkałem na pewien czas w Domu „Kultury”, po raz pierwszy od „procesu taterników”, w którym skazano mego brata Jakuba za kontakty z Giedroyciem, a jako materiały oskarżenia leżały na stole sędziowskim książki i czasopisma wydawane przez Instytut Literacki, po raz pierwszy od „czarnego roku” 1969, gdy zmarło wielu współpracowników „Kultury”: Kazimierz Wierzyński, Marek Hłasko, Witold Gombrowicz, Jerzy Stempowski („mam nadzieję, że śmierć wreszcie złamała kość”, napisał Giedroyc po kolejnej żałobnej wiadomości do Józefa Wittlina). Zamieszkałem znow w „stajence” przy Domu „Kultury”. Jednym z pierwszych tematów były formy utrwalenia pamięci o tych twórcach. Wspominałem o potrzebie zebrania korespondencji Jerzego Stempowskiego i Witolda Gombrowicza. Giedroyc przyniósł od razu dwa duże pudła, w których zgromadził już dokumenty związane z tymi pisarzami. Zastanawiał się, do kogo jeszcze należałoby się zwrócić o informacje w tej sprawie.

Był na problematykę utrwalania zapisów przeszłości szczególnie uczulony, i wtedy, w okresie, gdy Instytut Literacki był wyspą niezafałszowanej pamięci polskiej, i później, po roku 1989, gdy z odzyskaniem niepodległości została obalona cenzura w Polsce i o przeszłości można było swobodnie pisać. Giedroyc był wolny od fanatyzmów narodowych, klasowych, rasowych, religijnych, obyczajowych. Wiedziałem, że te tematy zawsze go ożywiają. Dwie migawkowe rozmowy z nim z drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych chciałbym tu zanotować.

Pierwsza związana była z „Zeszytami Historycznymi”. Powiedziałem, jak je cenię, i półzartem dodałem, że przyznałem im, jako jednym z trzech najważniejszych polskich przedsięwzięć wydawniczych w dziedzinie historii, Order Pamięci ze Złotą Kitką. Pan Jerzy natych-

miast włączył się w grę i zapytał, jacy są pozostali laureaci. Wymieniłem „Polski Słownik Biograficzny” – „ma się rozumieć”, powiedział Giedroyc i tylko skarżył się na powolność publikacji. Miał nadzieję, że jednak przyspieszą i zaczną od razu przygotowywać następną edycję, aby można ją było zacząć z początkiem XXI wieku. Gdy toczyliśmy tę rozmowę, PSB był przy literze S (u jej początków); gdy w kilkanaście lat później piszę o tej rozmowie, PSB jest przy literze... S (zbliża się do jej końca), tego się nawet nie da określić jako tempo żółwie! Przyznanego Orderu Pamięci nie zamierzam jednak odbierać, to jest naprawdę wspaniałe wydawnictwo, ale podawany obecnie termin ukończenia prac – rok 2030 – jest czymś trudnym do przyjęcia i ufam, że choćby przez wzgląd na pamięć Jerzego Giedroycia (na sposób i tempo jego działania) ulegnie skróceniu.

Jako drugiego laureata Orderu Pamięci (trzeciego, jeśli liczyć „Zeszyty Historyczne”) podałem Romana Aftanazego, autora monumentalnej pracy *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*. „Czekałem, czy pan go wymieni”, powiedział z widocznym ożywieniem Giedroyc. Jakżeż mógłbym go pominąć, to przecież w bibliotece Domu „Kultury”, na półkach w pokoju na lewo od wejścia, właśnie niedaleko PSB, mogłem oglądać jedenaście tomów, oprawnych w trawia-stozielone płótno, drugiego pełnego wydania monumentalnej pracy Romana Aftanazego. Jej autor ocalił z potopu pamięć o około półtora tysiąca polskich rezydencji na kresach. Wysyłał dziesiątki tysięcy listów do dawnych właścicieli czy ich potomków, czy ludzi, którzy jakoś zetknęli się z tymi pomnikami przeszłości. Tę pracę wykonywał samotnie, przez dziesięciolecia, bez nadziei na publikację, *contra mundum*, jako sposób obrony pamięci przed niszczącą, niwelującą siłą ideologii, barbarzyństwa. U twórcy *Dziejów rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej* w stosunku do przeszłości było coś pokrewnego do postawy twórcy „Zeszytów Historycznych”. Ilekroć jestem na warszawskich Starych Powązkach, zatrzymuję się przy grobie Romana Aftanazego (tuż przy charakterystycznym grobie Krzysztofa Kieślowskiego) i myślę o tych powinowactwach z wyboru.

W czasie rozmowy o Orderach Pamięci Jerzy Giedroyc wspomniał, że dodałby jeszcze („ale czuję, że znów pan podskoczy”) wydawnictwa historyczne Paxu. Przypuszczenie, że jego opinia wywołała moją negatywną reakcję było nawiązaniem do wcześniejszej części naszej rozmowy, gdy wspominał pozytywnie działalność kogoś o niezbyt chlubnej przeszłości, na co zareagowałem z wyraźną niechęcią. Ale w tym wypadku nie było obaw, abym reagował negatywnie: cenilem

historyczne wydawnictwa Paxu, choć wiedziałem dobrze, jakimi serwitutami była obłożona stosunkowo większa swoboda wypowiedzi. I w nie mniejszym stopniu ceniłem inne domy wydawnicze, zajmujące się, w oktrojowanych ramach, zachowywaniem pamięci o przeszłości. Wymieniłem w pierwszym rządzie Państwowy Instytut Wydawniczy i trwającą wiele dziesięcioleci działalność Pawła Hertza. Wiedziałem, że stosunki między Pawłem Hertzem a Giedroyciem pełne były nieskrywanej kąśliwości. Byli w tym do siebie podobni, że wypowiadali swoje sądy (także o sobie), nie licząc się z polityczną czy towarzyską poprawnością. W tym okresie Giedroyc dostawał, wielce zasłużone, doktoraty honoris causa od wszystkich prawie polskich uniwersytetów, jakby chciały nadrobić minione lata. Wspomniałem mu, że Paweł Hertz, który w dziedzinie literatury polskiej XIX wieku dysponuje wiedzą imponującą, a w dziedzinie związków kulturalnych polsko-rosyjskich i polsko-niemieckich (tematyka w Polsce zaniedbywana, a przecież o znaczeniu dosłownie gardłowym) jego wiedza jest nie-zrównana i zdziałał więcej niż kilka katedr uniwersyteckich razem wziętych, nie tylko nie ma dyplomu wyższej uczelni, ale naukę oficjalną przerwał na przedwojennej klasie szóstej – otóż wydawało mi się, że przyznanie mu doktoratu honoris causa byłoby właściwym docenieniem jego zasług. Giedroyc przyjął moją wypowiedź w milczeniu, zdziwił się jedynie, że Paweł Hertz nie ma matury. Nie minęły dwa dni, gdy dostałem od Giedroycia telefon: ma się spotkać z kimś z uniwersytetu, pilnie prosi, abym przygotował mu notatkę dotyczącą doktoratu dla Pawła Hertza.

Druga rozmowa, która objawiła mi w nagłym błysku zmysł historyczny Jerzego Giedroycia, toczyła się też pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Wróciłem z Londynu i byłem po raz kolejny pod wrażeniem National Portrait Gallery. Uprzytomniłem sobie raz jeszcze, że podobne muzeum powinno koniecznie powstać w Polsce. Nie było to możliwe, gdy oglądałem te zbiory po raz pierwszy. Wówczas przecież całe życie społeczne poddane było oficjalnej kontroli. Grupy, które tworzyły naszą kulturę i cywilizację, arystokracja, ziemiaństwo, przemysłowcy, kupcy, otoczeni byli oficjalną (a często także nieoficjalną) pogardą. Usiłowano ich wykreślić ze społecznej pamięci. Stworzenie takiego Muzeum Polskiej Pamięci (jakąkolwiek będzie ono nosić oficjalną nazwę) byłoby ważnym krokiem w kierunku odzyskiwania i umacniania swobodnej pamięci, wolnej od ideologicznych manipulacji. Dopiero od paru lat można pracę nad takim muzeum rozpocząć. I należy się z utrwalaniem śladów śpieszyć (znakomite dokonanie Ro-

mana Aftanazego powinno być i przykładem, i ostrzeżeniem: dzisiaj już byłoby za późno na ocalenie niektórych pamiątek, za kilkanaście lat sytuacja będzie jeszcze trudniejsza). Takie muzeum pokazywałoby szeroko rozumianą kulturę polską i jej związki z innymi kulturami, powinno obejmować zarówno ziemie wschodnie, jak i ziemie zachodnie, jak i działalność polskiej diaspory i obecność innych narodowości, innych kultur, innych wyznań, innych wzorów obyczajowych.

Powiedziałem Jerzemu Giedroycowi, że działacze państwowi w Polsce czują obecnie przed nim mores – jest więc osobą, która potrafiłaby nie tylko spowodować powołanie do życia Muzeum Polskiej Pamięci, ale też gwarantowałaby niezawisłość takiej instytucji od ideologicznych fanatyzmów i zaślepień, z prawa czy z lewa. Odpowiedział mi na to jednym zdaniem, którym zarazem zaskoczył mnie i zachwycił: „no tak, to ważne, ale kto miałby się tym zajmować, nie ma już przecież Michała Walickiego”. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym świetnym znawcy malarstwa holenderskiego XVII wieku, Giedroyc nie mógł wiedzieć, że nazwisko to dużo mi mówi, ja nie przypuszczałem, że dla Giedroycia sylwetka Michała Walickiego jako znawcy kultury polskiej jest żywa (luźno pamiętałem, że kiedy Walicki siedział w komunistycznym więzieniu, w latach 1949–1953, za przynależność do AK i działalność w BIP-ie, upominano się o niego w „Kulturze” piórem Czapskiego, myślałem jednak, że u Giedroycia jest to zainteresowanie natury politycznej) – tymczasem okazało się, że pamiętał o Walickim jako wybitnym badaczu dziejów sztuki polskiej, autorze zasadniczego syntetycznego opracowania na ten temat, i jako o humaniście, widzącym kulturę polską na tle kultur innych i interesującym się, z otwartym umysłem, tymi związkami. I Giedroyc potrafił nagle, bez przygotowania, w przypadkowej rozmowie, wysunąć najwłaściwszą osobę do wypełnienia danego zadania. W tym momencie doszło do mnie wyraziście, że w myślach stale pełni rolę redaktora polskiej kultury, jej przeszłości, jej przyszłych form, czuje się za nią w jej całości odpowiedzialny w każdym momencie – i potrafi ją twórczo inspirować.

Bohdan Osadczyk

Wspomnienie

Latem 1950 roku w Berlinie poznałem Jerzego Giedroycia i Józefa Czapskiego. Uczestniczyli w Kongresie Wolności Kultury, który był kontrofensywą na ekspansję komunistycznej Moskwy wśród intelektualistów w Europie. Giedroyc nie przemawiał, ale Czapski, wysoki jak topola i zamazyscie gestykulujący, imponował zebranym swym doświadczeniem z carskiej i stalinowskiej Rosji. Na mnie zrobił wrażenie swym apelem o przyciągnięcie do współpracy Ukraińców, co nie bardzo pasowało amerykańskim organizatorom imprezy. Moją interwencję o zaproszenie pisarza Bahrianego, byłego więźnia w Charkowie i w łagrach na Dalekim Wschodzie, który w 1946 roku przeciwstawił się akcji Sowietów na rzecz repatriacji, główny organizator Kongresu Melvin Lasky, wydawca i redaktor miesięcznika „Der Monat”, zbył argumentem, że Bahrianyj jest za mało znany w świecie... Apel Czapskiego, który nic nie wiedział o mojej inicjatywie, był prztykiem w rusofilski nos Lasky’ego.

O Giedroyciu coś niecoś wiedziałem, najpierw od Stepana Skrypnyka, byłego posła na Sejm z Wołynia, emigranta z Połtawy i krewnego Petlury, którego poznałem w 1940 roku w Chełmie i który po wielu latach został Patriarchą Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego. O wiele więcej dowiedziałem się od mojego nieco starszego kolegi w Berlinie, dziennikarza pochodzącego z Hrubieszowszczyzny, Hennadija Kotorowycza, który studiował w Wyższej Szkole Dziennikarskiej w Warszawie i o którym dyrektor Wasowski po próbnym tekście reportażu powiedział: „Panie Kotorowycz, panu życie kapie z pióra”. A jemu życie kapło nie tylko z pióra, warszawianki szalały za dorodnym młodzieńcem z niebieskimi oczami i orlim nosem. Karierę zaczął jako reporter dla ukraińskiego dziennika „Diło” we Lwowie, pisząc pod pseudonimem Roman Huczwanowycz (od rzeczki Huczwa, nad którą się wychował, bo urodził się podczas ewakuacji wojsk rosyjskich w pierwszej wojnie światowej w Samarze). Giedroyciowi zwrócił uwagę na zdolnego dziennikarza zasiedziały już w Warszawie przedstawiciel „Diła” Iwan Kedryn (Rudnyckyj). I w ten sposób Ukrainiec

Kotorowycz został korespondentem sejmowym Giedroyciowej „Polityki”, a swoje felietony podpisywał literami – o ile się nie mylę – KTG. Szef pisma był mu zupełnie odległy, ale ten dystans młodemu adeptowi bardzo imponował. W Berlinie Kotorowycz wykonywał niezbyt chlubną funkcję. Był redaktorem pism dla jeńców wojennych: „Gazety Ilustrowanej” dla Polaków i „Nowej Doby” dla Ukraińców. Robił to, o ile sobie dobrze przypominam, z umiarem i bez wychwalania hitleryzmu. Miał zresztą jako cenzora docenta historii Kościołów wschodnich, pastora kościoła ewangelickiego, Stuppericha, przeciwnika reżymu nazistowskiego. Po wojnie został w Niemczech, wydawał tygodnik „Nedila”, współpracował z Radiem Wolna Europa.

I tak w 1950 roku poznałem tego mitycznego Jerzego Giedroycia. Pierwsze spotkanie było chłodne, tylko Czapski był serdeczny i wylewny. Za drugim razem nastąpił widoczny luz. Otrzymałem zaproszenie do Maisons-Laffitte (nie na pobyt, a na rozmowę). Wybrałem się w drogę w listopadzie 1950 roku. Zamieszkałem w hoteliku „Globe” przy rue Blanche, w okolicy paryskich przybytków płatnej erotyki. Pokój składał się z olbrzymiego łóżka, bez stołu i krzeseł, z sufitem-lustrem. Stamtąd wyruszyłem w szary, dżdżysty dzień do „Kultury”, na dość odległą ulicę Corneille. Drzwi otworzyła mi przystojna brunetka, a po moim oświadczeniu, kto i zacz, krzyknęła: „Jerzy, do Ciebie przyjechał pan Bohdan Osadczyk z Berlina”. Wkrótce zjawił się „szef”, trochę zakłopotany, a zaraz po nim Zygmunt Hertz, który zaproponował na przyjazd drinka. Potem była miła kolacja, przyszli Józio i Marynia Czapscy i zaczęło się ogólne obwąchiwanie osobnika. Wszyscy byli ciekawi, jak wyglądało życie w Berlinie w czasie wojny, co myśleli i mówili studenci niemieccy, jak to było z Włoso-
wem, jak się kończyła wojna i co robiła zwycięska Armia Czerwona. Zosia słuchała uważnie, z lekko przymrużonymi oczami, jakby badała, czy blaguję, czy mówię prawdę. Zygmunt Hertz aż się obliżywał przy szczególnie zabawnych historiach, jak na przykład, że mnie zarejestrowano w urzędzie pracy dzięki niemieckiej nazwie Kolomea na moje rodzinne miasto Kołomyję i orzeczono, że ta Kolomea leży we Włoszech, wobec czego jestem Włochem, a to mi po przyjeździe czerwonych wyzwolicieli uratowało życie. Albo o tym, że złodziejska mafia włoska, operująca w czasie wojny w Berlinie, zadekowana w restauracji „Firenze”, pragnęła mnie wysłać na studia do akademii dla międzynarodowych włamywaczy w Mediolanie na wydział jubilerski. Oferty nie przyjąłem ku zgorszeniu moich rozmówców, uważających, że zmarnowałem szansę mego życia.

Przy pożegnaniu usłyszałem od Pani Zofii, że to był przyjemny wieczór i „niech Pan częściej do nas przyjeżdża”. Po dłuższej przerwie postanowiłem skorzystać z zaproszenia. „Kultura” mieściła się już przy avenue de Poissy, całe domostwo wyglądało schludnie i za-
możnie, okolica, mimo ludnej, głównej ulicy, przyjemnie i elegancko. Odtąd zacząłem przyjeżdżać dosyć często, mieszkalem w oficynach, na pierwszym piętrze. Stałem się domownikiem. Wkrótce przeszliśmy na „ty” – oczywiście za wyjątkiem „szefa” i nieco sztywnego jego brata Henryka. Giedroyc z nikim się nie spoufalał i zawsze, mimo serdecznych stosunków – jak ze mną – utrzymywał wobec współpracowników dystans. A z drugiej strony nigdy nie podnosił głosu, nawet jak się kłócił o sprawy zasadnicze, nie zadzierał nosa, był uosobieniem demokratycznego arystokraty.

Jeśli Giedroyc był niepodzielnym księciem tej nieprawdopodobnej politycznej przygody, jaką była „Kultura”, a wraz z nią nieco później założone „Zeszyty Historyczne”, to Zosia była generalnym sekretarzem i główną ostoją tej przygody, która zmieniała bieg historii w naszym, od wieków skłóconym, regionie Europy. Dla ludzi postronnych, którzy nie mieli zielonego pojęcia, że było to sprawą kilku ludzi zajętych od rana do nocy i mniej więcej równie szczupłego grona współpracowników rozsianych po wszystkich nieomal kontynentach, a tym bardziej dla współczesnych pokoleń, fenomen „Kultury” jest i pozostanie tajemniczą zagadką. Ale kiedy się było wewnątrz „przedsiębiorstwa”, gdzie wszystko odbywało się bez redakcyjnego zgiełku, po cichu, jakby w konspiracji, chociaż taka nie istniała, wydawało się, że sprawy lecą same. I mało kto wiedział, że za tą prostotą kryła się żelazna wola i niesłychany upór „szefa”, sprawna organizacja i wręcz mrówczy trud Zosi, połączone przez wiele lat z operatywnością na zewnątrz Zygmunta Hertza i wewnątrz Henryka Giedroycia.

Zosia nie zajmowała się strategiczną linią „Kultury”, ale miała do tych koncepcji, które powstawały w mózgu Jerzego i w rozmowach ze współpracownikami z dziedziny publicystycznej, pełne zrozumienie, a nawet podziw. Była „wierzącą” w sprawę, w przeciwieństwie do męża Zygmunta, który – nie bez cienia zazdrości – po każdej mojej koncepcyjnej rozmowie z „szefem”, zapytywał w kpiącym tonie: „no i co, przerobiliście świat, obydwaj?”.

Tkwiąc po uszy w codziennej pracy redakcyjnej, korektorskiej i domowej, Zosia nie straciła kontaktu ze światem. Chętnie się wybierała do Paryża po zakupy i na obejrzenie wystaw, lubiła czasem zerknąć do eleganckiej restauracji, miała fason i smak. Ale głównym elemen-

tem jej życia było bezgraniczne poświęcenie, z jakim pracowała dla „Kultury” i „Zeszytów”. Z biegiem czasu rozwinęła polityczny instynkt i rozeznanie wobec skomplikowanych zagadnień współczesności i niedawnych dziejów Polski i jej sąsiadów. W ostatnich czasach bardzo cierpiała na skutek pogorszenia wzroku i związanych z tym trudności w czytaniu tekstów. Ale do końca życia zachowała poczucie humoru. Dla wszystkich, którzy ją bliżej znali, a dla mnie osobiście, i dla mojej żony, która ją bardzo lubiła i podziwiała, odejście Zosi w wieczność jest ogromną i bolesną stratą.

Iza Chruślińska

Zosia

„»Kultura« wypełniła mi życie” – wyznała w 1991 roku podczas rozmowy, jaką z Nią przeprowadziłam dla „Rzeczpospolitej”. Słowa te stanowią najtrafniejsze chyba motto Jej życia. Redaktor Jerzy Giedroyc twierdził, że bez niej nie byłoby „Kultury”. Myślę, że dla Zosi, choć nigdy tego nie powiedziała, słowa te stanowiły najpiękniejszy prezent w Jej długim życiu związanym z „Kulturą”.

* * *

Był 1986 rok, zimowy wieczór, jechałam na pierwsze spotkanie z Zofią Hertz. Zgodziła się na krótki wywiad dla radiostacji polskiej radia Deutschlandfunk, dla której wówczas pracowałam. Rozmowa wiązała się z 40. rocznicą powstania Instytutu Literackiego i wystawą otwartą z tej okazji w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Dom w Maisons-Laffitte, pomimo późnej pory, był wypełniony pracującymi w skupieniu ludźmi, przemykał się też pies, ostatni z rodu Blacków. Rozmawiałyśmy, jak potem wiele innych razy, w *jardin d’hiver*, bynajmniej nie w odosobnieniu. Co jakiś czas pojawiał się Redaktor oraz inne osoby z wąskiego grona pracowników „Kultury”. Zosia wówczas paliła jeszcze ogromne ilości papierosów i przez cały czas bawiła się pudełkiem czy zapalkami, a ja modliłam się w duchu, aby te odgłosy nie nagrały się na taśmę, ale nie odważyłam się tego powiedzieć. A przecież Zosia w zasadzie nie należała do osób, które onieśmielały, chyba że tego chciała. Z tego pierwszego spotkania pozostały mi w pamięci przede wszystkim jej roześmiane oczy. Była ciekawa ludzi, więc musiałam jej opowiedzieć również o sobie. Przez kilka następnych lat nasze kontakty były sporadyczne. Dopiero w 1991 roku wspomniany na wstępie wywiad dla „Rzeczpospolitej” stał się przełomem w naszych kontaktach. Rozpoczął nową dla mnie epokę, moją wielką przygodę z „Kulturą”, przede wszystkim jednak stał się początkiem przyjaźni z Zosią...

Kiedy robiłam z nią ten pierwszy wywiad, nie opuszczała mnie myśl o tym, jak wspaniale opowiada, jak wiele pamięta z historii Instytutu Literackiego i „Kultury”, ile ma do powiedzenia o ludziach z jej kręgu. Podczas autoryzacji zapytałam, czy nie zgodziłaby się na duży cykl rozmów, tak aby powstała ich wersja książkowa. Do dziś nie wiem, skąd wzięła mi się odwaga, aby Jej taką propozycję złożyć. Lojalnie dodałam, że mam niewielkie doświadczenie dziennikarskie, nie wydałam żadnej książki i mam świadomość, że to łączy się z pewnym ryzykiem. Ale Zosia, uśmiechając się, odpowiedziała, że choć miała wcześniej tego typu propozycje, na które z różnych przyczyn nie zgodziła się, taką próbę ze mną podejmie, a ryzyka się nie boi. Zaczęłam przyjeżdżać do Maisons-Laffitte prawie w każdy weekend, nasze rozmowy na potrzeby książki przeciągały się i zamieniały w gawędy na inne tematy – o życiu, o polityce, o rzeczach ważnych i mniej ważnych. Zostawałam do wieczora, przy okazji szukałam informacji potrzebnych do książki, przeglądałam stare numery „Kultury”, korespondencję redakcyjną. Wchodziłam w świat „Kultury” i jej ludzi, a Zosia była przewodnikiem. Także Redaktor. Każdy, kto był w Ich domu, wie, jak ważne były rozmowy podczas posiłków i popołudniowej herbaty. Bywało często tak, że Redaktor i Zosia byli w dobrej formie i opowiadali, często zaśmiewając się, zabawne historie, najczęściej z lat wojny i pierwszych lat „Kultury”. Redaktor wracał też do spraw sprzed wojny. Pamiętam jego wspomnienia dotyczące czasów, kiedy pracował w Ministerstwie Rolnictwa i jeździł po Polsce, wiele tych historii niezapisanych przepadło bezpowrotnie. Zosia z Redaktorem, każde w inny sposób, odkrywali przede mną również Polskę sprzed wojny. Bardzo lubiłam, gdy w weekend byli w domu wszyscy – Zosia, Redaktor, Henryk (Dudek) Giedroyc i Leda, jego żona. Wszystkich cechowało ogromne poczucie humoru.

Jeśli przyjrzeć się kolejom losów Zosi, trzeba powiedzieć, że była niesłychanie niezależna jak na czasy, w jakich przyszło Jej żyć. Miała, jak sama mówiła, trudne dzieciństwo i do wspomnień z czasów wczesnej młodości wracała niechętnie. Nie miała domu, rodzinnego ciepła, matka wcześniej zmarła, ojciec ułożył osobno swoje życie. Tułała się po ciotkach i rodzinach koleżanek. Wspominała te domy ciepło, mówiąc, że spotkało ją tam wiele życzliwości. Musiała się bardzo wczesnie usamodzielniać, na studia bez pracy nie było jej stać. Dopomógł przypadek, szczęśliwe spotkanie. Były nauczyciel spotkany na ulicy skierował ją do rejenta, który miał kancelarię notarialną w Łodzi. Zaczęła pracować, jednocześnie podjęła studia na UW, dojeżdżając

do stolicy. Mieszkała sama. Była wszystkiego ciekawa i już wówczas szalenie pracowita, nauczyła się pisać na maszynie, studiować dokumenty, zaglądała w różne sprawy, choć nikt tego od niej nie oczekiwał. Jej praca stawiała się coraz bardziej samodzielna, a rejent namówił ją do zdawania egzaminu na notariusza. Śmiała się potem, że traktował ją po zdanym egzaminie jak maskotkę, chwając się, że ma pierwszą w Polsce kobietę notariusza. Miała dużo przyjaciół, lubiła się bawić, sama wyjeżdżała na wakacje, latem nad morze, zimą do Zakopanego. Lubiła wspominać tamte przedwojenne czasy, pracę, bale, wakacje, spotkanie z Zygmuntem Hertzem. Nie wyczuwałam w jej wspomnieniach nostalgii czy tym bardziej rozgoryczenia, że ta szczęśliwa dla niej epoka zakończyła się we wrześniu 1939 roku bezpowrotnie. Po prostu cieszyła się, że miała możliwość takich doświadczeń i przeżyć. Bardzo długo, aż do śmierci Redaktora, najważniejszy dla Zosi był czas teraźniejszy.

Niezależna Zosia. Jak bardzo pozostała niezależna, widać również z listów Zygmunta Hertza do Czesława Miłosza. Niezależna również w małżeństwie. Jeszcze w czasie wojny była przekonana, że zaraz po jej zakończeniu wróci do Polski, i kłóciła się z Zygmuntem, który twierdził, że po doświadczeniach, jakie ich spotkały, chce spokoju, a może go znaleźć tylko na Zachodzie. Potem, po 1945 roku, role się zmieniły, przez pewien czas Zygmunt namawiał żonę do powrotu do Polski. Ale Zosia, już bardzo zaangażowana w pracę z Redaktorem, ani słyszeć nie chciała o powrocie, twierdząc, że po pracy w propagandzie w II Korpusie może ich czekać tylko więzienie, jeśli nie gorzej. Zosia była niezłomna – jeśli Zygmunt chce wracać, proszę bardzo, ale ona nie. Z tą niezłomnością Zygmunt, jak widać w listach, musiał w wielu innych wypadkach również się godzić. W listach pojawia się tęsknota Zygmunta za rodzinnym życiem, za innym wykorzystaniem jego możliwości niż w „Kulturze”. Zosia, dokonując swego wyboru, wiążąc swój los ze sprawą „Kultury”, nie miała wątpliwości co do jego celu ani tęsknot do innego życia. Zygmunt zaakceptował te wybory, przystosowując się do nich, nadając im swój własny sens. Ale wyboru dokonała Zosia... Była niezłomna w wierze w sens działań Redaktora i „Kultury”.

Kiedy dokonywała wyboru, robiła to z całym wewnętrznym przekonaniem co do spraw i ludzi, potem nie miała wątpliwości co do słuszności decyzji. Kierowała się w życiu jasnymi zasadami i świat oceniała według nich. To one, a także wspomniana przez Czesława Miłosza niesłyszana siła woli nie pozwoliły Jej załamać się w żadnej, najcięższej nawet, sytuacji. Ani w czasie, jak mówiła, najdłuższych Jej

i Zygmunta szesnastu miesięcy spędzonych w Republice Maryjskiej w Związku Sowieckim na przymusowych robotach przy rąbaniu lasów, ani w najcięższych dla „Kultury” czasach, braku pieniędzy, braku prenumeratorów, w obliczu zagrożenia w 1954 roku, że zostaną bez domu. Ani w obliczu śmierci Redaktora... Myślę, że również dla Redaktora ta siła woli, niezłomna wiara w sens tego, co wspólnie z garstką innych ludzi tworzyli, była ogromnym wsparciem. Może właśnie dlatego również myślał, że bez Niej nie byłoby „Kultury”...

Wobec wielu ludzkich słabości Zosia była bardzo wyrozumiała, nie wybaczała tylko nielojalności. Nie rozumiała natomiast zaangażowania w komunizm. Sama słabości zbyt dużo nie miała, największą były psy – spaniele, najpierw wychowała kilka pokoleń Blacków, potem Faksa. O ludzkich słabościach opowiadała z poczuciem humoru. O upodobaniach Jerzego Stempowskiego do chorób i próbach leczenia wszystkich dookoła, o roztargnieniu Józia Czapskiego i niezłomności Maryni Czapskiej w sprawach obyczajowych, co z upodobaniem lubił wystawiać na próbę Marek Hłasko. O nim i Agnieszce Osieckiej wspominała najczęściej. Miała w stosunku do nich najwięcej tolerancji, a także ciepła. Bardzo silnie przeżyła śmierć Osieckiej, a także jej ostatni wywiad telewizyjny, gdzie Agnieszka zwracała się bezpośrednio do Zosi.

Jeśli Agnieszka Osiecka, po czterdziestu latach znajomości z ludźmi „Kultury”, mogła powiedzieć, że ma w Maisons-Laffitte drugi dom, sądzę, że w znacznej mierze było to możliwe dzięki Zosi, która atmosferę domu tworzyła. Dane mi było wielokrotnie tę atmosferę odczuć. Kiedy w 1996 roku, po trzynastu latach życia w Paryżu, zdecydowałam się wracać do Polski, Zosia przyjęła mnie na ostatni paryski tydzień do swego domu. Spędzaliśmy te wypełnione rozmowami wieczory tylko we trójkę, my dwie i Redaktor. Czułam się w Maisons-Laffitte jak w domu, podobnie za każdym razem, kiedy przez następne osiem lat tam bywałam.

* * *

Ostatni raz widziałyśmy się w kwietniu. Była pogodna, oczy miała roześmiane, jak wówczas w 1986 roku, kiedy się poznałyśmy.

Renata Gorczyńska

Wybór Zofii

W pierwszych słowach mojego listu przesyłam Wam obojemu wiele dobrych życzeń na ten Nowy Rok, który nie zapowiada się najwspanialej – pisze Zofia Hertz do Janiny i Czesława Miłoszów w styczniu 1974 roku. – Od 22.12 miałam w domu stale dziesięć osób, w święto 17 na lunchu, który trwał godzin sześć, w niedzielę przed Sylwestrem – było tylko 11 osób, ale za to co godzina ktoś wpadał na chwilę i zostawał pół dnia. Doszłam do wniosku, że już nie mam na to sił. O pracy mowy nie było, bo kiedy, a to przecież najgorętszy okres roku: odnowienia, bilans, faktury, deklaracje, podatki itp., nie mówiąc o pracy zasadniczej, a jakby nie było, po *Variach* Gombrowicza wydaliśmy taką samą kobyłę Odojewskiego, która dopiero za dwa dni będzie ekspediowana, a w robocie mamy kończący się „Zeszyt Historyczny”, Twoje wiersze i jeszcze dwie książki, już w korektach, a następne w adiustacji, nie mówiąc o podwójnej „Kulturze”, a tu człowiek coraz starszy... aż dziwne!¹

Ta krótka relacja sprzed lat, dopisek do jednego z setek listów Zygmunta Hertza do Czesława Miłosza, oddaje w prostych słowach istotę życia Zofii Hertz: potężną i pozytywną energię. Jerzy Giedroyc był mózgiem fenomenu „Maisons-Laffitte”, ale codzienną siłą napędową była tam Pani Zofia. Charakteryzować ją należałoby nie za pomocą przymiotników, lecz czasowników, bo to one przekazują akcję i działania. Nawet obowiązków w tym świeckim zakonie czy kibucu (to określenia Zygmunta Hertza) zmuszał ją, osobę z natury szybką, taką, której robota paliła się w rękach, do stałego pośpiechu.

Gonię w ogóle resztkami sił i już tygodniami nie wychodzę z nory nawet do ogródka, który mimo przeciągającej się zimy tonie w bzach i konwaliach – donosi Zofia Hertz Miłoszowi w maju 1962 roku. – U nas było zupełne piekło, ale za to od naszego powrotu z urlopu w ubiegłym roku. To przejście na Instytut Literacki odbiło się przede wszystkim na mnie.

Ale i tak prześladowała ją stała wizja zaległości. Z tego powodu bywała wymagająca wobec wątego grona podwładnych. Ponieważ tyrała od rana do wieczora, spodziewała się i od nich wytężonej pracy. Jerzy Giedroyc był, jak wiadomo, nazywany pracoholikiem, ale była to również cecha Zofii Hertz. Sama o tym wspomina:

¹ Z. Hertz, *Listy do Czesława Miłosza 1952–1979*, Instytut Literacki, Paryż 1992.

Siadywaliśmy przy tym stole w *jardin d'hiver* późnym wieczorem, ja ślęczałam nad rękopisami, nad korektą, a on stukał w maszynę.

Z tymi korektami bywały kłopoty, bo to zadanie ponad miarę dla jednego człowieka. Uciążliwe, męczące, wymagające nadzwyczajnego skupienia, biegłości w zakresie ortografii i interpunkcji. Dodajmy do tego drukarnię francuską, gdzie o pomyłki w składaniu obcojęzycznych tekstów nietrudno. W liście do Janiny Miłosz z czerwca 1962 roku Zofia Hertz tłumaczy się z błędów, jakie zawierało pierwsze wydanie zbioru poetyckiego *Król Popiel i inne wiersze* oraz książka o Stanisławie Brzozowskim *Człowiek wśród skorpionów*:

[...] вина по naszej stronie jest bardzo niewielka. Mianowicie moja: że zamiast tytułu *Kroniki miasteczka Pornic* wydrukowano miasta Pornic. Tu mnie coś musiało paść na oczy, zresztą nie po raz pierwszy, bo o ile sobie przypominam, gdy wiersz był drukowany w „Kulturze”, była taka sama pomyłka. To złośliwość przedmiotów martwych, ale ten błąd, jak mi się wydaje, jest najbardziej zasadniczy. Gorzej jest naturalnie z poprzesztawianiem wierszy i wyrzuceniem całej strofy. Niestety, to zdarzyłoby się tak samo, gdyby Czesław zrobił nie jedną, ale nawet trzy korekty. [...] Drukarnia wskutek odejścia jednego z najlepszych metrampażystów, z przyczyn bliżej mi nieznanych, przyjęła jakichś zupełnych kretynów i stąd powstała ta cała historia, bo w ostatniej chwili wszystko im się pomieszało, gdy dawali na maszynę. [...]

Nie mniejsze komplikacje były przy Brzozowskim. Ja sama, po dwóch korektach Czesia, trzy razy czytałam tę książkę, a ponieważ tekst nie jest łatwy, więc sama rozumiesz, ile to było pracy. Dla odmiany pospadały im różne strony i czcionki się potłuły, tak że trzeba było w ostatniej chwili całe partie przeszkładać. [...] Klient francuski może się łatwo obrazić i pójść do innej drukarni, ale my nie możemy iść gdzie indziej, bo inne drukarnie nie mają w ogóle polskich czcionek ani linotypistów, więc gdzie indziej nie moglibyśmy się ukazywać. Jeżeli weźmiesz pod uwagę do tego, że robota jest coraz gorsza, a koszt druku wzrasta z miesiąca na miesiąc, to co Ci będę więcej pisać na ten temat.

Chwilami wytchnienia były wspólne urlopy z mężem, charakterystyczne dla osób ciekawych świata i tryskających energią: jazda samochodem „rzemiennym dyszlem”, jak to ujmował Zygmunt Hertz, czyli noclegi w ciągle innych miejscach. Oboje przynajmniej pięciokrotnie przemierz yli Hiszpanię, dotarli na grecką wyspę Rodos i brytyjską – Jersey. Lubili Włochy, a z regionów francuskich bywali w Bretanii, nad Loarą, na Wybrzeżu Lazurowym, na Korsyce. Pani Zofia wpadała czasami na kilka dni do Londynu odwiedzić tamtejszych przyjaciół. Wreszcie oboje w latach siedemdziesiątych wyprawili się w podróż po Stanach Zjednoczonych. Wraz z chorobą i śmiercią Zygmunta Hertza w 1979 roku te wyprawy się skończyły.

Drugą ulubioną formą odpoczynku stanowiły dla Zofii Hertz rozmowy. Była świetną interlokutorką. Opowiadała z bliskiem w oku

kapitałne anegdoty i tragikomiczne wydarzenia, które przytrafiły się jej samej czy licznym jej znajomym i przyjaciółom. A ponieważ oryginałów w tym środowisku nie brakowało, zgromadziła ich mnóstwo. Ale latem 2002 roku powiedziała w ostatnim z udzielonych mi wywiadów:

Przywykłam do pracy. Pracy? Raczej do codziennej orki. Przez dziesiątki lat ciągle czytałam, pisałam na maszynie, robiłam korekty. Od rana do głębokiej nocy. A teraz niszczy mnie choroba oczu, na którą nie ma lekarstwa. Na dalszą odległość widzę, i to całkiem nieźle. Jednak druk i pismo nie dają się odczytać. Dostrzegam pojedyncze litery, ale nie mogę ich scalić w wyrazy i zdania. One mi skaczą i przestawiają się w dowolne konfiguracje, linijki tekstu płaczą się i wiją. To katusze, stałam się analfabatką, bo nie mogę nie tylko czytać, ale i pisać [...]. Diagnoza jest prosta: starość. W tym domu tyle się działo, tyle było w nim ludzi, życia i energii, a teraz jest pusto.

W reakcji na jej skargę zgłosili się polscy konstruktorzy, twórcy komputerowego urządzenia do czytania w pięciu językach. Wystarczy poszczególne stroniczki książki czy pisma zeskanować, by po ich wprowadzeniu do pamięci komputera syntetyczny głos począł je monotonnie odczytywać. Ten rodzaj sztucznego lektora jest zrazu nieco trudny w odbiorze, bo trzeba nauczyć się jego obsługi i przywyknąć do usypiającego tonu, ale z pewnością ma wielkie zalety dla użytkowników z nieodwracalnymi wadami wzroku. Jest to również urządzenie kosztowne, którego cena rynkowa przekracza 10 tysięcy złotych, ale polska fundacja na rzecz niewidomych i niedowidzących wzięła to na siebie. Przed rokiem Pani Zofia otrzymała je od niej w darze. Nie umiem powiedzieć, na ile często z niego korzystała. Zostało jej już niewiele życia. Doskwierały jej inne choroby – artretyzm, niewydolność krążenia, częste zapalenia oskrzeli. Nie zносиła szpitali i zgadzała się na hospitalizację dopiero w krańcowych sytuacjach. Przed ponad dziesięcioma laty przeszła zawał. Z trudem dała sobie wtedy wyperswadować przewiezienie do szpitala w Maisons-Laffitte. Przez całe lata mnóstwo paliła, aż któryś z lekarzy skłonił ją w końcu do rzucenia papierosów. Twierdziła, że zrobiła to z dnia na dzień, bez najmniejszego trudu. Mimo że Jerzy Giedroyc palił do ostatka, nie dała się z powrotem wciągnąć w nałóg.

Z konieczności zdrowotnej, a nie z racji wieku, przeszła więc w stan spoczynku przekroczywszy dziewięćdziesiąt lat. To tak, jakby wskaźnikiem jej wieku emerytalnego była tabliczka z numerem posesji „Kultury”: 91. Wedle powszechnie znanych określeń była „prawą ręką Redaktora”, jego „adiutantem”, „pierwszą po Bogu”, „nieformalnym sekretarzem redakcji”. Chcąc nie chcąc, była także panią otwartego

domu, przez który przewalały się tłumy emigrantów, uchodźców, przybyszów z Polski i z każdego możliwego zakątka polskiej diaspory. Niektórzy wpadali na godzinę, inni zostawali na wiele miesięcy. Trzeba ich było żywić, poić, wysłuchiwać pijackich zwierzeń (Hłasko, Kisielewski czy Andrzejewski należeli do najbardziej uciążliwych lokatorów, ale to zaledwie czubek góry lodowej; Miłosz po uzyskaniu azylu we Francji prowadził na przykład z gospodarzami długie dysputy, wyzywając ich niekiedy od... faszystów), załatwiać kontakty, stypendia, wydanie książek. Wspomagać w chorobie, podpieierać w chwilach rozpaczy i zwątpienia, strzec przed tajniakami służb specjalnych, a nawet zając się ostatnią posługą, jak w wypadku Andrzeja Stawara.

Przez ten dom rzeczywiście przewinęły się tysiące ludzi. Czasami przyjeżdżały do nas całe rodziny, na przykład Sabbatowie, w drodze na wakacje – z czworgiem dzieci, z mamą Sulikową, z Sulikiem, i oni tutaj pokotem spali w śpiworach. Nie mieliśmy ich gdzie pomieścić – wspominała w wywiadzie z 1999 roku².

Wzbudzała podziw, ale niekiedy i lęk ze względu na cięty język, ostry dowcip, wyraźne sympatie i antypatie. Nie znosiła dwulicowości, biadolenia, artystowskiej pychy i egocentryzmu. Ceniła lojalność i rzetelność, autoironię, poczucie humoru. Fama głosiła, że nie przepadała za kobietami. Jeśli jest w tym odrobina prawdy, to raczej nie znosiła pewnych babskich cech – czułości, rozlazłości, pysznienia się mężem-artystą, skłonności do obmowy i intryg. Pani Zofia potrafiła być w takich razach szczerą aż do bólu i wyrabac prawdę prosto w oczy; ta jej cecha charakteru była wyrazista od młodości. Opowiadała mi, co się działo wskutek konfliktu w II Korpusie, już we Włoszech, gdy Jerzy Giedroyc był dyrektorem wydawnictw i czasopism wojskowych, a ona jego sekretarką:

Mnie też wyrzucili – kopnięciem w górę. A mianowicie zostałam nagle [...] kierownikiem naszej drukarni polowej. Więc mówię do nowego szefa, który zastąpił Jerzego: „Proszę pana, ja się przecież na tym nie znam. Mamy doskonałego drukarza, pana Kowalewskiego”. „Pani jest zdolna, to się pani naucz”. „Może się i nauczę, ale po co, skoro tamten...”. „Nie, nie, to bardzo dobre zajęcie, będzie miała pani samochód do dyspozycji”. Przetrwałam tydzień, potem mnie wylali. Zresztą bardzo tego chciałam, bo to był nonsens zupełny.

Wtedy skierowano mnie do Biura Oszczędności Żołnierzy Wojska w Basenie Morza Śródziemnego, czyli takiej kasy oszczędnościowej, gdzie zgłaszali się żołnierze i wpłacali drobne sumy po wypłacie żołdu. Przepracowałam tam ze dwa miesiące. Umierałam ze śmiechu, gdy przez pokój, w którym siedziałam, przewijali się oficerowie, wchodząc do kierownika. Ciągłe wymieniali pieniądze, bo chcieli kupić złote funty. A ja wszystkich znałam, bo pracowałam przecież w sztabie. Oni się do mnie zwracali: „Dzień

² Zamieszczonym w mojej książce: *Portrety paryskie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1999.

dobry, pani Zosiu, co pani tu robi?”. A ja z głupią miną odpowiadałam, że pracuję. „A dlaczego?”. „Jak to, dlaczego? Zostałam przeniesiona”.

Tam było sześciu buchalterów w zarękawkach, podoficerowie. Mieli liczydła, pióra ze stalówkami, moczyli je w kałamarzach i pisali. Gdy się tam pojawiłam, od razu zażądałam, żeby dano mi coś do roboty. „Pani ma ładny charakter pisma?”. „Wspaniały”. Wobec tego wręczono mi listę ludzi, którzy wpłacali po parę funtów. Miałam wpisać ich nazwiska i sumy do wielkich ksiąg, gdzie rejestrowano stan ich kont. Spojrzałam na kartkę i zobaczyłam, że brakuje na niej czterech żołnierzy na „A”, pięciu na „B”, i tak dalej. Po piętnastu minutach skończyłam i zaczęłam domagać się kolejnego zająęcia. Sierżant na to: „Jak to nie ma pani co robić? A te wpisy?”. „Już je zrobiłam”. „Niemożliwe”. „To niech pan sprawdzi”. Po kilku dniach powiedziałam: „Jeśli zostanę tu jeszcze miesiąc, to wszyscy stracie pracę”. No bo co miałam robić? Dłubać w nosie? Ale któregoś dnia przechodzi obok pewien pułkownik, mój dobry znajomy, i też się ze mną wita. Na ten widok jeden z tych buchalterów nie wytrzymuje i zagaduje mnie: „Andersa też pani zna?”. „Znam”. „Jak to? Rozmawiała pani z nim?”. „No naturalnie”. „Pani kłamie”. „Dlaczego?”. „Bo jak by go pani знаła, to by pani tu nie siedziała...”

Opowiadała barwnie, ze swadą i śmiechem. Konstanty Jeleński żartobliwie nazywał Zygmunta Hertza Sancho Pansą, a Panią Zofię – Don Kichotem. O ile pierwsza część tego porównania jest trafna, o tyle z drugą jakoś nie potrafię się zgodzić. Tym bardziej że istniał już jeden Don Kichot w falansterze Maisons-Laffitte – Józef Czapski, który, zdaniem Zofii Hertz, „poruszał się na swoim rowerku jak na Rosynancie”. Bohater Cervantesa był przecież romantycznym niezgulą, oddanym wzniosłym uczuciom, gdy tymczasem Pani Zofia była trzeźwą osobą, mocno stąpającą po ziemi. I nie dała sobie w kaszę dmuchać.

Z początku kartę pobytową [we Francji] trzeba było przedłużać co trzy miesiące. To była taka harmonijka, dokument podróży. Rok później, pod koniec stycznia 1949 roku, wybierałam się po raz pierwszy do Londynu. W tym celu musiałam się zaopatrzyć w wizę wyjazdową z Francji, wjazdową do Anglii i powrotną do Francji. Strasznie dużo papierów. Musiałam więc pojechać do Wersalu, do naszej prefektury, i tam prosić o niezbędne dokumenty.

Urzędniczka była bardzo uprzejma, kazała mi wypełnić formularz, dała pokwitowanie i obiecała, że za tydzień dostanę wizę... No, dobrze. Wracam po tygodniu, z monetami w rękę na znaczki skarbowe, wręczam jej karteczkę. Ona z nią gdzieś znika, wraca i mówi: „Pani tego nie dostanie”. „A dlaczego?”. „Bo pani okłamała administrację państwową”. Dosłownie tak powiedziała! „Ja okłamałam administrację?! Jak to?”. „Proszę pani, a kto mieszkał w hotelu takim to a takim na rue des Ecoles?”. To było półtora roku przedtem. Mówię więc: „Ja”. „No a co pani napisała, że kiedy pani przyjechała do Francji? Czwartego marca 1948 roku, przecież to nieprawda”.

A to była prawda. Bo przyjechałam tu jako żołnierz i wtedy nie podlegałam administracji francuskiej, lecz wojsku. Dopiero dzień mojej demobilizacji był formalną datą pozostania we Francji. A ona na to: „A pani co robiła w czasie wojny?”. „Służyłam w wojsku” – mówię. „W jakim wojsku?”. Szlag mnie dosłownie trafił, ale odpowiadam: „U generała Andersa, jeżeli pani o nim słyszała”. A ona na to: „U generała Andersa? To ja pani dam wizę”. Okazało się, że wbrew moim podejrzeniom nie była komunistką.

Ten dom miejscowi Francuzi nazywali *La maison des Polonais*. Jerzy Giedroyc wspomniał w jednym z wywiadów ze mną:

„Kultura” funkcjonuje dlatego, że jest małym, bardzo zgranym zespołem. Nie tylko się razem pracuje, ale mieszka, sprząta, gotuje.

Brzmi to prawie jak sielanka, ale istnieje i druga strona medalu: nie ma strefy wydzielonej na życie prywatne i życie zawodowe. Nie oddziela ich ani przestrzeń fizyczna, ani czasowa. Jest to życie w izolacji, na wyspie, w zamkniętym układzie. Właściwie bez możliwości emigracji gdzie indziej. Zygmunta Hertza gnębiły niekiedy stosunki domowe:

Wystawiony zostałem na boczny tor, doskonale zarośnięty trawą. Jerzy chce być wszystkim, o wszystkim decydować.

I dalej zwierza się ze swoich zgryzot w liście do Miłosza z 3 marca 1965 roku:

Zosia jedzie jutro na dwa tygodnie do Crans pod Montaną w Szwajcarii. Odsapnie. Podziwiam jej zapał, że jej się ciągle chce, a przecież jest inteligentną kobietą i na pewno doskonale orientuje się w tym wszystkim razem. Myślę, że gdybyśmy wsadzili cały ten wysiłek od 1946 roku w co innego, mielibyśmy zapewniony dalszy ciąg, tj. okres bardzo siwych włosów, bardzo złej wątroby i wędrujących bólów reumatycznych. A tak dwa razy nic. A może po to, aby paru facetów w okularach robiło prace doktorskie? Ważne, ale nie za bardzo. Do tarcia chrzanu wszystko razem!

Bodaj najwięcej niewesołych refleksji Zygmunt Hertz zawarł w liście do Miłosza niedługo przed swoją sześćdziesiątą rocznicą urodzin, przebywając na kuracji zdrowotnej pod Padwą:

Trzydzieści [lat] przeżyte dobrze i wygodnie, ta połowa nie narzeka, osiem lat dziwnych. Pierwsze dwa w strachach przed aresztowaniem i wywiezieniem, i na deportacji. Potem bezsensowne wojsko pięć lat – przydział życiowy, Towarzystwo żłobów, sytuacja zająca, którego bały się żaby – ja się „bałem” moich zwierzchników, mnie się „bali” moi podwładni. Życie aż nadto towarzyskie, zawsze z kimś, zawsze ktoś obok. Od 1947 roku Instytut Literacki. Jak się go zakładało, była ta baza wojska, czegoś stałego, pewnego, podświadomie myślałem, że zawsze będzie można zapotrzebować samochód z Transit Campu, gdzie była baza samochodowa, pojechać do NAAFI i przywieźć whisky i papierosy.

Potem Paryż czy Maisons-Laffitte. Park. Bieda, kolektyw klasztorny, palenie w piecach, wiejskie życie „ku chwale ojczyzny”. Potem ta zbiórka na dom na avenue Poissy. [...] A więc dobrze, że to było, że istniał dom w parku i ten drugi, nowy i własny. Wysłała spora ilość dobrych książek, dużo materiałów do prac habilitacyjnych z lat pięćdziesiąt i wwyż.

Była awionetka, na której lądował Ty, Stawar, Hłasko, było miejsce noclegowe, koryto dla setek ludzi, było jakieś połączenie na wydojenie pieniędzy dla tych ludzi, była trampolina dla Gombrowicza, było zgalwanizowanie Straszewicza. To wszystko,

mimo rozmaitych trudności i „powątpiewań”, bardzo ważne. Społecznie użyteczne. [...]

To są te plusy.

Ale przecież każdy w pierwszym rzędzie myśli o sobie – mam sześćdziesiąt lat i co dalej? [...] Jak Ci pisałem, nie potrafiłbym żyć w izolatorze, a właściwie Maisons-Laffitte jest dla mnie czymś w tym rodzaju. Nie chcę, to nie miałoby sensu, żebym przekonywał Zosię, że właściwie cacy-cacy, ale u Boga ojca, gdzie jest jej i moje miejsce w tym „interesie”? Że poświęcanie całego wysiłku i przekreślenie życia osobistego w imię dość problematycznego ideału nie ma wielkiego sensu. Stanie wtedy przed pustką, w jakiej ja jestem. Więc po co?

Jak wyraźnie wynika z tekstu, Zygmunt Hertz nie ujawniał tych czarnych myśli żonie, która poznała je dopiero w chwili robienia korekty edycji książkowej listów, a więc dwanaście lat po jego śmierci. W owych latach nastąpiło wiele zmian, których Hertz już nie doczekał. Potwierdzały one wybór Zofii: oddanie dla sprawy wolności Polski, poświęcenie życia prywatnego sprawom społecznym, nigdy niekwestionowana lojalność wobec koncepcji Jerzego Giedroycia. Niemniej, by nie brzmiało to zbyt wzniośle, po 1989 roku spotkało ją wiele rozczarowań: w makroskali groźne w skutkach meandry polskiego życia politycznego, odradzanie się różnych form szowinizmu i nietolerancji, afery i oszustwa na wielką skalę, a w płaszczyźnie bardziej osobistej – wypadki skrajnej nielojalności ze strony niektórych dawnych przyjaciół i popleczników, lekceważenia roli „Kultury” (przy równoczesnym wyróżnianiu jej twórcy licznymi doktoratami honorowymi), spadek zainteresowania dorobkiem Instytutu Literackiego, wreszcie brak środków finansowych na dalszą działalność wydawniczą i archiwalną w Maisons-Laffitte. Niemniej, zgodnie ze swoim wyborem, Zofia Hertz do końca pozostała wierna raz powziętym zobowiązaniom, po śmierci Jerzego Giedroycia pracując ręką w rękę z jego młodszym bratem, Henrykiem.

[...] trwają przygotowania do edycji kolejnych tomów korespondencji Jerzego z Mieroszewskim, z Weintraubem, z Parnickim, z Miłoszem. Poza tym wyjdą wybrane jeszcze przez Jerzego dwie księgi jego korespondencji z Krajem oraz z Emigracją – wyliczała podczas ostatniej naszej rozmowy, latem 2002 roku. – Tyle jest jeszcze do zrobienia.

Zygmunt Hertz w jednym z listów do Miłosza, pocieszając poetę w zgryzocie emigranckiej, zastanawia się, że życie jego i żony mogło się potoczyć zupełnie inaczej. Oboje z zesłania pod Uralem mogli przecież nie dotrzeć do Buzułuku do Andersa, lecz przyłączyć się do armii polskiej pod egidą sowiecką, dojść z nią do Berlina, osiąść

potem w Polsce, trzymać ze starymi towarzyszami broni, dla świętego spokoju zapisać się do partii i jakoś żyć w PRL-u...

* * *

Choć od stycznia 1940 roku nigdy już więcej nie była na terytorium Polski, była zorientowana w niuansach krajowych jak mało kto. Jej żywiołem byli ludzie. Z lektur i z bezpośrednich rozmów przenikliwość pomagała jej w wyłowieniu z masy szczegółów spraw najważniejszych. Znała kolejne fale dowcipów politycznych; najcelniejsze z nich ogłaszała w redagowanej przez siebie rubryce „Kultury”.

Zasługi? Zaszczyty? – „Kiedyś było się wrogiem numer jeden i pamięta się, jak pluli na nas”.

Przez długie lata śmierć łaskawie omijała dom przy 91 avenue de Poissy. Najpierw zabrała Zygmunta Hertza. Potem Marię Czapską. Potem Józefa Czapskiego. Wreszcie Jerzego Giedroycia. Po nią przyszła na koniec.

Życie Zofii Hertz było stężoną kroplą bytu. Chwała jej za wszystkie dokonania, którym towarzyszył niekiedy ironiczny, niekiedy zwycięski uśmiech i błysk w oku. Bez martyrologii i patosu.

Józef Czapski

Zygmunt

W naszym domu „Kultury” pierwsza trumna. Śmierć Zygmunta Hertza. Współzałożyciel „Kultury”, towarzysz najbliższy, nieustannie aktywny od pierwszego dnia jej powstania. Przecież prawie trzydzieści lat przeżyliśmy z nim pod jednym dachem, a od iluż dawniej wiązały nas wspólne wędrówki od Buzułuku po Bliski Wschód i Włochy.

Po słowach wypowiedzianych przez księdza Sadzika w kościele, skąd Zygmunta wyprowadziliśmy dumnie i ze łzami na cmentarz, po słowach o dobroci Zmarłego, każdy z nas by chciał te słowa właśnie od siebie powtórzyć. Wszyscy jakby teraz dopiero naprawdę zrozumieli, kogo tracą, kim był ten wciąż w ruchu, wciąż czymś czy kimś przejęty przyjaciel i łącznik tylu przyjaciół.

A przecie pomimo pozoru nie był On człowiekiem łatwym, choć pełnym humoru, wspaniałej żywotności, miał On umysł odruchowo krytyczny, lubić opukiwać, demaskować nasze łatwe zachwyty czy nie dość przemyślane plany lub bronić zajadle niedocenionych.

Jego dobroć nie była taka jak wszystkich, bo łatwo jest być dobrym dla paru najbliższych, ale krąg Jego przyjaciół i znajomych którzy mu coś zawdzięczali, był tak bardzo rozległy. Gdzie był ten, którym nie był gotów aktywnie się zainteresować?

Nie tylko dobroć – ale n i e o b o j ę t n o ś ć była cechą zasadniczą jego natury, żywa ciekawość, potrzeba natychmiastowej partycypacji wzbogacała nasze z nim stosunki, nigdy zdawkowe, bo żywe, polemiczne, wymagające.

Pomimo wszystko co przeszedł, a może dlatego właśnie, miał do ostatnich tygodni tak żywą wolę życia, która nawet w ciężkiej chorobie go nie opuszczała.

Kiedy dziś przechodzę koło półprzymkniętych drzwi jego pokoju, zdaje mi się, że nawet ten pokój tak bardzo go wyraża. Ściany zawieszane obrazami jego przyjaciół, kolekcje medali i pamiątki z całego świata mu nadsyłane, meble nieliczne, ale jakże zadbane, świecące aż po kolorowo malowaną skrzynię, aż po zwykłe okno, które Jan Leben-

stein przemienił w bardzo kolorowy, pełen dziwnych postaci wesoły witraż.

Zygmunt chciał i umiał żyć; w tak częstych z Polski i ze świata odwiedzinach przyjaciół „Kultury” jak wielu odwiedzało ten dom dla niego czy przez niego.

Po Jego odejściu dom nasz będzie cichszy i smutniejszy, nikt Go nie potrafi zastąpić.

Czesław Miłosz

Był raz...

Zygmunt, buczący trzmiel, szukający słodczy życia, i demonizm tzw. wielkich historycznych wydarzeń: trudno pogodzić jedno z drugim. Wychowywał się w Polsce lat dwudziestych, kiedy nic prawie z tego, co miało nastąpić, nie wydawało się możliwe. Pochodził z zanego domu i przypuszczam, że ci, którzy go znali przed wojną, widzieli w nim sporo cech właściwych rozpuszczonym jedynakom z patrycjuszowskich rodzin. Przystojny, w miarę zamożny, ubierający się u dobrych krawców, bywalec kawiarni i dansingów, towarzyski, lubiany pewnie uchodził za typowego złotego młodzieńca, choć jego światły i wykształcony ojciec, działacz społeczny w Łodzi i po trosze literat, zaraził go miłością do książek. Po studiach i służbie wojskowej w podchorążówce artylerii Zygmunt został urzędnikiem firmy Solvay sprzedającej sodę kaustyczną. Przyzwoicie zarabiał, kupował samochody, podróżował, żył. Poznał młodą absolwentkę prawa, która już wybiła się jako wyjątkowo zdolny referent notariatu, i ożenił się. Zosia była śliczna, a przy tym uroda szła u niej w parze z niezwykle zaletami charakteru, na czym Zygmunt chyba od razu się poznał. Był bystry, wrażliwy i, myślę, zupełnie pogodny, a więc wolny od wyrzutów sumienia: że on ma tyle z dóbr ziemskich i szczęścia, a inni nie mają. Jego sceptycyzm i jakby przyrodzony liberalizm uzbrajały go i przeciw rozmyśleniom dogłębnym, i przeciw ideologiom naszego stulecia. Od polityki stronił, człowiek prywatny z powołania i upodobań.

Kiedy dwa totalitarne państwa zawierały pakt Mołotow–Ribbentrop, zaopatrzony w klauzulę o podziale łupu i rozpętyjący drugą wojnę światową, Zygmunt miał lat trzydzieści jeden. Podział został przeprowadzony i w wyniku oficjalnego hasła: *Nikakoj Polscei nikogda nie budiet* – około półtora miliona obywateli polskich zostało deportowanych w głąb Rosji. Wśród nich Zygmunt z żoną, oboje do Maryjskiej Autonomicznej Republiki, żeby tam ścinać las. Żywot drwali często miał powracać w rozmowach Zygmunta. Skierowany w północne lasy konwój obywateli państwa, które przestało istnieć, zastał tam zwały drzewa leżące od lat z powodu braku transportu i już zbutwiałe,

podobnie jak zbutwiały już szczątki tych, którzy to drzewo wyrąbali, kubańskich kozaków, co niezbyt radośnie nastrajało nowo przybyłych.

Kiedy poznałem Zygmunta w 1951 roku, miał za sobą exodus z armią Andersa, Iran, Irak i kampanię włoską, po czym zdemobilizowany porucznik artylerii Hertz przyłączył się do trzyosobowego zespołu, który w Rzymie założył dom wydawniczy zwany Instytutem Lite-rackim, a popularnie, od nazwy jego pisma, „Kulturą”, przeniesiony wkrótce do Maisons-Laffitte pod Paryżem. Oczywiście nie mam tu zamiaru pisać dziejów „Kultury”, ale kilka spostrzeżeń wydaje się niezbędnych. Czas jest wrogiem naszych prób utrwalania rzeczywistości, bo nakłada ciągle nowe warstwy na warstwy już zastane, tak że nieunikniona jest projekcja wstecz. Wielki strach w Polsce 1951 roku wy-myka się już wyobraźni, ale powody jego łatwiej zrozumieć niż fazę, jaką przechodził wtedy duch zachodnioeuropejski, w każdym razie paryski. Duch ten, jeżeli wierzyć jego wyposażonym w pióra rzecz-nikom, pogrążał się w egzystencjalną melancholię z powodu straconej okazji, tj. dlatego że zachodnia część kontynentu została wyzwolona przez niewłaściwą, czytaj kapitalistyczną, armię. Nieliczni, prze-bąkujący, że może to i dobrze, byli tępieni jako amerykańscy agenci, poddawani towarzyskiemu ostracyzmowi, a także włączeni po są-dach. Odbывał się właśnie proces Davida Rousseta, byłego więźnia hitlerowskich obozów koncentracyjnych, autora książki *L'Univers concentrationnaire*. Miał czelność gdzieś napisać, że w Rosji też są obozy koncentracyjne, stąd proces o oszczerstwo (nie pamiętam, na jakiej akrobatycznej zasadzie prawnej zmontowany), wytoczony mu przez „L'Humanité”. W tych warunkach emigracyjne pismo „Kultura” było najzupełniej izolowane, czyli żadnego podobieństwa do sytuacji emi-grantów po roku 1831, kiedy to duch europejski ich witał jako obroń-ców wolności – więcej to nieraz ważyło niż nieprzychylność rządów. W naszym stuleciu dopiero z końcem lat pięćdziesiątych, a tak na dobry ład dopiero w latach sześćdziesiątych, nastąpiło zdjęcie tabu, tj. niechętnie przyznanie, że emigracyjne pisma nie muszą być meli-nami łajdaków, faszystów, agentów i że ich współpracowników można nawet zapraszać do domu.

I oto Zygmunt w sytuacji przymusowo heroicznej, dlatego po pro-stu, że wbrew swojej chęci odbył kształcące wyprawy i teraz mógł tylko wzruszać ramionami nad błazeństwem i hańbą europejskiego umysłu przechadzającego się po bulwarze Saint-Germain. Dlatego też że podczas gdy inni tego rodzaju bywalcy cichutko zajęli się na nie tak znowu najgorszym Zachodzie robieniem pieniędzy, został członkiem

zespołu najoczywściej służącego niepraktycznym celom. Co gorsza, on, tak prywatny, tak lubiący mieć swoją własność i swoje własne drogi, trafił do komuny. Słowo to obrosło w tyle znaczeń, że może lepiej zastąpić je innym: falanster. Nie zmieni to faktu, że „Kultura” była przedsięwzięciem szalonym, które z braku pieniędzy mogło istnieć tylko, jeżeli jej zespół mieszkał razem, jadł razem i razem pracował, dając każdemu wedle jego skromnych potrzeb, nie więcej. Zygmunt, jak się domyślam, wiele razy odczuwał pokusę odejścia. I zważywszy na jego talent obcowania z ludźmi, znajomość języków, energię, pracowitość, powiodłoby mu się wszędzie, za co by się wziął. Ale zrobił inwestycję uczuciową. Dziw nad dziwy, komuna czy falanster, czy kołchoz, wspólnota „Kultury” miała przetrwać dziesiątki lat.

Początki naszej przyjaźni. Więc ów pierwszy dom „Kultury”, wynajmowany przez nią przy avenue Corneille *pavillon* wielkiej brzydoty i niewygody, i chłód podparyskiej zimy, na który niezbyt pomagały pękate *chaudières* ładowane węglem, i ta dzielnica ciągnących się kilometrami kasztanowych alej, zwały suchych liści i razem coś z dziewiętnastego wieku w Twerze czy Sarajewie. Tam to Zygmunt został świadkiem moich bynajmniej nie urojonych cierpień, a gdyby ktoś powiedział, że człowiek upokorzony cierpi z własnej winy, bo słusznie mu się kara za pychę należy, dotkliwosci przez to nie ubędzie. Zacząłem przy avenue Corneille pisać *Zniewolony umysł*, ale nie było w nim pytań najprostszych, których co prawda zwrócić nie było do kogo. Jeżeli jak długo byłem po tamtej stronie, korzystałem nie tylko z materialnych, także moralnych przywilejów, na jakiej niepojętej magicznej zasadzie zmieniłem się, uciekając stamtąd w indywiduum podejrzanego dla wszystkich? Bo przecie tam wystarczało nie być z nimi na sto procent, ogłosić *Traktat moralny* (dysydencki, jak by dziś powiedziano) i zajmować się tłumaczeniem Szekspira, żeby uchodzić za przyzwoitego człowieka. I drugie, może zresztą to samo, pytanie: Czy zwierzyzna ma prawo uciekać z lasu, który zmienił właściciela? Duch europejski miał co do tego wyrobioną opinię i stał na straży z dubeltówką, ów duch europejski ucieleśniony w moim Paryżu Éluarda, Aragona, Nerudy, z którymi jeszcze niedawno spijałem trunki. Ponieważ Zygmunt znał także moje nędzne finanse i powikłania wizowe, z których powodu przez trzy lata miałem być rozłączony z rodziną, oceniał moją sytuację jako okropną. Czule opiekował się mną, pilnował, a kiedy wyjeżdżałem do miasta, dbał, żebym miał parę franków na śniadanie i papierosy. Wtedy, przyjmując te dary, byłem zbyt zajęty swoim zmartwieniem, żeby dary zaraz ocenić, ale nie zapominałem

o nich, skoro później całe lata w moim przywiązaniu do niego było wiele zwykłej wdzięczności.

Zygmunt już wtedy był tłustoch, ale krwisty, dobrze nabity ciałem, zdrowy. Żarłok, smakosz, pijus, a nade wszystko gaduła, uosobienie jowialnego humoru i towarzyskiej pasji. Mówię: pasji, bo miał jakby wbudowany radar kierujący go niezawodnie do ciepła obcować z innymi, do śmiechu, plotki, anegdoty, opowieści. Samotność byłaby dla niego nie do zniesienia. I sam tak promieniował ciepłem, że dogrzewał w ponurym domu przy avenue Corneille, czego nie mogły dogrzać piecyki. Często mnie irytował nadmiarem: coraz to zaglądał do zakopconego moimi papierosami pokoju bibliotecznego, gdzie mieszkalem i pisałem, siadał i zaczynał rozmowę; jej chęć była silniejsza niż postanowienia, żeby nie przeszkadzać.

„Czesiu, nie mów, powiesz głupstwo. Napisz”. Ta rada Zygmunta, którą często sobie później powtarzałem, była trafna, a odnosiła się do mego złego obyczaju wygłaszania skrajnych i rażących sądów z samej przekory. Szczególnie miała zastosowanie do moich, wówczas wcale nie najbardziej harmonijnych, stosunków z „Kulturą”. Bo jednak byliśmy tworamami nie tak samo naznaczonymi czy urobionymi i przy naszym spotkaniu, na przecięciu różnych orbit, nie obywało się bez zadrażnień, za co odpowiedzialność ponosiły w znacznym stopniu moje prowokacje. Zygmunt, jak wskazuje jego rada, nie dawał się nabrać, bo pomiędzy moją mową mówioną i pisaną rozróżniał. Do pierwszej odnosił się z tolerancją, drugiej ufał.

Nie traktowałem wtedy Zygmunta jak przyjaciela, którego się wybiera, z którym powinno się mieć intelektualne porozumienie. Był dla mnie raczej jak koledzy szkolni wyznaczani nam bez naszego udziału. Do talmudycznych rozcinań włosa na czworo szukałem innych partnerów. Bo Zygmunt był dla mnie zachowanym okazem przedwojennego inteligenta uformowanego przez „Wiadomości Literackie”, „Cyrulika”, „Szpilki”, z filozofią, której przewodził Boy i Słonimski z „Kronik Tygodniowych”, a ja miałem za punkt ambicji wyrwanie się z Polski przedwojennej, w jej obu odmianach, liberalnej i „narodowej”. A jednak, jak jeszcze raz się okazało, przyjaźnie i miłości intelektualne przybierają nieraz dramatyczny obrót, natomiast te inne, oparte na trudniej uchwytnych porozumieniach, bywają trwalsze. A nie staliśmy przecie w miejscu, zmienialiśmy się, i ja, i Zygmunt, w sposób, myślę, który nas zbliżał.

Progami, na których można rozbić się, są w życiu każdego kryzysy tożsamości. Wiedzieć, kim się jest, jaką przyjmuje się rolę i wobec ja-

kiej, choćby niedużej, grupy ludzi, jak jest się widzianym przez innych: w tym wszystkim zawód ma miejsce wybitne, jeżeli nie kluczowe. Dla tego też nigdy nie doradzałem emigrowania z Polski osobom już wciągniętym w niektóre zawody, na pewno nie literatom i aktorom. Sam przecie musiałem zmienić zawód i zgodzić się, że w oczach mego otoczenia będę tylko profesorem uniwersytetu. Zanim to nastąpiło, zebrałem sporo ciekawych doświadczeń. I nie przeszkody są tutaj istotne, choć na pewno było mi przykro, kiedy młody paryski autor, którego mi polecono jako tłumacza, powiedział wręcz, że chętnie by mnie tłumaczył, ale gdyby to zrobił, nic nie mógłby swojego wydrukować, bo „oni” kontrolują literackie pisma. I ileś lat po tym śmiech pusty mnie ogarnął, kiedy dowiedziałem się, że wielki, sławny dom wydawniczy paryski dał moją nową książkę (*Rodzinna Europa*) do oceny partyjnemu literatowi z Warszawy: to prawie lepiej niż policja francuska dziewiętnastego wieku zbierająca w carskiej ambasadzie informacje o emigrantach. Ale nie przesadzajmy z przeszkodami. W 1953 roku na konkursie Prix Européen w Genewie reprezentowałem Francję, choć przecie jury francuskie wiedziało, że mój maszynopis jest tłumaczeniem z polskiego. Sukces dopiero mnie przestraszył: bo wtedy uświadomiłem sobie, że pisząc dla cudzoziemców, nie wiem i nie będę wiedział, kim jestem, i że z moją francuską karierą trzeba skończyć. Te przygody nie mogły nie obniżyć moich aspiracji. Wybierałem mój język, na szerokim świecie nieznany, czyli rolę poety, jak to nazywał Zygmunt, Nadwiślanii.

Zważywszy na te moje przygody, mogę w skrócie przedstawić wielkie walki wewnętrzne Zygmunta, tak jak je obserwowałem i przez co czułem coraz więcej dla niego szacunku. Ci, którzy biorą do ręki roczniki „Kultury” i książki wydane przez Instytut Literacki i którzy będą je brać do ręki w przyszłości, powinni pomyśleć chwilę o garnkach kuchennych, o przygotowywaniu śniadania, obiadu i kolacji przez te same trzy-cztery osoby odpowiedzialne za redakcję, korekty i ekspedycję, o zmywaniu, o zakupach, na szczęście we Francji łatwych, i pomnożyć liczbę tych i podobnych domowych zajęć przez liczbę dni, miesięcy i lat. A także o sznurkach, papierze pakowym, o dźwigniu, noszeniu, nadawaniu przesyłek na pocztę. Kryzys tożsamości Zygmunta nie był bez związku z jego dawnym rozpieszczeniem, to znaczy z niechętnym wyzbywaniem się własnowoli. Gdyby miał skłonności do wyrzeczeń, gdyby był fanatykiem idei, łatwiej wchodziłby w skórę zarządcy, kuchcika, ekspedytora i tragarza. Ale jego stosunki z ideami zawsze były mało kordialne. Absolutnie uczciwy,

lojalny otwierał się tylko na ludzi, nie na dalekosiężne zamierzenia, dla niego abstrakcje. Kim powinien byłby być, jak wyobraziliby go sobie jego znajomi, a może on sam? Dyrektor wielkiego, sprawnie działającego przedsiębiorstwa, kilka telefonów na biurku, sekretarki, konferencje, a w swojej willi amfitrion o bezgranicznej gościnności, mecenas artystów, kolekcjoner dzieł sztuki, dobroczyńca sierocińców i szpitali. Zapewne wszystko to było do osiągnięcia, ale pod warunkiem że zacznie się w porę. A tymczasem rok za rokiem upływał na pakowaniu, wożeniu paczek ręcznym wózkiem na stację w Maisons-Laffitte, ładowaniu ich do pociągu, wyładowywaniu na Gare Saint-Lazare, zakupach, gotowaniu itd.

Kolektyw, tylko jeżeli dość długo trwa, wydaje się ex post idyllą, na mocy samego trwania. W istocie jego dzień powszedni jest pełen napięć pomiędzy osobami, a że Zygmunt na osoby był wrażliwy, bardzo nieraz cierpiał. Bo nie jest łatwo zgodzić się na skromne miejsce, jakie komuś musi przypaść w zespole, i choć jest jasne, że ktoś musi wziąć na siebie prace dla najsilniejszego fizycznie, wymaga to niemałej samodyscypliny. Zmaganie się Zygmunta ze sobą, szukanie rozwiązań i wreszcie przyjęcie swojej tożsamości anonimowego niemal pracownika to treść jego dojrzałego wieku. Znów muszę tutaj wrócić do zniekształceń wprowadzanych przez czas. Gdyby wierzyć prasie warszawskiej lat pięćdziesiątych, „Kultura” była potężną instytucją wyposażoną przez Amerykanów, niejako równoległą do Wolnej Europy, z taką ilością personelu, jaka (każdy sądzi po sobie) jest w Polsce potrzebna, żeby wydawać pismo i książki. Goście z Polski odkrywali ze zdziwieniem, że obraz ten nie miał nic wspólnego z rzeczywistością i stanowił jeszcze jeden przykład fabrykowania legend, w które zaczynają następnie wierzyć sami ich twórcy. Ale dzisiaj, kiedy minęło trzydziestolecie „Kultury”, jeżeli nie obraz, to znaczenie przypisywane wtedy „Kulturze” nie wygląda na przesadę. Bo niewątpliwie „Kultura” przewyższyła i długotrwałością, i wpływem cokolwiek, co w tym zakresie osiągnęła Wielka Emigracja i ma swój rozdział w dziejach polskiego piśmiennictwa czy po prostu w historii Polski. I oto Zygmunt-trzmiel, dziś buczący na zaświatowych łąkach, jako postać historyczna. Tylko że, wybierając, nie wiedział, że nią będzie. Całe przedsięwzięcie mogło rozpuścić się i zginąć bez trwalszego śladu albo same polityczne warunki w Europie, niepewne, nie do przewidywania, mogły położyć takim próbom koniec.

Czy grubasy mogą głęboko przeżywać? Zygmunt był połączeniem delikatności i żarłoczości, dyskrecji uczuć i huczenia śmiechem. Przy-

bywało mu brzucha i upodabniał się do Zagłoby. Marek Hłasko mówił mu „Wuju”. Zagłoba jednak nie miał pewnie tego wykroju ust: bardzo sensualne i jakby niemowlęce, układające się do przyjęcia smoczka czy łyku wody ognistej, kapryśne przy tym i nerwowe. Urodził się hedonistą i zasada przyjemnościowa nim rządziła. A przyjemności w świecie znajdował pod dostatkiem. Dzięki niemu głównie konieczność wspólnej kuchni w „Kulturze” przekształcała się w rozkosze stołu, w ucztę, biesiadę, bo przynajmniej na jedzenie sobie nie skąpiono. Goście, stale, zewsząd, z krajów europejskich, z Polski, z Ameryki, zaspokajali jego towarzyskie pasje, jego ogromną ciekawość twarzy, charakterów, biografii. Jazda z paczkami do Paryża dostarczała okazji do spotkań z tym czy owym przy winie, do gaworzenia i oglądania tłumy. I właśnie idąc za swoimi naturalnymi skłonnościami, Zygmunt odkrył swoje prawdziwe powołanie i swój talent. A kiedy odkrył, wszystko zaczęło się układać we wzór czytelny, poszczególne rozrzucone fragmenty łamiągłówki przeznaczenia już przylegały do siebie, a to, co z początku wydawało się rezygnacją, okazywało się najbardziej ambitnym wyborem. Krótko mówiąc, Zygmunt był z powołania *filanthropos*, przyjaciel ludzi, a nigdzie jego zdolność do robienia ludziom dobrze nie znalazłaby takiego zastosowania jak w tej dziwacznej strefie „pomiędzy Polską i zagranicą”. Zygmunt żył Nadwiślanią, współczuł, wściekał się, cieszył, wstydził z powodu tego, co się tam działo, traktował to swoje zaangażowanie jak chorobę, ale nieuleczalną, i już taką, przeciwko której przestał się buntować. To stałe przejęcie się Polską przybierało, jak to u niego, zawsze postać konkretną, wysokości zarobków, cen, warunków pracy, wolności osobistej albo jej braku, czyli losu rzeczywistych ludzi, znanych mu z imienia i nazwiska, albo dokładnie, w ich codziennym bytowaniu, wyobrażonych. Natychmiast też pojawiała się u niego myśl o czynnym udziale, o niesieniu pomocy. Lista osób, które Zygmuntowi zawdzięczają stypendia, zaczepienia w Paryżu, zaproszenia za granicę, byłaby ogromna. Kwitł swoim intryganctwem, obmyślał posunięcia, kogo poruszyć, kogo na kogo napuścić – tak jak mnie długo męczył, aż zgodziłem się pójść do Jeana Cassou, wtedy dyrektora Musée d'Art Moderne, z pewną młodą plastyczką, która zaraz siadła potentatowi paryskiemu na biurku (i zwyciężyła). A ileż było podobnych intryg, telefonów, przynagleń, przypomnień! Wyglądało na to, że Zygmunt sobie w pewnym momencie powiedział: „Tu jestem, żadna większa przyszłość mnie nie czeka, no to zrobimy tyle dobrego, ile się da”. Jeżeli niedostatecznie podkreśliłem jego udział w kształtowaniu politycznego oblicza „Kultury”, to dlatego że był

we władzy swego współczucia, gniewu, litości, podziwu dla szlachetnych i wstrętu do podłych, czyli wszystko zaczynało się u niego od etycznego odruchu. I w miarę jak etycznie rósł, rozszerzając swoje własne pole działania, zwiększała się jego rola inspiratora, pośrednika, znakomitego *public relations man* w służbie niezależnej myśli, a tym samym, rzecz można bez przesady, jego obecność przemieniała i humanizowała dom „Kultury”.

Sceptyk. Do możliwości reform ustroju strzeżonego przez tanki sąsiada odnosił się z niedowierzaniem. Co do tych, którym pomagał, nie miał wielu złudzeń i zauważał na nich piętno zdrobnienia, przyzwyczajęń nabytych w walce wszystkich ze wszystkimi o grosze. Jednak nie wątpił, że sam byłby taki jak oni, i, kto wie, pewnie robiłby świństwa jak wielu z nich, gdyby tam mieszkał. Zygmunt stale cieszył się, że mieszka we Francji, a równocześnie od nikogo na owym Zachodzie, po którym niewiele się spodziewał, nie zależy. Dom „Kultury” przy avenue de Poissy, już instytucja, już zasobny w wielką bibliotekę i obrazy polskich malarzy, był jak wyspa wyłoniąca z odmętów, pomiędzy jednym kataklizmem i drugim, i sceptyk Zygmunt nieraz wyrażał nadzieję, że następnego kataklizmu nie dożyje.

Płacę po Zygmuncie z powodów wielce egoistycznych. Co można mieć lepszego na ziemi niż kilkoro ludzi trzymających się za ręce, którzy razem tworzą obwód i czują przebiegający po obwodzie prąd? Paryż po emigracji stamtąd do Ameryki w 1960 roku pozostał dla mnie takim małym gronem przyjaciół, ale to przede wszystkim Zygmunt nas razem trzymał, jego prąd czuliśmy najsilniej, a teraz, jak we śnie, nasze ręce wyciągają się ku sobie i nie mogą się połączyć. Także mój punkt odniesienia na wschód od Kalifornii stracił wyrazistość. Można też inaczej wytłumaczyć nagle mnie dopadające uczucie pustki. Przez dwa dziesiątki lat Zygmunt był moim wiernym korespondentem. Uprawiał z zamiłowaniem sztukę dziś już prawie zapomnianą, jego listy były urocze, błyskotliwe, inteligentne, nieraz tak zabawne, że pobudzające do spazmów śmiechu, choć przeważał makabryczny warszawski humor. I z listów tych dowiadywałem się nie tylko, co się dzieje z naszymi paryskimi przyjaciółmi, także wszelkich plotek warszawskich, z których przezierała codzienność kraju, bo ambicją Zygmunta było wiedzieć wszystko – i jeżeli przez tak długi okres wygnania nie miałem jakoś wrażenia, że kiedykolwiek z Polski wyjeżdżałem, jego to przede wszystkim było zasługą.

Prawdopodobnie łączyło nas ugrzęźnięcie w Nadwiślanii, jego, przez chęć, żeby wiedzieć, moje, przez język, równie u niego i u mnie

powikłane, *odi et amo*. W jego chętnym obcowaniu z artystami i literatami nigdy nie zauważałem snobizmu, kibicem i opiekunem sztuk był, że się tak wyrażę, żywiołowym, z ciekawości dla szczególnego gatunku zwierząt. Gatunek ten znał i życzliwie przyglądał się rewii garbusów dźwigających mniej czy bardziej wdzięcznie swoje garby rozmaitego kształtu, na ogół dręczonych przez żal, że są sobą, a nie kimś innym, na co Zygmunt miał swój aforyzm: każda kobieta lekkich obyczajów marzy o tym, żeby być zakonnicą, każda zakonnica o tym, żeby być kobietą lekkich obyczajów, tragiczny aktor chciałby umieć rozśmieszać, a komik zagrać Hamleta. Jeżeli uskarżałem się, o tym właśnie przypominał mi na pociechę. Zresztą jego zdaniem jak na garbusa byłem przystojny, czyli widział we mnie pewne objawy normalności. I rzeczywiście, nasza przyjaźń utrzymywała się jakby poza literaturą. Nic a nic mnie nie drażniło jego zrzęczenie na „wymądrzania się”, do których zaliczał moje eseje. Z wewnętrznej potrzeby różne rzeczy pisałem, ale nie bez świadomości względnego tylko znaczenia intelektualnych budowli, więc głos Zygmunta, przeciętnego czytelnika, przed czymś tam pewnie ostrzegał.

„Czesiu, pisz dla ludzi!”. Ale co, według Zygmunta, było pisaniem „dla ludzi”? Za najlepszą moją książkę uważał *Dolinę Issy*. Mnóstwo jego listów zawierało to samo przynaglenie: „Kiedy napiszesz o Duchoborach?”. Bo raz, przyjechawszy do Maisons-Laffitte z Ameryki, opowiedziałem przy stole o oglądanym na własne oczy święcie sekty Duchoborów w lasach British Columbia i pociąg Zygmunta do widowisk komicznie-niesamowitych znalazł w tym aż nadto dla siebie. Zamiast dostosować się do prośby Zygmunta, znów napisałem „wymądrzania się”, *Ziemię Ulro*, po to żeby znów usłyszeć: „Czemu nie pisesz dla ludzi?”. Działo się to już latem 1979, kiedy Zygmunt był po operacji i słabszy z każdym dniem. Nie powołałem się w mojej obronie na wiersze (może za trudne?), ale zapytałem: „A przekład Psalmów? Czy to nie dla ludzi?”. Zastanowił się. „Tak – powiedział – to dla ludzi”.

Czym jest nasza przegrana i wygrana, jeżeli to nikogo ani ziębi, ani grzeje? Zygmunt martwił się, kiedy jego przyjaciółom wiodło się źle, cieszył się, kiedy wiodło się dobrze. Jeden z jego ostatnich listów jest triumfalny, dlatego że malarstwo Czapskiego wreszcie na rynku „chwyciło” i zaczął w starości sprzedawać dużo obrazów. I teraz łapię się na myśli, że Zygmunt, świadek moich blasków i nędz, był pierwszym, któremu donosząc o jakimś powodzeniu, chciałem zrobić przyjemność, jakby zobowiązany jego troską o mnie, kiedy byłem na dole. Żyjąc w cywilizacji płynnej, śpiesznej, w której tytuły, nazwiska,

sławy przemijają z wielką szybkością, uczymy się cenić więzi osobiste, i kiedy ubywa ktoś taki jak Zygmunt, raptem widać, że nic się nie liczy, jeżeli zapłakać ani pochwalić się nie ma przed kim.

Zygmunt nigdy nie chorował i, dociągnąwszy do siedemdziesiątki w dobrym zdrowiu, poczytywał to za osiągnięcie wystarczające samo w sobie. Muszę tutaj przypomnieć tak niedawną kolację u Jeleńskiego, na której Zygmunt, w przeciwieństwie do reszty biesiadników pijących wino, wydoił sam jeden butelkę wódki. Odwiozłem go taksówką na Gare Saint-Lazare i wstał na schody, chwiejnie, ale sprawnie. Nazajutrz zapytałem go, dlaczego to zrobił. „Żeby sprawdzić. Czy mogę”. Razem z tym jednak po stoicku rozważał krótkość czasu i martwił się, nie o siebie. Zastanawiał się też, co się stanie z jego kolekcją obrzydliwości: bo, kpiarz niepoprawny i przekorniś, zebrał dużą kolekcję odznaczeń za służalstwo, z różnych epok, w rodzaju carskiego medalu „*Za usmirenije polskiego miatieża*”. Jakież polskie muzeum ucieszyłoby taki zapis?

Bilanse robił więc, kiedy nic nie zapowiadało jeszcze choroby. To też nie zdziwił mnie jego list ze szpitala, po tym kiedy usłyszał, że ma nowotwór, i czekał na operację. Nie mam zamiaru wykorzystywać jego korespondencji, to rzecz prywatna, pozwałam sobie tylko zacytować z tego właśnie listu szpitalnego, data 22 lutego 1979:

Sprawy ojczyzny *non existing*. Na razie spokój. Mało co się dzieje. Z perspektywy operacji za dni kilka jakoś wszystko przeszło na miarę karzełków. Psychicznie czuję się doskonale. Przeżyłem 71 lat, do 1939 w luksusach jak na Polskę – zdążyłem do 31 roku życia mieć 3 samochody, potem ta *drôle de guerre*, co mam pisać – znasz te okresy trwające do dziś. Prawda: od 1939 roku kołchoz. U mojego stryja w Stanisławowie, w Maryjskiej ASSR, w wojsku, potem od 32 lat „Kultura”. Poznałem setki ciekawych ludzi, których nawet jako nie urzędnik, a naczelny dyrektor Solvaya nigdy bym nie znał. Nie zrobiłem nikomu grubszych świństw, byłem dość użyteczny, paru ludziom oddałem życiowe usługi, nie mam chyba wrogów, mam małą grupkę ludzi, na których mogę liczyć. Więc o co chodzi? Nie przejdę do historii literatury jak Ty. No to co? Nie mam na to żadnych danych. A że Ty przejdziesz, no to co? Jak dotąd trzymam się dobrze i mam nadzieję, że się w tym stanie utrzymam do końca. Nawet mnie to dziwi, bo okazuje się, że mam „charakter”, jest to oczywista bzdura, bo go nie mam. Chyba w tego rodzaju przykrych sytuacjach występują jakieś fiszbiny trzymające człowieka sztywno lub też odwrotnie, te fiszbiny odpadają, robi się z człowieka galareta. Mam szczęście, że ta pierwsza ewentualność zagrała.

Nie wszystko dla niego stało się nieważne: „sprawą najbardziej istotną” była myśl o żonie. Przeciwny wszelkiej melancholii zaraz też siebie pocieszał: „Ale znowu: dlaczego mam wykitować. Przecież to nie jest konieczne”.

I pomyśleć, na łóżku szpitalnym tak jak zwykle planował figle swawolnego Dyzia: „W wypadku najgorszym mała złośliwość. Poproszę – nie ja – ale już zlecone tu w Paryżu, aby Paweł Hertz dał nekrolog do »Życia Warszawy« i obstałował mszę u Św. Marcina. Nie dowiem się, kto »był chory«, »wyjechał«, »miał zajęcia służbowe«. Będzie kupa śmiechu”.

W pisaniu o bliskich nam umarłych jest coś wysoce niepokojącego: oto podmiot obcował z podmiotem, i choćby niepełne było uznanie sekretu tej drugiej osobowości, coraz to zastępowane przez spojrzenie „urzeczawiające”, przecie była to wymiana, jakikolwiek sąd był otwarty na korektę. A tu nagle: przedmiot. I żenująca niedokładność opisu poszczególniej osoby ludzkiej z zewnątrz, uzurpacja dla siebie oczu boskich albo po prostu zabieg totalitarny, kiedy to niepowtarzalne zostaje podciągnięte pod „ogólne”, „typowe”. Tudzież fałsz literatury, rzekomo pokazującej człowieka „od środka”, a naprawdę konstruującej, żeby złożyła się razem jakaś całość poddana prawu formy. Nie ma co ukrywać. Mam przed sobą zamiast Zygmunta jego portret i dobieram szczegóły, które razem powinny go przedstawić, w nieznacznym tylko stopniu dając miejsce szczegółom sprzecznym. Rzadkość: przeżyć życie jako człowiek dobry i prawy. Ponieważ rozumiem tę rzadkość, konieczności konstrukcji prowadzą moje pióro. Ale najważniejsze jest dla mnie to, co jeszcze zostaje z podmiotowości Zygmunta, z jego apetytu, łączywości, z jaką wychylał szklanki whisky, żartów, intryg, figlowania: całego ruchu, niewykończenia, przemiany, wśród których niepostrzeżenie dla niego i dla innych spełniał się los – a któż z nas kiedykolwiek spodziewał się, że Zygmunt z odległości zacznie wygłądać posągowo?

Konstanty A. Jeleński

Zygmunt Hertz, mój przyjaciel

Zygmunt Hertz był jednym z najbliższych mi ludzi, trudno mi się pogodzić z tym, że nie będę już nigdy miał z nim codziennej niemal telefonicznej rozmowy, spotkań po różnych bistrach za każdym jego dojazdem do Paryża, uroczych, żywych, zabawnych listów, jakie wymieniał ze mną odwrotną pocztą, kiedy czy on, czy ja byliśmy w podróży lub na urlopie.

Homilii ks. Józefa Sadzika nad jego trumną w kościółku w Le Mesnil-le-Roi słuchałem ze wzruszeniem tak silnym, że samo to słowo odzyskiwało swój sens pierwotny poprzez fizyczne wprost przeżycie tych słów prawdy o naszym zmarłym przyjacielu. Echa jego pamięci w Kraju, żywa wdzięczność tylu ludzi potwierdzają moje przekonanie, że nowe pokolenie „niepokornych” już sobie wywalczyło wolność wewnętrzną i szacunek dla siebie samych – cechy, które przerastają kategorie polityczne i świadczą o tym, że nie sposób oceniać pewnych form zaangażowania racjonalną analizą ich bezpośredniej „skuteczności”.

Nie zabieram się tutaj do pisania „nekrologu”. Brzydkie to słowo, a w dodatku forma, której Zygmunt nie znoślił. Chodzi mi raczej o możliwie wierne nakreślenie sylwetki mego przyjaciela w świetle pozornych kontrastów jego natury i kaprysów narzuconych mu przez historię losu. Polską skłonność do werbalnego idealizmu określa Miłosz w *Ogrodzie nauk* jako „pobożne pienia na pokładzie okrętu, we wnętrzu którego przewozi się niewolników”. Idiosynkrazja Zygmunta Hertza do górnolotnych deklaracji, jego przekonanie o samolubnych pobudkach ludzkiej natury stanowiły podobne, lecz do góry nogami odwrócone przeciwieństwo między jego hobbesowską niemal „filozofią” i franciszkańskim sercem: w jego wypadku nasuwa się porównanie do pirackiej karaweli z czarnym sztandarem na maszcie, wiozącej pod pokładem ładunek darów dla głodnych i uciemiężonych.

Jestem przekonany, że „Kultura” doczeka się – raczej prędzej niż później – szeregu historycznych monografii, słusznie identyfikujących ją z Jerzym Giedroyciem, gdyż nigdy chyba żadne pismo nie było do tego stopnia dziełem i zasługą jednego człowieka. Ale przyszły histo-

ryk zajmie się również dziejami instytucji, jej zespołową genealogią od Wydziału Propagandy i Kultury Armii Andersa w Związku Sowieckim, poprzez Bliski Wschód, Włochy, aż do Instytutu Literackiego w Rzymie i Maissons-Laffitte. Jeśli teraz tego nie uczynię, nikt temu historykowi nie powie, że jednym z pierwszych kroków w kierunku zespołu „Kultury” było nadeptanie przez Zygmunta Hertza na tzw. „szczątkową” ostrogę kroczącego przed nim eleganckiego rotmistrza w pierwszym szeregu wziętych do niewoli przez armię sowiecką oficerów na wschodnich rubieżach po 17 września 1939. Trzeba tu dodać, że Zygmunt był niemal równie jak ja niezgrabny w chodzie, czego często doświadczaliśmy obaj na wspólnych spacerach. Po pierwszym nadeptaniu rotmistrz burknął; po drugim odwrócił się gniewnie; po trzecim spojrzał piorunującym wzrokiem na nieuważnego podporucznika artylerii przeciwlotniczej i oświadczył, że po dojściu do celu przyśle mu świadków, aby załatwić sprawę honorowo. Zygmunt nie wiedział, że ostatecznym „celem” tego marszu jest katyński las. Ale w sukurs mu przyszedł jego humor i odraza do tego rodzaju polskich błazeństw. Zwrócił się do idącego obok kolegi i powiedział głośno: „No nie! Bożewicz – tutaj? To nie dla nas”. To między innymi spowodowało, że obaj uciekli z niewoli w Czortkowie, w chwili gdy miano ich załadować do pociągów idących na wschód. Po wielu przygodach Zygmunt doszedł do Stanisławowa, gdzie dołączyła do niego z Generał-gubernatorstwa niedawno poślubiona żona, Zofia, wstępując nieświadomie na szlak wędrówki do Maisons-Laffitte. „Kultura” powstałaby i bez tego? Zapewne. Ale bez Zosi i Zygmunta Hertzów nie byłaby to ta „Kultura”, jaką znamy. Niejedyny to paradoks wojennych losów Zygmunta. W czasie kampanii włoskiej, w Ankonie, dowódca Zygmunta, płk Angerman, dał mu do wglądu przed spaleniem donosy, jakie na niego składano. Wynikało z nich, że od zamierzonych czasów Buzułuku jego humor i niezależność sądu wywoływały podejrzenie, że jest... agentem komunistycznej propagandy: „Widzi Pan teraz, Panie Zygmuncie, dlaczego Pan nigdy nie awansował do stopnia kapitana?”. Zrozumiał wtedy również Zygmunt, dlaczego jego żartobliwa korespondencja z żoną z tego pierwszego okresu została posądzona o „zdradę tajemnicy wojskowej” – do tego stopnia ich świetnie zgrany humor wydał się ówczesnym cenzorom bliski groźnego szyfru.

Zygmuntów poznałem w roku 1946 w Rzymie, gdzie ściągnął mnie z 1. Dywizji Pancerniej Emeryk Czapski, szef polskiej placówki wojskowej przy Ambasadzie Brytyjskiej, zajmującej się emigracją z Włoch żołnierzy 2. Korpusu żonatych z Włoszkami, którym odmówiono prawa

osiedlenia się w Wielkiej Brytanii. Z tego spotkania pamiętam głównie urodę tej młodej wówczas, idealnie dobranej pary i to że już wtedy bardzośmy się z czegoś razem śmieli.

Łódzka rodzina Hertzów zbyt jest znana – członkowie jej zasłużeń społecznie czy kulturalnie zajmują kilka stron „Polskiego Słownika Biograficznego” – by trzeba było wprowadzać czytelnika w środowisko, w którym wychował się Zygmunt. Ojciec Zygmunta, Mieczysław, który również figuruje w „Słowniku Biograficznym”, był prezesem łódzkiej Izby Przemysłowo-Handlowej i przedstawicielem na Polskę firmy Solvay (w przedstawicielstwie tym pracował przy ojcu przed wojną Zygmunt). Jeśli o tym wspominam, to dlatego że europejskie koncerny tej miary z otwartymi ramionami przyjmowały po wojnie zdemobilizowanych na Zachodzie polskich żołnierzy poprzednio z nimi związanych. Ze swymi doskonałymi kwalifikacjami, biegłą znajomością angielskiego Zygmunt miał u Solvaya zapewnioną świetną karierę zawodową i materialną. Ale podczas gdy Zygmunt służył w swym liniowym pułku, Zosia była już wówczas od lat związana z akcją kulturalno-polityczną prowadzoną w różnych formach przez Jerzego Giedroycia i Józefa Czapskiego, nie było mowy dla niej o tym, by nie przystąpić do założenia Instytutu Literackiego i „Kultury”. Dla Zygmunta wybór był oczywisty, a zaważyła na nim nie tylko solidarność z żoną, poczucie, że nie ma prawa odrywać jej od pracy, do której była wprost idealnie stworzona, gdyż pozwalała jej oddać swe wybitne zdolności na służbę sprawie, która nadawała jej życiu znaczenie. Dla Zygmunta zasadniczą wagę miały stosunki „międzyludzkie”, ich obserwacja, zdolność ich harmonizowania. Niczego się bardziej nie obawiał w życiu jak „nudy”. Nigdy nie traktował swego wyboru jako poświęcenia. „Co by mi z tego przyszło – mówił mi czasem – mieć eleganckie mieszkanie i mercedesa? Nigdy bym nie miał tylu ciekawych przyjaciół, korespondencji, poczucia, że się zawsze coś nowego dzieje”.

Marek Hłasko żartował, że Zosia Hertz jest Don Kichotem „Kultury”, a Zygmunt jej Sancho Pansą. Ale nie trzeba zapominać o tym, że Zosię – „Don Kichota” – łączył z Zygmuntem podobny, bardzo żywy zmysł humoru, ani że Zygmunt „Sancho Pansa” był z „Kulturą” solidarny do tego stopnia, że nigdy nie zdradził mi zawartości następnego numeru pisma, jednej z niewielu skutecznie strzeżonych tajemnic na świecie.

Polski przedwojennej Zygmunt nie idealizował i podobnie jak ja dziwił się i niepokoił zbyt daleko idącą rehabilitacją „dwudziestolecia” przez najlepsze elementy młodego pokolenia w Kraju. Żałuję,

że nie mogliśmy się już razem pośmiać i ucieszyć ze świetnego wyboru przez Zdzisława Baua tekstów z „Gazety Polskiej” w przededniu wojny, ogłoszonego przez „Kulturę”, po którym trudno doprawdy nie nabrać odpowiedniego dystansu do smutnej rzeczywistości, której nie maskuje niezdarna retoryka, sformułowana w polszczyźnie godnej najgorszych współczesnych pisarzy krajowych. Słusznie podkreślił ks. Józef Sadzik w swojej homilii wyjątkową skromność Zygmunta, jego wyrozumiałość dla cudzych błędów, pobłażliwość i tolerancję. W przeciwieństwie do wielu innych emigrantów Zygmunt nigdy się nie oburzał na „niebohaterskie” zachowanie takich czy innych rodaków w Kraju w najgorszym stalinowskim okresie. Miał dość wyobraźni na to, by wiedzieć, że jedynie osobiste doświadczenie – którego nam brak – mogłoby nam dać prawo do sądów. Zygmunt miał przy tym bardzo żywe i naturalne poczucie czasu historycznego. Kiedy mówiliśmy czasem o wojennych przeżyciach, „jakby to było wczoraj”, wybuchał śmiechem: przecież dla młodych to czasy przedhistoryczne – tak jakbyśmy w roku 1939 słuchali wspomnień o roku 1905!

Przyznam, że ze wzruszeniem przyjąłem inicjatywę „Kultury” ustanowienia dorocznej nagrody literackiej imienia Zygmunta Hertza. Zygmunt był nie tylko utalentowanym czytelnikiem, którego zawsze pytałem, co warto z nowych krajowych książek przeczytać. Znał je wszystkie, miał niezawodne wycucie wartości literackich, odrzucając z miejsca, cokolwiek trąci fałszem, zakłamaniem, pretensjonalnością. Miał również wszystkie dane, by zostać pisarzem z prawdziwego zdarzenia, choć nigdy nie wyraził swego talentu inaczej niż w listach, pisanych świetną, jędrną polszczyzną, z kapitalnym zmysłem obserwacji rewelacyjnego szczegółu. Nie znam dziś chyba nikogo, kto prowadzi tak rozległą, zawsze żywą, zawsze spontaniczną, bezinteresowną korespondencję. Jestem przekonany, że listy zebrane Zygmunta Hertza stanowiłyby jedną z najbardziej wartościowych kronik polskiego życia w Kraju i na emigracji na przestrzeni trzydziestu z górą lat.

W parę dni po śmierci Zygmunta mówiłem o nim z przyjacielem, który mniej go znał ode mnie, ale równie wysoko cenił. Doszliśmy obaj do wniosku, że jeśliśmy czasem coś zrobili, aby pomóc przyjezdnym z Kraju na terenie paryskim, to w większości wypadków na skutek telefonów, nalegań, argumentów Zygmunta. Był nie tylko ważnym członkiem instytucji, jaką jest „Kultura”, której był całkowicie oddany. Był sam w sobie instytucją, której jedyny, ale niewyczerpany kapitał stanowił – żeby znów zacytować ks. Sadzika – „jego niepojęty zmysł dobroci”.

Bohdan Osadczyk

„Oddychać razem”

O Józiu wiedziałem, kiedy jeszcze nawet w fantazji nie przypuszczałem, że tak go kiedyś będę nazywał. O jego istnieniu dowiedziałem się od mojego starszego przyjaciela, ukraińskiego malarza Romana Turyna ze Lwowa, przed wojną odkrywcy słynnego potem łemkowskiego twórcy ikon i pejzaży – Nikifora. Było to podczas wojny. Turyn, który należał do grona malarzy polskich i ukraińskich przebywających przed wojną wraz z Czapskim w Paryżu, doradzał mi, abym się jakoś dostał nad Sekwanę, bo tam „wszystko jest inne, kolorowe, a nie takie szare jak u nas”. A gdybym się tam znalazł, to powinienem odszukać malarza polskiego, Józefa Czapskiego, który tam może jeszcze jest, a on mi już ten Paryż pokaże w całym bogactwie...

Wtedy do Paryża nie dotarłem. Przyjechałem po raz pierwszy chyba na początku lat pięćdziesiątych. Trafiłem do Maisons-Laffitte. Czapski mi Paryża nie pokazywał, musiałem go sam odkrywać i wydał mi się wcale nie taki kolorowy, jak opowiadał Roman Turyn, który w tym czasie siedział w Gułagu. Był listopad i Paryż był szary. Ale oko na kolory odkrył mi właśnie ten suchy jak szczapa, ogromny dryblas ze strasznie skrzeczącym głosem i nieziemskim uśmiechem. Tak się zaczęła moja przygoda z obrazami malarza i samym mistrzem – z początku „Panem Józefem”, potem po prostu „Józiem”. Za każdym pobytem oglądałem coraz to nowe kolekcje, na pięterku albo w szopie na podwórzu. Lata płynęły, kolory w pracach Józia się zmieniały – a on trwał zawsze ten sam, ciekawski na wszystko, co mu donosiłem ze Wschodu. Zawsze podziwiałem w jego malarstwie i pisarstwie niezwykłą łatwość w chwytaniu ważnego elementu czy typowego szczegółu. Raz, kiedy akurat wróciłem z Chin i byłem tym, co tam widziałem, bardzo przejęty, Józiu namalował mój portret i „złapał” moją jeszcze widoczną świeżą „chińszczyznę”.

Ale nade wszystko lubiłem go za humor, a miał go pod dostatkiem i to w rozmaitych wersjach. Jedną z nich były żarty urwisowskie. Ale najważniejsza warstwa – to był humor nie kpiarsko-cyniczny i złośliwy, ale jakby wypływający z serca i dobroci. Była w nim jakby

ponadnarodowa, kosmopolityczna tkanka pozwalająca na dostrzeganie fałszu i nicości. Dar ten dało mu chyba wędrowanie po świecie i kulturach i w czasie, jak mało komu w kręgach moich przyjaciół i znajomych.

Dla mnie był fantastycznym, może po Jerzym Stempowskim ostatnim uosobieniem Polaka i Europejczyka, łączącego w sobie nierozdzielnie elementy Wschodu i Zachodu. Na próżno szukać dziś podobnej symbiozy w stolicach i prowincjach naszych krajów. Czapski był ostatnim odyńcem tej odeszłej epoki. Tamta epoka już dawno minęła i żyła tylko w nim i przez niego dochodziła do umysłów i fantazji jego otoczenia. Tego nam, młodszym od niego, będzie teraz bardzo brakowało.

Obcowanie z Józkiem – niestety zawsze tylko sporadyczne i ułamkowe – w moim wypadku związane było również z jego ukraińskim kręgiem malarzy, nie tylko kapistów. Czasami rozmowy przechodziły na ogólne sprawy współżycia obu nacji. Kiedyś chciałem te rozmowy utrwalić na taśmie, aby po przepisaniu ogłosić gdzieś drukiem. Nie wiele z tych zamysłów udało się ziścić. Ale pozostał jeden okrusz – zapis jego wspomnień i poglądów noszący datę 11 grudnia 1986 roku. Oto tekst – jako dodatkowa cegiełka do wielorakich wspomnień o Nim:

Po raz pierwszy spotkałem Ukraińców blisko na Akademii zaraz po wojnie w 1920 roku w Krakowie. Tam było kilku Ukraińców-malarzy, z którymiśmy się pokochali wprost i którzy razem z nami pracowali. Pierwszy był Buraczok, to był syn księdza ukraińskiego – sama wesołość, serce, dobroć. I razem z nim pracowaliśmy długo i dużo. I potem razem z nim – on należał do kapistów, czyli do tej samej grupy, którą ja założyłem – siedzieliśmy wiele lat w Paryżu. Kapiści to był Komitet Paryski, to była grupa malarzy, gdzie byli Polacy, Ukraińcy, Żydzi, wszystkie narodowości, żadnego nacjonalizmu tam nie było. Ci, którzy zrozumieli, że trzeba jechać do Paryża, bo to był wielki moment francuskiego malarstwa, wyżebrali pieniądze na drogę i na sześć tygodni pobytu w Paryżu. Skończyło się na tym, żeśmy tam mieszkali sześć do siedmiu lat. Był jeszcze Roman Turyn, on nie należał do kapistów, ale był z nami bardzo związany zawsze. Ja uważam, że w naszych stosunkach, jeżeli każdy ma o swoich winach coś powiedzieć, to winą polską jest stałe zadzieranie nosa, że oni są ważniejsi. A to jest nieprawda. Oni wcale nie są ważniejsi. Są tacy sami ważni jak tamci. I oni ich muszą czuć jako swoich rodzonych braci. Tylko tak można o tym myśleć. A przecież wprost i historycznie, i tematycznie – te kraje muszą tak czy inaczej oddychać razem. Wcale nie z wspólnego panowania, ale z pełnej niezależności.

Wojciech Karpiński

Płomień

Uderzał bezpośredniością – w życiu, pisaniu, malowaniu, mówieniu – a jednocześnie miał w sobie wiele postaci i każdą był w pełni. Malarz, pisarz, krytyk sztuki i literatury, działacz, publicysta, żołnierz, kwestarz, przyjaciel, był przede wszystkim żywym człowiekiem. Gruntownie dobrym, płomiennym, reagującym natychmiast – na krzywdę, na dowcip, na momenty zachwycenia i momenty przerażenia.

Rzucał się w rozmowę, w dyskusję, żył chwilą, a jednocześnie tkwił w strumieniu czasu. Pamięć była ważnym motorem jego działania, jego sposobem rozpoznawania się w świecie. Wplątany w korzenie życia doczesnego tkwił też mocno, myślami, uczuciem, w życiu duchowym. Był mu ten inny wymiar potrzebny, wierzył w jego istnienie. Ktokolwiek się z Józefem Czapskim zetknął, z jego osobą czy z jego dziełem, nie wątpił o obecności w nim tej potrzeby, tego wymiaru. Był żywym dowodem istnienia „innego świata”. A jednocześnie o konfesyjnym i instytucjonalnym kształcie swojej religijności mówił mało, on, który rozmowy, rozmowy istotne, tak cenił.

Także w życiu wewnętrznym był raczej rysownikiem niż filozofem. Kreślił szkice interesujących go światów, nie budował ideologii, systemów. Nie przez dedukcję odkrywał ludzi i siebie, nie dawał się szantażować spekulacjom, to stanowiło jego siłę; był jednak żywą, krytyczną, analityczną myślą zafascynowany, to też stanowiło jego siłę. Chciał chwycić mgnięcia rzeczywistości, był malarzem, a jednocześnie walczył o otwarcie malarstwu i malarzom, także rozumianym jako sposób postrzegania świata, szerszych horyzontów. „We Francji nie istniał nigdy przesąd, popularny w Polsce, że malarz ma prawo być głupi”, napisał kiedyś z wyzywającą ironią. On nie był głupi, pracował nad tym, żeby nie być głupim. Uderzał mądrością konkretną i ludzką, która nie podlega okrutnej i celnej Gombrowiczowskiej formule: im mądrzej, tym głupiej, bo jego mądrość nie była mądrością spekulacji i instytucji, kapłanów i filozofów. To była jego mądrość, Józefa Czapskiego, przez niego zdobywana i rozwijana.

Posługując się nakrochmalonym językiem słów uczonych, obcych mu, można by powiedzieć, że był zwolennikiem idiografii, ustalania, opisu i wyjaśniania jednostkowych faktów, nie zaś nomologii, wykrywania naukowych praw rządzących sferą ducha i ciała. Chciał odnaleźć prawdę przeżycia, utrwalić sens doznanego szoku. Szukał wyjaśnienia faktów. Wtedy, gdy starał się oddać sobie właściwymi środkami wrażenie, jakie zrobiła na nim gra światła i czerwonych płam widoczna przez chwilę na dojrzanej w kawiarni czyjejś twarzy. Wtedy także, gdy szukał kilku zaginionych towarzyszy broni, i wtedy, gdy szukał kilkunastu tysięcy towarzyszy niewoli. I wtedy, gdy z ledwo napotkanym rozpoczynał rozmowę i chciał się dowiedzieć, co tamten uważa i czuje. I wtedy, gdy otwierał szary kajet i notował tok myśli, szkicując siebie.

Posługując się słownictwem trochę mu bliższym, lecz ciągle jeszcze odległym od jego bezpośredniości, powiedzieć by można: był poszukiwaczem epifanii, łowcą chwil, gdy rzeczywistość odsłania się oku, sercu, ciału, rozumowi – dostatecznie skupionemu, aby te znaki odkryć. Nie wierzył jednak w objawianie się w pustce. Nasze dochodzenie do rzeczywistości dzieje się tu, na tej ziemi, w chwili dzisiejszej, dzięki pracy przeszłej, z otwarciem ku jutru. Nie wydaje mi się więc krewnym Joyce'a (choć kto wie, jego powinowactwa z wyboru były tak szerokie – znajduje się wśród nich Beckett, jeszcze bardziej radykalny w oczyszczeniu). Potrafił być jednocześnie zafascynowany Tołstojem (w późniejszych latach bardziej Tołstojem artystą niż moralistą, choć moralistą także) Dostojewskim, Alioszą i Iwanem, tym, który wierzył i poszukiwał świętości, i tym, który spalał się w buncie, i Kirilowem, i Szatowem, na Piotra Wierchowieńskiego patrzył z przerażeniem, tylko Stawrogin był mu nieskończenie odległy.

Czy fascynował go też Gogol? Jeżeli tak, to wyszedł raczej spod *Płaszcza* niż z *Nosa* (skąd – wedle złośliwych krytyków – wychynał Nabokov). Vladimir Nabokov był mu obcy, on przyjaźnił się z tej rodziny z Siergiejem i Nikołajem, ale i w tej dziedzinie nie był dogmatyczny i kilka wierszy Władimira, kilka jego opisów, a zwłaszcza jego miłość do kultury rosyjskiej, do Puszkina, do słowa i poezji, były Czapskiemu bliskie, choć odmiennych sobie wybierali przyjaciół, z którymi zamierzali prowadzić rozmowy pod drzewami na Elizejskich Polach (niebieskich, nie paryskich). Już je prowadzą, prowadzili je obaj jeszcze tutaj, były dla obu ważne, stanowiły ich sposób istnienia w czasie, w kulturze. Myślę jednak, że ze sobą nawzajem mało rozmawiają. Różnorodność duchowych powinowactw Czapskiego od-

daje jego bogactwo czy też raczej je współtworzy. Te parantele były dla niego ważne, życiodajne. Buntował się, chciał samodzielnie budować swój świat wewnętrzny, ale nie zamierzał zaczynać od zera. Nie uważał, że stwarza nową literaturę, nowe malarstwo. To także stanowiło jego siłę. Towarzyszył radykalizmowi krytycznej świadomości współczesnej tylko do pewnego punktu. Malarstwo nie było dla niego skończone ani powieść, ani poezja. Dawna sztuka nie była dla niego martwa. Interesował się skrajnie sceptycznym spojrzeniem Pawła Valéry'ego, nihilizmem Ciorana, przeżył kiedyś Nietzschego, kryzys ekspresji przedstawiony w *Liście Lorda Chandosa* Hofmannsthała odbierał jako przesłanie osobiste, list do siebie i o sobie, ale nie totalna krytyka i milczenie były jego punktem dojścia. Współczesne trucizny połykał bez szkody. Dlaczego? Bo łączyły go namiętne związki z przeszłością, z życiem.

Był postacią historyczną, co tylko utrudnia rozpoznanie sytuacji, bo był jednocześnie kimś innym. Kim był? Józefem Czapskim, Józiem nie tylko dla rodziny i przyjaciół, tych już były setki, ale dla tych, na których padł promień jego obecności.

Kim będzie (jest)? Władzą spojrzenia. Umiejętnością nazywania ludzi, rzeczy, problemów. Odkrywania ich kształtu, ich wzajemnych związków. Miał ten dar: słowami i farbami kreślić portret osoby, krajobrazu, rzeczy martwych i bez ruchu – i rzeczy w ruchu, żywych, grup ludzi trwających w czasie i w przestrzeni.

Dzieła Czapskiego, jego obrazy, jego rysunki, jego eseje, książki pozwalają mi patrzeć – na nie, na niego, na mnie i na innych. Budzą we mnie nie tylko zachwyt, że oto widzę nowy i trafny obraz czy rysunek, czytam żywą opowieść o ludziach, rzeczach i problemach, lecz także uczą patrzeć i mówić, także tych, którzy sami nie zamierzają malować ani pisać. Ożywiają przed nami świat, ożywiają nas, ożywiają Czapskiego. To nie jest frazes. Wiem o tym. Nie maluję i nie rysuję, ale płótna Czapskiego nie tylko nauczyły mnie rozpoznawać je wśród dzieł innych twórców, lecz także rozpoznawać potencjalne obrazy Czapskiego na stacjach metra, w pejzażu, w teatrze, w kawiarni. Jego książki dosłownie uczyły mnie mówić i myśleć o malarstwie. Kreślone przez niego słowami portrety ludzi i stanów duchowych uczyły mnie, choć nie nauczyły, szkicowania sylwetki ludzi czy zjawisk.

Czym jest, gdzie jest, widok zająca sprzed lat, gest ręki, która go wtedy wskazywała, pytał (przed laty) Miłosz w jednym z wierszy. Gdzie jest ból, gdzie jest radość, olśnienie, gdy zjawiają się, zarazem chwilowe i trwające w czasie? Ale – posuwając się dalej – czym jest,

gdzie jest dar wywoływania tych stanów? Artyści są indywiduami, indywidualistami, lecz uczą nas (istoty niepozwalające się schwytać regułem i potrzebujące reguła) patrzeć i mówić. Zapala się czyjeś spojrzenie, gdy patrzy na obraz, gorszy lub lepszy, namalowany wczoraj bądź przed wiekami. Budzi się czyjś głos, pragnienie, żeby przemówić, gdy słyszy czyjś głos żywy (co to znaczy, że głos jest żywy?).

Wiem, odsyłam pytanie na wyższe piętro, poszukuję praw i wyjaśnień, choć tak się od tego odżegnuję, gdy zastanawiam się nad Józefem Czapskim, nad jego istnieniem, uderzająco intensywnym. Jeden ze szczególnie bliskich mu wierszy – potrzebował poezji, choć jej nie tworzył; przez nią poznawał świat, świat poetów i swój świat – mówiący o tym, że nasze życie splata się z innymi żywotami, zamykają słowa jakby dla niego napisane: „A mój udział jest czymś więcej niż tego życia wąty płomień albo wąska lira”. Ale to lira, niekiedy wąska, niekiedy ciężka – czy paleta, czy pióro – pomagają nam zrozumieć, że nasz udział jest czymś więcej; to płomień, czasem wąty, czasem wybuchający wieloma językami, lecz zawsze przecież mający swój kres, to wewnętrzny płomień stanowi o tym większym udziale. Ten płomień oświecla, powoduje, że widzimy, potrafimy rozróżniać i nazywać rzeczy, że rzucamy cień, że żyjemy. Niektórym dana bywa władza, aby ten płomień utrwalić – słowami, barwami, następstwem dźwięków. Potrafią przekazać chwilę, gdy widzą jasno w zachwyceniu.

Wąska lira, ciężka lira, widzieć jasno w zachwyceniu – cytaty, nawiązania, kontynuacje, domena francuska, domena niemiecka, domena rosyjska, gwoździe diamentowe cytatów, za to się chwytam, żeby jakoś określić, czym jest dla mnie jego odejście, jego obecność. Na czym polegała swoistość i siła tego płomienia, który zgasł?

* * *

Spotkałem go jesienią 1965 roku. Paryż, nieistniejąca już winiarnia La Reine Pédaque (Pod Królową Gęsią Nóżką), ulica La Pépinière przy dworcu Saint-Lazare i przy biurze Kongresu Wolności Kultury. Poszedłem tam z Zygmuntem Hertzem. Usiedliśmy niedaleko wejścia. Po pewnym czasie Zygmunt spojrzał w głąb sali i powiedział: „O, jest Józio”. Zobaczyłem siedzącego przy dalszym stoliku mężczyznę o siwych włosach, w grubych okularach, pochylonego nad kajetem, w którym zapamiętało coś mazał, nikogo nie dostrzegając. Zygmunt podszedł do niego i poprosił do naszego stolika. Czapski zrazu był zaskoczony i jakby rozdrażniony, że oderwano go od interesującego zajęcia, ale po chwili w jego oczach zapaliła się isierka

ciekawości. Przyszedł niewiarygodnie wysoki, o dość niezgrabnych, raptownych ruchach. Wydał mi się wówczas zarazem bardzo stary (zbliżał się do siedemdziesiątki) i bardzo żwawy. Usiadł. Natychmiast zaczął rozmawiać z nieznanym sobie studentem. Najpierw mówiliśmy o książkach, potem trochę o malarstwie. Następnego dnia pod drzwiami *chambre de bonne*, w którym mieszkałem dzięki uczynności znajomych znajomych, zastałem od niego list. Poczta jakoś odcyfrowała adres. Najpierw wydawało mi się, że tekst jest w ogóle nieczytelny. Wymagał tylko innego spojrzenia: powoli zgadywałem poszczególne słowa. Był to dalszy ciąg naszej rozmowy. Potem było wiele listów. Z Polski w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pisałem na adres jego francuskich przyjaciół, a on czasami dla konspiracji pisał po francusku, choć jego pismo, jedyne, rozpoznawalne było, gdyby ktoś się tym interesował, w okamgnieniu.

Ale przecież to nie wtedy go poznałem. Wiedziałem, kim jest, gdy podchodził do stolika. Znałem go, jego gusta malarskie i literackie, jego styl, nawet jego głos, wysoki, zwracający uwagę w kawiarni czy na salach muzealnych. Słuchałem go w audycjach Wolnej Europy, ale przede wszystkim czytałem jego teksty.

Znałem jego szkice i artykuły w „Kulturze”, znałem *Oko*. Także *Na nieludzkiej ziemi*, *Wspomnienia starobielskie*, *Lettre ouverte à Jacques Maritain et François Mauriac* pisany w 1944 roku w momencie upadku powstania warszawskiego, czytałem je w Bibliotece Narodowej w Warszawie na Rakowieckiej jeszcze jako uczeń liceum. To właśnie te tytuły – *Na nieludzkiej ziemi*, *Wspomnienia starobielskie* – wywołały zaniepokojenie bibliotekarzy, powiedziano mi, że tego rodzaju książek się nie wypożycza. Poznałem więc Czapskiego jako pisarza, ale na szczęście interesowałem się także malarstwem i poznałem go jako pisarza o sztuce. Piszę na szczęście, bo Czapski był wówczas dostrzegany w pierwszym rządzie jako barwna i sympatyczna postać historyczna, świadek ważnych wydarzeń, w dalszej kolejności – jako zapalczywy, może trochę egzaltowany publicysta, w końcu wreszcie jako dziwaczny malarz. Pamiętam wypowiedzi o nim ludzi starszych: malarze twierdzili, że powinien pisać, literaci, że malować. Wszyscy zgadzali się, że to czarujący człowiek. Ta postawa wobec Czapskiego do dzisiaj zaślania i dzieło, i człowieka. Poznałem go więc najpierw jako pisarza. Kłopot z Czapskim polega właśnie na peszącej współobecności wielu osobowości w jednej, wielu talentów, wielu technik i rodzajów artystycznych. Posługiwał się nimi w jednym celu: aby uchwycić otaczającą go rzeczywistość, aby utrwalić i rozwinąć swój

świat wewnętrzny. Może więc zamiast sztucznie szatkować go na malarza, pisarza, publicystę, lepiej mówić o nim jako autorze – znakomitych – migawek rzeczywistości, rysunków świata i siebie, portretów układających się w dynamiczny autoportret. Taki był w pisaniu, taki był w malowaniu i taki był w rozmowie.

Taki jest jego dziennik, może jego autoportret najpełniejszy. Nikt dobrze nie wie, co te nagryzmołone dziesiątki tysięcy trudnych do odcyfrowania stron zawierają. Znam teksty drukowane, wspaniałe. Wielokrotnie oglądałem rękopisy. Oglądałem, bo wczytywanie się zajęłoby miesiące, lata: nerwowy zapis, czasem przechodzący z jednego języka w drugi, kontynuacja rozmowy z kimś czy lektura, zanotowany numer telefonu, szkic raptowny, doskonały (a czasem chybiony) czyjeś twarzy nagle ujranej, ta sama twarz w nowym ujęciu, szkic do przyszłego obrazu albo wyrwany fragment przeniesiony do następnego kajetu, który zostanie wykorzystany (albo nie) do projektowanego płótna. A obok list od kogoś i szkic odpowiedzi. Ciągły dialog.

Uwielbiał rozmowy. Lubił dyskusje, ale nie systematyczne, lecz płynną konfrontację poglądów zawsze ilustrowanych przeżyciami, szkicami z rzeczywistości, które miały potwierdzić lub podważać daną tezę. Miał olbrzymią tolerancję wobec stanowisk odmiennych, lubił sprzeciw. Nie znosił tylko zmyślania, grymasów niezgodnych z wewnętrzną prawdą. Takimi ludźmi przestawał się interesować. Takich pisarzy czy malarzy usuwał ze swojego świata.

Rozmawiać lubił w wąskim gronie, najchętniej w cztery oczy. Obecność trzeciego stanowiska i punktu odniesienia chyba mu przeszkadzała. Zapamiętałem go u francuskiego historyka, Philippe'a Arièsa – siedział w kunsztownym mieszczańskim fotelu, tak niepasującym do jego sylwetki Don Kichota, krzyżował swoje niemożliwie długie nogi, kręcił się, czuł się niewygodnie, choć pana domu cenił i lubił i był przez niego lubiany. Ale chyba we dwójkę, w pokoju Józia czy w anonimowej kawiarni, rozmowa potoczyłaby się żwawiej.

Prawdziwe spotkania z nim łączą się z jego pracownią, oglądaniem nowych obrazów, pokazywaniem dziennika i fotografii płócien z ostatnich wystaw. Najchętniej pólsiedział z butami na łóżku. Ręce trzymał założone za głowę i patrzył na rozmówcę albo przed siebie, jakby z pamięci wywoływał obrazy, którymi chce się podzielić. Jego opowieści podobne były do jego tekstów. Przerzucał się z tematu na temat, kreślił szybkie, czasem złośliwe portrety ludzi, niekiedy naśladował ich głos, mówił o problemach i lekturach, o sobie. I, jak w pisaniu, ważną rolę grały odpowiednio dobrane cytaty. W ja-

kimś momencie nie wytrzymał i chciał jak najszybciej przeczytać fragment wiersza czy prozy ilustrujący jego wywód. Wówczas jedną ręką opierał się o łóżko, a drugą sięgał na półkę nad głową, gdzie powinna stać potrzebna książka, mocno popodkreślana flamastrem, z jego „gwoździem diamentowym”. Książki i albumy zlatywały na tapczan i na głowę. Przerzucał je nerwowymi ruchami. Po pewnym czasie znajdował tam lub gdzie indziej potrzebny cytat i rozmawiał dalej – najczęściej już o czymś innym, bo spadające książki wywoływały nowe obrazy, nowe skojarzenia.

Podobnie czytał. Był czytelnikiem wspaiałym, impulsywnym. Świadczą o tym jego szkice i fragmenty dzienników, świadczą też książki, które przeszły przez jego ręce, te z półki nad głową i nie tylko. Czytał z piórem w ręku, podkreślał, stawiał wykrzykniki i znaki zapytania, smarował na marginesie komentarz, na końcu książki wypisywał ważniejsze strony i tematy, czasem jeszcze na okładce notował najbardziej znaczące odniesienia.

Z książkami też rozmawiał. Bywały to dyskusje ostre. Nie tylko aprobował, ale także zaznaczał swój sprzeciw, nawet u pisarzy sobie tak bliskich jak Brzozowski czy Simone Weil. Niekiedy bywał brutalniejszy. O pewnym skrajnym (chyba wyjątkowym) wypadku wiem od niego. Było to pod koniec lat sześćdziesiątych. Czytywałem wtedy z przejściem Georges’a Bataille’a. Opowiadałem Czapskiemu o tych próbach ateologicznej mistyki, o przetworzeniu Nietzschego, o podjęciu problemu transgresji. Któregoś dnia postanowił poznać Bataille’a. Kupił w Paryżu *Madame Edwarda*, czytał ją w pociągu do Maisons-Laffitte i z taką niechęcią zareagował na mieszaninę mistycyzmu i erotyki (plus bodajże na rysunki Bellmera, zachwycał się nimi Kot Jeleński, Czapski ich nie znosił), że gdy pociąg za Sartrouville przecinał Sekwanę, wyrzucił książkę za okno. Zaimponowała mi ta reakcja, uważałem jednak, o czym mu nie wspomniałem, że lepiej było mi książkę ofiarować; nie miałem jej, a była droga.

Potrafił być ostry w sądach o książkach czy obrazach, ale zawsze gotów był do zmiany zdania. Podobnie wobec ludzi – starał się ich dostrzegać z wielu stron. Nie był skłonny do potępień. Ta wielowarstwowość spojrzenia wywoływała sympatię – ktoś, kto chciał rozumieć, budził chęć do rozmowy, do spotkania. Połączenie ostrości spojrzenia i tolerancji nie we wszystkich jednak wzbudzało entuzjazm. W *Dzienniku* Lechonia można odnaleźć żywe ślady irytacji postawą Czapskiego.

Trudne złączenie wierności sobie i umiejętności uczenia się stało u źródeł uderzającej duchowej młodości Czapskiego do lat ostatnich. Wobec siebie był również stale pełen zwątpień. I nadziei. Stale chciał się uczyć, uczyć na własnych potknięciach. Mówią o tym zapiski w jego dzienniku. Mówią o tym jego obrazy. To przecież w płótnach późnych, po przekroczeniu osiemdziesiątki, osiągnął – w niektórych martwych naturach i przede wszystkim w ostatnich krajobrazach – niezrównaną siłę wyrazu.

Po pierwszych spotkaniach do jego tekstów wracałem wielokrotnie i słyszałem w nich ten sam wysoki *timbre* głosu, to samo podkreślenie pewnych słów, kursywą w druku, gestem i tonacją w rozmowie, to samo widzenie, błyskawiczne i celne, to samo używanie czasu teraźniejszego, gdy opowiadał o Delacroix czy o Corocie, o Degasie czy o Danielu Halévy, czy też o sobie sprzed lat kilku bądź kilkudziesięciu – dla niego wszystkie ważne problemy były współczesne.

Jego proza, często na granicy gramatycznej poprawności, brzmiała oryginalnie i naturalnie. Potem przekonałem się, że ta naturalność była wynikiem długiej pracy. Słowa o przyspieszonym rytmie, niektóre używane w swoistym sensie, cytaty inkrustujące opowieść, zawsze rozjaśniające, zawsze odkrywczе, nawet gdy się powtarzały, bo podporządkowywał je za każdym razem nowej tonacji. Dążył do kondensacji efektu. Z ciemności pojawia się kilka szczegółów, opisanych jego, Czapskiego, stylem, znakomicie dobranych, nawzajem się wyjaśniających. Tak powstało w *Oku* wprowadzenie do poszczególnych części: *Tło paryskie i polskie*, *Tło rosyjskie*, *Tło paryskie*. Te teksty, jak i niektóre sylwetki malarzy i pisarzy, jak i szkice snów, książek, problemów, obrazów w *Wyrwanych stronach* należą do najważniejszych dzieł polskiej prozy dwudziestego wieku, polskiej prozy w ogóle.

Jest w nich siła ewokacji, umiejętność łączenia ze sobą wielu rzeczy, wielu dziedzin (za Hofmannsthałem uważa, że ta umiejętność stanowi pierwszą zasadę twórczości), jest niezrównana energia słów. Dlatego Czapski zajmuje, moim zdaniem, miejsce wyróżnione w „szkole ontologicznej” polskiej prozy – nie chodzi mi o poglądy religijne czy filozoficzne, lecz właśnie o to, ile się w swych tekstach potrafi zawrzeć rzeczywistości, w jakim stopniu jest się władnym zatrzymać w słowach obrazy życia duchowego, przymusić słowa, aby znaczyły, stały się zrozumiałe i nośne dla innych.

Dwa cytaty, dwa drogie mu „diamentowe gwoździe”, najcelniej chyba określają tajemnicę tego twórczego płomienia, który rozjaśniał jego życie. Pierwszy to końcowa strofa wiersza *Manche freilich...* Hu-

gona von Hofmannsthala. Czapski często do tego wiersza powracał, w szkicu o Pawle Hostowcu dał jego znakomity polski ekwiwalent: „jedni umierają, pisze poeta, tam gdzie się poruszają ciężkie wiosła statków, inni mieszkają przy sterze, znają lot ptaków i krainy gwiazd. Jedni tkwią u korzeni zawiłego, pełnego zamętu życia, inni mają swe przybytki przy sybillach – królowych. Ale na szczęśliwców lekkich pada cień, cień od tamtych, dławionych w zamęcie życia, i związani oni są ze sobą, ci lekcy i ci ciężcy, jak powietrze z ziemią... Zmęczenia zapomnianych ludów nie może on sprzed powiek swoich usunąć, ani nie potrafi jego przerażona dusza z pamięci swej zetrzeć niemego zapadania się dalekich gwiazd. I losy wszystkich w jego los wrosnięte, wetkane, to więcej niż smukły płomień jego życia i jego wąska lira”. Ten wiersz, tę strofę – podaję ją w niedawno opublikowanym tłumaczeniu Pawła Hertza – uznać można za motto całego życia i dzieła Czapskiego, lecz myślę o tych słowach przede wszystkim, gdy zastanawiam się nad magią jego pisarstwa:

Z moim losem wiele losów się splata,
Wszystkie snuje w nieładzie istnienie,
Mam w nim większą część niż tego życia
Smukły płomień albo wąską lirę.

Drugi cytat to słowa Dürera. W monografii Pankiewicza Czapski wkłada je w usta swojego nauczyciela. W późniejszych rozważaniach o naturze pracy twórczej przytacza je jako słowa, do których miałby szczególne prawo Corot, malarz, który obudził w Czapskim przed laty, w Londynie, twórczą siłę. Ale przecież Czapski rozpoznał się w tych słowach. O nich myślę, gdy oglądam jego obrazy: „Czym jest piękno, nie wiem. Prawdziwa sztuka tkwi w naturze, kto ją może z niej wydobyć, ten ją posiada. Im bardziej dzieło twoje zgodne jest z życiem, tym jest lepsze. Nie wyobrażaj sobie, że mógłbyś stworzyć coś lepszego niż to, co Bóg stworzył. Z siebie samego nie może wykonać człowiek żadnego dobrego obrazu, ale jeżeli długo badał przedmiot i cały nim nasiąknął, to sztuka tak zasiana przyniesie owoc i wszystkie skarby tajemne serca będą wyrażone w dziele, w nowym stworzeniu”.

Konstanty A. Jeleński

Marynia

Swój piękny tom wspomnień *Europa w rodzinie* zakończyła Maria Czapska migawką pewnej nocy w rodzinnych Przyłukach z listopada 1914 roku: „W zenicie maleńki, krągły księżyc biegł pośród lekkich obłoków. Gałęzie starych lip klaskały, zbijane wichurą. Mroźna, szumna noc, ogrom nieba i żarliwe pragnienie pełni życia, oby nic mi nie było oszczędzone, ani ból, ani trud”.

Historia spełniła to życzenie siedemnastoletniej Maryni zapewne ponad jej najśmielsze oczekiwania. Ściślej mówiąc, dała jej pełne możliwości rozwoju indywidualnego, wcześniej ją uwalniając od ciężaru klasowych i materialnych przywilejów, zdając ją i jej rodzeństwo na własne siły, własną odwagę, własną wyobraźnię. Pięć siostr i dwaj bracia, w dzieciństwie osieroceni zgonem matki, pozostali zawsze blisko ze sobą związani, ale los sprawił, że kolejne życia Marii i Józefa potoczyły się równolegle od zarania aż po wspólne mieszkanko „na górze” w domu „Kultury”. Los ten spowodowany był niewątpliwie podwójnym pokrewieństwem między nimi, gdyż związek krwi utrwalał się z latami w bliski związek duchowy między tymi dwiema równie silnymi i odmiennymi indywidualnościami. Pisząc te słowa nazajutrz po śmierci Maryni, nie będę się tu porywał na pobieżny zarys jej długiego i niezwykłego życia. *Europa w rodzinie* i *Czas odmieniony* Marii Czapskiej, *Wspomnienia starobielskie* i *Nieludzka ziemia* Józefa Czapskiego, wspólnie przez nich napisany *Dwugłos wspomnień* dają w sumie niemal pełną kronikę „na dwa fortepiany” losów brata i siostry od urodzenia aż po rok 1945. Kontrast między pięknym, klasycznym stylem Marii, opartym na metodzie doświadczonej archiwistki, autorki szeregu książek i szkiców historyczno-literackich, wysoko cenionych przez najwybitniejszych polskich specjalistów, i spontanicznym, barwnym, nerwowym słowem Józefa stanowi jeden z uroków tej podwójnej autobiografii, którą dopełni niedługo od dawna oczekiwany *Dziennik* brata, prowadzony na nowo od ostatniej wojny, jego dzieło pisarskie najbliższe chyba mistrzostwa rysunków przeplatających rękopis.

W zakończeniu mego artykułu dla „Kultury” o *Europie w rodzinie* pisałem, że Maria Czapska jest najciekawsza i najbardziej wzruszająca, kiedy opisuje własne dzieciństwo: „Dzieci bywają nieraz przejryste. Ale rzadko się zdarza, aby osoba dojrzała potrafiła przekazać równie bezpośrednio i bez cienia jakiegokolwiek stylizacji istotę swych dziecinnych przeżyć. Maria Czapska tego dokonuje – gdyż mądrość i przejrzystość idą u niej w parze”. Dodam dzisiaj, że Maria Czapska należała do tej niezmiernie rzadkiej kategorii ludzi, którzy są wprost psychicznie niezdolni do zakłamania, nawet w najbardziej złagodzonej, towarzysko powszechnej formie. Świadczy o tym w jej twórczości *Ludwika Śniadecka*, książka, za którą otrzymała przed wojną nagrodę „Wiadomości Literackich” – ówczesny polski ekwiwalent Prix Goncourt. Gustaw Herling-Grudziński tak pisał o drugim, rzymskim wydaniu tej książki: „Jest to na pewno jedna z najlepszych polskich monografii historycznych. Czapska jest tak czujna i tak wrażliwa, tak sprawiedliwa i bezinteresowna, że wydaje się, jak gdyby sama uczestniczyła ex post w sprawach i zdarzeniach, które opisuje”. W przedmowie do swych świetnych *Szkiców mickiewiczowskich* pisze sama Czapska: „Pracując nad Mickiewiczem i jego epoką, starałam się docierać do istoty rzeczy każdego zagadnienia w przekonaniu, że zbliżenie do prawdy i jawność są wymowniejsze i moralniejsze od przemilczeń, legend i niedomówień”. I cytuje to powiedzenie Słowackiego, godne Kierkegaarda: „Mickiewicz stale reputację rozsądnego człowieka na szwank wystawia, bo mu Bóg miłszy niż reputacja”.

Myślę, że to zamiłowanie do prawdy, tak związane z nietkniętą u niej przejrzystością dzieciństwa, leżało u sedna tego rzadkiego talentu przyjaźni, który dzieliła ze swym bratem. Marynia i Józio byli bliskimi przyjaciółmi ludzi o czterdzieści lat od nich starszych i o pięćdziesiąt lat od nich młodszych. Najdziwniejsze jednak, że było to na równej stopie zarówno z Dymitrem Mereżkowskim czy Danielem Halévyem (w stronę wieku XIX), jak i z Adamem Michnikiem czy Wojciechem Karpińskim (w stronę wieku XXI). We wczesnej młodości byli na tyle „dojrzałi”, przekroczywszy osiemdziesiątkę, na tyle „młodociąnci”, aby przyjaźń prawdziwa i wzajemne zaufanie niweczyły tak często nieprzekraczalną „granicę wieku”.

Za parę dni spocznie Marynia na wiejskim cmentarzyku w Le Mesnil-le-Roi, w pobliżu Zygmunta Hertza, który często do niej „na górkę” zachodził. Po jego śmierci ukazało się w „Res Publice” wspomnienie o nim, podpisane inicjałami R.S., którego młody autor w kapitalnym skrócie przedstawił ustrój „udzielnego księstwa na Maisons-

-Laffitte” i niezastąpioną w nim rolę Zygmunta. Marynia dalej stała od pisma, aby dojść do jej narożnego pokoju na szczycie domu, trzeba było przejść obok pracowni Józia, wdrapać się o piętro wyżej, prześliznąć przez wąski korytarz. Jak często się zdarza, rola Maryni w środowisku „Kultury” odpowiadała topologii domu: zasiadając naprzeciw niej głębokim fotelu, inną miarą sądziło się wypadki dnia czy nawet lat. Gościa witał przejrzysty uśmiech, rozjaśniający piękną, klasyczną twarz tej starszej i tak młodej pani, dla której Mickiewicz czy Norwid byli równie bliscy i znajomi jak jej współcześni. Maryni można było wyznać wszystko, co człowiekowi leżało na sercu, i spotkać się z tym samym, zawsze żywym zrozumieniem. Tolerancja jej nie znała granic, może dlatego że będąc sama człowiekiem prawym i mądrym, nigdy nie zapomniała, że – jak pisał Mickiewicz do przyjaciół, cytując *Naśladowanie*: „Ludźmi jesteśmy i tylko ludźmi ułomnymi, choćby nas inni brali za aniołów”.

Paryż, 12 czerwca 1981

Piotr Wandycz

O Juliuszu Mieroszewskim

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Lektura notatki w dziesięciolecie śmierci Juliusza Mieroszewskiego (w lipcowo-sierpniowym numerze „Kultury”) nasunęła mi pewne refleksje. Jak Redakcja słusznie pisze, Mieroszewski był bardzo wybitnym publicystą, którego wpływ na kształtowanie się światopoglądów w Kraju był może większy, niż się to wydaje z emigracyjnej perspektywy. Zasluguje on na to, aby przyszły historyk emigracji uwzględnił w pełni jego wkład, styl i osobowość. Ta ostatnia z pewnością nastrożyła wiele kłopotów. Nie wiem, jak dużo listów Mieroszewskiego jest rozsypanych po świecie, a o ile pamiętam, nie należał on do ludzi lubiących uprawiać sztukę korespondencyjną. W swej londyńskiej „pustelni” na Gainsborough Road nie przyjmował zbyt wiele osób spoza Kraju, a podejrzewam, że ilość ludzi, którzy się z nim naprawdę przyjaźnili, była wręcz znikoma. Żyjącym źródłem dla okresu londyńskiego jest oczywiście druga żona publicysty, Inka z Czechowiczów Mieroszewska, dzieląca z nim wszystkie troski i kłopoty aż po tragiczne chwile przewlekłej choroby i śmierci.

Jako historyk, uczulony na przekazy źródłowe i zawodną pamięć współczesnych, myślę nieraz o tym, aby postać Juliusza Mieroszewskiego nie uległa w przyszłości skrzywieniom, a przyszli biografowie mogli rozporządzać maximum materiału. Stąd tych parę refleksji-wspomnień, mających służyć jako zapoczątkowanie zbioru przyczynków do biografii Juliusza Mieroszewskiego jako człowieka i pisarza.

Jak Pan wie, Mieroszewski był moim ciotecznym bratem – nasze matki, z domu Dunikowskie, były siostrami. Jednakże dzieliła nas duża różnica wieku (około 18 lat), dlatego też moje przedwojenne wspomnienia o Mieroszewskim to reminiscencje kilkunastoletniego chłopca, choć nad wiek zainteresowanego sprawami dorosłych i polityką. Przypominam sobie dobrze odwiedziny w Krakowie, gdzie mój kuzyn zamieszkiwał wraz z żoną, Ewą z Morawskich, i malutką córeczką, Moniką, w zacisznie położonym w ogrodzie na tyłach ordynackiego domu Mieroszewskich przy ulicy Krupniczej. Mieroszewski

pracował w „IKC-u”, w dziale polityki zagranicznej. Ponieważ szefem jego był redaktor Rubel, rodzina i przyjaciele żartowali, iż Mieroszewski jest tylko kopiejką. W latach przedwojennych Mieroszewski był już ekspertem od zagadnień niemieckich, dostatecznie znanym w Berlinie, aby odmawiano mu wizy. Ponieważ rodzina Mieroszewskich miała dość pokaźne sumy zamrożone w banku berlińskim – część odszkodowania związanego z przejęciem przez rząd pruski kopalni w Mysłowicach, należących do ordynacji Mieroszewskich – które można było użytkować tylko na terenie Rzeszy, do Berlina wyjeżdżała już tylko żona. Raz był tam młodszy brat, Sobiesław, prokurent w Polskim Eksporcie Naftowym; w czasie drugiej wojny podchorąży w 2. Dywizji Strzelców we Francji, internowany w Szwajcarii, a w ostatnim stadium wojny żołnierz Maquis i 2. Korpusu we Włoszech. Zmarł wkrótce po wojnie w Anglii, mając zaledwie trzydzieści kilka lat.

Obaj bracia Mieroszewscy wychowywani byli głównie przez ojca – matkę stracili we wczesnym dzieciństwie. Ojciec, dr Kazimierz Mieroszewski, był lekarzem, pełniącym przez szereg lat służbę w marynarce wojennej austriackiej. Pływał po całym świecie i znał dobrze wiele kultur, choć zawsze pozostał produktem wychowania klasycznego. Był przy tym oryginałem, by nie rzec dziwakiem. W okresie kiedy go znałem, a mieszkał wtedy we Lwowie i często u nas bywał, pasjonował się esperantem. Z usposobienia był raczej odludkiem i, rzecz mało charakterystyczna dla człowieka jego sfery, odznaczał się brakiem zainteresowania dla spraw genealogiczno-rodowych. Chłopców swych wychowywał z oddaniem i po spartańsku, usypiając ich, gdy byli mali, recytacją greckich i łacińskich heksametrów. Wpajał w nich pewną niechęć do konwenansów i dyscypliny życia towarzyskiego. Czy było to w jakimś stopniu aspołeczne wychowanie? Może. W każdym razie była w tym abnegacja, która – tak typowa dla wuja Kazimierza – została w dużym stopniu odziedziczona przez Juliusza. Pamiętam, jak w okresie londyńskim odnosił się w pewną pogardą do spraw, takich jak kupno dywanu czy nowej kanapy.

Jako wróg Trzeciej Rzeszy, poszukiwany listem gończym przez Gestapo zaraz po zajęciu Krakowa przez Niemców Mieroszewski, wraz z żoną i córką, musiał ewakuować się na wschód. Pamiętnego 17 września Mieroszewscy przedostali się wraz z dużą częścią mojej rodziny do Rumunii. Po paru miesiącach drogi nasze się rozeszły: moja prowadziła do Francji, a później do Anglii, Mieroszewskich losy rzuciły na Bliski Wschód. Juliusz będzie później żołnierzem Brygady Karpackiej i rozpocznie działalność propagandowo-dziennikarską w 2. Korpusie.

W tym czasie nawiązany zostaje bliski kontakt między nim a Jerzym Giedroyciem, który utrzymany zostanie do śmierci Juliusza.

Mijały lata i podczas mych stosunkowo częstych wizyt w Londynie bywałem zawsze na długiej pogawędce na Gainsborough Road. Mówiliśmy o rodzinie, a z biegiem lat Juliusz odczuwał coraz silniej związki rodzinne. Chociaż podkreślał swą lewicowość i nie cierpiał snobizmu i kołtunerii, był równocześnie (paradoksalnie?) dumny ze swego nazwiska i ziemiańsko-szlacheckiej tradycji. W liście, który od niego dostałem w odpowiedzi na zawiadomienie o moim ślubie z Polką (z tzw. dobrej rodziny), pisał między innymi, iż cieszy się, że „krew Dunikowskich, która jest mi droga, nie miesza się z krwią jakichś Smithów czy Brownów”. Może było w tym trochę pozy, a może atawizmu. Nawet w jego bardzo przemyślanej i do pewnego stopnia chłodno rozumowanej publicystyce politycznej zjawiał się czasem nagle jakiś raptowny zwrot jak błysk szabli: „bigosować!”.

O warsztacie pisarskim Mieroszewskiego wiem więcej z opowieści jego drugiej żony niż z własnych obserwacji. Wydawało mi się, że miał to, co określa się często jako łatwość pióra. Był dziennikarzem i publicystą z długim stażem i wielką rutyną; pióro było jego rzemiosłem.

Jak już wspomniałem, Juliusz Mieroszewski w swej londyńskiej „samotni” czuł się najlepiej bez kontaktów z lokalną Polonią, która mu to bardzo miała za złe. Moje próby ułatwienia takich kontaktów (bez cienia przekonania, iż coś z tego wyniknie) kończyły się zgrzytami. Mieroszewskiemu wystarczało najzupełniej towarzystwo żony i psa – psy bardzo lubił – spacer do lokalnego pubu na piwo i bardzo, bardzo rzadko spotkanie z bliskimi mu ludźmi. Do takich należeli Jerzy Giedroyc, Kazimierz Wierzyński i parę osób, których można by chyba policzyć na palcach jednej ręki. Oderwany przez tyle lat od Kraju, jakkolwiek czytał wszystko na tematy krajowe, co było dostępne, a rozmowy z wielu ludźmi, przyjeżdżającymi z Polski uzupełniały jego wiedzę, miał ogromne wyczucie problematyki krajowej. Podkreślali to zgodnie różni jego rozmówcy. Był emigrantem, który nie ulegał atmosferze emigracyjnej i pozostawał przeważnie poza zasięgiem „potępieńczych swarów”. Od momentu osiedlenia się w Londynie po zakończeniu wojny Mieroszewski nie wyjechał ani razu z Anglii. Konferencje redakcyjne odbywały się w Londynie i Londyńczyk nie był nigdy w Maisons-Laffitte. Dziwactwo? Potęgująca się niechęć do zmiany miejsca? Raz czy dwa razy, gdy byłem w Londynie, Juliusz witał mnie opowieścią o planowanym wyjeździe do Włoch

czy Francji. Pokazywał mi książki kucharskie (lubił dobrze zjeść i wypić, choć z latami to zamiłowanie stawało się raczej teoretyczne – na Gainsborough Mieroszewski nie opływał w pieniądze). Ale chyba i on, i ja wiedzieliśmy, że z Londynu nie wyjedzie, nawet na krótki dystans przez Kanał, i na krótki tylko urlop.

Los tak zrządził, że mego brata ciotecznego nie widziałem już w najgorszej fazie jego choroby. Pisarz tracący wzrok to rzecz potworna. Z opowiadań jego żony wiem tylko, z jakim stoicyzmem znośił swoje cierpienia. Ale nie był to chyba tylko stoicyzm wyniesiony z umiłowania starożytnej Grecji i Rzymu, które wpajał mu jego ojciec. Mieroszewski, będący raczej agnostykiem, po koniec życia stał się głęboko i żarliwie wierzący. Miał jeszcze dużo do powiedzenia i napisania, gdy umierał, ale nie my decydujemy o tym, czy śmierć jest przedwczesna, czy też nie. Odejście jego, jak to Redakcja określiła, oznaczało, że umarła część „Kultury”. A może przerwany został jakiś wątek w polskiej myśli politycznej na emigracji.

Józef Czapski

Jerzy Stempowski

Śmierć nas osacza, o tym niby wiemy wszyscy, ale jak? – jeżeli każda śmierć istoty bliskiej nam tę prawdę odkrywa na nowo i jakby po raz pierwszy.

Po Wierzyńskim, po Marku Hłasce, po Gombrowiczu odszedł od nas Niespieszny Przechodzień. Dla nas, mieszkańców domu „Kultury”, to był przyjaciel najbliższy, a czym była przyjaźń Hostowca – Jerzego Stempowskiego – wie każdy z tych, których swoją przyjaźnią darzył.

Iluż naszych czytelników zaczynało zawsze czytanie „Kultury” od „Niespiesznego przechodnia”.

Stop wiedzy o życiu i świecie, nigdy zadufanej i pysznej, ale wszechstronnej, wnikliwej i cichej, język giętki i czuły, w którym czytelnik odnajdywał natychmiast oczarowanie stylu tego, który był przyjacielem człowieka, ptaków i drzew, nieugiętego przeciwnika każdej, nawet słownej, tyranii – obywatela idealnej Rzeczypospolitej, który był bratem Ukraińca i Hucuła, Żyda czy Litwina, tego wroga wszelkiego, a przede wszystkim polskiego wynoszenia się ponad innych.

Z ludzi, których znaliśmy, chyba najbardziej Europejczyk – był on dzieckiem iluż tradycji, iluż kultur przeżytych od wewnątrz, całą istotą, ten Niespieszny Przechodzień po iluż krajach – *Od Berdyczowa do Rzymu* – tak nazwał tom swych dzienników podróży, z wydaniem którego wciąż zwlekał jeszcze i jeszcze, wprowadzając drobne poprawki czy skróty. Kraje, w których żył czy które odwiedzał, znał z niezliczonych lektur, z historii, z osobistych, na miejscu, spotkań i przeżyć, nigdy mu nie były obce, zdawało się, że był wszędzie u siebie w domu. Jego teksty, tak często dotyczące spraw paląco aktualnych, zdają się zawsze żyć poza czasem czy w wielu, bardzo wielu czasach jednocześnie. Świat antyczny – Rzym i Grecja – był mu równie obecny, równie przytomny, może bardziej nawet niż epoka, w której żył. Wspomnienie o j e g o Warszawie, o Wroniej i Siennej, zaczyna słowami: „Z Troi pozostał tylko jej niejasny opis dokonany przez Greków, którzy zburzyli miasto i wymordowali Priamidów. Burzyciele Warszawy byli mniej piśmienni. W literaturze ich na próżno szukalibyśmy opisu

miasta. Nikt z ich pisarzy nie mówił o Warszawie tonem głębokim i żalonym, jakim Eurypides mówi o Troi”.

Dawno zmarłych żywe twarze towarzyszyły mu jakby na każdej stronie jego pism, wrosły w samą tkankę jego istoty. Smutek, ból przemijania, współczucie są u niego zawsze wyrażone szeptem i szeptem, ubocznie, mówi również o swej głuchej tęsknocie, opisując rzeki ojczyście, w których „jedne huczą i dudnią, inne dzwonią po płytkim dnie, w innych słychać bulgotanie wirów i szmer pian przesuwających się nad głębiną, w innych wreszcie woda jest niema”.

Jakże mógłbym, jakże bym potrafił wyliczyć dziś chociażby główne nurty, główne ścieżki, po których myśl jego wędrowała, wyliczyć tonacje przeróżne smutku, pogody, nawet humoru i ciętego sarkazmu jego tekstów, ale nie myślę się chyba, że na dnie tych nurtów był ból, ból istnienia, który go rzadko, bardzo rzadko, opuszczał.

Ponad wszystko góruje w nas dziś myśl o przyjacielu: ilu z nas, i poprzez ile lat pomógł, oświecił, wzbogacił zadziwiającym wachlarzem wiedzy i miar porównania, samą postawą wobec życia i uwagą wobec każdego człowieka.

Tego przyjaciela, który był diamentem najczystszej wody w koronie „Kultury”, dzisiaj żegnamy.

* * *

Chcę tu wspomnieć również o jego szwajcarskich przyjaciółkach z lat powojennych, z tej Szwajcarii, którą pokochał i w którą wrośł. Myślę tu przede wszystkim o Henryku i Dieneke Tzaut. Ich wieloletnia przyjaźń towarzyszyła mu wiernie, do ostatnich chwil. Henryka Tzauta – wybitnego prawnika i wyższego urzędnika szwajcarskiej administracji federalnej, jego małżonkę, panią Dieneke Tzaut – malarzkę i profesora muzyki – powiązała z Jerzym przyjaźń wieloletnia i wspólność zainteresowań. Ich dom, pełen pamiątek, książek, dzieł sztuki, stał się jego własnym domem. Zastąpili mu rodzinę, czuwając nad nim z całkowitym oddaniem do ostatniego tchu.

Od rozsianych po świecie przyjaciół zmarłego należy się im wdzięczność najgłębsza.

Gustaw Herling-Grudziński

Pożegnalny list

Kiedy pod koniec roku 1961 ukazał się w „Kulturze” czwórgłos Czapskiego, Jeleńskiego, Miłosza i niżej podpisanego o *Esejach dla Kassandry*, Jerzy Stempowski tak nań zareagował w liście do mnie: „Czuję się teraz jak kanonizowany za życia i niemal jak pochowany obok Stawara w Alei Zasłużonych. Być może lepiej było zostawić jakiś zapas, bo co Panowie napiszą o mnie po śmierci? Czuję się tym wszystkim bardzo wzruszony i zarazem zakłopotany, bo ambicją moją było raczej pozostanie w cieniu jak pan Chlewaski, co słusznie zauważył Jeleński. Bardzo się ucieszyłem, że pisząc o mnie, wspomniał Pan Frydrego, którego dziś pewnie mało kto wspomina, a który najbardziej na to zasłużył”.

Był w tym cały Stempowski: nawet w uśmiechu wzruszenia delikatny błysk ironii. Co Panowie napiszą o mnie po śmierci? Można by napisać jeszcze niejedno, choć odczytując po latach czwórgłos w „Kulturze”, widzę, że powiedziano w nim rzeczywiście dość dużo, jeśli się zważy, że tak mało z tego, co Stempowski dał z siebie innym, przeniknęło do druku. Był z natury konwersatorem (raczej monologistą) i epistolografem. Jego „życzliwy cień” towarzyszył licznym sprawom i ludziom, ale „wyjścia z milczenia” odbywały się rzadko. Wychodził zaś z milczenia najchętniej w rozmowach i w listach, uważając epistolografię za lepiej (przynajmniej we własnym wypadku) do celu trafiającą formę „czernienia papieru”.

Istnieją setki, a może i tysiące listów Stempowskiego do przyjaciół i znajomych, jest wśród nich wiele takich, które zasługują na nazwę esejów dla przyjaciół i znajomych: bez żadnych skreśleń i retuszy mogłyby powędrować do drukarni jako uzupełnienie *Nowych marzeń samotnego wędrowca* i *Notatnika nieśpiesznego przechodnia*. Kiedyś – miejmy nadzieję – zostanie to wszystko po przesianiu ułożone w grube tomisko. Tymczasem, nad świeżym grobem Pana Jerzego, chciałbym przytoczyć Jego pożegnalny list do mnie z 17 stycznia 1969 roku. Że był pożegnalny, wiem dopiero teraz.

Od dłuższego już czasu trudności panowania nad klawiaturą maszyny, związane z chorobą, sprawiły, że dawał o sobie znać coraz rzadziej kartkami pokrytymi drukowanym ręcznie i ledwie czytelnym pismem. Wiedziałem jednak, że dostanę ten list styczniowy. Żeby wyjaśnić, skąd taka pewność, trzeba zrobić małą dygresję.

Stempowski był fanatycznym wielbicielem i najpilniejszym chyba na świecie czytelnikiem wielkiego dziennika mediolańskiego „Corriere della Sera”. Uważał go za absolutnie niezawodne źródło informacji, lepsze nawet od „Le Monde” (co zresztą łączyło się jakoś z rosnącą wciąż niechęcią do Francuzów i starą, niekiedy wręcz zaślepioną miłością do Włochów), o jego współpracownikach i korespondentach mówił jak o dobrych znajomych, często przecinał z odcieniem irytacji skomplikowane kontrowersje krótkim i bezapelacyjnym: „W »Corriere« piszą”. Pani Dienneke Tzaut, w której berneńskim domu spędził większą część życia na obczyźnie otoczony wzruszającą przyjaźnią obojga gospodarzy, opowiadała mi, że zaczynał dzień w Bernie od kupna w południe świeżego „Corriere” i pogrążenia się w jego lekturze na minimum dwie godziny. 15 stycznia ukazał się w dzienniku mediolańskim mój pierwszy artykuł, zatytułowany *Il Momento Morale* i poświęcony opozycyjnej postawie inteligencji rosyjskiej od Siniawskiego po Sołżenicyna. W moim osobistym odczuciu był to również list do Pana Jerzego, na który nie mogła nie przyjść odpowiedź. I przyszła. Nie tak długa co prawda jak Jego dawne listy, ale jednak wystukana z wyraźnym wysiłkiem na maszynie. Kwitowała na wstępie z radością moją próbę „wy tłumaczenia czytelnikom zachodnim”, o co w istocie rzeczy chodzi, po czym (jak było zawsze w zwyczaju rasowego epistolografa) wymotywała z doświadczeń i lektur własny wątek myśli:

Heroiczna postawa opozycyjnej inteligencji rosyjskiej, z gotowością do męczeństwa i być może z głęboką potrzebą męczeństwa, jest już od dawna jej rysem charakterystycznym. Pamiętam ją z carskich czasów. Opis jej znaleźć można w powieści Sawinkowa *To czewo nie było*, napisanej gdzieś między 1905 i pierwszym rozczarowaniem autora do terroryzmu a 1914. Jest dziś niesłusznie zapomnianym dokumentem. Odwagę w obliczu męczeństwa mogliśmy zresztą widzieć też u Mihajła Mihajlova, wnuka rosyjskich emigrantów. Mihajlov jak i Siniawskij i inni musieli zdawać sobie sprawę, że wystąpienia ich nie mogą mieć żadnych doraźnych skutków politycznych, chodziło więc im o danie świadectwa prawdzie, o to co Pan słusznie określa jako zagadnienie moralne.

W Rosji męczennicy są zapewne bardziej samotni niż gdzie indziej. Młodość kończy się tam koło 25 roku życia, po którym pyknicy, stanowiący dziś na powierzchni życia przeważającą większość, zaczynają lekko łysieć i tyć, nastawieni wyłącznie prawie na *ziemnyje błaga*. Kiedy na festiwalu młodzieży w Wiedniu zobaczyłem 300 Rosjan w wieku 25–30 lat, którzy aby się tam znaleźć, musieli zdać egzamin ze sprytu, ich pykniczny typ i praktyczne zachowanie się były dla mnie największą rewelacją. Wyglądali jak moi koledzy z odeskiego gimnazjum, których widziałem w kilka lat później. Sposób,

w jaki patrzyli na kaukaską parę tańczącą w upale i na entuzjazm komunistów zachodnich – wot *duraki* – wskazywał, że od tej strony rewolucja nic nie zmieniła, zmiotła tylko z powierzchni życia asteników, mniej praktycznych i skłonnych do marzycielstwa. Nie wydaje mi się, aby widok Golgoty i jakiegokolwiek zagadnienia moralne mogły poruszyć martwą masę tych kandydatów na profitariuszy. Samotność bohaterów musi tam być zupełna.

Zachowanie się inteligencji rosyjskiej przypomina prześladowanych chrześcijan pierwszych wieków i prześladowanych przez nich później heretyków. Zjawiska te są niezrozumiałe dla „intelektualistów” zachodnich, wychodzących ze szkoły Epikura i Shaftesbury’ego. *Essays* Bacona zaczynają się od słów: *What is truth? said jesting Pilate and did not stand for the answer*. Tzw. zaangażowanie, głoszone przez Sartre’a i Grahama Greene’a, było tylko fanatyzmem komunizantów i nie zmieniło postawy inteligencji zachodniej.

Nawet taki zapalony wielbiciel Lenina jak Georges Sorel nie mógł zrozumieć postawy chrześcijan gotowych do męczeństwa. W swej książce o upadku rzymskiego imperium Sorel wypowiada mniemanie, że liczba męczenników chrześcijańskich była ograniczona do kilku naiwnych fanatyków i została później pomnożona wielokrotnie dla celów propagandowych. Przypuszczenie to, nieoparte na żadnych dowodach, jest tylko odmową zrozumienia zjawisk wychodzących poza taktyczne rozważania teoretyków przemocy. Pańska próba przedstawienia aspektów moralnych protestów pisarzy sowieckich jest dla czytelników zachodnich czymś nowym, odbiegającym od tradycji Zachodu.

List był pożegnalny, ale widziałem jeszcze Stempowskiego w kilka miesięcy później w domu „Kultury” w Maisons-Laffitte. Mówił głosem prawie niedosłyszalnym, cieniutkim jak niteczka, która za chwilę pęknie. Któregoś dnia po kolacji wyciągnął mnie na „kawkę” do „Biszety”, żeby „przedyskutować dwie ważne sprawy”. Jedna z nich streszczała się w pytaniu, czy wobec idylli włosko-jugosłowiańskiej nie dałoby się w jakiś sposób przyjąć *via* Rzym z pomocą Mihajlowi. Wizyta u Mihajlova w Zadarze, opisana tak żywo w roku 1966 w „Kulturze”, była ostatnią dużą wyprawą Samotnego Wędrowca. Życzliwy Cień krążył wciąż wokół młodego, uwięzionego wkrótce potem autora *Lata moskiewskiego*, który „gdyby nie różnica wieku mógłby być moim kolegą z rosyjskiego gimnazjum”.

Tymon Terlecki

„Pan Jerzy”

Śmierć jest narzucaniem dystansu nieodwołalnego, niemożliwego do przełamania, ostatecznego – można by to uważać za jedną z jej definicji. Śmierć Jerzego Stempowskiego w berneńskim osamotnieniu narzuca dystans jakby ze zdwojoną siłą. Jest to śmierć kogoś, kto za życia umiał się wznosić ponad życie, umiał na nie patrzeć jak człowiek z innej epoki lub człowiek z innej planety, lub jak Swiftowski Grumdrypp, człowiek nieśmiertelny, kto z tego dystansu czerpał wiedzę cierpką i spokojną, trzeźwą i olśniewającą, która zdumiewała czytelników, a może jeszcze więcej rozmówców, milczących słuchaczy jego monologowania.

Odczucie dystansu w stosunku do Stempowskiego pociąga za sobą zasadnicze wahanie, jak o nim pisać, co uznać w nim za istotne i ważne. Można by o nim napisać dwa eseje, dwie książki. Jedna z nich byłaby monografią czystej inteligencji, monografią ascety myśli, poszukującego *une nettete desespere*, jak *Monsieur Teste* Valéry’ego. Druga z tych możliwych książek, przeciwnie, powinna by jak najciaśniej uwikłać abstrakcję w konkret, powinna by wpisać Stempowskiego w otocze społeczne, polityczne, gospodarcze, kulturalne, ujawnić sprawy osobiste konsekwentnie utajane za życia.

Stempowski sam oczywiście optowałby za pierwszą ideą, najpewniej zrywałby się na drugą. Gdybym miał wybierać między nimi, wahałbym się aż do niemożności decyzji z lęku, że każda z nich byłaby błędna i niepełna. Nie stoję w tej chwili przed takim wyborem. To co chcę napisać, należy do nieważkiego gatunku wspomnień osobistych z czterdziestu bez mała lat znajomości, zażyłości, czegoś bliskiego, przyjaźni. Ale te wspomnienia będą nieuchronnie oscylowały między dwoma biegunami, między którymi rozpięta się w moim odczuciu osobowość Stempowskiego, między tymi dwiema książkami, które można o nim napisać.

Poznałem go w Warszawie w początkach trzeciego dziesiątka lat naszego burzliwego stulecia. Był wtedy urzędnikiem Banku Rolnego i – jak ja – profesorem Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej. Już

ta kombinacja zatrudnień mogła się wydawać dziwaczna, była jedyna w swoim rodzaju. Ale i wtedy, i teraz gdy do tego wracam, uderzało i uderza mnie coś innego: wstydlivość, dyskrekcja na swój osobisty temat, powściągliwość emocjonalna. Napomknienia o sobie należą do największych rzadkości także w pisanim dorobku Stempowskiego. Jeśli powie, że w ósmym roku życia był „chłopcem nerwowym i krnąbrnym”, cała reszta szkicu będzie poświęcona „dzieciom Warszawy w początkach XX wieku”, ściślej, dzieciom w szkole rosyjskiej. Gdzieś indziej wspomni, że w młodości był „pojętnym brydżystą”, jeszcze gdzieś indziej nazywa siebie „wiernym synem pozytywizmu”, co zresztą nie wydaje się zupełnie ściśle.

Zachowałem w pamięci tylko dwa obszerniejsze wypowiedzenia, które można uznać za osobiste lub pośrednio osobiste. Pierwsze znajduje się w zaczytanym do szczytu czy tylko zapomnianym wydawnictwie *Kraj lat dziecinnych*, w jednej z najwcześniejszych książek, jakie ukazały się poza Polską (1942), drugie w innej pracy zbiorowej – *Conrad żywy*. Pierwsze jest mi niedostępne na antypodach, na których spisuję te uwagi, ale pamiętam, że wezwany do opowiedzenia o swoim kraju lat dziecinnych Stempowski dał zarys historii żywiołu polskiego na stepach ukraińnych. Drugi szkic nosi tytuł *Bagaż z Kalinówki* i dotyczy Conrada, lecz jest kryptowyznaniem osobistym, niestety zwiążym do ostateczności, liczącym wszystkiego pięć kusych stroniczek. Można na nich obserwować odruch wyznawczy i jakby spłoszenie się, uchylenie w postawę *noli me tangere*.

Rzeczony esej zaczyna się tak: „Pochodzę z tych samych okolic co Conrad i słyszałem o nim od najwcześniejszej młodości, zanim autor *Korsarza* stał się u nas sławnym pisarzem”. I dalej: „[...] część dzieciństwa spędziłem o kilka kilometrów od Chreptiowa i tamtejszy genius loci ukazał mi się po raz pierwszy w postaci rosnących koło naszego domu tysiącletnich drzew dereniu otaczających grób z XI wieku, pod którym znajdował się inny stary grób pogański”. Było to bodaj w Szebutynicach, miejscu urodzin, ale nie jestem tego pewny. Stempowski rodził się ze Stempowskiej, jak to bywało w ekskluzywnych rodzinach arystokratycznych. Pochodził z karmazynów, ale był zaprzeczeniem udręczającego, ośmieszającego nas snobizmu rodowego. Nigdy nie robił najmniejszych aluzji do swego pochodzenia.

To jest koniec końców tylko sprawa dobrego smaku. Kryło się w tym jednak coś bardziej poważnego i znaczącego – niespodziany aspekt conradowski. Jak Conrad, Stempowski zerwał ze wszystkim, co było poza nim, ale nosił to w sobie, zachował to w postaci wy-

sublimowanej. Na takie rozpoznanie naprowadza wspomniany esej. Stempowski wiąże z Kalinówką, z której Conrad naprawdę czy rzekomo wyruszył na morza, jego zdolność wczuwania się w wewnętrzny świat ludzi przynależnych do rozmaitych ras, religii, kultur, zdolność tolerowania ich, rozumienia i smakowania. A oto pośrednie, po stempowsku zawołowane, lecz niewątpliwie osobiste wyznanie: „Zachowane w pamięci niektórych Polaków fragmenty dawnego wzoru wolności dzielą ich od obcych i swoich skuteczniej i sekretniej niż język i obojętność polityczna. Poszarpane na strzępy przez próby czasu i katastrofy historyczne resztki tego wzoru nie mieszczą się w pojęciach naszych współczesnych, trudno je opisać w terminach powszechnie zrozumiałych. Samo zachowanie ich w pamięci wymaga osnucia ich pajęczyną sofistyki uczuć, otoczenia odrębną skalą wartości złożoną z tysiąca omówień, porównań, zestawień, zbliżeń, peryfraz. Obecność w pamięci takiego wątku, zmuszającego do nieustannej pracy wyobraźni, jest zapewne ciężarem, przeszkodą w wykonywaniu większości zawodów oraz źródłem niezrozumiałych dla innych wrażliwości i obojętności”.

Mawialiśmy o Stempowskim: liberał, kosmopolita, Paneuropejczyk; byli tacy, którzy określali go po prostu jako masona. W istocie był to może ostatni Polak jagielloński, czujący i myślący kategoriami Rzeczypospolitej wielu narodów, jak kiedyś czuł i myślał Polak-„Litwin” Mickiewicz i Polak-„Ukrainiec” T. T. Jeż. Jest to uchwytnie w „otwartości” Stempowskiego na ludzi, w jego potrzebie i umiejętności dialogu, jest utrwalone w wielu śladach dojść, spotkań, porozumień. Potwierdza to doskonale bezstronny artykuł o mniejszości ukraińskiej w jeszcze jednym niesłusznie zapomnianym, wielkim, trzutomowym wydawnictwie encyklopedycznym pt. *Pologne 1919–1939*.

Całą tę sprawę osnuwa nigdy niewyznana, lecz uświadomiona w źródłach melancholia. Nasza inwestycja wschodnia, niesłuchanie kosztowna i tragicznie źle przez nas samych zagospodarowana, stała się stratą niepowrotną. Tym większa racja, żebyśmy byli świadomi jej kulturalnych dywidend, nielicznych, ale cennych, takich jak Conrad i Stempowski – conradysta intelektualny.

Wspomniałem, że kolegowaliśmy z panem Jerzym w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, czyli jak się wtedy skrótem mówiło: w „Piście”. Wszedł on do niego w rok po mnie, ale wykładał tylko na Wydziale Reżyserskim. Czynność wykładania, a także jego przedmiot były bardzo szczególne. W monumentalnie rozbudowanym programie Wydziału jego twórca i kierownik, Leon Schiller, prze-

widział okienko z przyciężko określonym przedmiotem: Tło filozoficzne głównych epok teatru, i do nauczania tego przedmiotu zaprosił Stempowskiego. Właściwie trudno racjonalnie wytłumaczyć ten wybór. Stempowski był wtedy autorem bibliofilskiego druczku *Pielgrzym* wydanego pod pseudonimem B. Serafin aż w 30 egzemplarzach jako pierwszy numer „Biblioteki Pstrokońskiej” (wszystko to razem jest dla mnie nieczytelną krzyżówką), autorem kilku dających się policzyc na palcach jednej ręki, choć kapitalnych esejów i oryginalnej, niewielkiej książki o Panu Jowialskim. Najprawdopodobniej wybór podsunęła Schillerowi intuicja artystyczna, którą posiadał w stopniu sięgającym genialności. Mogło coś ważyć i to, że planował inscenizację najbardziej tajemniczej, kontrowersyjnej komedii Fredry i w prologu (zdaje się też w epilogu czy parabazie) zamierzał postawić sobie do oczu trzech jej ówczesnych krytyków: Eugeniusza Kucharskiego, Boya-Żeleńskiego i Stempowskiego. Do ostatniego z nich mogło Schillera pociągać domniemane ostrze antysanacyjne książki, jakoby błyskające już w tytule: *Pan Jowialski i jego spadkobiercy. Rzecz o perspektywach śmiechu szlacheckiego*. Ponowna, świeża lektura nie odsoniła mi tego ostrza; jeśli było, zdołało zwietrzeć.

Do dzisiaj widzę Stempowskiego na nieistniejącym pięttrze nieistniejącego budynku przy ulicy Trębackiej. Po prawej stronie klatki schodowej Wydział Reżyserski miał trzy niepokalanie białe i gołe pokoje: dwa większe (jeden z pianinem i podium) oraz klitkę tuż przy drzwiach, w której wywnętrzali się przeważnie teoretycy – wszystko połączone dosyć wąskim korytarzem. Tam wymijałem się ze Stempowskim i ściśle go oplatającym wiankiem młodych ludzi. Wysoki, siwiejący stał z głową łagodnie pochyloną ku dołowi i długo po swojej lekcji, przez całą przerwę, dywagował cichym, ciurkającym głosem bez śladu modulacji. Jego przedmiot był sformułowany niezgrabnie, lecz elastycznie. Stempowski mógł mówić nie tylko o podłożu filozoficznym, ale i ogólnokulturalnym, społecznym, politycznym i ekonomicznym. Mówił o wszystkim, co pomyślała jego głowa.

A była to głowa uposażona w jedyny, może niepowtarzalny sposób. Wiedzieliśmy, że studiował w Polsce, Niemczech i Szwajcarii historię, filologię klasyczną i medycynę, słuchał Vilfreda Pareto i Guglielma Ferrero, zagłębiał się w filozofię Spinozy. Dziś wiadomo, że w roku 1914 przedłożył na uniwersytecie zuryckim tezę *Antike und christliche Geschichtsphilosophie im I–V Jahrhundert*, ale przewód doktorski nie został z jakichś powodów zamknięty. Podobnie zahaczyły się przed metą pełne studia medyczne. Potem czy pomiędzy wypadło dłuższe

unieruchomienie przez chorobę; jest ona gdzieś określona w sposób charakterystyczny dla Stempowskiego jako „okres szczególnie ubogi w rozrywki”. Z jego formacji umysłowej, z procesu urobienia zdałem sobie w pełni sprawę już w okresie powarszawskim. Stało się to na podstawie tego, co Stempowski pisał, i na podstawie drobnego, lecz pamiętnego doświadczenia.

Gdzieś po roku 1950 spędziliśmy kilka tygodni w Monachium, w jednym z jego miast uniwersyteckich, jako członkowie jury literackiego. Mieszkaliśmy w jednym pensjonacie, bardzo *gemütlich*, na najwyższym (czwartym? piątym?) piętrze nowo i brzydko odbudowanej, biało tynkowanej kamienicy. Był to czas, w którym najwięcej z nim przebywałem i najwięcej go słuchałem na rozmaite tematy, również medyczne. Między innymi Stempowski szczegółowo, klinicznie opisywał chorobę raka u osoby nienazwanej nawet z imienia – chodziło o kobietę jego życia, którą znałem w Warszawie; to zdaje się jej „cieniem” jest dedykowany *Esej dla Kassandry*.

Kiedys pół żartem, pół serio poprosiłem go, aby mnie zbadał. Niedzielne rano, gdy nie musieliśmy się nigdzie śpieszyć, niczego czytać i oceniać, pan Jerzy przyszedł do mego pokoju w pidżamie z płaszczem narzuconym na ramiona (nie miał szlafroka). Leżałem jeszcze w łóżku, pod odkopaną bawarską pierzynką z puchu, przypalającą chwilami żywym, piekielnym ogniem, i tak się poddałem formalnemu, najbardziej detalicznemu badaniu. Przedtem i potem dotykały mnie niezliczone razy rozmaite ręce, wsłuchiwały się w moje tętno rozmaite uszy, ale nie pamiętam takiej delikatności dotknięcia, takiej przenikliwości wejrzenia, tak fascynującego komentarza do tego, co widział, słyszał, stwierdzał w ciemnościach mego ciała ten lekarz bez dyplomu lekarskiego. Gdyby chciał być *a quack doctor*, mógłby być zrobić fortunę.

Nazywano Stempowskiego humanistą doskonałym, neohumanistą. Rzeczywiście czytał po grecku i po łacinie z równą swobodą, jak czytał w kilku językach nowożytnych. Klasycy, Tukidides czy Owidiusz, bywali dla niego autorami czytanyymi do poduszki lub w pościągu. Wszystkie jego rozważania o literaturze, o kulturze mają swoje korzenie w przeszłości grecko-rzymskiej. Ale w rzeczy samej jego formacja intelektualna była podwójna: humanistyczna i przyrodnicza (wspomina gdzieś pracę w laboratorium). Niejako *avant la lettre* Stempowski znosił przeciwieństwo „dwu kultur”, przeczył głośniejszej tezie C. P. Snowa o rozziwie między wiedzą o człowieku i wiedzą

o przyrodzie. Był humanistą myślącym kategoriami nauk ścisłych, był *a scientist* o często oszołamiającej kulturze humanistycznej.

Ale i to nie jest wszystko. „Poważniejsze wykształcenie humanistyczne – stwierdził przy jakiejś sposobności – ma w sobie zawsze coś z kurzu bibliotek i coś z szlafroka”. Intelektualizm Stempowskiego nie był szlafrokowy i nie pachniał kurzem. Łączył go z metodycznym studium życia, konfrontował z rzeczywistością i pogłębiał w tej konfrontacji; trafnie nazwał to kiedyś „eksperymentalnym wykształceniem społecznym”. Znał mnóstwo ludzi, lubił rozmawiać, umiał sensownie podróżować – jakby z reflektorem, lunetą i mikroskopem. Miał zdolność kojarzenia elementów obserwacji i spekulacji, teorii i doświadczalnego konkretności, wiedzy książkowej i wiedzy życia. Świadczą o tym jego dzienniki wydane osobno (*Dziennik podróży do Austrii i Niemiec*, 1946), drukowane tylko w „Kulturze” (*Nowy dziennik podróży do Niemiec*, 1949) i jeszcze nieogłoszone.

Stempowski umiał czytać, rozumieć, pamiętać książki, ale umiał też czytać ziemię, krajobraz, pejzaż kulturalny jak książkę. Z tej rzadkiej sprawności powstały eseje francuskie *Terre bernoise* (Genewa 1954), uhonorowane nagrodą literacką kantonu berneńskiego, lecz nie dosyć znane Polakom. Nawiasem mówiąc, jest to książka pod wielu względami znamienita. Wstydlawy akt wdzięczności dla ziemi, która udzieliła Stempowskiemu schronienia. I metafora tęsknoty za własną ziemią, daleką ukraińską i bliższą mazowiecką. Stempowski bronił się przed takim ujęciem: projektowany przeze mnie wywiad korespondencyjny nie doszedł do skutku; gdy doszło do rozmowy przed mikrofonem, uchylał się od potwierdzenia moich domniemań. Zapewne uważał je za zbyt sentymentalne.

Właściwe Stempowskiemu krzyżowanie się, wzajemne oświeclanie rzeczywistości humanistycznej i pozahumanistycznej jest zaznaczone od razu w tytule głośnego studium z 1933 roku *Chimera jako zwierzę pociągowe. Próba interpretacji ekonomicznej futuryzmu i surrealizmu*. Ten tytuł brzmi po marksistowsku, ale gdyby marksieści rozumowali z taką subtelnością i ostrożnością jak Stempowski, na pewno byłoby z nimi mniej kłopotu. W jego dorobku jest sporo esejów potwierdzających zmysł drobiazgowej obserwacji, umiejętność ankiety terenowej, zdolność do zasadnych uogólnień. Najbardziej typowe pod tym względem są *Obrazy z czasów kryzysu rolnego*.

Cechowała Stempowskiego nieustanna czujność, nieograniczona chłonność, pasja, którą łacinnicy nazywają *novarum rerum studio*. Nigdy się nie spóźniał, ale też nie ulegał łatwo złudzeniom nowości.

Kiedyś stanęliśmy do dyskusji o „końcu powieści”. Potraktowałem poważnie ten temat nawracający jak legendarny potwór z Loch Ness, ale Stempowski otrzeźwił mnie przytoczeniem z głowy tytułów książek, które kilkanaście i kilkadziesiąt lat wcześniej wieściły zagładę gatunku powieściowego. Pisał o „antypowieści” bez świętego oburzenia i cielęcego zachwyty. Umiał przenikliwie spojrzeć na *Cmentarze Hłaski*.

Wrażliwość estetyczna Stempowskiego mogła się wydawać nieograniczona. Zajmował się przede wszystkim literaturą, ale żadna dziedzina sztuki nie była przed nim zamknięta. Pamiętam, że w owym monachijskim pokoju pensjonatowym, w którym odbyła się opisana konsultacja lekarska, wisiały nad łóżkiem bardzo dobre reprodukcje obrazów Raoula Dufy’ego; od jednego rzutu oka Stempowski miał do powiedzenia celne rzeczy o ich geometryzmie i linearyzmie. Drugiemu, krótszemu spotkaniu w Monachium zawdzięczam wykład o muzyce szwajcarskiej, który zachowałem w pamięci do dzisiaj. Powstał on przypadkiem, na marginesie nagrody muzycznej ufundowanej przez Polskie Oddziały Wartownicze (do jury tej nagrody obok Stempowskiego wchodził Małcużyński, Ludwik Bronarski, Regamey i ja; zebranie odbyło się w domu Małcużyńskich „Le Petit de Sonzier” w Chernex nad Montreux). W rozmaitych czasach Stempowski pisał o Strawińskim, o operze chińskiej, o balecie z Leningradu. W bibliografii jego esejów można znaleźć tytuł *Fantazje bywalca koncertowego*.

Gdy tak z gruba zakreślam obręb zainteresowań Stempowskiego, przychodzi mi na myśl, że był to jeden z ostatnich, może ostatni Polak ze świadomością śródziemnomorską. W ciągu kilkunastu lat nie udało mi się go zwabić do Anglii. Nie był nigdy w Ameryce, choć znał dobrze literaturę amerykańską (Faulknera lepiej niż Hemingwaya) i dobrze orientował się w amerykańskim krajobrazie duchowym. Nie odrzucił na moje późne zapędy afrykanologiczne. Był do końca przeświadczony, że źródło kultury zachodniej bije wokół brzegów Morza Śródziemnego i jej słońce odbija się w błękitnych falach tego morza. Nie znosił pragmatyzmu, żył bez pośpiechu, swoistym rytmem wewnętrznym. Nawet śmierć dostroiła się do tego rytmu, była powolnym gaśnięciem, powolnym zacichaniem, zesza na niego we śnie. Stempowski Śródziemnomorczyk może się wydać anachronizmem, ale jeśli jest to anachronizm, ma on taką samą cenę jak paradoksalnie kojarzący się z nim kompleks jagielloński rodem ze stepów Ukrainy. Ma walor wzorca.

W warszawskich latach naszej znajomości Stempowski wydawał się wielu obserwatorom człowiekiem o wielkiej dysproporcji między

możliwościami i spełnieniami, zdolnym, ale niewydarzonym, zdeklasowanym wielkim panem bałamucącym się intelektualnie, *il dilettante*. Sam wymyśliłem formułę: skrzyżowanie bałagudy z Montaigne'em i gdzieś ją chyba ogłosiłem. Ta formuła był to produkt mody; celował w takich błyskotliwych wynalazkach Stefan Napierski. Zawierała może nawet ziarno jakiejś racji, intuicję „ukraińskości” Stempowskiego, lecz wymagała komentarza historyczno-obyczajowego (bałaguda to jakby hippie pierwszej połowy XIX wieku człowiek o szerokim geście, lekceważący konwencjonalne zwyczaje członek koniarsko-hulackiego stowarzyszenia, jak to określał Kraszewski). Ale jeszcze w czasach, w których powstało wspomniane określenie, przekonałem się, że pod intelektualną rozpustą Stempowskiego kryją się głębsze pokłady.

Jakieś dwa lata przed wojną, już w epoce Ozonu, w Instytucie Sztuki Teatralnej, cieszącym się zasłużoną sławą liberalizmu i przesadzoną renomą „czerwoności”, wybuchła awantura na tle rasowym. Wbrew statutowi szkoły ówczesny dyrektor Stanisław Adamczewski, niezły polonista, lecz nie na swoim miejscu i na dobitkę człowiek słabego charakteru, zwolnił dwóch naszych kolegów: Aleksandra Hertza, znakomitego socjologa, i Mieczysława Wallisa, twórczego estetyka i historyka sztuki. Odbył się burzliwe posiedzenie rady pedagogicznej, Schiller wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, w ślad za nim reszta „ciała profesorskiego” wypowiedziała posłuszeństwo. Wtedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że pod urzekającym igraniem Stempowskiego tai się grunt twardych przekonań. Nie tylko przyłączył się do buntu, ale odgrywał w nim ważną rolę jako główny redaktor protestów i memoriałów. Z reguły opierały się one na drabinie stwierdzeń zaczynających się od słów: „zważywszy, że...” – *considérant que...*

Tę twarz pełną spokojnej, niesolennej stanowczości zachował Stempowski do końca, przez lat trzydzieści. Pozostawił w Warszawie wspaniały, wielojęzyczny księgozbiór, drugi z kolei, jaki zebrał, i białą, cudownie długowłosą kotkę angorę. W roku 1940 oparł się samotnie w Szwajcarii i pozostał w niej do śmierci. Żył w ewangelicznym ubóstwie, o którym mało kto wiedział poza najbliższymi przyjaciółmi i opiekunami. Odsłoniło mi się ono drastycznym, wstydliwym błyskiem, gdy w monachijskim pensjonacie niechcący zobaczyłem, że nałożył spodnie na malinową pidżamę, bo nie miał zmiany bielizny.

Z pozoru nie zmienił swego bałagulskiego i sceptycznego sposobu bycia, zawsze nie lubił dogmatyków, ale był człowiekiem na swój sposób zaangażowanym. Nie znał kompromisów na jednym punkcie –

wolności, niezależności, niepodległości duszy i ciała. Konsekwentnie przeciwstawiał się literaturze kierowanej w kraju, ale także niewinnym, bo pozbawionym instrumentów nacisku, próbom reglamentacji literatury poza krajem. Był szczególnie uwrażliwiony, uczulony na tę sprawę. W obronie swojej swobody wobec władz szwajcarskich przybrał pseudonim: Paweł Hostowiec (można tylko zgadywać, że powstał on przez połączenie ukraińskiego słowa *hostec* z polskim przyrostkiem jakby patronimicznym).

Na emigracji Stempowski-Hostowiec stał się pisarzem „zawodowym”. Brał na siebie nawet trudy tłumacza; jego przekład *Doktora Żiwago* jest chyba najlepszym z istniejących, w każdym razie góruje o całe nieba nad drewnianym przekładem angielskim, nad suchym, pozbawionym ciepła przekładem francuskim. To co napisał w ciągu tego czasu zebrane razem złożyłoby się na kilka, pięć, sześć, może więcej tomów tej objętości, jaką mają *Eseje dla Kassandry* (1961). Wobec stałej, trochę przymusowej profesji Stempowski zachował swój zwykły dystans. Nazywał ją „czernieniem papieru”, tropił jej dwuznaczności i niebezpieczeństwa, dowodził, że „pisanie za wszystkich czasów było zajęciem *minorum gentium*”. Ale spełnił się w nim całkowicie.

Niepostrzeżenie dla innych i dla siebie stał się sumieniem literatury emigracyjnej albo, mówiąc prościej, ale ciągle jeszcze zbyt patetycznie, jej autorytetem moralnym – nienaznaczonym przez nikogo, niepomazanym, nienarzucającym się, a słuchanym. Nie miał ambicji przywódczych, nie zasiadał na sybillińskim trójnogu, nie propagował i nie nawracał. Nie był dawcą łatwych pocieszeń, szafarzem pochlebnych złudzeń. Jego naturalnym powołaniem było rozeznawanie się w chaosie, porządkowanie zjawisk, zażeganie światła w mroku. Utrafił tym w potrzebę czasu i formacji historycznej, do której należał przez ostatni okres życia. Jego rolę wśród niej można by określić słowem: antywieszczy. Ta postawa promieniowała daleko poza emigrację. Na wieść o śmierci Stempowskiego otrzymałem przejmujące słowa z kraju – napisał je człowiek młodszy ode mnie, który go bodaj nigdy nie widział na oczy, nigdy nie słyszał.

Emigracyjna „kariera” Stempowskiego wydaje się tym bardziej zadziwiająca, że był on człowiekiem monologu. Przed wojną samookreślił się w „Marcholcie” jako „samotny wędrowiec”, przez lata zjawiał się w „Kulturze” jako „nieśpieszny przechodzień”. Jego *soliloquia* znajdowały ujście w zetknięciach osobistych, których od opuszczenia Warszawy nie miał chyba zbyt wiele. Urodzony filozof perypatetyczny

stał się eremita. To może tłumaczy znaczenie korespondencji w jego życiu i pisarstwie.

Jest to jedna z osobliwości naszej emigracji, że wydała co najmniej trzech żywiołowych epistolografów: Wierzyńskiego, Bobkowskiego i Hostowca. Każdy z nich był inny. Wierzyński szukał przez listy łączności, ludzkiego ciepła, nasycił nimi swój głód wspólnoty. Bobkowski eksplodował w swoich listach jeszcze gwałtowniej niż w swojej krótkotrwałej twórczości; czytając je, musiało się myśleć, że gdyby ich nie pisał, ciśnienie wewnętrzne rozerwałoby go w kawałki. Listy Stempowskiego można by określić jako gawędy epistolarne, gdyby słowo „gawęda” nie było zbyt sarmackie, zbyt zawiesziste. Jego listy, zwłaszcza z wczesnego okresu, zanim związał się bliżej z „Kulturą”, są szkicami do esejów, często gotowymi esejami. Cechuje je bezinteresowność, wielkopańska rozrzutność intelektualna, rozdawanie siebie *pour mon bon plaisir*. Należy je zebrać i wydać, a raczej wydawać, nie ambicionując na punkcie kompletności. Zapewne będą one wypływać na powierzchnię w ciągu długiego czasu i zjawiać się w niespodzianych miejscach.

Jako listopis i rozmówca był Stempowski zjawiskiem niepowtarzalnym. Współżył w nim polihistor i mędrzec. Jego wiedza wydawała się otchłanią bez dna i morzem bez granic. Ale nie był erudytą dla erudycji. Jeśli już – to dla zabawy, gdy witał mnie cytata z Szekspirowskiego *Tymona Ateńczyka*: „Daj nam trochę złota, Tymonie” albo: „Zrób z tego złoto, jesteś alchemistą”. Jego magię intelektualną tworzyło otwieranie widoków za każdym przygodnym szczegółem: zapalką z masy papierowej, epidemią influenzy, przydrożnym drzewem. Miał niebywałą zdolność skojarzeń, zdolność perspektywicznego, jakby roentgenowskiego widzenia rzeczywistości, otwierania jej skrytek, przenikania pod jej powierzchnię. Była to zdolność właściwie poetycka, ale Stempowski, podobnie jak Edith Sitwell, przypisywał działanie magiczne poezji, prozie, pozostawiając funkcję poznawczą i porządkującą.

Jego proza zasługuje na osobne studium. Jest to proza konwersacyjna, mówiona, lecz osiagająca precyzję sylogizmu, przejrzystość powietrza górskiego, krystaliczność szkła. Można do niej zastosować to, co mi się nasunęło w związku ze Stanisławem Strońskim: jest to najbardziej francuska polszczyzna, jaką u nas pisano. Francuski był drugim językiem Stempowskiego, pisał w nim z równą sprawnością jak po polsku. Czasem wolał pisać; mam gdzieś w papierach jego memoriał naszkicowany w tym języku. Ale odrębnością pisanej

polszczyzny Stempowskiego – tak, zdawałoby się, na wskroś intelektualnej, w każdym atomie prześwieclonej myślą – jest podskórny prąd uczuciowy, kryptoliryzm. Urok estetyczny tej prozy płynie przede wszystkim z tego, co było jej ambicją i wolą: z jasności, ale nieraz również z tego, co było w niej tłumione, ściszone, wstydliwie ukryte: ze wzruszenia i uśmiechu.

Finezje myśli i finezje stylu nie odgradzały Stempowskiego od żywych ludzi. Umiał i lubił rozmawiać ze wszystkimi. W którymś esejście znajduje się opis spotkania z synami przemytników nakreślony z taką delikatnością, jakby chodziło o pensjonarki z klasztornej internatu. A oto inna cytata, która utkwiła mi w pamięci: „Cała moja sympatia jest po stronie chłopca, który wykoleił się, zobaczywszy Kalibana rządzącego na wyspie Prospera. Bardzo chciałbym go spotkać. Jeśli go nie spotkam, moja starość będzie straszliwie samotna”.

Można w tym związku mówić o utożsamianiu się mądrości z dobrocią, choć znowu słowo „dobroć” zdaje się tu brzmieć trochę czułościowo. Uderzało to innych ludzi, nawet nieszczególnie uwrażliwionych i utalentowanych w tym zakresie. Wacław Lednicki, który znał Stempowskiego dłużej ode mnie, stwierdza przy jakiejś okazji: „rzewny jego uśmiech robił na mnie zawsze wrażenie nieśmiałego cienia wstydlivej dobroci”. Osobiście zapętałem go tylko jeden raz poruszonego gniewem, co się ujawniło w lekkim rumieńcu na bladej twarzy i w głosie odrobinę podniesionym ponad zwykły poziom wolno płynącej wody. Sprowokowała go czyjaś wątpliwość, czy kompozytor Michał Spisak, już nieżyjący, może być kandydatem do nagrody, mając obywatelstwo francuskie.

Sekretu mądrości przeistaczającej się w dobroć dotknąłem raz bezpośrednio. Po owym monachijskim pensjonacie, tyle razy tu przywołanym, snuła się już mocno niemłoda służąca imieniem Else. Była czarna, mrukawa, nieprzystępna, patrzyła spode łba. Ale gdy Stempowski wyjeżdżał (jeden lub dwa dni przede mną), okazało się, ku memu zdumieniu i jego zażenowaniu, że rzucił na nią urok. Stała pośrodku obszernego hallu nad ubogimi bagażami, łamała ręce i powtarzając: *Mein Gott, Herr Jeschschy, Herr Jeschschy...* – zanosila się od płaczu jakby gość o trudnym imieniu odjeżdżał nie taksówką na dworzec, ale karawanem na cmentarz.

Wyręcam się dziś tobą, brzydka Else z końską szczęką, choć pewnie bym cię nie poznał, gdyby przypadkiem znowu przecięły się nasze drogi.

Józef Czapski

Querido Bob

Andrzej Bobkowski umarł w Gwatemali.

Jakże o nim pisać? Człowiek przesłaniał mi zawsze pisarza, bo też Andrzej nie był „czystym” pisarzem, nie lubił „czystych intelektualistów”, miał sklep w Gwatemali, zespół modelarski tam stworzony, sama walka o byt, o niezależność czy wprost leżenie na trawie, pływanie – to było dla niego równie ważne jak pisanie.

„Jacques wykazuje już symptomy czystego intelektu, boi się wody i wysiłku fizycznego. Grozi mu wyrośnięcie na jedną z wielu orchidei umysłowych. Żal mi chłopca. Jakże wdzięczny jestem memu ojcu, że choć nieraz brutalnie, ale uformował mi ciało na obraz i podobieństwo ludzkie. Dziś równie dobrze i łatwo pływam, jak myślę” – zapisuje z młodzieńczą dumą Andrzej.

Chciałbym pisać o nim, jak list do niego, z czułością czy z wy-myślaniem, z tą swobodą i bezpośredniością, z jaką on pisał zawsze. Andrzej Bobkowski nie tylko że nie bał się posądzenia o takie czy inne „przestępstwo” (zły Polak, żaden lewicowiec, zły katolik czy właśnie że katolik), nawet lubił wszystkich prowokować, jakby zwady szukał. Ale ten gwałtownik był zawsze podszyty humorem, gotów w każdej chwili przeciwnika zaprosić na wódkę, martini czy jaki inny mocny trunek gwatemalski, by starcie przyjaźnie zapić. Ani śladu celinowskiej goryczy, przy tym pisał bez lusterka, bez „chytrej” dialektyki, nienawidził jej, i nieraz niemądrze nienawidził, angażując się zawsze w każdym słowie i bez reszty.

Odczytuję jego listy do „Kultury” i to co drukował w „Kulturze”, wracam do *Szkiców piórkami*. Gdy się ukazały, nie potrafiłem ich docenić, zdawały mi się po młodzieńczemu zbyt zadzierzyscie otwierające drzwi otwarte i dziś dopiero widzę, jak wątki tej książki, wśród z dnia na dzień notowanych trafnych, plastycznych obserwacji, komentarzy do wypadków i przeczytanych książek, są nasycone myślami, które Andrzej potrafił całym swoim bujnym i szlachetnym życiem „testować”. W tych zapiskach sprzed dwudziestu laty odnajduję te same moralne reakcje na otaczający go świat; już wtedy odrzuca go rów-

nie gwałtownie każdy oportunizm, hipokryzja, wzniosłe zakłamanie, tchórzliwe uciekanie od wszelkiej odpowiedzialności, składanie jej na innych, np. na państwo, wszelkie totalistyczne czy nawet demokratyczne „zbaranie””, które w *Szkicach* okupacyjnych każe mu bronić, tłumaczyć każdy indywidualny anarchiczny wybryk; i wielbić prawie chuliganów i „cyników”, do których coraz to stara się paru dosadnymi opisami czy słowami upodobnić.

* * *

Opuścił nas w Paryżu już w 1948 roku i tak mi pozostał w pamięci, jak go wówczas pewnego dnia zobaczyłem. Była to chyba bardzo wczesna wiosna, niedziela, słońce. Włóczyłem się po Quai d'Orléans, na wyspie św. Ludwika i naraz z góry, od Biblioteki Polskiej, zobaczyłem zakochaną parkę, spacerującą tuż przy falach Sekwany pod tymi wielkimi, „nadwiślańskimi” topolami, które tam rosną. Widzę ich jeszcze przez bezlistne gałęzie, wyglądali tak zakochani i zatopieni w rozmowie, że się na nich zapatrzyłem.

Nagle poznałem ich: to był Andrzej z żoną Basią, radzili o czymś. Kiedy zeszedłem do nich, aby się przywitać, poczułem zaraz, że im przeszkodziłem w ważnej bardzo chwili, omawiać musieli jakąś ich własną wielką sprawę.

Już nie pamiętam, czy wtedy, czy parę dni później wyznali mi ukrytą jeszcze pod siedmiu pieczęciami tajemnicę: za parę tygodni wyruszają w daleki świat.

Tak mi pozostali w pamięci oboje w przedwiosennym słońcu z wyrazem ludzi skupionych i bardzo szczęśliwych przed wielką przygodą.

Patrzę na małą kolorową fotografię, którą przysłali nawet nie rok temu: oboje uśmiechnięci, Andrzej w niebieskiej rozchełstanej koszuli, Basia w niebieskim sweterku na tle czerwonych krzewów, wzgórz zielonych, dziwnej architektury z przysadzistymi kolumnami. Zdają mi się po trzynastu latach tacy sami uśmiechnięci i sobie najbliżsi. A przecie już śmierć Andrzeja jest bliska: „[...] afirmacja życia [...] do czego oczywiście dochodzi się dopiero, jak się stoi wyraźnie nad grobem i jak się o tym w i e” – pisze Andrzej w 1959 roku.

Wielką przygodą Andrzeja był wyjazd do Gwatemali w 1948 roku, marzył on zawsze, ten wyznawca Conrada, o dalekich krajach. Pierwszą próbę ucieczki przeżył w czwartej klasie gimnazjalnej, a w *Szkicach piórkiem*, a więc w czasie okupacji, coraz to powraca marzenie wyjazdu z Europy, tej kolebki „kultury i obozów koncentracyjnych”.

Po tych latach Paryża, po przebijaniu się z dnia na dzień, pracy w fabryce, potem w organizacjach emigracyjnych, w NiD-zie, w placówce paryskiej 2. Korpusu w Hotelu Lambert, redagowaniu tygodniowego biuletynu z informacjami o Polsce Andrzej rusza z żoną do kraju, gdzie nikogo nie zna, bez określonego zawodu, bez języka, prawie bez środków; chce poza Europą zacząć *n o w e ż y c i e*. „Chcę mieć prawo zdechnąć z głodu, jeśli nie dam rady”. Ten refren coraz to wraca w jego listach i artykułach.

W Gwatemali Bobkowski, „zaczynając z niczego, wyrzekając się wszystkiego”, dłubie kuchennym nożykiem (nie stać go było na „narzędzia”) drewniane zabawki, pracuje po 14, 16 godzin na dobę, uczy się na gwałt hiszpańskiego, czytając Madariagę. Nie ma wcale uczucia, że trafił do małego miasta, ale na kontynent niezmierzony, kipiący życiem. Wszystko go z początku czaruje i wymyśla na Europę, która drży przed Sowietami, na lewicę europejską, wciąż jeszcze zafascynowaną komunizmem, Stalinem, i na siebie, twierdząc, że dopiero teraz sam widzi, jak „zdipisał”. Z właściwą mu swadą urąga i na nas, emigrantów: pod wzniosłymi deklaracjami, że nie możemy żyć bez kultury europejskiej, tkwi w nas zwyczajny strach przed wolnością, strach samodzielności, oczekiwane, co nam dadzą IRO, Marshall, Aide aux emigré, kwakrzy, Joint czy arcybiskup Paryża.

Skarży się, że nie ma fachu, ale pociesza się, że przecież umie różnić pilnik do żelaza od pilnika do paznokci, czym już przewyższa pisarzy realistycznych i marksistowskich w Polsce...

Po paru miesiącach wścieklej pracy ma już trochę narzędzi i frezarkę do drzewa i patrzy z irytacją na zachowanie tkwiących obok, po lokalach IRO, emigrantów „kulturalnych”, urągających na „chamską” Amerykę, na IRO, które ich utrzymuje, dając zawsze za mało.

Wrasta w życie Gwatemali, jak sam pisze, zakochuje się w niej. Na początku zdaje się widzieć same jej zalety, w miarę lat sądy jego coraz bardziej się precyzują i różnicują, i tu nie szczędzi krytyki. Dostraja się naiwnym lewicowcom i lewicowym spryciarzom za ślepy kult Sowietów, i warstwom najbogatszym za ich drapieżny, tępy antyamerykanizm, idący tak na rękę Sowietom, wyrastający najprościej z tego, że szukając fantastycznych i najszybszych zysków, nie są w stanie konkurować z plantacjami, fermami przybyszów ze Stanów, którzy umieją przy wielkich dochodach stwarzać swoim pracownikom Indianom ludzkie warunki, opiekować się nimi rzeczywiście. Atakuje modny, i według niego całkowicie „abstrakcyjny”, antyamerykanizm Europy i samej Ameryki. Marzy o jakimś gwatemalskim Gombrowiczu,

który by roztrącił tę wściekle naiwną powagę, która ten naród oślepia i nie pozwala spojrzeć mu na siebie bez patosu i płynącego z tego patosu zatracenia proporcji. Coraz to porównuje te kraje z Polską, zaczepiając przy tym o niejednego naszego komunała patriotyczny.

Materialnie Bobkowski po sześciu latach pracy usamodzielnia się, ma sklep z samolotami-zabawkami różnych typów, stwarza coraz to nowe modele, tworzy pierwszy w mieście hobby shop, organizuje młodych chłopców, entuzjastów, w ekipę modelarzy, uczy ich aeromodelarstwa. Ci chłopcy, których do pracy wciągnął, dziś dorośli, żonaci, kochają go. Dla nich Andrzej jest *Querido Bob*, *grand hombre*. Ten zespol, trochę „zakon”, jak pisze Andrzej, bierze już udział w światowych zawodach modelarzy w Anglii i w Stanach. Andrzej do ostatniego tchu pracuje rekordowo i kocha ten warsztat, swój sklep wciąż rozbudowuje i (o zgrozo!) błogosławi „bezlitosne prawo kapitalistyczne na wolnokonkurencyjnym rynku, bez którego zamarłbym w bezruchu”. Tą pracą wyzwala się coraz bardziej z wszelkiej zależności, „niewolnictwa”, jak pisze. Nie wstydi się, nie ukrywa, ale głośno się cieszy z materialnych sukcesów swej pracy, ze swego auta, którym objeżdża Gwatemalę. Zachwyt nad przyrodą tego kraju jakby wciąż w nim wzrasta i zdaje mu się, że już nie potrafiłby żyć gdzie indziej. Planuje coraz dalej, coraz szerzej. Ale zdrowie zaczyna zarywać; przechodzi szereg operacji. W listach pełnych humoru i „sportowej werwy” pisze o cieniu Śmierci, spod którego się już nie wyzwoli, i każde parę miesięcy po każdej nowej operacji uważa za parę miesięcy darowanych: „a potem zobaczmy”.

* * *

Namiętna pasja pracy konkretnej, celowej, jak pisze „egoistycznej”, walka codzienna, materialna, zdobywanie gruntu pod nogami nie tylko nie osłabia go pisarsko, ale go – jako pisarza – pogłębia i karmi. Jeszcze w Paryżu notuje: „[...] prawdziwy pisarz to nie ten, który dobrze pisze, ale który n a j w i ę c e j d o s t r z e g a”.

Andrzej dostrzega coraz więcej. Ten pisarz, który rzucił Europę, bo znienawidził „zmurszałe ideologie”, bo chciał p o p r o s t u ż y ć, poprzez to wzrastające zespolenie z każdą pracą, której się bez przymusu z zewnątrz podejmuje, przez to czucie, widzenie, reagowanie na cały świat go otaczający, zdaje się podchodzić jakby na nowo do tych samych problemów, które go w Paryżu trawiły. Każde jego opowiadanie, każdy jego list, wszystko wiąże się z zasadniczymi problemami życia. Jego ideologia, jeżeli użyć tego znienawidzonego przez

Andrzeja słowa, wyrasta z jego własnego doświadczenia, a siła tego doświadczenia z każdym miesiącem staje się coraz bogatsza, cięższa i pomimo sukcesów, „werwy sportowej”, coraz boleśniejsza, jakby ostateczna. Jego myśli o pracy, o strachu i odwadze, o śmierci, o woli i miłości życia, o *s e n s i e* życia, o Bogu, modlitwie stanowią nurt ukryty jego opowiadań. Te myśli rzadko wyrażone „frontalnie”, jakby „wyskakują” to paradoksem, to żartem, drastyczną „przyziemną” metaforą, czasami są w samej tkance opowiadania najdelikatniej insynuowane.

„Kultura” drukowała w ubiegłych latach cały szereg jego nowel, i jedną sztukę teatralną: *Nekyia, Coco de Oro, Siódma, Spotkanie, Punkt równowagi, Czarny piasek* – oraz eseje, jak: *Trzęsienie ziemi, Notatki modelarza, Wielki akwizytor, Kosmopolak* i wiele innych.

Wittlin w wygłoszonym odczycie nazwał Andrzeja Bobkowskiego zawiedzionym kochankiem Francji, bo nie wiadomo, czy w jego francuskim dzienniku z lat okupacji i kolaboracji więcej jest zachwyty i poczucia związania, czy krytyki i gwałtownej parodii Francuzów. Dla niego kultura, która nie chce się bronić, która ulega bez walki, przestaje być siłą twórczą, a jest siłą rozpadu i rozkładu. Rozszerzyłbym słowa Wittlina: Bobkowski był zawiedzionym kochankiem całej Europy, zdawała mu się już bezsilna, zatruta strachem przed Rosją. Pamiętajmy, że opuścił ją w okresie chyba szczytowej paniki i szczytowych iluzji o Sowietach.

Antykomunizm Bobkowskiego jest konsekwentny i zabarwiony pasją; za paryskich czasów nieustannie porównuje go ze zniechęcającym hitleryzmem, już wtedy demaskuje złudzenia i optymizmy dotyczące błogiej ewolucji komunizmu po wojnie. Ale dla Bobkowskiego każdy socjalizm jest już podejrzany, to zasadzka na wolnego człowieka, to, według niego, ruch, który jeżeli zwycięży, wychować może jedynie posłusznych urzędników, ludzi niezdolnych do ryzyka, gotowych tylko *mówić* o wolności. Z jaką satysfakcją cytuje list Conrada z 1885 roku, jeden z pierwszych pisanych po angielsku: *Socialism must inevitably end in Caesarism*. Dlatego i na odwilż w Polsce, i na cały rewizjonizm patrzył z największym sceptycyzmem, z ironią.

Andrzej pożera w Gwatemali książki i pisma z Polski, a dochodzi ich wiele; zdaje mu się to wszystko zafałszowane, zaczadziałe tchórzliwym oportunistycznym mieszanym z nieszczerym sentymentalizmem i polskimi koturnami. Komu się tam nie dostaje od Bobkowskiego: i Żółkiewskiemu, i Putramentowi, Brandysowi i Rudnickiemu, zresztą i Hłasko nie jest oszczędzony. W jego artykułach i listach ciągi spadają na tę „elitę”.

Oczywiście według ich pojęć parsknięcie śmiechem w twarz komedii i elity, tym pieszczoszkom intelektualnym, jest kpina z Narodu, ba z Polski całej. Czy mamy prawo mówić, czy mamy prawo drwić z „bohaterskiego oportunizmu” (jakich określić nie wynajdą jeszcze na niebohaterskie kurwienie się), czy mamy prawo dostrzec to bez kolorowych świateł sentymentów, tęsknot, bez przecedzania przez nasze głupawe kompleksy winy, iż nie będąc z nimi, nie przeszedłszy tego co oni, nie mamy prawa sądzić?... chodzi się na palcach wokoło, uśmiecha się porozumiewawczo pobłażliwi, czytając wyczyny Kazików, Antonich, Jarosławów, Julianów i wszystkich świętych z marksistowskiego almanachu. „Nie wolno sądzić”. A im wolno? Wolno, bo tylko oni mają monopol na polskość.

W listach z większą jeszcze swadą szarżuje na pisarzy w Polsce: „już przeczytałem jednym tchem... Brandysa i Rudnickiego – »ubaw po pachy«. Panie! to nowi ewangelści, to wszystko pisane tonem ewangelii, akcentem satanizmu, szatana (kapitalizm) i chwilami tak wzruszające, jak ci konkwistadorzy hiszpańscy tutaj, co widząc indyjskie chaty malowane na biało, przysięgali, że mają domy ze srebra...”.

Potem się Bobkowski znów hamuje: „Muszę jeszcze rozważyć, trzeba być sprawiedliwym... ale takie książki są jednak pasjonującym studium klinicznym... ta łatwość załatwiania wszystkiego »okresem wypaczeń«”.

W jednym z ostatnich listów do J. Giedroycia zaczepia rewizjonizm. Cały rewizjonizm dla Bobkowskiego to nie jest nic innego jak „chęć zdobycia jakichś tam nieokreślonych wolności bez pozbycia się wszystkich korzyści, bardzo określonych, niewolnictwa. Ludzie nie chcą być wolni, nie chcą ponieść ryzyka wolności”.

Bobkowski jest na pewno niesprawiedliwy, gdy sądzi wszystkich w czambuł, spieszo mu, węży rozcina, nie próbując ich rozplątywać, więc dlaczego czuję potrzebę, pisząc o nim, cytować właśnie te wypadki i ataki? Bo tu zdaje mi się zawsze świetny, dosadny, bo umie, może jak nikt, przekłuwać nadęte pęcherze, zmuszając każdego z n a s do zastanowienia się nad sobą.

* * *

Kto napisze o Bobkowskim-pisarzu, kto przepracuje, przemysli jego opinie? Wystarczy wyrwać tendencyjnie, bez kontekstu parę cytatów, polemicznych szarż i można zrobić z tego wroga każdego totalizmu – półfaszystę, tak jak na emigracji usiłowano z Miłosza zrobić agenta bolszewickiego!

Kto prześledzi rozwój jego myśli od szlachetnego, męskiego anarchizmu Polaka, któremu zbrzydł i polski sentymentalizm, i polskie krzyżowanie się, i obsesja polskości i tylko polskości, aż po myśli

ostatnie, o tyle dojrzałe, kto przemyśli tę walkę ze „zmurszałymi ideologiami”, walkę o „człowieka z krwi i kości”, człowieka pełnego, wolnego, którego wolność nie byłaby zasłoną złości ani pustym frazesem.

Kto napisze o jego prozie, która w miarę lat staje się coraz gęstsza. Jeszcze w *Szkicach piórkiem* zdaje się chwilami wprawką zdolnego pisarza-realisty, wyznawcy Goncourtów, Flauberta i przede wszystkim Balzaca, ale w miarę lat staje się naprawdę wyrazem nie tylko myśli autora, ale samego rytmu, oddechu tego pisarza, który namiętnie – jak Hemingway – kochał życie, przygodę i męstwo, ale myślał i samym głębokim nurtem świadomości sięgał może głębiej i dalej.

W jego obserwacji, więcej, w jego wtapianiu się w otaczającą go przyrodę nie tylko w i d z i m y naturę, to słońce tropikalne, pomarańczowe, potem miedziane, tak szybko wpadające na czubki drzew czy słońce matowe, białe jak pastylka aspiryny, przebijające się z trudem poprzez zawiesiste mgły, czy aksamitny lot nietoperza pod czarną koroną albo świetliki podobne do tracerów wystrzelonych z nadbrzeżnego gąszcza, ale my tę naturę jednocześnie słyszymy. Ile tu prób pokazania nam słuchowych wrażeń, które stokrotnie potęgują ostrość ewokacji; warkot latających chrabąszczy, coraz częstszy w miarę narastania wieczoru i cisy, tupanie królików w klatce, rytm i charakter ich tańca czy zdławiona cisa, tępy plusk pelikana spadającego do wody w pogoni za rybą, brzęk miliardów komarów okrywających cały kadłub wielkiego wodnoplątowca dźwiękowym całunem i te krzyki gruyas (żurawi?) monotonne, płaczliwe, irydujące jak płacz głupiej kobiety.

Kiedy się pisze tak jak pisać można
więcej niż głosem, całą naszą mową,
to nie potrzeba wtedy szukać dna
bo dno jest wszędzie jak niebo nad głową

– pisze Wacław Iwaniuk w swym pięknym wierszu *Dno*.

Wystarczy się wczytać, naprawdę wczytać w Andrzeja Bobkowskiego, by odczuć że to d n o j e s t w s z ę d z i e. Pisarz dotyka w opowiadaniach swoich, w miłosnych, czujnych opisach natury, w nagłych opowieściach przerywających rozważaniach, wyznaniach nie tylko świat i człowieka, ale jakby s a m ą i s t o t ę, tej ścieżki trudnej, po której do ostatniej chwili szedł. Co chwila d o t y k a d n a.

„Nie chcę sobie przypodchlebiać” – pisze w jednym z listów – „ale obawiam się, że mnie tam, w Polsce, mają specjalnie dobrze zapisanego. Należę do tych nielicznych, o których jest *Totschweigen*”.

To „na śmierć milczenie” o nim w Polsce jest zrozumiałe i rzeczywście pochlebia Bobkowskiemu, bo on właśnie – ten syn Conrada – mógłby się okazać towarzyszem niezastąpionym dla niejednego młodego Polaka marzącego o przygodzie, o życiu bez cenzury, bez sztuk łamanych z nakazu, „zmurszałej ideologii”, o życiu z własnego wyboru odpowiedzialnym i pełnym.

* * *

Andrzej Bobkowski został pochowany w grobie rodzinnym doktora Quevedo, którego czterech synów od dwunastu lat uczył aeromodelarstwa. Wszyscy do ostatnich jego dni wiernie przy nim przetrwali.

Ten grób w kraju, gdzie spędził ostatnie lata życia, gdzie zdobył tylu przyjaciół i „spełnił prawdziwy obowiązek Polaka na obczyźnie, bo nauczył wielu imię polskie szanować”, nie ma jeszcze płyty grobowej.

„Kultura” ogłasza zbiórkę na tę płytę wśród jego polskich czytelników – znak pamięci i wdzięczności dla nas wszystkich, którzy go kochaliśmy.

Gustaw Herling-Grudziński

Przebity światłem

Najpierw była korespondencja na linii Londyn–Long Island. Spotkanie nastąpiło wkrótce po przyjeździe Wierzyńskiego do Europy, na kongresie Pen Clubów we Frankfurcie. Dość wcześnie bym mógł jeszcze, mimo dwóch niedawnych ataków choroby, zobaczyć jego legendarną „wieczną młodość”. Potem Włochy. „Wieczna młodość” trwała dalej, ale była już inna: wzbogacona i pogłębiona przez doświadczenie, chwilami pełna gorzkości i złych przeczuć, częściej zamyślona i jakby nieobecna – „nocna rozmowa miłości z rozpaczą o szczęściu w gorzkim bezradnym istnieniu”. Młodzieńcze *Wróble na dachu* śpiewały teraz nowym i dojrzałym językiem w *Na gałęzi*: „Wszyscy tak żyją, jak gdyby żyć mieli wiecznie, tylko my na gałęzi nie”. Miejsce *Wiosny i wina* zajął „haust czerwonej od ognia jesieni i czarny osad na dnie”.

Kiedy zapadła decyzja, że swój wygnańczy „kufer na plecach” rozpakuje na dłużej we Włoszech, zapytał mnie w liście z Paryża (po przeczytaniu jakiegoś ogłoszenia w gazecie) o Positano. Pamiętam moją odpowiedź. Zaczynała się od włoskiego okrzyku: *Per carita!*, co po polsku znaczy „Na miłość boską!”. Positano jest śliczną miejscowością na Wybrzeżu Amalfitańskim, ale nie ma tam ani jednego płaskiego kawałka terenu; ciągłe schodzenie i wchodzenie pod górę. Zamieszkał więc w Rzymie, w Palazzo Pasolini koło Campo di Fiori, z widokiem na pożółkłe dachówki i rdzawe fasady starego miasta. Lubił Rzym i równocześnie czuł się w nim osamotniony. Zdarzało się, że pisał do mnie do Neapolu: „Przyjedź, tu same mury”. Po przyjeździe nakręcałem zawsze na dworcu jako pierwszy jego numer telefonu. I na ogół prosto z dworca ruszałem do Palazzo Pasolini.

W jakiś czas po jego osiedleniu się w Rzymie Witold Zahorski urządził mu wieczór autorski w polskiej sali parafialnej na Botteghe Oscure. Przemawiałem na tym wieczorze, później ogłosiłem mój tekst po włosku, wraz z przekładami kilku jego wierszy, w tygodniku „La Fiera Letteraria”. Czytelników włoskich najbardziej uderzył wiersz,

który i ja powtarzałem sobie bezustannie w myślach, ilekroć dochodziło do naszych spotkań:

A może mi się przywidziało,
Może to deszcz i noc i potem
Lustro naprzeciw okna dniało
I wiatr przewracał się z łoskotem.
I nadszedł świt nieznany, drżący,
Na nowy dzień mnie wołał w śnie tym
I obudziłem się krzyczący,
Przebity światłem jak sztyletem.

Był to tylko zachwyt dla jednego z najpiękniejszych współczesnych wierszy polskich? Czy dołączyło się do niego coś z natrętnego skojarzenia wizualnego? Wysoki, wciąż prosty i smukły, gdy zapadał nagle w swoje absencje mroku i odrętwienia, aby po chwili ocknąć się znowu i odgiąć, wyglądał naprawdę jak przebity włócznią światła. Przyplątywały się też echa innych jego „jesiennych” wierszy, przede wszystkim *Piętej pory roku* i *Słowa do orfeistów*. „Ptak przeleciał przeze mnie, ptak, i drzwi zostawił otwarte...”. Albo: „Teraz tu słyszę czego nikt nie słyszy, i widzę rzeczy na skroś i spod spodu, i pełny jestem śmierci jak ciszy, i pełny wdzięczności jak chłodu”. W *Słowie dla orfeistów* ta nowa struna jego poezji zadźwięczała szczególnie czysto, z absolutną świadomością twórczą. „Kto za mną staje nie wiem, ale wiem że tam jest, co mówi nie wiem, ale powtarzam to za nim, nie słyszę tych słów, ale napisać je umiem, i to jest tak ważne, że o nic więcej nie pytam. Dawniej oglądałem się za siebie, dawniej chciałem spojrzeć mu w oczy, lecz zniknął nim pochwyliłem rys jego kształtu”. Aż do wspańskiego akordu końcowego: „I zrozumiałem istotny los Orfeusza, że miłość jest ustawiczną groźbą utraty. Więc wołam was, orfeisci, jeśli kto mi zaufa, powtarzajcie słowa podszeptywane, nie patrzcie kto stoi za wami, dobrze cudownie że jest”. Ten właśnie wiersz miał głównie na uwadze Hostowiec, pisząc w *Liście do Kazimierza Wierzyńskiego* o „eksploracji strefy granicznej na której sprawy ludzkie kończą i za którą więcej nic nie ma”. Eksplorator widział w niej do końca ławice światła, nożem przecinające od czasu do czasu ciemność. Do tej wizji dostosował swój język poetycki. Był to język zwięzły, oszczędny, prawie epigramatyczny. Nie bez powodu przytoczyłem wyżej kilka strof bez cezury. Mogłyby służyć za dowód słuszności proroctwa Oskara Miłosza, że forma nowej poezji będzie formą Biblii, zbliży się do prozy wykuwanej w wersach.

Po raz ostatni spotkaliśmy się równo rok temu w Londynie. Nie wie się nigdy na tej rozsianej po świecie emigracji, kiedy spotkania

z przyjaciółmi są pożegnaniami na zawsze. Mimo że dzień był chłodny i deszczowy, uparł się, żeby wyjść razem ze mną z domu po popołudniową gazetę. Rozstaliśmy się na rogu Gloucester Road, ale idąc w stronę metra, obejrzałem się jeszcze w miejscu, z którego był widoczny. Wracał przygarbiony, skurczony, tym razem aż po próg swego domu nieprzebity światłem.

Trudno w to uwierzyć, a jednak tak było. 14 lutego rano poczta przyniosła w Neapolu świeży numer „Wiadomości” z jego wierszami z podróży do Grecji w roku 1967. Przyglądałem się długo włamanej w nie dużej fotografii, która przedstawiała go wchodzącego z żoną pod górę na Akropolu. *Per carita!* – wyrwało mi się w duchu. W tej chwili zadzwonił telefon. Był to telefon z Paryża z wiadomością o jego śmierci.

Można go było zaklinać i błagać, nic to nie pomagało, jeśli czuł, że uda mu się nasycić nowymi treściami swoją poezję. W *Tkance ziemi* jest wiersz zatytułowany *Badania lekarskie*:

Wysłuchali je, opukali je:
Dobrze się trzyma, zdrowo.
Zapomniałem spytać się tylko
Które z nich, serce czy słowo.
Prześwietlili je, uziemili je
Ściegiem na kardiogramie,
Choć przecież lata, wysoko lata
I prawdę mówi, nie kłamie.
Szpiegowali je, osaczali je
Na swym medycznym tropie,
Z wszystkich sekretów obnażali
Drżące na fluoroskopie.
I po co mi to? Czy który z nich wie
Kiedy mnie tu uśmiercą?
Jeśli mi słowo bić przestanie,
Co mi po sercu.

Jego ostatni tomik *Sen mara*, poprawiany jeszcze na godzinę przed śmiercią, świadczy, że słowo przestało bić dopiero z sercem. Wolno go nazywać poetą szczęśliwym.

Wacław Iwaniuk

Ostatni list

W czwartek padał deszcz. Drobne jego krople leniwie przysiadły na framudze okna, jakby nie wiedząc, co z sobą zrobić. Powietrze, ogłuszone wilgocią, milczało. Wieczorem ostry mróz pozamieniał krople w okrągłe kryształki, przykrywając ich przezroczystość bielejącym szronem. Na drugi dzień rano było znów wkoło biało i wesoło.

W piątek miałem napisać list i nie wiedziałem, jak się do niego zabrać. Cekał on we mnie od dawna i towarzyszył w codziennych wędrówkach do biura, gdzie przeglądając raporty wypadków samochodowych, kojarzył się z angielskimi słowami, moją dwudziestoletnią sytą roślinnością, najeżoną sprzecznościami i niekonsekwencją, a wszystko to jakby zawieszone w politycznej próżni kipiało od podskórnych nastrojów, niemających w perspektywie żadnego planu na następny dzień, miesiąc i rok.

O tym właśnie miałem pisać w piątek. O tym i o innych sprawach, które od dwudziestu lat jątrzyły moje myśli i kłuły serce. Narastały one gniewem, uporem, szyderstwem albo skargą, a gdy dotknął je poetycki lek, spadały na papier jak owe krople na framugę okna, powiązane nie tylko gramatyczną spójnią, ale wyczuloną we mnie siecią świadomości. Ona to, jak ów radar, nauczyła mnie patrzeć, mając oczy zamknięte, czuć, nie dotykając, czytać z próżnych, międzyliterowych przestrzeni i rozpoznawać bez znaków orientacyjnych.

Każdy mój list do Wierzyńskiego wyostrzał marginesy tych spraw, ich patriotyczno-polityczno-krajowo-emigracyjną tkanę, a Wierzyński ucieszony odpowiadał: „Odezwał się Pan jak nikt na naszym podwórku, niech Pan to napisze, cały ten wspaniały wywód, w jakim eseju dla »Kultury« albo »Wiadomości«”.

Napisać? Ja? Odbierać chleb zawodowym politykom, publicystom, redaktorom? Oni są przecież od politycznego myślenia, urabiania opinii, od krzepienia nas, regulowania nastrojów, patriotycznych wróżb!

Za oknem padały krople. Wiedziałem, że jutro będzie znów mróz i śnieg, a ja muszę w końcu napisać ten list, bo wtedy uwolnię się od niego; koperta uniesie jego słowa w ogromny konfesjonał powietrza,

a ja spokojnie będę dalej wypisywał raporty wypadków samochodowych, sumując na pokratkowanym formularzu ludzkie nieszczęścia: obrażenia cielesne, połamane ręce, nogi, zgniecione klatki piersiowe, podkreślając od czasu do czasu, grubą czerwoną linią, wypadki krańcowe: *Fatality, Death!*

Krople, podcięte mrozem, nieruchomieją. Zatrzymane stoją i błyszczą. Przychodzą mi na myśl słowa, które nie kojarzą się zupełnie z otoczeniem. Krajobraz mój wywołuje inny krajobraz. Myślę: baza nadwiślańska, myślę: Stalin, Bierut, Gomułka. Wyłania się przede mną jałowa nadwiślańska przestrzeń pełna zakłamanych politycznych rekwizytów, paraliżujących nas zakamuflowanych pocisków, teatr, który zamiast nas łączyć – dzieli, zamiast nas zbliżać – oddala. Wszystko tam jest tak pomyślane, by nas najpierw zneutralizować, a potem unicestwić, poddać presji szantażystów ideologicznych, narodowych bałwanów, talmudycznych polityków, kołtunów intelektualnych, superpatriotów.

Jak smutny jest dziś nadwiślański Kraj. Ile pozostało w nim z tysiącletniej historii? Co mamy myśleć, gdy gmach Związku Literatów, gdzie obraduje mózg Narodu, obstawia się samochodami policyjnymi, jak za najgorszych czasów? Co to wszystko ma wspólnego z naszą kulturą, z naszą historią? Dziś, po Narwiku, po Tobruku, po Falaise, po grobach na Monte Cassino!

Za oknem, poprzez nagie w ogrodzie gałęzie, przebija surowa sylwetka ściany. Wydaje mi się czasem, że wyczekuje tam jakaś starszuszka. O drobnej nieruchomej postaci. Obraz ten gdzieś już widziałem. Może to Achmatowa – myślę – Achmatowa-matka, której odebrano syna? Ściana nigdy nie ma łagodniejszych kolorów, jest jak wszystkie tamte ściany, któreśmy widzieli w więzieniach, znane z opisów, z prześladowających nas w snach mar.

Mógłbym o ścianie tej napisać wiersz i przesłać go Wierzyńskiemu. Zamiast listu. Ale byłby to tylko fortel, oszukiwanie samego siebie. Mógłbym zacytować jej rozpaczliwe *Requiem!*

Achmatowa!

Wierzyński!

Warszawa!

Wprawdzie szeroko odbudowana, ale obca dla mnie, pełna ludzi, a pusta, serdecznych przyjaciół, a mimo to obca.

Ileż gorących słów spadło na Jego laurową głowę podczas naszych spacerów z Muzeum Narodowego do Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu. Jak się o Niego dopytywali tam! Pisarze, aktorzy, czytelnicy! A tu był tylko spychany w cień.

Podkreślano jego wydoskonalony warsztat poetycki, niezależną i nieulegającą krajowym podszeptom postawę wewnętrzną, czystość przekonań politycznych. Ale tylko w rozmowach. Oficjalnie zaś literatura polska nie ma dziś Wierzyńskiego. I nie tylko jego. Znikają nazwiska, tytuły dzieł, rozdziały historii i literatury polskiej.

A my? Staramy się czasem przedrzeć przez kopczę nadwiślańską zasłone wznoszoną rękami odwiedzających nas przyjaciół, rodzin, literatów, uczonych, turystów, przez cały ten pozapolityczny humbug, nasyłany, by nas politycznie obezwładnić, uczuciowo zneutralizować.

Oni wsiąkają w nas, a my słabniemy. Potem odjeżdżają, a może przenoszą się tylko do innego kraju, na drugi kontynent, za ocean. Bo wszędzie są rodacy spragnieni wiadomości o Kraju przez duże K.

Jak jest z tymi, którzy czarują nas sloganami:

- Ja nie zajmuję się polityką!
- Ja nie należę do partii!
- Ja siedziałem w więzieniu!

Znamy domy polonijne i organizacje kombatanckie, które łowiły tego rodzaju jaskółki, hołubiły u siebie, podpierając tu i tam finansowo. Ułatwiano im podróże, mieszkania, organizowano imprezy, wydawnictwa nawet. Wszyscyśmy w takich wypadkach ulegali pewnemu otumanieniu. Niepolityczny – mówiliśmy – więc nasz, przeciwnik reżymu, a gdy jeszcze siedział w więzieniu, obnoszono te fakty jak monstrancję na Boże Ciało.

Potem jednak przyszło słuszne pytanie: Jak to niepolityczny? Dlaczego? Teraz, kiedy Polska jest jednym zaangażowanym politycznie obozem, kiedy cały świat filuje od politycznych wiatrów i pęcznieje od komunistycznej wybuchowej substancji, czy w takich warunkach ktoś może być niepolityczny? A jeżeli tak, to kto? Karierowicz, tchórz, lizus, utajony agent, człowiek bez sumienia, bez dumy narodowej? Chyba tylko tacy?

Ci, którzy nie mają czasu na politykę, którzy pracują naukowo, piszą, uczą, malują, ci na dłuższą metę umacniają Gomułkę i jego klikę. Pozwala on im przeto jeździć po Europie, bywać na zjazdach i konferencjach, wystawiać w zagranicznych galeriach. To zjednuje mu ich sympatię, po której idzie ciche przymierze: oni jeżdżą, zajmując się własnymi sprawami, a on umacnia się politycznie w Kraju.

Jak potrzebni oni byli wtedy, by podpisać apel 34, wypowiedzieć się na zebraniu literatów za Kisielewskim, a nie Putramentem, by – jak Andrzejewski – wysłać protestujący list lub na wzór Czechosłowacji, urabiać jednolitą postawę Narodu.

Owszem, byli potrzebni, lecz woleli jeździć, korzystać z usług emigracji, kapitalistycznych zasiłków, a gdy do tego posiadali talent, wszystko im się wybacza. Pedagog wygłosi błyskotliwe przemówienie, malarz załatwi sobie wystawę, poeta wyda tom. Tylko jakim wewnętrznym kosztem?

W piątek padał śnieg, a ja czytałem *Czarny polonez*. Ściana za oknem jakby nabrała życia. Wpatrywałem się w jej ludzki uśmiech, myśląc o 56 roku, witanym z taką radością w Polsce. Tyle tylko że ja w tamte przemiany nie wierzyłem, natomiast *Polonez* wyrażał to, co sam czułem i myślałem.

W dzisiejszym zakłamaniu, gdzie byle tępak rości sobie pretensje do Skargi, byle szarlatan przybiera patriotyczne pozy i byle dziwka, po wieczorowym kursie UB, poucza nas o obowiązkach Polaka, dobrze jest posłuchać, co mówi Wierzyński, poeta, który zna wartość słowa na dzisiejszym sprzedajnym rynku.

W ten sposób zamierzałem w piątek napisać ten list, ale tego dnia przyszedł nagle telegram z Londynu z tragiczną wiadomością.

Wierzyński nie żyje! Nie, to nieprawda! Poeta wprawdzie umiera jak każdy człowiek, ale po śmierci zostaje przecież na ziemi. Nie potrzebuje jak Łazarz schodzić do grobu, by potem zmartwychwstać. Jego wiersze kwitną bezustannie i kto chce, może nasycić się ich zapachami, a potem przy spotkaniu w sklepie lub na ulicy powiedzieć od niechcienia znajomym: właśnie spotkałem się z Wierzyńskim, mieliśmy bardzo ciekawą rozmowę.

Czesław Miłosz

Podzwonne

Nieodpowiedniość, niewłaściwość ustalonej już formy nekrologu, bo zastępuje on zawodzenie płaczek, żałobnic, jak to zawodzenie rytualizowany, a równocześnie udający, że jest własnym głosem jednego, poszczególnego człowieka, nie obrzędem. I jeżeli nekrolog polega na wyliczaniu cnót i zasług, powstaje pytanie, dlaczego dopiero śmierć ma rozwiązywać usta, podczas kiedy taka sama pochwała byłaby bardziej na miejscu wobec żyjącego niż wobec umarłego, któremu nasze opinie są niepotrzebne.

1. Ta śmierć mnie obeszała, jakbym stracił kogoś z najbliższej rodziny. Tym bardziej że Gombrowicz był dla mnie i ciągnął obecnością, i sprawczą siłą. Jak można układać nekrolog siły działającej na sposób rzeki Athabasca, która spływa z lodowca w Górach Skalistych, tutaj, gdzie przypadkiem dosięgła mnie wiadomość, że Gombrowicz nie żyje i gdzie piszę te słowa? Jak sobie uprzytomnić, że siła trwa i odnawia się, a ludzkiego jej źródła już nie ma, co dzieje się wbrew wszelkim tak zwanym prawom przyrody? Ale nie chcę mówić o dziele Gombrowicza. Od dawna nie ulegało dla mnie wątpliwości, że jest on klasykiem polskiej literatury na równi z poetami romantyzmu i Fredrą. O nikim z pisarzy dwudziestego wieku nie odważyłbym się powiedzieć tego bez zastrzeżeń i ten sąd nie wynika teraz ze zwykłej w podobnych wypadkach przesady, bo tak właśnie przedstawiałem go zwykle swoim studentom. Nie zdziwiła mnie niedawna polemika w londyńskich „Wiadomościach”, która ujawniła zupełne niezrozumienie jego książek przez wrażliwych skądinąd czytelników. Korciło mnie, żeby się wmieszać, ale Gombrowicz sam zabawił się w polemiczne harce, pomyślałem poza tym, że nie warto, bo jego książki obronią się bez niczyjej pomocy. I teraz nie dzieło, jakie zostawił, mnie zaprzęta, ale duch, siła wyczuwalna za każdym jego zdaniem.

2. Gombrowicz to *virtù* umysłu. Być może ta właściwość polega na odwadze bezlitosnego odrzucania wszystkiego, co mniej ważne, zatrzymywania tego tylko, co naprawdę ważne. Literaccy koledzy otaczający go w warszawskiej kawiarni przed wojną byli pijanymi

dziećmi we mgle, on nie był. Gubiąc się w stylach, kierunkach, ideach, przeminęli, cienie, tylko badacz literatury będzie znał ich nazwiska. I później, kiedy w rozmowach Gombrowicz pobłażliwie kpił ze sław Polski Ludowej, zarzucał im w pierwszym rzędzie brak filozoficznego wykształcenia. Znaczyło to nie brak czytania czy uniwersyteckich dyplomów, ale brak tego uchwytu, bez którego niemożliwa jest myśl samodzielna. Oczywiście był filozofem, czyli nie dawał się pochłonać zalewającemu nas dzisiaj nadmiarowi. Za przebraniami zwiększającej się bez ustanku komplikacji szukał cieplej, fizycznie niemal uchwytnej, prawdy ludzkiej czy, ściślej, międzyludzkiej. Dlatego tak często zaskakuje prostotą swoich obserwacji i stwierdzeń („Jak trafne! Że też nikomu innemu nie wpadło to do głowy!”). Ciekawy nowych przygód cywilizacji nie zachowywał się jak większość Polaków rzuconych w zachodnią Europę czy Amerykę, tylko obronnych, natężonych w negacji, bo inaczej nie mogliby się ostać. A zarazem był podejrzliwy i wybredny, jedyny bodaj Sarmata, który pokonał swoje urazy i znalazł się na równej stopie ze światem, zdobywając prawo do sądenia. Nie potrafiłby tego, gdyby nie wyjątkowa cnota umysłu i trzydzieści lat spędzone przez niego na emigracji nie byłyby twórcze – do ostatka.

3. Późno, chyba dopiero przy końcu lat pięćdziesiątych, zrozumiałem, że mimo wszelkich różnic łączy nas ta sama obsesja. Podejrzewam, że *Ferdynand* była przed wojną dla mnie i moich przyjaciół tym mniej więcej, czym są dzisiaj dla czytelników w Polsce utwory Gombrowicza, to jest dobrym pisarstwem ironisty. W przedmowie do *Ślubu* w języku angielskim Jan Kott przypomina epizod z jakiejś uczty po godzinie policyjnej, podczas niemieckiej okupacji, kiedy nad ranem zobaczył Jerzego Andrzejewskiego i mnie klęczących naprzeciwko siebie i toczących ze sobą pojedynek na miny, według wszelkich reguł pojedynku Miętusa z Syfonem. Ale od tego daleka jeszcze była droga do pełnego uświadomienia sobie, co to znaczy, jeżeli pojedynek na miny jest jedyną naszą, ludzką, rzeczywistością, jaką możemy przeciwstawić nie-sensowi bytu – nie mówię: bezsensowi ani absurdowi, właśnie nie-sensowi. To zawieszenie w pustce rządzącej się jakimiś prawami dla nas nie do przyjęcia, przede wszystkim prawem śmierci, to wczepianie się ludzi w ludzi, bo tak tylko są zdolni stworzyć swoją wypełnioną sensami szklaną kulę i mieszkać w jej wnętrzu w „międzyludzkim kościele” – nic bardziej przeciwnego jakimkolwiek skłonnościom do braterstwa z Naturą. Gombrowicz jest tak anty-naturalistyczny, jak to tylko możliwe. W tak zwanym obiektywnym świecie, złożonym z kamieni, drzew, gwiazd, zwierząt pozbawionych świado-

mości, nie ma dla nas żadnego ratunku i żadnej nadziei. Jedynym ratunkiem jest inny człowiek spotkany w jego niepojętej subiektywnej tonacji, królestwo nasze utrzymuje się jak napięty łuk świetlny pomiędzy ludzkim biegunem i biegunem. Słaby to ratunek, bo coraz to jeden z biegunów jest ruszczony przez tamto, inne, wrogie, jak teraz został zniszczony Gombrowicz, bo zatrzymało mu się serce.

Pisarzem, którego należy czytać razem z Gombrowiczem, jest Pascal. Ale byliśmy wszyscy we władzy nawyków, dramatyczność i tragiczność łączyły się nam z solennym, odświętnym tokiem tak zwanej wielkiej prozy i błazenada, choćby artystycznie znakomita, uchodziła za coś podrzędnego. Tymczasem błazenada Gombrowicza była decyzją, rzekłbym, stoicką, gdyby przymiotnik „stoicki” nie przywoływał skojarzeń z posłuszeństwem Naturze. Jeżeli nie mamy nic prócz nas samych, ludzi, nic prócz naszego przeraźliwie samotnego gatunku, z obcowania ze sobą próbujemy wykrzesać jakąś dobroć, a nawet boskość. Jednak co ludzkie jest błazeńskie, a w każdym razie teatralne, poddane regułom aktorskiej gry – i trzeba zachować wierność tym regułom do końca. To tak jak z ostatnim listem, jaki dostałem od Gombrowicza. Zamiast napisać: „umieram”, napisał: „kapcanieję”.

Gombrowicz jako mistrz parodii i groteski? Kto tylko to w nim znajduje, stawia go na poziomie nadwiślańskich kpiarzy, zrównuje go na przykład z jego rówieśnikiem Gałczyńskim, prekursorem cynizmu i moralnego chaosu. Obawiam się, że o Gombrowiczu będą pisać w Polsce nietrafnie, bo ponurym ich tam losem jest zatarcie hierarchii, utrata zmysłu pozwalającego rozróżniać rzeczy wyższe i niższe, ważne i nieważne.

Tak chyba być musiało, że dopiero kiedy gałęzie gombrowiczowskiej podstępnej metody przestały przesłaniać mi sam pień jego myśli, zostałem przygotowany do gorącej osobistej przyjaźni – po latach przyjaznego koleżeństwa z dystansu. Czuję wielki żal, że ta przyjaźń była tak krótkotrwała. I niestety naprawdę nie wiedziałem, że „kapcanieję” znaczy „umieram”.

4. Przeróżne szaty, heglowskie, marksistowskie, przejęcie się Historią z wielkiej litery. Ale przecież sednem ich bywa zwykle próba zaprzeczenia Naturze, próba zdobycia się na akt wiary w ludzki, przeciwstawiony jej, wymiar. Ostatecznie Gombrowicz jest bardziej dostępny dla tych, co przez takie szaty przeszli, choć to „chomąto”, jak w zastosowaniu do mnie napisał, musiało być zrzuczone. Trzeba przyznać, że kto stamtąd, z Polski, ląduje na Zachodzie, chce czy nie chce, długo nosi chomąto i jeżeli potrafi nadać sens swojej czynności pisania po polsku bez czytelników, to tylko po długich „samodzielnych

bojach”. Gombrowicz swoim przykładem dowiódł, że jest to możliwe. Najwybitniejsza powieść o tragikomedii polskiego zawężenia została napisana nie w Polsce, ale na emigracji. Jest nią *Trans-Atlantyk*. Bo nie Żeromski, nie Dąbrowska, nie Witkacy to umieli. Witkacy jest zadziwiający, ale zadziwiający jako zjawisko, jako eksperymentujący ze sobą i innymi Stawrogin (jak nazwał go Wat), i słusznie Gombrowicz podejrzewał, że nie dostawało mu pasji rasowego pisarza. *Trans-Atlantyk* nie był przez nikogo analizowany, tak jak być powinien. Zawiera on podstawową rozprawę z Polską-zmorą i z polskim ceremoniałem nacjonalistycznego karlenia. Cała zresztą twórczość Gombrowicza zdaje się dowodem, że istnieją stałe powołania poszczególnych literatur i że powołaniem polskiej jest, niestety, emigracja. Tamta emigracja otrzymała nazwę Wielkiej. Ale przecie politycznie była mała i śmieszna. To parę nazwisk przesłoniło jej śmieszność i małość. A żeby potwierdziła się raz jeszcze prawidłowość przebiegu, Gombrowicz dla emigracyjnych czytelników, z nielicznymi wyjątkami, był pyszałkiem, megalomanem czy wręcz wariatem. Jakie takie szczytowanie się rodzimym geniuszem zaczęło się dopiero, kiedy zyskał rozgłos u obcych.

5. Największą cnotą Gombrowicza była dzielność. Częsta u spadkobierców Somosierry, kiedy chodzi o wystawianie się na kule wroga, jest niezwykle rzadka w sprawach ducha. Dzielność nie tylko umysłu, również charakteru, co zresztą najczęściej jest nierozłączne. Gombrowicz wyjechał z Polski latem 1939 roku, bo miał śmiałość przyznać się wobec siebie, że wie, co będzie: że Polska zdoła opierać się Niemcom od tygodnia do dziesięciu dni i że branie udziału w tym, co nastąpi później, nie jest na jego siły. Ale iluż z tych, co zdali egzamin męstwa na polu walki, okazało się tchórzami, gdy przyszło do obrony innych, niewidzialnych, barykad prawdy i honoru? Iluż z nich wytrwałoby, tak jak wytrwał Gombrowicz przez ponad dwadzieścia lat w Argentynie, nie odstępując ani na jotę od swego, nie napisawszy ani jednego zdania dla kompromisu? Zważmy, że każdy ma swoją, jemu tylko właściwą, słabość i że czyha na nią przeciwnik, kimkolwiek jest, innym człowiekiem czy układem warunków. U pisarza słabość pochodzi przede wszystkim z potrzeby uznania, diabelska pokusa dosięga go w postaci ludzkich krytycznych czy pochwalnych głosów. Podczas pobytu w Argentynie Gombrowicz był najdoskonalej pozbawiony piarskiej rangi, jeżeli publikowała coś o nim emigracyjna prasa, to po to, żeby wydziwiać i wyśmiewać. Gdyby nie „Kultura”, nie mogłyby się też ukazywać po polsku jego książki. Jakiego przekonania o war-

tości tego, co się robi, trzeba w takiej sytuacji, żeby nie upaść, nie pójść na pisanie dla pieniędzy albo przynajmniej dla brawa?

Nie był megalomanem. Gdyby był, nie wdawałby się w oświecające nieprzygotowanych czytelników dyskusje. To jego przyjaciele (a siebie tutaj też zaliczę), którzy zżymali się trochę, że chce mu się tak pospolitować, mieli jakby pogardę dla umysłów naiwnych. Co zastanawia mnie w jego polemicznych starciach, to zupełna wolność od urazów, nieobecność ukrytej między słowami złości. Gombrowicz-moralista: jego moralne nauki ujawniania i w ten sposób przeganiania demonów odnosiły skutek, praktykował to na sobie samym. Był człowiekiem zdumiewająco czystym. Przyznając się otwarcie, że uważa siebie za wielkiego pisarza, że inni do niego nie dorośli, uzewnętrzniał, umieszczał niejako poza sobą to, co w innych jątrzy i truje od wewnątrz, co wyładowuje się wbrew nim samym w wybuchach agresywnej pychy.

Podziwiałem go. Przebywać z nim to było jak wchodzić w budynek o jasnej, przejrzystej architekturze. Piszac przeciwko sztywnej, zastanej Formie, ukształtował siebie, sam był dziełem przez siebie zbudowanym, w przeciwieństwie do tak wielu piszących, którzy wierzą, że ich brud i ciemność zostaną okupione przez ich literackie dzieło. Przygnębiał mnie kontrast pomiędzy Gombrowiczem i prawie wszystkimi literatami z Polski, z jakimi miałem okazję rozmawiać. Ich gorycz, wściekłość, ich bełkot, ich babranie się we własnej rozpaczy jakże podkreślały Gombrowiczowski ład, dyscyplinę, kontrolę nad gospodarstwem osoby. Tak nieprawdopodobna odległość, jakby on i oni należeli do rzędu istot z innych planet. Przygnębiało mnie to – ale i napełniało optymizmem. Bo wskazywało, że rozum, jeżeli jest dobrze użyty, potrafi opanować i obrócić na swoją korzyść nawet odwieczne dziedzictwo pijackiego rechotu szlachciury (a Paska Gombrowicz uważał bodajże za najlepszego polskiego pisarza). Uznać wyższe i niższe jest może pierwszą zasadą rozumnych poczynañ i bez kwestii przyjmowałem jego wyższość. W porównaniu z nim byłem kręty i zawity, nie tyle posiadający, ile posiadany przez moce niezależne od mojej woli. Ale w Vence dla mnie też, osobiście, jego przykład dawał nadzieję, że zdołam zaprowadzić porządek na moich ziemiach, jak on, zaiste, *un grand seigneur*.

Pierwszej nocy po dowiedzeniu się, że umarł, miałem sen. Śniło mi się, że żegluję z nim tratwą i że słyszę (za sobą) jego głos: „Nie lawiruj. Płyn prosto pod wiatr”. Zawróciłem i wtedy przód tratwy zaczął tonąć, ale wiedziałem, że muszę tak dalej, i obudziłem się. Nogi

mi ziębły w śpiworze, więc sen miał i fizyczny odpowiednik, nie chcę udawać, że mam sny zanadto wzniosłe, ale ta obecność Gombrowicza (za plecami) o czymś przecie świadczy.

Jakie znaczenie ma gra literacka ocen i ostrzeżeń, jak w ostatnim wydrukowanym przed śmiercią fragmencie *Dziennika*, wobec zawahłu serca? Ale ta gra jest naszą jedyną ochroną przeciw Innemu, poczynając się z samej siebie, i treścią, i granicą. Jak dama z wiersza Pawlikowskiej stawia się krok w nieskończoność z parasolką, piekiem i różą. Trzeba stawiać ten krok, wiedząc, że parasolka jest tylko parasolką. W tym samym fragmencie *Dziennika* Gombrowicza noty krytyki literackiej sąsiadują z lekkim, rzeklibyśmy lekkomyślnym, opisem własnego umierania. Czy ten zwycięski styl oznacza, że obce mu było przerażenie i rozpacz? Tak dzielny duch tak okrutnie pognębiony przez ciało – a jednak formą zakładający swój protest. Fortynbras uczcił księcia Hamleta, jak umiał, sprawiając mu pogrzeb żołnierski. Może i Gombrowicza wypadałoby nieść do grobu na skrzyżowanych mieczach.

Sławomir Mrożek

Gombrowicz. Śmierć

Nie mogę odpędzić wrażenia, że pisząc i drukując o zmarłym, dla tego że umarł, odpawiam pewien obrzęd i zabieg, którego znaczenie jest ukryte pod znaczeniem konwencjonalnym.

Jeżeli pod nim ukryte, to znaczy z nim nietożsame. Nietożsame z uczczeniem pamięci, wyrażeniem żalu, podkreśleniem zasług.

Możliwe, że chodzi o ustosunkowanie się, o zajęcie jakiegoś stanowiska, o nakaz: zrób coś – wobec zjawiska śmierci. Jakkolwiek kusząca jest alternatywa przyjęcia śmierci za nicosć doskonałą i wobec tego starania się, żeby ustosunkować się do niej nijako – silniejszy jest przymus, żeby nawet ze śmiercią coś zrobić, jakoś się zachować. Czyli przed śmiercią się bronić. Mieć inicjatywę (pożal się Boże). Nie uznać jej. Jakkolwiek obrzęd mój własny do tego się nadaje.

Ale nie może tylko o to chodzić – tylko o „użyciowanie” śmierci, o to, co zrobić z rękami w salonie, do którego weszła kostucha. Ona zawsze jest czyjaś, nigdy nie jest sama. Tu zaczyna się sprawa między mną a tym, czyja śmierć.

Muszę powiedzieć, bo jak tego nie powiem, to nie mam prawa niczego powiedzieć, że ilekroć ktoś umiera, odczuwam rodzaj ohydnej ulgi. Za przeproszeniem osób, które nie wiedzą albo nie chcą wiedzieć, że wiele rzeczy odczuwa się jednocześnie. Rzeczy rozdzierająco sprzecznych między sobą.

Więc ta ulga – chyba stąd, że dla mnie każdy człowiek jest tyle moją raną co moim zdrowiem, a przede wszystkim możliwością wszystkiego, nieobliczalnym producentem świata i tyle z mego dla mnie wynika bezpieczeństwa co niebezpieczeństwa. Zresztą ten sam rodzaj ohydnej ulgi odczuwałem wobec siebie, kiedy raz przez przypadek umierałem i także przez przypadek nie umarłem.

Podejrzewam, że obrządek, jaki odpawiam, odpowiada chęci zażegnania, opieczutowania zmarłego. O zmarłym pisze się: „był”. Niby jakże pisać inaczej. A jednak perfidne to słówko.

Z Gombrowiczem łączył mnie Gombrowicz. Było w nim znacznie więcej istnienia niż we mnie. Czasami, nie mogąc sprostać przewadze jego istnienia, uciekałem od niego.

Gombrowicz popełniał – notorycznie – przestępstwo, które ludzie wybaczą najtrudniej. Nie szanował, nie pieścił miłości własnej jego bliźnich. Chyba za to samo skazano na śmierć Sokratesa. Analogie są uderzające. Ta sama bezwzględna przyjaźń i życzliwość dla ludzi, tak właśnie bezwzględna, że ludzie nie mogli jej znieść. Gombrowicza nie dało się skazać, inne czasy, inne okoliczności i, mam nadzieję, może jednak odrobinę inni już ludzie. Ale reakcje były takie same. Oburzenie, oskarżenie o kpiny, o zarozumiałość, o złośliwość, o szarganie, o błażeństwo wreszcie. Jeden i drugi najbardziej drażnili mędrców, ludzi uważających się za kogoś i za coś. Kto się przynajmniej za coś nie uważa.

Do wszystkich jego, Gombrowicza, oskarżycieli o cokolwiek zwracam się z osobistą prośbą: Nie zmieniajcie o nim zdania, teraz, kiedy umarł. Jeżeli teraz zmienicie zdanie, to będzie znaczyło, że poddajecie się owej uldze, o której mówiłem na początku. Co się zmieniło? Tylko tyle że umarł. A więc czujecie się bezpieczni. Nigdy już więcej nie urazi waszej miłości własnej, a więc – jeżeli nagle, w jednej chwili, zmienicie o nim zdanie, to znaczy, że witacie jego śmierć jako swoje wyzwolenie.

Wszystkie wasze *de mortuis nihil nisi bene* będą tylko pobożnym pozorem.

Ranić naszą miłość własną jest bardzo niebezpiecznie, dla tego, kto rani. Sami tego unikamy, staramy się tego nie robić nikomu, przynajmniej świadomie. I słusznie postępujemy, jeżeli chodzi nam o bezpieczeństwo. Nie trzeba sądzić, że on ani nie wiedział, co robi, ani jak to jest niebezpieczne. On, tak świadomy.

Dlaczego to robił? Można się umówić, że człowiek ledwo żyje i wystarczająco zasługuje na litość, żeby go zostawić w spokoju. Nie pozbawiać go nędznych i śmiesznych skorupiek, które sobie z mozołem kleci, żeby się w nie schować i jako tako przeczekać, aż się to wszystko skończy. Że nie trzeba mu tych skorupiek ani odbierać, ani rozbijać. Cóż dziwnego, że stworzenie wyjęte z ciemnej norki, gdzie się schowało – na ostre światło – krzyczy, mruga oczkami i gryzie. Nie chcę w tej chwili dyskutować, czy wobec tego należy człowieka zostawić w małym, świętym spokoju, czy nie. Ale tak się złożyło, że on był jednym wielkim „nie” w tej sprawie.

Jeżeli kogoś bolał, niech ten ktoś pamięta, że ze sobą postępował podobnie. Byliśmy jego pacjentami i niektórzy z nas mają mu to za złe. Pomyślmy o chirurgu, który sam siebie operuje.

Niech sobie wyobrazę, że grałem z nim w szachy. Wstał i wyszedł z pokoju. Już nie wróci. Można mieć pokusę, żeby pomieszać mu figury i zadać mu mata, którego tak trudno mu było zadać w życiu. Jemu? Sobie, bo przecież to ja byłbym tym, który przestawia jego figury. Jakiego mata. Zaśmiałby się tak, jak to miał w zwyczaju.

Krzysztof Pomian

Jeleński: szkic do portretu

Był pełnoprawnym obywatelem wielu światów. Polszczyzny przede wszystkim, ale nadto co najmniej czterech innych języków. Eseju, w którym spełniał się jako pisarz, oraz rozprawy krytycznej, artykułu publicystycznego, recenzji, noty polemicznej, przekładu. Literatury polskiej i powszechnej; malarstwa, historii i polityki. Polskiego ziemiaństwa i liberalno-lewicowej inteligencji. Międzynarodowego środowiska intelektualistów, artystów i pisarzy, emigracji żołnierskiej i kręgów, których uczestnicy w różnych okresach opuścili PRL. Przeszłości, z którą czuł się związany, i czasu teraźniejszego, który go fascynował. Paryża jako jednej ze stolic kultury polskiej i Paryża jako centrum kultury francuskiej, a w jakiejś mierze też – europejskiej i światowej. Zresztą traktowano go jak swego w wielu miejscach, w wielu krajach, w wielu metropoliach. On jednak nigdzie nie czuł się chyba w pełni u siebie. Gdzieś w latach sześćdziesiątych, podczas PRL-owskiej nagonki na Gombrowicza, odpowiedział jakiemuś wolontariuszowi oszczerstwa z warszawskiej „Kultury”, który usiłował unaocznnić swym czytelnikom pogardę paryskiego światowca dla literatury narodowej: „Nigdy nie mówię: »U nas w Paryżu«”. Jakoż nigdy bodaj nie użył tego zwrotu. Co więcej, choć Polskę opuścił, mając lat siedemnaście, a w Paryżu mieszkał od 1951 roku, nigdy nie wystąpił o obywatelstwo francuskie i do końca legitymował się dokumentem uchodźcy politycznego.

Znaliśmy się zaledwie trzynaście lat. Po raz pierwszy spotkaliśmy się u pallotynów po moim tam odczycie, jesienią 1974 roku, i tamże, w mieszkaniu niezapomnianego ks. Józefa Sadzika, odbyliśmy pierwszą, długą, wieczorną rozmowę. Na pozór różniło nas niemal wszystko: pochodzenie społeczne, rodowód ideowy, życiorys, staż emigracyjny, nawet temperament, w moim przypadku znacznie bardziej gwałtowny. Jeśli jednak po tej rozmowie nastąpiło wiele innych, jeśli Konstanty Jeleński wkrótce stał się dla mnie Kotem, jeśli nasza znajomość szybko i najzupełniej naturalnie zaowocowała przyjaźnią – to chyba dlatego że zachodziło tu jakieś, stopniowo przez nas

obu odkrywane, powinowactwo duchowe zakorzenione we wspólnocie zainteresowań i wartości. Widywaliśmy się, jak na paryski tryb życia, względnie często. Niekiedy wpadałem do jego biura i szliśmy na obiad z czerwonym winem do jednej z małych, ludowych restauracyjek, które bardzo lubił, a których trochę uchowało się jeszcze w okolicach placu Republiki. Co kilka miesięcy spędzaliśmy razem wieczór na ożywionych dyskusjach o literaturze, malarstwie, polityce polskiej i francuskiej, na ogół przy akompaniamencie wybuchów śmiechu. Czasem byliśmy tylko w trójkę: moja żona, Kot i ja. Czasem grono było nieco szersze. Ostatnia taka beztroska i wesoła kolacja z udziałem Kota, Wojciecha Karpińskiego i Tomasza Łubieńskiego odbyła się w listopadzie lub grudniu ubiegłego roku. W lutym, podczas kolejnego wieczoru, który miał się okazać ostatni, nastrój był już inny. Kot sprawiał wrażenie zmęczonego i przygnębionego. Rozmawialiśmy o tym, co będzie mógł robić teraz, gdy emerytura, na którą był właśnie przeszedł, pozostawi mu nareszcie dużo wolnego czasu, ale temat wyraźnie go nie interesował. Wtedy przypuszczaliśmy z żoną, że sprawia mu trudność dostosowanie się do nowego trybu życia. Dziś wydaje nam się, że odczuwać już musiał pierwsze ciosy choroby.

Przyjaźń z Kotem to nie tylko rozmowy, w których jego partia była niekiedy istnym dziełem sztuki. To również listy, które pisał z wielką łatwością, przy najróżniejszych okazjach: by skomentować jakieś wydarzenie, przekazać wrażenia z lektury czy z obejrzenia czegoś, przesłać ciekawy wycinek z gazety czy po prostu zastąpić spotkanie, do którego akurat nie mogło dojść z braku czasu. Listy szybkie, o dużych, wyraźnych literach stawianych czarnym długopisem, niekiedy podkreślone, wolne od troski o styl i dzięki temu zachowujące chyba lepiej niż rzeczy drukowane sposób mówienia, melodię i barwę głosu.

W polszczyźnie, jak w innych językach europejskich, słowa „amator” i „dyletant” nabrały w ciągu ostatnich dwustu lat zabarwienia uwłaczającego. Jak więc określić dziś kogoś, kto zgodnie z ich pierwotnymi znaczeniami zajmuje się tym, co lubi i co mu sprawia przyjemność? „Miłośnik” brzmi nieco staroświecko. Może właśnie dlatego ten termin zdaje się dobrze przylegać do Jeleńskiego-pisarza: niczym miłośnik sztuk i piśmiennictwa w dawnym stylu nie poczytywał swego pisania za zawód, lecz uprawiał je jako czynność bezinteresowną. Było w tym coś z postawy wielkiego pana, który bawi się piórem, nie przywiązując wszakże nadmiernej wagi do efektów tej zabawy. Nie znaczy to, że Jeleński skłonny był pozwalać, by jego bezinteresowność nadużywano. Gdy zasłużony właściciel i dyrektor szwajcarskiej oficyny

L'Âge d'Homme uznał po ogłoszeniu drugiego wydania *Anthologie de la Poésie polonaise*, że może nie wypłacać za nie honorarium, Kot, który dostrzegł w tym – i słusznie – wyraz lekceważenia dla swej pracy, wystosował doń długi, sarkastyczny list godny każdego zbioru korespondencji ilustrującej stosunki autorów z wydawcami. Skądinąd jednak w ciągu trzydziestu z górą lat rozsiewał swe utwory i nie podejmował nawet próby zgromadzenia ich w kolejnych tomach, choć przecież żył wśród ludzi cierpiących na ogół istne męki, póki kilku szkiców, które wydrukowali już w czasopismach, nie objęła jedna okładka. *Zbiegi okoliczności* powstały, jak wiadomo, z inicjatywy przyjaciół: Wojciecha Karpińskiego i Piotra Kłoczowskiego. Ale znaczna część spuścizny pisarskiej Jeleńskiego pozostaje jeszcze rozproszona, toteż nie ogarniamy dziś w pełni jej rozmiarów. Najważniejszym obowiązkiem jego przyjaciół będzie teraz zebranie wszystkiego, co pozostawił, porównanie różnojęzycznych wersji, przetłumaczenie utworów, których sam nie spolszczył, i udostępnienie całości czytelnikom. Wtedy dopiero zajmie on ostatecznie miejsce należne mu w powojennej historii kultury polskiej.

Jak każdy urodzony eseista Jeleński myślał nie systematycznie, lecz dygresyjnie. Przywiązywał wagę nie do rozumowania, formalnego schematu podporządkowanego ostrym kryteriom poprawności, ale do skojarzeń zdolnych odświeżać treściowe związki między przedmiotami, przeważnie niespodziewane i niewidoczne, nim nie zwrócił na nie uwagi swego czytelnika lub rozmówcy. Odpowiadało to jego fascynacji „zbiegami okoliczności”, zaskakującymi spotkaniami ludzi, wydarzeń, rzeczy, grą przypadku, która sprawia, że dwa równoległe na pozór tory przecinają się w tym, a nie innym punkcie, choć nie widać po temu żadnych racji, lub powoduje jakieś zgoła nieprzewidywalne następstwa. W tej „metafizyce ateisty”, którą głosił pół żartem, pół serio, wyrażała się jego oświeceniowość. Oświeceniowość szczególnie: nie wolteriańska z właściwym jej poczuciem wyłącznego posiadania prawdy i przekonaniem o własnej wyższości oraz towarzyszącą temu nieodłącznie nietolerancją. Bliższa raczej, na co zwrócono już uwagę, Jana Potockiego. Jeleński był człowiekiem oświecenia, który przeczytał i przyswoił sobie Blake'a i Lichtenberga. Reprezentował oświecenie późne, świadome swych ograniczeń i jednostronności, nauczone bowiem przez rewolucję i terror, że gdyby „światłość” wyrugowała bez reszty wszelki „mrok”, to w świecie nie ostałby się żaden cień, w którym jednostka mogłaby się schronić – a zatem skłonne, wbrew wolterowskiemu *écrasez l'infâme*, przyznać prawo do istnienia prze-

ciwieństwu siebie samego w imię wartości przez samego siebie wyznawanych. Jeleński-racjonalista tropił zatem, nie bez przekornego rozbawienia, przejawy działania w świecie czynników irracjonalnych, a Jeleński-libertyn okazywał szacunek religii, choć nie wyznawał jej ani nie praktykował. Przy czym swego rozdwojenia nie przeżywał tragicznie, lecz rozładowywał wytwarzane przez nie napięcia dzięki ironicznemu dystansowi wobec samego siebie i swych poglądów, dzięki nieustannej otwartości na innych, gotowości uznania racji oponenta, choćby tytułem próby, by zobaczyć, co z tego wyniknie. Jestem pewien, że lubił Hume'a, acz – rzecz dziwna – nigdy z nim o tym nie rozmawiałem.

Ale wyrozumiałość dla stanowisk sprzecznych z jego własnym miała u Jeleńskiego wyraźnie określone granice. Nie rozciągała się na nacjonalizm, programową wrogość wobec obcych, zwłaszcza wobec Żydów, sympatię dla dyktatur, bałwochwalczy stosunek do narodowej przeszłości i otaczanie kultem tego tylko co swojskie, rdzenne, wczepione, niczym roślina, w swe miejsce urodzenia. Do endecji odnosił się z niezmienną i jednoznaczną wrogością i nie był skłonny przyznać jej jakichkolwiek okoliczności łagodzących. Wypowiedzi na ten temat wyzwały jego natychmiastową reakcję. Gdy ogłosiłem kiedyś w „Kulturze” krótką notę o pewnym emigracyjnym antysemicie, dostałem od Kota liścik z wyrazami uznania nazajutrz po ukazaniu się numeru. Gdy zaś pewien wspólny znajomy, w jednym ze swych artykułów, okazał, zdaniem Kota, ustępliwość wobec endecji, otrzymał odeń wielostronicowy list z rozbiorem i krytyką wyrażonych w tym artykule poglądów. Paradoksom polskiego nacjonalizmu Jeleński poświęcił zresztą wnikliwy referat wygłoszony na kolokwium zorganizowanym – z jego inicjatywy i przy jego czynnym udziale – w pierwszą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego. Bowiem polemika z endecją była dlań równie aktualna dziś co w latach pięćdziesiątych, gdy wpisał się w nią kilkoma artykułami, które trafią kiedyś do antologii polskiej myśli demokratycznej. A może nawet jeszcze bardziej, gdyż orientacja ta żywotna jest obecnie nie tylko na emigracji. Nie dziwi, że jej językiem posługuje się władza, ta – jak pisał Jeleński w 1968 roku – „garstka zupaków”, która „nawiązuje do najgorszych tradycji narodowych ciemnogrodów”. Echa jej głosu pobrzmiwają jednak, co bardziej niepokojące, w wypowiedziach niektórych dostojników Kościoła, a jeszcze wyraźniej – u niektórych publicystów świeckich, którzy występują w roli jego rzeczników. Jej wpływ rozciąga się również na pewne odłamy opozycji.

Wspomniałem, że Jeleński w żadnym realnym miejscu nie czuł się chyba bez zastrzeżeń u siebie. Czuł się tak, jak sędzę, wyłącznie w kulturze polskiej, która istnieje zapewne w szczególnym i niepowtarzalnym stężeniu tam, gdzie trzydzieści sześć milionów osób mówi żywą, codzienną polszczyzną i gdzie tysiącletnia tradycja, powielana w zachowaniach jednostek i zbiorowości, utrwalała się w krajobrazach i zabytkach, ale która nie jest do żadnego realnego miejsca przypisana, odtwarza się bowiem i odnawia w Maisons-Laffitte, Londynie i Monachium, w San Francisco, gdy nad tamtejszą zatoką ma swe widzenia Miłosz, czy w Neapolu przyswojonym naszej duchowej geografii przez Herlinga – jak niegdyś w Buenos Aires, gdy pisał tam Gombrowicz, jak na Syberii czy w Kazachstanie ubiegłego stulecia i stalinowskich wywózek, jak bez przerwy, od dwustu niemal lat, w Paryżu i w Rzymie. Otóż w sporze między endecją a nami wszystkimi, którzy – jak Jeleński – uważamy jej wpływy za zgubne, choć skądinąd różnimy się między sobą, chodzi nie tylko i nie przede wszystkim o sprawy polityczne. Chodzi o coś nieporównanie bardziej doniosłego: o samo rozumienie Polski, polskości, kultury polskiej. Program endecki zakłada odwrócenie się od Zachodu, zamknięcie w narodowym samouwielbieniu i w katolicyzmie pozbawionym wszakże w praktyce swego wymiaru uniwersalnego, który przekreślają zachowania jednostkowe i zbiorowe skażone skrajnym etnocentryzmem. Zakłada też przejście z tradycji tego tylko, co daje się pogodzić z wzorcem „Polaka-katolika”. Dla Jeleńskiego kultura polska stanowi część kultury europejskiej, do której wnosi własne, unikalne wartości i od której nie może się izolować pod groźbą wyjałowienia. Przy czym nie jest tak, by kultura europejska mogła być utożsamiona z katolicyzmem czy nawet z chrześcijaństwem; jest ona niezbywalnie pluralistyczna, wewnętrznie skłócona, trawiona konfliktem w obrębie samego sacrum oraz między sacrum a profanum, między partykularyzmami narodowymi a uniwersalnością, między „ludem” a „elitami”. Z podobnych konfliktów i napięć czerpie swe bogactwo również kultura polska, z której nie sposób – bez zubożenia jej i zniekształcenia – usunąć wkładu Żydów, Niemców, Ukraińców i Litwinów, jak nie sposób usunąć z niej ani kalwinów i arian, oświeceniowych farmazonów, romantycznych bluźnierców czy socjalistów, ani katolików jezuickiego chowu, sarmatów o podgolonych łbach, towiańczyków i zmartwychwstańców czy nawet endeków. Wyłożenie w *The History of Polish Literature* takiej właśnie pluralistycznej wizji kultury polskiej Jeleński uważał za jedno z wielkich osiągnięć Czesława Miłosza, toteż niestrudzenie zabiegał

o wydanie jego dzieła po polsku w nadziei, że okaże się to skutecznym lekarstwem na polskie stereotypy i polskie kompleksy.

Każdy z nas wystawiony bywa na pokusę manicheizmu, ale nie każdy potrafi się jej oprzeć. Kot był chyba najmniej manichejską umysłowością, jaką kiedykolwiek spotkałem. Choć „socjalizm realny” bezwarunkowo i jednoznacznie potępiał, choć nie znajdował dlań żadnego usprawiedliwienia, nie utożsamiał go wszelako ze złem absolutnym. Był w tym – jak w całym swym nastawieniu – bardziej historykiem, empirykiem i pragmatykiem niż ideologiem. Nie uważał też, że cokolwiek wrogie jest „realnemu socjalizmowi”, zasługuje z tego tytułu na bezwarunkową aprobatę. W szczególności zaś nie znosił przekonania, że diabła można wypędzić tylko Belzebubem i że zatem skuteczna walka z sowieckim totalitaryzmem, w wersji oryginalnej lub uwzględniającej polskie swoistości, wymaga zamknięcia oczu na zbrodnie niektórych jego przeciwników lub na naruszanie praworządności czy demokracji przez innych. Świata, w którym żyjemy, nie dzielił na dwie części: równomiernie czarną i równomiernie białą. Widział w nim raczej wielobarwną mozaikę o dość zawiłym rysunku, która tylko gdzieś tam zawiera połacie jednolitej czerni, zaś czystej bieli nie ma nigdzie. Uznanie rzeczywistości za złożoną i wstręt do umysłowego prostactwa stanowiły o niepodatności Jeleńskiego na wszelkie doktrynerstwo i fanatyzm; nawet w jego polemikach z endecją nie ma zacierzwienia czy chęci słownego zniszczenia przeciwnika. Podobną cechą odznaczają się jego wypowiedzi na temat „realnego socjalizmu” i jego piewców: dźwięczy w nich często szyderstwo, ale bez nienawiści. Odporność Jeleńskiego na doktrynerstwo i fanatyzm przejawiała się bowiem w konsekwentnym odróżnianiu przezeń ustroju, który potępiał i zwalczał, od jednostek, które usiłował zrozumieć. Zdawał sobie sprawę, że zło w świecie ma za sprawców nie tylko złych ludzi działających z niskich pobudek, ale również – kto wie, czy nie częściej – ludzi skądinąd czcigodnych, ożywionych czystymi i dobrymi intencjami. Mechanizm, który to powoduje, który przeinacza, znieprawia i zmienia w ich własne przeciwieństwo piękne słowa, wzniosłe czyny i szlachetne zamiary, szczególnie interesował Jeleńskiego w zjawisku komunizmu. Świadczy o tym niezwykle artykuł, jakim pożegnał Tuwima w 1954 roku. Oraz, jeszcze dobitniej, otwartość i życzliwość, jakie okazywał przyjeżdżającym z Polski coraz liczniej po 1956 roku pisarzom i artystom, często ekskomunistom lub byłym *compagnons de route*, czym przyczynił się, jakże istotnie, do przełamania lodów między emigracją polityczną a intelektualistami z Kraju. W jednym ze

swych szkiców Jeleński zwrócił uwagę na „fakt, jak mało stosunkowo znaczą w literaturze »opinie« czy »światopogląd«, o ile ważniejsze są cechy osobiste: zdolność obserwacji, inteligencja, wrażliwość, samodzielność sądu, przywiązanie do prawdy”. Stosował to nie tylko do literatury, a tym, w których te cechy dostrzegał, świadczył szacunek i przyjaźń, nie zważając na ich wcześniejsze uwikłania polityczne, gdy tylko miał podstawy sądzić, że działali w dobrej wierze i nigdy nie popełnili czynów niegodnych.

Jak Gombrowicz i Mieroszewski, jak Herling i Miłosz, Jeleński, gdyby nie „Kultura”, nie urzeczywistniłby zapewne wielu swych możliwości. To w „Kulturze” ukazały się przecież niemal wszystkie jego artykuły pisane po polsku lub przez niego na polski przełożone; nie trzeba być wielkim znawcą dziejów czasopiśmiennictwa emigracyjnego, by wiedzieć, że – z nielicznymi bardzo wyjątkami – mogły one być ukazać się tylko tam. Ale „Kultura” była dla Jeleńskiego nie tylko miejscem, gdzie drukował swe utwory. Była czymś o wiele ważniejszym: „formą zbiorowej komunikacji z kilkoma ludźmi rozrzuconymi po świecie, z którymi przeważnie nie sposób było spotkać się raz na tydzień w kawiarni”. Inaczej mówiąc: formą uczestnictwa w tej idealnej kulturze polskiej, która istnieje wszędzie, gdzie żyją jej twórcy. I na tym jednak nie koniec. Z Józefem Czapskim, Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, Zofią i Zygmuntem Hertzami łączyła go głęboka przyjaźń, a z samym pismem i jego redaktorem naczelnym – wspólnota pewnych podstawowych wartości, „wrogość wobec tego składnika polskiej tradycji, jakim jest nacjonalizm”, krytyczna ocena dwudziestolecia, przywiązanie do przeszłości, ale bez nostalgii, otwarcie na sprawy kraju. Piszę o tych sprawach, dziś chyba oczywistych, by jakoś streścić niezliczone rozmowy z Kotem na temat „Kultury” właśnie, jej współpracowników i jej redaktora naczelnego. Przyjechałem z Warszawy pełen uprzedzeń właściwych środowisku, z jakiego się wywodzę, i czternaście lat temu o wiele silniejszych niż teraz, choć nadal nie do końca chyba przewyciężonych przez wszystkich mych warszawskich przyjaciół. Moja droga do Laffittu prowadziła – mówiąc skrótowo – przez dwa miejsca, gdzie te uprzedzenia uległy stopniowo wykarczowaniu: przez mieszkanie Kota na rue La Vrillière i przez piętérko w kawiarni Cluny, w której spotykamy się zazwyczaj z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim. To oni – a zwłaszcza Kot, choćby dlatego że widywałem go częściej niż Gustawa – pozwolili mi zrozumieć „Kulturę” i przyjść tam pewnego dnia trochę tak, jak przychodzi się po długim błędzeniu do znalezionej wreszcie domu. To pod ich

wpływem, w latach 1978–1979, gdy wraz z Pierre’em Nora i Marcellem Gauchetem przygotowywaliśmy „Le Débat”, było już dla mnie oczywiste, że musi się w nim ukazać artykuł o „Kulturze” i że powinien być napisany przez Jeleńskiego; pomysł ten doczekał się realizacji słonecznym latem 1980 roku. „Kultura” wracała zresztą w naszych rozmowach również później. Gdyby nie pomoc Kota i jego rady, nie wiem, czy udałooby się doprowadzić do wystawy Czterdziestolecia, której francuski katalog przejrzał uważnie w maszynopisie, a w kilku punktach – skorygował i uzupełnił. A z wielu obrazów, na których przechowałam w pamięci jego postać, w tej chwili tkwi mi przed oczami scena z wernisazu tej wystawy: Kot z Leonor Fini przed gablotą poświęconą Stempowskiemu, Czapskiemu i Jeleńskiemu.

Nie idealizujemy jednak. Stosunki Kota z „Kulturą” nie zawsze były harmonijne. Łatwo to zrozumieć. Wspólnota wartości wyznacza zasadnicze wybory, ale w życiu codziennym większą od niej rolę odgrywają często charaktery ludzi i wymagania instytucji. Jerzy Giedroyc powiedział kiedyś o „Kulturze”, że jest zakonem. Aby być członkiem tego zakonu, nie trzeba było koniecznie mieszkać w Lafficie. Mieroszewski nigdy tam nawet nie był, gdyż nigdy po wojnie nie wyjechał z Anglii, ale w zakonie „Kultury” piastował wysoką godność, gdyż złożył jej śluby wierności i podporządkował cały swój sposób życia. Jeleński nie miał temperamentu zakonnika. Był człowiekiem światowym. Poza pisanem do „Kultury” zajmował się wieloma innymi sprawami, a w latach, gdy działał w Kongresie, reprezentował instytucję, z którą stosunki „Kultury” były – najogólniej mówiąc – złożone, choć Józef Czapski i Jerzy Giedroyc stali u jej kolebki. W ciągu lat współpracy zdarzały się też rozbieżności bardziej zasadnicze, które dotyczyły zwłaszcza spraw krajowych i stosunku do lewicy zachodniej. Jednym z takich tematów spornych było nieustępliwe dążenie Jerzego Giedroycia do nawiązania i utrzymania ścisłych związków ze środowiskiem dysydenckim, a później – opozycyjnym w Polsce, w czym Kot upatrywał niepotrzebne narażanie ludzi na niebezpieczeństwo. Tak właśnie ocenił kiedyś u nas w domu wydawanie „Kultury” i książek Instytutu Literackiego w formacie kieszonkowym, nie wiedząc, jak i my wtedy, że apelowali o to od dawna sami czytelnicy krajowi. Innym zarzutem Kota wobec „Kultury” było jej rosnące – zwłaszcza od drugiej połowy lat siedemdziesiątych – upolitycznienie, które istotnie zepchnęło tematykę literacką jak gdyby na dalszy plan. Skądinąd zaś Kot był osobowością tak różną od Jerzego Giedroycia, że przy najlepszej woli musiały powstawać między nimi tarcia i zadraż-

nienia. Tym bardziej zdumiewa fakt, że ich współpraca przetrwała trzydzieści sześć lat i że Kot żywił dla Redaktora autentyczny podziw, temperowany wprawdzie domieszką krytycyzmu, który jednak w niczym nie zmniejszał jego głębokiej uczuciowej więzi z „Kulturą” ani jego umiejętności zaszczepiania jej innym.

Jako postać publiczna, zwłaszcza podczas ostatnich piętnastu lat, Jeleński, widziany z oddalenia, mógł wydawać się kimś niemal apolitycznym. Nie podpisywał petycji i protestów, nie ogłaszał w gazetach artykułów na aktualne tematy, nie występował na zgromadzeniach; jego wypowiedzi dotyczyły książek, obrazów, problemów kultury. Były to tylko pozory. Zawsze czynny pozostał taki do ostatnich dni. Widziałem przecież, ile czasu poświęcał całymi latami sprawom Fondation pour une Entraide Intellectuelle Européenne i jak bardzo przejmował się jej losami, przekonany, jak najśluszniej, że ta skromna instytucja w istotnej mierze umożliwia intelektualistom z krajów bloku sowieckiego utrzymanie kontaktu z kulturą Europy Zachodniej. Od chwili pojawienia się w Polsce opozycji demokratycznej Kot był całym sercem po jej stronie; zaświadczył o tym między innymi pracą, jaką włożył w przygotowanie francuskiej edycji książki Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog*, która tylko dzięki niemu doszła do skutku. A jest to zaledwie jeden przykład codziennych zabiegów, których pełny wymiar odsłaniał się tylko z bliska: recenzji wewnętrznych, tłumaczeń, telefonów, zebrań, listów, mających na celu dopomożenie ludziom i dziełom.

Jego reakcją na 13 grudnia 1981 roku było bezzwłoczne podjęcie starań o subwencje dla wydawnictw emigracyjnych, by mogły publikować teksty napływające z Kraju, co do których przypuszczał, że będzie ich więcej niż przedtem, w następstwie represji wobec drugiego obiegu. Już w styczniu lub lutym 1982 roku spotkaliśmy się, Kot i ja, z Francisem Suttonem, ówczesnym wiceprzewodniczącym Fundacji Forda, którego Kot namówił bodaj na przyjazd do Paryża, aby przedstawić mu szacunek potrzeb i wstępne projekty. Po dalszych dwóch lub trzech miesiącach, w ciągu których Kot napisał, jak przypuszczam, kilkadziesiąt listów i przeprowadził kilkaset rozmów telefonicznych – a robił to przecież w czasie wolnym od pracy w Institut national de l’audiovisuel – odbyło się zorganizowane przezeń w domu „Kultury” pierwsze zebranie poświęcone utworzeniu Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej. O tym, czym Fundusz zajmował się przez pięć lat swego istnienia, każdy może dowiedzieć się ze sprawozdania ogłoszonego przez Komitet Wykonawczy. Z natury rzeczy nie ma w nim jednak mowy o roli Kota: o tym,

że podczas pierwszych miesięcy istnienia Funduszu pełnił funkcję koordynatora, zwoływał zebrania, często u siebie, redagował niezbędne dokumenty; że w ciągu całych pięciu lat poświęcał sprawom Funduszu wiele uwagi, że w każdej sytuacji można było na niego liczyć i że było tak aż do ostatniego posiedzenia Komitetu Wykonawczego 27 marca bieżącego roku. Obok tego znajdował czas na pilnowanie interesów Polskiego Pen Clubu, które były przedmiotem jego spotkań z Alexandrem Blochem i René Tavernierem, i obfitej korespondencji. I nadal zajmował się wszystkim, co absorbowało go również w poprzednich latach. Nie zaniedbał chyba żadnej sprawy, którą uważał za godną poparcia – dyskretny i sprawny zarazem duch opiekuńczy kultury polskiej na świecie.

Wiersze, powieści i obrazy były dla Kota czymś znacznie ważniejszym niż tylko tematami esejów – częścią osobowości. Wracały w rozmowach i w listach, określały jego tożsamość. Żył nimi. W malarstwie współczesnym najwyżej cenił nadrealistów, a z Polaków – Czapskiego i Lebensteina. W literaturze polskiej – Gombrowicza, Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego i Herberta. Łatwo zauważyć, że wszyscy ci malarze i pisarze byli również jego przyjaciółmi i że uznanie krytyka spletało się nierozłącznie z poczuciem osobistej bliskości. Nie znaczy to, jakoby oceny dzieł zależały u Jeleńskiego od stopnia jego zażyłości z ich autorami. Ale znaczy, że w doborze przyjaciół kierował się, po części chyba bezwiednie, stosunkiem do ich utworów, przynajmniej gdy szło o osoby uprawiające literaturę i sztukę. Nim poznał Gombrowicza, przeżył olśnienie *Ferdydurke*, a *Ocalenie* zachwyliło go wiele lat przed spotkaniem Miłosza; podobnie obrazy Lebensteina odkrył dla siebie, nim ich autor zjawił się w Paryżu. Takich przykładów da się przytoczyć więcej. Zresztą Jeleński nie cofał się ani przed odślanianiem słabości utworów, które omawiał, ani przed zgłaszaniem wątpliwości czy zaznaczaniem niezgody z poglądami przyjaciół, choć zapewne większą przyjemność sprawiało mu wyrażanie aprobaty. Był przykładem krytyka, dla którego dzieła istnieją nie jako zamknięte w sobie, autonomiczne struktury, ale jako emanacje żywych ludzi – uważał zatem, że z tymi ludźmi trzeba się niejako utożsamić, jeśli chce się właściwie odczytać dzieła same. Toteż przyjaźń z autorami, którą kultywował jako wartość samoistną, była dlań również kluczem do zrozumienia ich dzieł.

Wybór utworów, który przesądzał poniekąd o wyborze przyjaciół, nie był u Jeleńskiego następstwem kaprysu czy przypadku. Zapewne jakąś rolę odgrywały w tym jego ulubione „zbiegi okoliczności”. Zasadniczo jednak jego upodobania artystyczne i literackie były po-

chodnymi postawy, jaką sam zajmował wobec tradycji. Jeleński nie był w żadnej mierze tradycjonalistą; paseistyczne odwracanie się od terażniejszości było mu z gruntu obce. Ale nie był też w żadnej mierze wyznawcą, choćby platonicznym, futurystycznego odcinania się i od tradycji, i od terażniejszości. Uważał, że tradycji nie trzeba sztucznie konserwować i że nie trzeba też z nią zrywać. Wystarczy wyrastać z niej spontanicznie i naturalnie, jak wyrasta się z dzieciństwa i młodości, których wiek dojrzały jest przedłużeniem, choć się do nich przecież nie sprowadza, i o których pamięta, choć nauczył się wiele nowego. Ta postawa wobec tradycji, znamienita dla doświadczonych przez historię ludzi późnego oświecenia, wyznaczała zarówno poglądy polityczne Jeleńskiego, jak i jego kryteria estetyczne. W polityce odrzucał pospół rewolucję i reakcję; w literaturze i sztuce – awangardę i akademizm. Uznawał natomiast w polityce rozsądny reformizm, a w literaturze i sztuce – krytyczne nawiązanie do tradycji, niekiedy polemiczne, prześmiewcze lub zgoła kontestatorskie, niekiedy tylko wybiórcze, ale zawsze świadome odrębności czasu terażniejszego i przyszłego, od tego, który już minął, i powodowanej tym absurdalności powielania dawnych wzorów. Nie sposób tu dowieść i dowodzić chyba nie trzeba, że dzieła malarskie i pisarskie przyjaciół Jeleńskiego odznaczają się różnorodnym wprawdzie, ale zawsze krytycznym nawiązywaniem do tradycji. Odsłania się tu wspólnota zasadniczych przekonań, która stanowiła, niezależnie od ewentualnych powierzchownych rozbieżności, ostateczną i trwałą podstawę uznania, jakim ich darzył, i bliskości z nimi, do jakiej się poczuwał.

Wspomnienia nie mają końca, a skończyć trzeba. Jeleński należy już do historii, Kot – do pamięci przechowującej to, co odtąd na zawsze niewidzialne. „A czas niezwrotny jak bieży, tak bieży”.

Konstanty: polskie tło

Skąd ten mój wewnętrzny zamęt po śmierci Jeleńskiego? Ostatnie nasze spotkania mnie dziwiły. Nie rozumiałem, dlaczego zaczynał wyglądać staro. Że ma 65 lat, nie chciało to przeniknąć do mojej świadomości. Mógł być tylko młody, starość była dla niego niestosowna. Młody, przystojny, obyty w świecie, śmiały, bardzo męski, czarujący w rozmowie, władający czterema językami, miłośnik książek, intelektualista, znawca nowoczesnego malarstwa: aż tyle zalet w jednym człowieku? Jakby angielski szlachcic z renesansowych portretów, może sir Philip Sidney, żołnierz i poeta. Szukałem powodów mego zamętu i doszedłem, prowizorycznie przynajmniej, do pewnych wniosków. Straciłem w nim czytelnika numer jeden, to znaczy takiego, któremu pokazywałem wiersze przed oddaniem ich do druku i którego opinia najwyżej się liczyła. Chodzi jednak o co innego: *j e s z c z e* nie odbyłem z nim rozmowy na temat mnie tylko znany i teraz już było za późno.

Próbuję przedstawić w skrócie, jakie nici są tu do rozplątania. Bywają bardzo szczególne odmiany zazdrości. Na przykład kiedy w parę dziesiątków lat po drugiej wojnie światowej zaczął zmieniać się klimat polityczny we Francji i tak zwani dysydenci tudzież nowi emigranci przestali być uważani za moralnych potworów i faszystów, odczuwałem żal, że tym nowym, Polakom, Czechom, Rosjanom, przychodzi tak łatwo to, co mnie przychodziło tak trudno. Byli akceptowani towarzysko, przyjmowani, zapraszani, dostawali stypendia i kontrakty, natomiast ja, ileś lat przedtem, byłem na indeksie i nawet kiedy szukałem tłumacza, ktoś w Paryżu powiedział, że bardzo chętnie, ale nie może, bo jakby mnie tłumaczył, byłby spalony. Mogłem pisać tylko do pism też na indeksie, jak „Kultura” albo „Preuves” – periodyk amerykański, a więc trefny.

To prowadzi do nieco podobnej odmiany zazdrości wobec Kota Jeleńskiego. Ale zanim do tego przejdę, trochę spostrzeżeń ogólnych. Jeleński dla ludzi mu bliskich, Polaków, Włochów, Francuzów, był tym, który wynurza się z innego, obcego im żywiołu i przebywa

z nimi w ich żywiole, żeby z kolei w tamtym innym zniknąć. Dla Leonor Fini i ich domostwa, gdzie mówiono po włosku, wynurzał się z polskości i swoich polskich kontaktów, stamtąd gdzie pito wódkę i prowadzono nocne rodaków rozmowy. Dla Francuzów, Amerykanów, Anglików przybywał ze swojej strefy włoskiej. Ale z kolei wobec Polaków był więcej niż jednym Jeleńskim, nie tylko z powodu swego „wynurzania się” spośród cudzoziemców, także dlatego że należał równocześnie do kilku warstw polskiego myślenia i obyczaju. Ludzie młodszych pokoleń mogli z nim rozmawiać jak z kolegą o literaturze czy polityce, nie pamiętając albo nie wiedząc, że wlecze za sobą cały łańcuch koligacji arystokratycznych i rodowych snobizmów, że mimo swojej krnąbrności jest uważany za swego w sferach emigracji 1939 roku, tej lepiej urodzonej. Są tu znaczne podobieństwa z Gombrowiczem i Konstanty był tak oddany szerzeniu sławy autora *Ślubu*, nie tylko dlatego że we wczesnej młodości oczarowała go powieść *Ferdynurke*. Gombrowicz też był co najmniej podwójny, może potrójny. Tak w swoją rodzinę ziemiańską włączony, że drażnienie się z nią i pokazywanie języka stanowiło napęd jego twórczości, uciekał od niej do kawiarnianego stolika literatów, po to tylko, żeby ich zarażać heraldyczną manią. Wyruszył później na podbój świata jako pisarz i wymagał, żeby uznano jego niezwykłą inteligencję oraz talent, jak też żeby przyjęto go takim, jaki był, polskim szlachcicem – a przecie zostawała duża reszta, polsko-prowincjonalna, zbyt już zawiła, nie do przemienienia w dzieło.

Włoskie parantele Konstantego pomine, choć nie bez znaczenia był fakt, że drugim jego językiem był włoski. Zatrzymam się na Jeleńskich. Była to stara rodzina Wielkiego Księstwa Litewskiego, tak jak Gombrowiczowie, tylko trochę wyżej. Herbarze i pamiętniki wprowadzają nas w tamto środowisko kresowe, w kraj wujów, ciotek i bliskich znajomych naszego Kota. Jego kuzynką była Janina z Puttkamerów Żółtowska, prawnuczka Mickiewiczowskiej Maryli, autorka pamiętników *Inne czasy, inni ludzie*, wydanych w Londynie w roku 1959, o której to książce Konstanty napisał jeden z piękniejszych swoich esejów. Te same nazwiska i nazwy majątków co u Żółtowskiej występują też w kronice rodzinnej innego ich krewnego, profesora Kieniewicza.

Prawnuczka hrabiny Marie Puttkamer pogrążona była w swojej epoce dla osób jej pokroju zakończonej z rokiem 1914, a przecie jakoś trwającej do roku 1939, a w emigracyjnym Londynie, gdzie pisała drugi tom swoich wspomnień (dotychczas niewydany), i dłużej. Obyczaj polskich dworów na Litwie zmieniał się tak powoli, że sto czy

dwieście lat niewiele się liczyły, i jej książkę można położyć obok wspomnień i pamiętników z czasu filomatów. Jest ona cennym świadectwem, ponieważ jej autorce nie przychodzi do głowy, że towarzyskie obrzędy kasty, którą opisuje, mogą wydać się komuś nieskończenie egzotyczne, a cały szlachecki mikrokosmos potrafi budzić uczucia litości i grozy, tym bardziej że pamiętamy, gdzie, w jakiej szklanej kuli zawisł, wśród mówiących innym językiem chłopów i obok miasteczek o jeszcze innym języku, jidysz. Żółtowska swój dar obserwacji i złośliwy język ćwiczy na obgadywaniu osób i rodzin, uprawiając, rzeklibyśmy, krytykę wewnętrzną, taką, jaką Jeleński czy Gombrowicz nieraz w domu słyszeli. Ale oni oglądają polski dwór, będąc i wewnątrz, i już na zewnątrz, już oknami włączają do środka parobcy jak w ostatniej części *Ferdydurke*, i nic dziwnego, że szesnastoletni Konstanty tak się tym utworem zachwyił: rozpoznał w nim swój własny humor dystansu, przykryty na co dzień towarzyską ogładą.

Kuzynka Konstantego swoich rodzinnych sekretów nie zdradza. Mogłaby na przykład opowiedzieć, dlaczego Maryla próbowała otruć się laudanum – czy dlatego że była w ciąży, i z kim? W ogóle ta wsławiona w literaturze postać nie zdaje się w łaskach u prawnuczki, która do poezji ma stosunek zdrowy, jako do niepoważnego zajęcia, a być może po prostu bredni. Czytając ją, uświadomiłem sobie, jak dużą dozę literackiej legendy pakowało w nas moje gimnazjum imienia Króla Zygmunta Augusta w Wilnie. Pamiętam, jak odwiedził naszą szkołę Władysław Mickiewicz, syn Adama, widzę go do dziś – podobny do ojca, i na ojca, przez białą grzywę, ustylizowany. (Później, jako ubogi student w Paryżu, pomagałem porządkować jakieś papiery wnukowi Adama, Goreckiemu; myślałem, że będzie coś płacić, ale był skąpy i jako zapłatę dawał tylko dwa bilety metra). Którejś wiosennej niedzieli wyższe klasy naszego gimnazjum pojechały na szkolną wycieczkę pociągiem do stacji Bieniakonie, stamtąd pieszo przez las do Bolcienik, gdzie pokazano nam borek Maryli. Odbyło się tam podobno jej ostatnie spotkanie-rozstanie z Mickiewiczem. Legenda miłości wzniosłej tych dwojga była tak silna, że nie zastanawialiśmy, czy jest stosowne, żeby zameężna kobieta spotykała się ukradkiem w nocy z młodym mężczyzną. Ale dla Żółtowskiej Bolcieniki znaczyły coś zupełnie innego, był to po prostu rodzinny majątek. Podobnie Jaszuny to były Jaszuny Balińskich. Dla mnie nazwa ta długo oznaczała stację w lasach, zwaliska sosnowego drewna, zapach żywicy, koleiny piaszczystej drogi, którą jeździłem jednokonnym wózkiem, prawie co dzień odwożąc albo przywożąc gości do naszego domku w Raudonce. W Ja-

szunach wsiadali wczesną wiosną myśliwi wracający z głuszcowych toków w Puszczy Rudnickiej, podziwiałem ich zdobycz, ogromne brodate koguty, niesione pionowo, czasem w opakowaniu z jedliny. Dopiero później zaczął dla mnie istnieć odległy o kilka kilometrów od stacji dwór, ale tylko dlatego że, jak dowiedziałem się z lekcji, bywał tam Juliusz Słowacki i jeździł konno z Ludwiką Śniadecką po tych właśnie znajomych lasach. Notuję to, żeby pokazać moje bardziej literackie spojrzenie na świat Żółtowskiej, od którego byłem o stopień dalej niż Jeleński czy Gombrowicz, niemal już całkowicie na zewnątrz.

Głównym tematem jej wspomnień nie są żadne tam mrzonki, ale bardzo konkretne handlowe transakcje, czyli kłopoty rodziców z tak zwanymi pannami na wydaniu. Towarzysko jednolite społeczeństwo to dzieliło się na ściśle odgraniczone od siebie sfery, zależne od wysokości posagu, znało „złe partie” i „dobre partie” tudzież instytucję karnawału i prawie codziennych wtedy balów służących do pokazywania urody kandydatek. Opis karnawału w Krakowie, bodaj w 1908 roku, daje pojęcie o ciężkiej pracy mam, które spędzały popołudnia na składaniu wizyt, a noce pod ścianami w sali balowej na przyglądaniu się, z kim córki tańczą i jakimi partiami są poszczególni młodzi panowie. Zdarzało się, że na salę wkraczał młodzieniec wyjątkowo bogaty, a wtedy mamy i córki nawiedzało drżenie, jak mówi Żółtowska, „jakby odynieć wyszedł na strzał”. A działa się to równocześnie z szablami Młodej Polski, co zaprasza do zamyślenia się nad jakąś zasadniczą niezbornością, nierównoległością dziejów ciała i ducha, może nie różną od tej na początku ubiegłego stulecia.

Jak formował się wolnomyslny, tolerancyjny, antyklerykalny umysł Jeleńskiego, ile zaważył na jego wychowaniu dwór, skąd taki sposób myślenia u chłopca z Polski dwudziestolecia? Dzisiaj tamta Polska jest idealizowana i zapomina się o rozpaczliwej liberalizm i socjalizm, których przegrana stawała się w okolicach 1930 roku coraz bardziej widoczna. Sporo wiadomości o tym można znaleźć w esejach Jerzego Stempowskiego, łącznie z jego opowieścią o tym, jak w walizce wywoził z Warszawy protokoły masonskiej loży – a nagonka na masonię miała wówczas symboliczne znaczenie. Wtedy nie było tego widać, ale dzisiaj jawi mi się wyraźnie, że dwie tradycje myśli w Polsce, dwie odmiany odczuwania, niemal dwa światopoglądy coraz to wchodzą ze sobą w kolizję, choć niby to razem pełniły służbę. Myślę o trzeźwym oświeceniu i mniej trzeźwym romantyzmie, który wprowadził pojęcie więzi etnicznej i przez to ożywił niepodległościowe dążenia Polaków, Czechów, Węgrów, Chorwatów itd. Oświecenie było fran-

cuskie, romantyczna idea narodu z Niemiec (od Herdera) rodem, kultywowana nie bez odwetowych zajadów po klęskach zadanych Germanom przez Napoleona. Siła tej idei w Polsce okazała się olbrzymia i ona to, rosnąc, przybierając coraz to nowe i niespodziewane kształty, poprzez Ligę Narodową na przełomie stuleci aż po rok 1939 rządziła sercami, jeżeli nie umysłami. Otóż nie jest jasne, dlaczego poszlacheccy pisarze urodzeni we dworze – przeważnie kresowym – okazywali wobec niej znaczny opór, zupełnie inaczej niż ich romantyczni pradziadowie, i najwyraźniej żywili oświeceniowe sympatie. Jerzy Stempowski, podobnie jak jego ojciec Stanisław, byli sceptykami na wolteriańską modłę, Stanisław Vincenz zrostu katolicko-polskiego nie lubił, ateista Gombrowicz przeciwko męczeńskiej wspólnocie, czyli Polsce-bogini, występował, Józef Mackiewicz tak zachowywał się na swoim pisarskim gospodarstwie, jakby romantyzm z Wilna na zawsze wyemigrował do Królestwa i tam, już prawicowy, stał się polskości znamieniem, Wilnu zostawiając pośmiertny triumf sarkastycznych osiemnastowiecznych masonów. A i Ksawery Pruszyński, mimo swego sentymentalizmu niszczącego talent, niezbyt w plemiennej mistyce gustował. W jaki sposób te skłonności łączyły się z obyczajem dworów Żółtowskiej, nie rozumiem i nie podejmuję się tłumaczyć. Tyle że, wymieniając nazwiska, mówię: ciepło, ciepło, bo Jeleński wśród nich się mieści. Wyjechał z Polski w 1939 roku, mając lat siedemnaście, ale wyraźnie już ukształtowany. Po końcu wojny, w Polsce Ludowej, dużo pisano o encyklopedystach, o oświeceniu, o Staszicu i Kołłątaju, przejmując nawet nazwę pisma – „Kuźnica” – że niby marksiści mają być prawowitymi następcami tamtych polskich sprzymierzeńców Francji laickiej. Później wstręt do tej maskarady „na etapie” zadziałał tak gruntownie, że nikt nie ośmiela się dzisiaj pisać o Polsce dwudziestolecia jako kraju, gdzie było „za dużo święconej wody, za mało zwykłego mydła” i gdzie rozum (laicki) nielicznej mniejszości próbował bezskutecznie bronić się drwiną przed naporem ciemnych zbiorowych uniesień, błogosławionych, nie ma co ukrywać, przez znaczną część kleru. Młodociany Jeleński wiedział dobrze, co o tym sądzić, i ta zasadnicza orientacja została mu na całe życie – a była, moim zdaniem, konieczna, żeby ten przyjaciel ścisłego deterministy Jacques’a Monoda mógł zaprzyjaźnić się także z księdzem Józefem Sadzikim, duchownym głębokiej wiary, brać niepośledni udział w zbliżeniu pomiędzy intelektualistami i Kościołem tudzież tłumaczyć na francuski wiersze Jana Pawła II. Jestem pewien, że Konstanty byłby zadowolony z tego, co o nim teraz piszę. W ostatnich latach ze smutkiem obser-

wował w Polsce nawroty bynajmniej nie oświeconego klerykalizmu, co wydawało mu się, a byliśmy w tym zgodni, zaprzepaszczaniem wielkich duchowych osiągnięć powojennego okresu.

Oto temat rozmowy, której już z nim nie odbędę. Zazdrościłem mu wdzięku i umiaru w dystansowaniu się od tamtej Polski przedwojennej, czy może humoru, który pozwalał mu i wyłączać się, i przynależeć. Dlaczego mnie przychodziło tak trudno, skąd te bezmiary romantycznego uwikłania i wstrętu, te chwile uświadomienia, kiedy mróz przebiega po plecach? Histeria izolowanej jednostki wobec kraju, który najoczywiściej się zmieniał, zostawiając za sobą dwór pani Żółtowskiej – ostatecznie pierwszy tom jej wspomnień, napisany przed rokiem 1939, sama uznaje za dotyczący „innych czasów, innych ludzi” – przesuwając się ku wspólnocie plebejskiej, ku „zabawie ludowej” swego barda Gałczyńskiego, która ładnie łączyła się u niego z „nocą długich noży” mającej czekać liberałów. Zapytałbym Jeleńskiego, czy wtedy, wobec tak wyraźnego absurdu, młodociany umysł oponenta mógł znaleźć inne rusztowanie intelektualne niż w marksizmie i czy rozmawiał o tym ze swoim szkolnym kolegą Krzysztofem Baczyńskim uważającym się za marksistę. A jeżeli Konstantego ominęła faza skrajnie lewicowa, to jakie powściągi działały? Towarzyskie? Dobrego smaku? Intuicyjne? Patriotyczne? I jaką funkcję spełniała wtedy łączność z ziemiańską, bądź co bądź, rodziną?

Nie twierdzę bynajmniej, że nasze umysłowe spotkanie w jego latach paryskich oznaczało tożsamość naszych filozofii czy upodobań. Ostatecznie i wobec mnie Kot, zagadkowy, „wynurzał się” spoza swoich zasłon, stamtąd, gdzie był kimś innym. W jednym przecie byliśmy zgodni – w ocenie dzieł i spraw polskich.

Kiedy zdarzyło mi się pisać o ateistach błogosławionych, miałem na myśli, nie ukrywam, przede wszystkim Jeleńskiego. Jeżeli ludzie wierzą w pośmiertną karę albo nagrodę, łatwiej ich szlachetne postęпки do tej wiary przypisać. Kot miał ogromną potrzebę niesienia bliźnim pomocy i podobny był w tym do innego naszego wspólnego przyjaciela, Zygmunta Hertza. Gdyby zebrać głosy tych wszystkich, którzy doznali jego czynnej życzliwości, zebrałaby się monumentalna księga. Nadaję tym jego czynom głębsze, metafizyczne uzasadnienie: na ziemi opuszczonej przez Boga, oddanej we władzę zła, tylko człowiek ma dar współczucia, niech więc robi, co może, żeby zmniejszyć sumę cierpień – Kot zdawał się rozumować tak, jak rozumował podobnie ofiarny bohater *Dżumy* Camusa.

Do istotnych cech Kota zaliczyłbym jego pobożność. Nie dlatego że, jak nieraz oświadczał, wstydził się prymitywnego ateizmu swojej młodości i zrozumiał wielkość religii, widząc w niej najwyższe osiągnięcie ludzkiej wyobraźni. Pobożność określiłbym jako szacunek dla istnienia i radość, że rzeczy nas otaczające są, bo przecie mogłoby nie być. Jeleński (w eseju o jednej z moich książek) mówił o „czułości do życia, bo jest jedyne i niepowtarzalne”, o „łasce”, o „rezygnacji niemal radosnej”, o „zgodzie niedopowiedzianej nie tylko na własną śmierć, ale na to, że nie będzie kiedyś ani wierszy Miłosza, ani ludzi, którzy by je mogli czytać: wystarczy że j e s t , t e r a z , c o ś, o czym te wiersze świadczą”.

Mniej bym wiedział o ekstatycznej pochwie życia w słowach Jeleńskiego, gdybym nigdy nie był w Nonza. Poniżej tego korsykańskiego miasteczka, na skałach niewidocznych z drogi przebiegającej wzdłuż brzegu morza, znajdują się ruiny średniowiecznego klasztoru, dokąd Konstanty i Leonor Fini przez wiele lat przyjeżdżali na wakacje. Zejście ścieżką od drogi, dnem stromego parowu, pozostaje w mojej pamięci jako jedno z najbardziej niezwykłych przeżyć, porównywalnych być może tylko z przygodami bohaterów baśni, kiedy w najzwyczajszej rzeczywistości niespodziewanie natykają się na bramę do zaczarowanego ogrodu. Zamiast suchej Korsyki szmer strumieni i roślinność bujna, szerokolistna, aż tropikalna, labirynt, w którym trudno znaleźć dostęp do kotliny kryjącej klasztor. Między ścianami opuszczonego kościoła rośnie wielkie drzewo, jego korona sięga resztek ostrołuków, wszystko oplatają korzenie i gałęzie niby liany, obok o dwa kroki od jako tako mieszkalnego jeszcze refektarza schodki i skała do skoku w morze. Jak głosi legenda, mnisi tutejsi odkryli zyskowny proceder: światłem udającym latarnię morską zwabiali okręty na skały, po czym zabierali łup, jak wolno się domyślać, rozbitków, czyli świadków, nie oszczędzając. A więc dzikie wybrzeże i ono to stało się dla Konstantego obrazem ziemskiego szczęścia, jak można się przekonać z jego pism, fotografii, z listów. Miłość światła, uwielbienie słońca, nagości, niedostępna z lądu zatoka, gdzie godzinami pływali z Leonorą, stół pod niebem, naprędce przygotowywane posiłki, chleb i wino. Cieszę się, że widziałem Nonza, przez to o jedną zasłonę mniej, choć były też inne, i za nimi zostaje Konstanty prawdziwy.

Wojciech Karpiński

Spotkanie z Kotem Jeleńskim

Zachowałem wyraźnie w pamięci świetlisty dzień. Przyszedłem na boulevard Haussmann do biura Kongresu Wolności Kultury. Powiedziałem sekretarce, że jestem umówiony z panem Jeleńskim. Co pewien czas przebiegali korytarzem zaaferowani urzędnicy. Wkrótce pojawił się szczupły wysoki mężczyzna w tweedowej marynarce. Miał wąskie usta, wyraźny, ale cofnięty podbródek, głowę trzymał odchyloną do tyłu, jak piękny ptak. „Zaraz pójdziemy na kawę”, powiedział i natychmiast zniknął. Wrócił po chwili. Wyszliśmy naprzeciwko do kawiarni Le Préfet.

Rozmowa toczyła się błyskawicznie, przerywana śmiechem. Stąd wrażenie świetlistości, towarzyszące również wszystkim późniejszym spotkaniom, nawet tym mniej radosnym. Struna światła. Uderzał szybko, lotną inteligencją, ale czułem dystans. Nie ten oczywisty, złożony z różnicą błyskotliwości i wiedzy, lecz bardziej zasadniczy, wywołany przeświadczeniem, że widzę tylko jedną z wielu twarzy, które trudno złożyć w całość. Siedzieliśmy w kawiarni naprzeciw domu, gdzie Proust niegdyś w męczarniach tworzył swoje arcydzieło, Kot (tak go nazywałem w myślach, jak wszyscy, choć dopiero po kilkunastu latach mieliśmy, listownie, nad Atlantykiem, przejść na ty) poruszał tematy, które mnie, dwudziestoletniego studenta, poleconego mu przez Zygmunta Hertza, powinny interesować. Pamiętam, jak w przenikliwe, lecz nie zgryźliwe formuły ujmował twórczość głośnego wówczas pisarza krajowego, który, podejrzewałem, był nam obu obojętny. Po chwili przez jego promieniejące oczy przepłynęła mgła znużenia. Przechodził do innego tematu, dotykanego równie swobodnie, równie błyskotliwie. Podbijał szybkością myśli i trafnością słowa. Czymś więcej.

Z miejsca zostałem oczarowany. Ani on nie starał się mnie specjalnie ująć, ani ja nie ulegałem wówczas łatwo zachwytom. Przeciwnie, nawet milczące wyrażanie uznania przychodziło mi trudno. A jednak już po chwili zrozumiałem wagę tego spotkania dla mnie. Moje wrażenie da się ująć jednym klarownym zdaniem: po raz pierwszy

w życiu widziałem nowoczesnego i swobodnego Polaka. Uzasadnienie tego przeświadczenia wymaga szerszych komentarzy i nie potrafię ich sformułować równie jasno.

Oczywiście to nie tylko rozmowa, ta czy późniejsze, wywołała takie wrażenie. Wiedziałem, kogo spotykam. Znałem z „Kultury” jego teksty. Szkic *Bohaterskie niebohaterstwo Gombrowicza* (1957) stanowił olśniewającą konfrontację dwóch inteligencji, jednej, wyzywającej, zaborczej, nastrojonej na genialność, autora *Dziennika*, i drugiej, naturalnej, trafnej i szybkiej, krytyka. Esej *O kilku sprzecznościach sztuki nowoczesnej* ukazał się właśnie wówczas, we wrześniu 1963. Ta błyskotliwa bajka o współczesnym artyście pomagała mi zrozumieć nowoczesność i uczyła dystansu do niej. Potrzebowałem tej lekcji. Tego spojrzenia na współczesność i na przeszłość. Szukałem go w innych wypowiedziach Jeleńskiego.

Jego pisarstwo było mi szczególnie bliskie, gdy dotyczył spraw polskich i gdy czynił to po polsku. W świetnej plejadzie eseistów skupionych wokół „Kultury” jego teksty świeciły własnym blaskiem. Gdy napomykałem, że widzę w nim jednego z nielicznych autentycznych pisarzy współczesnej Polski, że jest w nim woła rzeczywistości, której brak krajowym twórcom, że jego polszczyzna ma dźwięk słowa naturalnego i trwałego, zakorzenionego i lotnego, wzruszał ze śmiechem ramionami i zmieniał temat. Krępowало go takie widzenie jego osoby. Miałem wrażenie, że nie tylko skromność nim powodowała. Uciekał przed nadmiernymi obowiązkami, biorąc na siebie, po drodze, obowiązki drobne i nużące. Jakieś tłumaczenie, jakąś recenzję wydawniczą. Jakąś rozmowę.

Pisał po polsku wspaniale. Jak? Tak jak mówił, zarazem naturalnie, barwnie i precyzyjnie. Tak jak opowiadał w czasie naszych krótkich spotkań, wtedy, w kawiarni, gdy zaraz spieszył się gdzieś dalej, czy potem, zawsze „między drzwiami”. Raz nawet dosłownie: spotkanie w holu Kongresu, błyskawiczna rozmowa, potem taksówka (zdażył w niej opowiedzieć historyjkę o Emeryku Czapskim) na boulevard de l'Opéra, do drzwi redakcji „Preuves”, gdzie był już z kimś umówiony. Szybkie spacerunki po ulicach Paryża od jego biura czy domu ku jakiejś kafejce. W jednej ręce trzymał książkę i plik gazet angielskich, francuskich, włoskich, drugą gestykułował, w pewnej chwili zatrzymywał się dla podkreślenia opowieści, w półobrocie chwycił mnie za rękę powyżej łokcia i cudownie naśladował któregoś ze znajomych czy jakąś postać. Miał dar imitacji. Mówił wówczas jak pretensjonalny urzędnik przedwojennego MSZ-u albo kapral z polskiego wojska we

Francji, albo jak paryski intelektualista, albo jak ktoś z przyjaciół: Zygmunt Hertz, Józef Czapski. Ku zdumieniu przechodniów buczał lub piał falsetem, machał ręką i po krótkim zachłyśnięciu się wybuchnął kaskadą śmiechu.

Nasze spotkania podczas moich przyjazdów do Paryża były krótkie, zbyt krótkie dla mnie, chciałem z niego jak najwięcej wyciągnąć, ale też go nie znudzić. Nasza rozmowa przebiegała „na cztery tempa”. Pytałem najpierw, co dzieje się w zachodnim życiu intelektualnym, o nowe książki, wystawy. Był znakomicie poinformowany. Wyczuwał ducha czasów z wyprzedzeniem. Wiedziałem, że autorzy przez niego wspomniani będą modni za rok, a malarze za parę lat. Jakbym od mistrza Diora dowiadywał się o najnowszych paryskich fasonach. Inna sprawa, że z czasem do tych książek zaglądałem z mniejszą gorliwością. Zawsze jednak starałem się zapamiętać wspomnianych przez niego malarzy, starych i nowych.

Potem wypytywałem o książki ważne dla niego kiedyś, o mody wczorajsze czy przedwczorajsze, o jego oksfordzkie czy rzymskie lektury. Tym sugestiom przysłuchiwałem się uważnie. Znał mój podziw dla Evelyny Waugh’a, więc podsuwał mi Ronalda Firbanka, Barona Corvo, Larbauda, Paula Moranda, Djunę Barnes.

Trzecim etapem rozmowy był Gombrowicz i Miłosz, przede wszystkim Gombrowicz, który prowadził nas ku finalnej czwartej części: ku jego wspomnieniom rodzinnym, ku sprawom polskim. W początkach znajomości wyraźnie rozdzielaliśmy role, ja, szarżując, podkreślałem „konserwatyzm”, on przyjmował rolę „lewicowca”, czyli wyrozumiałego dla tych, którzy w okresie stalinowskim czy później zachowywali się mało godziwie. Jego tolerancja sięgała daleko, udawałem zgorzelenie, ale wiedziałem, że istnieje granica tej wyrozumiałości, że on sam nie uległ nigdy heglowskim zaślepieniom.

Rozumiałem coś więcej, coś sięgającego poza żartobliwą rozmowę, choć może tylko dającego się tak właśnie, lekkomyślnie zza mgieł ironii, wyrazić. Gdy opowiadał o rodzicach, o ich znajomych, o swych przodkach, o polskich artystach kilku generacji aż po jego i moich rówieśników, stawał się prawdziwie ożywiony, mówił najciekawiej i najswobodniej. Potrafił ich charakteryzować jednym celnym i zaskakującym obrazem, porównywać, sądzić, usprawiedliwiać, ale zawsze z przejęciem, z błyskiem zainteresowania w oku. Podchodził do nich ze zrozumieniem i z dystansem. Swobodnie. I mówił swobodnie.

Takiego go zobaczyłem przy pierwszym spotkaniu w kawiarni na bulwarze Haussmanna, taki pozostał do końca. Takiego widzę go na-

dal. Śmieje się, zmienia temat, już biegnie myślą dalej, opowiada o ostatnim filmie, o nowych teoriach w genetyce, oburza się na francuskich pravicowców, wspomina jakąś ciotkę, która łączyła go z Gombrowiczem, kpi ze sklerotycznych cech ziemiańskiej polszczyzny. Naturalny i nieuchwytny, obecny w wielu płaszczyznach i niedający się zredukować do żadnej z nich. Jakież to było promienne doświadczenie dla mnie, w roku 1963, że ktoś taki w ogóle istnieje, że taka wersja polskości jest możliwa.

Żeby zrozumieć moją reakcję, trzeba go zobaczyć, barwnego ptaka na ówczesnym tle. W kraju jałowa niby-europejskość „Przeglądu Kulturalnego”, kłamliwe błyski rewizjonizmu, dławiąca nuda oficjalnej publicystyki i literatury, biedny i zastrachany neopozytywizm „Tygodnika Powszechnego”. Na emigracji nawet u najwybitniejszych bolesne skurcze, wewnętrzne urazy, szamotanina, uczucie porażenia i niespełnienia. Rozmowy w kraju były dla mnie formą niemości, rozmowy z emigrantami „wariacjami na jeden temat”. W najlepszym razie spotykałem osobowości poszatkowane, składające się z niekontaktujących ze sobą komórek: polityka, religia, obyczaje, literatura. A tutaj nagle ktoś, kto swobodnie i dyskretnie porusza się po terenach, po których chce się poruszać – zarazem nowoczesny, rozluźniony i tkwiący w polskim żywiole. Jaka ulga!

I zaraz pytanie: jak to możliwe, dlaczego on? Jeżeli spotykałem kogoś nowoczesnego, zwróconego ku światu, to bywał zamknięty w jakiejś teorii, omotany przez ducha czasu. Jeżeli zdobywał wewnętrzną swobodę, to zwykle pozostawał obojętny na nowe prądy w sztuce czy myśli, nie interesował się współczesnym światem. A polskie obciążenia i polskie zawężenia czyniły płodne złączenie tych cech czymś zupełnie nieprawdopodobnym. Dlaczego więc Kot ożywiał się, gdy mówiliśmy o sprawach polskich? Dlaczego teksty naprawdę ważne pisał po polsku i o literaturze polskiej? Zadawałem mu to pytanie bezpośrednio, zadawałem jego rozproszonym esejom. Zbywał swoje szkice lekceważąco. Uważał, że należy „do wielkiego zastępu piszących, a nie do garstki pisarzy”. Dla mnie był znakomitym pisarzem, jednym z najważniejszych.

Leopold Tyrmand

Hłasko

Hłasko. Hłaskower. Śmieciarz. Sokół.

Dlaczego Sokół?

Trudno powiedzieć. Bo on tak chciał. Bo coś mu się wiązało w czaszce w parabolę, w dowcip, w odniesieniu, w parodię, w ironię. Ostatnio wołał Sokół. Bo przepadał za tym, co miało swój dźwięk i ty już wiesz. Więc tak mówiliśmy o nim ostatnio przez telefon.

Ostatnio też, jak mi doniesiono, robił klops. Pieczeń rzymską. Własnoręcznie. Kupował mielone mięso na hamburgery w hollywoodzkim supermarkecie, wbijał jajka, kleił z miłością i zrozumieniem klops i wsadzał do pieca. Wychodziło coś, co głodnym nie sprawiało żadnej różnicy. Tyle miał z tego swojego Hollywoodu, który przez długie lata był dlań jak pański dwór dla Janka Muzykanta. A potem się jakoś spalił i nic kławego z niego nie wynikło. Ale nie narzekał. Ten kraj jest jak trzeba, mówił mi, dzwoniąc z Los Angeles do Nowego Jorku, z nie swojego telefonu. Chłopcze, mówiłem, jest trzecia nad ranem i nikogo tu teraz nie interesuje polska konwersacja. Domyślałem się, odpowiadał, ale ja jestem sam, pijany i chory. Co ci jest? Mam białaczkę. To mówiłeś w zeszłym tygodniu i Mroczkoszczak posłał ci nawet parę złotych na lekarstwa; zaślepiała go miłość. Dziwne, mówił z troską, ale moje oczy nie zobaczyły ani grosza z tych pieniędzy; widocznie Murzyni pocztę spalili; i ty wierzysz, że mnie ktoś by posłał coś w celu niesienia tak zwanej pomocy? Oczywiście, mówiłem, że ci posłał; ja tobie nie wierzę.

* * *

Muskulator. Perła Kurortu.

Ale wierzyłem mu.

Nawet kłamiąc – a składał się z nieskończoności małych, czasem parszywych, czasem wspaniałych, czasem bezsensownych, czasem ślicznych kłamstw – zawsze przekazywał jakąś prawdę. Nieważną prawdę. Potrzebną prawdę. Zresztą nie można było przymierzać go do siebie lub przymierzać się do niego, na zasadzie wiary-nie-wiary.

To były rzeczy bez znaczenia. Wymierzał ciosy obłądnie, na ślepo, elementarne, tą swoją nieprzykładalnością do porządku pojęć innych, nieprzystosowaniem do tego, co zawsze miał w zamiarze, schowane na kiedyś, zawinięte w chłopską książeczkę do nabożeństwa, wytartą, lecz schludną. Uważał się sam za człowieka niezwykle uporządkowanego, nawet pedantycznego, oddającego każdemu co jego. A przy tym kłamał i lżył, i opluwał tak doszczętnie, a zarazem tak bezinteresownie, że z kłamstw i oszczerstw wyrastały nowe portrety prawdy, za które ludzie by mu się w pas kłaniali, gdyby ich tylko chciał odtwarzać. Było w nim niechlujstwo, nie było w nim śmieci. Było w nim błoto, nie było w nim brudu. Był człowiekiem z mułu i kurzu, jak każdy z nas jest, nawet ci wypolerowani i omaszczeni intelektualno-ideowym gnojem, z którego nikt nic nie ma. Z niego ludzie m i e l i. I curesy i ubaw, i ból, i jakieś przekonanie, że t o jest właśnie t a k, o jakie najbardziej chodzi tym, którym ciężko, głupio i niesłusznie. Chwalił się, że nie robił błędów gramatycznych i że zawsze wszystko mu się zgadza w konstrukcji opowiadania, aż do ostatniego szczegółu. Może i nie robił, może i mu się zgadzało, ale z małym ale. W konstrukcji i w wyprowadzających się z niej logikach był bezbłędny, lecz w dotknięciu Prawdy, tej najgłówniejszej i bezapelacyjnej, i wszechwyjaśniającej, zawsze był jakby przesunięty, pośpieszny, spóźniony, obok. To, co malował, było wielkie przez swe cudowne, irytujące skrzywienie, deformację, skos. Był romantykiem, a więc mazał i upiększał.

* * *

Marco – najprzystojniejszy pomocnik blacharza.

Nie każdy powinien czytać te słowa.

Wielu niczego z nich nie zrozumie, tak jak ja nie mogę jeszcze zrozumieć, że już trzeba w nich zawrzeć to wszystko, kim był i co robił, że można go definiować. Ja zresztą nie mam niczego do dania, co wszyscy mogliby zrozumieć. Ja wiem swoje, a to, co wiem, wie jeszcze paru ludzi i tylko z nimi należałoby siedzieć i mówić, bawiąc się zapawkami na mokrym stole. To się ma tak do rozumienia jak zapach. Jak rozumieć zapach? Słowa, te najprostsze, a więc najwymyślniejsze, i zdania, te formowane z pasją dotarcia i olśnienia, mają zapach i Hłasko kochał ich woń. Pamiętał ją. Wiedział, że w woni są mądrości, którymi nie zbawi się nikogo ani świata, ale które coś mówią. Mówią. Mówić. Czyli rozeznawać poprzez słowa. Jak on sobie lubił pogadać. Mówić. Przyszedłem kiedyś do „Po Prostu”, na Wiejskiej, w 1956. Warszawska kamienica sprzed bomb, a więc wysokie sufity ze sztukate-

rią, wysokie, odrapane drzwi. Otworzyłem jakieś i on stał na krześle, z książką w rękę i kazał, zaś na podłodze klęczał jeden podchmielony, poeta-murarz, jak o sobie mówił, ręce złożone jak do modlitwy, wzrok wśrubowany w Śmieciarza, który mu czytał Dostojewskiego. Czytał po warszawsku, z owym l wbitym mocno w podniebienie, i kochał słowa, zdania, ich wonie. Żywy obraz, sam w sobie nic nie mówi, ani ucieszny, ani pouczający, ale coś się w nim tliło, coś ukrytego w zakątkach zdań, czego nie można przekazać. Zresztą nieważne, mógł to być Wierchowienieński, mógł być Humphrey Bogart – groźba mądrości utajona w męce kształtowania zdań, rąbania ich w kostki, heblowania w strużyny była jego życiem. Przychodził do mojej kuchni na Bielanach, siadał na taborecie, jadł jugosłowiańskie sardynki i opowiadał, co napisze. Nigdy mu nie ufałem, że zapamięta, ale potem, w druku, było tak, jak mówił, albo i lepiej. Pisarze na ogół mówią lepiej o tym, co napiszą. Ich udręki polegają na niemożności odnalezienia własnych słów.

* * *

Kochało się go zazwyczaj 24 godziny. Nie można było dłużej. Kilka pań próbowało, ale żadnej nie wyszło. Znaczne ilości innych koleżanek rozumiały instynktownie prawa gry. I te mają dziś piękne wspomnienia. On sam skarżył się i zawodził na kruchość i zwodniczość miłości, co w efekcie dało kilkaset przekonywających stron druku. Nigdy nie rozumiał, że jest źródłem, początkiem, końcem i skutkiem wszystkich nieprawości. Miał do miłości stosunek rzewny, co sprawiło, że stał się jednym z najbardziej magicznych bardów rzetelnego, smutnego cynizmu swej literackiej epoki. To nie on odkrył szlachetność, głębię i ból kurewstwa – bo co tu było do odkrywania – ale nadał im jakąś rangę, nieznaną w polskiej literaturze. Nie umiał pogłębić ani rozszerzyć tego swojego gniotąco klarownego rozeznania i tu dopadała go polskość, zachlapana komunizmem, co pchało to jego pisanie w nostalgie, gesty, sentymenty, pozy, maniery. Lecz rdzeń tego, o czym wiedział, sam szpik tego, co chciał, był w dechę, taki co to ludzie odbierają i kupują, i żywią się nim. Patrzyliśmy, zafascynowani, na te jego trzy karty nadziei, ponieważ i głodu słuszności, jak je chachmęcił i jak nie przegrywał. Mówiono, że udaje rozpacz. Ale jak genialnie udawał.

Każdy, kto go napotkał – dziewczyna, starzec, dziecko, pies – popadał z nim w miłość nagłą i gwałtowną. Chciał być kochany przez każdego, wdzięczył się, krygował i dopraszał miłości. Chciał ją także dawać, a przynajmniej święcie wierzył, że chce. Roztaczał kokieterie

i uroki, którym nie można było nic przeciwstawić. Marzył o wiernościach i lojalnościach z żelaza i aż do końca, takich właśnie z Londona, Hemingwaya i hollywoodzkich scenariuszy. Może dlatego właśnie przestawał kochać w ciągu jednego litra i dwóch paczek „Sportów”. Wybywał. Odchodził. Znikał bez słowa i bez westchnienia. Jego wczorajszą miłość i oddanie odnaleźć można było tylko w dzisiejszych szyderstwach, w karykaturalnej m o w i e. Była ona uświęceniem w tragedię, ta g a d k a, lub wyniesieniem w komedię, była życiem samym w sobie. Z jej interpretacji wychodził zawsze zwycięsko, to znaczy skrzywdzony niewiernością, złodziejstwem, przecherstwem, donosicielstwem, numerem, pogromem człowieczeństwa – które, jasne, przeobrażały się w triumf filozofii. Wydawało mu się, że wie wszystko o nikczemności, niskości, podłości, upadku. W gruncie rzeczy wiedział to, co jego kieszonkowy licznik Geigera wykrywał i natychmiast kwalifikował. Stąd krzywdził, nadużywał, płacił obojętnością za przywiązanie, obmową za pomoc, niewiernością za wierność. Ale wiedział, że coś jest nie za bardzo z monstrualnym wszechsilnikiem egzystencji i starał się go po warszawsku zaklepać, zamotać, powiązać szpagatem, co wymagało szwejsowania, wstawić tekturę tam, gdzie potrzebna była blacha. I cierpiał przez tandetę, ale tandeta i szmelc to już nie była jego wina, takich części dostarcza dziś światu jakiś Najpotężniejszy Zaopatrzeniowiec, o którym wiadomo, że nie ma co się z nim szamotać, bo On już wie, że inaczej nie można, i nigdy nie uda nam się wnikać w jego dostawy ani remanenty. Z tej wiedzy rodził się styl życia i pisania. Zaś w ramach stylu zawarta była możliwość rozwiązań ostatecznych, toteż przystawiony do ściany, z rękami w górze, na sekundę przed wsadzeniem mu gipsu w usta, umiał wyrwać się i krzyknąć głosem nieoczekiwanie jasnym i donośnym, co jest dobre, a co złe. I gdy udało mu się umknąć strzałom, a przynajmniej ubiacko-literacko-organizacyjnym kopom w nerki i w jaja, poszedł tam, dokąd nie chciał, czyli – jak mówią gówniarze z ironią – wybrał wolność.

* * *

Wszedłem do mieszkania w mokrą, czerwcową, nowojorską noc i zadzwonił telefon, od razu. Jakiś facet z „New York Timesa” donosił, że Hłasko umarł. I pytał mnie o coś, mówił, że potrzebuje do sylwetki pisarza. Coś mu mówiłem, ale zrobiło mi się jakoś sucho i szmactanie, i potem on się wymeldował, a ja wyjąłem jakąś wódkę – nie dla stylu, ale żeby się skoncentrować na zmartwieniu, bo to nie takie proste w takich chwilach, i czasem człowiek myśli o przetartych

snurowadłach i o tym, że zapomniał wczoraj kupić banany. Potem zadzwoniłem do New Haven, do jednego faceta, co był z Hłaską bardziej niż na ty, i słyszałem, jak tamten zesztyniał, bo można to było usłyszeć, i ja się w takich chwilach zawsze boję o atak serca u tego drugiego. Potem zadzwoniłem do jednej dziewczyny, i ona już wiedziała, i była jakby przesiąkła płaczem, mimo że Hłaski prawie nie znała, i ma swoje problemy, i w ogóle co można poza tak zwanym westchnieniem i ochronnym już tak to jest. Potem wyciągnąłem *Pięknych dwudziestoltnich* i śmiałem się z tego, z czego już kiedyś się śmiałem, i czułem własne łzy, chociaż ich jakby nie było. Potem przyszła inna dziewczyna, ni stąd, ni z owąd, o wpół do trzeciej w nocy, bo znała Hłaskę i też już wiedziała, i ja miałem trochę spirytusu z wermutem, i siedzieliśmy i mieliśmy wszystkiego dosyć, i było nam rozpaczliwie kojąco, że coś nas t a k jeszcze w życiu wzięło. Oczy mieliśmy wypalone przez noc, alkohol, zmęczenie, żal.

Potem, w parę dni później, siedziałem z jedną dziewczyną, Amerykanką, w hotelu Plaza i patrzyliśmy w telewizję, gdzie dawali *East of Eden*, i James Dean skręcał się i wił, i gryzł własną duszę, chcąc powiedzieć coś, o czym on wiedział, a nikt ani tego, ani jego nie rozumiał, ani nie lubił, chociaż każdy oddałby palec, żeby Dean dał się lubić i właśnie się dla niego tak skręcał. Powiedziałem: „Wyobraź sobie Deana metr osiemdziesiąt wzrostu i z cholernym poczuciem humoru, a będziesz miała tego człowieka, co umarł w zeszłym tygodniu i »Times« o nim pisał; ta sama twarz”. I ta dziewczyna powiedziała: „Dziwne, znałam u siebie, w Minneapolis, jednego faceta, który zupełnie wyglądał i był jak Dean i też umarł około trzydziestki; widocznie oni umierają w tym wieku; coś w tym jest”. Ale dla mnie to nie załatwiało sprawy.

* * *

Potem przyjechała jedna Polka z Los Angeles i opowiadała, że jej zdaniem on popełnił samobójstwo, bo gryzły go wyrzuty sumienia, że nie uratował Krzyśka Komedy od śmierci, bo razem pili wódkę, kiedy Komeda tak fatalnie upadł i uderzył się w głowę, i Hłasko, jak podobno miał sobie wyrzucać, zamiast go zatargać za tę skaleczoną głowę do szpitala, jeszcze snuł się z nim na jakichś spacerach po pi-jacku. To wydaje mi się nieprzekonywające, nie dlatego że sumienie i wyrzuty to bajka, bo Hłasko był wrażliwszy na sumieniu od wielu znanych mi jako subtelni, przepastni, rozedrgani, wibrujący, czego

nawet dowodzić nie trzeba, i na pewno układał sobie różne konfiguracje koszmarów na ten temat w bezsenności. Ale w międzyczasie pojechał do Izraela w sprawie tego filmu. Nawet nie żeby pisać scenariusz, ale – jak mówił – za rzeczoznawcę. Czego znowu dowodzić nie trzeba, bo wpierw trzeba zobaczyć Izrael, aby zrozumieć, jaką strunę ruszył, i co mu o tym kraju i jego ludziach w pisaniu zaśpiewało. Z Izraela kablował pogodne pocztówki, dawał wywiady, a gdy go ktoś chciał sfotografować dla prasy, powiedział: „O, przepraszam, co to to nie, prawo do fotografowania mnie ma wyłącznie policja w Los Angeles”. I jeszcze z Niemiec doszedł nas krótki wink, że niebawem tu będzie z powrotem i schlamy się za jego grosze.

Nie, samobójstwo ani zapaść przez gołdę, oderwana szajba czy nawet najprecyzyjniejsze diagnozy psychoanalityczne mnie jakoś nie trafiają do przekonania. Trzeba go było znać, oczko miał na sobie uważne, zanim zażył, długo oglądał seconal pod światło, czy nie uda się go podzielić na pół. A wódka? Ci, którzy robią z jego picia wielkie eschatologie, to są ci sami, co o wszystkim w życiu wiedzą połowę. I to zawsze tę mniej ważną. Prawdziwym pijakom pęka wątroba, zrywa się mięsień sercowy, śledziona wypływa przez uszy. A on był pozer, hipochondryk i trochę tchórz. I dzięki Bogu, że taki był. Tylko tchórze wiedzą o mękach odwagi, tylko hipochondrycy znają upojenia braku obaw, tylko pozerzy zżerani są głodem, aby być kimś innym, lepszym, większym. Tylko dlatego tyle wiedział i był mądry, tak, po prostu mądry – choć nigdy nie umiał być mądry dla siebie samego.

Więc co to było?

Nie wiem i chyba nigdy już nie będę wiedział. Nawet gdy znajdą niezbite dowody na to, że było właśnie tak i tak, to i to – ja nadal nic wiedzieć nie będę.

* * *

Jego romantyzm – romantyzm wiedzy ożyciu.

To brzmi koślawo, ale właśnie takim pisarzem był. Romantyzm jest jak kino: każdy, kto czyta romantyka czy coś romantycznego, chce to właśnie robić, o czym rzecz jest, tak czuć i przeżywać, tam być. Każda nędza, dno i brzydota są w kinie takie, że chce się tak samo, i każdy sam siebie od razu w tym wyobraża. On odtwarzał Polskę zapluta i straszliwą, nurzał ją w ohydach i w tym, co nie do wytrzymania – i ciągle mu ta Polska wychodziła urzekająca jak w kinie. Cała w ciemnych, przetłuszczonych brudem, potem i udręką

kolorach, nabrzmiała krzywdą i nieszczęściem, ale jakaś filmowa, nęcąca, modna. Każda dziewczyna w Warszawie chciała być Agnieszką z *Ósmego dnia tygodnia*, z pełną zgodą na wszystko, co się Agnieszce przytrafia, co ją je, co jej duszę truje i co ją ciągnie za włosy w samozniszczenie, autopogardę i tak zwane bagno. Jakże wiedział o tym łaknieniu gestu w swoich odbiorcach, jakże umiał im wymyślać tło, rolę, ornamentację. Jak uczciwie mówił im: „To straszne, ale zarazem jakie ozdobne i godne twojej własnej sceny życia; weź na siebie ciężar pozy, a przeistoczy się ona w autentyk dramatu”. Psychozy i zmagania moralne romantyzmu są bardziej rzeczywiste niż cokolwiek w literaturze, stąd ich odwieczna hegemonia w konsumentach, co nie znaczy, że przestają być wystrojem, a stają się logicznym rozbiorem istnienia. Wszyscy chwalili go za brutalny realizm, zaś on podawał nam do ust prawdy upiękzone, choćby najbardziej gorzkie, ale przebrane we frapujące kostiumy cudowności ohydy, szlachetności brzydoty, uskrzydłonych uroków nikczemności, łagodnych mądrości gwałtu. Komunizm wychodził z jego pisarstwa nie bardzo naruszony, trochę go tam nie ma. To, co w prozie jest *c i e k a w e* przez człowieka i dla człowieka, rzadko potrafi skutecznie rozszczepić uwarunkowania, mało pomaga w wiwisekcji epoki, w surowej analizie zinstytucjonalizowanych struktur. Nowelistyczne tragikomedie Hłaski mogłyby się przydarzyć wszędzie wszystkim z równym ładunkiem pragnienia imitacji i identyfikacji. Prawda o komunizmie w komunizmie polega nie na alienacji i jej portretowaniu, lecz na włączeniu, wsiąknięciu, wmażaniu się w komunizm bez rehabilitacyjnych akcesoriów dla samego siebie, dla bohatera. Jest antyalienacyjna i unicestwiają ją najrealistyczniejsze ozdobniki, najokrutniejsza nadzwyczajność, najczarniejsza barwność. Ludzie nie widzą ubiaka na oczy, a tak ugniatają się wzajemnie, tak duszą i dławią własnymi rękami, że życie staje się kloaką. Egzystencjalna gówienność bez blasków wyjątkowości, prosta, czasem wręcz smętna swą przydrożną ludowością, i tylko pod skromnie polaną wapnem pokrywą płynie sobie nie za wartko, leniwie, bez efektownych wirów i pian, cuchnący potok komunistycznego życia. I toną w nim wszyscy, my i oni, szarzy i barwni, kozacy i pokorni. Lepkość i szlamowatość istnień spaćkanych mazią i przylegających do siebie wzajemnie na zasadzie tej gnojności. Jakieś siły rozpętane zostały, które zmontowały Golema Nędzy-Giganta, a ten już dawno wymknął się kontroli wszystkich – obserwatorów, ofiar, budowniczych, współudziałowców. Jakieś operacje na duszy ludzkiej,

których sensu jeszcze nikt nie pojmuje, których skutki dławią jak homunculusy i frankensteiny.

Stąd schludny, zgrzebnny, niemal pogodny *Dzień Iwana Denisowicza* jest dla komunizmu tym, czym miecz św. Jerzego dla smoka. Czytając, powtarzamy: Boże! tylko nie tam, nie tam... Zaś jedno z nieskończoności obłąkań komunizmu polega na tym, że nie pozwala Hłaskom pisać o sobie źle.

* * *

Siedziałem raz na przyjęciu obok ambasadora Izraela, który znał polski – rzecz nierzadka wśród ambasadorów tego śródziemnomorskiego kraju. Powiedziałem mu, że Hłasko jest jednym ze współtwórców izraelskiej literatury narodowej. Zachnął się i oskarżył mnie o przesadną skłonność do paradoksalnych żartów. Powiedziałem mu: „Niech go pan sobie trochę poczyta”. Spotkałem ambasadora po jakimś czasie na party. Podeszedł do mnie i powiedział: „Wie pan, coś jest na rzeczy”.

Ja wiem, że tak jest. Ten wysoki, krzywo uśmiechnięty blondyn, polsko-rosyjski (bo tak lubił się widzieć, z wyrafinowaniem snobistycznymi referencjami od burłaków, nadwożańskich ballad, braci Karamazow, Wertyńskiego i upojnego cesarza terminu *bladź*), idealny prototyp postrachów małomiasteczkowych Żydów z ery pogromów, zrozumiał i ukochał pewien styk, który rozbestwieni ćwierćinteligenci chcą wymazać z Polski, a który znalazł schronienie w Tel Awiwie. Żeby nie wiem jak moczarski bandzior-chytrusek tego pragnął i do tego dążył, już nie wymaze żydowskości ze współczesnej, potocznej polszczyzny, owej przedziwnej melancholii bezradnego cwaniactwa, które zhumanizowało świętą polską mowę i sprowadziło ją z wyżyn parafialnych uprzejmości i gamoniowatego ułaństwa do rzędu muzycznych instrumentów codzienności, bogatych w nieskończoność ekspresji i intonacji. Zaś w Hajfie i Tel Awiwie Bóg jeden wie, jak długo będą jeszcze ludzie, tonący beznadziejnie w nostalgii rozważań na temat polskiej poziomki, którym polski byt kawiarniany określił świadomość, zaś polskie normy przyzwoitości i honoru wypełniły światopogląd. Najlepsza polska restauracja na całym świecie jest dziś w Jafie, ostatnie schronienie tego co wstrząsające i wzniosłe w polskim gotowaniu – i Hłasko pojął to i ukochał.

Lecz literatura narodowa Izraela to nie liryczne remanenty polskości... Trudno bić się o tę rangę dla niego, gdy tak mało ludzi, których literatura ta ma być własnością, czytało ją, ale ci, co czytali,

wiedzą, że pod podejrzaną ornamentyką spraw ladacznic, kombinatorów i kanalii skryzalizowało się w niej jakieś dotąd niezamianifestowane człowieczeństwo tego narodu, jakieś nowe żarliwe piękno tego kraju, którego nowe, nie zawsze gustowne formy przedziwnie i fascynująco splotły się ze wzruszeniami pradawności. „Tam gdzie nie ma człowieka – bądź człowiekiem...” – było napisane w Babilońskim Talmudzie. Rzecz jasna, ludzie zawsze są, lecz trzeba ich jeszcze odnaleźć. Jest rzeczą narodowych literatur odnajdywać ich z miłością w określonym punkcie ziemi, pod tym a nie innym niebem i słońcem. I on to właśnie robił w Izraelu.

* * *

Domyślałam się, jak to tam się będzie rozlegało, w gazetach, w radio, w rozmowach literackich gówniarzy. Że pisarz polski, polskiemu, polskiego, nad Wisłą, tu miejsce, taki zawsze koniec, złudy, pozory, i jedno wielkie puste nic w zamian za pogoń za blichтром wolności i sportowych samochodów.

Zaś on pokochał Kalifornię miłością jasną i smutną. Kalifornia nie dała mu niczego, wręcz przeciwnie – skopała go dotkliwie po najtkliwszych nadziejach. I już naprawdę, po tych wszystkich szamotaniach się z ciekawości i rozpędu po całej Europie, tam tylko chciał być i zostać. To proste. Gdy mu się w Kalifornii nie farciło, to r o z u m i a ł dlaczego i z tym można żyć. Jeśli zaś w Polsce nie mógł niczego, to w i e d z i a ł d l a c z e g o – i ta wiedza jest nie do wytrzymania.

* * *

Panna Czaczkes. Kto ją teraz zawoła po nazwisku?

* * *

Zaś z Polski jedna dziewczyna pisze: „Płaczę i płaczę po nim, uspokoić się nie mogę, sama nie wiem dlaczego...”.

Piotr Wandycz

Spotkanie z Markiem Hłaską

W ostatnich kilkunastu latach ukazało się wiele prac poświęconych Markowi Hłasce i jego pisarstwu. Lektura najnowszego opracowania Mikołaja Tyrchana *Marek Hłasko i „Kultura”* („Zeszyty Historyczne” 2009, z. 168) przypomniała mi moje spotkanie z pisarzem sprzed pięćdziesięciu laty. Mam nadzieję, że ten drobny przyczynek do portretu pisarza zainteresuje czytelników „Zeszytów”.

W 1958 roku spędzałem szereg miesięcy w Paryżu, zbierając materiały do mej książki o stosunkach francusko-polsko-czechosłowackich. Jak zwykle kontaktowałem się z Maisons-Laffitte i zapewne stamtąd dostałem świeżo wydane opowiadania Hłaski. Książka mnie zafascynowała i Jerzy Giedroyc ułatwił mi spotkanie z autorem, który wówczas mieszkał w domu „Kultury”. Hłasko przyjechał do Paryża i spędziliśmy razem popołudnie i wieczór.

Marek – piszę Marek, bo zaproponował mi po paru godzinach bruderszaft – chciał zobaczyć film z Jamesem Deanem, chyba *Rebel Without a Cause*. Wybór nie był przypadkowy, bo Hłaskę porównywano z popularnym wówczas młodym aktorem, należącym do pokolenia zbuntowanych.

Z kina wyszliśmy w połowie filmu, bo Marka on wyraźnie denerwował.

Pozostałe godziny spędziliśmy, odwiedzając bary na bulwarze Montparnasse.

Znając ze słyszenia opowieści o Hłasce, rozbijającym po pijanemu lustra w lokalach, miałem duszę na ramieniu, zwłaszcza że ilość whisky, którą wypił, była zawrotna. Ale obyło się bez incydentów i czas upływał na rozmowach, o ile pamiętam, głównie o literaturze. Marek był bardzo odczytany i, jak mi mówił, kiedy prowadził ciężarówkę, to kazał siedzącemu obok koledze czytać mu na głos. Nie interesowała go natomiast architektura i te „stare paryskie kamienie”, jak się wyrażał, choć trochę podejrzewałem, że się zgrywał. W ogóle przychodziło mi trudno odróżnić u Marka pozę od tego, co naprawdę czuł czy myślał. Podobnie było, kiedy skarżył się na zespół „Kultury”, że traktuje go jak

maszynę do pisania i stara się organizować mu życie jako pisarzowi. Hłasko buntował się przeciw temu, choć sam nie bardzo wiedział, czego chciał. Czytając artykuł M. Tyrchana o staraniach Giedroycia wciągnięcia Hłaski w obręb działalności „Kultury”, rozumiem lepiej dąsy czy opory Marka.

W pewnym momencie zapytałem go, czy piosenka, którą cytuje w swym opowiadaniu ze słowami: „niech żyje nam marszałek Stalin, co usta słodsze ma od malin”, jest przez niego wymyślona, czy rzeczywiście istniała. Aby zademonstrować, że naprawdę, Marek zaczął ją śpiewać na całe gardło. Była już chyba dwunasta w nocy, a wiosna 1958 roku była okresem rozruchów w Paryżu. Podпиты i głośno śpiewający cudzoziemiec mógł łatwo ściągnąć na siebie uwagę policjantów. Starałem się namówić Marka, żeby poszedł spać, a ponieważ było już za późno na powrót do Maisons-Laffitte, zaofiarowałem mu gościnę w moim hoteliku. Odpowiedział, że będzie chodził do rana po Paryżu, a jeśli ja nie mogę mu towarzyszyć, to czy mógłbym mu pożyczyć trochę pieniędzy. Znając ze słyszenia reputację Marka, nie spodziewałem się, że je kiedykolwiek zobaczę. Niesłusznie, bo kiedy spotkaliśmy się raz jeszcze, wszystko mi oddał.

To następne spotkanie było zresztą dużo krótsze i Hłascie chodziło głównie o dowiedzenie się w ambasadzie amerykańskiej, czy miałyby szanse na otrzymanie wizy do Stanów. Ja służyłem jako tłumacz, ale wynik rozmowy był negatywny. Nie widzieliśmy się już więcej.

Marek Hłasko był niewątpliwie postacią nieprzeciętną, utalentowanym pisarzem, trochę wykolejencem, zapewne nieszczęśliwym i niemogącym znaleźć swej drogi w życiu. Swym stylem bycia, pozą, nawet wyglądem, przypominał istotnie zrewoltowanego Jamesa Deana. Podobnie jak amerykański aktor umarł bardzo młodo, nagłą śmiercią.

M. Broński [Wojciech Skalmowski]

Leopold Tyrmand (1920–1985)

19 marca 1985 roku na Florydzie zmarł nagle Leopold Tyrmand, dziennikarz, publicysta i powieściopisarz, którego nazwiska nie we wszystkich podręcznikach literatury polskiej można się doszukać, ale które to nazwisko znane jest prawie wszystkim Polakom. Sensacyjna powieść Tyrmanda *Zły* (1955) zdobyła niepokonany do dziś w powojennej Polsce rekord popularności w etymologicznym sensie tego słowa, to znaczy czytana była – i to naprawdę dla przyjemności – przez wszystkich: starych i młodych, uczniów szkół technicznych i profesorów filozofii, marksistów, księży, stare panny i marynarzy. Jej sukces był wynikiem nie tylko „zręcznie skonstruowanej akcji”: ta opowieść o Warszawie z lat pięćdziesiątych, pełnej ruin, błota i bezkarnie grasujących opryszków zwanych eufemistycznie chuliganami, wśród których pojawia się tajemniczy, nieuchwytny mściciel pokrzywdzonych i obrońca słabych – tytułowy *Zły* – zaspokajała potrzebę głębszą od zwykłego głodu sensacji. Barwność opisu, pieczołowitość szczegółu, wyczuwalna za tym znajomość rzeczy autora świadczą o jego uwadze i nawet zafascynowaniu – to wszystko dawało czytelnikowi poczucie ważności i pełnoprawności egzystencji tego świata, w którym bez trudu odnajdywał swoje miejsce i rozpoznawał znajomych. Szara i biedna Warszawa owych lat pod piórem Tyrmanda stawała się miejscem równie ekscytującym i znaczącym jak jakiś Londyn czy Nowy Jork i to nie tylko dlatego, że, jak z książki wynikało, posiadaliśmy własnych gangsterów, własnych prywatnych detektywów i własne odpowiedniki Harrodsa i Waldorf Astorii (ciuchy, „Kameralna”, sklep „Olimpii” Szuwar!), ale przede wszystkim dlatego że skala wartości nałożona na narrację oraz sympatie i antypatie autora były naprawdę uniwersalne i odpowiadały normalnym odczuciom czytelników: przemoc, bezprawie i łajdactwo były wyraźnie złe, a sprawiedliwość, odwaga i siła stosowana w obronie uczciwej codzienności były dobre. W 1955 roku, na tle bynajmniej niewygasłego jeszcze wówczas – wbrew późniejszym legendom – „stalinizmu”, czyli komunizmu w stanie wirulentnym, *Zły* był w istocie rewindykacją

wolności i społeczeństwa cywilnego: bohaterami książki byli indywidualni ludzie nie „członkowie kolektywów”, ich działalność wynikała z ich inicjatywy, nie z funkcji urzędowej (nawet przedstawiciel niemrawej milicji w książce przypominał bardziej nonkonformistycznego inspektora z Homicide Squad w Los Angeles z powieści Chandlera niż komunistycznego stupajkę), a ponadto wszystko rozgrywało się w Warszawie oczyszczonej w magiczny sposób z transparentów z napisem „Ręce precz od Korei”, zetempowców w „strojach organizacyjnych” i dławiącej atmosfery bezprawia wyższego rzędu, na które żaden „zły” nic pomóc nie mógł. Powieść Tyrmandy była w istocie bajką o normalniejszej Polsce, ale bajką opowiedzianą tak składowo, że robiła wrażenie prawie-rzeczywistości, z której elementy niepożądane zostały nie tyle wycięte, ile „wylekceważone”. Nawet nazwa „plac Stalina” (ówczesne oficjalne miano placu wokół Pałacu Kultury) zastąpiona została w *Złym* drwiąco-uroczystym określeniem „największy plac w Europie”.

Zacząłem wspomnienie o Tyrmandzie ewokacją *Złego* nie dlatego, że uważam tę książkę za jego główne osiągnięcie zawodowe – choć była ona niewątpliwie największym sukcesem jego kariery pisarskiej w sensie: rozgłos, uznanie czytelników, „bycie kims”, czyli rzeczy, których w istocie zaznał mało, za mało jak na człowieka o jego talencie, pracowitości i *last but not least* odważnej wierności sprawom prostym a uczciwym, jak prawo do noszenia kolorowych skarpetek, jeśli się ma na to ochotę, i niekłamania, jeśli się nie ma na to ochoty – lecz dlatego że reakcje na tę warszawską balladę ułożyły się w pewien wzór, który cechował czy wręcz prześladował całe jego życie zarówno w Polsce, jak i w Ameryce. Ten wzór był bardzo prosty: zaciekawienie i aprobata u tak zwanych zwykłych odbiorców, a niechęć, nie zawsze szczere lekceważenie, a za to często szczera wrogość u „dawców” zmonopolizowanych faworów, takich jak możliwość publikacji, wynagrodzenie za trud, stymulująca atmosfera i miejsce w oficjalnej hierarchii. Trudno mówić o bestsellerach w PRL, gdzie książki drukuje się według planu, a nie w zależności od ich popularności u czytelników, więc lepiej nazwać *Złego* książką rozrywaną, której pierwszy nakład znikł z księgarni w ciągu kilku godzin, a następne (charakterystycznie tylko dwa w okresie jej największej popularności w 1956 i 1957 i jeden z łaski w 1965) rozchodziły się albo spod ludy, albo jak szynka lub cytryny: „za ogonkiem, po sztuce na twarz”, po czym każdy egzemplarz wchodził w nieskończony łańcuch pożyczania. Świadomi konwencji elitarności kultury przez duże i namaszczone „K” inteligencji rozpo-

czynali wówczas rozmowę ostrożnym: „Czytałeś *Złego*? No i co o tym sądzisz?!”, i badali rozmówcę czujnym wzrokiem; gdy ten odpowiadał – zazwyczaj po krótkim wahaniu – „Świetne, nie?!”, – twarze nagle się rozjaśniały, następowało entuzjastyczne przytaknięcie i interlokutorzy odczuwali nieodpartą chęć poklepania się nawzajem po plecach. W powietrzu wibrował niewykrzyczany aplauz: „Ależ im ten Tyrmand zasunął!”.

„Oni” to były nie tylko przemilczane w książce władze komunistyczne, ale i nowy high life literacko-krytyczno-artystyczny, który w owym okresie – mówiąc ogólnie – nie odznaczył się szczególną niezłomnością i odpornością na sowietyzację kultury, natomiast jakby nigdy nic robił minę nieskalanego kapłana świętego ognia Wyższej Sztuki. W tych kręgach przyjęto książkę Tyrmanda jako „tanią szmirę”, a jego samego zaklasyfikowano jako „niepoważnego”. Ta ostatnia formułka towarzyszyła mu wiernie aż do wyjazdu z Polski w końcu 1966 roku i prawdopodobnie utrzyma się czas jakiś i teraz jeszcze jako rodzaj egzorcyzmu na niewygodnego ducha straszącego na kartkach *Życia towarzyskiego i uczuciowego* (Paryż 1967) i *Dziennika 1954* (Londyn 1980).

Rzekomy brak powagi Tyrmanda był w istocie bezkompromisowością i prostolinijnością, które w połączeniu z kaprysami wschodnioeuropejskiej historii nie pozwoliły mu na zrobienie tak zwanej kariery w sensie potocznym. Jego życie rozpada się na cztery fazy: okres przedwojenny w Polsce – tułaczkę wojenną w Niemczech i okolicach – dwudziestoletnią, wciąż nieco marginalną egzystencję w PRL – emigrację w Stanach Zjednoczonych. Każdy z tych okresów oznaczał konieczność rozpoczynania życia prawie od zera i nie sprzyjał sumowaniu się wyników. Tyrmand pochodził z warszawskiej rodziny inteligentkiej, niezamożnej, ale bardzo dbałej o jego wykształcenie, gdyż po maturze w 1938 roku znalazł się w Paryżu, gdzie w bardzo skromnych warunkach zaczął studiować architekturę. Studia przerwała oczywiście wojna. W czasie okupacji Tyrmand został wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec, gdzie między innymi pracował jako palacz i marynarz na statkach pływających do Norwegii; po próbie ucieczki w jednym z portów norweskich dostał się do obozu koncentracyjnego. Po kapitulacji Niemiec mieszkał jeszcze przez rok w Norwegii i Danii, skąd w 1946 roku wrócił do Warszawy i zaczął pracować jako dziennikarz. Przez krótki czas był członkiem redakcji „*Ekspresu Wieczornego*” i „*Słowa Powszechnego*”, w latach 1947–1949 „*Przekroju*”, a w latach 1950–1953 stale współpracował z „*Tygodnikiem Powszech-*

nym”, gdzie pełnił też funkcje administracyjne. Po zamknięciu „Tygodnika” w marcu 1953 roku (w odwecie za odmowę zamieszczenia nekrologu Stalina) Tyrmand zrezygnował z etatowej pracy dziennikarskiej i utrzymywał się z doraźnych prac literackich i honorariów za książki aż do wyjazdu z Polski. Po krótkim pobycie we Francji w 1967 roku zamieszkał w Stanach Zjednoczonych: początkowo w Nowym Jorku, potem w jego pobliżu (Canaan, Connecticut), a od połowy lat siedemdziesiątych w Rockford niedaleko Chicago.

W Ameryce znalazł się Tyrmand już jako człowiek pod pięćdziesiątkę i znów musiał zaczynać wszystko na nowo, bo w kraju tym nie tylko europejski dorobek literacki, ale i europejskie doświadczenia historyczne niewiele się liczą. Przekonał się o tym dość szybko: jego zabawne refleksje umieszczane w „The New Yorker” jako rodzaj felietonu, w którym postanowił programowo – jak to sam określił – „bronić Ameryki przed nią samą” (był to przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, czyli szczyt Nowej Lewicy i namiętnego anty-amerykanizmu tamtejszej „wrzeszczącej mniejszości”), znów wytworzyły wokół niego aurę „niepoważności” i irytującego nonkonformizmu. Kontakty z „New Yorkerem” i lewicującym parnasem literackim się urwały i Tyrmand znów znalazł się w izolacji, aż do momentu gdy został zaangażowany przez Rockford College Institute of Illinois jako redaktor neokonserwatywnego pisma „Chronicles of Culture”. Początkowo było to właściwie tylko pisemko; pierwszy zeszyt z datą „wrzesień 1977” miał bardzo kiepski papier i oprawę graficzną, a jego treść – krytyczne recenzje tendencyjnych powieści feministycznych chwalo-nych pod niebiosa przez „postępowców” z takich potęg, jak „The New York Times” czy „Chicago Tribune” – wydawała się na tle dominującej mody nierozsądną i wręcz ryzykowną prowokacją. Taką prowokacją była deklaracja ideowa rozpoczynająca inny periodyk rockfordzki pod redakcją Tyrmanda, mianowicie serię broszur politycznych pod nazwą „The Rockford Papers”. Warto przytoczyć jej fragment, bo dobrze charakteryzuje stanowisko autora *Dziennika 1954* wobec słowa pisanego nie tylko w Ameryce:

Uważamy, że dzisiejsze czasy umysłowego niepokoju i zamętu moralnego wymagają powrotu do tradycji wyrażania zdania i oceny niezależnie od potężnych ośrodków opiniotwórczych. Gigantyczny przemysł kształtujący opinię nazywa bezstronność cnotą. Jednakowoż wygodny brak rozróżnień wytwarza najczęściej apatyczną obiektywność, która z kolei rodzi obojętność, bezradność i cynizm. Chociaż będziemy starali się dążyć do prawdy, nie będziemy bezstronni. W naszych wystąpieniach punktem wyjścia jest zbiór moralnych zasad, które uważamy za sprawiedliwe, słuszne i obowiązujące. Zamierzamy ich bronić i zamierzamy interpretować to, co dzieje się wokół nas, zgodnie

z naszym poczuciem dobra i zła. Może z tych właśnie względów uświęcona tradycja, indywidualistyczna i zorientowana na wartości sztuka polemicznego pamfletu przeżywa tak widoczny renesans. Gdy przekonania wyrażane są w sposób świadczący o uczciwości i zaangażowaniu i przekazują wysiłek umysłowy i przekonywające rozumowanie, opinie takie prędzej czy później prowadzą do zmian. Historia zachodniego świata jest tego dowodem („The Rockford Papers”, Oct. 1976).

Oba pisma rockfordzkie prowadzone były w tym duchu. „Chronicles”, które szybko rozrosły się do kilkudziesięciostronicowego dwumiesięcznika na dobrym papierze i z kolorowymi ilustracjami, poświęcone były głównie zwalczaniu utworów literackich i filmowych wyrosłych z ducha lewicującego „liberalizmu” w sensie amerykańskim (antyamerykanizm, pacyfizm, sentymentalny porewolucjonizm – każdy, kto widział jakiegokolwiek film z Jane Fondą i Robertem Redfordem, wie, o co chodzi); pismo zorganizowane było wokół schematu: komentarz redaktora (to znaczy Tyrmanda) i recenzje pióra różnych współpracowników, przeważnie profesorów małych college’ów typu Rockfordu. „Papers” zawierały przeważnie tylko jeden tekst, często samego Tyrmanda, na tematy polityczne. Przykładowo przytaczam dwa tytuły: *Polityka amerykańska u progu lat osiemdziesiątych* (vol. 14, 2, 1979) i *Środki masowego przekazu jako współczesne niebezpieczeństwo* (vol. 5, 4, 1980). Nietrudno domyślić się, że teksty te zawierały ostrą krytykę polityki zagranicznej Cartera i oskarżenie mediów amerykańskich o tendencyjność i manipulowanie opinią publiczną w modnym, to znaczy anarcholewicowym stylu.

Sądząc po ilości tekstów Tyrmanda – z których można by i należało zrobić polską antologię (i byłaby to dobra książka), rosnącej objętości rockfordzkich wydawnictw, oraz fakcie, że Instytut rockfordzki (w ostatnich latach usamodzielniony) prowadził też działalność odczytowo-sympozjonową – ostatnie lata życia autora *Złego* były wypełnione bardzo intensywną pracą. Być może przyczyniła się ona do Jego przedwczesnej śmierci, ale musiała mu dawać dużo satysfakcji. Walczył i to walczył z pozycji, którą cenil: słabszego przeciw mocniejszemu. Rockford to mimo wszystko prowincja, „Chronicles” po „New Yorkerze” to było przejście z wyścigowego konia na kucyka, a moralizatorska publicystyka dla autora rozchwytywanych niegdyś powieści musiała mieć smak nieco dietetyczny, ale z pewnością uważał, że to, co robi, ma sens. Czuł się amerykańskim patriotą, nie odżegnując się od swej polskiej przeszłości, choć uważał ją za rozdział zamknięty z winy systemu, jaki w Polsce zapanował po wojnie. Czytając teksty Tyrmanda z różnych „faz” jego życia, uderzyło mnie, jak często używa słowa „my” („my w »Tygodniku Powszechnym«”,

„my w »Kulturze«, „my w Ameryce”): musiał mieć wielką potrzebę przynależności do grupy, której historię i cele szanował. Często powtarzające się fiaska tej przynależności – czy to z winy historii, czy też jego zygzakowanej biografii – musiały być bolesnym przeżyciem. Był wdzięczny Ameryce za wielkie „my”, jakiego ten kraj wciąż jeszcze udziela. Warto przytoczyć tu dwa fragmenty „Editor’s Comment” z numeru „Chronicles” poświęconego zagadnieniu patriotyzmu (vol. 4, 3, 1980):

Wszędzie na świecie panuje mocne przekonanie, że nikt o nazwisku Rabinowicz nie może i nie powinien być cowboyem – byłoby to zarówno niewykonalne, jak niewłaściwe. Wszędzie – z wyjątkiem Ameryki. [...] Nikt [w Ameryce] nie widzi niczego nieestosownego w postaci trapera o ormiańskim nazwisku. Nikogo to nic nie obchodzi. Tymczasem w Europie ludzie się tym przejmują, czasem aż za bardzo. Niezgoda narodu wydaje im się sprzeczna z patriotyzmem. Toreador o nazwisku Rabinowicz oznaczałby koniec hiszpańskiej kultury i to nie tylko w oczach Hiszpanów. Każdy Europejczyk miałby poczucie, że chaos zapanował nad naturalnym porządkiem rzeczy i że wierność symbolom i rzeczywistości straciła wszelkie znaczenie. I w tym właśnie punkcie patriotyzm i szowinizm zaczynają się rozchodzić.

I drugi cytat:

W zasadzie elity są wdzięczne za swoje dobre życie i stwarzają, często kłamliwie i cynicznie, paradygmat patriotycznego przywiązania do kraju, który daje im tak wiele i traktuje je tak dobrze. W Europie i w Azji elity są patriotyczne, niekiedy szczerze, niekiedy z racji wielowiekowych konwencji i głęboko zakorzenionych lęków. W Ameryce elity zawsze podkreślały swą niezależność od reszty społeczeństwa. Tak więc dość typowe dla dużej części amerykańskiej elity jest eksponowanie antypatriotyzmu jako wyrazu najwyższego wyrafinowania intelektualnego i moralnego wyczulenia. Niezależnie od różnorodności amerykańskiej powszechności – obfitująca w zdarzenia, zagadnienia i problemy domagające się natychmiastowego i zaangażowanego stanowiska – świetnie nadaje się na boisko dla gier sumienia, które tak lubią uprawiać bogaci.

Sprzeciw Tyrmanda wobec amerykańskich postępowców („rozbuchanych palantów, którzy lepiej w i e d z ą , c o j e s t d o b r e d l a Czechów, niż sami Czesi”, jak to określił w „Wiadomościach”, pisząc o kwaśnej reakcji nowojorskich „liberałów” na Wiosnę Praską) miał podwójne źródło: obok naturalnej reakcji człowieka, który wie, dokąd prowadzą flirty z komunizmem, i próbuje tych, którzy o tym nie wiedzą, przestrzec, poruszała nim obawa o całość i jakość tego tak późno w życiu odnalezionego „my”. Bał się, że dzięki potężnym możliwościom współczesnych mediów elitarnie „gry bogatych” rozpowszechnią się i osłabią Amerykę, którą traktował jako najbliższy liberalnemu (w sensie europejskim) ideałowi model społeczeństwa i jako jedyną przeciwwagę inwazji komunizmu, który uważał za uosobienie zła. Te poglądy – jakżeż „niepoważne” i „symplicystyczne”! – były w Ameryce

lat siedemdziesiątych równie prawie niepopularne jak w PRL i fakt, że je głosił otwarcie i uparcie, jest jednym z elementów wyjaśniających pozorny paradoks, że i w Stanach Tyrmand był *persona non talis grata* i że nie zrobił „kariery”. Należy się za to jego pamięci tym większy szacunek.

Dotychczas mowa była o Tyrmandzie jako o postaci, nie jako o pisarzu, i nieznający jego twórczości czytelnik może zapytać w tym miejscu: dobrze, ale jak pisał – jak Joyce czy jak Dołęga-Mostowicz?! Uczciwa, czyli nienekrologiczna i niearogancka, odpowiedź winna chyba brzmieć: ani, ani... Zróbmy najpierw przegląd jego twórczości.

Debiutem książkowym Tyrmanda był zbiór czterech opowiadań pt. *Hotel Ansgar* (1947), osnutych na przeżyciach wojennych autora. Następną pozycją był *Zły* (1955), o którym była mowa powyżej. Podkreślić należy, że dopiero od tej książki stał się w Polsce sławny, ale nie znaczy to, że przedtem był nieznany: jego zamieszczane w różnych czasopismach recenzje teatralne, reportaże zwróciły nań uwagę czytelników znacznie wcześniej. Nazwisko „Tyrmand” sygnalizowało tekst zawsze żywo napisany, pełen barwnych sformułowań i bystrych obserwacji; pamiętam do dziś zachwyt, z jakim czytałem w „Tygodniku Powszechnym” jego trzy długie reportaże, a ściślej eseje socjologiczne o trzech ośrodkach polskiego stylu wakacyjnego i w ogóle wyhyrności na pokaz: Zakopanem, Jastarni i jeziorach mazurskich.

Okres zaraz po *Złym* i po *Październiku* wydawał się przełamaniem jego złej passy: w 1957 opublikował trzy pozycje. Był to drugi zbiór opowiadań pt. *Gorzki smak czekolady Lucullus*, książka o muzyce jazzowej *U brzegów jazzu* i – nigdy niewydana w osobnej formie – powieść w odcinkach (w „Kurierze Polskim”) pt. *Wędrówki i myśli porucznika Stukutki*. O opowiadaniach Tyrmanda panuje do dziś raczej zła opinia; powtórzył ją niedawno Roman Zimand w poświęconym *Dziennikowi 1954* szkicu (Tyrmand '54, w: *Literatura źle obecna (Rekoniesans)*, Londyn 1984). Nie całkiem się z nią zgadzam. Uważam wojenno-przygodowe opowiadania typu *Niedzieli w Stavanger* za dobrą lekturę rozrywkową i rodzaj etiud do bardzo udanej, to znaczy stylistycznie zwartej i „wytrzymanej w tonie”, powieści *Filip* (1961), która jest niewątpliwą fortą w dorobku pisarskim Tyrmanda. Słabsze są nowelki o zacięciu dydaktycznym, na przykład *Hanka* – o obiecującej młodej pływaczce zagrożonej pokusami towarzyskimi w postaci papierosów i alkoholu – ale pewnym usprawiedliwieniem jest tu fakt, że utwory te miały charakter filmowo-komercyjny; Tyrmand sprzedawał je (czy też usiłował sprzedać) szkole filmowej jako materiał

do krótkometrażówek dyplomowych w okresie stalinowskim. Pisano wtedy rzeczy d u ż o gorsze!

Filip zawiera niewątpliwie dużo materiału autobiograficznego. Jest to opowieść o młodym Polaku z Wileńszczyzny, który zgłasza się dobrowolnie na początku okupacji na roboty w głębi Niemiec; wyraźnie liczy na to, że w oku cyklonu łatwiej ocali życie. Urokiem tej powieści jest nie tylko kolorowa fabuła, ale i dobrze uwypuklona głębsza „idea” Filipa: usiłuje on ocalić nie tylko życie, ale i godność; we wszystkich tarapatkach i niebezpieczeństwach obok instynktu samozachowawczego bohater zachowuje pewne ekstra – fason, podkreślenie lepszosci, postawę „nie dać się zgnoić”. Apaszka na szyi, wyraźnie zaznaczona odrębność od tłumu „czarnoraboczych”, skłaniająca Niemców do przydzielenia Filipowi osobnego pomieszczenia w baraku jako rzeczy oczywistej i wynikającej samej z siebie, całe sympatyczne knajactwo postaci tytułowej posłużyło autorowi do wyrażenia myśli drogiej mu osobiście, mianowicie że szanuje się tylko ludzi, którzy się sami szanują. Książka Tyrmanda była też jedną z niewielu powieści o okupacji, w której złamany został schemat martyrologiczny: jego Filip był nie tyle ofiarą, co słabszym przeciwnikiem Niemców. Mimo wielkiego powodzenia powieści, która rozeszła się jak ciepłe bułki, nigdy już jej nie wznowiono.

Dalsza twórczość Tyrmanda należy już do okresu emigracyjnego. Na jego początku wydał napisaną jeszcze w Polsce powieść o środowisku literacko-artystycznym Warszawy lat sześćdziesiątych pt. *Życie towarzyskie i uczuciowe* (Paryż 1967). Powieść ta zawiera wszystko to, co zostało „wylekceważone” w *Złym*: atmosferę miejsc i reakcje ludzi poddanych sowietyzacji. Uchodzi ona za złośliwy pamflet z kluczem, choć kiedy spytałem wprost Tyrmanda w Nowym Jorku, czy to prawda, że powieściowy Hryniewicz to ..., a Felak to ..., odpowiedział: „nie, to są sylwetki syntetyczne, każda złożona z paru osób”. Skłonny jestem w to wierzyć: Tyrmanda zawsze bardziej interesowała typowość niż wyjątkowość, był bardziej karykaturzystą sytuacji niż portrecistą osób. Widoczne jest to nawet w *Dzienniku 1954*, który jest nie tyle zapisem trzech pierwszych miesięcy tytułowego roku, ile ich stylizacją; określiłbym ten utwór jako sui generis powieść tworzoną na żywo (bo niewątpliwie zapiski te powstawały z dnia na dzień) przy użyciu autentycznych postaci i zdarzeń. *Dziennik* oczywiście nie mógł się ukazać w Polsce (mały jego fragment został wydrukowany w 1957 w „Tygodniku Powszechnym”); w całości został wydany do-

piero w Londynie w 1980 roku (Polonia Book Fund), a uprzednio wybór z niego ukazywał się przez dłuższy czas w „Wiadomościach”.

Inne pozycje Tyrmanda z okresu emigracyjnego to: dwutomowy wybór tekstów z „Kultury” po angielsku (*Explorations in Freedom i KULTURA Essays*, New York 1970), zbiór aforystycznych obserwacji na temat Ameryki, Europy Zachodniej i Izraela (w tym część tekstów z „The New Yorkera”) pt. *Notebooks of a Dilettante* (New York 1970), polska wersja powieści pt. *Siedem dalekich podróży* (Londyn 1975; angielska wersja ukazała się była już w 1959) i rodzaj pamfletu na komunizm pt. *Cywilizacja komunizmu* (Londyn 1972; rok wcześniej ukazała się wersja angielska). Najlepszą wśród tego pozycją oryginalną jest niewątpliwie *Notatnik*, zawierający wiele przekornych sformułowań pozostających w opozycji do ówczesnej mody (np. „Nie chcę wydać się mizantropem, ale muszę wyznać, że jeśli o mnie chodzi, każdy poniżej trzydziestki wydaje mi się beznadziejnie nudny”).

Wróćmy teraz do zaczętego wcześniej pytania: jaka jest wartość literacka tego wszystkiego? Odpowiedź zależy od tego, jakie gatunki zaliczy się do literatury, a jakie do „piśmiennictwa”. Czy *Pamiętniki Paska* to literatura czy piśmiennictwo? Wspominam o Pasku, ponieważ uchodził on za klasyka gatunku zwanego gawędą, a do takiegoż gatunku zaliczyłbym prozę Tyrmanda – i zaklasyfikował ją w tych ramach wysoko. Oczywiście to inny rodzaj gawędy niż barokowa. Proza Tyrmanda to *récit* wschodnioeuropejskiego inteligenta o humanistycznym wykształceniu i pełnej świadomości, że jest ono jedynie mało przydatnym symbolem „lepszości” w świecie, gdzie bardziej realne bywają odpowiednie stosunki, umiejętność pędzenia bimbru, celny sierpowy i łapówka. Właściwym stylem tej sytuacji jest postawa pośrednia, *the best of both worlds*: wyszukany przymiotnik, ironia i aluzje do Prousta, Röpkego lub Kubusia Puchatka jako elementy postawy nie-rezygnowania-z-lepszości oraz gwarowy skrót, dowcip-sierpowy i analiza sytuacji w kategoriach przyjętych w realnym otoczeniu jako oznaki nie-bycia-frajerem, czyli inteligencji tout court. Tyrmand był mistrzem tego stylu, który „niesie” nawet jego mniej ambitne rzeczy, zdobi jego popularne z zamierzenia powieści i przekształca *Dziennik* z dokumentu w utwór literacki. Jest w jego stylu podobna „genialność cynizmu” (termin Irzykowskiego) jak u Witkacego, choć Tyrmand nie był cynikiem i jego pasja moralizatorska psuje mu niekiedy warstwę stylistyczną: aprobata zbyt jaskrawo odbija od dezaprobaty, podróż do kresu nocy zbyt łatwo przechodzi w harcerski biwak na słonecznej polance i na odwrót. Niemniej czytelnik

zachowuje we wdzięcznej pamięci barwne opisy, ad hoc stwarzane celne stereotypy („towarzyszka Blamontowa”) i charakterystyki-rezonanse odwołujące się do znajomości świata u odbiorcy („[...] Kapuza miał nalaną twarz chłopskiego dygnitarza, byczy kark i podejrzany, płaski lok na czole”). Jaka szkoda, że nigdy już nie przeczytam napisanego tym stylem amerykańskiego odpowiednika *Życia towarzyskiego i uczuciowego*, rozgrywającego się pomiędzy park Avenue, Greenwich Village, małym uniwersytetem w Indianie i Palm Springs! Myślę, że nie tylko ja jeden liczyłem na taką książkę od momentu, gdy Tyrmand zamieszkał w Stanach Zjednoczonych...

Na końcowych stronach *Dziennika 1954* znaleźć można wzruszające wyznanie:

Gdybym miał określić mą najgłębiej ukrytą, niewidzialną gołym okiem, toczącą mnie od wewnątrz wadę, rzekłbym, że jest nią niesolidność. To termin złożony i rozciągliwy, w moim wypadku. Ani mój ubiór, ani punktualność, ani słowność, ani systematyczność życia i nawyków, ani wrodzony konserwatyzm, ani pedanteria i wrodzone umiłowanie porządku, ani rzetelność w stosunkach z ludźmi i w sprawach codziennych nie dają pojęcia o mej niesolidności, oczywiście świadczą przeciw niej. [...] To co wiem – wiem niesolidnie. Jestem intelektualnym dorobkiewiczem, bez skodyfikowanego treningu naukowego, czyli bez wykształcenia koniecznego do porania się z tym wszystkim, z czym chcę i zamierzam się porać. Czytałem książki, to prawda, lecz co z tego? [...] Wybierając kulturę jako warsztat, postąpiłem niesolidnie. Ukarany zostałem permanentnym handicapem, towarzyszyć mi będzie do końca mych dni. I nieprzespanych nocy, podczas których wiem o sobie o tyle więcej niż za dnia.

Myślę, że był za surowy w tej samoocenie. Miał duże odczytanie, dobry styl, żywą inteligencję, bezbłędne rozeznanie problemów moralnych: gdyby chciał być naprawdę niesolidny i stworzyć pozór intelektualisty zajętego wyłącznie teorią, ogólnikami i piękną, dźwięczną frazą bez wyraźnej treści – potrafiłby to osiągnąć, potrafiłby być „poważny”. Ale interesowało go i bawiło życie zwykłych ludzi w tym samym stopniu co teorie socjologiczne, jazz i architektura i siedł za swym prawdziwym powołaniem: inteligenta w świecie kultury masowej. Chciał wpływać na bieg spraw zgodnie ze swym przekonaniem i sumieniem, co przyczyniło mu wrogów, lekceważenia i sławy człowieka „niepoważnego”. Niestety, bo myśli, które wyrażał, sprawy, których bronił, zjawiska, które zwalczał, były i są poważne i Tyrmand widział je dobrze, we właściwej perspektywie. Są ludzie, którzy odchodzą w glorii, lecz ślad ich szybko się zaciera. Sądzę, że z Tyrmandem będzie odwrotnie, że jego sylwetka będzie rosła i twórczość będzie wznawiana, aż zostanie, tak jak na to zasłużył – w pełni przypominany.

Wacław Iwaniuk

Józef Łobodowski

Zanim ukaże się moje wspomnienie-biografia, odnotować wypada fakty, na co Józef Łobodowski, po odejściu od nas, zasłużył. Kim był i co wniósł do historii i literatury polskiej, wykażą przyszłe prace naukowe, jednak już dziś możemy powiedzieć, że jego działalność, zapowiadająca w okresie dwudziestolecia wybitny talent literacki, dzięki wewnętrznej zuchwałości politycznej i chęci walki ze złem, jakie niósł komunizm, nabrała na emigracji zdecydowanych form: pisarz-poeta i Polak-antykomunista. Co w nim przeważało i która strona była ważniejsza? Myślę, że obie: siła jego słowa poetyckiego i argumentu politycznego.

Życiorys Łobodowskiego nie jest przeciętny i możemy powtórzyć go tu za zmarłym Pisarzem, bo został przez Niego spisany.

W związku z wydaniem w Toronto jego wierszy poświęconych poetce Ginczance zwróciłem się w styczniu 1987 roku do Łobodowskiego o jego życiorys, który chcieliśmy zamieścić w mającym się ukazać to-miku. A oto jego reakcja:

Kochany Wacku!

Po powrocie z Londynu nie było mnie przez kilka dni w Madrycie, więc odpisuję z dużym opóźnieniem. Pośląm na wszelki wypadek moje dane osobiste, ale przypuszczam, że przyjdą już za późno. Żadna szkoda! W maju, po jury Nagrody, na którym podobno będziesz, mam mieć wieczór autorski. Liczę na to, że *Sulamita* ukaże się do tego czasu.

Ściskam Cię serdecznie

J. Łobodowski

Madryt, 27 lutego 1987 roku

Józef Łobodowski (tak zaczął swój życiorys zmarły Poeta) urodził się 19 marca 1909 roku w Purwiskach, gmina Wiejsieje, powiat Sejny (historyczna Aukasztota). Przed pierwszą wojną światową w Lublinie, od roku 1914 do 1917 w Moskwie, następnie aż do roku 1922 w Jejsku, na Ziemi Wojska Kubańskiego. Studia szkolne i początek uniwersyteckich w Lublinie. W roku 1927 redagował pismo szkolne, w roku 1932 miesięcznik „Trybuna” i dziennik „Kurier Lubelski”, następnie dwa miesięczniki, „Barykady” i „Dźwigary”. Debiut książkowy w Lublinie, w roku 1929. Trzecia z kolei książka wierszy, *O czerwonej krwi*, uległa konfiskacie i spowodowała serię procesów. W roku 1938 otrzymał Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury za tom poetycki *Demon nocy*.

Służba wojskowa w Szkole Podchorążych w Równem, 1933–1934. W latach 1937–1938 redaguje tygodnik „Wołyń” w Łucku. Zmobilizowany do piechoty na kilka dni przed wybuchem drugiej wojny światowej, od 5 września 1939 roku w 10. pułku strzelców konnych w brygadzie kawalerii zmotoryzowanej pułkownika Maczka. Na Węgrzech kolejno w obozach Topolce, Nagykanizsa, Murakeresztur. Od 10 listopada w Paryżu. Od lutego do września 1940 w więzieniu francuskim. Zwolniony do obozu demobilizujących się wojskowych polskich w Notre-Dame-de-Livron, wydaje tam miesięcznik „Wrócimy”. W sierpniu 1941 wyprawa do Hiszpanii. Aż do lutego 1943 roku więzienie w Figueras. Odtąd stały pobyt w Madrycie, przerywany częstymi wyjazdami do Anglii i Francji. Także sporadycznie do Szwajcarii, Włoch, Kanady i Stanów Zjednoczonych. Od stycznia 1949 do grudnia 1975 ścisła współpraca z polską stacją radiową w Madrycie. Podczas wojny wydał książkę *Z dymem pożarów* w oficynie nicejskiej Samuela Tyszkiewicza, a po wojnie osiem tomów poetyckich, siedem powieści i dwie książki w języku hiszpańskim.

J. Ł.

Tyle Łobodowski o sobie. Dorobek emigracyjny Łobodowskiego jest chyba wszystkim znany. W Kraju „Kurier Lubelski” chyba pierwszy, piórem Józefa Zięby, uczcił śmierć Łobodowskiego, wspominając, iż zmarły Poeta był przed wojną redaktorem tego pisma.

Zygmunt Lichniak w „Kierunkach” z dnia 1 maja 1988 roku zamieścił dłuższe omówienie twórczości Łobodowskiego pt. *Łobodowski znany i nieznan*y i w następnym numerze „Kierunków” dalszy ciąg: *Jeszcze o Łobodowskim, ale nie tylko*. W tychże „Kierunkach” z dnia 11 września br. ukazała się dłuższa rozmowa z Poetą, przeprowadzona w Madrycie przez Romana Samsela, wykładowcę literatury polskiej na uniwersytecie w Limie. Rozmowa odbyła się wiosną 1988 roku, fragmenty jej usłyszeli zebrani w Klubie Literatów „Krąg” dnia 6 kwietnia, gdzie Samsel omówił również twórczość literacką Poety. Na tymże zebraniu Irena Szypowska opowiedziała o swoich corocznych odwiedzinach u Łobodowskiego w Madrycie, o nagranych z nim rozmowach, które ukażą się wraz z jej esejem o twórczości Łobodowskiego. Złożyła ona w PIW-ie, za zgodą Poety, propozycję wydania tomu jego wierszy.

Bronisław Mamoń w „Tygodniku Powszechnym” z dnia 8 maja 1988 roku omówił twórczość Łobodowskiego, zamieszczając przy artykule *Józef Łobodowski nie żyje* wiersz *List do Matki*, który autor *Modlitwy na wojnę* napisał w 1945 roku.

Emigracyjne pisma raczej skromnie pożegnały Łobodowskiego, a był on właściwie naszym emigracyjnym bardem.

Stefania Kossowska w „Środzie Literackiej” omówiła jego wielostronną twórczość, dodając wiersz *Tryptyk zamiast testamentu*, który

Poeta przysłał do redakcji „Wiadomości” w 1979 roku z notatką: „Czytelnik może łatwo dojść do wniosku, że zamierzam lada chwilę przenieść się na tak zwaną »księżowską oborę«. Mam nadzieję, że to nie nastąpi w najbliższych tygodniach czy miesiącach, ale właśnie kończę pierwsze 70 lat (19 marca 1979), a w tym wieku nigdy nic nie wiadomo. Więc najlepiej, uprzedzając ewentualne wypadki, pozostawić testament, bo w ostatniej chwili może być za późno”.

Ostatnia chwila przyszła, ale w dziesięć prawie lat potem.

Józef Czapski

Czesław Straszewicz

Umarł Czesław Straszewicz

Starość to dar? Dar drogo opłacony, w starości śmierć, śmierć bliskich, śmierć przyjaciół to sprawa prawie powszechna – gorzej – p o w s z e d n i e j a c a. Tyle śmierci. Wiadomość, że Umarł Straszewicz, zdała mi się w pierwszej chwili tak gładko układać w tym łańcuszku kolejnych śmierci. „To było do przewidzenia”. Ale nie zagłuszyła jej obojętność, jak mi się przez chwilę mogło zdawać, i dzisiaj czuję jej bezpowrotność i okrucieństwo.

Czym był Straszewicz dla mnie? Tym, czym był dla tak wielu z nas. Pisarzem wyjątkowej wagi i uroku, ale stokrotnie bardziej jeszcze *człowiekiem* o mądrej, uśmiechniętej dobroci, w czasach, kiedy dobroć nie jest „modna”, kiedy jesteśmy drapieżni, subtelnie perwersyjni, apokaliptycznie ponurzy, a przynajmniej zjadliwie ironiczni. Patrzył na wszystkich, patrzył na nas jak na marynarzy-turystów z bocianich gniazd w dalekich portach Ameryki, na ich łatwe kochanki, którym przyrządzali bitki à la Radziwiłł, na emigrantów przeróżnych, i na świat polski w Polsce – staruszki śmieszne, których zajęcie reakcyjne: klejenie ramek ze skrzydełek tropikalnych motyli, przysyłanych przez tych marynarzy – zmuszało milicję do wkręcania „samograjów”. Szef bezpieczeństwa znający na pamięć Sienkiewicza i wycierający ze strachem i pasją w Wilię Bożego Narodzenia szpetne po wychodkach napisy o Stalinie, nawet on jest przez Straszewicza zobaczony przyjaźnie. Kto przed nim t a k spojrział po ludzku na świat przedarty, rozdarty na dwoje?

Ten zawsze uśmiechnięty pisarz, on właśnie, napisał o naszym losie strony rozdzierające, sceny jakby ukryte wśród nieoczekiwanych, wesołych przygód swych bohaterów. Ale sztuki Becketta, okrutne i ciemne, nie są tak bolesne jak krótkie opowiadanie o małej Józii, którą Kostek, późniejszy marynarz i spryciarz, niósł do Polski, karmił kradzionymi kartoflami i pochował w obcej ziemi, w płytkim grobie wykopanym scyzorykiem.

Mało spotkałem pisarzy tak podobnych do tego, co piszą, ta sama czujna uwaga, zupełny brak egocentryzmu, ten sam uśmiech i dobroć. Myślę z rozdrażnieniem, prawie z pogardą, o pisarzach lekceważących takie człowieczeństwo, taką dobroć, z pogardą do ich głupoty (*Es gibt viele Arten Dummheit und die Gescheitheit ist nicht die beste davon*), z pogardą, bo lekceważą tę jedyną perłę, bo dziś pereł się już nie nosi. Niemodne. Głupota i śmieszność tych pisarzy spacerujących na szczydłach, chcących świat zadziwić, jedni czarując, drudzy gorsząc, którzy nie chcą pamiętać, że to wszystko jest NIC: *pulvis, cinis et nihil*.

Nihil w obliczu śmierci, która JEST i której moi współcześni za Boga nie chcą widzieć.

I nie mogę tu nie wspomnieć z czułą czcią „pani z Kiosku”, najlepszej towarzyszki i żony Czesława, która dziś stoi przed Jego świeżym grobem.

Niech Bóg najbardziej ludzkiemu z naszych pisarzy da Światło wieczne.

Tadeusz Chrzanowski

Stefan Kisielewski

Miał już swoje lata. Ostatnimi czasy spotkały go kolejne ciosy: syn zginął w wypadku, żona – prawdziwa jego podpora – zmarła, odchodzili przyjaciele, znajomi. Kiedy go po raz ostatni nieco dłużej widziałem, gdy siedzieliśmy w kawiarni warszawskiej, udając niefrasobliwość, powiedział nagle: „W moim wieku wszystko tak jakoś powoli wygasa, coraz mniej bliskich...”.

A mimo wszystko śmierć Stefana Kisielewskiego wytworzyła pustkę, coś w rodzaju czarnej dziury w naszej świadomości. Już od dawna, odkąd się po Październiku przeniósł z powrotem do swej ukochanej Warszawy, nie kontaktowałem się ze Stefanem na co dzień, nasze spotkania były sporadyczne, ale po prostu aż do teraz istniał jako coś nienaruszalnego, był – i to wystarczało.

Poznałem go w redakcji „Tygodnika Powszechnego” w 1947, a może w 1948 roku. I jakoś wkrótce my nieliczni, którzy – spośród młodych – uchroniliśmy się przed następstwami czerwonego prania mózgów, zaczęliśmy się wokół niego skupiać. Bo początkowo skupialiśmy się wokół Antoniego Gołubiewa, który prowadził coś w rodzaju seminarium dla początkujących kandydatów na wieszczów. Kisielewski niczego takiego nie uprawiał: po prostu spotykał się z nami i dyskutował (czy może nawet bardziej: perorował). I to było niesłychanie ważne. Nie interesowały go bowiem frymuśności stylu, tajniki figur literackich, interesowało natomiast życie w jego jakże wielorakich formach. I właśnie ta wielorakość była bezcenna w epoce, gdy coraz szczelniej zaczynała nas okrywać mroczna i duszna kotara uniformizmu. Jednym z pomostów zbliżenia ze Stefanem był Klub Logofagów (a nieskromnie wyznam, że to ja wymyśliłem tę nazwę), ekskluzywny klub dyskusyjny, któryśmy zorganizowali w Krakowie w 1947 roku; członków miał niewielu – kilkunastu zaledwie – ale gości wielu i najśłynniejsi godzili się na wystąpienia na tym mikroforum wolnej, choć chwilami jeszcze niezupełnie dojrzałej myśli. Kisiel oczywiście występował kilkakrotnie jako mówca, a bardzo często jako gość-dyskutant.

Ta grupka młodych, która się wówczas zaczęła wokół Mistrza skupiać, była barwna i różnorodna, tak jak świat myśli, które nam prezentował. Wicemistrzować usiłował Leopold Tyrmand, bo był akurat w połowie wieku między Stefanem a nami, no i miał kolorowe doświadczenie swych wojennych przypadłości. Lubiliśmy go, ale że traktował nas z góry, więc odpłacaliśmy mu rozmaitymi drobnymi despektami. Wśród „niezłomnych” byli i autentyczni, jak Zbyszek Herbert, Zdzisław Najder, Zygmunt Kubiak, a także „złomni”, jak Jan Paweł Gawlik, Waław Sadkowski – ten ostatni w owym czasie różowiotki bobasek głoszący, że gotów na Syberii ponieść konsekwencje swej wierności ideałom Wolnej i Niepodległej. Rajcując w kawiarniach, a najczęściej u Noworola w Sukiennicach, założyliśmy Partię Wariatów-Liberałów, której hasłem podstawowym było: „Trzeba wszystkich wziąć za pysk i wprowadzić liberalizm”.

To była przedziwna sytuacja: właściwie i Logofagi, i nasza partia powinny były zostać zlikwidowane odgórnie-ubecyjnie, a my mogliśmy stanowić kąseczek dla jakichś ówczesnych Zarako-Zarakowskich, tymczasem nic takiego nie nastąpiło, ostrożni bowiem krakowiaczkowie potrafiliśmy się przed takową ingerencją samowładnie ocalić. To znaczy: Logofagi rozwiązały się same, partia Wariatów-Liberałów rozpadła, ponieważ wszyscy się z niej nawzajem powykluczaliśmy za prawicowe, lewicowe i rozmaite inne „odchylenia”. Więż jednak pozostała, spotykaliśmy się nadal, a ja zacząłem Stefana nachodzić, zwłaszcza odkąd zamieszkałem „o dwa kroki” od Domu Literatów na Krupniczej, gdzie zajmował mieszkanko na parterze w oficynie.

Stefan wykazywał ogromną cierpliwość, znosił moje niezapowiedziane wizyty, zawsze miał coś interesującego do przekazania. Był zresztą ogromnie towarzyski, był – można by rzec – kolekcjonerem ludzi. Nierzadko więc można go było zastać w stołówce owego Domu Literatów, gdy z ferworem dyskutował ze zwolennikami jako też przeciwnikami. I razu pewnego przydarzył się pewien drobny, ale jak mi się wydaje znamienny dla Krakowa przypadek: Stefan wdał się w zakrapianą dyskusję z dwoma dobrze (?) zapowiadającymi się literatami i coś tam nieparlamentarnego powiedział o Generalissimie. Otóż młodzieńcy, choć się zaliczali do krakowskich „pryszczatych”, wcale nie pobiegli z tym na UB, tylko do Polewki, który podówczas prezesował miejscowemu oddziałowi.

Ten przedwojenny komunista, który wyszedł z kręgu krakowskich lewicowców, z generacji Peipera, Jasińskiego, Fika, był osobowością niejednoznaczną. Zewnętrznie co najmniej słabo atrakcyjny robił

groźne miny i starał się budzić lęk, którego jednak nie budził. Mam wrażenie, że rozpoznawszy jeszcze w 1939 roku we Lwowie, czym jest sowiecki komunizm, sam przepełniony był lękiem i nabożnością wobec wschodniej potęgi. Równocześnie jednak był też krakowskim humanistą, wobec tego i on nie złożył donosu na Stefana do UB, tylko „wymierzył sprawiedliwość” we własnym zakresie, zakazując winowajcy przez rok wstępu do rzeczzonej stołówki. Wyrok zresztą uległ skróceniu, bo po kilku miesiącach przyszła Gwiazdka i Sylwester, kiedy to tradycyjnie już w owej stołówce urządzano bal. Nie zapomnę widoku Kisiela, który wałęsał się po sieni i korytarzu przylegającym do stołówki i każdego łapał, by mu oświadczyć, że go Polewka amnestionował, ale on swój honor ma i na bal nie przyjdzie. Z nowym rokiem zmienił jednak zdanie i znów nawiedzał stołówkę, a morał istotny brzmi: u nas w Krakowie zawsze była aktualna pewna kurtuazja, pewien *savoir-vivre*, nawet w polityce i sporach ideowych. To i dziś da się, choć coraz bardziej reliktowno, zaobserwować.

Tymczasem mrok gęstniał i już tylko kilku ludzi, właśnie z Kisielalem w roli głównej, sprawiło, że nie ogarnął nas całkowicie i szczelnie. Kisiel strojący małpie miny (stąd czułe przezwisko „ruda Małpa”, którymś go określali, a kogo nazywaliśmy „białą Małpą”, niech już Czytelnik łaskawy sam odgadnie), Kisiel prześmiewca, Kisiel uczący nas polemizować nie bez uciekania się do chwytów niezupełnie dozwolonych, Kisiel ocalający zaufanie do swobodnego myślenia był tym, który mnie i wielu innych uratował przed uległością wobec mroku. A jeśli o ten mrok chodzi, to Lopek Tyrmand zdał z niego sprawę najpełniej w swym *Dzienniku*.

Jest jednak zdumiewająca siła życia w tej ludzkiej trzcinie: tak jak za okupacji niemieckiej, kiedy ani na chwilę nie opuszczała nas nadzieja ostatecznego zwycięstwa, podobnie i za okupacji bierutowsko-sowieckiej, kiedy nadziei było coraz mniej, człowiek samowiednie ratował się, uciekając w śmiech, ironię, sprzeciw. Tak samo jak udawał, że się bawi, że żyje normalnie. Kisiel uczył nas normalności. I uczył pesymistycznego optymizmu, zwłaszcza że sam dawał przykład swoistej niezłomności. To było potrzebne w sytuacjach, gdy – choć czasowo – zawodziły największe autorytety: Andrzejewski stający ostentacyjnie po tamtej stronie, Słonimski powracający z emigracji, by po efemerydzie prorządowej euforii wrócić tam, gdzie było jego miejsce. Ale na gorąco widzieliśmy tylko to pierwsze: zdradę klerków.

I tu powraca mi we wspomnieniu pewna scenka, która, jak sądzę, ujawniła mi prawdziwego Kisiela. Rozegrała się w wyjątkowo pustej

salce kafkowskiej redakcji „Tygodnika Powszechnego” (zdaje się, że zespół udał się właśnie na cotygodniową naradę). Otóż spotkałem tam Pawła Jasienicę, który – niedawno wypuszczony z więzienia – podjął zobowiązanie rozpoczęcia współpracy z PAX-em i przybył (wyobrażam sobie, z jakim ciężkim sercem), by zawiadomić o tym swych niedawnych kolegów i towarzyszy redakcyjnej broni. Ten Litwino-Tatar był człowiekiem o wyglądzie raczej ponurym, niezbyt wymowny, ale głęboko prawego charakteru. Znalazł się właśnie w sytuacji nie do pozazdroszczenia, niejako za cenę wolności zobligowany do współpracy z grupą, która nie mogła w nim budzić nadmiernej sympatii. Sądzę, że z tej przyczyny natychmiast wypracował sobie pewną samoobronną psychiczną teorię. Dałoby się ją streścić następująco: komunizm stanowi nową siłę porywającą za sobą masy, a w jego zapleczu znajduje się odrażający w swym azjatycko-bizantyńskim kształcie moloch sowiecki. Tej sile nie będą się w stanie oprzeć żadne stare demokracje naszego świata. Skoro więc zwycięstwo należy do komunizmu, a my wiemy, że komunizm jest złem, trzeba przyczynić się do tego, aby zwycięstwo nastąpiło jak najszybciej i zacząć „imperium zła” rozsadzać od środka. To jedyna droga do jego obalenia.

Nie wiem, czy Jasienica długo pielęgnował ową utopijną wizję; sądząc po dalszych kolejach jego losu, dość szybko zawrócił z narzuconej mu drogi, ale w danym momencie, w opustoszałej kafkowskiej redakcji arcykatolicko-krakauerskiego tygodnika prezentował ją wobec Kisielewskiego, którego – nigdy przedtem i nigdy już potem – nie widziałem tak wytrąconego z równowagi. Czerwony odkrzykiwał cedzone przez Jasienicę argumenty, zbił je na samym pograniczu osobistych napaści i wyzwisk. Był jakiś dramatyczny, nieprawdopodobnie dramatyczny ładunek w tym sporze dwu tak różnych indywidualności, które w gruncie rzeczy miały identyczne poglądy, a zwarecie nastąpiło w wyniku poplątania ludzkich losów i poplątania historii tego kraju.

Dostrzegając bezowocność sporu, dwaj dotychczasowi członkowie tej samej redakcji pożegnali się cierpko. Kisielewski wyszedł, a ja podreptałem za nim. Wówczas, gdy minęła pierwsza furia w zielonym ukojeniu Plant, Stefan (a nie byliśmy jeszcze na ty) powiedział mi: „To bardzo źle, że był Pan świadkiem kłótni, bo z pana jeszcze za duży gówniarz, aby cokolwiek z tego zrozumieć”.

Nie obraziłem się, choć nie miał racji (a może właśnie dlatego), bo dane mi było właśnie pod maską błazna zobaczyć człowieka prawego, gdyż wyznającego zasady, których łamać w jego przekonaniu nie było wolno nikomu. Ta Kisielowa zasada składała się zarówno

z racjonalnych przesłanek rozlicznych lektur i przemysłów, jak też z narodowych, rzecz można, imponderabiliów. Więc w tym momencie, na Plantach, nie tylko nie obraziłem się, ale w jakiś sposób pokochołem Kisiela, choć czasem przyszło mi się z nim spierać, a czasem nawet do oczu skakać.

Tymczasem jednak permanentność kontaktów z Kisielą ustała, przeniósł się bowiem z całą rodziną do Warszawy. Był to okres październikowy i trwała wciąż jeszcze gomułkowska euforia. Uległ jej i Kisiel, a poza tym zagrała żyłka polityka, którym w gruncie rzeczy chciał się stać w sprzyjających okolicznościach. A takie wydawały się nastawać: Stefan związał się z kołem „Znak”, uzyskał mandat poselski i rozpoczął ożywioną działalność w rozmaitych komisjach, a także podjął publicystykę „pozytywną”, naprawiając „wady systemu”. Nie zawsze jego poglądy były rozsądne – po prostu Kisiel aplikował swe poglądy liberalne do sytuacji w rozmaitych dziedzinach życia ekonomicznego, a nie miał dostatecznej bazy doświadczenia, by nie trafiało mu się często czyste fantazjowanie. Bo w gruncie rzeczy dwie miał miłości prawdziwe na tym łez padole: politykę i ekonomię, a w obu miał świetne pomysły, ale bazą był swoisty hobbyzm, w którym bogata wyobraźnia przeskakiwała ponad nudą realiów. A jednocześnie ujawniła się wówczas pewna cecha, dla mnie zaskakująca, boć przecież wydawało mi się, że go dobrze znam: brak poczucia humoru co do własnej osoby, a zwłaszcza co do swoich poglądów.

Otóż zdarzyło się tak, że opublikował na łamach „Tygodnika Powszechnego” artykuł dotyczący problemów rolnictwa. Był to typowy przykład i *wishful thinking*, i *wie sich der kleine Moritz vorstellt*. Nie chcę się prezentować jako wybitny znawca spraw agrarnych, ale nauczyłem się rozróżniać żyto od pszenicy w moim dziecinno-chołpięcym epizodzie „paniczowskim”, więc fantastyka poglądów Stefana zbiesiła mnie i napisałem doń list, gdzie zeń pokpiwałem i wykazywałem błędy w jego widzeniu sytuacji. A ponieważ Mistrz nauczył mnie ostrej polemiki, więc formułowałem me sądy ostro, tyle że nieobraźliwie. Mistrz jednak obraził się: otrzymałem odeń list, pisany charakterystycznymi, wzruszającymi, infantylnymi, wielkimi, okrągłymi literami, a zaczynał się on następująco: „Szanowny Panie (byliśmy już od sporego czasu »na ty« – przypis mój), niektórzy nazywają naszą epokę epoką awansu chamów na panów, ale proces odwrotny, który Pan reprezentuje, jest głęboko przygnębiającym zjawiskiem”. Potem było jeszcze nieco pokrzykiwań, nie było natomiast kontrargumentów.

Nie obraziłem się, mam zresztą zasadę, aby się nie obrażać, bo nauczono mnie w domu, że tak postępują jedynie kucharki, list scho- wałem do rodzinnego archiwum i dopiero kilka miesięcy później spo- tkąłem przy jakiejś okazji Stefana, który łypnął na mnie swym raczym oczkiem, ściągnął zabawnie brwi i rzekł: „O ile pamiętam, toś mnie obraził i wcale dotychczas nie przeprosił!”. Taki był Stefan, no i jakże się było nań gniewać?

A co do jego okresu euforyczno-państwowotwórczego, to przeminął on szybko i Kisiel, wkrótce się zorientowawszy, jak bardzo pozorne było „Znakowe” współuczestnictwo, wycofał się, odmówił po jednej czy dwóch kadencjach dalszego „posłowania” i powrócił tam, gdzie było jego miejsce: do okopów i bastionów opozycyjnego publicysty. A kiedy przyszła „Solidarność”, stan wojenny, okrągły stół, robił chwila- mi wrażenie zagubionego. Nie bardzo wierzył w sukces „Solidarno- ści”, a w ogóle jednym z jego koników było negowanie roli i znaczenia „robotników”, „proletariatu” – pozostał racjonalistą, który miał zaufa- nie właściwie tylko do najwyższej uformowanej warstwy inteligencji – był inteligencki aż do szpiku kości.

To pewnego rodzaju pogubienie się w politycznym przyspiesze- niu chyłącego się do upadku PRL-u doprowadziło Stefana do niepo- trzebnego chyba rozstania z „Tygodnikiem Powszechnym”, który mu przez cztery dziesiątki lat oferował ogromny – jak na pismo katolic- kie – margines swobody, na tę jego felietonową trybunę. Ostatecznie uwierzył w „Solidarność” dopiero wtedy, gdy ona zaczęła schodzić na polityczne rozdroża, uwierzył w Wałęsę, którego gorąco poparł w wyborach prezydenckich, wierzył zresztą chętnie w tych, którzy go fascynowali (m.in. Micewskiego i Korwin-Mikkego, gdańskich li- berałów i świeżo formującą się czołówkę rodzimych biznesmenów). Szybko się rozczarowywał i w ostatnich miesiącach robił wrażenie zdezorientowanego w tym kalejdoskopowym polskim krajobrazie.

A teraz stawiam sobie pytanie podstawowe: Co po Stefanie zosta- nie dla przyszłych pokoleń? I obawiam się, że bilans będzie niezbyt optymistyczny. Znakomita publicystyka zwietrzeje, jak każda publi- cystyka zorientowana na hic et nunc. Felietonistyka pozostanie też jako przykład zwrotności, finezji pióra i myśli, ale będzie coraz mniej czytelna, gdy oddalą się w czasie wydarzenia i sytuacje. Ta publicy- styka i felietonistyka pozostanie w ten sam sposób, jak istnieją *Kroniki* Prusa, *Moje walki nad Bzdurą* Słonimskiego, jak mnóstwo Boyowego bojuwania: dokumentami arcyciekawymi dla badaczy i strawą niezbyt pożywną dla szerokiego ogółu, a przecież w chwili swego poczęcia

to co Stefan pisał, było przeznaczone właśnie dla inteligenckiego, ale szerokiego odbiorcy.

Jego twórczość literacka budzi też niejake obawy co do swej trwałości, jest bowiem także porażona publicystycznym aktualizmem. Pisał bardzo fajnie, to znaczy tak, jak ja najbardziej lubię: językiem czystym, klarownym, giętkim a wyzbytym snobizmu udiwnień i fioritur sztuczności. Niestety niedostatecznie opierał się naporowi współczesności i on – wielbiciel powieści kryminalnej – gdzie o fabułę chodzi w pierwszym rzędzie, zaczął z biegiem czasu wykazywać coraz silniejszą atrofię pomysłów fabularnych. Wymyślał koncepty, ale te koncepty były nieco za słabe, by utrzymać nośność poprzez całą powieść. Tak było z chyba ostatnią (w każdym razie wydaną) powieścią, *Wszystko inaczej*, o której w drugim obiegu napisałem kiedyś recenzję, sygnując malowniczym pseudonimem Absalom Kołek. I to samo powiedziałem Stefanowi w czasie naszego ostatniego dłuższego spotkania. Książka kipi rozmaitymi pomysłami, koncepcjami, obfituje w świetne sylwetki „wzięte z życia”, natomiast fabuła jest czymś przydanym i czytelnik co najmniej od połowy przestaje się całkiem interesować losami jakiegoś inżyniera, a jego samobójcza (?) śmierć nie robi wrażenia, w toku bowiem narracji spapierzył się całkowicie, a kogóż może interesować śmierć papierowego bohatera?

Mnie się zdaje, że najdłużej, może na stałe, zagości w naszej literaturze *Sprzysiężenie* (o które rozegrała się swego czasu ta dziś nieco zenująca tragifarsa z udziałem redakcji, kurii i podsądnego Stefana). Szansę tę ma z uwagi na autobiografizm, a więc na autentyczność fabularną i na doskonały portret środowiska inteligencji warszawskiej i kół politycznych w przededniu drugiej wojny światowej oraz suchy, pozbawiony owej patriotycznej nieznomości, tak częstej w naszej literaturze, raport z polskiego września. Osobiście lubię *Zbrodnię w dzielnicy północnej*, która jest w miarę autentycznym kryminałem i na domiar ma swój polityczno-aluzyjny podtekst. Dużą szansę na przetrwanie ma znakomity *Alfabet*. Ale nie traćwa nadziei: Stefan przyznał mi się kiedyś, że pisze dziennik. Jeżeli nie zbujał, to jest szansa, że pozostał po nim najautentyczniejszy autentyk czasu, w którym przyszło mu żyć, a więc dokument taki, jakim się stał *Dziennik* Leopolda Tyrmanda, a zarazem klucz do jego głębszej warstwy świadomości, do której nawet bliskim trudno było dotrzeć poprzez system zmiennych masek, którymi się bawił i chronił przed ludzkim wścibstwem.

Jakim był kompozytorem – nie wiem. Z wypowiedzi innych twórców wnoszę, że był człowiekiem uzdolnionym, ale że brakło mu tej

„anielskiej miary”, która dla osiągnięcia wyzyn jest niezbędnie potrzebna.

Więc czy to możliwe, by po Stefanie zostało tak mało: dokumenty raczej, a nie świadectwa umysłu i ducha? Sądzę, że jest teraz obowiązkiem wielu, aby Kisiela utrwalić w zbiorowej świadomości Polaków, aby go dla nich zachować, jak jakiegoś Mochmackiego, Brzozowskiego czy tylu innych świetnych ludzi, którzy się twórczo nie dopełnili, w obliczu zapotrzebowań czytelnika „zestarzeli”, ale którzy mają za sobą rolę tak potężną i ważną, że należy ją uchronić przed zapomnieniem.

Dlatego napisałem szczerze i bez ogródek o tym, jak widzę w perspektywie pisarstwo Stefana, więc nie tak, jak się zazwyczaj czyni w hagiograficznych wspomnieniach pośmiertnych. Bo to moje widzenie przekonuje mnie tym bardziej do potrzeby utrwalenia Kisiela jako myśliciela swego czasu w świadomości następnych pokoleń. Dla mnie bowiem pozostanie on Mistrzem, który był w mroku światłem, a w błasku swego wybornego umysłu wyznawcą racji wolnego umysłu. Po zostanie Mistrzem mimo sporów i drobnych zwad, mimo że dawno już przestał mnie uczyć, ale świadomość pobranych nauk przecież pozostała. I nieprzypadkowo odziedziczyłem po nim felietonowy kącik w „Tygodniku Powszechnym”, tę grządkę, którą uprawiam dumny, że przedtem uprawiał ją Stefan. I będzie mi go cholernie brakowało.

Włodzimierz Sznarbachowski

Wspominając Kisiela

Najpierw ustalmy sytuację:

W ostatnich plus minus piętnastu latach Kisiel w czasie swych podróży na Zachód, gdy znalazł się w Monachium, mieszkał regularnie u mnie. Włóczyliśmy się wtedy także po Alpach i po różnych miastach RFN i Austrii. Nie było to odnowienie przelotnej znajomości przedwojennej, ale raczej, w niekończących się rozmowach, wspomnianie wspólnych przyjaciół z owych zamierzchłych lat. Niepostrzeżenie a szybko Kisiel stał się jednym z kilku moich najbliższych przyjaciół. Co nie znaczy, aby było odwrotnie, abym ja stał się jednym z jego najbliższych. Byłem mu po prostu bliski, wiedział, że może na mnie liczyć, że może opowiedzieć mi na gorąco o swoich bezpośrednich wrażeniach z rozmów z ludźmi z Radia Wolna Europa, formułować o nich na gorąco pierwsze oceny, robić kawały. Była to – jakby o dobre sześćdziesiąt lat spóźniona – przyjaźń sztubacka. Chodziliśmy po knajpach i piwiarniach, a także schroniskach w okolicy Garmisch-Partenkirchen. Najczęściej on fundował mnie – względnie skromnie zarabiającemu „wolnemu strzelcowi” w radio – ze swoich nagród zagranicznych i zagranicznych honorariów w prasie czy radio szwajcarskim lub niemieckim. Chodziliśmy oczywiście w Alpy już niewysokie, bo przecież obaj byliśmy po siedemdziesiątce.

Przez lata organizowałem dla Kisiela spotkania z redaktorami Wolnej Europy i różnymi działaczami emigracyjnymi. Najczęściej u mnie, w mieszkaniu przy Hompeschstrasse nad Izarą, gdzie w mojej wielkiej piwnicy była też centrala wysyłania zakazanych książek i czasopism do Polski. Czasami budziło to niepokój radiowych kolegów, ale nigdy Kisiela.

Na jednym z takich spotkań był także nasz dawny kolega redakcyjny, profesor Wiktor Sukiennicki, wybitny sowietolog, współpracownik słynnego Hoover Institution kalifornijskiego uniwersytetu w Stanford. Sukiennicki miał zawsze ze sobą taśmy magnetofonowe i nagrywał wszystkie swoje ciekawe spotkania. Zbiór ponad pół tysiąca

tych kaset przekazał w testamencie Instytutowi Hoovera. Może on być także bezcennym źródłem poznania wielu poglądów Kisiela.

Kisiel mówił wtedy u mnie o stosunkach polsko-rosyjskich, dyskusja była bardzo zagorzała. Wykładał powstającą wtedy swoją głośną koncepcję konieczności bezpośredniego porozumienia się społeczeństwa polskiego z decydentami na Kremlu, ponad głowami biurokratów partyjnych. Sukiennicki – zawsze antyendecki – powiedział, że Kisiel stał się endekiem, powtarza czy przerabia na swoją modłę Dmowskiego. Kisiel oponował, mówiąc, że trzeba być realistą, szukać konkretnych rozwiązań trudnych sytuacji politycznych bez utraty twarzy ani interesu narodowego.

Jak później opowiadał mi Kisiel, jego koncepcją, dość głośną wtedy w Polsce, zainteresował się minister Kiszczak. Kiedy Kisiel po – ósmej bodajże – kolejnej odmowie paszportu na wyjazd na Zachód napisał do Kiszczaka, iż rezygnuje z dalszego składania podań, minister wezwał go do siebie i zawiadomił, że polecił wydać mu paszport. No i dłuższa rozmowa na temat porozumienia polsko-sowieckiego ponad głowami obu partii. Kiszczak – tak mi opowiadał Kisiel – powiedział: „Pański pomysł jest bardzo ciekawy, ale cała trudność leży w tym, że nie zna Pan numeru właściwego telefonu na Kremlu”. Kisiel przyznał, że była to najbardziej trafna krytyka jego pomysłu.

Chyba też w tej rozmowie Kiszczak powiedział Kisielowi, że on i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wiedzą doskonale, że na Zachodzie Kisiel jak zwykle będzie spotykał się z ludźmi z Wolnej Europy czy rządu londyńskiego. A Kisiel: „A z kim mam się tam spotykać, z PZPR-owcami? Widuję ich dosyć w Polsce i nie mamy już o czym rozmawiać”. Na to Kiszczak: „Wiemy, że Pan jest dostatecznie wyrobiony politycznie, aby wiedzieć, co mówić, a czego nie, a przynajmniej uprzedzać, czego Pańscy przyjaciele nie powinni powtarzać na falach Wolnej Europy”.

Dzięki dziesiątkom spotkań z Kisiellem w naszych mieszkaniach i restauracjach radiowcy w Monachium, pracownicy „Kultury” w Paryżu, przedstawiciele rządu emigracyjnego w Londynie znali doskonale atmosferę codziennego życia publicznego w PRL, śmieszności i słabości działaczy politycznych zarówno partyjnych, jak i opozycyjnych. I chyba nikt nigdy nie ucierpiał z powodu tych niedyskrekcji Kisiela.

Przez długie lata Kisiel ogłaszał w „Kulturze” paryskiej i Instytucie Literackim Giedroycia swoje artykuły i książki pod różnymi pseudonimami. Powieści Stalińskiego (tak brzmiał jeden z jego pseudonimów) odtwarzały bieżącą rzeczywistość PRL. Materiał Kisiel czerpał głównie

z obserwacji. Ale w jednej powieści uzupełnił ją – jak mi powiedział – także fantazją. W *Przygodzie warszawskiej* postać protagonisty Antoniego, który z uczciwego człowieka, po paru pobiciach, prowokacjach, leczeniu psychiatrycznym itd., podpisuje zgodę na donoszenie do UB – Kisiel uzupełnił wyobrażeniem sobie, jak bym ja, gdybym żył w PRL, został przemielony przez UB. Chciał pokazać, że w nienormalnych warunkach prawie każdy normalny człowiek musi się jakoś załamać.

Kisiel bardzo głęboko przeżył tragiczną śmierć ukochanego syna Wacka. Wkrótce potem będąc u mnie, przeczytał głośną książkę Ojca Bocheńskiego *Sto zabobonów*. Ojciec Innocenty – jak wynika z uważnej lektury – nie podziela poglądu wielu teologów i ogromnej większości zwykłych wierzących, że życie pośmiertne będzie jakby kontynuacją życia doczesnego, że odżyją w niebie dawne miłości – małżeńska, rodzicielska czy synowska. Wstrząsnęło to boleśnie Kisiel, chociaż sprawa nie jest tak jednoznaczna.

Może dlatego po śmierci swej żony, pani Lidii, mawiał że ich związek opierał się nie tylko na wzajemnej miłości, lecz przede wszystkim na Jej wyrozumiałej dobroci. Kiedy pani Lidia opuściła go na zawsze, po paru tygodniach Stefan Kisielewski odszedł, aby przekonać się, czy więzy rodzinne odżywają w zaświatach.

Józef Czapski

Stanisław Vincenz

[...] a ten co od sumienia historii oderwał się,
ten dziczeje na wyspie oddalonej...

Od chwili gdy nadeszła wiadomość o śmierci Stanisława Vincenza, te słowa narzuciły mi się i nie opuszczają mnie; bo jeżeli nie zdziczeliśmy wszyscy na naszych wyspach oddalonych, nie o geografię tu chodzi, zawdzięczamy to paru ludziom wśród nas – miary Stanisława Vincenza – którzy byli *naszym* sumieniem historii, bo *sobą* realizowali pewną polską, a jednocześnie najbardziej uniwersalną tradycję, jej nurt najcenniejszy, niezarażony ani naszą pychą, ani żadną wolą podporządkowania sobie kogokolwiek, więc niszczona w imię narodu, klasy czy choćby najszczytniejszego wzorca idealnej, koniecznie idealnej przyszłości.

Co to jest to „umienie historii”, pytałem siebie, od którego oderwać się nie wolno; jak to rozumiał Norwid w *Garstce piasku*?

I ci, co nie podzielili boleści ani żalu, ani weszli kiedykolwiek w testament żywiołów przeszłych wyklinają się sami na pokolenia nowe od zwyczajnej prawdy oddalone.

Tak iż bywa, że na nowo proroków i na nowo apostołów posyłać im trzeba na noże ich, aż by powrócili w dawny prąd.

* * *

Stanisław Vincenz, autor *Na wysokiej połoninie*, *Zwady* – książek-pomników świata, który minął i nie wróci, nie był pomimo wszystko człowiekiem książki, był przede wszystkim człowiekiem obcowania, przyjaźni, dialogu. Przeżył on całą młodość i wiek męski na Huculszczyźnie, na tej ziemi związanej od XIV wieku z Polską i z ziemią tą był wszystkimi fibrami zrośnięty. Wśród ukochanych gór i lasów każdy góral, Hucuł, Ukrainiec, Żyd-chasyd czy zwykły karczmarz, Polak w tamten kraj wrośnięty czy nawet Włoch przybyły na roboty, wszyscy mu byli braćmi. W tym tłumnym braterstwie nie było nic z masówki pod jeden strychulec; każdego człowieka, z którym się pan Stanisław zetknął, widział we własnej jego odrębności wraz ze światem jego przodków, jego religii, jego potrzeb materialnych, jego

snów i pragnień. To zadziwiające bogactwo nie tylko charakterów, ale i tradycji przeróżnych, aż po Grecję sięgających, tam, w tym górskim kraju, splecionych umiał nam w książkach swoich przekazać.

Przyszły lata klęsk i Vincenz znalazł się na emigracji. Czy zmienił się o cal jego stosunek do świata i ludzi? Do końca dominowało w nim błogosławieństwo życia, każdego życia, w jego nieskończonej różnorodności i nawet w latach wojny, klęsk i zbrodni, deptania wszelkiej godności ludzkiej, nawet wówczas umiał jeszcze wykrzesać światło.

Ale tam, w jego Huculszczynie, wszystkich łączyła natura, góry i lasy ogromne, połoniny, konie i bydło, i ten niespieszny czas górski związany z porami roku, które stawiają przed człowiekiem coraz to inne prace i zadania, które każdy musi wykonać.

Jakże będzie żył pan Stanisław – myśleliśmy – od tamtego świata oderwany: Węgry podczas wojny, Węgry zalane wojskiem sowieckim (nawet z tych czasów zostawił nam książkę *Dialogi z Sowietami*), potem Austria, Francja, Włochy, Szwajcaria.

Spotkawszy go po latach, zdawało mi się, że przynosił wszędzie ze sobą ten niespieszny czas górski, tę samą, nieustanną w jego wizji świata, obecność natury, ten sam stosunek do każdego człowieka, uparcie wnikliwy i uparcie przyjazny. I tu, na Zachodzie, wierzył tak samo jak górale i chasydzi Jego kraju, że „smutek jest grzechem przeciwko słończku, jest kuszeniem czorta samego Archijudy”. W jego religii, splocie elementów chrześcijańskich, buddyjskich, pogańskich, to „słoneczko” było przedmiotem czci, jakby osobnej i najwyższej. Gdy na wycieczkach górskich, jeszcze w okolicach Grenoble, tak jak kiedyś na Huculszczynie, zbliżał się zachód słońca, Stanisław Vincenz zdejmował swój beret i milkł.

Ten emigrant, z rodziną, bez środków rzucony na Zachód, w każdym kraju umiał zdobyć najwierniejszych przyjaciół, którzy go do śmierci otaczali czynną, entuzjastyczną opieką; wszędzie docierali do niego przybysze-przyjaciele z Polski, z Ameryki, z Izraela. I cóż za różnorodność typów ludzkich można było spotkać w jego domu. Od Zbindena, pisarza szwajcarskiego, od doktora Gauglera, również Szwajcara, aż po młode dziewczyny z Francji czy Kalifornii, aż po Johna Marbacha, pedagoga z Neapolu, który go przez lata otaczał synowską miłością, aż po Jeana Colina, przedwcześnie zmarłego malarza, który z Amiens do niego jeździł i dla którego spotkanie z panem Stanisławem było wielkim wydarzeniem jego życia. Nie mówiąc już o Jeanne Hersch.

Te przyjaźnie nie były nigdy „zaryglowane”, były zawsze otwarte, i każdy, kto się do pana Stanisława zbliżył, mógł liczyć nie tylko na niego, ale i na jego niezliczonych i nieznanych przyjaciół.

Sam mogłem najbliżej obserwować pana Stanisława w 1965 roku w La Combe de Lancey, małej wiosce górskiej, dokąd Vincenzowie jeździli na lato. Już wówczas poruszał się z trudem. Kamienne schodki, prowadzące do jego domu, były już dla niego ciężką wspinaczką, ale jeszcze rwał się ku górom i jeszcze pragnął podejść, podjechać bliżej i wyżej. A dom i malutki ogródek z rozłożystą wiśnią i krzewem figi był co dzień odwiedzany. Nie było człowieka, którego sprawy intymne nie stawałyby się sprawami pana Stanisława, i nie było takiego gościa, którego by w pewnej chwili nie próbował zarazić swymi pasjami humanistycznymi i miłością do Grecji, któremu nie próbował czytać czy choć opowiadać *Iliadę* i *Odyseję*, któremu nie cytował Dantego, z którym jak z Homerem zawsze obcował.

I jeszcze parę lat przed śmiercią wyznał Vincenz młodziutkiej Eliane Thiercelin, jednej z najbliższych przyjaciółek rodziny Vincenzów, „nie pamiętam człowieka, którego bym poznał i wobec którego bym nie czuł, że m ó g ł b y b y ć m o i m p r z y j a c i e l e m”.

Jeszcze i to charakteryzowało stosunki z Vincenzem, że stwarzały się one jakby p o z a świadomością jakiejś hierarchii, władzy, wpływów, sytuacji politycznej, światowej, bo każdy człowiek, z którym obcował, stawał się dla Vincenza czymś absolutnym i w sobie najważniejszym, któżby to mógł być mniej ważny czy ważniejszy? Chyba ten, kto bardziej go potrzebował, kto lepiej umiał słuchać *Odysei*. Na świat polityki Vincenz patrzył i śledził go wcale nie obojętnie, ale jakby z wielkiej wysokości, bo wszystko było w jego myśleniu wtopione w długie, długie procesy historyczne, bo dziś, bo jutro nie było nigdy oderwane od dalekiego wczoraj. Przypominam sobie sprzed laty odczyt Vincenza w Niemczech – do Niemców skierowany. Oczekiwaliśmy, że mówić będzie może o naszych polsko-niemieckich wojennych czy powojennych stosunkach, o naszych granicach. Vincenz nawet o tym nie wspomniał; mówił o wojnach peloponeskich, o zagładzie wielkości Grecji poprzez tamte wojny bratobójcze, mówił z bólem i pasją, jakby ta wojna miała miejsce tu, wczoraj, i nie było chyba Niemca czy Polaka wśród słuchaczy, który by nie wiązał jego słów z naszym losem dzisiaj w Europie.

Nieszczęśliwy jest człowiek, który nie spotkał w życiu nauczyciela, któremu się zdaje, że on jeden, że jego i tylko jego pokolenie się liczy, który nie spotkał w młodości człowieka, jakim dla mojego pokolenia był Vincenz, przyjaciel, który nam odkrywał „testamenta żywotów przeszłych” i był dla nas s u m i e n i e m h i s t o r i i.

Stefania Kossowska

Pani Maria

Kazimierz Wierzyński powiedział o Marii Danilewiczowej, że ma dwa serca. Jedno należy do Biblioteki – miał wtedy na myśli Bibliotekę Polską w Londynie – a drugie do pisarstwa. Przypomniał te słowa prof. Andrzej Kłossowski w swym *laudatio*, wygłoszonym w Warszawie z okazji przyznania Marii Danilewicz-Zielińskiej nagrody edytorskiej Polskiego Pen Clubu w 1996 roku. I sam pomnożył ilość jej serc oddanych różnym dziedzinom życia zawodowego i osobistego.

Można w tym życiu odróżnić i inny podział – dziesięciolecie przedwojenne i dwa, niemal równo przełamane, okresy od wojny – londyński i portugalski.

W tym pierwszym dziesięcioleciu, jeszcze jako studentka, rozpoczęła pracę w powstającej po wojnie Bibliotece Narodowej w Warszawie i gdy w 1978 roku, w 50-lecie Biblioteki, spisywała – z fenomenalną pamięcią nazwisk i szczegółów – swoje o niej wspomnienia, siebie usunęła na margines, jako jedną z wielkiego zespołu. Ale do tej wspólnej pracy zdążyła dodać osobiste osiągnięcia: rozszerzała swe studia zawodowe, napisała pracę magisterską o Tymonie Zaborowskim, autorze *Dum podolskich*, rówieśniku Mickiewicza, i pracę doktorską o życiu dawnego Liceum Krzemienieckiego, której już nie zdołała złożyć. Zaczęła też swą ogromną później działalność edytorską od pilnie potrzebnych wtedy podręczników naukowych, przechodząc z kolei do opracowania pism zebranych Zaborowskiego, które ukazały się w 1936 roku, w objętości 600 stron. Jej notatki o dokumentach krzemienieckich nie przetrwały wojny.

W Anglii Maria Danilewicz znalazła się dopiero w 1942 roku, po perypetiach wojennych we Francji, Hiszpanii i Portugalii, gdzie obok opieki nad uchodźcami, jaką prowadzili oboje z mężem Ludomirem, pisała broszury na tematy literackie i biblioteczne, organizowała wieczory autorskie w polskich ośrodkach uchodźczych (w jednym z nich w nieokupowanej Francji przebywał Józef Łobodowski) i, zanim Paryż został zajęty przez Niemców, w Bibliotece Polskiej pomagała przy

ewakuacji do Kanady i ukrywaniu we Francji paryskich zbiorów bibliotecznych.

Londyński etap, który trwał ponad 30 lat, choć mieściło się w nim i własne pisarstwo, i różne inne aspekty pracy zawodowej, może mieć jeden wielki tytuł – Biblioteka Polska. Powstała ona w Londynie na początku wojny z dwóch zbiorów, gromadzonych przez uchodźcze urzędy oświatowe w Anglii, i kierownictwo jej powierzono Marii Danilewiczowej.

Rodowód nowej Biblioteki i jej zadania były niepodobne do innych bibliotecznych życiorysów. Nie było to zwykłe nabywanie książek, układanie ich na półkach i profesjonalne nimi gospodarowanie. Londyńska Biblioteka miała m i s j ę i to podwójną. Jedną z nich było gromadzenie zbiorów z myślą o przekazaniu ich kiedyś do pustoszo-nych bibliotek w kraju¹, a także tworzenie archiwum wszystkiego związanego z Polską. Rosły zbiory poloników – książek, dokumentów, map, fotografii itd., itp., często z prywatnych darów, wyszukiwanych po antykwariatach, kupowanych na licytacjach. I zbierano każdy, najdrobniejszy nawet świstek mówiący o polskiej wojnie i sytuacji w okupowanym kraju.

Obok tej historycznej dokumentacji drugim zadaniem Biblioteki była troska o upominających się o książki coraz liczniejszych Polaków w Anglii, a więc tworzenie dla nich księgozbiorów literackich, politycznych i czysto naukowych.

Zgodnie z potrzebami Danilewiczowa budowała i organizowała Bibliotekę, wprowadzała do niej nowoczesne metody i sama zdobywała miejscowe kwalifikacje zawodowe, które jej umożliwiały nawiązywanie stosunków z angielskimi bibliotekami i przedstawicielami naukowych instytucji. Stosunki te okazywały się pożyteczne w pracy i jeszcze bardziej w różnych trudnościach i niebezpieczeństwach, jakie nieraz groziły Bibliotece. A kryzysów większych i mniejszych nie brakowało i nie zawsze było łatwo Danilewiczowej dać sobie z nimi radę. W walkach o losy Biblioteki używała wszelkiej broni, od twardej argumentacji do żarliwych wybuchów, a bywało, że i do łez, co przeważnie przynosiło zwycięstwo. Pomocne w tym było ogromne uznanie dla Biblioteki społeczności polskiej, która dała temu wyraz, składając ponad 20 tysięcy podpisów pod apelem do władz angielskich o zachowanie Biblioteki, gdy w pewnej chwili Anglicy uznali, że już jest „niepotrzebna”.

¹ W latach 1945/46 i w roku 1950 Biblioteka przekazała blisko 20 tysięcy tomów do ośrodków uniwersyteckich w Polsce.

I znowu w londyńskim okresie, jak przed wojną, Pani Maria w cudowny sposób mnożyła swój czas i swoją energię. Obok Biblioteki, pochłaniającej – jak mogłoby się wydawać – życie, umiała znaleźć czas na własne pisarstwo, do którego namawiali ją tacy ludzie, jak Kazimierz Wierzyński czy prof. Stanisław Kot, a któremu nie mogła poświęcić tyle czasu, ile jej literacki talent wymagał.

Po zbiorze opowiadań *Blisko i daleko* wydała powieść *Dom*, związaną z ziemią kujawską jej młodości². Stale pisała literackie eseje i opowiadania do „Wiadomości” i „Kultury”, omawiała dla Radia Wolna Europa książki polskie, jakie ukazywały się w kraju i poza nim, i nie uchylała się od żadnej z prac, jakie na nią nieraz egoistycznie zwalano, wiedząc, że nie odmówi, bo uważała je za swój obywatelski obowiązek. Więc brała udział w ciągłych zebraniach, komisjach, sądach konkursowych, pisała referaty naukowe, okolicznościowe artykuły, przewodniczyła, przemawiała. Jak w tym wszystkim znalazła czas na życie prywatne? Na to, by stale chodzić na balety, swoją pasję? (Podobnie jak przed wojną na wodne wyprawy z mężem). I na taką dbałość o swój wygląd, by – ku zazdrości kobiet i zachwytowi męża – żelazną dyscypliną doprowadzić swą figurę do młodzieńczej smukłości?

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Biblioteka była najpopularniejszą polską instytucją w Londynie. Mieściła się przez wiele lat wygodnie dla wszystkich w „polskiej dzielnicy” South Kensington i zawsze było w niej pełno. Dziś Polacy w Anglii książek nie kupują ani nie czytają, tylko sami je piszą, ale wtedy kupowano je i czytano masowo. Do wypożyczalni przychodzili nowi emeryci, nie tylko po książkę, ale żeby sobie posiedzieć i pogadać po polsku o swych sprawach, młodzież po podręczniki, Polacy z kraju po zakazane tam książki, Anglicy, zagubieni w potrzebnej im wtedy (nie tylko naukowo!) „polszczyźnie”. Jeśli kogoś zawiodły poszukiwania w ponad stu tysiącach pozycji katalogowych i pomoc odczytanych i zawsze gotowych do pomocy pań pracujących w Bibliotece, zawsze była na miejscu p. Danilewiczowa, która – jak mówiono – nawet obudzona w nocy, umiałaby odpowiedzieć na każde pytanie: tytuł, autor, rok wydania, niemal numer strony.

W 1973 roku Maria Danilewiczowa przekazała Bibliotekę w inne ręce i wyjechała do Portugalii, wyszedłszy za mąż po kilkuletnim wdowieństwie za Adama Zielińskiego, byłego dyplomata, którego poznała

² Zbiór szkiców literackich pt. *Pierścień z Herkulanum*.

przed 30 laty, gdy w czasie wojennych wędrówek pracowała w jego biurze prasowym w Lizbonie.

Doktor Zieliński, kolekcjoner wspaniałych poloników, wyrobił sobie duże stosunki w kulturalnych sferach portugalskich, które umiał zainteresować Polską, i Pani Maria przyłączyła się do dalszego ich utrzymywania. Jednocześnie, jak to ona, nie ustawała we własnej pracy. Tam powstały jej *Szkice o literaturze emigracyjnej*, bez których nie można mówić o znajomości tej literatury. Jest to niezawodne źródło każdej informacji, nawet o ludziach i ich pracach doszczętnie przez innych zapomnianych, i jednocześnie doskonała lektura. Bo autorka nie trzyma się suchego, encyklopedycznego szablonu podobnych prac, tylko, znając osobiście nieomal wszystkich, o których pisze, nie ukrywa swych sympatii i antypatii, i często jakąś anegdotą czy cienką złośliwością dodaje pikanterii swojej relacji.

Nie poprzestała na tym. W Feijó powstały inne książki, bibliografia „Kultury”, dalsza współpraca z pismami i z RWE, do końca jego istnienia. I rósł ogromny dorobek edytorski ukoronowany w ostatnich latach opracowaniem monumentalnych mickiewiczianów na podstawie kolekcji dr. Niewodniczańskiego z Niemiec. I trwała nieprzerwana łączność z życiem kulturalnym kraju, ostatnio jeszcze bardziej wzmożona. Na cyplu Europy, w ślicznym domu-muzeum w ukwieconym ogrodzie, Pani Maria wie wszystko, co w Polsce się dzieje, co się pisze, co czyta. Stale przyjeżdżają do niej ekipy telewizyjne, dziennikarze po wywiady, pisarze, uczeni, młodzi i starzy, a jeśli nie mogą przyjechać, to telefonują, piszą, pytając o wspomnienia, prosząc o informacje.

Maria Danilewicz-Zielińska pamiętana jest w Polsce jak mało kto z dawnych emigrantów, w tym najserdeczniej przez jej Alma Mater Bibliotekę Narodową. Mogłaby już sobie założyć małą biblioteczkę z własnych książek wydawanych w Polsce (wśród nich bibliofilskie tomiki kilku opowiadań) i tego, co napisano o niej. Ukazał się w Bibliotece „Więzi” (1992) jej zbiór szkiców literackich *Próby przywołań* i w tym samym roku drugie wydanie *Szkiców o literaturze emigracyjnej* (Ossolineum), w ubiegłym roku Biblioteka Narodowa wydała jej *Książkę i czytelnictwo polskie w Wielkiej Brytanii*, a u wydawcy czeka wybór jej opowiadań.

W jubileuszowym roku życia nie ma dla Pani Marii wypoczynku. Rano zobaczy, co zakwitło w ogrodzie, nakarmi bezpańskie koty, ale już musi wrócić do pracy. Listonosz podrzuca co dzień specjalny worek przeznaczony na jej korespondencję. Na pewno są w nim nowe książki ze świata, a wśród listów może i podobne do tych, jakie dostawała

w Londynie. „Czy mogłaby mnie pani poinformować, jaki jest tytuł broszury o Mickiewiczu wydanej po angielsku jakieś 50 lat temu, zdaje się w Ameryce, i kto ją napisał”. Albo – „[...] czy to jest cytata z Norwida, a jeśli tak, to skąd, a jeśli nie, to czyja”.

Pani Maria siada do biurka, chwilę pomyśli, gdzieś zajrzy i pisze tytuł, rok, miejsce wydania. I nie, to nie Norwid, to Garczyński i poprawny cytat brzmi:

Czy od razu pojęty – czy będzie pojętym –
Tylko ten mistrzem w sztuce – wielkim jest pisarzem.

Nieważne, ile serc przypisuje się Pani Marii i na ile części dzieli jej życie. Pod każdym niebem, własnym czy obcym, przez wszystkie długie lata, jedynym wyznacznikiem tego życia jest polskie słowo. Książka.

Józef Czapski

James Burnham (1905–1987)

Umarł James Burnham, nieugięty i szlachetny. Odegrał on wielką rolę w okresie powstawania „Kultury”, był chyba pierwszym i na pewno najbardziej spośród Amerykanów oddanym naszym przyjacielem. Poznałem go zupełnie przypadkowo na jednym z paru wystąpień-odczytów de Gaulle’a po jego powrocie z Anglii. Nie brał wtedy żadnego udziału w rządzie. Nazywał ten czas *traversée du désert*. Nie pamiętam szczegółów tego spotkania, ale natychmiast poczuliśmy obaj, że łączy nas ten sam stosunek do Rosji sowieckiej i do Stalina. W owym czasie każdy lewicowy Francuz – a niewielu było wtedy innych – żywił jeszcze nadzieję, że Rosja sowiecka, a przede wszystkim Stalin, to przyszłość ludzkości. Kiedy Burnham przyjeżdżał z Ameryki i jego książki zaczęły wychodzić po francusku, był chyba jedynym pisarzem politycznym, którego stanowisko wobec Rosji sowieckiej było tak gwałtownie negatywne. Burnham wiedział, że komunizm trzeba zwalczać, że jest to największe niebezpieczeństwo dla ludzkości. I na tym tle z przypadkowego spotkania na odczycie de Gaulle’a zrodziła się przyjaźń. Burnham przyjechał do nas, do „Kultury”, i natychmiast zaprzyjaźnił się z naszym zespołem, przede wszystkim z Giedroyciem. W tym okresie wyjechałem do Ameryki, by zdobyć fundusze na nasze pismo. Po Nowym Jorku i objeździe szeregu ośrodków polskich aż po Chicago trafiłem do Waszyngtonu, gdzie wówczas mieszkał Burnham. Zaprosił mnie zaraz do siebie i poczułem się w jego rodzinie prawie tak przyjęty, jakbym był w rodowitym polskim domu. Burnhamowi chodziło o to, by ci Amerykanie, którzy wówczas mieli znaczenie w polityce, byli dobrze zorientowani w tym, co się w Rosji sowieckiej dzieje. Ameryka była wówczas pełna agentów sowieckich, których wpływ bywał chwilami przemożny, nawet u prezydenta. Co dzień Burnham oprowadzał mnie po Pentagonie i prosił, bym różnym specjalistom od spraw sowieckich i polityki sowieckiej opowiadał, co widziałem i co sam przeżyłem. Upór, dokładność, wola, by wykorzystać moje względnie szczupłe wiadomości i wrażenia, uderzały mnie i wzruszały. W tym czasie Burnham zaprosił mnie wraz z Giedroyciem

na Kongres Wolności Kultury, który się otwierał w Berlinie, o krok od granicy krajów zajętych przez władze sowieckie. Organizatorami byli Burnham i Koestler. Był to pierwszy międzynarodowy zjazd ze stanowiskiem niedwuznacznie wrogim wobec potęgi sowieckiej. Od tego czasu, gdy tylko Burnham był w Europie, przyjeżdżał i do nas i zawsze wyrażał się jak najbardziej pozytywnie o naszej, przecież wydawało się tak skromnej, działalności. Uważał ją za bardziej znaczącą niż działalność wielu innych instytucji, które miały o tyle więcej możliwości materialnych niż my.

We wszystkich próbach i projektach, by nie rozsypywać, a jednoczyć siły antysowieckie w Europie, Burnham, gdy tylko mógł, pomagał nam. Między innymi powstał projekt stworzenia uniwersytetu dla studentów z krajów zajętych przez Sowietów, a więc Czechów, Węgrów, Rumunów, naturalnie Polaków i innych. Projekt ten miał być finansowany przez Amerykanów i tak też się stało, tyle tylko że w ramach i celach swoich ten „uniwersytet” został niezmiernie uszczuplony.

Przyjaźń Burnhama była niezawodna. Między innymi polecił nas gorąco do Lilly Endowment Inc., do której zwróciliśmy się o pomoc finansową przy wydaniu serii książek nazwanej „Archiwum Rewolucji”. Lilly Endowment Inc. przekazała nam na ten cel dwadzieścia tysięcy dolarów. Pomogło nam to wydać książki Alliużewej, Gardera, Koestlera, Krywickiego, Lewickiego, Michajłowa, Sieribriakowej, Silonego, Weissberga-Cybulskiego, *Inny Świat* Herlinga-Grudzińskiego, jak również szereg książek z literatury pięknej, które tak czy inaczej zaczepiają o problemy sowieckie, jak np. Tibora Déry czy Marka Hłaski.

James Burnham zawsze dawał nam dowody zupełnego zaufania dla naszej pracy politycznej. Chyba nie przesadzę, jeżeli powiem, że był on wśród naszych przyjaciół amerykańskich pierwszym, najwybitniejszym i najserdeczniej z nami związanym sojusznikiem.

Żegnamy z głębokim smutkiem wielkiego przyjaciela wraz z jego żoną, Marcją, zmarłą przed paru laty, która równie jak on była dla nas osobą bardzo bliską.

Czesław Miłosz

Filozof odchodzi

Filozofka Jeanne Hersch zmarła w Genewie 5 czerwca 2000, na dwa dni przed sesją przygotowaną na jej dziewięćdziesiąte urodziny. Artykuły jej poświęcone w prasie szwajcarskiej były hołdowniczo-jadowite, jak to umieją dziennikarze, wtrącając tu i ówdzie słówko niby to neutralne, ale będące naganą. Jeżeli sokratycznym obowiązkiem filozofa jest mówienie ludziom nieprzyjemnej prawdy, choćby wszyscy się obrażali, Jeanne powinna być z takiego pożegnania zadowolona, bo aż do końca zalewała sadła za skórę swoim współobywatelom, a zwłaszcza szwajcarskim gazetom i telewizji.

Moja przyjaciółka i niemal rówieśniczka, urodziła się w rodzinie emigrantów z Wilna. Jej ojciec, Liebman Hersch, był działaczem socjalistycznego Bundu, Wilno opuścił po rewolucyjnych wydarzeniach 1905 roku. Wybitny statystyk został profesorem Uniwersytetu Genewskiego. Matka była lekarką. W domu mówiono po polsku, stąd polski ich córki, trochę zardzewiały, ale dający się odświeżyć. Jako dziecko zadawała pytania, na które ojciec nie znajdował odpowiedzi, bo zresztą nikt ich nie ma. Pociągała ją muzyka i robiła duże postępy w swoich studiach w konserwatorium, kiedy zarzuciła muzykę na rzecz filozofii.

Była studentką filozofii w Heidelbergu i Fribourgu-en-Brisgau w najmniej do tego odpowiednim momencie, bo w pierwszych miesiącach nazizmu. Za koleżankę miała tam Hannę Arendt. Następnie studiowała w Paryżu. Jednakże za swego mistrza zawsze uważała Karla Jaspersa i tłumaczyła jego dzieła na francuski. Jej własną twórczość otwiera dysertacja *L'illusion philosophique*, 1936, wznowiona z przedmową Jaspersa w 1964. Następnie powieść *Temps alternés* (*Czasy przemienne*), 1942, wznowienia 1972 i 1990. Za jej główne dzieło filozoficzne można uważać *L'être et la forme*, 1946. Nie uciekała od polityki. Czynnie zaangażowana w ruch federalizmu europejskiego napisała w obronie demokracji książkę *Idéologies et réalité*, 1956 (w moim przekładzie wydał to Instytut Literacki jako *Polityka i rzeczywistość*, 1957).

Jest też redaktorką międzynarodowej antologii tekstów o prawach człowieka, *Le droit d'être un homme* (Prawo do bycia człowiekiem) wydanej przez UNESCO, 1968, 1984. Wygłasza liczne odczyty radiowe o filozofii, które składają się na przejrzyście ułożony podręcznik filozofii dla wszystkich *L'étonnement philosophique* (Zdumienie filozoficzne). *Une histoire de la philosophie*, 1993.

W polskiej orbicie Jeanne Hersch znalazła się dzięki jej przyjaźni z Józefem Czapskim, następnie ze mną i ze Stanisławem Vincenzem. Był to czas, kiedy Paryż intelektualny odnosił się do polskich emigrantów jak do trędowatych, a nawet o Czapskim, autorze *Na nieludzkiej ziemi*, paryskie dzienniki pisały jako o majorze „faszystowskiej armii Andersa”, wołając o jego wydalenie z Francji.

Jeanne otrzymała w domu wychowanie laickie i socjalistyczne, wierna ideałom Bundu należała do szwajcarskiej partii socjalistycznej, nie znosiła komunistów i całego rządu przez nich paryskiego intelektualnego świata. Nie miała więc żadnych oporów przed wejściem do naszego kręgu. Jej stosunki z Vincenzami, którzy ją bardzo lubili i traktowali niemal jak córkę, pozwalają zobaczyć ją w jej cielesności, nie mola książkowego, ale kobiety dynamicznej, wysportowanej i cieszącej się życiem. Właściwie Viencenz pękał ze śmiechu, obserwując jej ekscentryzmy. Bo Jeanne coraz to popadała w dziwaczne przygody przez swoją, wyniesioną z domu, niemal dziecinną prawdomówność i zupełną obojętność na społeczne konwenanse, na to, co wypada i czego nie wypada. Nazywał ją czule wariatką, „panną z mokrą głową”, ale także, z powodu innych jej cech, „córá pustyni”. Te cechy upodabniały ją do biblijnych proroków. Tam gdzie inni poruszali się w temperaturach letnich, ona, namiętna, żarliwa, gorzała. I w swoich poglądach nie znała kompromisów.

Jej temperament może nawet pomagał w jej zajęciach z młodzieżą, bo lubili ją uczniowie Międzynarodowej Szkoły w Genewie, następnie jej studenci na Uniwersytecie Genewskim, gdzie od 1956 do 1977 była profesorem filozofii, z przerwą w latach 1966–1968, kiedy kierowała w Paryżu Sekcją Filozofii UNESCO.

Przyjaźń z osobą tak niezwykłą jest dla mnie powodem do dumy. A bynajmniej nie można zaliczyć naszego przymierza do stosunków prostych. Żeby go opisać, należałoby powrócić do napięć roku 1951 i 1952, w samym środku zimnej wojny, wprowadzić cadyka Vincenza i jego nauki, wyzwalające mnie z zatrucia heglizmem, i nieustanny palawer z Jeanne, w którym występowali Vincenz, Jaspers i jego filozofia wolności. Zacerpnałem od niej przekonania, że przeszłość

każdego człowieka nie jest nieruchoma, zamrożona, bo od nas zależy, jaki nadamy jej sens przez nasze późniejsze czyny: jakaż zachęta do gorliwego działania! Dodać tu trzeba nasze kłótnie, bo łagodności nie zaliczyłbym do jej cnót, jak też nasze wspólne pływania w pięknych rzekach Francji. Pływaliśmy w różnych okresach życia, w rzekach, w Morzu Śródziemnym, nawet, już w starości, w Morzu Karaibskim koło Martyniki. Przyjaźń nasza przetrwała, chociaż po emigracji do Ameryki zamiast nielicznych spotkań prowadziliśmy telefoniczne rozmowy. Jeanne przetłumaczyła na francuski moją powieść napisaną na konkurs *Zdobycie władzy*, dzięki czemu otrzymałem Prix Litteraire Europeen w 1953 roku. A wkrótce później, z wielkim poświęceniem, obłożona słownikami, pracowała nad przekładem mojej *Doliny Issy*, powieści autoterapeutycznej, którą w niemałym stopniu zawdzięczałem wpływowi jej rozważań o egzystencji i platońskim *rozhoworom* Vincenza.

Spróbujmy jednak zobaczyć Jeanne na tle zbiorowisk ludzkich. Podobnie jak Hannah Arendt (którą dzięki Jeanne poznałem w Paryżu) wystąpiła jako myśląca maszyna do konkurencji z plemieniem wąsatych i brodatych pracowników myśli. Maszyna precyzyjna i groźna w dyskusji. Bali się jej i dlatego nie mogli jej lubić. Na seminariach, kolokwiah, zjazdach jej rozumowanie, zawsze celne, przypierało adwersarza do muru, wykazując luki i niekonsekwencje jego myśli. Z każdą dekadą dwudziestego wieku przybywało zresztą punktów jej niezgody z „kastą wiedną”. Jej stosunki z Konstantym Jeleńskim dostarczyłyby tutaj dobrego przykładu. Wysoce ją cenił, coraz bardziej jednak od niej się dystansował, szczególnie kiedy zaczęły się bunt y młodzieży w rewolucyjnych latach sześćdziesiątych. Te go zachwycaly i nawet nie miał za złe wycięcia platanów przy bulwarze St. Michel, żeby budować z nich barykady. Nie rozumiał, dlaczego Jeanne wobec tego wybuchu młodości zajmuje stanowisko negatywne i nieprzejednane. Ale on był, bądź co bądź, postępowcem i zwolennikiem wszechogarniającego przyzwolenia, natomiast Jeanne surowym krytykiem nieznaającej powściągłów epoki. Rebelie młodzieży – w Berkeley, w Paryżu, wkrótce też w Zurychu – miały przyczyny, które dałoby się wyliczyć, natomiast jedna, wspólna im przyczyna wymyka się nam, równie jak przyczyna pierwszej wojny światowej. Tyle tylko możemy powiedzieć, że przesiliły się w ten sposób resztki obyczajowego ładu zachowanego po wieku dziewiętnastym. Racjonalnie rzecz biorąc, bunt przeciwko wszelkim autorytetom, portrety Mao i Che Guevary, narkotyki, łatwy seks dowodziły obecności jakichś potężnych irracjonalnych sił. Otóż cała filozofia Jeanne zwracała

się przeciwko instynktom, odruchom, zawierzeniu podświadomości. Popłuczyny Marksa i Freuda zmienione w hasła studenckiej rebelii obrażały jej poczucie sensu. Najwyżej ceniła jasne myślenie i stąd jej wstręt do alkoholu oraz wszelkich narkotyków, zamącających działanie rozumu.

Nie znaczy to jednak, że była racjonalistką. Zbyt na to świadoma naszych ludzkich ograniczeń wiedziała, że jesteśmy zanurzeni w tajemnicy i że nasza wiedza jest jak krąg światła elektrycznej latarki w ciemności. Uporządkowana Szwajcaria ze zgrozą i niedowierzaniem przyjęła ryki i pochody swoich rodzimych wandalów rozbijających witryny sklepowe, podpalających samochody w imię bliżej nieokreślonej rewolucji. Opinia publiczna skłaniała się raczej do tolerancji: no cóż, nudzą się, rzeczywiście nasze społeczeństwo nie daje im ani uchwytnych celów, ani okazji do wyładowań. Jedynie Jeanne Hersch w swoich wypowiedziach drukiem i przez radio bezwzględnie potępiała ekscesy i nawoływała do wdrożenia dyscypliny na uczelniach. Oskarżała przy tym starsze pokolenie o lęk przed wyrażeniem własnego zdania. Tutaj oto tkwi zarzewie konfliktu Jeanne ze szwajcarskimi dziennikami. Socjalistka, a przyłącza się do głosów prawicy? Osoba niby to postępową, a bierze w obronę sprawy i osoby reakcyjne. Awanturnica.

Nie wiem, czy Jeanne miała tu rację. Przeżyłem rewolucję 1968 roku w Berkeley bez zatargów z moimi studentami, ale nie przechodząc na stronę ryczącego tłumu dyrygowanego przez paru demagogów, między innymi przez dziewczynę z Nowego Jorku, której ojciec był teoretykiem Amerykańskiej Partii Komunistycznej. Zachowanie się większości profesorów nie przynosiło im zaszczytu. Bali się posądzenia o reakcyjność. Otóż w tym okresie zakładania komun, bosonogich „dzieci kwiatów” w ławkach, wśród zapachu marihuany, ktoś z moich znajomych opowiadał mi o reakcjach przeciętnych obywateli Związku Sowieckiego na wieść o tym rozpasaniu w Ameryce: „Aresztować!”, „Do łagru!”, „Bo inaczej zginiecie!”. Ameryka jednak nie zginęła. Tak samo mieszczańska Szwajcaria dalej trwa, mimo ostrzeżeń Jeanne.

Jednakże Jeanne miała rację w innym, głębszym znaczeniu. Gdyż pod powierzchnią głupawych sloganów i ścinania drzew na barykady dojrzywała zmiana mentalności, która miała zarazić naukę i sztukę końca dwudziestego wieku. Uczestnicy rebelii albo odeszli do robienia pieniędzy, albo zostali naukowcami i artystami, kształtując z kolei umysły młodych pokoleń. I zapytana o właściwości tego nowego sposobu myślenia Jeanne odpowiedziałaby, że cechuje go utrata wiary w rozum i zatrącenie pojęcia prawdy.

Jeanne Hersch była człowiekiem pasji etycznej. Być może dlatego tak bliski jej był Karl Jaspers, który zresztą dowiódł w latach nazizmu wierności swoim przekonaniom, nie idąc na żadne kompromisy. Jego religią była, jak to nazwał, „wiara filozoficzna”, wymagająca w pierwszym rzędzie uczciwości wobec siebie. Prawda była u podstaw jego odmiany egzystencjalizmu. Jego uczennica i tłumaczka wierzyła w gmach nauki i sztuki wznoszony przez ludzkość dzięki użytkowi rozumu w dążeniu do prawdy. Mogłaby podpisać się obiema rękami pod encykliką Jana Pawła II w obronie rozumu, ponieważ właśnie to przed czym ostrzega, było jej zmorą. Zresztą, choć nie chrześcijanka, była zapraszana na sympozja watykańskie i brała tam udział w dyskusjach. Do problemów poruszanych w encyklikach odnosiła się z szacunkiem i, w przeciwieństwie do wielu zachodnich intelektualistów, nie wyławiała papieskich nauk o życiu seksualnym, żeby znaleźć okazję do krytyki, a nawet współczuła papieżowi, że musi rozstrzygać tak zawiłe zagadnienia.

Pośród zgłęku i zamętu ścierających się idei dwudziestego stulecia Jeanne musiała wiele odrzucać i przeróżne modne, następujące po sobie „izmy” określała jako *baratin*, czyli paplanie. Wymagająca narzucała wyraźnie ustaloną hierarchię. Swoje obowiązki filozofa pojmowała w pierwszym rzędzie jako dostarczanie narzędzi rozumowania, tak żeby pozbyć się, na ile to możliwe, pojęć mętnych. Przyjaźń z nią uchroniła mnie od wielu myślowych błędów i utwierdziła mnie w estymie dla kobiet-filozofek, którym patronuje Hypatia, ostatnia poganka w Aleksandrii na przełomie czwartego i piątego wieku, a w czasach nam bliższych przewodzą Simone Weil, Hannah Arendt i Jeanne Hersch.

Istotą osobowości Jeanne Hersch była szczególna postawa wobec świata, którą nazywam pobożną, co nie musi wiązać się z przynależnością do jakiegokolwiek religijnego wyznania. Nihilistycznym pomysłem przeciwstawiała sacrum zawarte w samym istnieniu, i samo istnienie powinniśmy co dzień celebrować. A dodać wypada jej szczególną wstydlivość w używaniu zbyt wielkich słów, pokorę wobec granic zakreślonych dla naszej kondycji ludzkiej.

Nie myślę, że to pożegnanie odsyła ją w przeszłość, między linie oporu przeciwko złu jej epoki, któremu przeciwstawiła się z całą energią. Współczuła ofiarom dyktatur (korzystając ze swojej znajomości języka, pojechała do Polski w 1956 roku na proces robotników w Poznaniu). Działała na rzecz federacji europejskiej, kiedy mało kto brał tę ideę poważnie. Przybierającemu chaosowi ruchów młodzieżowych,

z ich zatarciem granicy między złem i dobrem, prawdą i nieprawdą, próbowała położyć tamę. Czytane dzisiaj jej teksty w późniejszych wypadkach znajdują potwierdzenie. Jednakże nie na tych racjach doraźnych polega jej wkład w naszą cywilizację. Jest to jakby propozycja nowego światopoglądu, po końcu tak zwanych systemów, po uprzątnięciu ruin, jakie zostawili po sobie uwodzicielscy myśliciele dziewiętnastowieczni.

Stanisław Swianiewicz

90-lecie Kazimierza Okulicza

Na początku bieżącego roku Kazimierz Okulicz kończy 90 lat. Pracę publicystyczną zaczął blisko trzy ćwierci wieku temu. Jego pierwszy artykuł ukazał się w 1905 roku w wychodzącym w Wilnie „Kurierze Litewskim”. W okresie niepodległości był początkowo redaktorem „Gazety Krajowej” w Wilnie, a potem „Kuriera Wileńskiego”.

Kazimierz Okulicz jest chyba ostatnim żyjącym przedstawicielem tego zespołu, który w pierwszych latach po odrodzeniu państwa polskiego usiłował realizować program polityki wschodniej Józefa Piłsudskiego. Okulicz jest więc kopalnią informacji o różnych, dziś już niemal zapomnianych rzeczach i wydarzeniach. Na przykład jest on chyba jedynym, który z bezpośrednich obserwacji może mówić o okolicznościach, które w październiku 1920 roku doprowadziły do tzw. buntu gen. Żeligowskiego oraz utworzenia przez niego niezależnej formacji państwowej w postaci tzw. Litwy Środkowej. Okulicz należał do tej grupy ludzi, wojskowych i cywilnych, którzy razem z Witoldem Abramowiczem, Bronisławem Krzyżanowskim, Aleksandrem Prystorem, Marianem Kościółkowskim, Marianem Świechowskim oraz Witoldem Staniewiczem stanowili bezpośredni sztab polityczny gen. Żeligowskiego.

Dziś mało kto sobie uświadamia, że celem „buntu” gen. Żeligowskiego nie było wcale oderwanie Wilna od Litwy, lecz raczej rozszerzenie państwa litewskiego przez przyłączenie Litwy Południowej, to znaczy Białorusi, i znalezienie jakichś form powiązania tej całości z Polską bez naruszania samej zasady niepodległości Litwy. Ideałem tego „buntu” było stworzenie na terenie Litwy historycznej czegoś w rodzaju wschodnioeuropejskiej Szwajcarii, gdzie cztery miejscowe języki (polski, litewski, białoruski i żydowski) byłyby całkowicie równouprawnione. Generał Żeligowski (z pochodzenia drobny szlachcic z Oszmianszczyzny) swoje odezwy do ludności zajętych przez jego oddziały obszarów wydał w tych właśnie czterech językach. Bronisław Taraszkiewicz, znany działacz białoruski i autor pierwszej gramatyki białoruskiej, który był przez pewien czas kierownikiem Departamentu

Oświaty Litwy Środkowej, zaczął tworzyć na wielką skalę szkolnictwo białoruskie i zdążył założyć podczas trwania tej formacji państwowej około 130 szkół białoruskich.

Prawie jednocześnie z „buntem” gen. Żeligowskiego wybuchło w Słucku, na tyłach armii sowieckiej, powstanie białoruskie, które ogłosiło utworzenie niepodległego państwa białoruskiego i doprowadziło do utworzenia rządu białoruskiego. Dopiero skrupulatne studia archiwalne oraz wertowanie literatury pamiątnikarskiej mogą ustalić, czy były jakieś nici łączące akcję Żeligowskiego z rewoltą słucką. Powstanie zostało bezwzględnie stłumione przez Armię Czerwoną. W owych przełomowych latach po pierwszej wojnie światowej na całym terenie tzw. Ziem Wschodnich ciągle zapalały się i gasły płomyki będące reminiscencją dawnego imperium litewskiego, które w przeszłości było w przeważnym stopniu państwem białoruskim.

Politycznie Okulicz był przedstawicielem grupy tzw. demokratów wileńskich, czasami również nazywanych „krajowcami”. Wszyscy wymienieni powyżej członkowie sztabu politycznego gen. Żeligowskiego byli w większym lub mniejszym stopniu związani z tą grupą. Jednym z wybitnych przedstawicieli tego zespołu był również Jan Piłsudski, o którym plotka wileńska szeptała, że był kanałem wiążącym tę grupę z ówczesnym Naczelnikiem Państwa.

Nazywanie „demokratów wileńskich” „krajowcami” było o tyle nieścisłe, że stanowili oni tylko jeden z nurtów ruchu krajowego. W Wilnie istniała również grupa konserwatywnych „krajowców”, która uważała, że na terenie dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego przywództwo polityczne winno należeć do wielkiej własności ziemskiej. Demokraci wileńscy natomiast stali na stanowisku szeroko pomyślanej reformy rolnej, której projekt był dziełem Witolda Staniewicza, i uważali, że warstwą, która w projektowanej Wielkiej Litwie miała wysunąć się na czoło, będzie mała własność rolna, tzn. to, co wówczas nazywało się włościaństwem. Jeżeli chodzi o konserwatywnych „krajowców”, czołowym publicystą tej grupy był Stanisław Mackiewicz. W pewnej chwili przejął on „Gazetę Krajową” i przemianował ją na „Słowo”. Propagował on wskrzeszenie monarchii, a Józefa Piłsudskiego uważał za jednego z kandydatów na tron Jagiellonów, pomimo że Piłsudski uchodził wówczas za socjalistę.

Poza tym istniał odłamek ruchu krajowego, który spadkobierców tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego widział raczej w Kownie niż w Warszawie. Najwybitniejszą postacią tego odłamu był mecenas Tadeusz Wróblewski, sławny obrońca w procesach politycznych w okre-

sie carskiej Rosji i twórca wspaniałej Biblioteki Wróblewskich, wywiezionej w 1939 roku przez okupantów sowieckich. Kierunek ten był reprezentowany przez dwutygodnik „Przegląd Wileński”, bardzo dobrze redagowany przez Ludwika Abramowicza. Kierunek ten nie uważał, że federacja z Polską jest koniecznym warunkiem wskrzeszenia Wielkiej Litwy, lecz zgadzał się, że kultura polska w tym wielojęzycznym państwie będzie nadal swoją rolę odgrywać. „Przegląd Wileński” miał sporo poparcia na prowincji, szczególnie wśród proboszczów mieszanych parafii polsko-litewskich, chociaż wśród większości kapitału przeważały prądy skrajnego nacjonalizmu polskiego i robiono usiłowania, aby usunąć świątobliwego biskupa Matulewicza (Matulajtis) dawnego generała zakonu marianów, który był Litwinem z pochodzenia. „Demokraci wileńscy” stali twardo na stanowisku federacji z Polską i wierzyli, że Józef Piłsudski jest mężem stanu, który tę ideę wspólnej Rzeczypospolitej potrafi urzeczywistnić.

„Demokraci wileńscy” stanowili grupę inteligencją, która nie prowadziła żadnej akcji wśród mas ludowych. Wkrótce po zajęciu Wilna przez oddziały gen. Żeligowskiego przybył na teren Wileńszczyzny zespół działaczy z Organizacji Młodzieży Narodowej, będący odłamek spadkobierców dawnej Ligi Narodowej, która jeszcze przed pierwszą wojną światową nie poszła za Dmowskim, lecz za Piłsudskim, jako przywódcą czynnej walki o niepodległość. Nie podzielali oni jednak wschodniego programu Piłsudskiego. Zespół ten (Tadeusz Janikowski, Władysław Kamiński, Małowieski, Mydlarz, Bolesław Wścieklica) zorganizował bardzo sprężystą akcję na rzecz natychmiastowej inkorporacji ziemi wileńskiej do państwa polskiego. Występowali oni pod pseudonimem „rad ludowych”. Plotka kawiarniana mówiła, że środki finansowe na tę akcję pochodziły ze śląskich funduszy plebiscytowych. „Rady ludowe” wygrały wybory do Sejmu Wileńskiego, które miały miejsce w początku 1922 roku. Marszałek Piłsudski, który jako Naczelnik Państwa przyjechał, aby przejąć władzę nad ziemią wileńską”, w mowie wypowiedzianej podczas bankietu w kasynie oficerskim wezwał wilnian, aby nie zapominali o tym, że te mury nie polskimi zostały wzniesione rękami.

Inkorporacja Wilna do Polski znamionowała załamanie się planów wschodnich Józefa Piłsudskiego, podobnie jak nieco przedtem niepowodzenie wyprawy kijowskiej. Różnica pomiędzy obozem Dmowskiego a Józefem Piłsudskim polegała na tym, że Dmowski dążył do podzielenia Ukrainy i Białorusi pomiędzy Rosję a Polskę, podczas gdy Piłsudski, korzystając z wyjątkowej koniunktury historycznej, która

wytworzyła się po pierwszej wojnie światowej, chciał odsunąć Rosję jak najdalej na wschód przez stworzenie niepodległej Ukrainy i Wielkiej Litwy. Gdyby po 1920 roku Ukraina uzyskała niepodległość, Stalin nie byłby w stanie rozwinąć akcji tworzenia przemysłu wojskowego na skalę, na którą ta akcja była potem prowadzona. W owych latach Europa nie chciała zrozumieć, że jej przyszłość i wolność zależały od tego, czy powstanie niepodległa Ukraina, co doskonale rozumiał Piłsudski. W świetle tej szalonej groźby, która wisi dziś nad światem, widać wyraźnie, w jakim stopniu Piłsudski był człowiekiem o genialnej intuicji historycznej. Okulicz był jednym z tych niewielu, co w owym czasie swoje pióro oraz talenty organizacyjne oddali na usługi tych planów Piłsudskiego.

Po likwidacji Litwy Środkowej Okulicz był jednym z założycieli, a potem przez szereg lat naczelnym redaktorem „Kuriera Wileńskiego”. Podczas premierostwa Bartla był przez pewien czas dyrektorem Departamentu Wyznań w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Warszawie, potem znowu wrócił do „Kuriera Wileńskiego”. Okulicz był w Warszawie jednym z założycieli Instytutu Badania Spraw Narodowościowych, którego kierownikiem naukowym został inny „demokrata wileński” i jego osobisty przyjaciel Marian Świechowski. W Wilnie był Okulicz jednym z założycieli Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej. Podczas wojny pracował w Radzie Głównej Opiekuńczej. W 1945 roku znalazł się we Włoszech w 2. Korpusie, którym dowodził gen. Anders, jego kolega z Politechniki Ryskiej. Po wojnie Okulicz był przez pewien czas ministrem sprawiedliwości w Rządzie Polskim w Londynie. W tym charakterze zgromadził materiały dotyczące tzw. afery Bergu, które potem Stanisław Mackiewicz opublikował w oddzielnej broszurze.

Wielką zasługą Okulicza jest zorganizowanie i przygotowanie do druku *Pamiętnika wileńskiego*, wydanego przez Polską Fundację Kulturalną w 1972 roku, przedstawiającego życie kulturalne i polityczne kilku ostatnich pokoleń Litwy historycznej. W wydawnictwie tym zamieszczone zostały prace dwudziestu współautorów. Centralne miejsce (str. 9–88) zajmuje praca samego redaktora pt. *Brzask, dzień i zmierzch na ziemiach Litwy historycznej*. Praca daje na wysokim poziomie literackim zarys popowstaniowych dziejów Litwy historycznej ze szczególnym uwzględnieniem przełomowych lat po pierwszej wojnie światowej. Podaje moc nazwisk i mało znanych faktów, np. pewne dane o takich ośrodkach myśli i inicjatywy jak „Szubrawcy” lub wolnomularstwo na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Kiedy w 1972 roku *Pamiętnik* ukazał się w druku, Kazimierz Okulicz miał już 82 lata. Od tego czasu drukował niewiele, obecnie ma trudności z pisanem z powodu operacji oczu, której ostatnio musiał się poddać. Śledzi jednak uważnie przemiany w sytuacji międzynarodowej, ma własny wyrobiony pogląd na kierunek, którym Polacy muszą kroczyć, aby odzyskać pozycję wolnego narodu.

Okulicz był zawsze sceptyczny wobec popularnych w naszym społeczeństwie nadziei na pomoc odległego Zachodu. Od czasu wojen napoleońskich aż do drugiej wojny światowej Polacy żyli nadzieją na pomoc Francji. Beck zyskał sobie popularność w końcu swego urzędowania, bo potrafił doprowadzić do przymierza z Wielką Brytanią. Polski rząd emigracyjny we wrześniowej rezolucji Zjazdu Jedności z Walczącym Krajem roztacza świetlane nadzieje związane z przyjaźnią amerykańską. W Ameryce istotnie ludzie polskiego pochodzenia mogą swobodnie głosić swoje idee, zajmować wysokie stanowiska i robić pieniądze. Lecz właśnie Ameryka jest odpowiedzialna za ustalenie w końcu ostatniej wojny sfer wpływów supermocarstw w Europie, przez co Polska i inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej zostały oddane w niewolę sowiecką. Sowiety ze swej strony zobowiązały się wówczas wycofać po zakończeniu wojny swoje wojsko z Azerbejdżanu perskiego. W obecnej sytuacji napięcia międzynarodowego problem dyplomacji amerykańskiej polega na tym, aby przekonać Związek Sowiecki, żeby się zaspokoił dalszym trawieniem Środkowo-Wschodniej Europy i nie pchał się znowu w kierunku Zatoki Perskiej. W Departamencie Stanu istnieje nawet rzekomo pogląd, który głosi, że w interesie Ameryki leży, aby Europa Środkowo-Wschodnia jak najprędzej zrosła się „organicznie” ze Związkiem Sowieckim (tzw. doktryna Sonnenfeldta). Stąd też pochodzą ciągłe naciski, aby zlikwidować Radio Free Europe.

W tym niezmiernie niepomysłnym układzie stosunków międzynarodowych trudno jest stworzyć jakąś nową koncepcję polityki polskiej, gdy wszystkie dawne zbankrutowały. Można jednak myśleć o stworzeniu atmosfery psychicznej, z której by taka nowa koncepcja mogła się wyłonić w przyszłości. Świat się zmienia i zmieniają się ludzie. Niemcy, nasz wielki zachodni sąsiad oraz wróg w ostatniej wojnie, przeszły po wojnie przez duże przeobrażenia psychiczne; nowe pokolenia polskie również pod wieloma względami różnią się od dawnych. Ideą, którą Kazimierz Okulicz mocno popierał przez ostatnich kilkanaście lat, jest stworzenie w Europie środkowej Zony Przyjaźni, obejmującej przede wszystkim Niemców, Polaków, Czechów i Słowaków. Atmosfera psychiczna jest czymś trudnym do skontrolowania.

Może się więc rozszerzać, pomimo wszystkie granice dawne i nowe i pomimo wszystkie podziały na sfery wpływów ustalone przez supermocarstwa. Okulicz podkreśla swoje żywe zainteresowanie tą ideą przez swój udział w spotkaniach polsko-niemieckich, które w ciągu ostatnich kilkunastu lat prof. Rhode organizował w Lindenfels.

Postawa, którą w sprawie przyszłości stosunków polsko-niemieckich zajmuje obecnie Okulicz, odpowiada całkowicie ideom, które na gruncie religijno-moralnym wyraziło „Orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich” w listopadzie 1965 roku. „Orędzie” to było przeniknięte troską o przyszłość całego tego rejonu Europy, z którym w zmaganiach i współdziałaniu wiązała nas tysiącletnia historia chrześcijaństwa w Polsce. Związek Sowiecki jest zainteresowany w ciągłym podtrzymywaniu nienawiści pomiędzy Niemcami i Polakami. Toteż to orędzie spotkało się w prasie reżymowej z wrogim przyjęciem. U wielu przywódców politycznych na emigracji wywołało ono pewną konsternację. Są to przeważnie ludzie, którzy rozumieją politykę zagraniczną emigracji jako powtarzanie w kółko haseł z dni własnej dawno minionej młodości. Okulicz, który ma poczucie zmieniającego się świata oraz poczucie tych nowych problemów, które wyrastają przed nami jako Polakami oraz jako obywatelami tej części Europy, z którą łączy nas tysiącletnia tradycja chrześcijaństwa, musi w tym środowisku londyńskiej emigracji czuć się nieraz nieco wyobcowany.

Lecz za to jest bliższy temu, czym żyje elita młodej generacji Polaków w Kraju.

Wśród niezależnie myślącej części młodego pokolenia w Kraju – na tyle, na ile można się zorientować z czytania wydawnictw poza cenzurą oraz zetknięć osobistych – istnieje dziś ogromne zainteresowanie tym, czym naprawdę są Niemcy i jaką należy wobec nich zająć postawę. Okulicz, dziewięćdziesięcioletni starzec, jest wpatrzony w spowitą w mgłach przyszłość, jeżeli nie własną, to własnego narodu oraz tych sąsiednich narodów, z którymi wiążą nas współdziałanie i walki, lecz nade wszystko wspólność tysiącletniej cywilizacji.

Władysław Żeleński

Władysław Wolski

Zmarły 24 stycznia bieżącego roku w Lailly-en-Val we Francji Władysław Wolski był jednym z dawniejszych współpracowników w wydawnictwach Jerzego Giedroycia. W „Buncie Młodych” i w „Polityce” artykuły swe podpisywał jako Roman Krukowiecki, w „Kulturze” drukował je początkowo jako GAMMA, następnie zaś, w roku 1974, ponownie jako Krukowiecki.

Urodził się w Kijowie w roku 1904 i tam rozpoczął gimnazjum. Kolegował na jednej ławce z W. A. Zbyszewskim, którego zdaniem uczył się bardzo dobrze. W roku 1918 czy 1919 wymieciony rewolucją z Ukrainy przybył z rodzicami do Warszawy, gdzie ukończył szkołę średnią i zapisał się na prawo. Ciężkie warunki, w jakich się znalazł – podobnie jak inni kresowcy – sprawiły, że szybko oddał się pracy zarobkowej w dziennikarstwie. Zapewne przez koneksje ojca znalazł ją w „Zorzy” redagowanej przez posła ND Wierczaka i pod jego kierownictwem nauczył się wstępnych zasad tego rzemiosła. Wówczas też zapisał się do Młodzieży Wszechpolskiej, przybudówki Związku Ludowo-Narodowego, późniejszego Stronnictwa Narodowego. Z organizacją tą jednak dość szybko popadł w konflikt, nie poddając się jej bezwzględnej dyscyplinie. Wykluczony z jej szeregów, związał się z Jerzym Rogowiczem i Henrykiem Zabłockim, którzy w tym czasie wystąpili z niej z trzaskiem. Była to pierwsza, wprawdzie nieliczna, ale w ówczesnym życiu akademickim wiele znacząca, secesja ideowa z tego stronnictwa, skazanego i później na wstrząsy i rozłamy. Pamiętam żywo spotkania z tymi trzema śmiałkami i boje prowadzone w Bratniej Pomocy. W przeciwieństwie do niezrównanego polemisty, jakim był Rogowicz, Wolski rzadko wstępował na trybunę, ale w małych zespołach był słuchany uważnie, bo umiał przypomnieć w porę spokojnie i inteligentnie potrzebne fakty i dane.

Na wykłady chodził mało, jednakże egzaminy roczne zdawał doskonale, z wyjątkiem ostatniego, do którego nie zdołał nigdy przystąpić, pochłonięty już wtedy namiętnością do bieżącej polityki. Pożerał tony pism wszystkich kierunków, rejestrował w pamięci nazwiska,

daty, stronnictwa, przemówienia, uchwały. To czytanie w polityce krajowej i międzynarodowej było jego atutem w dalszej jego pracy dziennikarskiej, w której go spotkałem w Agencji Wschodniej (AW) Adama Szczepanika. Związał się tam z Tadeuszem Łychowskim, z którym analizował bez końca artykuły w dostępnych mu wreszcie dziennikach sowieckich i francuskich. Stale czytał „Izwestia” i skrajnie prawicową „Action Française”. (Z okresu rewolucji nie wyniósł żadnego kompleksu antyrosyjskiego). Ta uważna lektura pism wielojęzycznych miała mu być własną szkołą nauk politycznych.

Po przewrocie majowym, w czasie którego okazał spokój i odwagę, przekraczając jakby nigdy nic ulice pod ostrzałem karabinów maszynowych, Wolski rychło został zatrudniony jako urzędnik, na początek w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, a potem w biurze prasowym Prezydium Rady Ministrów, pod Tadeuszem Świącickim. Stamtąd, po paru latach, chyba za sprawą Stanisława Zaćwilichowskiego, przeszedł do biura prasowego MSZ. W roku 1934 został wysłany do Bukaresztu, do poselstwa M. Arciszewskiego. Szybko opanował język rumuński, pożerał i doskonale streszczał prasę, nawiązał stosunki. I tu zaznaczył się drugi, nieoceniony jego talent: pozornie nieśmiały, towarzysko mało wyrobiony, cygan – z pewnością nie był to tzw. rasowy dyplomata – umiał dotrzeć do ludzi politycznych, reprezentujących wszystkie bez żadnego wyjątku odcienie, i zawrzeć z nimi bliskie znajomości. W ten sposób wszedł w styczność nie tylko z wybitnymi dziennikarzami, ale i z osobistościami, takimi jak Codreanu, przywódca Żelaznej Gwardii, Maniu, były premier i przywódca stronnictwa chłopskiego, i Mihail Antonescu.

Ostatni okres przedwojenny spędził w Warszawie, udzielając się coraz szerzej w kołach politycznych, pisząc dla Giedroycia artykuły i rozszerzając pole obserwacji na wiele nowych dziedzin. Pamiętam wnikliwy, ale i „dyplomatyczny” raport, jaki złożył ministrowi sprawiedliwości, Witoldowi Grabowskiemu, z podróży na Wołyń w okresie rosnącego napięcia przeciw wojewodzie Józewskiemu.

Ale w całej tej, nieraz rozrzutnej, pracy brakło Wolskiemu dyscypliny wysiłku, która by mu pozwoliła ukończyć studia i złożyć niezbędny egzamin dyplomatyczny w MSZ. Pozostał urzędnikiem kontraktowym, nie przekroczył stopnia dzielącego od ekskluzywnego zespołu „urzędników etatowych”.

We wrześniu z falą ewakuowanych urzędników dotarł do Rumunii i znalazł zatrudnienie w ambasadzie Rogera Raczyńskiego, który z pomocą Giedroycia dość szybko się na nim poznał. Gdy ambasada

musiała opuścić Rumunię, pozostał z Giedroyciem w biurze polskim poselstwa chilijskiego, które przejęło opiekę nad sprawami polskimi. Gdy w marcu 1941 biuro zostało zlikwidowane, poselstwo angielskie zorganizowało Giedroyciowi i Wolskiemu wyjazd do Stambułu, gdzie jednak drogi ich się rozeszły. Giedroyc dotarł do Brygady Karpackiej, Wolski zaś, który już dawniej nawiązał bliskie stosunki z płk. Kowalewskim, został na ochotnika zaangażowany w ramach tzw. Akcji Kontynentalnej polskiego ministerstwa spraw wewnętrznych do pracy w Rumunii i zawrócił do Bukaresztu.

Teraz już nie liczyły się stopnie służbowe, dyplomy i egzaminy – poza jednym, który trzeba było zdać: nie tylko z inteligencji, ale i z odwagi i determinacji. Mając za zadanie obserwowanie dla naszego MSZ w Londynie sytuacji politycznej w Rumunii opanowanej przez Niemców, Wolski słał na podstawie poufnych wiadomości od polityków rumuńskich regularne raporty, które w Londynie czytane były z największą uwagą i – jak mi mówił potem Kajetan Morawski – miały bardzo wysoką cenę w oczach Anglików, którym były komunikowane.

Zabawna była technika pracy obrana przez Wolskiego. Zarówno w czasie paromiesięcznego istnienia wydziału polskiego przy poselstwie chilijskim, a zapewne i później swoje raporty pisał w czytelniku luksusowego hotelu Ambasador, który był zarekwirowany przez komendę niemiecką, ale bar i czytelnia były dostępne dla publiczności cywilnej. Często się zdarzało, że pikolak, a także oficerowie niemieccy pracownicy zbierali roztargnionemu gentlemanowi kartki raportu rozsypane na podłodze.

Ale wiadomo, że praca najzręczniejszego nawet agenta nie może trwać bez końca. Wolski został nakryty i aresztowany, szczęśliwie jednak bez kompromitujących dowodów. Nadal szansa mu dopisała: nie zastosowano tortur, porzeczano na oślepiających żarówkach świecących się w celi całą noc. Nie przeszkodziły mu one jednak w głębokim śnie, bo był nieczuły na światło! Dobrze wyspany więzień nie wypadł z formy i wytrzymał wielogodzinne przesłuchania. Do tego stopnia, że Niemcy skazali go tylko na zesłanie do obozu koncentracyjnego. Ale w ostatniej chwili przyszło pismo marszałka Antonescu ze zwolnieniem go.

Cały ten rozdział, jakże charakterystyczny dla podwójnej gry uprawianej z konieczności przez Rumunów, którzy się ubezpieczali na obie strony, maluje też dobrze Wolskiego i jego bez troskę w obliczu niebezpieczeństwa.

Warto zresztą sięgnąć do wspomnień, które Wolski raz tylko opublikował, w numerze 25 (z roku 1949) „Kultury”, na marginesie re-

cenzi z jakiejś książki rumuńskiej wydanej na emigracji w Paryżu. Z opowiadania tego, ciekawego dla ówczesnej atmosfery Bukaresztu, wynika także, że Wolski bynajmniej nie ograniczał się do zbierania wiadomości, ale również je dawał, nie skąpiąc naświetleń i inspiracji.

Mowa jest w artykule o wybitnym dziennikarzu i pamfleciście rumuńskim, Seicaru, którego pismo „Curentul” wyrosło niejako do roli niezależnej instytucji. Wbrew pozorom nie był germanofilem, usiłował tylko być realistą, wyżywał się wprawdzie jako wróg Rosji, ale mimo wszechobecności gestapo przeprowadzał coraz jaskrawiej różnicę między wschodnimi i zachodnimi wrogami Niemiec i coraz śmielej zaczynał sugerować konieczność nawiązania rokowań z krajami anglosaskimi. W momencie zarysowującego się konfliktu między rządem polski a Kreml, nie bacząc na protesty poselstwa niemieckiego, kierował uwagę opinii publicznej na istnienie problemu polskiego.

W tym czasie – pisze Wolski – niedługo przed moim aresztowaniem zwróciłem się do p. Seicaru, proponując mu korzystanie z moich materiałów do jego kampanii. Otrzymałem zaproszenie do znanej restauracji świata politycznego „Moderne”. Był to marzec 1943, bezpośrednio po klęsce niemieckiej pod Stalingradem. Wszedłem do restauracji jak zwykle przepełnionej... P. Seicaru... zobaczywszy mnie... wstał od stołu i wyciągając kordialnie rękę... ryknął na całą salę zamiast powitania: *Monsieur, je crache sur l'Allemagne*¹. Parsknąłem śmiechem, jakkolwiek ten wylew uczuć antyniemieckich nie był w mojej ówczesnej sytuacji pomysłem szczególnie szczęśliwym, zwłaszcza wobec stołu restauracyjnego obsadzonego opodal gęsto przez wyelegantowanych oficerów Wehrmachtu... (str. 126).

I Wolski dodaje, że w pierwszej połowie 1944, czyli w rok później, kiedy rola „Curentula” osiągnęła punkt kulminacyjny, Wolski miał okazję codziennej współpracy z redakcją w zagadnieniach polskich. „Okolo 40 artykułów p. Seicaru, które w ciągu kilku miesięcy ukazały się tam na tematy polskie, były chyba jedynymi, jakie umieściła prasa w krajach znajdujących się pod kontrolą wojsk Osi. A seria artykułów o Powstaniu (tym razem częściowo skonfiskowanych) należała do najlepszych kart o bohaterskiej Warszawie”.

Oczywiście z dzisiejszej perspektywy wszystkie ówczesne wysiłki i osiągnięcia wydają się nam próżne i daremne – artykułów Seicaru nie znajdzie się z pewnością nigdzie, nawet w bibliotekach Bukaresztu – ale jednak z takich nawarstwień pracy składa się historia.

Wolski nigdy potem nie poczytywał sobie tej służby za szczególną zasługę. Skapo o niej mówił, zawsze dość skryty i na swój temat mało mówny. Nie wiem, czy przyznano mu odznaczenie, nikt o tym zdaje się nie słyszał, może w okresie powojennego zamętu w polskim

¹ Proszę Pana, pluję na Niemcy!

Londynie uszedł uwadze? Wszelako wśród ludzi świadomych zdarzeń na owym terenie historia jego służby zapisała się w pamięci.

Po wejściu Rosjan Wolski wycofał się z Bukaresztu – znów z przygotowanymi – na Wiedeń, do Włoch. Stamtąd wkrótce przeszedł do placówki 2. Korpusu mjr. Józefa Czapskiego w Paryżu, by na nowo rozpocząć pracę nieoficjalnego attaché prasowego i łącznika z politykami francuskimi. Stykałem się z nim w tym okresie i podziwiałem łatwość, z jaką, mimo skromnych środków, potrafił nawiązywać stosunki, znajdować informacje. Współpracował ściśle z Andrzejem Bobkowskim i Ryszardem Wragą, ale po dawnemu chodził własnymi ścieżkami. Prócz Czapskiego pracę jego docenił w pełni ambasador Kajetan Morawski, który do jego raportów kierowanych do naszego Londynu przywiązywał wielką wagę.

Dzieje tej wysuniętej placówki 2. Korpusu stanowczo zasługują na opracowanie. Kiedyż Józef Czapski zechce im wreszcie poświęcić wspomnienia? Ten obraz jest wart i kilku jego świetnych płócien.

Z nieco późniejszego okresu, kiedy – „Kultura” przeniosła się z Rzymu do Paryża – pochodzą obszernie artykuły GAMMY rzeczowo i kompetentnie referujące stan rzeczy we Francji i „sytuację międzynarodową widzianą z Paryża”. Przeczytałem je teraz na nowo. Nie ma w nich *bria* i olśniewających efektów publicystycznych, ale też brak ryzykanckich syntez i niesprawdzających się przepowiedni. W każdym imponuje bogactwo faktów i cyfr i wytrawność sądu. Wolski w porę przewidział niezmierzone możliwości otwierające się przed gen. de Gaulle’em (w którego otoczeniu zaskarbił sobie zaufanie) i bezbłędnie postawił diagnozę choroby toczącej IV Republikę.

Po krótkim okresie współpracy z sekcją polską radia francuskiego w jej audycjach na kraj został Wolski zaangażowany do polskiego zespołu w organizującym się w Monachium Radiu Wolna Europa. Pisał tam, o ile mi wiadomo, jako „Tański” (nazwisko panieńskie jego matki) o Francji, Sowietach, krajach bałkańskich. Z biegiem czasu zakres swych zainteresowań rozszerzył na kraje arabskie, korzystając z nawiązanych za sprawą żony stosunków w świecie politycznym Libanu i z obserwacji poczynionych w parokrotnych podróżach na Środkowy Wschód. Do tego doszły krytyki filmowe, gdyż w Wolskim obudziła się po wojnie nowa namiętność – do X muzy. Jeździł regularnie na festiwale w Oberhausen i do Cannes, gdzie spotykał recenzentów filmowych z Polski wysoko ceniących jego smak i znajomość rzeczy. W każdym z tych działów praca jego w RFE cieszyła się podobno wielkim uznaniem zarówno dyrekcji, jak i kolegów.

Po przekroczeniu granicy wieku i gdy wygaś parokrotnie przedłużany kontrakt pracy, Wolski z powrotem osiadł we Francji. W „Kulturze” parę razy napisał o zdarzeniach na Środkowym Wschodzie (raczej z arabskiego punktu widzenia), do Monachium nadawał audycje o filmach widzianych w Paryżu. Nigdy nie pisał ze szczególną łatwością, w artykuły swe wkładał dużo pracy. Ale nadal zadziwiał żywotnością. Zmienił się na twarzy, ale zachował wrodzoną dystynkcję i charakterystyczny, młodzieńczo płynny chód. I zmysł humoru.

Nagle przyszła choroba, od której nie uratował go zabieg chirurgiczny i której nie docenił aż do ostatniej chwili. I zakończyła jego służbę ojczyźnie i kulturze.

Józef Poniatowski

Stanisław Gryziewicz

Wielu, zbyt wielu kolegów i przyjaciół wypadło żegnać tymi laty, ale odejście Stanisława Gryziewicza jest czymś, z czym szczególnie trudno się pogodzić. Może dlatego że będąc wybitnym ekonomistą pisarzem, profesorem, redaktorem, organizatorem, był ponad to wszystko wyjątkowym człowiekiem. A zastąpić Człowieka trudnej niż profesora czy pisarza.

Najbardziej niepowtarzalną cechą osobowości Stanisława Gryziewicza widzę w doskonałej harmonii nie tylko myśli, słowa i działania, ale także serca i rozumu. Nie wyobrażam sobie, by się kiedykolwiek podjął zadania, w które nie mógłby włożyć i nie wkładałby rzeczywiście całego siebie. Wątpię także, aby chciał mieć wiele do czynienia z kimś, kogo nie chciałby obdarzyć przyjaźnią. Stąd promieniująca na otoczenie rzetelność, powaga w pracy, jak i w stosunkach z ludźmi. Nic na pokaz, żadnych ustępstw z istoty rzeczy dla taktyki czy dla konwencji. Taki był, gdy go poznałem przed jakimiś 35 laty jako młodego urzędnika Ministerstwa Rolnictwa, taki pozostał.

Poznała się na tym przede wszystkim młodzież, nie tylko polska, ale i etiopska, czego wzruszającym dowodem były zabiegi (skuteczne) byłych uczniów, by go skłonić do powrotu do Addis Abeby na odpowiedzialne stanowisko doradcy ekonomicznego Państwowego Banku Etiopii.

W pracy naukowej zawsze wzorowo obiektywny, sumienny, nigdy nie poprzestawał na wiedzy już zdobytej, przez całe życie usiłował się uczyć i pogłębiać swe wiadomości. Dlatego za krytykę był szczerze wdzięczny, starał się zawsze zrozumieć cudzy punkt widzenia. Gdy wiedząc o tym, zaraz po wojnie wyraziłem sporą porcję zastrzeżeń wobec poglądów wyrażonych w jego dwóch świeżo wydanych pracach polityczno-gospodarczych – odniosłem wrażenie, że ta dyskusja zbliżyła nas, nie oddaliła.

Jego gorący patriotyzm nie miał w sobie nic z frazeologii. Jeden z pierwszych zrozumiał, że chcąc służyć Krajowi, emigracja musi o stosunkach tam panujących jak najwięcej wiedzieć. Badania pod-

jął chyba tuż po wojnie, w Londynie, jeszcze na marginesie innych prac. Oddał im się na lat kilka bez reszty w Paryżu. Staje na czele paryskiego Ośrodka Badań Europy Wschodniej z siedzibą w Bibliotece Polskiej, staje się jego duszą, wkłada niezmierną ilość systematycznej pracy w przygotowanie 4 numerów „krajowych” miesięcznika „Kultura”. Nie zamierzam tu umniejszać zasługi całego zespołu Ośrodka i współredaktorów, o których mówił zawsze z wdzięcznością i uznaniem, uczynności personelu Biblioteki Polskiej, a także udziału „Kultury”, która podjęła wielki wysiłek finansowy i ryzyko wydawnictwa. Pełne wykonanie zamierzeń i wydanie całości w stosunkowo krótkim czasie (1952–1953, oczywiście po okresie przygotowawczym) jest osiągnięciem godnym podziwu.

Te 4 „zeszyty” objęły z górą 1400 stron druku, tablice, indeksy, bibliografię. Złożyły się na nie opracowania 27 autorów rozsianych w różnych krajach. Trzeba ich było znaleźć, podać tematy, szczegółowo je uzgodnić, narzucić rozmiary, nieraz przynaglać, później adiuścować, wykonywać korekty. Konstrukcja bynajmniej nie jest przypadkowa. Tomy I i II to *Ramy życia w Polsce*, t. III – *Sowietyzacja kultury w Polsce*, t. IV – *Struktura gospodarstwa polskiego*. Większy nacisk położono z rozmysłem na sprawy struktury i tendencji rozwojowych niż na aktualia. Dzięki temu całość nie tylko odegrała rolę pionierską, ale i dzisiaj zachowuje wartość. Wypada zaś pamiętać, że był to okres największej izolacji kraju, wszechogarniającej tajemnicy, gdy uzyskanie i sprawdzenie wiadomości nie należało do rzeczy łatwych.

Spod maszyny samego Gryziewicza (albo pani Marii pod dyktando męża) wyszły 3 rozdziały tego dzieła: w tomie I *Rolnictwo i ustawodawstwo pracy*, w tomie IV wstępny artykuł syntetyczny *Struktura gospodarstwa polskiego*.

Nie lubił Pan Stanisław uskarżać się na zdrowie, ale w liście z 1946 roku znajduję wzmiankę: „[...] wobec mego stanu zdrowia (tutaj zachorowałem na gruźlicę przy dawnej cukrzycy) pisanie jest jedyną formą aktywności, na jaką mnie stać”. Napisał w owych pierwszych latach po wojnie kilka głęboko przemyślanych rozpraw¹, ale gdy tylko przychodzi okazja – bierze się do nowej dla siebie, żywej, ale przy jego poczuciu odpowiedzialności wymagającej dużego wysiłku pracy pedagogicznej. Prowadzi wykłady i zajęcia na wydziale ekonomicznym Polish University College, w Szkole Nauk Politycznych i Społecznych, sporadycznie w Instytucie „Reduta”. Pomaga w organizacji szeroko zakrojonego „Agricultural Project” podjętego przez Mid-

¹ M.in. *Środki polityki gospodarczej*, str. 209, Instytut Literacki, Paryż 1949.

-European Studies Center w Nowym Yorku. No a wkrótce pochłania go praca Ośrodka Badań w Paryżu.

Profesura w Addis Abebie wymagała przystosowania się tak fizycznego, jak umysłowego do nowego środowiska. Gryziewicz usiłuje poznać kraj i jego zagadnienia, jest pełen sympatii dla swych uczniów i dla ludności, porównyduje politykę amerykańską i sowiecką wobec krajów afrykańskich, martwią go wyniki tego porównania. Gorzej poszło z przystosowaniem fizycznym. Początkowo zdawało się, że znieśie klimat tamtejszy, a zwłaszcza wysokie położenie, pomyślnie, pojawiają się jednak ciężkie niedomagania serca, aż choroba przykuwa go do łóżka szpitalnego w Jerozolimie na wiele miesięcy, później zmusza do powrotu do Europy. Czy nie przecenił swych sił, jadąc powtórnie do Etiopii – tylko lekarze mogliby ocenić. Dla laika prawie cudem jest raczej tak stosunkowo długa zdolność do intensywnego wysiłku organizmu trapionego tyłu ciężkimi chorobami i aż do końca wysoki poziom tego wysiłku, przy niezmąconej pogodzie ducha. Cud ten nie byłby możliwy bez nieustannie miłującej, troskliwej opieki Małżonki, pani Marii, jak i jej mądrej pracy „szefa sztabu”.

Nie sądzę, aby Stanisław Gryziewicz mógł mieć wrogów. Nigdy go nie widziałem zagniewanego, wytrąconego z równowagi. Ale w stosunkach z ludźmi kierował się świadomym wyborem. Tych, którzy zawiedli zaufanie albo nie odpowiadali probierzom etycznym – starał się nie widzieć. Przystawiali go interesować. Wszystkim innym był przyjacielem. Każdego starał się zrozumieć, każdemu pomóc. Ci, którym bliższą przyjaźń okazał, nie zapomną jego delikatności, dobroci, uczynności, urzekającej skromności i prostoty. Wiele z siebie dawał – pozostajemy jego dłużnikami.

Stanisław Leonard Andrzejewski

Zbigniew Jordan

Kiedy poznałem Zbigniewa Jordana około roku 1950, pracował w Radiu Wolna Europa, prowadząc badania nad reakcjami słuchaczy w Polsce. Od razu zrobił na mnie wrażenie człowieka wielkiej wiedzy, głęboko oddanego sprawie nauki. Aczkolwiek ówczesna jego praca była niewątpliwie pożyteczna, nie odpowiadała ona ani jego kwalifikacjom, ani najgłębszym zainteresowaniom.

Jasne było, że ten wielki erudyta i świetny umysł się marnuje i nie ma stanowiska uniwersyteckiego jedynie dlatego, że jest emigrantem. Toteż kiedy w roku 1964 przypadło mi w udziale tworzenie ośrodka socjologii w Reading, szybko się z nim skontaktowałem, aby go ściągnąć do powstającego zakładu. Nominację dostał jako *lecturer grade 1*, co mniej więcej odpowiadało polskiemu docentowi. Prowadził u nas kurs logiki, semantyki i filozofii nauk dla socjologów. Studentom i kolegom imponował wiedzą i obowiązkowością.

Przed wojną Jordan był asystentem filozofii na uniwersytecie poznańskim, a w 1964 roku był już autorem paru książek oraz wielu artykułów. Fakt, że pomimo olbrzymiej wiedzy dopiero w wieku lat 53 otrzymał pierwsze stanowisko uniwersyteckie, wskazuje, z jakimi trudnościami musieli się borykać polscy naukowcy z pierwszej fali powojennej. Napotykali oni wtedy nie tylko bardzo jeszcze silną ksenofobię Anglików oraz ich lekceważenie dla wszystkiego, co pochodzi z Europy Środkowej, lecz również uprzedzenia lewicowych intelektualistów do narodu „wsteczników” i „antysemitów”. W owych czasach sam fakt niepowrócenia do kraju „budującego socjalizm” wystarczał za dowód, że taki emigrant musi być „faszystą” i „antysemitą”. Do tego dołączała się postawa angielskich Żydów; było wśród nich dość dużo ludzi skłonnych do „odkuwania się” na polskich emigrantach za nędzę i upokorzenia, których ich przodkowie doznali na polskich lub pogranicznych ziemiach. W owych czasach Żydzi łudzili się namiętnie, że „socjalizm” jest lekarstwem na antysemityzm, z czego wynikało, że każdy emigrant polityczny z Europy Wschodniej zasługuje na potępienie, a co najmniej na podejrzliwość.

Trudności wynikające z ideologicznych i etnicznych uprzedzeń były naturalnie większe w filozofii i naukach społecznych niż w inżynierii czy naukach ścisłych. Niemniej jako ofiara takich trudności był Jordan jednym z bardziej skrajnych przypadków. Nawet jego twórczość pisarska była skierowana okolicznościami na tory nie najbardziej go interesujące. Stał się historykiem i krytykiem marksizmu, nie dlatego że go marksizm specjalnie interesował, lecz dlatego że jedynie na prace na ten temat mógł otrzymać stypendia, które pozwoliły mu uciec dwukrotnie na dwa czy trzy lata od zajęć biurowych i oddać się pracy badawczej i pisarskiej. Aczkolwiek wszystkie dzieła Jordana dowodzą mrówczej pracowitości i imponującej erudycji, wydaje mi się, że mógłby on stworzyć dzieła ważniejsze, bo pisanie książek analizujących czy krytykujących marksizm uważałem i uważam za marnowanie czasu, albowiem wszystkie niedorzeczności tej doktryny już dawno wykazano, a logiczne argumenty nie działają ani na fanatycznych wyznawców, ani na cynicznych najemników.

Wśród swych kolegów i studentów uniwersytetu w Reading cieszył się Jordan dużym poważaniem. Uważali go za wcielenie starych ideałów, tak odległych od typu uniwersyteckiego biurokraty i przedsiębiorcy. Nawet z wyglądu uosabiał on ludowe wyobrażenia o uczonym: drobny, nerwowy, zamyślony, z wielką łusą czaszką świecącą nad grubymi czarnymi okularami, zwykle obciążony lub obłożony grubymi tomami. Jego wzorowe staroświeckie maniere bardziej pasowały do Anglii niż do Kanady, gdzie go bardzo raziła obowiązkowa poufałość, którą odczuwał jako grubiaństwo. Kiedy się w 1968 roku przeniósł do Kanady, moda na ogólną sztuczną poufałość (wszyscy z wszystkimi po imieniu i na ty), której tak nie znosił, jeszcze nie zdołała dotrzeć z Ameryki do Anglii.

Patriotyzm Jordana był tak silny i taką wagę przykładął on do wyłączości swej lojalności, że wolał znosić rozmaite kłopoty w podróży, niż przyjąć obywatelstwo brytyjskie. Za przywiązanie do symbolu obywatelstwa zapłacił niemożnością ujrzenia ponownie Ziemi Ojczystej.

Słyszałem, że pozostawił niewykończone manuskrypty poważnych dzieł o filozofii nauk społecznych. Gdyby nie trudności życiowe, o których wspominałem, zapewne byłyby je dawno przed śmiercią wykończył i opublikował. Wielka szkoda, że jedynie studenci angielscy i kanadyjscy, a nie polscy, mieli sposobność zetknąć się z takim podnoszącym na duchu wzorem uczonego.

Nika Kłosowska

Mistrz

Kiedy przed rokiem umarł Wiktor Sukiennicki, nie zdobyłam się na wspomnienie o nim. Nie tylko dlatego że nie wiedząc o jego śmiertelnej chorobie, byłam nieprzygotowana na cios, ale przede wszystkim sądząc, że inni, którzy go znali, byli bardziej do tego uzdolnieni i powołani.

Miłosz napisał krótkie o nim wspomnienie – znali się mało i inne były pola ich twórczości. Ukazał się też w „Zeszytach Historycznych” (Nr 66, 1983) artykuł prof. Swianiewicza pt. *Wspomnienie o Wiktorze Sukiennickim*. Ja pamiętam Mistrza mojej młodości przede wszystkim jako człowieka i nauczyciela, który sam wówczas młody jak nikt rozumiał tych, których uczył. Pierwszy wykład z historii ruchów rewolucyjnych w Rosji w Szkole Nauk Politycznych w Wilnie rozpoczął zdaniem, które na zawsze utkwiło mi w pamięci: „Żadne uczone dzieło nie nauczy was obiektywizmu i niezależności w myśleniu. W tej to właśnie trudnej sztuce chciałbym państwu pomóc”.

Profesor wyładał bez notatek, bez skomplikowanych definicji, zawsze z polotem i poczuciem humoru. Miał doskonałą pamięć i tak jak istnieją ludzie obdarzeni absolutnym słuchem, tak on był obdarzony inteligencją absolutną. Był wspaniałym, porywającym nauczycielem.

Choć się od wszelkich sentymentów zawsze się odrzekał, miał dla swych uczniów sympatię, zrozumienie i pomoc w każdej trudnej okoliczności, nie tylko w sprawach studiów, ale i w problemach życiowych. Byłam jego uczennicą w ciągu trzech lat i współpracownicą na jego seminarium sowietoznawczym w ciągu dwóch. U niego też pisałam pracę dyplomową. Na owo seminarium poza kilku stałymi pracownikami przychodzili i inni zainteresowani. Pomiedzy nimi Henryk Dembiński, który odpłacił czarną niewdzięcznością i oszczerstwem za przyjęcie go na zebrania seminaryjne.

Nie pamiętam, kiedyśmy w naszej grupie przezwali profesora Mistrzem. Nie było w tym wcale „lekkich kpin”, o jakie nas posadzał. Było uznanie, przywiązanie i szacunek. Sytuacja Instytutu Europy Wschodniej i Szkoły Nauk Politycznych była tematem kilkuletnich kontrower-

syjnych polemik w prasie wileńskiej. Tak zwane żubry z redaktorem „Słowa” Catem-Mackiewiczem na czele periodycznie oskarżali Instytut jako wylegarnię młodych komunistów i omalże nie wtyczkę ówczesnego NKWD. To że celem uczelni było usiłowanie dotarcia do prawdy obiektywnej dotyczącej ZSSR i poinformowanie społeczeństwa o istotnych dla Polski problemach, jakoś nie trafiało do konserwatywnych głów.

Profesor Swianiewicz zastanawia się, i nie znajduje odpowiedzi, dlaczego prof. Sukiennicki po wojnie tak długo nie znajdował sobie odpowiedniego dla swej wiedzy i zdolności miejsca. W jednej z naszych długich powojennych rozmów w Londynie kiedyś powiedział mi: „Przed wojną to wciąż byłem na wszystko za młody – a teraz okazuje się, że już jestem za stary”. Przyjęcie stanowiska w Radio Free Europe było chyba koniecznością, z braku innego wyboru.

Została mi garstka listów, które przez bez mała trzydzieści lat pisaaliśmy do siebie. Z przerwami, bo profesor pisać listów nie lubił i musiałam „wydębiać” odpowiedzi, na których mi zależało. W jednym z nich pisze w roku 1966:

Stosunku merytorycznego do mojej osoby i mojej obiektywnej wartości nigdy w 100% pewny nie byłem. Niestety i subiektywnie, i obiektywnie byłem w Wilnie „Niczym” i tym samym, bodaj przez całe życie, zostałem. Być może pani nie wie, a w każdym razie nie bierze pod uwagę, że moja sytuacja na Uniwersytecie i w Wilnie w ogóle była słaba i że wielokrotnie grożono mi wyrzuceniem czy nawet „zamknięciem”. Żadnych stosunków ani możliwości pomocy komuś nie miałem. Mogłem co prawda wybraniać z dużym trudem Franka (Anczewicza) czy Frydmana, ale pani pomóc w szczególności w Warszawie nie mogłem... choć nigdy nie miałem aspiracji poetyckich – ja właśnie w Wilnie miałem podświadome przeczucie „przyjścia wroga” i końca mojego-naszego świata. Dlatego też w ostatnich latach przed Wrześniem odszedłem od wszelkiej tak zwanej roboty polityczno-społecznej i zdecydowałem się pożyć we własnym „udowolstwie”. To znowuż było oceniane jako moje „skończenie się moralne” przede wszystkim. Nie wiem, czy jest to prawdą, że ponoć wzmiankowano o mnie w kazaniach, ale w każdym razie „przestrzegano” przede mną zarówno studentki, jak i ich matki. Czy ta moja „subiektywna” prawda jest prawdą „prawdziwą”, nie wiem. W każdym razie dla całości obrazu musi pani i ją uwzględnić.

Tak gorzko więc wspominał lata, kiedy dla nas, małego grona, był „Mistrzem”. Może dlatego nie bardzo w nasze oddanie wierzył?

W czasie wojny, w końcu 1939 roku, wywieziono mnie do Moskwy, na Łubiankę, jako polskiego szpiega. Oskarżenie to, przyczepiane prawie każdemu aresztantowi, w moim wypadku było nawet umotywowane moją kilkumiesięczną praktyką dyplomatyczną w ambasadzie RP w Moskwie. Dostałam się na nią dzięki poparciu dyrektora Władysława Wielhorskiego i profesora Sukiennickiego.

W czasie śledztwa niejednokrotnie indagowano mnie, gdzie się znajduje „znany szpieg i faszysta” Wiktor Sukiennicki. Odpowiadałam niezmiennie i zgodnie z prawdą, że nie mam pojęcia.

Dopiero po wojnie, gdy spotkałam profesora, zorientowałam się, że oboje i pod własnymi nazwiskami byliśmy w rękach ówczesnego NKWD. On na Syberii, ja początkowo na Łubiance, a następnie w łagrze w Kazachstanie. Tu działalność sowieckich organów bezpieczeństwa jednak nie okazała się nieomylna.

Po wyjeździe do Kalifornii i zainstalowaniu się w Stanford profesor, aczkolwiek zawsze czynny, uważał, że życie właściwie ma już za sobą. Dzieło, które pisał, nie zostało kompletnie ukończone.

Widzieliśmy się po raz ostatni w roku 1948 na wyspie Wight, gdzie przez jakiś czas mieszkalam i gdzie mnie odwiedził wraz z żoną i synem, którym wreszcie udało się wydostać z Polski. To był szczęśliwy moment po tylu ciężkich i samotnych latach.

Nigdy już nie udało mi się go zobaczyć, zawsze rozmijaliśmy się w podróżach. Przez ostatnie dwa czy trzy lata nie miałam od niego listów, ale wiedziałam o jego odczytach.

W ubiegłym roku pewnego dnia dostałam telegram od Miłosza: „Sukiennicki jest umierający, spróbuj zadzwonić”.

Połączenie dostałam natychmiast. Mistrz brzmiał jak zwykle: trochę ironicznie, mówiąc o raku trzustki, o tym że pod wpływem narkotyków chwilami wydawało mu się, że jest znowu w łagrze i że jednak niestety nie zdołał ukończyć swej książki.

„Dziękuję za przyjaźń całego życia”, powiedział przed odłożeniem słuchawki.

Czy można piękniej i szlachetniej się pożegnać?

W 5 dni później już nie żył.

Aleksander Kawałkowski

Władysław Pobóg-Malinowski

Instytut Jednego Człowieka zamknął swoje podwoje.

Odsuwając na bok uczucia osobiste i starając się zapanować nad bólem ściskającym serce na myśl o odejściu w wieczność przyjaciela, nie mogę i nie mam prawa, jako jeden z ostatnich pozostałych przy życiu uczestników wspólnego nam kiedyś warsztatu pracy, powstrzymać się przed dokonaniem zimnego obrachunku.

Śmierć Władysława Pobóg-Malinowskiego oznacza katastrofę polskiej nauki historycznej w zakresie badań nad najnowszymi dziejami Polski.

Zwracając w roku 1929 swą przenikliwą uwagę na młodego i nieznanego oficera o ascetycznym wyglądzie i powierzając mu prace badawcze nad życiem i działalnością Józefa Piłsudskiego, pobierał ówczesny szef Wojskowego Biura Historycznego, gen. Julian Stachiewicz, jedną z najbardziej ryzykownych decyzji w swoim życiu. Była ta decyzja wyzwaniem rzuconym rutynie i konwenansom. Przechodziła do porządku ponad świetnością nazwisk, blaskiem tytułów naukowych, powagą nabytych praw i utrwalonych pozycji, a nawet ponad przynależnością klanową. Pobóg-Malinowski nie był legionistą. Po kilku latach służby w kilku prowincjonalnych garnizonach, uznawszy „wybór kariery wojskowej za życiową pomyłkę”, był w trakcie dokonywania pierwszych prób pisarskich, o charakterze literackim raczej niż historycznym. Między innymi napisał „książeczkę” o Marszałku Piłsudskim, o której powie kiedyś: „Gdybym miał ją w ręku dziś – po wielu latach pracy i studiów, po wydarciu zakurzonym archiwom i pożółkłym drukom niejednej tajemnicy – patrzyłbym na tę książeczkę z mieszaniną zażenowania i wyrozumiałości”¹. Generał Stachiewicz miał zwyczaj przeprowadzać przynajmniej jedną rozmowę z każdym z oficerów opracowujących kroniki pułkowe i przybywających z prowincjonalnych garnizonów do Wojskowego Biura Historycznego po wskazówki metodologiczne i w celu zapoznania się z materiałami archiwalnymi. Rozmowa z Pobóg-Malinowskim zapoczątko-

¹ *Nie szablą to piórem*, „Kultura” nr 5/151, 1960.

wała dłuższy dialog, który miał trwać przez szereg lat, przekształcić się w prawdziwą przyjaźń intelektualną i w intymną współpracę naukową o brzemiennej skutkach. To w czasie tych pierwszych rozmów odkrył generał Stachiewicz w młodym poruczniku artylerii dwa podstawowe elementy wielkiego talentu historycznego: fenomenalny i rzadko spotykany, nawet wśród uczonych, instynkt badawczy oraz uczciwy i odważny stosunek do ujawnianych faktów historycznych połączony z zupełnym brakiem kurtyzantstwa. Bardzo szybko wystąpi na światło dzienne trzeci z podstawowych elementów talentu Pobóg-Malinowskiego: umiłowanie tematu posunięte do utożsamienia z treścią życia osobistego i tłumaczące tajemnicę nieprawdopodobnej, nieludzkiej niemal pracowitości i uporu w pokonywaniu trudności. Na tych trzech elementach, skondensowanych w Pobóg-Malinowskim, oparł się jego olbrzymi dorobek pisarski zapewniający mu pozycję w historiografii najnowszych dziejów Polski. Określając śmierć jego jako katastrofę, odmierzam z całym poczuciem odpowiedzialności wagę tego wyroku. Opieram go na przekonaniu, że na podobny wysiłek indywidualny, jaki jego cechował, i na podobne wyrzeczenie się wszelkich powabów życia, do jakiego on był zdolny, zdobyć się mogą tylko osobistości wyjątkowe, a więc bardzo rzadkie. Zdaje mi się, że od czasów Lelewela nie znajdzie się drugiego podobnego wypadku w dziejach polskiej historiografii. Aby nadal prowadzić dzieło Poboga, aby wypełnić rozdziały otwarte wynikami jego przerwanych przez przedwczesną śmierć prac badawczych, potrzeba nie jednego, choćby wielkiego talentu, lecz całych zespołów ludzkich. Ale nawet zespoły nie zastąpią jego znajomości ludzi i atmosfery opisywanej epoki. Oczywiście akademicki konserwatyzm lekceważy naukowość opracowań poświęconych wydarzeniom, od których nie dzieli nas co najmniej dystans jednego pokolenia. Z tego źródła pochodzi główna przyczyna przemilczania Pobóg-Malinowskiego przez polską historiografię oficjalną udrapowaną w profesorską togę. Ale, jak wszystkie nauki, historiografia przechodzi również proces unowocześniania i w tej dziedzinie Pobóg-Malinowski wniósł więcej niż niejeden uznany autorytet. Przyszli historycy będą mu wdzięczni za jego metodę prowokowania relacji uczestników wydarzeń, relacji jakże często wyjaśniających luki powstałe na skutek braku dokumentów lub ich niedoskonałości. Wszyscy będą zdumieni jego „węchem” badawczym, zupełnie zaskakującym, gdy chodzi o domysł co do istnienia przekazu historycznego, wyświetlenie miejsca, gdzie on się znajduje i znalezienie sposobu wydobycia go, czy to jako dokumentu, czy jako relacji.

Książkę o Bezdanach, pierwszą naprawdę naukową książkę Pobóg-Malinowskiego, można traktować jako rewelację jego talentu badawczego. Spowodowała ona pierwsze starcia pomiędzy autorem a niektórymi uczestnikami wydarzeń, opierającymi się na pamięci osobistej, która, choćby była genialna, będzie często zawodna. W tych starciach zarysowała się również odwaga i niezależność charakteru młodego historyka, mająca mu odtąd towarzyszyć do końca życia. Bez względu na pozycję i znaczenie, a nawet bez względu na zasługi ludzi, którzy w rozmaity sposób umieli dać wyraz swemu niezadowoleniu, Pobóg-Malinowski odrzucał wszelkie ustępstwa i kompromisy. Służył prawdzie tak, jak ją rozumiał, a rozumiał ją w sposób bardzo prosty, wykluczający możliwość jakichkolwiek odcieni.

Przystępując w latach trzydziestych do prac nad biografią Józefa Piłsudskiego, Pobóg-Malinowski wyobrażał sobie, że rozpoczyna najważniejsze dzieło swego życia. W miarę bowiem, jak zagłębiał się w źródłach archiwalnych i relacyjnych, uległ, jak większość naszego pokolenia, złożonego z roczników, które weszły w wiek świadomego życia już w Polsce Niepodległej, zafascynowaniu postacią Pierwszego Marszałka Polski. Nasza admiracja, serdeczna, wierna i szczerą, różniła się jednak od ślepego i bezkrytycznego uwielbienia większości legionistów starszych od nas przeciętnie od 5 do 10 lat. Dla nas wielkość Józefa Piłsudskiego wynikała z oceny, dla nich z kultu. Myśmy pragnęli, a nawet musieli rozumieć, aby móc działać, im wystarczał dogmat nieomyślności. My pragnęliśmy znać człowieka żywego, o ludzkich cechach i namietnościach, w tym rozpoznaniu poszukując motywów działania i decyzji: oni widzieli posąg ze spiżu. Przy całym zrozumieniu dla konieczności zmiany ustroju politycznego Polski przewrót majowy wstrząsnął nami o wiele głębiej niż nimi. Dzisiaj, z odległości blisko 40 lat, gdy patrzę na tamte czasy przez pryzmat innych przeżyć i gdy mi się zdaje, że lepiej, niż wtedy, rozumiem Józefa Piłsudskiego, jestem przekonany, że wraz z Pobóg-Malinowskim i tysiącami ludzi świadomych naszego pokolenia przeżyliśmy tamte dni prawie tak ciężko jak On. Z tych różnic psychicznych wynikły dla Pobóg-Malinowskiego poważne trudności, mające go prześladować aż do śmierci. Walka z obskurantyzmem, nieumiejącym rozróżnić pomiędzy historią i dewocją, zaważyła w niemałym stopniu na odporności fizycznej osłabionego nadmierną pracą organizmu. Niestety, wojna przerwała dzieło, które autor zamierzył jako ukoronowanie swej działalności pisarskiej. Doprowadzone do roku 1908 nie znajdzie już kontynuatora. Nawet w tych granicach pozostanie ono jednak po-

zycją podstawową do badań nad działalnością Józefa Piłsudskiego. Aby zaspokoić potrzebę społeczną, rozpoczął Pobóg-Malinowski, na zamówienie Komitetu Obchodu 25. Rocznicy Śmierci Marszałka, opracowanie biografii skróconej, jednotomowej. Śmierć pisarza przerwała tę pracę, doprowadzoną, dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności, również do roku 1908 tylko. W tych skróconych rozmiarach znajdzie się ona wkrótce w rękach subskrybentów, jako wydanie pośmiertne.

Obok nieskończonej biografii za najważniejsze dzieło w okresie krajowej twórczości Pobóg-Malinowskiego uznać należy jego pracę redaktorską w opracowaniu, przygotowaniu do druku i wydaniu wielotomowego zbioru *Pism – Mów – Rozkazów Józefa Piłsudskiego*. Rozmiary tego artykułu nie pozwalają mi na szczegółową analizę wysiłku dokonanego w tym okresie, mogę jednak stwierdzić na podstawie obserwacji, jego ówczesnych zwierzeń oraz na podstawie opinii, które słyszałem od naszego wspólnego szefa przed jego jakże przedwczesną śmiercią, że gdyby nie instynkt badawczy Pobóg-Malinowskiego, *Pisma – Mowy – Rozkazy* nie osiągnęłyby prawdopodobnie swej prawie całkowitej pełni.

W wyniku klęski wrześniowej i po krótkotrwałym epizodzie woj-skowym na ziemi francuskiej spędza Pobóg-Malinowski okres okupacji niemieckiej w Grenoble i w okolicach tego miasta. Nie spędza go beczynnie. Zaprzysiężony przeze mnie, jako członek POWN, wypełnia szereg zadań o charakterze redakcyjnym, odpowiadających jego zawodowi. Uczestniczy w pracach ośrodka kulturalnego w Grenoble, skupiającego pod nieformalnym kierownictwem ambasadora Wacława Grzybowskiego szereg nazwisk niemałej miary, z których zapamiętałem, oprócz dwóch już wymienionych, nazwiska księdza Jakubisiaka, dr. Chowańca, Józefa Kozuchowskiego, Wincentego Jastrzębskiego, płk. dypl. Jaklicza, Ireny Gałęzowskiej, Jerzego Paczkowskiego, Czesława Bobrowskiego, Leopolda Binental, sędziego Walfisza, Damiana Wandycza, Emilii Fiszer, Witolda Kozłowskiego, Jana Głębockiego i wcześniej zmarłego Bolesława Micińskiego. W tym zespole nawiązywał do tradycji Towarzystwa Historyczno-Literackiego, jednego z wielkich dzieł emigracji polistopadowej. Z tego czasu pochodzą jego prace w licznych wydawnictwach, odbijanych na powielaczach, w niewielkiej, niestety, ilości egzemplarzy. Najbardziej ulubionym jednak jego zajęciem było notowanie ustnych relacji wybitniejszych uczestników i świadków wydarzeń historycznych. O ile wiem, przez konfesjonał jego przeszło co najmniej kilkadziesiąt osób. Mnie wypowiadał na takie okoliczności, jak powierzenie dowódz-

twą nad armią polską we Francji gen. Sikorskiemu, moja działalność jako kierownika mobilizacji polskiej we Francji i jako szefa głównego POWN. Przygotowywał w ten sposób materiały do swego pamiętnika, którego wydać już nie zdążył.

Po uwolnieniu Francji i po naszej nieodwołalnej klęsce, po kilkumiesięcznym epizodzie w konsulacie generalnym w Paryżu, wziął udział w utworzeniu sekcji polskiej radia francuskiego. Zatrudniony następnie jako autor pogadarek historycznych, wygłaszanych zbyt rzadko, aby mogły zapewnić egzystencję materialną, czerpał z tego źródła pozorną osłonę dochodową dla swej właściwej pracy. Niezadowolony życiowo wstydził się swego niedołęstwa w dziedzinie pieniężnej i tylko nielicznym było wiadomo, że główną podstawą materialnego bytu jego i rodziny były skromne dochody jego dzielnej żony, zarabiającej szcieniem. W tych warunkach ubóstwa materialnego, graniczącego chwilami z nędzą, w ciasnocie małego mieszkania dzielonego z żoną, teściową i synem, w zakopconym dymem papierosowym pokoju, przeładowanym książkami i aktami, wśród stert listów nadchodzących z całego świata, ale z największym odsetkiem listów z Polski, przy stole, na którym stała maszyna do pisania, obok nieodłącznej filiżanki z herbatą, powstawało żmudnie, uporczywie, w pocie czoła i wśród częstych napadów grypowej temperatury kilka razy do roku przerywane dłuższą chorobą, w końcowej fazie wśród pierwszych krwotoków, największe tym razem dzieło jego życia, największe, na jakie historiografia polska w kraju i na emigracji dotąd się zdobyła: *Najnowsza historia polityczna Polski*. Resztkami sił, powalany co kilka miesięcy nowymi napadami choroby, od wiosny tego roku unieruchomiony leczeniem szpitalnym, walczył Pobóg-Malinowski z nadchodzącą śmiercią, wierząc, że potrafi dokończyć dzieła rozpoczęte. Miał na warsztacie uzupełnienia do drugiego wydania *Najnowszej historii*, ostatnie rozdziały biografii Józefa Piłsudskiego, prace redakcyjne nad wydaniem pamiętników Sławka i ambasadora Grzybowskiego, różne opracowania dla „Kultury”. Miał w zamierzeniach książkę o stosunkach polsko-rosyjskich w ciągu dziejów, wydanie własnych pamiętników, współpracę nad redakcją „Słownika Biograficznego” pod kierownictwem dr. Lama i opracowanie skrótu *Najnowszej historii* dla przekładu na język angielski. Nalegał na mnie o wspólne opracowanie przyczynków do historii Wojskowego Biura Historycznego w okresie, kiedy kierownictwo sprawował gen. Julian Stachiewicz. Wymieniam ten bogaty program tylko dlatego, żeby dać świadectwo nieprawdopodobnej sile woli człowieka, który nie załamał się do końca.

Pisząc przeszło przed rokiem o Pobóg-Malinowskim jako o instytucji, zdawałem sobie sprawy, że piszę o człowieku, który zbliża się do kresu ziemskiej wędrówki. Uważałem wówczas, że jest moim obowiązkiem wziąć w obronę człowieka chorego i u kresu sił przed atakami ludzi, którzy wkrótce, gdy jego nie stanie, wstydzić się będą swej małości. Mam wrażenie, że rozmiar tej straty, jaką poniosła historiografia najnowszych dziejów Polski, rysować się zacznie wyraźniej z dystansu, gdy się okaże, że nie ma komu wypełnić powstałej pustki. Jakże zbledną i zmaleją wówczas wszystkie zarzuty, słuszne i niesłuszne, które stawiano zmarłemu historykowi. Oczywiście, historiografia dziejów najnowszych należy do zawodów najniewdzięczniejszych, gdyż dotyczy ludzi częściowo jeszcze żyjących, zagadnień spornych i namiętności niewygasłych. Z natury rzeczy każdy historyk czasów najnowszych staje się postacią sporną, zwłaszcza gdy z temperamentu, jak Pobóg-Malinowski, jak kiedyś Mochnacki, Lelewel i tylu innych, jest sam człowiekiem walki. Nie ma dzieła ludzkiego, które byłoby doskonałe. Aby wymierzyć miejsce należne Pobóg-Malinowskiemu, najwłaściwiej będzie chyba uznać, że przejdzie on do historii kultury polskiej jako najwybitniejszy w latach 1929–1962 badacz najnowszych dziejów Polski i jako autor pierwszej syntezy tych dziejów. Obok zarzutów, usprawiedliwionych lub na złej opartych wierze, trzeba postawić długą kolumnę kilku tysięcy sprzedanych egzemplarzy i setki, jeżeli nie tysiące, listów nadeszłych z Polski i przynoszących wyrazy uznania. Pobóg-Malinowski wierzył, że na długą metę ocena o nim wypadnie dodatnio. Tworzył jednak, nie kierując się żadnymi względami na własną karierę historyczną. On, rówieśnik skamandrytów, żył stylem pisarskim i duchem twórczości Żeromskiego. Trzeba było, rozmawiając z nim, pewnego wysiłku, by się dostać w drugiej połowie dwudziestego wieku do jego zaczarowanego świata. Tam, gdzie on żył, cyrkiel i waga, żeby już nie mówić o maszynie elektronicznej, nie istniały. Żył w błyskach szabel i furkocie lanc ułańskich, posuwających się pewnej wiosny piaszczystym szlakiem litewskim w kierunku Wilna, rozumiał grzechot armat pod Radzyminem i słyszał do ostatnich chwil echa zwycięskiej burzy walącej tętentem koni i tupotem piechociarskich butów w forsownym pościgu znad Wieprza ku pruskiej granicy, a w ostatniej chwili przygrywał mu do śmierci tragiczny warkot werbli, głoszących (pamiętnego, pogrzebowego dnia) zmierzch Polski opartej na tradycji stuleci.

Kazimierz Okulicz

Stanisław Mackiewicz (natus 1897–obiit 1966)

Stanisław Mackiewicz zakończył swe bujne życie, walcząc o warsztat pracy, którą rozpoczął 50 lat temu, będąc uczniem. Chciano pozbawić go tego warsztatu albo zmusić, by zgodził się wyrabiać na nim wzorce innym potrzebne, niebędące odbiciem jego myśli. Był artystą pióra i mógł prosperować, wykonując cudze zamówienia. Nie nadawał się do tej roli, buntował się przeciwko braniu w obcęgi jego wolnego słowa. Próbował wyrwać się z ciasnego kręgu rzeczy dozwolonych. Nosił w sobie nieodpartą potrzebę wypowiedzania tego, co czuł i co sądził o teraźniejszości i o przyszłości. Zepchnięty został do rozważania spraw minionych.

W ostatniej swej książce zaczynał szkic o Anatole'u Fransie smutnym stwierdzeniem: „Przeglądam gazety francuskie, rosyjskie, polskie oraz angielski »Time« z roku 1900”. Kto go znał, ten zrozumie, że mieścił się w tych słowach dramat osobisty. Do przeszłości sięgał często i chętnie, ale nie po to, aby na niej poprzestać. Nie po to, by wychodząc z niej, stanąć przed ścianą milczenia o dzisiaj i o jutrze.

Zeszyt „Kultury”, do którego piszę, to krótkie wspomnienie, zawiera ostatnią pośmiertną pracę publicystyczną Zmarłego. Nosi ona tytuł *Zapiski z kraju niewoli*. Nie znam jeszcze tekstu owych notatek. Ale już wiem, jaka była treść uczuć i myśli w ostatnich tygodniach życia autora.

* * *

Stanisław Mackiewicz był publicystą wielkiej klasy. W swojej epoce nie wielu miał sobie równych. Ale jednocześnie był literatem – eselistą nie mniejszej miary. Literackość jego stylu, ornamentyka, liczne dygresje, paradoksalność argumentów przesłaniały nawet czasem jasność, lapidarność politycznego wątku, nadawały artykułom cechy politycznego felietonu. Ale był to genre w Polsce zawsze bardzo popularny. Do politycznej argumentacji wprowadzał lekkość, barwność, dowcip, anegdotę, szerzył poczytność.

Odróżniało to Mackiewicza od współczesnych mu znakomitych publicystów: Koskowskiego, Niedziałkowskiego, Rosnera, Konstantego Srokowskiego, Władysława Studnickiego. Miał fenomenalną pamięć, pisał szybko, na maszynie, bez poprawek, przeważnie w nocy. Codzienne pisanie było dla niego taką samą potrzebą jak dla aktora wyjście na deski sceniczne.

O Stanisławie Mackiewiczu jako polityku należałoby napisać osobne studium. W kilkunastu zdaniach można zamknąć jedynie to, co było powtarzającą się stale nutą w jego wybitnie politycznej umysłowości.

Był on zakochany w wizji dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej. Kochał nawet wszystkie jej wady, mimo że je potępiał. Tej kochance pozostał wierny aż do końca. Smakował w fantazji, geście, fanaberiach, barwności, w anarchicznym sobiepaństwie warstwy przodującej i rządzącej Rzeczypospolitą, dziesięciokrotnie liczniejszej niż na Zachodzie. Z lubością opowiadał w swoich szkicach i artykułach o przygodach i awanturach polsko-litewskich wielmożów, panów i półpanków oraz ich małżonek, córek i kochanek. Ale sąd miał o nich trzeźwy, chociaż, być może, miarkowany odruchową sympatią.

Jak jego mistrz pióra – Henryk Sienkiewicz – znał się na tytułach, herbach i parantelach. Rzecz dziwna – przykładął do nich wagę bynajmniej nie przez snobizm, którego brak wyróżniał go wśród Polaków i zbliżał raczej do typu rosyjskiego *gentilhomme*. Rosję, jej ducha, język, literaturę znał świetnie. Miał w sobie coś z „szerokiej natury” rosyjskiej. Ale to właśnie wzmacniało jego odporność na wpływy rosyjskie. W latach młodości widział Polskę jako tradycyjnego rywala Rosji we wschodniej Europie. Konformizm satelicki, właściwy współczesnemu pokoleniu, pozostał dla niego nie do przyjęcia. To go prowadziło w latach dwudziestych do Piłsudskiego, w którym dojrzał męża stanu i wodza o tych samych ambicjach.

Polityka wewnętrzna zajmowała go o tyle, o ile budowała siłę państwa, zdobywała dla niego należne miejsce w rzędzie państw europejskich. Nazywał siebie konserwatystą, monarchistą i mocarstwowcem. Ale czy był tym w istocie? Przeceniał siły i dojrzałość swego narodu. Ale cóż w tym dziwnego, skoro przeceniał je nawet Piłsudski, a z nim większość ówczesnego pokolenia.

Najbardziej zajmowała Mackiewiczza polityka międzynarodowa. Wówczas punkt ciężkości jej leżał jeszcze w Europie. Nie przypominam sobie, aby Mackiewicz napisał jakiś artykuł o Ameryce.

W maju 1935 zmarł Marszałek Piłsudski. Wkrótce potem system, który się od 9 lat ustalił, zaczął wykazywać oznaki degeneracji. A nad Polską gromadziły się już ołowiane chmury, jak nad trumną Piłsudskiego na Polu Mokotowskim. W stolicy panował polityczny marazm, w całym kraju – nastrój zaniepokojonego wyczekiwania czegoś. Tylko Kwiatkowski, korzystając z lepszej koniunktury i poparcia Prezydenta Mościckiego, dźwigał w górę, ile mógł, zacofaną gospodarkę polską.

Mackiewicz łatwo przejrzał pustkę, którą zostawił po sobie Piłsudski u steru państwa. Widząc przesuwanie się sił w Europie na niekorzyść Polski, zaczął bić na alarm. Zawiodło go to do „oboazu odosobnienia”, co prawda na krótko. Do sprawcy tej swojej przygody żywił przed tym i potem jednakową sympatię. Wróciwszy do biurka redakcyjnego, krytykował ostro politykę Becka. Gwarancję angielską z marca 1939 nazywał „sojuszem egzotycznym”. Przypominał słowa Piłsudskiego do swoich podwładnych: „Wy beze mnie do wojny nie leżcie, wy ją beze mnie przegracie”. Lata następne przyznały mu rację.

Swoje tezy polityczne rozwijał również na emigracji. Bojkotowany przez oficjalne sfery emigracyjne, odsunięty od prasy wydawał broszurki, w których zwalczał politykę gen. Sikorskiego i Mikołajczyka, a po Jałcie bronił energicznie sprawy Ziem Wschodnich.

W roku 1954 emigracja się rozłupała. Mackiewicz został premierem rządu przy Prezydencie Zaleskim. Próbował zapobiec rozłamowi, ale bezskutecznie. Pracował z zapalem, mocował się z małostkami i fikcjami polskiego getta. Ale mówił, że chętnie by to robił przez całe życie. Nie trzymał się szablonów i konwenansów, więc go utracono.

W latach 1954–1955 obraz świata zachodniego był dość ponury. Nie było żadnych oznak jednoczenia się Europy przed rosnącym naciskiem kolosa sowieckiego. Era Eisenhowera w Stanach Zjednoczonych była politycznie bezpłodna. Mackiewicz stracił wiarę w dynamikę świata zachodniego, w jego odporność przeciwko pochodowi komunizmu. Zdawało mu się, że ta fala musi się przewalić przez nasze głowy, że się tego uniknąć nie da. Trzeba więc – dowodził – ją przetrzymać, aż się rozleje płytka warstwą i straci rozpęd. Hasłem na ten czas jest: zachować wewnątrz własne ja – indywidualne i narodowe – nie dać się przefasonować na obce kopyto. Po dyskusjach i sporach z paru przyjaciółmi wrócił do Polski Bieruta i Radkiewiczza.

Przypisywano mu pobudki wyłącznie materialnej natury. Mackiewicz nie był ani Katonem, ani cierpiętnikiem czy pokutnikiem. Był człowiekiem pełnym sił żywotnych i dawał im upust – być może nie-raz zbyt wylewny. Pośród polityków i publicystów nie rościło się nigdy od świętoszków i anachoretów. Względy materialne mogły odgrywać tę czy inną rolę w jego decyzji, jak u każdego człowieka, ale nie były rozstrzygające. Nie jechał do przedpaździernikowej Polski po to, aby sławić nowy porządek rzeczy, lecz by z nim wedle możliwości walczyć. By nawiązywać przyszłość do tego, co było dla niego wartością w przeszłości, co było dodatnią tradycją Rzeczypospolitej.

Nie udało się chodzić po krawędzi rzeczy dozwolonych. Nie umiał uprawiać akrobatyki pióra. Musiał zamilknąć lub krawędź przekroczyć. Wybrał to drugie.

* * *

Stanisław Mackiewicz był kolejno moim podwładnym, kolegą, konkurentem, przeciwnikiem bez skrupułów, ale odszedł jako przyjaciel. Na wieść o jego nagłym zgonie przesunął się w mojej głęboko wzruszonej pamięci film z 45 lat naszych tak różnych w czasie stosunków. Żegnaj w nim współtowarzysza w przegranej półwiekowej pracy.

Nie spocznie, niestety, w miejscu najbardziej mu należnym – na tzw. Górze Literackiej na cmentarzu Rossa, za murkiem, powyżej serca Piłsudskiego, a obok Syrokomli, Lelewela, Ludwika Abramowicza, Czesława Jankowskiego i tylu innych kolegów po piórze.

PS. Redaktor „Kultury” zgodził się zamieścić w jednym z następnych numerów sylwetkę Stanisława Mackiewicza widzianą przeze mnie na tle Wilna w okresie dwudziestolecia. Zarazem zamieszczony będzie, na życzenie Zmarłego, list jego do mnie z czerwca 1965 roku.

Bolesław Sulik

Pan Adam

Pierwszego października zmarł w Londynie Adam Ciołkosz, wybitny przywódca Polskiej Partii Socjalistycznej.

Piszę o nim to krótkie wspomnienie, chociaż tytuł mam do tego mniej niż wąty. Należę do innego pokolenia, inną drogę życiową przebywałem, kształtowały mnie inne środowiska. Nie byłem towarzyszem partyjnym Adama Ciołkosza, nie miałem udziału w jego pracy publicznej. Nie zaliczam się nawet do patriotów emigracyjnego Londynu, w którym on był postacią tak ważną i tak wszechobecną. Mam wszakże nadzieję, że usprawiedliwia to wspomnienie sam waleń jego bezinteresowności, bo szczerze bezinteresowna – to znaczy niezależna od środowiskowo-politycznych układów – była nasza znajomość.

Pana Adama poznałem osobiście przeszło dwadzieścia lat temu, jako początkujący krytyk i dziennikarz. Był centralną postacią emigracyjnego Państwa na Wygnaniu, a ja i moi koledzy szukaliśmy własnych postaw, buntując się przeciw tej strukturze i hierarchii spraw, jaką jej rzecznicy postulowali. Ale Ciołkosz już wtedy wydawał się „inny”. Nie traktował nas z góry, nie agitował, nie odmawiał prawa do własnej drogi, natomiast ciekaw był nas i naszego świata, łatwo był dostępny i niezmiernie uczynny. Kiedy w roku 1959 wybierałem się do Wiednia na organizowany przez komunistów Światowy Festiwal Młodzieży, pan Adam sam mi ofiarował socjalistyczne austriackie kontakty i zaopatrzył w list żelazny. Nie dawał mi przy tym na drogę żadnych ostrzeżeń, nie pouczał, jak się mam zachować. A po powrocie wypytywał się pilnie o moje wrażenia z wiedeńskich spotkań, nawet w sferach od polityki całkiem odległych.

I tak już pozostało. Przez następne lata – przez wiele następnych lat – snuła się ta znajomość luźna, niby przypadkowa, a przecież trwała, całkiem niezależna od koniunktur politycznych polskiego Londynu i od oficjalnych ról, jakie na londyńskiej politycznej scenie przypadały Ciołkoszowi. Udawałem się do pana Adama, kiedy trzeba mi było kontaktów, informacji – bo w zakresie mapy i historii środo-

wisk robotniczych niepodległej Polski on i jego żona, pani Lidia, byli niezrównaną kopalnią wiedzy – lub kiedy chciałem opowiedzieć mu coś z moich podróży po Kraju. Przychodziłem do ich mieszkanka-pracowni na Putney, ciasnego od książek, lub spotykałem pana Adama w taniej herbaciarni na jego londyńskim szlaku pomiędzy biblioteką British Museum i Oxford Street.

W początkach znajomości pan Adam był dla mnie przede wszystkim emigrantem, postacią teraźniejszą. Zbyt słabo i zbyt jednostronnie znałem dzieje dwudziestolecia, by go widzieć w perspektywie historii. Wiedziałem, że był posłem na sejm z listy PPS, działaczem robotniczym, podsądnym w procesie brzeskim i więźniem politycznym na początku lat trzydziestych. Wczesne karty jego życia otwierały mi się stopniowo, wcale nie z bezpośrednich z nim rozmów. Nabierały życia przez jaskrawość pojedynczych faktów. Więc że w procesie brzeskim jedenastu przywódców Centrolewu Ciołkosz, skazany na trzy lata więzienia, nie skorzystał z opcji wygnania, wyjazdu za granicę. Był jednym z pięciu, którzy wybrali odsiedzenie wyroku w polskim więzieniu. I że częścią wyroku było dziesięć lat pozbawienia praw obywatelskich. Po wyjściu z celi stał się więc banitą we własnym kraju. Jako nieobywatel działał nadal w partii, organizował robotników, pisał, przemawiał, wchodził w nowe konflikty z rządem. W zaraniu wojny, po ogłoszeniu mobilizacji, Ciołkosz stawiał się do służby wojskowej w krakowskim Dowództwie Okręgu Korpusu. Nie został przyjęty. Ten były siedemnastoletni członek i organizator POW w Tarnowie, ochotnik w odrodzonym Wojsku Polskim, osiemnastoletni oficer, dwiętnastoletni dowódca kompanii ciężkich karabinów maszynowych w kampanii 1920 roku, dwudziestoletni dowódca pociągu pancernego w powstaniu śląskim pozbawiony został prawa przywdziania munduru w momencie najstraszniejszego dla Polski zagrożenia.

Cóż się dziwić, że na emigracji pan Adam wybuchał publicznym gniewem, kiedy ktoś w jego obecności przedstawiał Polskę pod rządami sanacji jako kraj kwitnących, demokratycznych swobód. Ale też protestował tak samo namiętnie, słysząc, że ktoś stawia znak równości między stosunkami politycznymi w przedwojennej Polsce a rzeczywistością Polski Ludowej. Niepodległa Polska karmiła go chlebem więziennym, ale była też szkołą otwartego życia politycznego, sceną jawnej walki z elitą rządzącą o ład inny, i w swych założeniach i w mechanizmie demokratyczny, ład, w którym mógłby współgospodarzyć krajem lud pracujący wszystkich zamieszkujących Rzeczpospolitą narodowości: Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Litwini i Żydzi.

Tylko państwo suwerenne daje szansę realizowania takich ideałów. Toteż po wojnie Adam Ciołkosz pozostał na emigracji. Ale emigracja – tak mi się zdaje – gdzie łatwo jest unikać odpowiedzialności za to, co się głosi, była dla niego obcym, nieprzychylnym terenem, choć od czasu do czasu wynosiła go na wysokie szczyble pseudo-państwowych godności. Jest mi trudno zgadnąć, na ile ta działalność była dla niego osobistą koniecznością i na ile mu się opłacała – niezależnie od politycznych racji, jakie go do niej skłoniły. Jego temperament publiczny zapewne potrzebował chociażby takiej, zwężonej platformy, tej jedynej szansy aktywnej obecności w konwencjonalnym procesie politycznym, osobistej, fizycznej konfrontacji z innymi racjami na zebraniach, dyskusjach, komitetach i konferencjach. Być może była to pożywka dla innych pokładów jego bogatej wrażliwości. Ale mnie, z mego zewnętrznego (lecz niekoniecznie bezstronnego) punktu obserwacyjnego, zawsze się zdawało, że pan Adam płaci prawdziwą monetą za walutę fałszywą, że w konfrontacjach z bladokrwistymi a histerycznie kłótliwymi politykierami i prawdziwe emocje przeciwstawia egzaltacji, prawdziwym gniewem odpowiada na płytką napastliwość, że jego naturalna ludzka próżność odnosi głębokie rany od tępych mieczów krótkowzrocznych emigracyjnych szermierzy.

Jego życiem była polityka, ale było to życie bogate. Pan Adam cały swój kapitał umysłu i serca, całą dynamiczną inteligencję, uczuciowość i wrażliwe poczucie moralne umieścił w polityce. Bywał gwałtowny w reakcjach, omylny, niesprawiedliwy, ale nigdy wykrętny, tani w motywach, nigdy cyniczny. Był rzadkim egzemplarzem ginącego gatunku, co z polityki czyni profesję szlachetną jak apostołowanie.

Zapewne cena, jaką płacił za swój udział w politycznych sporach, była nieunikniona dla ocalenia własnej integralności po to, by w polityce być człowiekiem pełnym. Dla pana Adama każda sprawa, której się dotknął, stawała się ważna. Mogłoby się zdawać, że dawał się wciągać w konflikty i rozłamy czysto środowiskowe, personalne, ale w jego wypadku animozje osobiste – tam gdzie one istniały – wynikały zawsze z autentycznych, zasadniczych różnic, były obroną zasad lub przemyślanej strategii.

Bo pan Adam miał własne, konsekwentne stanowisko we wszystkich istotnych sprawach polskich, we wszystkich sprawach międzynarodowego socjalizmu i polityki światowej. Jego praca pisarska i publicystyczna opierała się na ogromnej, zapobiegliwie zbieranej i wciąż powiększanej wiedzy. Dwa grube tomy *Zarysu dziejów socjalizmu polskiego*, opracowane i pisane wspólnie z panią Lidią, to najbardziej im-

ponujące świadectwo pracy, chłonności i odwagi intelektualnej obojga Ciołkoszów. Wśród aktywnej działalności publicznej znajdowali czas – ogromne ilości czasu – na mozolne studiowanie książek, badanie dokumentów i na pisanie.

W pisarstwie Adama Ciołkosza, tak jak i w osobistych z nim rozmowach, obecny jest rys chyba najbardziej dla mnie sympatyczny i godny podziwu: romantyczny charakter jego zawsze żywej, pobudliwej i świeżej wyobraźni politycznej. Cokolwiek się w świecie działo, stawało się mu bodźcem do myślenia, do śmiałych spekulacji, do konstruowania przyszłości. Był socjalistą, więc chociaż w tych percepcjach nie brak było akcentów czarnych, nawet katastroficznych, witalność im dawał niezachwiany optymizm, religijna niemal wiara, że świat da się zmienić na lepsze, że polityczne działanie może mieć głęboki i szlachetny sens.

Denis Potter, angielski pisarz i socjalista, tłumaczył potrzebę politycznej nadziei poprzez obraz matki, która tuli rozplakane dziecko szepcząc: „Wszystko będzie dobrze, nie płacz, będzie dobrze”. Matka wie, że tak dobrze wcale nie będzie. Na dziecko czeka ból, gorycz dorostania, zawody i upadki życia. Lecz ta oczywista nieprawda ma walor prawdy. Rodzi energię niezbędną do przetrwania. „Wszystko będzie dobrze”. Polska będzie wolna i demokratyczna. Będzie matką nam wszystkim.

Miałem w swoim życiu szczęście spotkać paru Polaków w Kraju i paru na emigracji, których przykład i wpływ pomaga z otuchą patrzeć na nasz wspólny los. Jednego z nich już nie ma.

Jan Chodakowski

Niezlomna z Londynu

W Putney, w dzielnicy odległej od centrum miasta, ale jeszcze nie na jego dzisiejszym skraju, jest niedługa ulica, niczym specjalnie nie-wyróżniająca się od innych. Szeregowa zabudowa z czerwonej cegły, murek i bukszpan wzdłuż chodnika. Dom na Balmuir Gardens był dla polskiego Londynu, pojałtańskiej diaspory i wielu przybyszów z kraju, miejscem jednak szczególnym. Tu bowiem, w 1945 roku, po cofnięciu uznania londyńskiemu Rządowi RP, zamieszkała para małżeńska dwojga polskich socjalistów: on przedwojenny poseł na sejm i więzień brzeskiej twierdzy wojskowej, ona wybitna mówczyni, społecznik, organizatorka kolonii letnich dla dzieci i wykładowczyni Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego. I on, i ona byli członkami naczelných władz Polskiej Partii Socjalistycznej.

Ciołkoszowie zajęli dwa górne piętra wiktoriańskiego domu, parter oddając w wynajem. Powstała pracownia-mieszkanie, w której trwać miała ich wieloletnia działalność – polityczna, naukowa, publicystyczna. Na początku, wśród kilku niezbędnych mebli, były książki i pisma – na podłodze, potem wzdłuż ścian wyrosły regały, następnie regały zarosły książkami. Sanitariusz, który przybył na Balmuir po którymś zawale pana Adama, spojrzał na las półek i zapytał panią Li-dię, czy jej mąż to wszystko przeczytał. Odpowiedziała, że tak; stwierdził, że wcale się nie dziwi, że został do niego wezwany. Przez lata pokój bawialny, będący również sypialnią oraz kuchnią, był miejscem spotkań, rozmów, sporów. O czasie przeszłym, już wówczas dokonanym, o losach ludzkich, o bieżących meandrach światowej polityki, o postawach w kraju i na emigracji. Był to dom, w którym czuło się obecność kilku niewzruszonych zasad, politycznych i etycznych, i według tych zasad oceniano świat.

I było jeszcze jedno. Wyczekiwanie na zmiany w Polsce, na jakiś pierwszy podmuch wolności. Ciołkoszowie byli przeciwni powojennemu wyjazdowi Mikołajczyka do kraju. Odwilż październikową państwo Ciołkoszowie witali z entuzjazmem, nie dawali jednak ani przez chwilę wiary w jej trwałość. Dopiero powstanie zorganizowanej opo-

zycji w latach siedemdziesiątych zelektryzowało wyobraźnię dwójga leciwych już socjalistów. Pan Adam nie doczekał rewolty w Stoczni Gdańskiej, gdyby jednak dożył roku osiemdziesiątego, radość jego nie miałaby granic. Przede wszystkim dlatego że zawsze utrzymywał, iż upadek komunizmu nie odbędzie się bez udziału polskich robotników.

* * *

Ciołkoszowie byli „chorzy” na Polskę w tym sensie, w jakim używał tego słowa ich krajowy przyjaciel Jan Józef Lipski. Oczywiście była to „dolegliwość” nie tylko im właściwa, ale w wydaniu i podaniu przy Balmuir specjalna, bo złożona zawsze z dwóch równoważnych elementów: z tęsknoty za niepodległością państwową i za elementarną sprawiedliwością społeczną. Tego chcieli dla swojego kraju. W Polsce przedwrześniowej byli w opozycji wobec rządów pomajowych, byli też stanowczymi adwersarzami komunizmu. Pani Lidia lubiła niekiedy powtarzać, bodaj za Mieczysławem Niedziałkowskim, „problem z komunizmem jest między innymi taki, że nie wiadomo, gdzie on się kończy, a gdzie zaczyna Moskwa”. Należeli do partii Piłsudskiego, Daszyńskiego, Pużaka. Na pogrzeb Marszałka nie poszli. W książce pana Adama *Ludzie PPS* nie ma sylwetki towarzysza Wiktora. Byli z krwi i kości demokratami.

Powojenny świat Adama i Lidii Ciołkoszów trwał lat trzydzieści trzy. Po śmierci Adama w 1978 roku pani Lidia została sama. Na ostatnie pięć lat życia schroniła się do londyńskiego Domu Spokojnej Starości im. Ojca Maksymiliana Kolbego, w dzielnicy odległej od swojego codziennego Putney. Umarła 6 czerwca bieżącego roku, niespełna trzy tygodnie przed swoimi setnymi urodzinami.

Kiedy mieszkała już sama, jej życie wypełniały kontakty z opozycją krajową, praca na rzecz PPS-u poza granicami kraju i na rzecz polskiego Londynu, w tym Rady Narodowej i Głównej Komisji Skarbu Narodowego. Pielęgnowała przy tym niezmiennie pamięć męża i doprowadziła do wydania zasadniczego zbioru zabezpieczającego jego spuściznę pisarską. Wydała własne wspomnienia pod tytułem *Spojrzenie wstecz*¹.

Nosiła w sobie do końca dwie niezagojone rany: samobójczą śmierć syna, a potem śmierć męża. Sądzę, że nie było dnia, kiedy nie myślała o nich. Za przybranego syna uważała Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Londyńskie pobyty Gustawa traktowała jak święto,

¹ *Spojrzenie wstecz*, Éditions du Dialogue, Paryż 1995.

niedzielne rozmowy telefoniczne z Neapolem kończyły się niezmiennie pytaniem – kiedy przyjedziesz? Gustaw przed własną śmiercią przekazał prośbę, żeby wieniec po śmierci Lidii, złożony na Jej grobie w jego imieniu, zawierał napis „od przybranego syna”.

* * *

Kim była, jaka była pani Lidia? Była osobą, która już przy pierwszym spotkaniu budziła instynktowną życzliwość i szacunek. Była człowiekiem o niewymuszonej serdeczności, ujmująco otwartym, bez cienia jakiegokolwiek maniery. Skłon głowy, uśmiech i spojrzenie na wskroś zapraszające. Posiadała dar słuchania inteligentnego i czułego wnikanie w niepokój ludzki, potrzebę namacalnej pomocy tam, gdzie mogła ją nieść. Wyrazista w poglądach polemiki prowadziła spokojnie, rozważnie, bez uniesienia. Odpowiadając na pytania, potrafiła rozumieć ludzkie uczucia. Sądziła, że jej głos dochodził do ostatnich rzędów dużej sali, bo go ustawiała, wyćwiczyła w dobie przedmikrofonowej. Rozmówców nie przytłaczała, raczej pozwalała im się wyszumieć, jeśli zdradzali taką potrzebę. Potem dopiero przystępowała do wymiany poglądów. Byłem kiedyś świadkiem zabiegów Jacka Kuronia, który szukał u pani Lidii aprobaty i podpisu pod nową krajową inicjatywę polityczną. Włożył w spotkanie multum energii, obdarzył panią Lidię lawiną komplementów, zakończył na jednym kolanie, ujmując jej dłoń. Widziałem jej zakłopotanie, ale rąk z uścisku nie usunęła, tylko łagodnym, acz stanowczym głosem powiedziała: „Proszę Pana, nie podpiszę, ale chcę Panu powiedzieć dlaczego...”, i powiedziała. Nie mówiła długo, nie musiała. Odmówiła tonem spokojnym, lecz zdecydowanym, kontrastującym z natarczywością rozmówcy.

* * *

Była człowiekiem trwałych, dawno wypracowanych przekonań w sprawach politycznych, społecznych, międzyludzkich. Do pani Lidii przychodziło się nie tylko po dobre słowo, ale i po radę. Czynili to politycy, naukowcy, pisarze, towarzysze partyjni, młodzi ludzie, ci tu urodzeni, i ci, których stan wojenny pozostawił poza Polską. Ale przychodziło się do niej jeszcze po coś najzupełniej bezcennego, po jej wspomnienia, po jej pamięć, która była – jak to często bywa u osób starszych – szczególnie wyostrzona wokół czasu zaprzeszczonego. Dar narracji i puenty, przy owej znakomitej pamięci, zachwycały słuchaczy. Zapytana kiedyś o Tomasza Arciszewskiego dziewięćdziesięcio-

paroletnia pani Lidia odpowiada bez większego namysłu: „Może nic lepiej nie oddaje charakteru Arciszewskiego jak fakt, że on – organizator śmiertelnego zamachu na rosyjskiego generała Margrafskiego w Warszawie w okresie rewolucji 1905 roku – odwołał zamach, bo w powozie siedziało przy nim dziecko. Arciszewski uratował dziecko, zamach zorganizował po raz drugi, tym razem skutecznie”.

* * *

Pod koniec swojej działalności publicznej w 1990 roku, ponad pół wieku po opuszczeniu kraju, pani Lidia została wybrana honorową przewodniczącą reaktywowanej w Polsce PPS. Nie stało się to jednak dla niej przyjemnością, a raczej udręką. Po śmierci Jana Józefa Lipskiego, lidera partii, nowe kierownictwo obiera kurs, który włącza PPS w skład postkomunistycznego Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Reakcja pani Lidii jest natychmiastowa. Protestuje i upublicznia swój protest, występując z władz partii, swojej partii. Ktoś z moich krajowych znajomych powiedział mi wówczas, że w polskim życiu politycznym istnieje deficyt takich postaw i że jest niepowetowaną szkodą, że pani Lidia nie uczestniczy na co dzień w tymże, już politycznie swobodniejszym, życiu. Być może. W każdym razie na pewno jest źle, gdy w życiu zbiorowym, wymagającym nowych społecznych i politycznych inicjatyw, brak nam takich dobrych przykładów.

Londyn, październik 2002 roku

Bohdan Osadczyk

Śmierć Borysa Lewyckiego

Borys Lewyckij nie żyje. Zmarł w ostatnich dniach października w Monachium, które po wojnie stało się jego schronieniem i miejscem pracy. Przeżył prawie siedemdziesiąt lat niezwykle pracowitego życia. Pracował niesamowicie, jakby w stałej obawie, że nie zdąży, że musi się potwornie śpieszyć, aby dokonać tego, co sobie obiecał czy postanowił. Widywałem go często w takiej sytuacji. Spod czarnej, potem siwej czupryny, a w końcu spod rzadkich włosów pot mu spływał po twarzy. Mówił wtedy zdyszczanym głosem, był niecierpliwy, złościł się. Każdy, kto często i dużo pracuje, zna te stany. Ale u niego to było inaczej, strach przed niedokończeniem dzieła był głębszy albo widoczniejszy niż u innych, którzy zgrywają się na *spleen* bez strachu przed uciekającym im czasem.

Mimo narzuconej sobie niezwyklej dyscypliny Borys miał zawsze czas dla przyjaciół na nocne rodaków rozmowy. Z pasją politykował i z zamięłowaniem gotował. Jego zalety kulinarne były słynne nie tylko nad Izarą.

Lubił życie, ale nie hedonistycznie, raczej ukradkiem, mimo udawanej rubasznosci był raczej nieśmiały. Wszystko to wiązało się z jego pierwszą polityczną ojczyzną. Jako młody chłopak, syn nauczyciela historii i łaciny w Buczacz, przystąpił – jak duża część młodzieży ukraińskiej żyjącej w atmosferze beznadziejności i bezkonceptyjności polskiej „polityki mocarstwowej” – do Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, czyli do OUN.

Rozmawialiśmy o tym bardzo często. Stale powracało pytanie: Dlaczego Polacy prowadzili taką idiotyczną – w gruncie rzeczy samobójczą – politykę mniejszościową, będąc w tej sprawie pod ostrzałem Moskwy i Berlina? Ani Borys, ani ja nie mogliśmy znaleźć wiarygodnej odpowiedzi, dlaczego wśród Polaków przed drugą wojną światową nadawali ton nie ludzie światli, tylko głupawi i samobójczy patrioci?

Stosunkowo wcześniej Borys Lewyckij znalazł się w sytuacji konfliktowej z macierzystą organizacją OUN, gdyż był to twór czysto galicyjski, z małą domieszką prawosławnego Wołynia, który znajdował się z jednej strony pod wpływem totalitarnego myśliciela Doncowa,

a z drugiej pod wpływami Niemiec, które były w pierwszym okresie prosowieckie i bardzo antypolskie, więc traktowały irredentę ukraińską czysto instrumentalnie celem osłabienia lub zniszczenia Polski. Niestety przywódcy OUN, wychowani na polityce proaustriackiej, nie bardzo się w tych zakamarkach polityki niemieckiej orientowali. Borys szukał podczas drugiej wojny światowej innej drogi, ale poszukiwania skończyły się fiaskiem. Dla sprawy ukraińskiej nie było trzeciej drogi.

Od początku lat sześćdziesiątych zaczął pisać książki o polityce sowieckiej. Z czasem zdobył sobie wielki autorytet nie tylko wśród czytelników, ale i u kolegów-sowietologów, zwłaszcza w krajach niemieckojęzycznych. Borys zaczął ten dział twórczości od monografii o dziejach sowieckiej bezpieki, która ukazała się w Bibliotece „Kultury” pod tytułem *Terror i rewolucja*. Potem przyszła książka o Ukrainie sowieckiej w latach 1944–1963, studium o strukturze sowieckiej partii komunistycznej, o wpływach armii na politykę i o polityce zagranicznej Moskwy w okresie „odprężenia”. Najważniejsze prace Borysa dotyczyły jednak polityki narodowościowej. Najpierw o zmianach w tej dziedzinie po śmierci Stalina, a ostatnio o totalnej ofensywie rusyfikacyjnej w republikach nierosyjskich: *Naród sowiecki – instrument polityki narodowościowej*. Napisał także pracę o ruchach opozycyjnych w Związku Sowieckim w latach 1960–1972.

Lewyćkyj był zagorzałym zwolennikiem przyjaźni polsko-ukraińskiej. Działał w tym kierunku podczas drugiej wojny światowej i później. Należał do monachijskiego nieformalnego klubu polsko-ukraińskiego, do którego należał oprócz niego i autora tych słów Wołodymyr Stachiw, a ze strony polskiej nieżyjący już ludzie tej miary co Paprocki, Tadeusz Katelbach, Piotrowski czy Zaremba. Później to się zmieniło, dokooptowano Tadeusza Podgórskiego i Włodzimierza Sznarbachowskiego. Borys był ponadto członkiem PPS, co stanowiło dodatkową więź ze środowiskiem polskim. Współpracował też od dawna aktywnie z socjaldemokracją niemiecką i miał bardzo rozległe kontakty w kręgach inteligencji żydowskiej.

W ostatnich latach włączył się do pracy na Ukraińskim Wolnym Uniwersytecie. Dzięki rozległej znajomości tego, co się na Zachodzie zwykło nazywać sowietologią, przekazywał młodym ludziom podstawy geografii politycznej ZSSR. Tym samym poszerzył zasięg pracy jedynej niezawisłej wszechnicy ukraińskiej.

Najważniejszym osiągnięciem mego zmarłego przyjaciela było to, że ciężką pracą udało mu się częściowo przełamać nieufność do narodów Europy Wschodniej, zatwardziały w tradycyjnym rusofilstwie, naukowych i politycznych kręgów społeczeństwa niemieckiego.

Jerzy Giedroyc

Michał Heller

Przerazająco topnieje grono najbliższych przyjaciół i współpracowników „Kultury”, którzy kształtowali oblicze i linię pisma. Ostatnio zmarł Michał Heller. Strata tym dotkliwsza, że Pan Michał był również jednym z niewielu moich przyjaciół. Zmarł tak nagle i niespodziewanie, że trudno jest w to uwierzyć.

Michał Heller był Rosjaninem, a problem rosyjski jest zagadnieniem kluczowym nie tylko dla zachowania naszej niepodległości, ale wprost naszego istnienia. Problem tym trudniejszy i bardziej skomplikowany, że przez setki lat rywalizacji i wzajemnych walk narastał rachunek krzywd, jakże trudnych do wymazania z pamięci narodu, no i powszechna nieznajomość, niezdawanie sobie sprawy, że Rosja to nie tylko problem dla Polski, ale także dla całej wschodniej Europy, a więc przede wszystkim Ukrainy, Litwy i Białorusi.

Trzeba więc tę Rosję poznać i szukać dróg do normalizacji.

W dążeniu do tego współpraca z Michałem Hellerem była nie do przecenienia. Dwadzieścia siedem lat nieustannych dyskusji toczonych w jego paryskim mieszkanku, zawalonym książkami, czy w Maisons-Laffitte, poznawanie u niego dziesiątków ciekawych Rosjan, nie tylko z emigracji, złożyło się w dużym stopniu na ukierunkowanie naszego stosunku do spraw wschodnich.

Wiedza Pana Michała to nie były jedynie spekulacje książkowe, tak typowe dla sowietologów. Jego kontakt z Rosją był niezmiernie głęboki. Dzięki cechom jego charakteru przyjaźnili się z nim nie tylko tak skłóceni przywódcy emigracji rosyjskiej, ale regularnie odwiedzali go przyjeżdżający z Moskwy do Paryża pisarze czy działacze polityczni i społeczni, pewni nie tylko przysłowiowej dyskrecji, ale znajdujący zawsze obiektywnego rozmówcę. Po rozsypaniu się Związku Radzieckiego Heller jeździł do Rosji, gdzie poszerzył sobie nieoczekiwanie kontakty i znajomości.

Michał Heller był w pewnym sensie człowiekiem szczęśliwym, gdyż mimo przedwczesnej śmierci ukończył monumentalną *Historię Imperium Rosyjskiego*, zdążył zobaczyć korekty wydania rosyjskiego

i francuskiego tej *Historii*, ale co najważniejsze, to fakt, że od roku 1995 zaczęto wydawać w Moskwie jego dzieła zebrane pt. *Historia Rosji 1917–1996*. Ukazało się już pięć tomów, ukaże się również tom, na który złożą się jego wszystkie artykuły drukowane w „Kulturze”, pod tytułami *Z prasy sowieckiej* i *Notatki rosyjskie*. Jego dzieła zostały zakwalifikowane przez Państwowy Komitet Federacji Rosyjskiej jako podręcznik dla studentów szkół wyższych. Jest to wydarzenie niebywałe. Być może, że jest to pierwszy – jeszcze nieśmiały – krok do demokracji w Rosji. Dokonał tego jeden człowiek. Osiągnął to, czego nie potrafiły dokonać zbiurokratyzowane instytucje, tzw. sowieciolodzy i eksperci. Jestem naprawdę szczęśliwy, że choć w maleńkim stopniu pomogłem mu w tej pracy. Chcę wierzyć, że to będzie również ważny krok w dążeniu do normalizacji stosunków Rosji z Europą Wschodnią, o co przez tyle lat walczyła i o co walczy „Kultura”.

Aleksander Matejko

Odszedł światły człowiek

W książkach i artykułach Aleksandra Hertza zaczytywałem się podczas moich studiów uniwersyteckich w Krakowie i Warszawie. Były to późne lata czterdzieste i socjologiczna literatura przedwojenna była coraz gorzej widziana przez władze. Wszystko, co mogłem znaleźć z jego pism w miejscowych bibliotekach, było dla mnie cennym światłem. Był to bowiem nie tylko wybitny uczony, ale również znakomity popularyzator. Jego liberalno-lewicująca orientacja i bezkompromisowy stosunek do wszelkich totalitaryzmów ujawniały się wyraźnie w jego pismach, ale nie oznaczało to, aby Hertz usiłował wtłoczyć czytelnikowi wyłącznie własne stanowisko. Ambicją tego autora było rzeczy wyjaśnić, pokazać różne strony zagadnienia, podsumować rozmaite stanowiska ujawniające się w danej kwestii, sformułować jasno własne stanowisko krytyczne, a następnie pozostawić czytelnikowi swobodny wybór. Sam Hertz był niedwuznacznie za demokracją i przebudową społeczną o charakterze pokojowym. Z tego też punktu widzenia już wówczas był dla komunistów niestranny, zwłaszcza że po wojnie pozostał na Zachodzie i nie można było go do niczego przymusić.

Miałem szczęście spotkać się z Hertzem i jego małżonką parokrotnie w Nowym Jorku z okazji moich rzadkich tam pobytów. Pierwszy raz spotkałem go w roku 1957, gdy przyjechałem na pobyt jako stypendysta nowojorskiej Fundacji Demograficznej (Population Council). Rozmawialiśmy wiele, między innymi o naszym wspólnym przyjacielu Janie Wolskim, wybitnym działaczu spółdzielczym, z którym Hertz przed wojną często współpracował, pisując między innymi do redagowanej przez Wolskiego „Spółdzielczości Pracy”.

Obu nas, mnie i Hertza, zafascynowała swojego czasu wizja społeczeństwa opartego na pracy wyzwolonej z jarzma najemnictwa, opartej na samodzielnych i samorządnych zespołach ludzi dobrowolnie zrzeszających się dla realizacji zadań produkcyjnych lub usługowych. Wolski widział nowe społeczeństwo jako federację samorządnych komórek organizacyjnych będących w nieustannym ruchu, swobodnie

przekształcających się zależnie od potrzeb i konieczności, stwarzających dogodnie pole dla zaradności zarówno indywidualnej, jak i zespołowej. Obaj z Hertzem, w różnym czasie i w różny sposób, pomagaliśmy Wolskiemu w sformułowaniu tej właśnie koncepcji. Jak dalece była ona i jest utopijna? Warto tutaj przypomnieć, że w programie Solidarności z roku 1981 Polska samorządna była wizją przyświecającą całemu temu programowi. Urzeczywistnienie samorządnego społeczeństwa, gdy ono przez wiele lat było ugniatane i demoralizowane przez socjalizm państwowy wydania sowieckiego, jest zadaniem ogromnie trudnym, z czego niestety wielu opozycyjnych entuzjastów nie zdaje sobie dostatecznie sprawy.

Hertz był z duszy romantykiem i reformatorem i w Wolskim znalazł duże pokrewieństwo wartości. Swoją własną rolę widział przede wszystkim w dziele wychowywania społeczeństwa, wpajania mu umiejętności samopoznania. Taka działalność zawsze musi się wspierać na jakiejś romantycznej wizji. O ile Wolskiemu wydawało się, że niemal w każdej chwili może nastąpić okazja do uszczęśliwienia Polaków powszechnym samorządem zrzeszonych producentów i konsumentów, to dla Hertza pierwszoplanowe było podnoszenie świadomości społecznej ludzi, ich wiedzy o samych sobie i o innych, krytyczne ustosunkowanie do prawd potocznych, obrona godności ludzkiej.

Hertz był entuzjastą demokracji i w warunkach amerykańskich znalazł wiele z tego, co pragnął, choć oczywiście nie był bezkrytyczny w stosunku do niedoskonałości funkcjonowania demokracji amerykańskiej. Był uczciwy i szlachetny w swej wdzięczności za to, co Ameryka mu dała, mimo że przecież sam pracował na siebie. Nie wykazywał tego kąśliwo-wyniosłego stosunku do demokracji amerykańskiej, który cechuje wielu Europejczyków osiadłych na stałe w Stanach Zjednoczonych, ale nigdy niemogących przebaczyć Ameryce, że nie jest identycznie taka sama jak Europa. Pamiętam, jak niekiedy spieraliśmy się ze sobą, gdy widziałem w Hertzcu zbyt pobłażliwy stosunek do bolączek amerykańskich. Dziś jednak rozumiem, że jego uczciwość nakazywała mu zachować bezwzględną lojalność do kraju, który przygarnął przybysza.

Dramat Hertza polegał na tym, że jako Żyd z pochodzenia, a jednocześnie człowiek głęboko oddany polskiej kulturze, przeżył boleśnie antysemityzm, który niejako spychał go na bok, nie pozwalał na pełną akceptację przez otoczenie, ustawiał go w rodzimym środowisku jako obcego. Może jest w tym nawet element przewrażliwienia, ale jakże bardzo jest on uzasadniony!

W świecie współczesnym jesteśmy coraz bliżsi sobie nawzajem z jednych względów, a natomiast coraz dalsi od siebie z innych. Granice etniczno-kulturalne łamią się, następuje społeczne wymieszanie. Tym bardziej przeto wzajemne uprzedzenia rasowe czy narodowe stają się coraz większym anachronizmem. Musimy uczyć się wytrwale traktowania jeden drugiego z punktu widzenia naszego człowieczeństwa, nie zaś przede wszystkim ze względu na to, skąd pochodzimy. Jest to proces bardzo trudny i wszystko, co Hertz napisał, miało właśnie na celu nasze lepsze przygotowanie do zrozumienia siebie nawzajem. Hertz wiedział, że nie wystarczy zrozumieć i zapamiętać, aby nabrać mądrości. Już wiele lat przed ostatnim dramatycznym raportem o stanie oświaty w Stanach Zjednoczonych Hertz sam uprawiał taką właśnie oświatę, którą ten raport postuluje. Hertz mianowicie wierzył, że oświata ma tylko wtedy sens, kiedy służy mądrości.

Warto byłoby zebrać wszystkie pisma Hertza i wydać spośród nich choćby te, które nie straciły na aktualności. Moim zdaniem jest ich wiele i są one potrzebne właśnie polskiemu czytelnikowi, którego sporo ludzi chce urabiać emocjonalnie, podczas gdy potrzebna jest również strawa czysto intelektualna.

Jerzy Giedroyc

Śmierć Przyjaciela – Benedykt Heydenkorn

Niedobrze być długowiecznym. Odchodzą ciągle ludzie mi bliscy. Chodzę po cmentarzu wspomnień z rosnącym poczuciem osamotnienia. 10 października zmarł w Kanadzie Benedykt Heydenkorn. Bumek dla przyjaciół. Poznałem Go w latach trzydziestych w Klubie Sprawozdawców Sejmowych, gdzie byłem bardzo częstym gościem jako urzędnik polityczny w Ministerstwie Rolnictwa. Bumek był korespondentem Havasa i kilku pism warszawskich. Był bardzo ruchliwy i uczynny. Okazało się, że mamy wielu wspólnych znajomych i zbliżone poglądy. Przez Niego poznałem m.in. Karola Irzykowskiego, który wówczas pracował w Sejmie w *Diariuszu sejmowym*, męcząc się nad często nieskładnymi przemówieniami posłów. Wojna nas rozdzieliła – Bumek był więziony w ZSSR – spotkaliśmy się dopiero w 2. Korpusie gen. Andersa, gdzie pracował w prasie wojskowej.

W 1945 roku wraz z 2. Korpusem znalazł się w Anglii, był tam sekretarzem „Słowa Polskiego” – nieudanej próby kontynuacji korpusowego „Dziennika Żołnierza APW” – oraz redagował „Biuletyn Socjalistyczny” wydawany przez PPS.

W 1949 roku zaopatrzony listami polecającymi generała Andersa, wyjechał do Kanady. Osiadł w Toronto i zaczął pracować w redakcji „Głosu Polskiego”, a potem „Związkowca”. Wkrótce został redaktorem naczelnym tej gazety, robiąc z niej najważniejsze pismo Polonii kanadyjskiej i jeden z najlepiej redagowanych periodyków emigracyjnych. Bumek był jednocześnie stałym korespondentem „Kultury”.

Dzięki swojej pozycji bardzo często brał udział w rządowych delegacjach kanadyjskich jeżdżących do Polski. Te podróże były dla nas bardzo cenne, Bumek był naszym kurierem – nawiązywał kontakty i współpracę z ośrodkami niepodległościowymi, przesyłał oceny sytuacji. Działalność Bumka była niezmiernie szeroka, przyczynił się np. w dużym stopniu do zwrotu Polsce skarbów wawelskich zdeponowanych w Kanadzie. Skontaktował się z Witoldem Małcużyńskim, nieoficjalnym pośrednikiem między rządem warszawskim a prezesem Kon-

gresu Polonii Kanadyjskiej, inż. Jaworskim, którego stanowisko miało pewne znaczenie dla Rządu Londyńskiego, jak i dla społeczeństwa.

Benedykt Heydenkorn żywo interesował się stosunkami polsko-ukraińskimi. Miał szerokie kontakty z działaczami ukraińskimi i także na tym odcinku był wielką pomocą dla „Kultury”. Innym ważnym odcinkiem działalności Bumka były jego studia dotyczące Polonii kanadyjskiej. Opracował i wydał cztery tomy *Pamiętników imigrantów* w języku polskim i jeden w języku angielskim, zawierający wybór najwartościowszych socjologicznie i historycznie wspomnień i wyjątków z pierwszych trzech tomów.

Dzięki Jego wysiłkom powstała również katedra języka polskiego na Uniwersytecie w Toronto. Wszystko to nie jest pełnym wykazem wszechstronnej, benedyktyńskiej pracy Heydenkorna. Jednej tylko rzeczy nie zdążył już zrobić: opracować wspomnień ze swego tak ciekawego życia – mimo moich próśb i próśb licznych przyjaciół. W każdym razie powinna być opracowana monografia Jemu poświęcona – świetnemu dziennikarzowi, który był jednocześnie naukowcem, działaczem społecznym i bardzo dobrym człowiekiem.

Jerzy Giedroyc

Norbert

Na początku lat trzydziestych minister Józef Beck reorganizował Ministerstwo Spraw Zagranicznych, wprowadzając gruntowną zmianę kadr. Akcję tę przeprowadzał kpt. Tomir Drymmer, zaufany ministra, mianowany na stanowisko dyrektora departamentu personalnego. Nowy personel przyszedł głównie z wojska. Myśląc jednak o wyszkoleniu młodych kadr, Drymmer stworzył organizację akademicką Ligę. Brałem w tym pewien udział. W „Myśli Mocarstwowej”, którą wówczas kierowałem, był Norbert Żaba. Urodzony w Estonii (matka Estonka) znał doskonale języki krajów bałtyckich i skandynawskich. Zapisalem go do Ligi, gdzie szybko się wybił. W Lidze był również inny mój „wychowanek” – Wiesław Patek. Obu przyjęto do MSZ i obaj pracowali w krajach skandynawskich.

W czasie wojny, w 1940 roku, pracowałem w Ambasadzie polskiej w Bukareszcie. Ponieważ Rumunia była wówczas jeszcze krajem neutralnym, więc bez przeszkód mogłem korespondować z Norbertem. Korespondencja była bardzo żywa, ale konspiracyjna, mianowicie posługiwaliśmy się „atramentem sympatycznym”, używając środków bardzo prostych, wręcz prymitywnych. Zakładaliśmy – co, jak się okazało, było słuszne – że żadnej cenzurze nie przyjdzie do głowy podejrzenie, że można używać tak archaicznych metod. Z tej korespondencji dowiedzieliśmy się o koncentracji wojsk niemieckich w Finlandii, co świadczyło o przygotowaniach do wojny niemiecko-sowieckiej, tym bardziej że podobne zjawisko miało miejsce w Rumunii.

Kiedy po opuszczeniu Rumunii wstąpiłem do wojska, mój kontakt z Żabą urwał się całkowicie i został nawiązany na nowo dopiero po wojnie, kiedy Norbert przyjechał do Rzymu.

Po założeniu Instytutu Literackiego Norbert, który mieszkał w Sztokholmie, został naszym przedstawicielem na Szwecję i kraje skandynawskie. W bardzo krótkim czasie rozwinął on tam kolosalną i wszechstronną działalność. Nie tylko zjednywał nam wielu czytelników – prenumeraty rosły z miesiąca na miesiąc – ale przede wszystkim rozbudował kontakty z Polską. Szwecja stała się głównym kanałem

wysyłania pism i książek do Kraju. Korzystałem z tego bardzo skrupulatnie, zresztą nie tylko ja, ale także wszystkie inne wydawnictwa emigracyjne. Druki przedostawały się do Polski nie tylko za pośrednictwem przyjezdnych, bardzo zresztą licznych, ale poprzez biblioteki uniwersyteckie, redakcje itp. Bardzo była tu pomocna p. Katarzyna Gruber, pracująca w bibliotece Fundacji Nobla. Firma biblioteki Fundacji Nobla była praktycznie nietykalna. Dzięki prowadzeniu tej akcji Norbert stał się wkrótce osobą bardzo popularną w Polsce. Było powszechnie wiadomo, że u niego można zawsze dostać nie tylko literaturę emigracyjną, ale także znaleźć pomoc i opiekę. Norbert, dzięki dobrym stosunkom z władzami szwedzkimi, mógł bardzo wiele załatwić – władze traktowały Go jak eksperta czy adwokata we wszystkich sprawach związanych z przyjeżdżającymi Polakami. Przerzut druków był tak dobrze zorganizowany, że wkrótce można było również wysyłać je do Związku Sowieckiego.

Niezależnie od tej działalności Norbert położył wielkie zasługi na odcinku kulturalnym. Udało mu się spopularyzować w Szwecji takich pisarzy, jak Gombrowicz, Miłosz czy Mroźek. Ich książki zaczęto tłumaczyć i wydawać, a ich sztuki były wystawiane w teatrach, w telewizji i weszły do programów radiowych i na łamy pism. Norbert założył także klub dyskusyjny Towarzystwo Przyjaciół „Kultury”, w którym przez blisko 20 lat organizował odczyty, konferencje i spotkania z wybitnymi ludźmi z emigracji i z Kraju. Ta ogromna praca, która była Jego żywiołem, poderwała mu zdrowie. Jego przewlekła choroba spowodowała stopniowe zamieranie całej działalności, co jest tym dotkliwszą stratą, że nie znalazł się dotąd godny następcą. Jest to strata nie tylko dla „Kultury”, ale i dla Polski.

Norbert Żaba zmarł w Sztokholmie 5 lipca bieżącego roku.

Marek Nowakowski

Andrzej

Sobota, 10 czerwca, południe. Bardzo ładny wiosenny dzień. Telefon. Dzwoniła pan Zofia Hertz. Wiadomość o śmierci Andrzeja Choleckiego. To stało się nocą.

I nagle ta aura słonecznego dnia, głosy ptaków, bujna zieleń, piękne niebo – wszystko to jak bolesny dysonans. Nieczuła, obojętna przyroda wobec śmierci człowieka. Człowieka bardzo mi bliskiego, choć rzadko używam słów wysokiego tonu, to jednak tym razem mogę powiedzieć, że był moim przyjacielem. Poznaliśmy się we wczesnych latach siedemdziesiątych i od razu zaistniała między nami silna więź. Może powód tkwił w tym, że byliśmy rówieśnikami, sięgaliśmy pamięcią do wojny, lata stalinizmu, październik 56 roku to były nasze doświadczenia. Również obaj mieliśmy dosyć burzliwą młodość, podobne uniesienia, przygody. Więc mówiąc o tamtych czasach, mogliśmy się porozumiewać językiem skrótów tylko dla nas zrozumiałym. Andrzej opuścił Polskę w okresie popaździernikowego odrotu od nadziei, które ten przełom obiecywał. Od tego czasu Polska była dla niego już tylko ojczyzną pamięci, kontaktem na odległość, ale jakże żywym, ciągle obecnym. Nigdy nie zatrzymał się w przeszłości, był z nami zawsze na bieżąco. Doskonale znał tutejszą codzienność, wszystkie udręki i dążenia ludzi zamieszkujących PRL. Z napięciem śledził kolejne wstrząsy w naszym kraju. Jego stały niezmienny rytm to wyprawy na dworzec do najlepiej zaopatrzonego kiosku z gazetami w Kolonii. Kupował tam całą możliwą do nabycia prasę z Polski i pytał, pytał każdego napotkanego rodaka. Interesował się wszystkim, poczynając od drobiazgów do spraw najwyższego rzędu. Ale nie był tylko biernym obserwatorem tego, co działo się w kraju, aktywnie uczestniczył w naszych zmaganiach. Ile przecież zawdzięczają mu twórcy niezależnego obiegu drukowanego słowa w Polsce. Choćby Mirek Chojecki, inni; służył radą, pomocą, wspólnie z nimi organizował obszar druku bez cenzury w kraju. Przesyłał książki, zdobywanie urządzeń poligraficznych, zbiórki pieniędzy to drobny udział Andrzeja w tych pionierskich latach wydawania ulotek,

broszur, książek podziemnych. Był także niestrudzonym rzecznikiem upowszechniania kultury polskiej w Federalnej Republice Niemiec. W jego gościnnym domu wszyscy znajdowali przystań. Malarze, pisarze, muzycy. Ilu ludzi przewinęło się przez tę polską enklawę Andrzeja w Kolonii! Pomagał, radził, zabiegał. Był w swojej życzliwości niestrudzony. Ważna była w tym życiu pochłoniętym krajem tolerancja jego żony Eryki, która ze świętą cierpliwością gościła rodaków męża, rozprawiających godzinami w niezbyt zrozumiałym dla niej języku. Były to typowe nocne rodaków rozmowy, pełne wysokiej temperatury, optymizmu i pesymizmu zarazem. Wacek Kisielewski, też nieżyjący, zwykle z rozrzewnieniem wspominał po powrocie do Warszawy wizyty u Andrzeja.

– On wie wszystko – opowiadał. – Jaką gwarą mówią nasi cinkciarze i jaką ostatnio sensacyjką żyje kawiarnia „Czytelnika”.

I tak było zawsze. Choć tyle lat na obczyźnie, mieszkał w szacownym, po mieszczańsku solidnym mieście nad Renem, w dzielnicy, gdzie niegdyś hodował swoje ulubione róże późniejszy kanclerz Adenauer, to przede wszystkim uczestniczył z całym oddaniem w tym, co działo się w kraju. Jako człowiek nie zabiegał o fawory, rozgłos, pozbawiony próżności i pychy. A przecież był świetnym dziennikarzem; jego od lat prowadzone w paryskiej „Kulturze” kroniki niemieckie, złożone z gęstej faktury realiów, informacji, cytatów, spostrzeżeń, bywały częstokroć majstersztykiem syntetycznego obrazu złożonych stosunków między Republiką Federalną a NRD, wnikliwym rejestrem zmieniającego się nastawienia do Polski i Polaków, do Wschodu w ogóle. W tych jak kolaże komponowanych tekstach stałym motywem była sytuacja Polaków w Niemczech, analiza zawikłanych losów ostatnich fal emigrantów politycznych i zarobkowych. W swojej publicystyce przeciwstawiał się wszelkim fobiom, uprzedzeniom i schematom. Wiele uczynił dla zbliżenia narodów żyjących tak blisko siebie. Za tę cenną i wnikliwą kronikę otrzymał zaszczytną Nagrodę Przyjaźni paryskiej „Kultury”. Także był niezastąpiony jako organizator stoiska wydawnictw Instytutu Literackiego podczas Międzynarodowych Targów Książki we Frankfurcie nad Menem. Inne oficyny, Puls, Polonia Book i te krajowe niezależne, również wiele mają mu do zawdzięczenia. Zajmował się wszystkim, poczynając od reklamy i kończąc na dźwiganiu ciężkich pak z książkami. Czynił to z zapałem, w sposób skromny, często niezauważalny. Po prostu jest na miejscu i należy to robić. Tak uważał.

Widywaliśmy się rzadko. Nieczęsto mogłem bywać w Niemczech, te bariery, trudności, dostanę paszport, czy nie – rzecz nigdy nie była

łatwa. Ale ilekroć go odwiedzałem, zwykle po dłuższej przerwie, czułem się, jakbym widział go wczoraj, tyle mieliśmy sobie do powiedzenia. Czas, który nastał w Polsce wraz z wprowadzeniem stanu wojennego, uczynił z nas swoistych współników. Po wydaniu *Raportu o stanie wojennym* i *Notatek z codzienności* w Paryżu i w krajowym obiegu podziemnym zostałem aresztowany i oskarżony o sporządzanie fałszywych opracowań szkalujących Polskę Ludową, jej partię, policję, wojsko itp. Andrzej zaś w tym oskarżeniu występował jako mój współnik właśnie, tam w zachodnim świecie, przedstawiciel wrogich ośrodków czyhających na imperialistyczną aneksję Polski. Pocztówki przesyłane przez niego z Kolonii, informujące mnie o zagranicznych przekładach *Raportu*, były jednym z koronnych dowodów naszej przestępczej działalności. To absurdałne oskarżenie scementowało naszą przyjaźń jeszcze bardziej. Pamiętam z tamtych lat paczuszki z mocnym czarnym tytoniem, przychodziły regularnie i były wzruszającym dowodem pamięci. I te grube, ciepłe skarpety, była zima, siedziałem wtedy w więzieniu.

Tego roku widzieliśmy się ostatni raz. Było to tak niedawno, przełom kwietnia i maja, po tylu latach, dziewięciu bez mała, odwiedziłem go znów w Kolonii. Słoneczna wiosna, nasze spacerowanie nad Renem, obiady w jego domu, mecze ping-ponga z jego synem Stefanem, wizyta w polskiej księgarni „Wawel”. I tyle rozmów, wspominaliśmy tamten czas stanu wojennego, mówiliśmy o nowej sytuacji w Polsce, Okrągły Stół, opozycja i władze zawierają *pacta conventa*, otwierają się szanse, nadzieje. Andrzej bardzo był tym ożywiony.

– Po tylu latach – powiedział – może nareszcie... – zaśmiał się – może i ja będę mógł przyjechać do kraju.

Miał tu przecież ojca, matkę, siostrę, rodzinę.

Moment naszego pożegnania. Dworzec, peron, odchodzi mój pociąg. Macham mu ręką z okna, on też.

Wołamy równocześnie: – Do szybkiego zobaczenia!

Nie ma już Andrzeja. Brak kogoś bardzo bliskiego. Świadomość jego obecności tam w Kolonii wiele dla mnie znaczyła. Jeszcze jedno puste miejsce. Została tylko pamięć. Cześć Andrzej!

* * *

Od dnia śmierci Andrzeja do wydrukowania tego wspomnienia upłynęło już kilka miesięcy, w których nastąpiło wiele nowych wydarzeń. Teraz więc, kiedy w kraju dokonuje się tak istotny przełom, należy w imię pamięci dokonać pełnej Jego rehabilitacji. Został wszakże

niegdyś skazany na wieloletnie więzienie w klasycznym procesie walki z urojonym wrogiem. Będzie to swoista kontynuacja Jego wiary i nadziei, że zniewolona Polska stanie się wreszcie prawdziwą Polską. To też myślę, że w niedawno wybranych organach przedstawicielskich znajdują się ludzie, którzy w poczuciu symbolicznej wagi tego, co nie mogło się dokonać za Jego życia, zajmą się pełną rehabilitacją swego przyjaciela Andrzeja Chileckiego.

Danuta Hiż

Wspomnienie o Alicji Iwańskiej

26 września o godzinie 10.30, w Londynie, zamknęła oczy po raz ostatni Alicja Iwańska. Umierała tak samo świadomie i odważnie, jak żyła przez swoich 78 niełatwych lat. W czerwcu, z bardzo silną chrypką, wróciła do Londynu z kolejnego powrotu do polskiej już Polski, bardzo z niego zadowolona, ciesząc się na następne tam pobyty. Jej książka *Powroty*, czekająca od dwóch lat na publikację u Gebethnera, mówi o jej odwiedzinach Polski po 89 roku.

W Londynie w chrypcie rozpoznano zaawansowanego raka płuc – nieuleczalnego. Dano Alicji 2 do 4 miesięcy życia. Były to złe 4 miesiące – kiedy musiała bronić wewnętrznego skupienia przed zewnętrznym niepokojem przenosin z domu do szpitala, do domu, do szpitala, do kliniki i wreszcie do hospicjum. Wbrew tym przeszkodom czytała, pisała listy, pracowała nad korektą swojej książki *Tylko trzynaście*, zbioru rzeczy pisanych w czasie okupacji „do skrytki”. Dożyła jeszcze pięknego jej wydania przez Oficynę Poetów i Malarzy. Nic ją nie bolało, stawała się tylko coraz słabsza.

Poznałam Alę 62 lata temu, kiedy znalazłyśmy się w tej samej siódmej klasie gimnazjum im. Generałowej Zamoyskiej w Poznaniu. Siedziała o dwa miejsca w prawo ode mnie. Widzę w pamięci jej jaśniejsze od słomy włosy równo obcięte powyżej ramion, jak stojąc wyprostowana w ławce, rezerwowo broni swego punktu widzenia, który odbiegał od panującego tam konserwatywnego etosu. Na ósmą klasę i maturę przenieśli ją rodzice do światlejszej szkoły, w Warszawie. Po maturze kolegowałyśmy się blisko na studiach filozofii w UW, również z późniejszym moim mężem, Henrykiem. Podczas okupacji widywałyśmy się często prywatnie i na kompletach uniwersyteckich, i mijaliśmy się w konspiracyjnym podziemiu, nawzajem nieświadomi wykonywanych tam zadań. Po wojnie znaleźliśmy się wszyscy troje na studiach w USA, utrzymywaliśmy ciepłą przyjaźń, ale po pierwszych kilku latach, oddaleni geograficznie, widywaliśmy Alę już rzadziej, choć korespondowaliśmy do końca.

Alicja Iwańska była – i być chciała – osobą niezwykłą. Inteligentna, o bogatej wyobraźni, przez którą filtrowała doznawanie świata i ludzi. Spostrzegała świat zewnętrzny przez odniesienie do swego wewnętrznego, interpretowała osoby, zdarzenia i kultury, przymierzając je i porównując do własnych. Z łatwością podejmowała decyzje i formułowała opinie, które otwarcie głosiła, nawet te prowokujące lub urażające. Nie peszyło jej, jeżeli były niepopularne, przeciwnie – miała satysfakcję z wyraźnego rysowania własnego konturu i koniecznej do tego odwagi. W przyjaźni była ciepła i lojalna, ale zawsze na straży własnej niezależności. Wymagała swobody: ale traktowała siebie bardzo surowo. Odczuwała nie tylko prawo, ale i obowiązek życia pełnią swoich możliwości umysłowych i uczuciowych, wbrew spotykającym ją katastrofom i nie chcąc opierać się na innych. Była bardzo pracowita. Prace, które przyjmowała z musu, wypełniała uczciwie lub z nich rezygnowała. Zadania, które podejmowała z wyboru, wypełniała z entuzjazmem, z pełnym zaangażowaniem i wzbogacała własną pomysłowością. Zawsze po swojemu. Dlatego chyba była w Ameryce najszcześliwsza przez 3 lata pracy na Uniwersytecie Chicagowskim, gdzie doceniano jej inwentywność, rozmach i wyobraźnię. I zapewne też w Londynie, przez ostatnią dekadę życia – mając wreszcie dość czasu na pisarstwo oraz na patriotyczną pracę dla Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie.

Ale wiejskie dzieciństwo było radosne i wzbogacające. Religijna babka z wielkopolskiego ziemiaństwa, wyzwolona i literacko utalentowana matka, znacznie starszy ojciec, adwokat, społecznie zaangażowany wolnomyśliciel, otaczali ją miłością, pobudzali intelektualnie, darzyli zaufaniem i dostarczali zachęty do pracy nad sobą i do wiary w siebie. Uprzywilejowanie społeczne i materialne nie zdemoralizowało Alicji, przeciwnie, zobligowało ją, aby nigdy nie korzystać z przywilejów, zawsze stać na własnych nogach i maksymalnie rozwijać pracę twórczą.

Od początku wojny sytuacja Ali była trudna. Wysiedlona musiała walczyć o byt i opiekować się matką i babką, nie zaniedbując studiów i jednocześnie wykonując niebezpieczne zadania konspiracyjne w AK. A potem, po przegranej wojnie, w WiN. W roku 1946 udało się jej uniknąć aresztowania i wyjechać do USA dzięki amerykańskiemu wujowi, który wtedy przebywał w Polsce z ramienia UNRRA. Żeby nie zboczyć z zaplanowanej drogi życia, Ala podjęła studia socjologiczne na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Wuj pomógł jej stawiać pierwsze tam kroki, ale etos amerykański i ambicja wymagały od niej

samodzielności. Wykonywała rozmaite doraźne, nisko płatne prace zarobkowe, żeby podołać swoim skromnym wydatkom. Po 3 latach na Columbii i zdaniu tam wszystkich egzaminów musiała szukać pracy w USA. Bo powrót do Polski miała odcięty groźbą aresztowania. Zamiłowania i kompetencje Alicji były akademickie i literackie. Zawsze szukała zajęć nauczycielskich i naukowych, a odmawiała „zaprzędania się businessowi”. Dopóki nie ustabilizowała się na stałe jako profesor Nowojorskiego Uniwersytetu Stanowego w Albany (1965–1985), przechodziła tułaczkę „za pracą” w niepewności jutra i niejednokrotnie cierpiąc niedostatek.

Lata 1950–1952 spędziła na prestiżowym stypendium w Uniwersytecie Chicagowskim, biorąc udział w układaniu programów międzydyscyplinarnych studiów nauk społecznych i w dyskusyjnych zebraniach ze studentami. Żarłocznie korzystała z wykładów i odczytów dostępnych w tej wspaniałej nowatorskiej uczelni. Kontynuowała też tam przerwane przenosinami z Nowego Jorku zbieranie materiałów do zaplanowanej rozprawy doktorskiej o polskich imigrantach, którzy przeżyli niemieckie obozy koncentracyjne. Chodziło jej o porównanie systemów wyznawanych wartości w dwóch krytycznych sytuacjach osobistych: uwięzienia i emigracji.

Przez rok akademicki 1953–1954 wykładała Alicja w murzyńskim college’u w Atlancie (stan Georgia) w zastępstwie urlopowanego profesora. Przeżyła tam głęboko ówczesny apartheid, solidaryzując się z czarnymi kolegami i studentami. Przez następny rok wykładała w Talladega College (stan Alabama), luksusowej protestanckiej instytucji, teoretycznie rasowo zintegrowanej, ale w praktyce prawie zupełnie pozbawionej białych studentów. Nie było tam dla niej przyszłości. Musiała tam bronić swojej wolności akademickiej przed dwoma przeciwnymi naciskami – religijnym, ze strony władz college’owych, i marksistowskim, ze strony dobrze zorganizowanej wokół college’u komunistycznej akcji propagandowej.

Między posadami uniwersyteckimi, a także podczas ich trwania, prowadziła Alicja poważne studia. Robiła przez rok badania terenowe dla Wydziału Socjologii Wsi (Uniwersytet w Pullman w stanie Waszyngton). Lata 1969–1970 spędziła w Chile na intensywnej pracy dla UNESCO nad receptywnością robotniczą na technologiczny postęp. W roku 1980 dokonała ciekawego porównania rządów na obczyźnie: polskiego w Londynie i hiszpańskiego w Paryżu. Chyba najważniejsze były dla niej kilkakrotne pobyty jako obserwator uczestniczący wśród meksykańskich Indian. Rezultaty ogłosiła w książce *Purgatory and Utopia*.

Alicja była sumiennym i twórczym nauczycielem uniwersyteckim. Zawsze życzliwa i pomocna, szczególnie w stosunku do osób poszkodowanych przez sytuację społeczną lub polityczną.

W latach swego amerykańskiego „wygnania” Ala tęskniła do powrotu do Polski i Europy. Po zachodniej stronie Atlantyku identyfikowała się najbardziej z uciśnionymi: amerykańskimi Murzynami lat pięćdziesiątych, Indianami z amerykańskich rezerwatów i Indianami w Meksyku. Alicja nigdy nie polubiła Stanów Zjednoczonych i natychmiast po emeryturze wróciła do Polski... londyńskiej, bo warszawska nie była wtedy jej Polską. A w Londynie zanurzyła się z entuzjazmem w wygnańcze prace polonijne, ze szczególnym oddaniem wykładając i organizując konferencje na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO), który stanowił moralną i umysłową ostoję dla polskiej tam młodzieży.

Nigdy nie przestała być Polką i tylko Polką, i spostrzegą świat w nieustannym porównywaniu z polską kulturą i historią. Alicja była egocentrykiem w tym sensie, że wszystko, czego doświadczała, relatywizowała do siebie. Ala nie była egoistką. Była wrażliwa na innych i pomagała im w zdobyciu warunków do samorealizacji. Była serdeczna i niestrudzona. Ale pozostawała uparcie niespętana. Jej wielka pierwsza miłość i małżeństwo z Janem Gralewskim było związkiem dwóch żyć dążących do pełni. Jedno zgasło 53 lata temu, w katastrofie gibraltarskiej, drugie dopełniło się niedawno.

Alicja zostawiła wiele prac naukowych i literackich. Dla mnie jednak najdroższe są zawsze jej poezje, szczególnie te z lat przedwojennych i z czasu wojny.

Andrzej Dobosz

Droga Romana Zimanda

W 6. tomie *Dzieł* Stanisława Ossowskiego można znaleźć list profesora do redakcji „Myśli Współczesnej” w związku z recenzją jego książki *U podstaw estetyki*, która ukazała się w numerze 2. tego pisma z roku 51. „Już pierwsze ustępy sprawozdania – powiada Ossowski – świadczą, że autor recenzji nie rozumiał zupełnie, czym się zajmuje książka, o której pisze. Widoczna dezorientacja w zagadnieniach, brak wyrobienia logicznego i jawne nonsensy sprawiają, że recenzja ta nie wprowadzi zapewne w błąd inteligentniejszych czytelników, pomimo fałszywych informacji – podanych być może w dobrej wierze...”. Stanisław Ossowski pomija nazwisko recenzenta. Był nim Roman Zimand.

Zimand urodził się we Lwowie w roku 1926. Napadając na Ossowskiego, miał już 24 czy 25 lat. W roku 39 miał lat trzynaście. Po wkroczeniu bolszewików do Lwowa jego ojciec, właściciel tartaku i fabryki klepek parkietowych, został aresztowany i wkrótce zmarł w więzieniu. Roman z matką został wywieziony do Kazachstanu. Wrócił do Polski w roku 45. W pierwszym powojennym dziesięcioleciu był zdecydowanym stalinowcem, do czego się zawsze z goryczą przyznawał. Czas jednak zwrócić uwagę, że słowem tym określa się zarówno dobrze wykształconych inteligentów, wychowanków przedwojennych uniwersytetów, uczestników najlepszych seminariów – pierwszy mianowany prezes Polskiej Akademii Nauk miał za sobą studia specjalistyczne w Wiedniu, Villefranche, Neapolu i Stanach Zjednoczonych i był profesorem uniwersytetu od roku 1934. Roman Zimand nie przeszedł przez gimnazjum i między czternastym a dziewiętnastym rokiem życia był pozbawiony dostępu do ważnych książek. W tekście *Gatunek: podróż* wspomina o lekturach swego dzieciństwa. W wieku lat jedenastu był to *Świat przygód*, *Sierżant King z Królewskiej Konnej*, *Lord Lister*. Dwunastoletni należał do wypożyczalni i nic nie było go w stanie oderwać od Maxa Branda, Paula de Kruifa (*Łowcy mikrobów*), Nasielskiego czy *Dialogów* Platona. Gdy na wystawach lwowskich księgarń pojawiło się *Życie seksualne dzikich*, użył błagań i udało mu się wypożyczyć tę książkę. „Rozczarowanie. Rozczarowanie i męka. Bo

zaciąłem się i przeczytałem do końca”. Nie zamierzam posunąć się do przypuszczenia, że całkowite odcięcie od dobrych książek i dostęp jedynie do bardzo złych wystarcza, by wyjaśnić wybór dokonany przez młodego Zimanda. Myślę jednak, że ta okoliczność powinna być przypomniana. Tym bardziej że następująca wyraźnie gdzieś od roku 55 jego ewolucja wyprzedza wydarzenia polityczne i łączy się z coraz bardziej rozległymi lekturami. Felietonista „Po Prostu”, używający pseudonimu Asmodeusz, został w roku 57, w chwili zamykania tygodnika, usunięty całkiem słusznie i w samą porę z PZPR. Przypominam stalinowski okres Zimanda nie tylko dlatego, że w dalszym ciągu mam już do powiedzenia niemal jedynie dobre rzeczy. On sam zawsze o tym pamiętał, a pamięć ta obciąża wydaną teraz, pośmiertnie, jego książkę *Materiał dowodowy*. Z 311 stron tego tomu tekst tytułowy, ogłoszony tu po raz pierwszy, liczy stron 70. Rozpoczęty w czerwcu 69 miał w zamierzeniu autora stanowić kompletne, analityczne oskarżenie systemu komunistycznego, ze szczególnym uwzględnieniem jego działania w Polsce. Równocześnie autor dopuszczał myśl, a nawet zakładał, że jego rękopis wcześniej czy później wpadnie w ręce policji, a sala sądowa podczas jego własnego procesu będzie jedynym miejscem, gdzie zdoła przedstawić swe tezy. Pomysł ten jest świadectwem nastroju z czasów, gdy znane mi nielegalne teksty krajowe ograniczały się do pięciu kopii maszynopisu. Czytany dzisiaj *Materiał dowodowy* jest zabytkiem archeologicznym. Rozważnie rozstawionymi bateriami artylerii dokoła twierdzy, której załoga się wymknęła i której murów nikt już nie zamierza bronić. Tekst jest inteligentny i nie całkiem nudny, nie wytrzymuje jednak porównania z innymi pracami nie dość znanego autora. Po dwu latach powolnego pisania *Materiału* Roman Zimand usłyszał w Wolnej Europie omówienie artykułu Leszka Kołakowskiego *Tezy o nadziei i beznadziejności* – „Kultura” nr 6/71 – i uznawszy, że to co napisał, może zostać wzięte za p o w t ó r k ę, porzucił swą pracę. Jakkolwiek sam *Materiał dowodowy* trudno dziś uznać za lekturę pierwszej potrzeby, czas poświęcony na jego pisanie nie został zmarnowany. Od roku 76 Roman Zimand jako Leopolda współpracował z „Kulturą”, a potem z pismami podziemnymi w kraju. Niewielki zbiór *Tekstów cywilnych* Leopolda ukazał się w roku 83 jako 386. tom Biblioteki „Kultury”. Autor z powodzeniem zrealizował swój program: „Widzieć jasno, myśleć poprawnie, mówić zrozumiale”. Ponieważ uważał komunistyczną władzę za ledwie jeden z elementów rzeczywistości, a znacznie bardziej zajmowały go zachowania drugiej strony konfliktu, czyli zróżnicowanego społeczeństwa, to choć sprawy,

którymi się zajmował, są przebrzmiałe, załatwione lub raz na zawsze zaprzepaszczone, te artykuły polityczne sprzed lat dają się wciąż czytać z zainteresowaniem, a pochodzący z roku 79 rozdział *Po co partii potrzebna jest partia?* wydaje się niezastąpioną lekturą dla wszystkich, którzy chcą dobrze zrozumieć, co działo się w naszym kraju między rokiem 45 a 89. Ten mający 24 strony artykuł spełnia wszelkie rygory poważnego studium socjologicznego, wyjaśniając zarazem przekonująco rzeczy nieoczywiste w sposób, który byłby zapewne zrozumiały dla niewykształconego czytelnika popularnej gazety, a nie znudziłby uczonego profesora. Podejrzewam zresztą, że to studium jest rezultatem nie tylko bystrej obserwacji i rozumowania, ale także głęboko przemyślanych i maksymalnie spożytkowanych osobistych doświadczeń. Wniosków, do których dochodzi Zimand, nie dałoby się wyprowadzić z teoretycznej socjologii czy krytycznego studiowania dokumentów. Ale doświadczenia są całkowicie zobiektywizowane, oczyszczone z wątków osobistych. Natomiast w *Materiale* zdarzają się jeszcze akcenty liryczne, nawet obelgi pod adresem wymienionych z nazwiska funkcjonariuszy aparatu, zapewne zresztą całkiem zasłużone.

Po zamknięciu „Po Prostu” obłożony zakazem druku w prasie Zimand został przygarnięty w Instytucie Badań Literackich, czy może tam zesłany. Nie miał ani porządnego przygotowania filologicznego, ani nie mógł wtedy konkurować z czołówką krytyków literackich ze szkoły Wyki. Jego pierwsza książka IBL-owska, *Dekadentyzm warszawski*, inteligentna, oparta na rozległym materiale, przypominała jednak chwilami bardziej tekst konferansjera niż poważną rozprawę. Wczesny Zimand miał silną skłonność do ulegania małemu demonowi: potrzebie nieustannego dowcipkowania. W IBL-u był niezawodnym i cenionym uczestnikiem wszystkich sesji i dyskusji naukowych, czego potwierdzeniem może być jego obecność w indeksach nazwisk wielu książek, które tam powstały. Mogło się jednak zdarzyć – tyle że zdarzało się to coraz rzadziej – że ulegnie pokusie i ściągnie debatę na poziom żarcików. Odznaczał się też znaczną inwencją językową, czasem skrajnie niezdyscyplinowaną. Jeszcze w tomie *Czas normalizacji* – Londyn 89, można znaleźć zdanie: „Dalej »jedziemy« drwiną”. Stanisława Ossowskiego wzburzyło słowo „zakontemplowany”, w dodatku użyte tak, że można było pomyśleć, że jest to nowotwór samego Ossowskiego, a nie Zimanda. Ale Zimand, jeden z czynnych twórców rozkwitającej w środkowym okresie PRL-u literatury mówionej, ustawicznie szlifował swój styl i oczyszczał ton. Literatura mówiona po-

wstawiała na pograniczu fabuły, komentarza politycznego, felietonu obyczajowego, przeglądu prasy, nawet eseju. Czasem była to relacja z zasłyszanej audycji zachodniego radia wzbogacona o komentarz i przewyższająca swym poziomem oryginalną emisję. Zapamiętałem z tych czasów rzecz Jerzego Jedlickiego o Koziej-Żukowej Barbarze. Była to osoba wysyłana do sejmu PRL, zawsze z tego samego okręgu co Władysław Gomułka, tyle że z reguły na ostatnim mandatowym miejscu. Nikt z ludzi normalnych nic o niej ani złego, ani dobrego nie wiedział. Miała tylko zebrać nieco niższy procent głosów niż pierwszy sekretarz. Jedlicki, historyk przyzwyczajony do analizowania papierów z kancelarii gubernialnego marszałka szlachty i rachunków przedsiębiorstw hutniczych, zdołał przebrnąć przez sprawozdania komisji wyborczej, sprawiające wrażenie wytworów czystej, lecz zupełnie nieinteresującej fikcji, by móc opowiedzieć, ile to setek osób, według komunikatu, musiało wejść na Pradze za kotarę, co w zasadzie było źle widziane, a już szczególnie w okręgu tow. Wiesława – po to tylko, by łagodnie dokuczyć Koziej-Żukowej, nie skreślając jednak przy tej okazji samego Gomułki.

Roman Zimand stał się z czasem wybitnym krytykiem, specjalistą od dzienników, przedstawiając najpierw w IBL-u, a potem ogłaszając za granicą studia o dziennikach Adama Czerniakowa, Andrzeja Bobkowskiego, Tyrmanda. Jak zwykle w najlepszych pracach Zimanda są to rozprawy dotyczące wielu zakresów równocześnie. Subtelne analizy technik narracyjnych, tam gdzie prostodusznie dostrzegalibyśmy jedynie prosty zapis faktów, łączą się harmonijnie i w sposób naturalny z socjologią i komentarzem historycznym. Najbardziej lubię z nich tekst o Bobkowskim, mogący zachęcić nowych czytelników do poznania tego pisarza, ale także bardzo zajmujący dla mnie, który od 35 lat często i z upodobaniem wracam do Bobkowskiego.

Materiał dowodowy zawiera też esej o *Zaproszeniu* (jeszcze do ZSSR) Claude'a Simona. Już książeczka francuskiego noblisty wymaga skupionej uwagi. Zimand wystawia czytelnika na jeszcze cięższą próbę, w pełni go jednak wynagradzając. Po kapryśnym esej o Simone, będącym też solidną rozprawą o gatunku literackim „podróże do ZSSR”, następuje w ostatniej książce najpiękniejszy utwór Romana Zimanda, *Gatunek: podróż*, który po raz pierwszy ukazał się w „Kulturze” w roku 83. Jest to opis podróży do sowieckiego Lwowa jesienią 81, wspomnienia dzieciństwa, precyzyjne studium konfliktowego, lecz pokojowego współżycia w przedwojennym Lwowie różnych grup:

Ojciec, który chodził jedynie do chederu, bo na jeszybot nie było już pieniędzy, władał pięcioma językami: hebrajskim, jidysz, niemieckim, polskim i ukraińskim, choć myślę, że po ukraińsku pisać nie umiał. Nikt nie uważał tego za coś niezwykłego. Przypuszczam nawet, że nikt tego nie zauważał. „Prawdziwe” obce języki to był francuski, angielski. Zapytany przed I wojną, ojciec powiedziałby zapewne, że żadnego obcego języka nie zna...

Wiedza o istnieniu antysemityzmu miała różne skutki. W tym również zabawne. Uczyłem się dobrze i bez trudu. Ale jedynym przedmiotem mojej troski było mieć jedynekę z gimnastyki. Jedynekę, tzn. bardzo dobrze. Bo jeśli źle gimnastykował się czy partaczył w futbolu, powiedzmy, Tadzio T., znaczyło to jedynie, że Tadzio jest ciapa. Ale gdybym źle gimnastykował się ja... o, to inna sprawa. Grałem w nożną czy w dwa ognie z jakimś niejasnym pocuciem, że kopię i biegam za zbiorowość, za którą czuję się odpowiedzialny.

Jest wreszcie *Gatunek: podróż* dyskretnym poematem o powrocie syna marnotrawnego.

Zajmując się polskim modernizmem, nie umiał się oczywiście Zimand ograniczyć do samej tylko literatury pięknej. Rezultatem jego zainteresowań stało się studium z roku 67 *Uwagi o teorii narodu*, w którym z wzorowym obiektywizmem dokonał analizy poglądów ideologów polskiego nacjonalizmu na kwestię narodową. Doszedł też do wniosku, że więź narodowa stanowi najtrwalszy typ więzi społecznej znany nam współcześnie i tworzy najdonioślejszy typ zakorzenienia społecznego, mogąc być przy tym zarówno podstawą wielu pozytywnych rodzajów zachowań, jak i ciemnego szowinizmu. Po ćwierćwieczu ta praca wydaje się ważniejsza od szkiców dotyczących komunizmu. Do kwestii zasady narodowej jako bezspornej wartości, wchodzącej jednak często w konflikt z innymi wartościami, wracał Zimand parokrotnie w szkicu *Trzy dylematy zasady narodowej*, przedrukowanym również w obecnym tomie. On sam stanął w obliczu drastycznego konfliktu wartości, gdy w roku 69 zostając w Polsce, co uważał za naturalne, musiał za to zapłacić rozstaniem się ze swą małą, ukochaną córką, którą jej matka zabrała ze sobą na emigrację. Wówczas zaczął pisać *Materiał dowodowy*, a równocześnie *Noty*. Jest to przejmujący dziennik ojca; oba teksty są ściśle ze sobą związane. Autorka obecnego wyboru, Dorota Siwicka, włączyła je do książki, uzasadniając to ich autobiograficznym charakterem. Jest to jednak autobiografia bardzo niekompletna. Natomiast biografia Zimanda wydaje mi się ostatecznie zawierać tajemnice, których nie umiem sobie wyjaśnić. Skoro odszedł i nie możemy go już męczyć pytaniami, pozostaje obcowanie z jego tekstami. Zostawił kilka znakomitych, w różnych rodzajach literackich. Trzeba wymienić jeszcze koniecznie *Piołun i popiół*. Czy Polacy i Żydzi wzajem się nienawidzą? Roman Zimand,

Polak i Żyd, dokonuje w nim gorzkiego bilansu, nie oszczędzając żadnej ze stron, mieszając jak zwykle socjologię z historią i tym razem jeszcze z rachunkiem sumienia. Chciałoby się powiedzieć, że to wyliczenie obopólnych przewin odznacza się pełną symetrią, gdyby nie to, że zostało napisane w najczystszej polszczyźnie.

Rafał Habielski

Świadectwo obecności Stefania Kossowska (1909–2003)

Była dziennikarką próbującą sił w wielu gatunkach publicystycznych oraz autorką krótkich form prozatorskich; człowiekiem słowa drukowanego, a przez związek z Radiem Wolna Europa również mówionego. Była przedstawicielem „klasy” inteligenckiej, która w swojej niedawnej jeszcze okazałości i przejawach działania w zasadzie już nie istnieje.

Śmierć Stefanii Kossowskiej zamknęła rozdział w historii emigracji powojennej. Była także wydarzeniem mieszczącym się w najnowszych dziejach polskiej kultury. Odeszła osoba, której zawodowy związek z dziennikarstwem, rozpoczęty w połowie lat trzydziestych, trwał niemal do ostatniego okresu życia i której biografia jest przykładem losów polskiej inteligencji w XX wieku.

Stefania Kossowska, córka Stanisława Szurleja, adwokata należącego do czołówki palestry dwudziestolecia, występującego w najśłynniejszych procesach politycznych lat dwudziestych i trzydziestych, sympatyka Narodowej Demokracji, urodziła się we Lwowie w 1909 roku. W rok po odzyskaniu przez Polskę niepodległości rodzice via Poznań przenieśli się do Warszawy, gdzie uczyła się w gimnazjum im. Juliusza Słowackiego. W 1928 roku rozpoczęła studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, od początku ich trwania świadoma, że kariera jurystyczna nie stanowi jej powołania.

Pod wpływem osób, które spotykała w warszawskim mieszkaniu Szurlejów przy Alejach Ujazdowskich – Stanisława Strońskiego, Kornela Makuszyńskiego, Stanisława Strzetelskiego i mającego szczególne przywileje Adolfa (Ady) Nowaczyńskiego, częstego gościa także w Słupi koło Jarocina, gdzie Szurlejowie mieli odwiedzany głównie latem rezydencjonalny dwór – przed pierwszą wojną światową własność zarządcy lasów należących do Hohenzollernów – zdecydowała się spróbować sił w dziennikarstwie. Debiutowała (jako Szurlejówna) w kobiecym „Bluszczu”, jednak stałą współpracę, zgodnie z orientacją wyniesioną z domu, nawiązała z warszawskimi dziennikami i czasopismami o orientacji narodowej. Pisywała do dzienników „ABC” i „Wie-

czór Warszawski”; nowele i opowiadania drukowała w wydawanym w Katowicach chadeckim dzienniku „Polonia”. W 1935 roku związała się z tygodnikiem „Prosto z Mostu” Stanisława Piaseckiego, najlepszym prawicowym czasopismem kulturalnym ukazującym się przed wojną. Oprócz aktualnej publicystyki i recenzji prowadziła w nim cykl „Tajemnice Twórczości”, w ramach którego przeprowadziła wywiady z Janem Paradowskim, Heleną Boguszewską i Jerzym Kornackim, Adolfem Nowaczyńskim i Marią Kuncewiczową.

Właśnie w „Prosto z Mostu” (1935, nr 48) opublikowała reportaż *Dwa Wilna*, który odbijał sposób myślenia, jakiemu wówczas hołdowała w kwestiach narodowych. Tekst ten godzien jest wspomnienia nie tylko dlatego, że zyskał aprobatę Stanisława Mackiewicza, redaktora wileńskiego „Słowa”, co stanowiło nie byle jaki awans dla początkującej autorki, ale przede wszystkim dlatego że był dowodem wielokrotnie później zaznaczanej woli chodzenia pod prąd stereotypowych i uładowanych ocen. Był także przejawem umiejętności pisania o mieście jako takim, co za jakiś czas rozwinie się w specjalność Kossowskiej.

W 1938 roku „Prosto z Mostu”, które mecenas Szurlej reprezentował w procesach prasowych, wysłało ją do Rzymu na uroczystości kanonizacyjne Andrzeja Boboli. Efektem tej wyprawy były reportaże ogłoszone w tygodniku oraz poznanie dwóch osób, które zaważyły na jej życiu. Malarza i asystenta warszawskiej ASP Adama Kossowskiego i Mieczysława Grydzewskiego, redaktora „Wiadomości Literackich”, który zaproponował jej współpracę z tym najgłośniejszym pismem dwudziestolecia.

Ślub z Kossowskim odbył się w końcu października 1938 roku, wydarzenie to odnotowała warszawska prasa, a młoda para zamieszkała nieopodal Sejmu (i mieszkania rodziców) przy ul. Matejki. Spotkanie z Grydzewskim natomiast miało przynieść efekty dopiero za jakiś czas. Póki co Kossowska odmówiła pisywania w „Wiadomościach”, jak nietrudno zgadnąć, ze względu na złą sławę, jaką tygodnik ten cieszył się w środowiskach narodowych widzących w nim splot wszystkiego co najgorsze w polskim życiu kulturalnym.

Oceny te przyszło już niebawem zweryfikować. We wrześniu 1939 roku, rozdzielona z mężem, zesłanym w 1940 roku w głąb Związku Sowieckiego, podróżując wraz z rodzicami pielgrzymim szlakiem przez Kuty i smutnej pamięci most na Prucie, znalazła się w Paryżu i, podobnie do wielu emigrantów, jej życie zaczęło biec rytmem sprzyjającym innemu patrzeniu na to, co niedawno jeszcze wydawało się poza

dyskusją. Rozpoczęła współpracę z „Wiadomościami Polskimi” założonymi, albo raczej wskrzeszonymi, w Paryżu przez Grydzewskiego. Poświęcała mało czasu na pisanie zajęta pracą biurową w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji. Po klęsce Francji ewakuowała się do Londynu. Przyjechała na dworzec Paddington pociągiem wiozącym prezydenta Raczkiewicza, którego na peronie witał król Jerzy VI. Po zakończeniu wojny nie miała wątpliwości, gdzie jest jej miejsce.

Z karierą urzędniczą definitywnie pożegnała się w początku lat pięćdziesiątych. Rozstała się wówczas z Polish University College, z którego lada moment wyrósł Polski Uniwersytet na Obczyźnie, i wróciła do pisania. Na trwałe związała się wówczas z „Wiadomościami” (już bezprzymiotnikowymi) Grydzewskiego. Współpracy z tygodnikiem towarzyszyła nierozpoznana jeszcze do końca publicystyka w londyńskim „Dzienniku Polskim” oraz „Tygodniu Polskim”, jego weekendowej wersji, gdzie drukowała felieton pod nagłówkiem *Ważne i nieważne*.

W połowie lat pięćdziesiątych zaczęła pisać dla Radia Wolna Europa, przed którego londyńskimi mikrofonami była częstym gościem, współpracowała również z sekcją polską BBC. Mówiła głównie o wydarzeniach kulturalnych poza krajem i o wydanych na obczyźnie książkach, nie uważając się, nawiasem mówiąc, za urodzonego człowieka radia – miała zastrzeżenia do brzmienia swojego głosu. Cieszyła się jednak uznaniem, co potwierdzają zachowane skrypty jej audycji.

Głównym polem aktywności były jednak „Wiadomości”. Od 1954 roku Kossowska publikowała w tygodniku felieton sygnowany *Big Ben* (a w sezonie wakacyjnym *Big Ben w podróży*), który konkurował popularnością z twórczością mistrzów gatunku, choćby Zygmunta Nowakowskiego. W felietonistyce i okolicznościowej publicystyce dała się poznać jako właścicielka rozpoznawalnego, niewidocznego jakby stylu, zwracającego uwagę zwięzłą prostotą naturalnie łączącą się, jeśli trzeba było, z monumentalnym patosem.

Spora część jej felietonistyki była udaną, w sensie efektów tego zabiegu, próbą spotykania i osvajania Polaków z Londynem, nieuznanym przez emigrantów ani za piękne, ani tym bardziej za swoje miasto. Sympatia do Londynu i umiejętność pisania o nim, w jakimś stopniu także sympatia do Anglii czy nawet Wielkiej Brytanii, emocja równie rzadko spotykana wśród emigrantów, przekładająca się na przełamywanie antywypsiarskich fobii londyńskich Polaków, sąsiadowała w postawie i publicystyce Kossowskiej z patriotyzmem emigracyjnym.

Zapewne już po wojnie czuła się współtwórczynią polskiego Londynu, na którego mapie takie punkty, jak Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, zakładany przy współudziale mecenasa Szurleja, nieodległa od niego Biblioteka Polska oraz siedziby innych instytucji, towarzystw i organizacji emigracyjnych wyznaczały granice niepodległej Polski. Świata uzupełnionego polskimi księgarniami, kawiarniami, sklepami z kiszonymi ogórkami i marynowanymi grzybami, innymi słowy świata, w którym można było czuć się u siebie. Teksty poświęcone temu światu, w którym dostrzegała zwyczajną codzienność graniczącą z misją emigracji pojmowanej jako zakon walczący o wolność swego kraju, wzmacniały wartości składające się na polskość pielęgowaną poza Polską.

Jeśli chceć dzisiaj zrozumieć, czym było tak rozumiane nieprzejednanie, wystarczy rzucić okiem na te jej teksty, które układając się w kronikę polskiego Londynu, jednocześnie współtworzyły kodeks emigranta kompletnego. Przeczytać te, które budowały legendę Andersa, objawiały sceptycyzm wobec idei budowy Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego nadwyrażającego topografię „starego”, powojennego polskiego Londynu, protestowały przeciw przenoszeniu do kraju prochów pisarzy zmarłych poza krajem. Rzucić okiem na napisany w 1991 roku dla „Dziennika Polskiego” i wydrukowany w formie ulotki krótki tekst, manifest właściwie (*Dziesiąte przykazanie*) sprzeciwiający się pomysłowi przeniesienia do kraju zbiorów Instytutu Historycznego im. Sikorskiego od lat sześćdziesiątych noszącego imię Instytutu Polskiego i Muzeum Polskiego im. gen. Sikorskiego.

W sensie politycznym jej publicystyka była dowodem twardej niezłomności, postawy odrzucającej wszystko, co było choćby nikłą emanacją Polski Ludowej, zarówno w sferze polityki, jak i mentalności, stylu myślenia i sposobu bycia. W sensie społecznym głosem przeciw wszystkiemu, co narażało na szwank więzi stanowiące tkankę życia poza krajem.

Formy obecności Kossowskiej w polskim Londynie wyznaczały nie tylko zalety jej pióra. Od połowy lat sześćdziesiątych dom Kossowskich w londyńskim Fulham, przy Chesilton Road, w którym mieściła się pracownia męża, stał się oazą gościnności, zwracając uwagę wszystkich go odwiedzających klimatem niewymuszonej, artystycznej elegancji. Przez salon na ostatnim piętrze przewinął się bodaj cały literacko-artystyczny polski Londyn z Mieczysławem Grydzewskim na czele, człowiekiem z zasady nieskładającym wizyt. Bywały tu

osoby stanowiące trzon „Wiadomości” i współpracownicy pisma tymczasowo goszczący w Londynie, jak choćby Kazimierz Wierzyński.

Bliski związek Kossowskiej z „Wiadomościami”, utrwalony opublikowaniem tomu felietonów (*Mieszkam w Londynie*, Londyn 1964) oraz antologii tekstów drukowanych w tygodniku (*Wiadomości na emigracji*, Londyn 1968), spowodował, że pani Stefa, jak mówili o niej przyjaciele, znalazła się w wąskim gronie osób, które mogły, nie tylko mocą swoich kompetencji, ale i związków z pismem, zastąpić Grydzewskiego w jednoosobowej redakcji pisma. Po pierwszym ataku jego choroby, w jesieni 1966 roku, i po drugim, znacznie poważniejszym, który nastąpił w rok później, tygodnik prowadził Michał Chmielowiec. Okazało się jednak, że i stan jego zdrowia uniemożliwiał całkowite poświęcenie się pismu. Kossowska zaczęła zatem redagować „Wiadomości”, początkowo wspierając lub zastępując Chmielowca, a po jego śmierci w 1974 roku robiąc to już całkowicie na własną odpowiedzialność.

Sprawie tej wypada poświęcić kilka słów. Mieczysław Grydzewski, założyciel i de facto właściciel pisma, nie pozostawił ostatniej woli precyzującej los tygodnika po swojej śmierci. Wielokrotnie jednak mówił, że chce, by „Wiadomości” skończyły się honorowo, to znaczy, by nie wiodły żywota pisma byle jakiego. Nie wiadomo jednak, czy oznaczało to, że nie życzył sobie, by pismo ukazywało się po jego śmierci, czy też, by redagował je ktokolwiek poza nim. Rozstrzygnięcie problemu komplikował fakt, że w początkach choroby Grydzewskiego egzekutorzy jego nieistniejącego testamentu, w tym Kossowska i Chmielowiec, brali pod uwagę jego powrót do zdrowia; to zaś czyniło bezprzedmiotowe dyskusje, co robić z „Wiadomościami”.

Pozostawiając na boku kwestię, czy wydawanie tygodnika od czasu choroby Grydzewskiego, który w klinice manifestacyjnie, bez czytania, odkładał przynoszone mu kolejne numery, zgodne było z jego wolą, czy też nie, decyzja ta nałożyła na Kossowską brzemień, o które nie zabiegała, w przeciwieństwie np. do Józefa Łobodowskiego widzącego się za redakcyjnym biurkiem „Wiadomości”. Z ciężaru przyjętej odpowiedzialności, co przyznała po latach, nie zdawała sobie sprawy, ufając zapewne redakcyjnej dewizie Grydzewskiego, chętnie zapewniającego, że pismo robi się samo. Miało to wyglądać w sposób następujący: poczta przynosi kolejne porcje materiałów, a redaktor je adiustuje i układa w kolejny numer pisma. Okazało się, że nie jest to takie proste.

Wychodzące w Londynie od 1946 roku „Wiadomości”, kontynuacja wojennych „Wiadomości Polskich” i przedwojennych „Wiadomości Literackich”, były instytucją życia kulturalnego poza krajem, tygodnikiem, z którym współpracowała większość najwybitniejszych piór emigracyjnych. Upływ lat znacznie przetrzebił grono autorów, w Londynie tygodnik nadal pojmowany był jednak jako wizytówka jego dokonań. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, czyli w czasie, w którym Kossowska obejmowała redakcję, „Wiadomościom”, zaczęło brakować autorów i czytelników. Generacja założycieli emigracji, śladem Strońskiego, Andersa, Grydzewskiego i wielu innych, schodziła ze sceny, co nakładało na redaktorkę obowiązek godnej kontynuacji sprzężony z walką o przetrwanie tygodnika.

Odpowiedź na pytanie, czy zadaniu temu stawiała czoło, nie należy do łatwych. Przygotowała, mający objętość grubej książki, specjalny numer tygodnika z okazji przypadającej w początkach 1974 roku pięćdziesiątej rocznicy założenia „Wiadomości Literackich”, zawierający ozdobione rysunkami Feliksa Topolskiego i wydrukowane na specjalnym papierze faksymile pierwszego numeru. Szukała atrakcyjnych tematów i wiązała z pismem nowych autorów, w tym wychodźców marcowych 1968 roku. Los tygodnika przesądziła jednak nie jego wartość, znajdująca nawiasem mówiąc krytyków w Londynie i poza nim, ile kurcząca się z miesiąca na miesiąc kartoteka prenumeratorów. W końcu 1980 roku samotnie urzędująca w redakcji przy Great Russell Street w Bloomsbury, w opustoszałym, przeznaczonym do remontu domu vis-à-vis British Museum, Kossowska podjęła decyzję o zamknięciu „Wiadomości”, dochowując wierności woli Grydzewskiego, „by skończyły się honorowo”. Ostatni numer ukazał się wiosną 1981 roku.

Decyzja ta wywołała nie mniej emocji i komentarzy niż tamta sprzed kilkunastu lat o kontynuowaniu wydawania pisma. Zdaniem niektórych, m.in. Józefa Garlińskiego, prezesa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, tygodnik był do uratowania. Inni twierdzili z kolei, że jeśli miał przestać wychodzić, wybrany został najlepszy moment. Oczy wszystkich zwrócone były na to, co działo się w kraju, i mogło się wydawać, że misja „Wiadomości”, będących od zakończenia wojny forum wolnego słowa, została wypełniona.

Namiastką egzystencji tygodnika była utrzymana z inicjatywy Kossowskiej, przy materialnym wsparciu Jana Badeniego, nagroda „Wiadomości”. Przyznawana od 1958 roku dla najlepszej książki polskiej wydanej na obczyźnie była dowodem znaczenia pisma, a zarazem

próbą hierarchizowania życia literackiego poza krajem. Kossowska przewodniczyła jury od 1976 roku, a w początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy uznała, że na skutek zmian w kraju kontynuowanie nagrody przestało mieć sens, zdecydowała o jej likwidacji. Pożegnaniem z tą ostatnią już formą „Wiadomości” były opublikowane przez nią dyskusje jurorów poprzedzające i komentujące przyznawanie nagród. Książka, która jest dzisiaj znakomitym źródłem do dziejów kultury literackiej poza krajem, zatytułowana została *Od Herberta do Herberta. Nagroda „Wiadomości” 1958–1990*, na pamiątkę fundatora pierwszej – Auberona Herberta, i laureata ostatniej – Zbigniewa Herberta.

Od 1986 roku kontynuacją pracy redakcyjnej stało się dla Kossowskiej kierowanie „Środą Literacką”, dodatkiem do londyńskiego „Dziennika Polskiego”, w pewnym sensie także współpraca z Polską Fundacją Kulturalną, dla której opiniowała maszynopisy i redagowała książki przyjęte do druku.

Nie rezygnowała przy tym z publicystyki. W połowie lat osiemdziesiątych rozpoczęła współpracę z „Kulturą”, w której wcześniej obecna była jako autorka listów do redakcji, wyrażających bardzo londyński punkt widzenia. Za debiut w miesięczniku Jerzego Giedroycia uznać można wart przypomnienia wspomnieniowy tekst poświęcony Władowi Zbyszewskiemu, zmarłemu w 1985 autorowi „Kultury” i „Wiadomości”. Stała się „płaczką emigracyjną”, co oczywiste, jeśli pamiętać, że z upływem czasu należała do coraz węższego kręgu osób, których pamięć spinała dwudziestolecie, wojnę i czasy powojenne.

Pisanie w „Kulturze” było jednak nie tylko wymogiem upływającego czasu. Było dowodem zacierających się różnic i odchodzących w przeszłość animozji między Londynem a Giedroyciem oraz umiejętności przewartościowywania przekonań. Mimo swej manifestowanej dawniej niezłomności nigdy wprost nie krytykowała linii miesięcznika Giedroycia, niemniej „Kultura” i „Wiadomości” były dwoma nieprzenikającymi się światami. Teraz, nie zapominając przecież ani o wartościach, z jakimi identyfikowała się po wojnie, ani o bagażu wyniesionym z domu i środowiska swojej młodości, stawiała się nie tylko autorką wspomnień o zmarłych, w tym przejmującego wspomnienia o Ksawerym Pruszyńskim, z którym w wojennym Londynie łączyła ją więcej niż przyjaźń, lecz także ukrytą pod pseudonimem Quidnunc krytyczną recenzentką londyńskiego establishmentu, próbującego odnaleźć sens działania w warunkach wolnej Polski i emigracji, która po

1989 roku przestawała być emigracją, nie bardzo wiedząc, czym ma być dalej.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć o dwóch podobnych w charakterze książkach, do których powstania przyłożyła rękę. W 1989 roku w londyńskiej „Polonii” ukazał się wybór nieznannej szerzej wojennej publicystyki Ksawerego Pruszyńskiego, odkłamujący wizerunek pisarza, któremu w PRL nadano wymiar „postępowego”, a tym samym „proradzieckiego”. W trzy lata później Instytut Literacki wydał powojenne artykuły Wacława Zbyszewskiego (*Zagubieni romantycy i inni*) zarówno przez Kossowską, jak i Giedroycia uznawanego za jednego z najwybitniejszych polskich publicystów.

Próbując opisać aktywność Pani Stefy, trzeba wspomnieć o jej zaangażowaniu w działalność społeczną. Była patriotką Instytutu Historycznego i emigracyjnego Związku Polek. W 1971 roku weszła w skład Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim, instytucji działającej do dnia dzisiejszego, mało znanej, a zasługującej na dobrą pamięć. To z inicjatywy Komitetu w początku lat pięćdziesiątych założony został w Beckenham (Kent) „Antokol”, dom dla zasłużonych starszych osób, w którym mogły wieść godziwe życie, mając zapewnioną wszechstronną opiekę; jego rezydentami byli między innymi, kojarzeni z bardzo odległą już przeszłością, Władysław Studnicki czy Karol Niezabytowski. Z biegiem czasu Kossowska weszła do Zarządu Komitetu, pracowała w komisji „domowej”, zwracającej uwagę na relacje, zwykle zresztą więcej niż poprawne, między rezydentami i personelem.

Właśnie w „Antokolu”, który w 1971 roku przeniesiony został w nowe miejsce, do Chislehurst w gminie Bromley, i w którym mieszkała po śmierci mecenasa Szurleja jej matka, Kossowska przeprowadziła ostatni wywiad ze Stanisławem Swianiewiczem, świadkiem zbrodni katyńskiej. Rozmowa ta, niepozbawiona zaskakujących fragmentów, Swianiewicz bowiem z nieukrywaniem sentymentem wspominał pobyt na Łubiance (ze względów nie tyle politycznych, ile lingwistycznych – lubił, a może nawet więcej niż lubił język rosyjski), była pożegnaniem Kossowskiej z zamykającym się Radiem Wolna Europa.

Ostatni etap jej życia siłą rzeczy sprowadzał się do pożegnań, co oczywiste w podeszłym wieku. W wypadku Kossowskiej oznaczały one jednak nie tyle rozstawanie się, ile porządkowanie i zamykanie tego, z czym trzeba było się rozstać. Przykładem książka o nagrodzie „Wiadomości”, zbiory jej publicystyki (drugi, zatytułowany *Jak*

cię widzę, tak cię piszę ukazał się w Londynie w 1973 roku), zabezpieczenie archiwum „Wiadomości” złożonego najpierw w londyńskiej siedzibie Fundacji Lanckorońskich z Brzezia, a potem przekazanego Uniwersytetowi w Toruniu, oraz opracowany z jej inicjatywy album poświęcony twórczości zmarłego w 1986 roku męża *Adam Kossowski. Murals and Paintings*. Wydany w prestiżowej londyńskiej oficynie Armelle Press w 1990 roku przy współudziale Benedicta Reada oraz Tadeusza Chrzanowskiego, Tymona Terleckiego i Andrzeja Borkowskiego stanowi opatrzone wspaniałymi reprodukcjami hołd złożony bliskiemu człowiekowi i artyście, który wpisał się swoją twórczością w brytyjską sztukę religijną.

Od początku lat osiemdziesiątych, w miarę wzrostu zainteresowania tym, co działo się w polskiej kulturze na obczyźnie od czasu wybuchu wojny, Kossowska zaczęła występować w nowej roli, trwającej w zasadzie aż do śmierci. Udzielała informacji na temat życia kulturalnego na emigracji, wysyłała do kraju kopie artykułów, książki i czasopisma, innymi słowy wspomagała odkrywanie tego, co w PRL narażone było na fałsz, a w III Rzeczypospolitej na zapomnienie. Miała poczucie odpowiedzialności za ocalenie i przekazanie materii, którą po części tworzyła, ale także satysfakcji z tego, że jej twórczość znalazła drogę do kraju. W 1991 roku ukazał się w Bibliotece „Więzi” zbiór jej szkiców biograficznych *Galeria przodków*, którego ciąg dalszy stanowił tom *Przyjaciele i znajomi* (Toruń 1998).

W sierpniu 1999 roku, w Instytucie Sikorskiego odbyła się uroczystość celebrująca 90-lecie Kossowskiej, wówczas już, obok Lidii Ciołkoszowej, ostatniej historycznej postaci polskiego Londynu. Z tej okazji wydana została książka zatytułowana *Pani Stefa*, na którą zostały się teksty w większości poświęcone jej zawodowej aktywności i dokumentujące pamięć o niej. Powiedzieć można, że tradycji towarzyszącej „Wiadomościom” stało się zadość. Po książkach poświęconych „Wiadomościom” i Grydzewskiemu (w obu Kossowska była obecna) „swojej” doczekała się, nie tylko nie zabiegając o nią, ale będąc mocno sceptyczna wobec całej inicjatywy, ostatnia redaktor tygodnika.

Biografia Kossowskiej, na którą składa się siedemdziesięcioletni okres pracy dziennikarskiej, publicystycznej i redaktorskiej, jest świadectwem obecności w swoim czasie. Świadectwem ocalającym wszystko to, co uważała za ważne i godne pamięci.

Maria Danilewicz-Zielińska

„Pułkownik Zamoyski”

Nikt – poza cudzoziemcami, dla których nie do pomyślenia był „Zamoyski”, a nie „Count Zamoyski” – nie tytułował go hrabią. W Bibliotece – i całym polskim Londynie – był „Pułkownikiem”, tak jak stryjeczny jego przodek był „Generałem” tout court. Władał angielskim lepiej niż polskim, francuskim jak trochę staroświecki Francuz, a polskim w swoistej kombinacji solennej krakowskiej polszczyzny i wojskowego slangu.

Służba wojskowa: przedwojenna podchorążówka kawalerii; pułk a potem Narvik (Virtuti Militari); i skombinowane funkcje adiutanta i tłumacza Naczelnego Wodza wyraźnie zaciążyły na jego stylu bycia, sposobie pobierania decyzji i wymagań stawianych otoczeniu. Wspierał je patriotyzm w nasileniu godnym rodowych tradycji. Przypuszczam, że cechy te ujawnią się w pełni we wspomnieniach starych znajomych i przyjaciół Pułkownika. Ja poznałam go późno.

Wiosną 1964 Kazimierz Zdziechowski, kolega biblioteczny, przedstawił mi w „Ognisku” płk. Zamoyskiego, prosząc, bym zaznajomiła go z planami stworzenia Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego (POSK-u), który wówczas wyłaniał się z tzw. PUCAL-u i blisko z nim związanego Stowarzyszenia Techników Polskich. Plany wydawały mi się wówczas piękne i realne. PUCAL był spadkobiercą trzech domów, w których mieścił się poprzednio Polish University College, Stowarzyszenie Techników Polskich było właścicielem dwu dalszych. Majątek ten wydawał się konkretną podbudową ośrodka polskiego, którego potrzeba rysowała się coraz wyraźniej wobec kryzysów lokalowych grożących kluczowym organizacjom polskim i rażącego dublowania działalności wielu ważnych placówek i stowarzyszeń.

Płk Zamoyski był już od dawna członkiem zarządów Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu i Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego w Londynie, a zainteresowanie zbiorami biblioteczno-archiwalnymi odziedziczył po dalszych i bliższych przodkach, Zamoyskich i Czartoryskich. Biblioteka Polska w Londynie, której byłam wówczas kierowniczką, ze względu na nacisk położony na gro-

madzenie dokumentacji dotyczącej „naszej” Emigracji, wydawała mu się odpowiednikiem Biblioteki Polskiej w Paryżu we wczesnym okresie jej istnienia i dlatego doskonale rozumiał wagę zapewnienia jej dachu nad głową i możliwości rozwoju. To właśnie wysuwało się na plan pierwszy w początkowym okresie planowania Ośrodka. W lutym 1964 ukazał się pierwszy komunikat pt. *Twórzmy Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie*, zapewniający w imieniu organizatorów, iż „głównymi celami działalności będzie: zapewnienie pomieszczenia dla Biblioteki Polskiej oraz popieranie jej działalności w zakresie: 1) gromadzenia i udostępniania książek i czasopism polskich (emigracyjnych, krajowych i dotyczących Polski w językach obcych), 2) gromadzenia książek, rękopisów, map, grafiki itp. polskich i Polski, dotyczących wszystkich dziedzin i czasów, 3) służby informacyjno-bibliograficznej i związanej z nią działalności wydawniczej, 4) gromadzenia dokumentacji, która przekaże historykom pełny i obiektywny obraz działalności Polaków poza Krajem”. W dalszych punktach programu mieściła się pomoc dla polskich instytucji naukowych, popieranie teatru, sztuki i muzyki polskiej, troska o utrzymanie przy polskości młodego pokolenia i „propagowanie zwyczajów i tradycji polskich”.

Program ten wydawał się tym realniejszy, że już w roku 1964 część tych zadań spełniał PUCAL (Polish University College Association Ltd.), dający Bibliotece Polskiej bezpłatne pomieszczenie w domu przy Princes Gardens No. 9 w Kensingtonie i wspierający subwencjami o zasadniczym dla tych instytucji znaczeniu Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie (PTNO) i Polski Uniwersytet na Obczyźnie (PUNO) – z sali na pierwszym piętrze korzystali za minimalną opłatą Technicy. „Mały program” był już realizowany z powodzeniem.

Pułkownik Zamoyski sięgnął do dziejów Wielkiej Emigracji i wy dobył z nich następującą cytate, użytą później jako motto piątego Komunikatu POSK-u (1966):

[...] nasze namioty pozrywały wichry złudzeń i zawodów; nastała zima nieiziszczonych nadziei... Musieliśmy pobudować domy.

19 sierpnia 1964 30 przedstawicieli organizacji emigracyjnych i płk Stefan Zamoyski indywidualnie podpisali akt powołania do życia Ośrodka. Pierwszym przewodniczącym został prof. Roman Wajda, do Rady Ośrodka wszedł płk Zamoyski, mający już za sobą piękne wyniki w akcji rekrutowania członków Ośrodka, wpłacających udziały 10-funtowe, uważane wówczas za bardzo wysokie.

W dwa lata później na horyzoncie spraw bliskich Pułkownikowi zarysował się poważny kryzys: rząd brytyjski zapowiedział cofnięcie

wypłacanej dotąd subwencji, będącej podstawą utrzymania Biblioteki Polskiej w Londynie i Centrali Bibliotek Ruchomych i zakwestionował tytuł własności części zbiorów. Pułkownik Zamoyski był od pierwszej chwili inicjatorem akcji oporu przeciw projektom angielskim, mającym wejść w życie 1 kwietnia 1967 roku. Był jedynym i oczywistym kandydatem na pierwszego przewodniczącego Polskiej Rady Bibliotecznej powołanej przez Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii. Działał w oparciu o sprzyjającą Bibliotece opinię publiczną i Zarząd POSK-u, którego członkowie weszli in gremio do Rady.

Kryzys przezwyciężono. Biblioteka została uratowana. Jestem głęboko przekonana, że główną zasługę przypisać należy płk. Zamoyskiemu, który zaczął od pokonania przeszkód na odcinku polskim i uzyskał od POSK-u gotowość przejęcia odpowiedzialności za przyszłość Biblioteki. Rozpoczęła się walka na odcinku angielskim – nieprzychylnie nastawionym Department of Education and Science. Kulminacyjnym punktem walki była debata parlamentarna, w której lord St. Oswald i lord Barnaby ścierali się ostro z reprezentującym rząd lordem Shackletonem (27 października 1966), i zorganizowane przez płk. Zamoyskiego przyjęcie dla życzliwych naszym sprawom członków obu Izb w Cholmondeley Room w Izbie Lordów. 1 kwietnia 1967 rząd brytyjski przekazał tytuł własności Biblioteki Polskiemu Ośrodkowi Społeczno-Kulturalnemu i przyznał na okres przejściowy dotację roczną w wysokości £ 3000, powierzając jej wypłacanie Szkole Studiów Słowiańskich Uniwersytetu Londyńskiego. Uratowana została na skutek usilnych starań płk. Zamoyskiego także i Centrala Bibliotek Ruchomych, zagrożona w stopniu nie mniejszym od Biblioteki Polskiej.

Ponieważ budżet Biblioteki zamykał się w owym czasie sumą ok. £ 11 000 – trzeba było myśleć o uzupełnieniu corocznych wydatków ze świadczeń społecznych. I tu wyszły na jaw talenty organizacyjne płk. Zamoyskiego. Od roku 1966, przez pełne dziesięć lat, bezinteresownie poświęcał sprawie Biblioteki po kilka godzin dziennie, w świątek i piątek, bo do reguły należało, że zasiadał nad korespondencją w sobotnie i niedzielne popołudnia. Wysyłał apel po apelu, atakował zbiorowo i indywidualnie swoich i obcych, rozpisywał listy do osób i instytucji na całym wolnym świecie, a każdy, najskromniejszy nawet datek kwitował listem z uroczyście sformułowanymi słowami wdzięczności. Podpis jego taką miał dla ofiarodawców wagę, że gdy kiedyś podczas krótkiej jego nieobecności, podziękowanie podpisał jeden z członków rady, zwrócono się do mnie poufnie z prośbą o wymianę listu na podpisany przez Pułkownika Zamoyskiego, „bo sąsiad

takim listem się chwali”. Działała tu niewątpliwie magia nazwiska, ale w wyższym jeszcze stopniu fakt, że nasz Pułkownik, tak pięknie reprezentujący ród Zamoyskich, stał się dla ogółu symbolem opieki nad Biblioteką Polską.

W opinii ogółu POSK utrzymywał Bibliotekę. Tak jednak nie było, a rola POSK-u ograniczała się do symbolicznej subwencji £ 2500 corocznie potrącanej z bardzo wysokiego komornego, którym POSK obciążył Bibliotekę w roku 1967 (£ 4500 rocznie), a co wpłynęło na podwyższenie wydatków corocznych do £ 15 000. Normalne funkcjonowanie umożliwiały t y l k o i w y ł ą c z n i e kwestarskie zabiegi płk. Zamoyskiego, który w latach 1967–1972 (dalszych cyfr nie znam) zebrać zdołał £ 34 465.

Serdeczną troską Pułkownika był przysły lokal w gmachu przy King Street na Hammersmithie. Z przykrością muszę stwierdzić, że ponosiłmy tu klęskę po klęsce. W miarę rozszerzenia się zakresu działalności POSK-u na plan pierwszy wysunęły się lokale „dochodowe”, np. pomieszczenia restauracji i kawiarni, kosztorys teatru okazał się niezmiernie wysoki, a wymagania władz miejskich rosły i zmieniały się z każdym dniem. Jedne z najboleśniejszych przeżyć z tego okresu są wspomnieniem walki o udostępnienie planów pomieszczeń bibliotecznych, które pokazano nam w momencie, gdy zasadnicze roboty budowlane były już w toku. Pułkownik przeżywał te trudności niezmiernie żywo; jednym z ostatnich jego posunięć, już po wyjeździe moim z Londynu, było zaangażowanie na własny koszt fachowych architektów, którzy starali się rozwiązać trudności związane z pomieszczeniem zbiorów w zbyt ciasnym pomieszczeniu, od początku niewystarczającym!

Biblioteka była głównym, ale nie jedynym przedmiotem trosk płk. Zamoyskiego. Zawsze bliski był jego sercu Instytut Polski im. gen. Sikorskiego, w którego Zarządzie zasiadał przez długie lata jako skarbnik. W czasie wojny był adiutantem Generała i ze wzruszającą wiernością reprezentował kult jego pamięci. Bliska była mu paryska Biblioteka Polska na Wyspie św. Ludwika, w sąsiedztwie Hotelu Lambert. Tam zresztą, w Hotelu Lambert, którego utrata na pewno nie przedłużyła mu życia, z nim i redaktorem Giedroyciem omawialiśmy smutne sprawy emigracyjne dwa lata temu, gdy z Portugalii przyjechałam na krótko do Maisons-Laffitte. On jeden był optymistą. Miał w sobie niewyczerpane zasoby dobrej woli i wiary w możliwości przekonania oponentów o słuszności sprawy, w którą wierzył. Fakt, że miał wielu przyjaciół, a nielicznych tylko, choć dokuczliwych, przeciwników, utwierdzał go w słuszności poczyną.

Przez siedem lat dzieliłam z płk. Zamoyskim pokój biurowy na drugim piętrze gmachu na Princes Gardens. Zjawiał się około południa, by przejrzeć pocztę, a po szybko spożytym w pobliskim „Ognisku” obiedzie zasiadał do pracy w charakterze przewodniczącego Rady Bibliotecznej i organizatora apeli. Pomoc sekretarska ograniczona była do minimum i w dużym stopniu opierała się na zwerbowanych przez Pułkownika wolontariuszkach, z których najdłużej działała p. Maria Babicka. Ona i śp. Róża Biomfield pracowały z niecodziennym oddaniem – za przykładem Pułkownika.

Drugą, daleką od spraw bibliotecznych dziedziną, o którą ocierałam się w czasie owych siedmiu lat wspólnej pracy, były jego zainteresowania hodowlą i rodowodami koni arabskich. Był, o czym niewiele wiadomo, współautorem i kontynuatorem, do spółki z Kazimierzem Bobińskim, *Family Tables of Racehorses*, na których pomieszczenie trzeba było walizki sporych rozmiarów. Dwa tomy tego wydawnictwa, bardzo cenionego w kołach fachowych, ukazały się w latach 1953 i 1954.

Na marginesie tej pasji zrodziła się inicjatywa odbudowania racjonalnej hodowli koni arabskich na terenie Izraela. Łączyła się ona z żywą sympatią okazywaną przez Pułkownika młodemu państwu izraelskiemu. Z inicjatywy tej narodziło się poświęcone tej sprawie towarzystwo, które zakupiło na Zachodzie pierwsze konie i dało początek racjonalnej hodowli. Byłam mimowolnym świadkiem osobliwych trudności związanych z wysyłką pierwszych koni. Aby przewieźć je na pokładzie statku, trzeba było wyekspediować je w ciągu września, by dojechały przed pierwszym październikiem do portu w Izraelu. A tu – zastrajkowali dokerzy i transport opóźniał się z dnia na dzień. Wynikła na tym tle jakaś groteskowych rozmiarów afera biurokratyczna z udziałem weterynarzy, biura transportowego, ubezpieczeń itp. Konie zjadły zawczasu przygotowaną na podróż paszę i zdemolowały drewniane boksy, nie dawały się uspokoić cukrem i marchewkami... Ale dojechały. W ślad za nimi pojechał z wizytą do Izraela Pułkownik, przyjmowany z honorami i sympatią, która u służącego w hotelu wyraziła się podejrzeniem, że Pułkownik nazwiskiem „Zamoyski” osłania jakieś inne brzmiące bardziej swojsko w Izraelu. Toteż zapytał: „A jak się Pan przedtem nazywał?”

Pułkownik nie miał, niestety, daru wymowy, co utrudniało mu prowadzenie zebrań. Wady tej nie wyczuwało się w rozmowach bezpośrednich, gdy odrzucał patos i błyszczał poczuciem humoru. Pisał, dobierając staroświeckie wyrażenia, starannie i uprzejmie. Był mistrzem w manipulowaniu specyficznie angielskimi formami adresów,

z przysługującymi danej osobie tytułami i „literkami”. Dla Polek o nazwiskach kończących się na „ski” czy „cki” domagał się męskiej końcówki i imienia męża na kopertach, czekach itp., adresując np. „Mrs. Adam Zieliński”. Brał te sprawy tak poważnie, że na tym tle doszło do poważnego konfliktu między nim a prof. Karoliną Lanckorońską, która nie chciała poddać się jego kaprysowi w sprawie końcówki nazwiska.

Po moim wyjeździe z Anglii – według Pułkownika „dezercji” – był ze mną w stałym kontakcie w sprawach bibliotecznych. W lecie 1976 roku tempo korespondencji osłabło: „Proszę wybaczyć zaniedbania korespondencji – pisał 17 lipca. Niestety, trzy tygodnie w szpitalu a obecna już nie walka, ale ostateczna rozprawa o Bibliotekę nie daje mi wytchnienia i zużywa resztę sił”. „Jeśli zdrowie dopisze – uzupełniał w ostatnim liście z 15 września, bo tymczasem mocno dokucza – i przeżyję dzisiejsze zebranie Rady Bibliotecznej, a 23 bm. Zarządu POSK-u, postaram się wreszcie do Pani napisać i troski przed Panią obnażyć”. Zamiast listu przysłała lakoniczna wiadomość na pierwszej stronie „Dziennika”, że oto zmarł w Stanach Zjednoczonych.

Kilka lat temu Pułkownik odwiedził we Francji swego bliskiego krewnego Augusta Zamoyskiego, rzeźbiarza. Wrócił wstrząśnięty zarówno widokiem cierpień dogorywającego artysty, obracającego żaloszny wzrok na bryłę kamienia z nieukończonym dziełem życia, jak i bohaterską postawą skazanego na śmierć chorego: „Nauczył mnie, jak umierać godnie i ufnie”. Słowa te brzmią mi uparcie w uszach...

* * *

Wspomnienia p. Marii Danilewicz-Zielińskiej ograniczają się głównie do Londynu. Ja chciałbym tu w kilku słowach wspomnieć o moich kontaktach ze Stefanem Zamoyskim. Przed wojną interesował się żywo wydawanymi przeze mnie „Buntem Młodych” i „Polityką”. Po wojnie spotkałem się z nim w Paryżu w 1945 roku. W owym czasie 2. Korpus, który był naprawdę „małą Polską”, stworzył w Paryżu placówkę z mjr. Józefem Czapskim na czele. Już wówczas moją idée fixe było stworzenie Instytutu Literackiego, gdyż w przeciwieństwie do powszechnych nastrojów liczyłem, że na emigracji zostaniemy na bardzo długo i że trzeba myśleć o pracy długofalowej. W związku z tym kursowałem między Rzymem a Londynem, będąc luźno zaczepiony o paryską placówkę ze względu na przyjaźń i współpracę z Józefem Czapskim. To zresztą ułatwiło mi podróżowanie po Europie, w owym czasie dostępne właściwie jedynie dla wojskowych. Po przyjeździe do Paryża powstał trudny problem znalezienia lokalu

zarówno dla placówki, liczącej wówczas ponad 10 osób wojskowych, jak i na pomieszczenie sprzętu i kilku samochodów. Wtedy, dzięki poparciu wiernej przyjaciółki z dawnych lat, Róży Tarnowskiej, Stefan Zamoyski bez wahania udzielił placówce gościny w Hôtel Lambert. Był to z jego strony nie tylko gest pomocy, ale przede wszystkim odwagi przy ówczesnych nastrojach we Francji, dominującej roli partii komunistycznej i bezkarnie działających placówkach NKWD, kiedy to mundur polskiego żołnierza był dla wielu Francuzów symbolem faszyzmu.

Instytut Literacki powstał w Rzymie w 1946 roku. W połowie października 1947 przenieśliśmy się z Włoch do Francji, do Maisons-Lafitte. Pierwsze lata francuskie były bardzo ciężkie, nasz niewielki kapitał zakładowy topniał z każdym ukazującym się numerem „Kultury”. Wprowadzenie miesięcznika nigdy nie jest łatwe – a tym trudniejsze było w chwili, kiedy Polacy rozproszyli się po całym świecie, szukając miejsca osiedlenia i pracy. Z początkiem 1949 roku sytuacja „Kultury” zaczęła być prawie tragiczna. I wtedy Stefan Zamoyski – wierny czytelnik naszego pisma od samego początku – „ufundował” kolejny numer „Kultury”, pokrywając całkowicie koszt wydania, a potem namówił swoich krewnych i znajomych do kontynuowania tej akcji, która znalazła następnie naśladowców. To pozwoliło nam przetrwać kryzys. W roku 1954 zostaliśmy usunięci z domu, który wynajmowaliśmy, i zostaliśmy zmuszeni do kupna domu. Rozpisałiśmy wtedy apel do naszych czytelników z prośbą o pomoc, gdyż sami odpowiednich funduszy nie mieliśmy. Zbiórka dopiero zaczęła się rozkręcać, kiedy kupno musieliśmy finalizować, gdyż zbliżał się termin opuszczenia starego domu. Wtedy znów Stefan Zamoyski spontanicznie pożyczył nam bardzo znaczną sumę pieniędzy – bezprocentowo i bezterminowo – aby kupno definitywnie załatwić. Szczęśliwie reakcja naszych Czytelników była tak duża, że pożyczkę tę mogliśmy w ciągu roku całkowicie spłacić, ale bez niej nie dalibyśmy sobie rady.

Później, aż do jego śmierci, spotykaliśmy się ze Stefanem Zamoyskim, jak tylko nadarzyła się okazja, czasem w Londynie, częściej w Paryżu, w jego małym apartamencie, który zachował w Hôtel Lambert czy w Travellers Clubie, którego był członkiem. Zawsze w rozmowach z nim uderzała mnie jego pasja społeczna i duży obiektywizm, tak trudny dla kogoś, kto jak on siedział w centrum skłóconego polskiego Londynu.

Jerzy Giedroyc

Konstanty A. Jeleński

Pamięci Auberona

Dwa lata z górą minęły od śmierci Auberona Herberta i wstyd doprawdy, że nie ukazało się dotychczas żadne o nim w „Kulturze” wspomnienie. Ściślej mówiąc: mój wstyd i moja wina.

Auberon był przyjacielem „Kultury” nie tylko dlatego, że polskie sprawy były mu bliskie. Polskością przesiałkł do tego stopnia, że zdobył sobie indygenat polskiego antynacjonalizmu. Wielu Polaków uznało jego rosnące zaangażowanie w walkę o niepodległość Białorusi i Ukrainy za niewierność, jeśli nie zdradę. Mało kto zrozumiał, że kiedy w latach sześćdziesiątych postanowił on swój spory kredyt w Anglii oddać na usługi najbardziej uciskanych narodów dawnej Rzeczypospolitej, pozostających pod bezpośrednim zaborem sowieckim, był to w znacznej mierze wynik przejęcia się pewną tradycją polskiej myśli, znanej mu choćby za pośrednictwem Jerzego Stempowskiego, Stanisława Vincenza, Józefa Czapskiego, wpływ koncepcji politycznej Giedroycia, lektury artykułów Mieroszewskiego. Dodajmy, że zasadniczą cechą Auberona Herberta była rycerskość dosłowna, stąd anachroniczna. Chrześcijański rycerz bieży na pomoc dziewczycy najbardziej pokrzywdzonej, najdłużej więzionej wdowy. Polacy – myślał zapewne Auberon – dają już sobie sami nieźle radę i w kraju, i na obczyźnie. On sam służył im wiernie blisko ćwierć wieku. Czy nie czas upomnieć się o inne krzywdy, wyrządzone przez tego samego smoka, pchnąć Rosynanta w dalszą drogę?

Więzy Auberona z „Kulturą” były głębsze od przyjaźni osobistych z jej założycielami i bliskimi współpracownikami, nie zdziwiłem się zatem, gdy po jego śmierci zwrócił się do mnie Jerzy Giedroyc z prośbą o artykuł o nim. Auberona poznałem w kilka dni po jego wstąpieniu do wojska polskiego w Anglii, przyjaźniliśmy się przez cały czas wojny, a jeszcze z dziesięć lat po wojnie widywałem go bardzo często – u niego w Londynie, w Pixton czy w Portofino, u mnie w Rzymie, w Neapolu czy w Wenecji. Dopiero kiedy zamieszkałem w Paryżu, spotkania nasze stały się rzadsze, ale do końca utrzymywaliśmy ze sobą kontakt. Kilka razy zaczynałem ten artykuł o Auberonie, ale nie

doprowadziłem go nigdy do końca. Wydawało mi się, że wspomnienia wspólnej wojennej młodości zajmują w nim za dużo miejsca, że gąszcz anegdot przesłania mi postać niewspółmiernie większej miary, że mimo woli kreślę z Auberona zbyt powierzchowną sylwetkę jakiegoś angielskiego Franca Fiszera. Lektura przysłanej mi przez Johna Joliffe'a poświęconej mu pamiątkowej książki¹ dowiodła mi, że miałem rację, że słusznie przeczuwałem potrzebę przekazania we wspomnieniu o Auberonie jego cechy zasadniczej: jedności i konsekwencji jego przejrzystej duszy (w tym kontekście używam tego pojęcia bez wahania i bez cudzysłowu), wbrew pozornym sprzecznościom ekscentrycznej osobowości, barokowej inteligencji, erudycji nieznaidującej żadnego „użytecznego” zastosowania, gorączkowego pośpiechu życia zawsze wolnego od jakiejkolwiek rutyny.

W wymiarze, który Francuzi nazywają *la petite histoire* wojska polskiego w Szkocji, Pierwszej Dywizji Pancernej, powojennej emigracji w Londynie, Auberon pozostanie jedną z postaci centralnych (i najbardziej barwnych); był w niej zarazem aktorem i świadkiem, konfidentem generałów i ministrów, ułanów i kaprali. Jego dobroć, uczynność, szczodra gościnność, żywa ciekawość ludzi i zdarzeń sprawiały, że był zawsze wtajemniczony we wszystkie sprawy polityczne, w najdrobniejsze intrygi i spiski, które w jego relacjach nabierały wymiarów pasjonujących zmagają, zabarwionych jednak nieopuszczającym go nigdy poczuciem humoru. Stąd dla przyszłego historyka polskiej emigracji książka zbiorowa o Auberonie będzie bardzo cennym materiałem, zwłaszcza dlatego że polskie sprawy nie są w niej aspektem centralnym, co rzuca żywe światło na mniej znane aspekty jego życia i pozwala lepiej zrozumieć historyczne i socjologiczne drogi, które doprowadziły młodego angielskiego arystokratę do 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich.

Leigh Fermor, opisując swe wędrówki z Auberonem po Grecji, przypomina, że jego przodkowie od dwóch wieków należeli do tych dosłownie „ekscentrycznych” Anglików, których zawsze pociągały odległe przygody. Pradziadek Auberona był przyjacielem Petrobeja, ostatniego z suwerennych bejów Mani, jednego z głównych przywódców greckich walk o niepodległość. Jego dziadek, lord Carnarvon,

¹ *Auberon Herbert. A Composite Portrait Edited by John Joliffe.* Autorzy: Isaiah Berlin, Frances Phipps, Robert Salisbury, Robin McEven, Czesław Jeśman, Malcolm Muggeridge, Patrick Leigh Fermor, Tom Yandle, Max Egremont, Biskup S. Sipowicz, Konstanty Zelenko, Giuseppe Gennero, Giuseppe Bacigalupo, Philip Caraman, Str. 77, 6 ilustracji; cena £ 2.00; 1976. Zamówienia kierować do: The Sales Manager, Compton Russell Ltd., The Old Brewery, Tisbury, Salisbury, Wiltshire SP3 6NA.

sfinansował wyprawę archeologiczną, która doprowadziła do odkrycia grobu Tutenchamona, i zmarł nagle u progu grobowca, stając się pierwszą ofiarą słynnej „kłątwy Faraona”. Ojciec Auberon, Aubrey Herbert, dzielił losy Lawrence’a na arabskich pustyniach, zanim się stał bohaterem albańskich walk o niepodległość. Albańczycy ofiarowali mu rzekomo koronę i w swoim szkicu Malcolm Muggeridge wyraża żartobliwie żal, że Auberon nie urodził się na stopniach tronu: „[...] jedyny zawód, do którego Auberon był idealnie dostosowany, to zawód króla, miał na to wszelkie dane – magnetyzm, urok, świetne manieri, rzadką pamięć twarzy i nienasyconą ciekawość wszystkich i wszystkiego; zaś nade wszystko zdolność wykonywania nudnych czynności i przebywania z nudnymi ludźmi długo i bez okazywania żadnych symptomów nudy”.

Pixton, wiejski dom Herberta w hrabstwie Somerset, przypominał bardziej wielki, nieco zaniedbany polski dwór niż angielską wielkopąską rezydencję. Lady Phipps, która знаła Auberon od dziecka, świetnie odtwarza atmosferę tego domu:

Konie i psy grały rolę w każdej rozmowie. Wysokie okna były zawsze otwarte od dołu, aby psy mogły wchodzić i wychodzić, niezależnie od pogody. Jeden z gości w tych warunkach zadzwonił w zimie łyżeczką o filiżankę i wytłumaczył dźwięk, twierdząc, że odpadło mu zamrożone ucho. Pixton zawsze był psim rajem. Wielkie psy stale wskakiwały z ogrodu do salonów, pomniejsze zajmowały wszystkie fotele. Siadając na kanapie słyszało się gniewne powarkiwanie psa, który spał w jej kącie.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech Auberon było, że czuł się u siebie w każdym środowisku, nigdy do żadnego się nie dostosowując. Sir Isaiah Berlin, wybitny filozof i pisarz, wspomina obiad w ambasadzie brytyjskiej w Paryżu u Duff Cooperów wkrótce po wojnie, na którym spotkał polskiego oficera, który okazał się Anglikiem, i tak go olśnił opisem swych wojennych przeżyć i rzadką erudycją, że – jak pisze – „choć sam bynajmniej nie małomówny, tym razem byłem chętnym milczącym słuchaczem”.

Był to początek długiej przyjaźni, której zawdzięczamy ten wnikliwy wizerunek Auberon:

Był utalentowany, kulturalny, świetnie wychowany i nienawidził umiarkowania w jakiegokolwiek postaci. Był zagorzale antyutylitarny, celom, które uznawał za tego warte, służył aż do końca i pogardzał tymi, którzy działali inaczej. Nie lubił filistów, policjantów, tchórzy i hipokrytów bardziej niż kłamców, barbarzyńców, sprytnych awanturników. Najwyżej cenił styl, rozmach, szaleńczą odwagę. Miał bardzo rozległą kulturę w stylu osiemnastowiecznym. Poza swym niezwykłym darem do języków miał zamiłowanie do najbardziej zawiłych ścieżek filologii w dziedzinie języków i dialektów ludów zagrożonych w swym istnieniu – Basków, Genuieńczyków, Maltańczyków,

Serbów lużyckich, Dalmatów, greckich enklaw z dawnej Magna Graecia – i zgromadził zadziwiający zasób wiadomości historycznych z zaniedbanych dziedzin, które żywiły jego wyobraźnię, zawsze zwróconą w przeszłość, i jego wrażliwość estetyczną. Jego smak, przeżył nieporządek jego życia i jego domów w Anglii i we Włoszech były bez zarzutu; tak samo jak jego manery, czy był podпиты, czy trzeźwy. Jego żarty były wymśnienite. Był lojalnym i serdecznym przyjacielem i postępował zawsze wspaniale z ludźmi, których zatrudniał.

Tak wyglądał Auberon w oczach człowieka wyrafinowanej kultury i światowej tolerancji, jakim jest profesor Berlin, i odbicie to odpowiada prawdzie. Ale trzeba je uzupełnić wspomnieniem ludzi, którzy mieli dostęp do wymiaru Auberon, który był również i dla mnie zamknięty: jego wyjątkowo żywej religijności.

Ksiądz biskup Sipowicz wspomina przywiązanie Auberon do kaplicy wschodniego obrządku świętych Piotra i Pawła w Londynie:

Mimo że był bezkompromisowym katolikiem łacińskiego obrządku... wśród starych ikon i świec białoruskiej kaplicy znajdował spokojną, kontemplacyjną atmosferę, w której co niedziela celebrowano tę samą, niezmienną liturgię i gdzie Ewangelie i kazania głoszone są po białorusku. Niezdolny do pogodzenia się z posoborowymi zmianami w mszy obrządku łacińskiego znajdował tu bizantyńską liturgię katolicką nietkniętą w swym splendorze. Zarówno to, jak i jego własny, niemal utajony gatunek żarliwej pobożności przyciągały go do kaplicy, a poprzez nią do religijnego życia białoruskiej wspólnoty. Dlatego też postanowił, że jego msza żałobna i pogrzeb będą zlecone pieczy jego przyjaciół z białoruskiego kleru, w obrządku który pokochał.

Niezdolny do umiarkowania, jak zauważył Berlin, do zmian posoborowych żywił Auberon obrzydzenie bez miary. Mawiał o „krótkim, ale katastroficznym pontyfikacie tego wielkiego i dobrego człowieka – papieża Jana XXIII”. Swym katolickim przyjaciołom wręczał wybite przez siebie monety z napisem „Oddajcie nam naszą mszę” z poleceniem, by je składali na tacy w czasie kolekty. W ciągu jednego z naszych ostatnich spotkań opowiadał mi, jak jadąc samochodem do Paryża, zatrzymał się na mszę w jakimś „postępowym” kościele na prowincji, gdzie komunikantom wręczano hostię do ręki. – *Non mon Père!* – zakrzyknął Auberon i zmusił przerażonego celebranta, by klęczącemu złożył hostię na język.

Ale te doczesne spory nie wysuszały żywego źródła jego wiary, o którym mówił na mszy żałobnej w białoruskiej kaplicy ojciec Philip Caraman SJ:

Niewiele było miejsc w Europie, gdzie nie miał przyjaciół. Wszyscy byli do niego serdecznie przywiązani, podziwiali jego prostolinijność, przyjmowali jego słabości z uśmiechem, a nieraz bywali zdumieni tą miarą wieczności, którą natychmiast i instynktownie przykładał do wszystkiego. Dla niego niebo było miejscem równie rzeczywistym jak Pixton czy Portofino i jako obywateli nieba traktował wszystkich ludzi –

Anglików, Polaków, Sudańczyków, Ukraińców, Chińczyków czy Albańczyków. Zwykłe chrześcijaństwo – nie, zwykła ludzkość – była w jego oczach wystarczającym tytułem do jego solidnego, praktycznego miłosierdzia, a jeśli byli w potrzebie lub pokrzywdzeni, czy to przez rząd, czy przez jednostkę, był to w jego oczach tytuł podwójny... Zgromadzeni tutaj, każdy z nas jest lepszym człowiekiem dzięki jego przyjaźni, płacimy dług modlitwy za duszę rzadkiego i wspaniałego chrześcijanina, który teraz przeszedł z cieni i ze złudzeń do tego, co było dla niego zawsze rzeczywistością i prawdą.

Rozmyślnie zatrzymałem się dłużej na tych aspektach książki, które nie dotyczą bezpośrednio spraw polskich. Związkom Auberona z Polską i Polakami poświęcony jest żywy i barwny szkic Czesława Jeśmana, który jest tu koronnym świadkiem, gdyż w latach 1956–1959 pełnił funkcję sekretarza Herberta „od spraw polskich i środkowoeuropejskich”. Ale niemal każdy z autorów tego zbiorowego dziełka ma coś o tych sprawach do powiedzenia, podając nieraz nieznane polskim przyjaciółom Auberona szczegóły.

Auberon zawsze twierdził, że powodem, dla którego nie został przyjęty do wojska brytyjskiego, były jego olbrzymie, legendarne „platfusy”. Badania lekarskie kandydatów do polskiego wojska na Zachodzie miały charakter raczej symboliczny i bez trudu przeszedł przez nie Auberon na swych płaskich stopach. Robin McEwen pisze natomiast, że prawdziwym powodem była operacja, przez którą przeszedł w dzieciństwie i która pozostawiła ślad głębokiej blizny za uchem. Nic dziwnego, że Auberon o tym w czasie wojny nie mówił: wiedział, że huk bomb czy armatnich wystrzałów zagraża mu wstrząsem mózgu. Jego zgłoszenie się na ochotnika do polskiego wojska nabiera w tych warunkach wymiarów mniej humorystycznych.

We wspomnieniach powraca w różnej wersji anegdota o starciu Auberona z kanadyjskimi żołnierzami w czasie kampanii 1. Dywizji Pancernej. Jako jedyny świadek tego tragikomicznego incydentu jestem w stanie podać jego prawdziwą wersję. Na postoju w Bredzie w Holandii w roku 1944 postanowiliśmy z Auberonem spędzić Wigilię Bożego Narodzenia w Gandawie, gdzie udaliśmy się jeepem z naszym przyjacielem kapralem Pawłem Korneliusem, jedną z najbarwniejszych postaci sztabu Dywizji. Po sutej kolacji zaczęliśmy zwiedzać „Gandawę by night”, ale Auberon opuścił nas przed północą, aby udać się na pasterkę. Mieliśmy się potem odnaleźć w jednym z barów, ale Auberon się nie zjawił i przed świtem udaliśmy się z Pawłem Korneliusem do naszego hotelu na zasłużony odpoczynek. Jak się potem okazało, Auberon trafił po pasterce do innego baru, w którym spotkał żołnierzy polskiej Brygady Spadochronowej na postoju w Ardenach, gdzie Niemcy rozpoczynali swą krótką, ale groźną ofensywę zimową.

Swoim zwyczajem Auberon postawił im szampana i zabawił swą soczystą, ale dziwaczną polszczyzną. Hojność i ciekawość tego starszego ułana wydała się naszym spadochroniarzom podejrzana, aż jeden z nich zauważył na jego mundurze żółte proporczyki 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich, który nie wchodził w skład 1. Dywizji Pancernej (Auberon został wyjątkowo przydzielony do Dywizji, zanim opuściła Anglię). Spadochroniarze uznali go za niemieckiego szpiega i oddali w ręce kanadyjskiej żandarmerii, która go zaaresztowała i przeprowadziła brutalne śledztwo. Auberon powołał się oczywiście na nasze świadectwo, ale kiedy nad ranem obudzili nas w hotelu żandarmi i udaliśmy się do aresztu, byli tak źli na Auberon, który bronił się jak lew i wymyślał ich od ostatnich, że mimo naszych wyjaśnień nie chcieli go zwolnić. Musieliśmy z Pawłem Korneliusem wracać do Bredy i prosić naszego kochanego dowódcę, majora Adama Łubkowskiego, aby sam interweniował, co zaraz uczynił, i pod wieczór przywieźliśmy posiniaczonego Auberon do Bredy, gdzie paradował potem z wydrukowaną przez obywateli Bredy pankartą z napisem „Dziękujemy wam Polacy!”.

Nieznany mi incydent przytacza Robert Salisbury, opowiadając, jak Auberon, będąc jeszcze z Dywizją w okupowanych Niemczech, wywiózł nielegalnie z Polski grupę dzieci różnych przyjaciół i znajomych i sam je doprowadził do Anglii po najróżniejszych przygodach.

Najważniejszym chyba epizodem w akcji Auberon na rzecz Polaków była jego interwencja u Churchilla w sprawie przyszłych losów wojska polskiego pod brytyjskim dowództwem operacyjnym. Czesław Jeśman pisze, że nie wie na pewno, czy Herbert napisał dla Churchilla memorandum sugerujące utworzenie, po zakończeniu wojny, Polish Resettlement Corps, ale fakt, że został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, będąc tylko podporucznikiem czasu wojny, uważa za tak wyjątkowy, że mniema, iż Auberon „dokonał czegoś wyjątkowego”. Świadectwo Robina McEwena jest bardziej afirmatywne, ale nasuwa sporo wątpliwości:

Jedna z misji, z których [Auberon] był najbardziej dumny (choć nigdy się nią nie popisował), była ta, którą mu zlecił w 1944 roku Winston Churchill, który powierzył mu osobistą odezwę (*A personal message*) do żołnierzy Polskiej Dywizji Pancernej, zapewniającą, że rząd brytyjski będzie się nimi opiekował i nie zawiedzie ich (*will look after them and not let them down*) w ich strasznym dylemacie bądź powrotu do kraju poddanego krwawej tyranii naszych sowieckich aliantów, bądź pozostania wygnańcami. Ta gwarancja nie została dotrzymana i Auberon sam więcej zapewne dokonał dla nieszczęśliwych Polaków na wygnaniu niż Churchill czy jakikolwiek rząd brytyjski.

Jeśli McEwen sugeruje, że Churchill zagwarantował żołnierzom 1. Dywizji Pancernej powrót do wolnego kraju, jest to oczywisty absurd; jeśli zaś twierdzi, że rząd brytyjski nie dał im możliwości osiedlenia się w Wielkiej Brytanii, jest to niesprawiedliwość: *tertium non datur*. Niewiele mogę do tej sprawy dorzucić, ale znam jej tło. Po Jacie 1. Dywizja Pancerna przeżywała (choć w mniej ostrej formie) podobny dylemat moralny co 2. Korpus we Włoszech. Byli nawet zwolennicy „Szczypiorna”, czyli wycofania Dywizji z frontu. Myślę, że o tych formach radykalnego protestu myślała raczej starszyna oficerska, ale wiem, że przejmował się tą atmosferą generał Maczek, który cieszył się przywiązaniem i uznaniem wszystkich swych żołnierzy. Jego ówczesny adiutant, Jan Tarnowski, opowiadał mi, że rozbroił kiedyś przygnębitego generała, mówiąc mu: „Ja mam pomysł: niech Pan Generał wjedzie czołgiem do Mozy, wołając – jak to już tam było? – Bóg mi powierzył...”. Auberon przyjaźnił się z Tarnowskim i wiem, że wystarał się wówczas o audiencję u Churchilla, którego znał osobiście i do którego miał łatwy dostęp za pośrednictwem potężnego klanu Salisbury. Pojechał do Londynu na specjalny urlop i Churchill zaprosił go na śniadanie na 10 Downing Street. Opowiadał mi o wzruszeniu Churchilla (który wzruszał się łatwo) nad „bohaterstwem Polaków” i o zapewnieniach „wiecznego długu”, który zaciągnęła u polskich żołnierzy Wielka Brytania, ale jeśli Churchill powierzył mu jakieś konkretne zapewnienia, skierowane do generała Maczka, zamilczał o nich z dyskrecją, która była mu właściwa tylko w najważniejszych sprawach.

Tak czy inaczej nie tylko liczni polscy przyjaciele Auberon, ale naród w swej historycznej ciągłości zachowa we wdzięcznej pamięci tego angielskiego Don Kichota, który był nam tak wierny w najtrudniejszych chwilach.

Kajetan Morawski

Anatol Muhlstein

Latem 1917 roku w przedziale pociągu jadącego z Poznania do Berlina siedziało naprzeciw mnie dwóch wyższych oficerów niemieckich. Rozmawiali żywo o okupowanej Belgii, gdzie obaj sprawowali wyższe funkcje wojskowe. Jeden z nich opowiadał, że generalny gubernator, baron Bissing, znajduje co pewien czas na swym biurku gazetę wydawaną przez belgijski ruch oporu. Mimo usiłowań policji polowej nie zdołano wykryć, kto ją redaguje i gdzie jest drukowana. A choć front odcinał Belgię od zachodu, gazeta zamieszczała regularnie komunikaty wojenne wrogiej koalicji. W okresie, w którym nie znano komunikacji radiowej, przedstawiało pochodzenie komunikatów dla sztabu generałgubernatorstwa zagadkę szczególnie niepokojącą.

Minęło lat 3 i przez te same, już pobite, Niemcy przejeżdżałem, towarzysząc ministrowi spraw zagranicznych, Stanisławowi Patkowi, w delegacji na konferencję finansową w Brukseli i zebranie Rady Najwyższej w Spa. Przyjmował nas poseł polski w Belgii Władysław Sobąński. Gdy zapoznawał mnie ze swym sekretarzem Anatolem Muhlsteinem, powiedział mi, że to młody a wybitnie zdolny Żyd polski, który skompromitowany w 1905 roku przechowywaniem bomb w składach drzewa swego ojca uciekł za granicę i tam ukończył studia. Po wojnie światowej otrzymał wysokie belgijskie odznaczenie bojowe. Bo to on właśnie był założycielem i wydawcą tajnego pisma „Le Flambeau”, które tak drażniło gen. von Bissinga i jego sztab. Redagował je w zamurowanej piwnicy, drukował dzięki zмовie z kolejarzami, w tendrze lokomotywy kursującej między Brukselą i Gandawą. Komunikaty wojenne Ententy odbierał ukrytym w dziupli drzewa telefonem, który Bóg wie jak przeciągniętym drutem połączony był z tamtą stroną frontu.

Rewolucja 1905 roku, wojna światowa 1914–1918 stanowiły heroiczne etapy w życiu Muhlsteina. Nastąpił po nich etap intelektualny i etap dyplomatyczno-salonowy. W końcu został finansistą, ale tylko dzięki małżeństwu, dzięki odziedziczonym talentom i tylko na marginesie właściwych, politycznych i literackich zainteresowań.

W Brukseli i Spa Muhlstein, jeszcze zapuszczony w stroju, dbający bardziej o zachowanie stylu kawiarnianej bohemy niż o prawidła protokółarne, obracał się głównie w sferach prasy międzynarodowej. Nakładanie fraka i czyszczenie paznokci uważał za przesadę. Jak potem do końca życia podkreślał swe żydostwo, ale głęboko zaciekawiony był katolicyzmem i przyjaźnił się z dominikanami.

Po znów paroletniej przerwie spotkaliśmy się w 1925 roku w Locarno. Wezwany przez Aleksandra Skrzyńskiego przyjechał Muhlstein na konferencję już jako obyty i ogładzony w świecie dyplomata. Miał wielu znajomych w delegacji francuskiej i belgijskiej, ze starym Emilem Vandervelde odbywał codzienne długie rozmowy. Przynosił z nich cenne informacje i wskazówki. Zawsze pełen pomysłów pierwszy ukuł slogan o „duchu Locarno”, który, lansowany następnie przez Skrzyńskiego na konferencji prasowej, miał przyczynić się do rozszerzającej interpretacji zbyt wąskiego i traktującego nasz rejon po macoszemu tekstu układu.

Bruksela między dwiema wojnami łączyła w sposób swoisty dostojność stolicy królestwa z cechami prowincjonalnego przedmieścia Paryża. Była miastem, gdzie zarabiano i jadło się dobrze, a żyło i myślało solidnie, ale wolniej niż nad brzegami Sekwany. Muhlsteina ciągnęły ruchliwe Pola Elizejskie, nęcił gwar salonów politycznych i artystycznych kawiarni Montparnasse'u. I tu, i tam wiedział, jak się obracać i jak się przemykać. Uzyskał przeniesienie do Ambasady RP we Francji i pozostał w niej do końca swej służby, wpierw jako pierwszy sekretarz, potem jako radca i minister pełnomocny.

Szefem placówki paryskiej był wówczas ambasador Alfred Chłapowski, człowiek o wielkich zaletach politycznych i towarzyskich, lubiący, jak niemal wszyscy Wielkopolanie, postępować z metodą i systematycznie. Nie pamiętam, czy był z nominacji Muhlsteina zadowolony, ale gdy przydział jego stał się faktem, odniósł się do nowego współpracownika ze zwykłą lojalnością i życzliwością. Zamierzał wprowadzić go w świat polityczny i dyplomatyczny, przedstawić go swym utytułowanym i klubowym przyjaciółom. Operację przygotowywał powoli i starannie. Nie docenił tylko jednej rzeczy, a mianowicie niecierpliwości i obrotności nowego sekretarza. Bez czekania na dawno zapowiadany debiut oficjalny zaprosił Anatol któregoś dnia swego szefa do świeżo urządzonej garsoniery. Cisnęli się w niej ludzie noszący najświetniejsze nazwiska. Cechująca późniejsze obiady w domu już żonatego Muhlsteina umiejętność dozowania rządu, parlamentu, literatury, arystokracji, episkopatu objawiła się wtedy po raz

pierwszy. Następne przyjęcie w Ambasadzie odbyło się już nie dla przedstawienia Muhlsteina, ale z jego pomocą.

Z Paryża wzywano go często na zebrania Rady i Zgromadzenia Ligi Narodów do Genewy. Jego przyjaciel, Tadeusz Gwiazdoski, miał wryte w pamięć wszystkie teksty i terminy, Anatol Muhlstein znał wszystkich ludzi, ich powiązania i nastroje. Opary zalegające nad Lemanem nie utrudniały mu orientacji, bo kierował się głównie intuicją i węchem. Był z epoki i szkoły Brianda, jak on rozumiał nieraz, zanim wiedział. Barwna plama słowa, rzucona umiejętnie na tło szarego tematu, znaczyła dlań więcej niż ostry zarys paragrafu. Pamiętam nerwowy tik i grymas Muhlsteina spotęgowane irytacją, gdy słuchał, jak mądry, ale mało wymowny minister spraw zagranicznych Polski, August Zaleski, jękami niweczył efekt najpiękniej literacko i najchytrzej politycznie przygotowanych przezeń oświadczeń.

W tym samym czasie ożenił się z Dianą de Rothschild, która prócz wybitnej urody i znacznego majątku przyniosła mu w posagu poparcie i rozgałęzione stosunki najpotężniejszej dynastii bankierskiej świata. Salon Muhlsteinów stał się jednym z uznanych salonów politycznych Paryża. W jego ścianach spotykały się i niekiedy krzyżowały wpływy Ambasady Polskiej i innej międzynarodowej siły wcielonej w dom Rothschildów.

Do tej pory dwoistość w życiu Muhlsteina nie przeradzała się nigdy w sprzeczność. Czuł się Żydem i czuł się Polakiem. Antysemityzm nie budził w nim uczucia nienawiści lub odwetu, raczej nieco wyniosłe zdziwienie. Często powtarzał, iż nie rozumie, jak można nie doceniać wartości rasy, której zawdzięcza ludzkość wiele z najgłębszych idei, od nauki chrześcijańskiej aż po teorię względności. Do Polski był szczerze przywiązany, lecz Polskę stanowiły dlań przede wszystkim miasto dzieciństwa – Warszawa, i *Pan Tadeusz*, z którym się nigdy nie rozstawał, którego wciąż odczytywał i słowa znał na pamięć. Mały, zniszczony tomik wyciągany z sakwy podróжной czcił jako biblię polskiego patriotyzmu i polskiego tułactwa. Syn ludu Księgi odnajdywał w nim całą ojczyznę. Niby motto swego życia prywatnego, swej kariery politycznej i światowej powtarzał słowa:

[...] było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu.

Właśnie dlatego że sam pozbawiony był jakichkolwiek urazów, lubił o Żydach, którzy zajmowali wybitniejsze stanowiska, opowiadać anegdoty i robić cięte uwagi. O znanym z odwagi gen. Bernardzie

Mondzie mawiał, że asymilował się na Kmicica. Gdy Leon Blum, którego wysoko cenił, został po raz pierwszy premierem, przestrzegał, że ludzi krwi żydowskiej krępują często w polityce więzy przyjaźni i pokrewieństwa. Każdy z nich jak cadyk-cudotwórca ciągnie za sobą cały dwór klientów i pociotków. Zraża tym opinię i często z protektora staje się ofiarą własnego otoczenia.

Swoją osobistą linię życiową, swój styl własny zachowywał Muhlstein nawet w gastronomii. Kiedy dojeżdżając do Warszawy, prosił przyjaciół na śniadanie, traktował ich wpierw rybą po żydowsku na Nalewkach, a na drugie danie befsztykiem z polędwicy u Krzezińskiego. W ten skomplikowany topograficznie układ menu wchodziło zapewne nieco pozy, ale pozy świadomej i niepozbawionej autoironii. Znaj Pana – znaj Żyda.

Ambicją jego, której nie ukrywał i której nie wyrzekł się nawet po opuszczeniu kariery dyplomatycznej, było objęcie stanowiska ambasadora RP w Paryżu. Mówił o tym zupełnie otwarcie. Chciał zostać ambasadorem nie mimo pochodzenia żydowskiego, ale jako Żyd czujący po polsku, który swe wpływy i stosunki, plemienne czy potem też rodzinne, może wstawić w służbę sprawy polskiej. Z końcem 1939 roku był tylko o krok od obiecanej mu przez gen. Sikorskiego realizacji tego projektu. Ale w okresie przedwojennym, kiedy jako minister pełnomocny urzędował jeszcze na avenue de Tokyo, zrozumiał, jak nieraz w praktyce trudno klucz do archiwum ambasady i klucz skarbcza Rothschildów złączyć w jednym pęku.

Inny konflikt zaczął równocześnie zakłócać jego pracę: Muhlstein był za młodu socjalistą. Z biegiem lat skłaniał się coraz bardziej w kierunku dość eklektycznego liberalizmu. W polityce międzynarodowej pociągały go zagadnienia związków ponadpaństwowych, zaciekawiała rzucona przez Brianda idea europejska. Nasiąkał humanistyczną kulturą francuską, na wschód, i ten w kontuszu, i ten w chałacie, patrzył nadal z rozrzewnieniem, ale z oddali. Łącznikiem między realną codzienną pracą polityczną a przeszłością rewolucyjną, a odległym w czasie i przestrzeni krajem młodości, wydał mu się Józef Piłsudski, z którego ramienia spełniał ważne i poufne misje polityczne w samym Paryżu i jeździł do Kowna. Podziwiał go, sycił nim swą wyobraźnię, napisał o nim książkę. Stał się wśród piłsudczyków, ale nie w wyrównanym szeregu, raczej nieco na uboczu.

A szeregi wyrównywano coraz bardziej, coraz mniej dopuszczano osóbek i odchyleń. Pułkownik Beck komenderował polską polityką zagraniczną jak dywizjonem artylerii konnej. Narowistych szkap nie

znosił na poligonie. Irytował się na mgły nad Sekwaną i mgły nad Le-manem, które pomniejszały precyzję sztabowo ustalonego manewru. Myślał źle o Paryżu, gdzie o nim myślano jeszcze gorzej.

Dla Muhlsteina, bywalca zebrań ligowych, wierzącego we Francję mimo jej przejściowej słabości, zabrakło w takim układzie miejsca. Wpierw przestrzegał, przekonywał, protestował, potem wycofał się do swej połączanej samotni. Rzucił służbę i politykę polską, zaczął robić pieniądze.

Kłeska wrześniowa 1939 roku wydobyla na wierzch jego patriotyzm. Stanął przy generale Sikorskim, służył mu radą i stosunkami, zabiegał o uznanie przez Zachód jego rządu. Jako Polak „jako frankofil, cieszył się, że andegaweński zamek Walezjusza wawelskim kształtem odbijał się w Loarze. Toczące się szybko wydarzenia zamykały wnet krótkotrwały miraż. Po kapitulacji Francji wyjechał Muhlstein do Stanów Zjednoczonych, zajmował się w New Yorku interesami teścia i własnymi, z biegiem lat przyjął obywatelstwo amerykańskie. Zbyt wiele posiadał jednak energii i imaginacji, by w światowej walce o wolność pozostać bierny. Zawsze wrażliwy na gest i legendę, tak jak niegdyś przez Marszałka Piłsudskiego, tak teraz urzeczony był przez gen. de Gaulle'a. Nazwisko Muhlsteina widnieje wśród pierwszych za morzami gaullistów.

Do wyzwolonego Paryża wrócił z paszportem USA, ale nie nagięty do stylu nowego świata, ale znużony tułaczką po różnych krajach i zawodach. Nad Sekwaną przeżył niegdyś najszcześniejsze lata i tu postanowił ostatecznie zarzucić kotwicę. Nie zażegnał jednak fatum Ahaswera. Nawet próbę ustalenia losu opłacił nową zmianą książeczki paszportowej: zaliczony został w poczet obywateli Czwartej Republiki.

W obszernym mieszkaniu, na paryskiej avenue du President Wilson, wśród książek i wspomnień, witał zbliżającą się starość. Raz jeszcze wznowił tylokrotne dawne przechadzki po kuluarach zebrań międzynarodowych, gdy, tym razem w składzie delegacji francuskiej, udał się na Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych do Nowego Jorku. Dojeżdżał do Brukseli, gdzie już bez dziupli w drzewie, tendru lokomotywy i innych romantycznych akcesoriów wojny i młodości wydawał nadal „Le Flambeau”. Przede wszystkim jednak po gwarze i gonitwie całego życia szukał wypoczynku. Wyjście ze służby dyplomatycznej rozluźniło jego stosunki z dawnymi polskimi kolegami. Rozstanie się z żoną oddzieliło go, choć bez zadrażnień, od rodziny Rothschildów. Byłby został samotny, gdyby nie obecność córek. W przywiązaniu do

nich, w ambicji dla ich przyszłości skupił wszystkie swe minione przywiązania i ambicje.

Zamykał się więc w skorupie ojca rodziny, oświeconego kosmopolity i dyletanta. Do polskiego środowiska uchodźczego, które znał coraz mniej, odnosił się z uczuciami złożonymi. Pociągało go i czuł się w nim obcy. Interesował się Zespołem „Kultury” w Maisons-Lafitte, bo ulegał osobistemu, malarskiemu i pisarskiemu urokowi Józefa Czapskiego, bo odpowiadała mu nienadmiernie obowiązująca lewicowość pisma, bo rozumiał i sam przeżywał wahania między amerykańizmem a neutralizmem. Stawiał się na trzeciomajowe nabożeństwa w kościele de l'Assomption i ostentacyjnie cieszył się hebrajskim napisem nad głównym ołtarzem. W Bibliotece Polskiej podszedł kiedyś do mnie po wieczornym wykładzie i zapytał, kto są ci wszyscy nieznajomi na sali. Odpowiedziałem: – To Polacy. Już zapomniałeś? Mogłem tak powiedzieć, bo byłem pewien, że nie zapomniał.

Jak mało zapomniał, okazało się przed jego śmiercią. Powalony chorobą, żegnając się z życiem i bliskimi, znajdował słowa tylko polskie. Zbędne w ostatniej podróży paszport amerykański, paszport francuski leżały zamknięte w biurku. Umierają, jak za młodu „...ojczyznę jako Polak kochał”.

Pochować się kazał na zapuszczonym cmentarzu u skraju posiadłości podparyskiej, którą nabył po wojnie, by dać córkom własny dom rodzinny. Wśród krzyży, zdobiących porośłe chwasty wiejskiej mogiły, wykopano mu grób, na którym nie będzie widnieć znak ani starego, ani nowego przymierza. Tylko opodał wznosi się jak Mur Płaczu kaleka ściana na wpół zrujnowanego kościoła. Domu modlitwy za żywych i umarłych.

Stefania Kossowska

Aniela

Odkąd pamiętam, nie trzeba było dodawać nazwiska, wystarczyło – Aniela. Zanim to się stało, była przed wojną jedną z czterech pięknych sióstr, córek architekta Lilpopa, znanych w całej Warszawie, nieustannie obecnych w jej towarzyskim życiu. Organizowały bale dobroczynne i tańczyły na nich do rana, zawsze otoczone, adorowane, kwestowały na ulicach, jak to wtedy było w zwyczaju, przyjaźniły się z pisarzami, malarzami, zawsze którąś z nich można było spotkać na piątkowym koncercie w filharmonii, w teatrze, na korcie tenisowym, w artystycznej kawiarni. Bawiły się, ale ich wychowanie trzymało je w dyscyplinie pracy i społecznych obowiązków. Najstarsza, Halina, wyszła za mąż za dyrygenta o światowej sławie, Artura Rodzińskiego, i wyjechała z Polski; Fela, w której kochali się wszyscy koledzy w Akademii Sztuk Pięknych – za pianistę Kazimierza Kranca; najmłodsza Marysia – za Zbigniewa Uniłowskiego, młodego pisarza, rokującego wielkie nadzieje, a Aniela – za Witolda Mieczysławskiego, urzędnika MSZ, z którym wyjechała na dyplomatyczną placówkę do Rumunii. Małżeństwo nie trwało długo, przyszła wojna i różne losy zaprowadziły wszystkie siostry do Stanów, gdzie znowu były razem.

I wtedy narodziła się Aniela amerykańska, czynna, o niewyczerpanej energii, wszystkim życzliwa, niezbędna, ale to był tylko margines jej życia konieczny dla codziennej egzystencji, najmniej ważny. Dawne światowości ustąpiły teraz miejsca wyniesionej z domu pasji pomagania ludziom i sprawom. W indeksach nazwisk licznych książek z tych powojennych lat – *Dziennik Lechonia*, korespondencja Jerzego Giedroycia z pisarzami – powtarza się nazwisko „Aniela Mieczysławska”. To odniesienie do określonej strony oznacza, że właśnie coś dla kogoś zrobiła, że poszła, zdobyła, posłała, napisała, całe lata załatwiania cudzych spraw, starań, opieki. Nie tylko dla tych, którzy byli blisko, jak Lechoń, wciąż wołający na pomoc, ale i dla każdego, kto przyjeżdżał ze świata i szukał życzliwej osoby. Jej małe mieszkanie rozszerzało ściany dla Czapskiego z Paryża, dla Bobkowskiego z Gwatemali i tylu, tylu innych. Andrzej Bobkowski nazywał ją PAM (Polska Agencja Mieczysławska).

Obok tych osobistych świadczeń brała na siebie niewdzięczną rolę wiecznego kwestarza. Pomagały jej w tym towarzyskie zalety i stosunki, jakie umiała łatwo nawiązywać, osobisty urok i wyniesiony z warszawskich doświadczeń upór, by wydobyć pomoc na ważne sprawy. Na ich długiej liście były w różnych czasach paryska „Kultura”, Dom dla Ociemniałych w Laskach, Instytut Sikorskiego w Londynie... Mówiono o niej serdecznie – Wielka Jałmużniczka; Lechoń nazwał ją w swym *Dzienniku* – „Nasza narodowa Aniela Mieczysławska”.

Polski Londyn poznał Anielę, gdy związała swe życie z Edwardem Raczyńskim, opuściła Nowy Jork i przeniosła się do Anglii. Nie trzeba było dużo czasu, by włączyła się w nowy świat, wciąż piękna, energiczna, życzliwa, uśmiechnięta. Jak dawniej, jak gdzie indziej. Nauczyła się od razu wszystko wiedzieć, znać wszystkich i załatwiać, tylko teraz robiła to inaczej, idąc obok, w cieniu ambasadora, a potem Prezydenta Raczyńskiego. Największą troską otoczyła wtedy i jemu bliski Instytut Sikorskiego. Setki jej osobiście pisanych listów, apele, imprezy w dużej mierze pozwoliły Instytutowi pokonać niejedną trudność, okrzepnąć i trwać. Ale życie towarzyskie, liczne nowe przyjaźnie, praca – bo nigdy nie była beczynna – i reprezentacja, która stała się jedną z jej oficjalnych funkcji, traciły znaczenie wobec prywatnego, domowego szczęścia. Było ono niemal dotykalne, czuli je nawet obcy i ze wzruszeniem patrzyli na wzajemne oddanie tych dwojga ludzi, którzy spotkali się późno, by połączyć swe życie w spokojnym, ostatecznym porozumieniu.

Aniela, młodsza od Raczyńskiego o pokolenie i wciąż młoda swą zdumiewającą żywotnością i niezmałą pogodą, z każdym rokiem – zbliżającym go do setki, którą przekroczył – stawała się coraz mocniej z nim związana. Choć jego córki, kochające, oddane, wciąż były obecne, choć nie brakowało mu opieki, trudno już było wyobrazić go sobie bez Anieli obok. To już było jedno wspólne życie. Swój ostatni wywiad dla Radia Wolna Europa, parę tygodni przed śmiercią, zakończył ze wzruszeniem inwokacją do matki, pani Róży i żony Anieli, dziękując im za miłość.

Z jego śmiercią skończyło się i życie Anieli, choć przez jakiś czas robiła, co potrzeba, porządkowała swoje i jego sprawy, ale był to już automatyzm wrodzonego ładu. Pozornie jeszcze coś czytała, czegoś słuchała, trudno było jednak wiedzieć, co z tego dochodziło do niej. Przystawała chodzić, przystawała wstawać z łóżka, przystawała jeść, coraz mniej jej było na świecie. Przez kilka lat, które dzieliły ją od śmierci męża, choć nie chorowała, nie cierpiała, życie wypływało z niej powoli, kropla po kropli, aż do tej ostatniej, gdy zamknęła oczy, by zasnąć, jak co noc...

Józef Czapski

Weltbürger

„Weltbürger” – obywatel świata brzmi zbyt pompastycznie po polsku – ale to słowo charakteryzuje jak żadne inne istotę Weissberga-Cybulskiego. Jeżeli kiedy znałem obywatela świata – był nim on. Walczył z nazizmem, był przez Rosjan torturowany, w Polsce przeżył lata okupacji. O Rosjanach mówił z dużym sercem, to co przeżył okrutnego w Rosji, ani przez chwilę nie zatarło jego wspomnień serdecznych o narodzie rosyjskim, o rosyjskich przyjaciółach, o świecie myśli rosyjskiej. Nikt chyba nie znał lepiej zbrodni niemieckich dokonanych na Żydach. Wymordowano mu najbliższych, był autorem książki *Historia Joela Branda*, tej próby wyhandlowania przez Niemców pod koniec wojny 10 000 samochodów ciężarowych za milion Żydów węgierskich. Ale Weissberg i o Niemcach mówił z tym samym uczuciem, zrozumieniem i wprost przywiązaniem; ten Austriak, uczony, rewolucjonista, był od dzieciństwa zrośnięty z kulturą niemiecką. Jego stosunek do Polaków był wyjątkowy: znał przecie dobrze nasze polskie zaskorupiałe, tępe antysemityzmy, znał dobrze i nasze wobec Żydów winy. Wcale ich nie zapomniał. Ale nie zapominał również tego, co mu Polacy dali, co w Polsce w czasie niemieckiej okupacji przeżył razem z Polakami. Poprzez żonę odkrył Polskę, w tym co ma najlepszego.

Wiedeńczyk – urodzony zresztą w Krakowie – fizyk i matematyk, od 1927 roku członek partii komunistycznej (jego przyjaciel Koestler pisał o nim jak o jednej z najwybitniejszych dialektycznych inteligencji), jest przez parę lat asystentem prof. Westphala w Berlinie, przyjaźni się z Einsteinem i walczy wówczas, gdzie może i jak może z narastającą falą hitleryzmu. Jego ojciec i obaj bracia zginą zamordowani przez nazistów. W 1931 roku wyrusza do Związku Radzieckiego, by tam pozostać i tam, na miejscu, budować nowy wolny świat, w który wierzył. Przez sześć lat Weissberg rozbudowuje wielki instytut techniczny fizyki w Charkowie, ale już w 1934 roku zamordowanie Kirowa, potem pierwszy wielki proces przeciwko Zinowiewowi i Kamieniewowi otwierają cykl nowego t o t a l n e g o terroru.

W 1936 aresztowana jest jego pierwsza żona, w 1937 on sam posądzony o spisek mający na celu zamordowanie Stalina oraz wysadzenie w powietrze elektrowni charkowskiej. Posądzony jest również o szpiegostwo na rzecz Hitlera. Zresztą zbrodnie, o które jest obwiniony, są coraz to inne, sądzony jest na podstawie różnych paragrafów. Przez trzy lata przesłuchiwany, męczony, torturowany, przerzucany z więzienia do więzienia, jak tysiące, a nawet miliony innych skazanych. Ostatecznie po pakcie Ribbentrop–Mołotow i wybuchu wojny zostaje z grupą innych obywateli Rzeszy Niemieckiej wydany przez NKWD policji gestapo. Weissberg jest komunistą i do tego Żydem. Przerzucony przez Bug 5 stycznia 1940 roku na teren Generalgouvernement po trzech miesiącach więzień gestapo w Białej Podlaskiej, Warszawie i Lublinie łąduje w getcie krakowskim. W 1942 roku, przy rozpoczętej akcji zagłady Żydów, udaje mu się uciec z getta, dołącza wówczas do polskiego ruchu oporu. W 1943 roku znowu aresztowany przez gestapo i wysłany do obozu w Kawęczynie jest stamtąd wyratowany przez polskie podziemie, bierze udział w 2 powstaniach przeciw Niemcom, ukrywany aż do wkroczenia Armii Czerwonej przez Zofię Cybulską, późniejszą jego żonę, której nazwisko od tej chwili łączy ze swoim. Oboje opuszczają wkrótce Polskę i, jak sam pisze w swej książce Weissberg-Cybulski, po raz pierwszy po kilkunastu latach w porcie szwedzkim dotyka stopą ziemi wolnej.

Książka Weissberga *Hexensabbat*, tłumaczona na wiele języków, ukaże się nakładem Instytutu Literackiego. Weissberg-Cybulski posiadał jakąś elektroniczną pamięć i ta świetna książka uważana jest przez sowietologów za najbardziej wierny dokument z okresu czystek jeżowowskich, głośnych pokazowych procesów i szczytowego okresu stalinowskiego terroru. Poznałem Weissberga dopiero w 1949 roku, w okresie procesu Rousseta przeciwko redaktorowi komunistycznego pisma „Lettres Françaises”. Rousset, więzień obozów niemieckich i autor podstawowej o tych obozach książki, ośmielił się wspomnieć o istnieniu innych obozów, w Sowietach, i został przez redaktora „Lettres Françaises” nazwany oszczercą. Był to jeszcze ten czas, kiedy żaden „dobrze myślący” lewicowiec czy sympatyk lewicy nie śmiał słowa piśnąć przeciwko Stalinowi i jego rządowi, nie narażając się natychmiast na zarzuty nazizmu, faszyzmu, reakcji przez pisma komunistyczne, a również przez tak bardzo licznych wówczas fellowtravellersów.

Rousset sprowadził wówczas na świadków cały szereg ludzi, którzy przeszli przez obozy sowieckie: Elinor Lipper, Kazimierz Zamorski, J. Margolin, dr Bandrowski, Jerzy Gliksman, p. Buber-Neuman i wielu,

wielu innych. Świadczyłem również jako ten, który poszukiwał zaginionych w Rosji oficerów i żołnierzy polskich. Nie było insynuacji, którymi by komuniści i ich sympatycy nie karmili nas wszystkich. Cybulski, nie znając dobrze francuskiego, przemawiał na rozprawie po niemiecku, a więc zrobiono z niego prawie że niemieckiego agenta, bo śmiał po niemiecku świadczyć o sowieckich obozach. Ale bo też on właśnie postawił stronę przeciwną w trudnej sytuacji, gdy odczytano na sali fotokopie listów, podpisanych przez Einsteina oraz przez Joliot-Curie, skierowanych w swoim czasie do Stalina oraz do prokuratora generalnego w Moskwie z prośbą o uwolnienie wielkiego uczonego, człowieka o nieskazitelnej prawości, ich przyjaciela – Aleksandra Weissberga. Właśnie w okresie tego procesu Joliot-Curie był obok Picasso największą chlubą partii komunistycznej francuskiej.

Na początku procesu zwrócił się do mnie jeden z głównych organizatorów: „Prosiłbym, by pan nie wspominał o Katyniu. Sprawa ta jest we Francji przesądzona. Niemcy tak gwałtownie propagowali odpowiedzialność rosyjską za tę zbrodnię w czasie, gdy okupowali Francję, że nie przekona pan już dziś Francuzów, że w tym jednym wypadku Niemcy mówili prawdę”. Byłem mocno zaskoczony tego rodzaju narzucaną mi radą. Przecież jeżeli chciałem także świadczyć, to przede wszystkim z powodu Katynia. W parę chwil później spotkałem Weissberga; rzucił się wprost na mnie i najczystsza wiedeńska niemczyzna zaczął mi tłumaczyć z pasją, że przemilczeć Katyń w tak głośnym procesie byłoby haniebne. Weissberg nie potrzebował mnie przekonywać, ale wówczas od pierwszej chwili pokochałem tego człowieka. I trudno mi tutaj nie używać słów wytartych i głośnych: jego namiętna wola prawdy, wola sprawiedliwości, obrona każdego skrzywdzonego, niezależnie od tego, gdzie się urodził i jakim mówił językiem, była tak żywiołowa, że od pierwszej chwili zetknięcia już wiedziałem, kim jest Weissberg-Cybulski.

Od tego czasu widywaliśmy się wielokrotnie. Był przyjacielem „Kultury”. Uderzało mnie zawsze, jaką ten człowiek, po tym wszystkim, co przeszedł, zachował wolę życia, miłość życia, stosunek do człowieka i wspaniały zmysł humoru. „Człowiek nie kamień, wszystko wytrzyma”, mówiono w Polsce.

Spotykałem go również na przeróżnych zjazdach intelektualistów organizowanych przez Kongres w Obronie Wolności Kultury i tu mam parę wspomnień, które chciałbym opowiedzieć.

Weissberg był na tych zjazdach zawsze gościem dość kłopotliwym. Nie pamiętam, by kiedykolwiek występował z jakimś uczonym referatem. Na zebrania przychodził nieregularnie, błąkał się po kuluarach,

wszędzie spotykał znajomych i przyjaciół, uczonych światowej sławy czy może zwykłych kompanów od bridża, czy ludzi, którzy wraz z nim w tym samym okresie walczyli z hitleryzmem lub siedzieli po sowieckich więzieniach. Mówił zawsze naprawdę to, co myślał, niezależnie od takiej czy innej taktyki, i to tylko wtedy, kiedy nie mógł milczeć. Na kongresie mediolańskim w 1955 roku, po długim przemówieniu jakiegoś angielskiego uczonego i niekończącej się dyskusji, w której usiłowano sprecyzować filozoficznie, na czym polega wolność, Weissberg zerwał się ze swego miejsca, prosząc o głos: „Panowie, wy się tu zastanawiacie i nie jesteście w stanie sformułować, na czym polega wolność. Ależ nie zapominajcie, że tam, za żelazną kurtyną, ci ludzie, co siedzą po więzieniach, te miliony, które nie mają prawa głosu, nawet, ci którzy nie mają żadnego filozoficznego wykształcenia, wiedzą doskonale, na czym wolność polega i czym jest brak wolności!”. Wystąpienie to zostało przez wielu źle przyjęte, Weissberg-Cybulski został przez niejednego uznany za podżegacza wojennego.

Jesienią 1962 roku byłem zaproszony do Kolonii, gdzie tenże Kongres Obrony Wolności Kultury zorganizował seminarium i szereg zebrzań publicznych, w których omawiano, gdzie i kiedy bunt przeciw władzy prawowitej jest dopuszczalny i kiedy jest on obowiązkiem każdego obywatela. Uczeni, pisarze albo aktywni uczestnicy walki z hitleryzmem, Niemcy czy więźniowie obozów niemieckich, wypowiadali się na ten temat. Od Martin-Chauffiera z Francji po filozofa Blocha, który właśnie opuścił Niemcy Wschodnie, od wiedeńskiego myśliciela katolickiego prof. F. Heera, aż po polityków niemieckich i angielskich. Pamiętam jedno takie zebranie publiczne, prowadzone przez przewodniczącego parlamentu w Bonn E. Gerstenmeyera. Wspominano ze wzruszeniem i w słowach patetycznych Résistance francuską, opór w Holandii, ruch antyhitlerowski w Niemczech. Sala była przepełniona. W wielkiej auli uniwersytetu kolońskiego: profesoriowie, uczeni, masa studentów. Widziałem, że od pewnego czasu Weissberg, który siedział na honorowym miejscu, kręcił się i nie mógł usiedzieć, aż nareszcie poprosił o głos. Przemówienie jego wcale nie było przewidziane i Weissberg jak zawsze improwizował z wrodzoną mu swadą. Wszedł na trybunę i zaczął mówić: „Proszę państwa, mówicie o oporze. Ja słucham i nie mogę wyjść ze zadziwienia, mówicie już tak długo – ani razu nie została wspomniana Polska. Ostatecznie jeżeli gdzie był naprawdę opór i naprawdę walka, i to nie walka drobnej mniejszości, ale całego kraju – to była Polska. Dlaczego nikt o tym nie wspomina? Dlaczego tak mało ludzi o tym wie? Przypominam sobie

Warszawę przed samym powstaniem. Do mojej żony przysłała wówczas z wizytą jej kuzynka, młoda dziewczyna. Niosła jabłka w dużym koszu. Okazuje się, że pod tymi jabłkami był materiał do wysadzenia toru kolejowego. Byłem przerażony jej śmiałością. Potem zobaczyłem, że był to gest prawie banalny, że wszyscy tak czy inaczej partycypowali w tej walce, która groziła każdej chwili śmiercią. Pamiętam powstanie. Przecież ludzie przebiegali przez ulice ostrzeliwane z karabinów maszynowych. W pierwszych dniach bałem się, nie śmiałem przejść, potem się przyzwyczailem. Przez takie ostrzeliwane ulice przechodziłem i ja, by kupić paczkę papierosów. O oporze i walce polskiej nie mamy prawa zapomnieć”.

To wystąpienie było krótkie. O ileż bardziej ludzki, bezpośredni, żarliwy był ton Weissberga, człowieka naprawdę wolnego, nawet wtedy gdy siedział w więzieniu w Butyrykach, od przemówień i wywodów o wolności filozofów i teologów.

Na tym samym zjeździe, na jednym z zebrań seminarium, zaszła długa dyskusja o teorii komunizmu. Jeden z przyjaciół Weissberga, były komunista, czołowy przeciwnik stalinizmu, mówiąc o Chruszczowie, powiedział ironicznie, że nawet Chruszczow nie jest dobrym komunistą, że on sam jest może lepszym komunistą od niego. Chciał naturalnie jedynie powiedzieć, że jeżeli chodzi o teorię komunizmu, to zna ją na pewno lepiej od samego Chruszczowa, ale ta jego *boutade* mogła być przez audytorium źle zrozumiana. I tu znów Weissberg nie wytrzymał, zerwał się, by natychmiast zaapponować przyjacielowi: „Znamy się od 40 lat, tak że o polityce przestaliśmy mówić ze sobą, ale tu musimy zareagować. O jaki komunizm chodzi? Przez wiele lat byłem przekonany, że komunizm jest dobrą ideą, tylko jej realizacja w Sowietach jest zła». Dziś wiem i jestem przekonany – że to jest zła realizacja – zła idea”.

Ostatnie tygodnie przed śmiercią – śmierci tej wcale nie oczekiwał, choć wszyscy wiedzieliśmy, że był zagrożony, coraz to tygodniami leżał w klinikach – Alex w rozmowach wracał często do spraw sowieckich, twierdził, argumentował, że sytuacja światowa komunizmu, a przede wszystkim komunizmu w Rosji, jest dramatyczna i beznadziejna, twierdził, że komunizm nie może dać sobie rady na odcinku agrarnym, że jego co rok większa porażka na tym polu będzie grobem komunizmu.

Tylokrotnie przepowiednie Weissberga bywały trafne, tylokrotnie widział dalej niż jego przyjaciele, czy i ta przepowiednia miałaby się sprawdzić?

Nika Kłosowska

Witek Zahorski

Czy nikt nic więcej nie napisze o Witku Zahorskim, wiernym pośle „Kultury” *in partibus infidelium*?

Poznaliśmy się w 1938 roku w Starej Wilejce, gdzie Witek był inspektorem oświaty pozaszkolnej, a ja zostałam wysłana przez MSW dla zbadania i opisanego problemów osadnictwa wojskowego w powiecie starowilejskim. Jeżeli nie najgorzej wywiązałam się z tego zadania – to dzięki jego pomocy i znajomości terenu. Widywaliśmy się niedzielami, wymieniając wrażenia z pracy i białoruskie „czastuszki”, któreśmy prywatnie zapisywali.

Wkrótce Witek wyjechał do Warszawy, gdzie pracował w Funduszu Pracy. Po zakończeniu moich badań, wysoce pesymistycznych w ocenie wyników osadnictwa, i mnie tam zaangażowano. We wrześniu 1939 ministerstwo zostało wyewakuowane z Warszawy. Po sześciu dniach spędzonych w ostrzeliwanym pociągu, już blisko granicy, Witek i ja postanowiliśmy zawrócić.

Witek był synem biednej nauczycielki w Wilnie. Ojciec jego, zamężny ziemianin, nigdy się do niego nie przyznał. Mówił o tym lekko, raczej z żartem i bez kompleksów. Co do mnie to wprawdzie noszę nazwisko mego ojca, ale odkąd porzucił moją matkę, kiedy miałam cztery lata, widziałam go dwa razy w życiu i nienawidziłam serdecznie. Tak że mieliśmy podobne dzieciństwo. Witek od wczesnych lat nie tylko się uczył, ale pomagał matce, zarabiając, jak mógł. Ja miałam matkę w Słoniemie wraz z dwojgiem moich dzieci. Uważaliśmy, że nie mamy prawa rodzin porzucić, on więc ruszył do Wilna, a ja do Słoniema.

Wojska sowieckie zajęły Słoniem 17 września 1939 roku. Wilno, подарowane wspaniałomyślnie Litwie, było względnie wolne przez rok. Przed Wigilią 1939 roku Witek przedostał się do Słoniema, żeby namówić mnie na wyjazd z dziećmi do Wilna. Ja twierdziłam, że nie mogę zostawić matki i chorej ciotki, będących na mej opiece. Pokłóciliśmy się okropnie. Powiedział: „Przecież i tak cię zamkną i wtedy ich wszystkich zostawisz”. Oczywiście miał rację. Postanowiliśmy zde-

cydować po Wigilii. Tylko że akurat tej nocy właśnie po mnie przyszli. Zdążył rzucić mi parę słów: „Dzieci? Zabrać czy zostawić?”. „Zabierz”. Miał wtedy zaledwie 26 lat i obarczył się dwojgiem nieletnich dzieci, przechodząc w czasie srożej zimy „zieloną granicę” na litewską stronę. Chłopiec został z nim i jego matką, córkę przygarnął klasztor Benedyktynek.

Po roku przysła i na niego kolej. Ale moje dzieci, których NKWD poszukiwało w Słonimie, aby je „bezpiecznie” umieścić w *dietdomie* z powodu nieobecności ojca i matki – ocalały. Spotkaliśmy się znowu w 2. Korpusie, ja po dwóch latach więzienia, on po roku. Każde z nas miało inny przydział.

Witek nie był człowiekiem łatwym. Bardzo wybuchowy, nie zrównoważony, zawsze w nerwach. Ale podstawową cechą jego charakteru była zawsze chęć niesienia pomocy innym. Są jeszcze chyba na świecie ludzie, którzy mu coś zawdzięczają. Był też niezwykle zaradny w każdych okolicznościach.

Widzieliśmy się kilka razy po wojnie, w Londynie i w Rzymie. Choć zdrowia dobrego nigdy nie miał, ale był jedynym znanym mi człowiekiem, który się fizycznie prawie nie zmieniał. Widziałam go ostatni raz w Rzymie już po ataku serca. Czasem pisywaliśmy do siebie. W ostatnim liście, pisany już niepewną ręką, napisał: „Muszę jakoś pracować (miał dwa wylewy krwi do mózgu w ciągu czterech lat, oba w noc wigilijną) – ponieważ nie mam i nie będę miał żadnej emerytury, więc mam prawo żyć tak długo, jak pracuję”. I podpisał starym zdrobniałym imieniem „Wiś”. „Był kiedyś taki na świecie”. Na późniejsze moje listy już nie odpisał.

Założył rodzinę późno, kilka lat po wojnie. Z dwóch synów bliźniaków jeden umarł jako niemowlę. Drugi, też Witek, jest bardzo zdolnym młodym człowiekiem.

Podchorąży Witold Zahorski, odznaczony Krzyżem Walecznych za zdobycie niemieckiej armaty (zawsze twierdził, że to był przypadek), zasługuje chyba na kilka ciepłych słów.

Czesław Miłosz

Śmierć Józefa Sadzika

Znów muszę pisać nekrolog. Postaram się przynajmniej dać możliwie dużo informacji i w ten sposób uniknąć pewnej obrzędowości, jaka w tę formę często się wkrada. Wszystko oczywiście będzie rozwijało się wokół kilku dat, poczynając od tej ostatniej. Ksiądz Józef Sadzik, dyrektor domu wydawniczego oo. pallotynów w Paryżu, Les Editions du Dialogue, umarł nagle na serce dn. 26 sierpnia 1980 roku, w wieku lat czterdziestu siedmiu, w 28. rocznicę profesji Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (Pallotyni). Tego samego dnia rano, według czasu paryskiego, telefonowałem do niego z Kalifornii, zaniepokojony jego milczeniem od chwili naszego rozstania się na lotnisku Charles de Gaulle 18 lipca. Powiedział mi, że przedłużył wakacje w Szwajcarii, gdzie nie tykał pióra, że list jest w drodze, że czuje się doskonale i zabiera się do pracy. Zapytany, czy ma nowy lek niemiecki na arytmieję, potwierdził. Po czym omawialiśmy nasze plany drukarskie i wydawnicze. Wybierał się właśnie do Osny, do drukarni oo. pallotynów, żeby tam dać do składania *Księgę Hioba* w moim przekładzie i z jego przedmową. I w parę godzin później, tam w Osny, umarł. W chwili kiedy dostałem telefoniczną wiadomość o tym, przyszedł jego list datowany 20 sierpnia, pogodny, zawierający pochwałę wsi szwajcarskiej: „Na pastucha zawodowego nie chciano już mnie – niestety – przyjąć. Jestem za stary”.

Przez dłuższy czas Sadzika znałem mało, i to raczej ze słyszenia, bo parę spotkań w latach sześćdziesiątych miało charakter tylko towarzyski. Byłoby pewnie inaczej, gdybym mieszkał w Montgeron, zamiast przenieść się do Kalifornii. Z powodu nieobecności przegapiłem tedy fazę wstępującą domu oo. Pallotynów przy rue Surcouf, który dzięki Józefowi Sadzikowi zmieniał się stopniowo w to, czym jest teraz – i oby był tym dalej: w instytucję polskiego Paryża, teoretycznie niemożliwą, ale urzeczywistnioną, w pierwszym rzędzie przez odczyty i wieczory autorskie, do czego służyła kaplica, zmieniana z ich okazji na salę. Nie byłem więc świadkiem zarządzeń gospodarza, dającego zamówienia artystom: całą jedną ścianę kaplicy, szklaną, po-

krywa apokaliptyczny witraż Jana Lebensteina, na ścianie frontowej wisi rzeźba Aliny Szapocznikow, twarz Chrystusa. Niewiele też wiem o początkach cotygodniowych wieczorów, z ominięciem podziału na kraj i emigrację, zarówno kiedy chodziło o prelegentów, jak i publiczność. Tę publiczność, przeważnie młodą, złożoną ze studentów z Polski, odkrywałem z radością i zdumieniem, czytając przed nią wiersze w latach siedemdziesiątych. Na te też lata dopiero przypada nasza współpraca i przyjaźń, współpraca coraz ściślejsza, przyjaźń coraz głębsza, prowadząca do zwierzeń, jakie rzadko w życiu robimy, tak że nagłe zniknięcie tego człowieka jest dla mnie dotkliwym przerwaniem w pół słowa długiej rozmowy dopiero zaczętej.

Dane o jego życiu czerpię z tego więc okresu, godzin spędzanych razem nad adiustacją moich przekładów z Biblii i w przerwach mówienia o wielu rzeczach. Józef Sadzik urodził się w Krakowie. Nowicjat u pallotynów odbywał w Wadowicach. Teologię studiował w Krakowie, następnie został wysłany do Szwajcarii na uniwersytet we Fryburgu, gdzie napisał pracę doktorską o Heideggerze, wydaną wkrótce w Paryżu: *Esthetique de Martin Heidegger*, Editions Universitaires, 1963. Mój egzemplarz nosi dedykację z Bożego Narodzenia tegoż roku: „z myślą o wielkiej przyjaźni” – co się spełniło, ale dopiero w następnej dekadzie. Po studiach otrzymał polecenie organizowania ośrodka oo. pallotynów w Paryżu. I tu zaczyna się jeden z jego konfliktów wewnętrznych, a jego niesłuchanie intensywna obecność tym może także się tłumaczyć, że jego życie było ciągłą walką, ciągłym zmaganiem się ze sobą. Organizatorem został wbrew swojej woli. Kosztorysy, zakupy, kontrakty, korespondencja nie były dla niego, jak bywają dla wielu, sposobem wyżycia się, tylko ciężarem. Jego przełożeni zrobili dobry wybór, bo dom przy ulicy Surcouf zaowocował ponadspodziewanie, ale dokonało się to za niemałą dla Sadzika cenę. Przyjął zlecenie przełożonych, spełniał jak najlepiej, co miał spełniać, niemniej, już oglądając się wstecz na te lata, kiedy wszystko puszczę w ruch, stwierdzał, że zżarły go one i wyczerpały. Mogłem sam ocenić doświadczalnie jego dokładność, staranność, rzadki dar uwagi, ale te cechy zwiększały codzienną ilość godzin pracy i kto wie, czy nadmiar obowiązków nie przyczynił się do choroby serca. Marzył o czasie dla siebie i miał poczucie, że dławi swoje filozoficzne powołanie. Éditions du Dialogue, wbrew francuskiej nazwie, służą słowu polskiemu, wydając teksty liturgiczne, encykliki i przemówienia papieskie oraz książki o religii, przeważnie tłumaczone z innych języków. Sadzik był umysłem filozoficznym, a wcale nie jest to tym samym co

znajomość filozofii i nie jest częste u ludzi robiących uniwersyteckie kariery w tej dziedzinie. Ta jego właściwość dobrze wpływała na jakość wydawanych przez niego książek, ale niezbyt godziła się z rolą tylko redaktora, stąd też jego ciche bunty przeciw jarzmu.

Dla nas, jego przyjaciół, Sadzik był dość egzotycznym typem księdza, zanim nie przyzwyczailiśmy się brać go takim, jakim był, bez przerabiania go na świecką modłę. Oczywiście postać księdza, także polskiego, zmienia się w ciągu dziejów. Kiedyś, w osiemnastym wieku, był elegancki labuś (*l'abbé*) czytający Woltera. A i w początku następnego stulecia, jak dowiadujemy się z *Dziadów*, niejeden unicki ksiądz miał na plebanii „książki zbójckie”. Później identyfikacja katolicyzmu z polsnością odsuwała kler coraz bardziej od świeckich a wrogich religii, nowinek. W czasach mojej młodości rozdział Kościoła, jeżeli nie od państwa, to od intelektualnego środowiska, był faktem dokonany i niemal politycznym, jeżeli wyłączyć nieduże kółko Lasek i pismo „*Verbum*”. Ani mnie, ani nikomu z moich ówczesnych kolegów nie przyszłoby do głowy, że można przyjaźnić się z człowiekiem w sutannie jak z Jasiem czy Stasiem. Po prostu był to inny stan społeczny, a także inny obóz, do którego niewielu spośród literatów, artystów i intelektualów czuło sympatię, a korzystający z prestiżu przymiotnika „narodowy”. Ogromna zmiana, jaka dokonała się w powojennych dekadach, znalazła pierwszą bodaj definicję w książce Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog*. Ale polityczne przesunięcia są tutaj tylko jednym z aspektów. Ważniejszym jest pewnie zmiana społecznego statusu duchownych.

Zawsze byli i są duchowni oddający się naukom czy sztukom, przy starannym oddzieleniu tych swoich zajęć od swojej funkcji kapłanów. Ten rodzaj balansu na dwóch równoległych ma stare tradycje. Ponieważ Józek Sadzik pojawiał się na paryskich kolacjach jako „jeden z nas” i nie czuło się wcale jego inności, niejeden mógł mieć wrażenie, że tak to mniej więcej, jako podwójność, rozwiązuje. Jednakże wrażenie to było mylne. Jeżeli, zgodnie z nowym obyczajem, nie nosił sutanny, nie znaczy to, że chciał upodobnić się we wszystkim do wszystkich i pokłonić się światu. W okresie wielkich przemian po Soborze szukał formuły obcowania ze świeckimi i nie tak znów łatwo było ją znaleźć. Sadzik nigdy nie próbował wydawać się kimś innym. Znakomicie naturalny nie potrzebował też odruchów obronnych, jak kiedy ktoś z ironią mówi o swoim stanowisku czy zawodzie. Natomiast ukrywał swoją nieśmiałość, nie tyle prywatną, ile wynikającą ze zro-

zumienia dystansu pomiędzy klerem i „środowiskiem”, niecałkowicie jeszcze przezwycięzonego.

Tej nieśmiałości zupełnie się nie domyślałem. Odnosiłem się do niego nie tylko jak do przyjaciela, a więc kogoś, czyje słabostki zna się i wybacza. Mój stosunek do niego miał inny odcień: czci, skłonienia się przed autorytetem, bo co mówił i robił, było najistotniej prawe, przez samą rdzenną prawość jego natury. Czyli nie będzie przesadą, jeżeli nazwę moje uczucie wobec niego uwielbieniem. Przeraziło mnie więc niemal, ale i ubawiło, kiedy przyznał się, że był czas, kiedy mnie się bał. „Jak to możliwe – zapytałem – więc niby że tu księżyna, a tam ktoś z intelektualnego czy literackiego klanu? Czy tak?”. Nie zaprzeczył. Tutaj być może dotykam sekretu naszej tak harmonijnej współpracy. Coraz bardziej sceptycznie odnosząc się do literatury, ze wszystkich możliwych teorii twórczości zatrzymałem tylko jedną, najbardziej banalną, ale sprawdzoną: natchnienie. Twórcy wyznacza ona rolę medium, narzędzia, a trudno zrozumieć, dlaczego ołówek, szczotka czy młotek, czy też, bardziej podniosłe, lira mają wymagać dla siebie hołdów. A są natchnienia wyższe i są niższe. Nie mając wiele zaufania do tych rodem z dwudziestego wieku, a chcąc być użytecznym, zwróciłem się do tłumaczenia tekstów biblijnych. Możliwe, że lepiej jest jeżeli ktoś umie zadowolić się w literaturze i w niej lokuje swoją skalę wartości. Dla mnie jednak ludzka wielkość niewiele ma wspólnego z pisarskim rzemiosłem. Byłem wrażliwy na aprobatę Józka (kto nie jest wrażliwy na aprobatę), ale trochę ją przesuwalem, tak żeby wierzyć, że lubi mnie jako człowieka, a nie jako sługę muz. Z kolei dla niego byłem tym, który ciągnął go ku realizacji. Sadzik w niczym nie przypominał autorów zapełniających rękopisami szuflady i po cichu marzących o sławie. Myśl o tym, że nie utrwali siebie w niczym i przeminie bez śladu, była dla niego bolesna, ale pisał tylko przymuszony namowami i prośbami albo, co działało skuteczniej, wymogami domu wydawniczego. Moje prośby wymusiły na nim przedmowę do *Ziemi Ulro*, natomiast seria przekładów z Biblii, zaczęta *Księgą Psalmów*, z jego inicjatywy i na jego zamówienie, narzucała pisanie przedmów jako część zadań wydawcy: najlepszy sposób na szukającą wybiegów nieśmiałość. Tego lata nagraliśmy też na próbę parę rozmów i doszliśmy do wniosku, że powinniśmy pomyśleć o nagraniu większej całości, która złożyłaby się na książkę. W ostatniej naszej telefonicznej rozmowie do tego z zapałem powrócił i dowiedziałem się, że dużo myśli o tym projekcie.

Co z jego fizycznego wyglądu mogli odgadywać ci, którzy mało go znali? Należał do nierzadkiego, zwłaszcza w południowej Polsce, typu czarnowłosych i czarnookich, niewysokich i chudych, raczej średniego wzrostu i krępych, sangwinik, a więc krwi gorącej, z przyprawą melancholika. Uważny obserwator musiał zauważyć zmienne prądy przechodzące po jego twarzy, wewnętrzne napięcie, być może jakąś zadawnioną obolałość. Sadtik był skryty i nie lubił zaprzętać innych swoją osobą, tak że niewielu wiedziało, jak cierpiał. Nie znam wszystkich przyczyn jego podatności na nawroty przygnębienia, a nawet rozpacz, które pokonywał z trudem. Jedną z nich był brak czasu „dla siebie”, ale główną bodaj i obejmującą wszystkie inne była sprzeczność pomiędzy żarliwie przyjętym powołaniem i krnąbrnymi energiami. Żołnierska dyscyplina wymagana przez Kościół jednym przychodzi bez wysiłku, inni borykają się z nią bez ustanku. Zarazem Sadtik nie mógł sobie siebie wyobrazić poza stanem kapłańskim i nie szukał rozwiązań kompromisowych: „Do kapłaństwa jestem przywiązany jak pies” – pisał w jednym z listów. Dźwigał swój krzyż – ale też dlatego w samym centrum myśli chrześcijańskiej umieszczał cierpienie. O tym też traktuje jego przedmowa do *Księgi Hioba*.

Piszę to przede wszystkim dla tych, którzy go nigdy nie spotkali i już nie spotkają, podam więc kilka szczegółów jego codzienności, żeby łatwiej było go sobie wyobrazić. Dom oo. Palolotyńów przy rue Surcouf jest wspólnotą zakonną, szczupłą liczbowo i zorientowaną na działalność w świecie, toteż każdy z jej członków ma wyznaczoną inną funkcję. Ośrodek zarządza swoją posiadłością w Osny na północ-zachód od Paryża, z zakładami drukarskimi i liceum w języku francuskim; wydaje pismo dla emigracji polskiej „Nasza Rodzina”; prowadzi, jak się rzekło, dom wydawniczy; urządza odczyty i wieczory autorskie. W budynku są dwie kaplice, biura, mieszkania prywatne i sala jadalna, która gromadzi trzy razy dziennie zakonników. Nie tylko zresztą ich: przyjeżdżają goście z Polski, tak że prawie stale jest ktoś z pallotyńów krajowych albo z osób świeckich, przeważnie profesorów i studentów. Gościnność domu i kontakty, zwłaszcza z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, zmieniają Surcouf latem niemal w górskie schronisko, a bywają i spotkania jak w górskich schroniskach – parę lat temu siadałem tam do stołu, jakbym wrócił do mensy Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, mając obok dawne koleżanki: Irenę Sławińską, profesora literatury KUL i, dziś już świętej pamięci, Leokadię Małunowicz, profesora filologii klasycznej tamże. Oto więc miejsce, gdzie Józef Sadtik spędzał całe prawie dnie, wstając wcześniej i, szczególnie w ostatnich

latach, z powodu choroby serca, starając się nie przesiadywać w nocy. A żeby nikt nie przedstawiał sobie firmy wydawniczej Éditions du Dialogue na modłę potężnych przedsiębiorstw, przez co straciłoby na wiarygodności, co mówiłem o nadmiarze zajęć, dodam, że przez długi czas była to firma jednoosobowa. Nie pretenduję zresztą do kronikarskiej wiedzy o tym, jak dzielono funkcje w zespole przy rue Surcouf. Ostatnie lata przyniosły zmianę na lepsze, bo Sadek otrzymał pomoc w osobie dzielnej p. Danuty Szumskiej, absolwentki, jakżeby inaczej, filologii klasycznej KUL.

Jakakolwiek jest wewnętrzna samotność, dobrze jest mieć rodzinę. Sadek znalazł ją we wspólnocie oo. pallotynów, był kochany, troszczono się o niego. A byliśmy jeszcze my, to znaczy grono przyjaciół, w którym przypadła mu rola powiernika i szpitalnika, podczas gdy Zygmunt Hertz, ubiegłej jesieni przez Sadeka pożegnany na cmentarzu w Mesnil-le-Roi, sprawował zaszczytny urząd *Master of Revels*, mistrza wesołej biesiady. Doświadczony przez swoje ukrywane cierpienie Sadek otwierał się na kłopoty innych, a co tu ukrywać, w gronie ludzi pióra i pędzla o ciężkie przypadki nietrudno. Jego czynna uwaga i delikatność pozwalały mu nieraz skutecznie zadziałać. Zygmunt, który rubasznymi pozorami maskował swoją zdolność do gorących uczuć i bardzo Sadeka kochał, lubił z nim spiskować, przemyślając razem jak by czyjemuś nieszczęściu zaradzić. Zresztą telefonował do przyjaciela co dzień rano i wysypywał swój plon wieści, plotek i dykteryjek ostatniej doby, natrafiając na przychylne ucho, bo odbiorca był obdarzony poczuciem humoru. Po swoim pierwszym zawale Sadek stał się przedmiotem troski Zygmunta. Zygmunt mu wymyślał za brak dbałości o swoje zdrowie, za nadmierną pracowitość, za jakąś głupią pilność, aż po targanie własnoręcznie ciężkich walizek. Aż wreszcie, szczerze przejęty, zaczął jako ostatniego argumentu używać etyki chrześcijańskiej, która samobójstwa zabrania: „I to ja mam ciebie, księdza, uczyć?”. Możliwe, że gdyby Zygmunt żył, zabroniłby Sadekowi jechać na wakacje do Szwajcarii, powołując się na opłakane skutki jego poprzedniego tam pobytu i na szkodliwość zmian ciśnienia.

Świeckie przyjaźnie i znajomości przyczyniły się do powodzenia paryskiego ośrodka oo. pallotynów, Józek ich jednak nie planował z góry, nawiązały się same. Żartowałem, że ani się spostrzegł, jak rozwiązał problem nowoczesnej parafii, nieterytorialnej, i że ma swoją parafię, malutką, ale nie najgorszą jakościowo. Co prawda składała się z osób o bardzo różnych postawach wobec religii, nie wyłączając

zdeklarowanych ateistów, jednak nasz pasterz, sam człowiek mocnej wiary, nie był łowcą dusz i nie występował jako misjonarz. Dużo myślałem o jego milczeniach. Przecie pobyt, od lat chłopięcych, we wspólnocie zakonnej, wśród ludzi rozmaitych, jako że kryteria doboru nie mogą być tylko intelektualne, musiał wystawiać jego wybredność na niemałe próby, i może wtedy nauczył się milknąć. Jego milczenia nie były tylko tolerancją, która wystrzega się kaznodziejstwa z szacunku dla odmiennej opinii. Wiele z tego, co mogłoby być źródłem różnic i starć, po prostu unieważniało, przenosiło w inny wymiar. Łącznie z podziałem na wybranych i odrzuconych, czystych i grzeszników. Tajemnica zbawienia była dla niego prawdą bólu: ile kto wycierpiał.

Urodzony w 1932 roku należał do pokolenia dorastającego w nowej Polsce i pesymista rozprawiający o powszechnym zbrutalizowaniu znalazłby w nim przeciwieństwo swojej tezy. Obcując z Sadzikim, było się skłonny wierzyć, że polską kulturę ludową cechuje szczególnie arystokratyzm, tłumiony przez okoliczności, ale coraz to dający znać o sobie, może nawet jakiś arystokratyczny humanizm, który jest dzisiaj siłą znacznie większą niż dawniej, kiedy do jego przechowywania rościli pretensję posiadacze herbów i tytułów. I coraz to z ludowego podglebia, jak w wypadku Sadzika krakowskiego, wyrastają wielkie osobowości.

Pisanie o umarłym przyjacielu przynosi ulgę. Skupienie uwagi na jego osobie sprawia, że czuję mocno jego obecność. Mam jednak nadzieję, że kiedy odłożę pióro, będzie mi nadal towarzyszyć. Nie ułożymy razem książki filozoficznych rozmów, ale obiecuję mu, że będę nadal pracować nad przekładami z Biblii, które specjalnie leżały mu na sercu.

Krzysztof Pomian

Lebenstein: droga pod prąd

Jaś, któregośmy znali i lubili, nie będzie już przemierzał nocami ulic Paryża i Warszawy. Odtąd – jako Jan Lebenstein – należy tylko do historii i pamięci: do historii malarstwa polskiego i europejskiego oraz do pamięci topniejącego grona osób, dla których głównym publicznym miejscem spotkań był od 1974 roku Centre du Dialogue, a które poza tym widywały się w różnych domach i w różnych składach, wspólnie przeżywały to, co się działo w Polsce: Radom, powstanie KOR-u, Solidarność, stan wojenny, odzyskanie niepodległości – i wspólnie żegnali swych zmarłych: Zygmunta Hertza, księdza Józefa Sadzika, Józefa Czapskiego, Konstantego Jeleńskiego, księdza Zenona Modzelewskiego. Do listy tej trzeba teraz dopisać kolejne nazwisko.

Jaś nie był osobą polityczną. Nie odwoływał się w swej twórczości do wydarzeń bieżących. Nie składał deklaracji, nie podpisywał protestów i listów otwartych. Miał jednak wyraźne przekonania polityczne, w klimacie PRL czuł się źle i w 1959 roku wybrał emigrację. Emigrację polityczną – a nie tylko pobyt w Paryżu. Taką wymowę nadawał bowiem jego decyzji dobór znajomych i przyjaciół, który w owych czasach, niedawnych przecież, choć zdają się one dziś niewiarygodnie odległe, był sam przez się aktem politycznym. W przypadku Jasia – najzupełniej jednoznacznym. Jakoż do najbliższych mu osób należeli Zygmunt Hertz i Aleksander Wat, ksiądz Józef Sadek i Konstanty Jeleński, Zbigniew Herbert, Gustaw Herling-Grudziński i Czesław Miłosz. Słowem, był to szeroko rozumiany krąg „Kultury”, w której Jaś ogłosił był zresztą kilka tekstów.

Taki dobór przyjaciół miał dla Jasia następstwa wykraczające poza życie prywatne. Określił bowiem w jakiejś mierze jego twórczość. Świadczą o tym okładki *Ciemnego świecidła* Wata (1968) oraz amerykańskich wydań *Doliny Issy* (i ilustracje do polskiego wydania z 1966), a także dwóch innych tomów Miłosza, witraże na temat Apokalipsy w paryskim ośrodku księży pallotyńów, powstałe z inicjatywy księdza Sadeka (1970), gwasze do *Folwarku zwierzęcego* Orwella w przekładzie Reny Jeleńskiej (1973–1975), ilustracje do *Księgi Hioba* (1979)

i *Apokalipsy* (1986) – jeszcze jeden pomysł księdza Sadzika – całkiem ostatnio rysunki do opowiadań Herlinga (1999), a wykaz ten nie jest zapewne wyczerpujący.

Co ważniejsze, nie mówi on nic o znaczeniu, jakie miały dla Jasia dwie osoby, które widywał często, z którymi przegadał godziny i które były dla niego niezastąpionymi doradcami w sprawach życiowych i partnerami intelektualnymi: Kot Jeleński i Józek Sadzik. Obaj byli miłośnikami i znawcami malarstwa. Obaj byli otwarci na różne kierunki sztuki współczesnej, zwłaszcza Józek zaprzyjaźniony z Romanem Cieślewiczem; to on, jak przypuszczam, skłonił Romana w 1968 roku do opracowania katalogu wystawy Jasia, choć jeden był artystycznie na antypodach drugiego. Obaj, i Kot, i Józek, mieli dar bezbłędnego widzenia połączony z umiejętnością myślenia o problemach sztuki i dobierania odpowiednich słów, by o nich mówić. Pozwalało im to występować w stosunku do Jasia w roli krytyków, do których sądów mógł mieć zaufanie, gdyż wiedział, że dyktowane są głęboką przyjaźnią i zgodnością w sprawach zasadniczych. Oraz w roli inspiratorów. Nie wiem, czy zachowały się jakieś materialne dowody wpływu, jaki na twórczość Jasia wywarły kontakty z Kotem: listy, notatki z rozmów czy lektur; co się tyczy inspiracji Józka, jest bezdyskusyjna i jej owoce były tu już i jeszcze będą wspomniane.

Trzecim partnerem intelektualnym Jasia był Gustaw Herling-Grudziński. Ich spotkania były z konieczności rzadkie: podczas copółrocznych pobytów Gustawa w Maisons-Laffitte albo wizyt Jasia w Neapolu; nie pozbawiało ich to jednak ani intensywności, ani wagi. Również Gustaw jest miłośnikiem i znawcą malarstwa, przede wszystkim – malarstwa włoskiego z jego wielkich stuleci. Ale jest zarazem o wiele bardziej niż inni przyjaciele Jasia zanurzony w polityce. Jest też nieprzejednanym wrogiem postaw radykalnie awangardowych w sztuce współczesnej i krytykiem współczesnej kultury w tych jej przejawach, które odrywają, jego zdaniem, teraźniejszość i przyszłość od przeszłości, zacierając przy tym granice między dozwolonym a zakazanym, między dobrem a złem, i tym samym pozwalają na wszystko, byle tylko było „nowoczesne”, a jeszcze lepiej – „rewolucyjne”. Jak Jaś reagował na wypowiedzi i teksty Gustawa, co z tego przyswajał sobie i przetwarzał w swoich obrazach? – nie umiem powiedzieć. Sądzę jednak, że to pytanie winno być wpisane do kwestionariusza przyszłych badaczy jego malarstwa.

Jako artysta Lebenstein siedł pod prąd. Niemal całe życie siedł pod prąd. Wyjątkiem był tylko krótki okres – od połowy lat pięćdzie-

siątych do połowy następnej dekady – gdy dostawał nagrody i cieszył się powodzeniem. Wyjątkiem byłyby też ostatnie lata, gdyby nie choroba i poczucie klęski, któremu dał dojmująco wyraz w jednym z ostatnich wywiadów, jakich udzielił. Czy znaczy to, że – jak pisał Jeleński – Lebenstein był ostatnim *artiste maudit*? Rzut oka na zestawienia jego wystaw indywidualnych, wystaw zbiorowych, w jakich uczestniczył, i poświęconych mu publikacji skłania, by o tym wątpić; od 1958 do 1990 roku zdarzyły się bodaj tylko cztery lata bez indywidualnej wystawy i co roku ktoś gdzieś o nim pisał.

Dokładniejsze przyjrzenie się liście wystaw indywidualnych pozwala jednak dostrzec ostry kontrast między pierwszymi latami europejskich i amerykańskich sukcesów – wystaw w miejscach o wysokim prestiżu i wypowiedzi krytyków o głośnych nazwiskach na łamach wpływowych pism – a okresem późniejszym. Po 1964 roku z listy tej znikają na piętnaście lat muzea – z wyjątkiem Muzeum Narodowego we Wrocławiu – które i później będą rzadkie. Podobnie wymienione na niej galerie nie należą odtąd – z jednym czy dwoma wyjątkami – do uważanych za wpływowe na międzynarodowym, a nawet na paryskim rynku sztuki. Również wystawy zbiorowe z udziałem Lebensteina mają po 1965 roku rangę drugorzędną w porównaniu z wielkimi manifestacjami artystycznymi skupiającymi na sobie pełnię światła, takimi jak Biennale w Wenecji czy Documenta w Kassel. Co się zaś tyczy prasy, to ostatni artykuł o Lebensteinie w „Le Monde” ukazał się w 1974 roku, a w „Le Figaro” rok później. Nie ulega więc kwestii, że od połowy lat sześćdziesiątych zaczął on być spychany na margines, co ostatecznie zostało doprowadzone do skutku. I pozostawał na marginesie aż do połowy lat osiemdziesiątych.

Tłumaczy się to zazwyczaj – i sam Lebenstein przywoływał ten argument – ostracyzmem, jakiego padł on ofiarą w następstwie rozbieżności dotyczących Związku Sowieckiego i komunizmu między nim a marszandami, krytykami i wieloma artystami zachodnimi. Jakoż wywarły one zapewne znaczny wpływ na jego sytuację. Końcowe lata sześćdziesiąte i lata siedemdziesiąte były przecież okresem opanowania przez lewicowy ekstremizm wszystkich dziedzin kultury; szczególnie dotkliwie dawało się to odczuć we Włoszech i we Francji. Ten lewicowy ekstremizm, który miał, zależnie od przypadku, rodowód maoistowski, trockistowski, anarchistyczny, był często wyraźnie antysowiecki, co czyniło zeń potencjalnego politycznego sprzymierzeńca dysydencji w krajach „realnego socjalizmu”; ale to nie był problem Lebensteina.

Na co dzień w środowisku artystycznym stykał się on z sekciarstwem i fanatyzmem, które budziły w nim najgorsze wspomnienia. Stykał się z żądaniem działania w grupie, poddawania się osądowi kolektywu, opowiadania się „za” lub „przeciw”. Stykał się z przekładaniem kryteriów politycznych nad artystyczne, z potępianiem i wyklinaniem, ze stadnym entuzjazmem i równie stadnym oburzeniem – ze wszystkim, czego nie znosił. Stykał się wreszcie z modą na sztukę rewolucyjną, manifestacyjnie antykapitalistyczną i antyamerykańską, a zarazem z kontestacją wszystkiego – z samą sztuką włącznie. W tym punkcie dochodzimy do ogniska sporu Lebensteina z jego zachodnim, zwłaszcza zaś francuskim otoczeniem, który, jak się okaże, daleko wykracza poza obszar polityki.

Od połowy lat sześćdziesiątych dominującym nurtem sztuki światowej stała się radykalna awangarda z jej wymogiem całkowitego zerwania ciągłości między sztuką żywą a sztuką dawną, do której zaliczono wszystko, co powstało w przeszłości, nawet niedalekiej. Wartość wzorców zachowały dla radykalnej awangardy tylko dzieła Malewicza, skrajnych konstruktywistów, Schwittersa, a przede wszystkim – Duchampa. Postawa ta wyraziła się w zastępowaniu tradycyjnych materiałów sztuki nie tylko materiałami pospolitymi i nowymi tworzywami, co robiono już na początku naszego wieku, lecz również odpadami przemysłowymi, a później – organicznymi, przy czym posunięto się aż do używania substancji nietrwałych, co postawiło pod znakiem zapytania dzieło jako twór unikalny, ostateczny i niezmienny. Równocześnie kwestionował je kierunek, wedle którego artysta tworzy tylko koncept: szkic partytury, zarys programu; przedmiot widzialny odtwarzany wedle tych wskazań jest każdorazowo tylko jedną z jego realizacji.

Dominacja radykalnej awangardy wyraziła się również w odrzuceniu tradycyjnych odmian sztuki, takich jak malarstwo czy rzeźba, i wyniesieniu na szczyt happeningów, instalacji, pudełek, montażu bądź też aktów kreowania „dzieł sztuki” z przedmiotów użytkowych pozbawionych ich pierwotnej funkcji i umieszczonych w kontekście, dla którego nie były przeznaczone, po uprzednim zaopatrzeniu ich przez „artystę” w jego podpis i ewentualnie w nazwę. Dzieło sztuki okazywało się przeto pozbawione jakichkolwiek właściwości immanentnych, gdyż stać się nim mógł dowolny przedmiot pod warunkiem zawłaszczenia go przez artystę i wystawienia przezeń w określony sposób, w określonym miejscu. Sam artysta zaś musiał nieustannie dowodzić, że jest artystą właśnie, zamieniając swe życie w teatr, któ-

rego był głównym, jeśli nie jedynym aktorem. Granica między uprawianiem sztuki a ekshibicjonizmem przestała istnieć.

Choć kierunki radykalnej awangardy były różne, ale łączyło je, jak widać, to, że wszystkie usiłowały bez reszty zerwać z tradycją. Efekty tych poczynań nie były konieczne ujemne. Byli awangardowi wielcy artyści i awangardowi mali kombinatorzy. Niektóre dzieła mówiły coś, czego inaczej nie dawało się wyrazić, zaskakiwały, prowokowały, zmieniały widzenie, zmuszały do myślenia, pobudzały wrażliwość i odnawiały repertuar działań artystycznych, a przynajmniej bawiły zaskakującymi skojarzeniami materiałów, barw, kształtów, ruchów. Inne, wtórne bądź wręcz kiczowate, powielały chwytły, które szybko straciły pierwotną świeżość. Ale taka zróżnicowana ocena stała się możliwa dopiero później.

Dla klimatu epoki bowiem znamienne było nieodróżnianie jednych od drugih i promowanie wszystkiego, co tylko miało pozór „nowoczesności” – zwłaszcza jeśli łączyło kontestację artystyczną z rewolucyjną retoryką – i tego wyłącznie. Toteż przedstawiciele radykalnej awangardy zmonopolizowali wystawy i muzea sztuki nowoczesnej, które uznawały poza nimi wyłącznie żyjących jeszcze klasyków XX wieku. Galerie, które chciały utrzymać się na grzbiecie fali, wsłuchiwały się w werdykty nowojorskiego duumwiratu Castelli–Sonnabend i szukały dzieł coraz bardziej wyzywających, gdyż tylko takie mogły zwrócić na siebie uwagę. Krytykę ogarnął amok, który doprowadził ją do samobójstwa. Ten stan rzeczy trwał do początku lat osiemdziesiątych; we Francji wychodzenie zeń jeszcze się nie skończyło.

Lebenstein miał około trzydziestu pięciu lat, gdy władzę w świecie sztuki zdobyła radykalna awangarda z jej rewolucyjną retoryką i rewolucyjnymi zachowaniami. Gdy dyskusje na temat abstrakcji i figuracji okazały się po prostu bezprzedmiotowe, gdyż na samo malarstwo niektórzy wydali wyrok śmierci. Artyści o pozycji od dawna ugruntowanej mogli czekać; mieli marszandów, klientów, miejsce w muzeach i w historii. Jego sytuacja była inna. Mógł, rzecz jasna, powielać formułę, która już się była sprawdziła i której zawdzięczał swe wczesne, zaskakujące sukcesy. Wybrał co innego. Zaczął coraz bardziej zdecydowanie iść pod prąd.

Koło 1963 roku Lebenstein przestał malować figury osiowe, które uchodziły na ogół za twory abstrakcyjne, choć Jeleński już trzy lata wcześniej dostrzegł w nich „zaszyfrowaną pieczęć Erosa i Tanatosa”, co zawierało aluzję do symbolizmu, do Bocklina i Malczewskiego. W świetle późniejszej ewolucji Lebensteina słowa te wydają się pro-

roczę; sam Jeleński przyznawał jednak po dwudziestu dwóch latach, że nie wie, czy podyktowało je oko krytyka czy intuicja przyjaciela. Jakoż z okresu figur osiowych Lebenstein mógł być wyjść w bardzo różne strony. Mógł je geometryzować, zmierzając ku zastąpieniu ich strukturami o charakterze pozornie matematycznym. Mógł zamieniać je w plamy barwne, coraz bardziej bezkształtne, wyniki przypadkowych zderzeń pędzla z powierzchnią płótna. Mógł redukować je krok po kroku, pozostawiając na obrazie minimum śladów swej interwencji i czyniąc je coraz trudniej dostrzegalnymi. Mógł traktować je jako pomysły twórców trójwymiarowych, które by wykonywał sam albo zlecał do wykonania innym. Są to tylko przykłady. Lebenstein bowiem mógł być poddać figury osiowe takim przekształceniom, których nikt poza nim nie jest sobie w stanie wyobrazić.

Wybrał „Bestiarium”: wariacje na kanwie trylobitów, tyranozaurów, gadów, płazów, bestii z epoki lodowcowej, turów, wypełniają jego obrazy z lat 1963–1965. Wkrótce zwrócił się ku ciału ludzkiemu. Malował kobiety, baby o potężnie rozbudowanych pośladkach, niekiedy samotne, ale coraz częściej w towarzystwie wpatrzonych w nie mężczyzn o zwierzęcych twarzach. Tej treści obrazy wystawił w Paryżu w maju–czerwcu 1968 roku. Osiem lat wcześniej Bérart wprowadził na scenę *Święto wiosny*; w wykonaniu jego baletu – święto seksu. Dwa lata wcześniej *Marat/Sade* Petera Weissa obwieścił, że „rewolucja nie ma racji bez powszechnej kopulacji”. W maju 1968 roku, gdy studenci Sorbony zajmowali się wcielaniem w czyn tego hasła, Lebenstein ukazywał seks jako sferę konfliktu pierwiastków męskiego i kobiecego, przy czym pierwszy w obecności drugiego utożsamia się ze zwierzęcością całkiem w duchu Witkacego; *Nienasylenie* dostarcza zresztą tytułu jednemu z obrazów.

Seks jest tu przedmiotem satyry, która odsłania powodowaną przezzeń degradację mężczyzny: pozbawia go ludzkiej twarzy, a więc ludzkich uczuć. Choć Lebenstein zaprzeczał po latach, jakoby był moralistą, fakt, że czuł potrzebę takiego wyjaśnienia, jest znamieny. Oślógłowy osobnik, który spółkuje z kobietą, pochodzi przecież nie tylko z Szekspira. Również, a może nawet przede wszystkim, z „Caprichos” Goi, którego czarna wizja człowieczeństwa przenika do twórczości Lebensteina. Coraz częściej pojawiają się w niej postacie o ostro zaznaczonych żebrach, kręgach, kościach udowych i goleniowych. Już tylko krok dzieli je od spotkania ze śmiercią. I z czasem.

Dokona się to ostatecznie w obrazach z lat siedemdziesiątych. Jeśli, jak pisał Wat w dedykowanym Lebensteinowi wierszu, „szanujący

się kościotrup nigdy nie pokazuje się nago” – to na tych obrazach kościotrupy przestały się szanować. Miłosz wspomina z myślą o nich o „tańcu szkieletów”. Są to niekiedy szkielety ludzkie, niekiedy zwierzęce, przeważnie odsłaniające się tylko częściowo albo skonstrastowane z postaciami o pełnej – i pełnej uroku – kobiecości i cielesności, jak gdyby chodziło o pokazanie przejścia od zmiennego i nietrwałego stanu życia do kamiennej wieczności szczątków kostnych: rozkładu, rozpadu, przemijania. Same obrazy są przy tym budowane coraz wyraźniej, wedle tradycyjnych reguł: mają zwartą kompozycję, bywa, że perspektywę, zazwyczaj ostro zaznaczoną oś symetrii. I zgodnie z tymi regułami przedstawiane są zaludniające je postacie nawet wtedy, gdy są nimi fantastyczne stwory.

Późniejsza twórczość Lebensteina jeszcze dobitniej podkreśla związek z tradycją. W 1970 roku robi wspomniany już witraż *Apokalipsa*. Doszło do tego za sprawą księdza Sadzika. Ale gdyby obrazy Lebensteina nie były potępieniem współczesnej obyczajowości i sprzeciwem wobec przemian współczesnej sztuki, Sadzik zapewne nie zaproponowałby mu tej, a i on by się jej nie podjął. Spotkanie z tematyką religijną było logicznym następstwem jego dotychczasowej ewolucji, toteż po witrażu przyszły ilustracje do *Księgi Hioba*, raz jeszcze *Apokalipsa*, znacznie później *Księga Rodzaju* (1995). Przyszły też ilustracje utworów literackich. W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych Lebenstein wykonuje serię gwaszy do *Folwarku zwierzęcego* Orwella, co było manifestacją sprzeciwu zarazem artystycznego i politycznego. Wszystkie te utwory, choć każdy podsunęły okoliczności, wpisują się doskonale w jego zainteresowania. Apokaliptyczna bestia i Behemot należą do jego świata równie naturalnie co mieszkańcy „farmy zwierzęcej”, a Hiob ukazany jest w pejzażach, które zapowiadają wizerunki Wielkiego Kanionu.

Za traktowaniem obrazu jako dopełnienia słowa – poetyckiego czy obrzędowego – stało, jak się zdaje, przekonanie Lebensteina, że malarstwo nie jest samowystarczalne, że nie jest celem samym dla siebie i że sens nadaje mu wyłącznie odniesienie do czegoś, co względem niego zewnętrzne – a może nawet do czegoś, co zewnętrzne wobec widzialnego świata. Wiedział, że przekonanie to, łącząc go z całą dawną historią malarstwa europejskiego, sprzeciwia się dążeniu sztuki nowoczesnej do pełnej niezależności. Wiedział też, że kierowanie się nim naraża go na zarzut „literackości” i że niektórzy będą uważać go nie za artystę, lecz za ilustratora. Odpierał takie zarzuty. I nigdy od swych przekonań nie odstąpił.

Zawsze fascynowała go odległa przeszłość; z pierwszej wizyty w Luwrze wyszedł pod wielkim wrażeniem rzeźby sumeryjskiej i asyryjskiej; kobiety-baby mają w sobie coś z dawnych bóstw płodności. „Bestiarium” odsyła do prehistorii. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych do jego malarstwa wchodzi starożytny Egipt. Później podejmuje ono tematy, które przyciągały dawnych mistrzów: Porwanie Europy, Salome – i szuka inspiracji u Włochów z XVII wieku. W początku lat dziewięćdziesiątych Lebenstein odkrywa Pergamon; na jego obrazach pojawiają się antyczne architektury i rzeźby ze słynnego ołtarza, niekiedy w towarzystwie posągów egipskich i postaci o zwierzęcych lub ptasich twarzach. Ciało kobiece malowane w tym okresie mają często kształty zbliżone do starożytnego kanonu.

Podsumowaniem własnej drogi i autorskim komentarzem do niej jest obraz zatytułowany *Etapy* (1992). W pałacowym wnętrzu widzimy tu, po prawej stronie, trzy figury osiowe, z których jedna ma ogromne płetwy, a druga jest czymś w rodzaju obelisku z umieszczonym na szczycie wahadłem zatrzymanym w punkcie równowagi; obie ustawione są na postumencie, obok którego stoi trzecia figura, rzeźba w stylu Miró, i na którym, na samym dole, znajduje się bestia znana od 1964 roku jako *Rampaot*. Po lewej stronie, na wyższym postumencie, znajduje się para w pozie przypominającej cykl „Matrimonium” z końca lat sześćdziesiątych: kobieta trzyma rękę na ramieniu siedzącego mężczyzny, ale on nie może, jak na tamtych obrazach, położyć swojej na jej pośladku, gdyż ma ręce ułamane powyżej łokci – jest na wpół rzeźbą. Jest zresztą krewnym maskaronów z Notre Dame: diabłem z rogami i o zwierzęcej twarzy oraz o odsłoniętych żebrach kościotrupa. Kobieta też jest ożywioną rzeźbą, ale rzeźbą klasyczną: głowa i biust pochodzą od Wenus z Milo, a energiczne wysunięcie prawej nogi oraz zasłaniająca dół ciała draperia przypominają Nike z Samotraki.

W obrazie tym można więc widzieć proklamację zwycięstwa pierwsiatka kobiecego nad męskim, człowieczeństwa nad zwierzęcością czy wręcz boskości nad demonizmem, tradycji antycznej nad nowoczesną pogonią za oryginalnością, wieczności nad czasem. Ale można w nim widzieć zarazem – zgodnie z sugestią zawartą w tytule nadanym mu przez Lebensteina – ukazanie drogi artysty: drogi, która prowadziła od nowoczesności do klasycyzmu, od potworów do ciała ludzkiego w jego doskonałym, greckim kształcie, od sztuki umiejscowionej i wpisanej w historię do sztuki pragnącej osiągnąć ważność powszechną.

To się właśnie nazywa: iść pod prąd. Ceną tego długiego, mozolnego marszu było poczucie samotności i niepewności, którego przyjaciele nie byli w stanie rozproszyć. Podejrzewam, że gdy słyszał ich pochwały, zastanawiał się, czy nie są dyktowane bardziej osobistą sympatią niż rzeczywistą wartością jego obrazów. Jak każdy artysta, by utwierdzić się w poczuciu słuszności obranego kierunku, potrzebował ocen, które by pochodziły od nieznajomych. Miał ich zbyt mało, jak zbyt mało miał wystaw, które by były porównywalne z tymi, jakie pamiętał z lat sukcesów, i które dawałyby mu przeto pełną satysfakcję. Jeśli pił, to również dlatego by zagłuszyć wątpliwości, jakie go nawiedzały.

Dopiero dziś, gdy dawna jednomyślna niemal aprobata radykalnej awangardy ustąpiła miejsca sporom na jej temat, gdy produkcja lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych oraz jej obecnych epigonów poddawana jest ostrej krytyce, gdy symbolizm i ekspresjonizm wróciły do łask nie tylko u historyków, lecz również u artystów – twórczość Lebensteina ma szansę odnaleźć swe miejsce w jednym z głównych nurtów sztuki europejskiej naszego wieku.

Adam Zagajewski

Ksiądz Zenon Modzelewski

Nagła śmierć księdza Zenona Modzelewskiego zasmuciła wielu jego przyjaciół; a przyjaciół miał wielu, we Francji i w Polsce przede wszystkim. Umarł 30 maja. Przyczyną śmierci był wylew krwi do mózgu. Pogrzeb odbył się 6 czerwca, na historycznym polskim cmentarzu w Montmorency pod Paryżem.

Biografia księdza Modzelewskiego nie wydaje się na pierwszy rzut oka zajmująca. Typowa biografia polskiego księdza, urodzonego na wsi, w rodzinie bardzo zwartej i kochającej się (wzruszające było bardzo liczne pojawienie się rodziny zmarłego na pogrzebie). Urodził się w roku 1933. Był więc dzieckiem podczas okupacji, należał do pokolenia „młodszych braci”, za małych na partyzantkę, za dużych na niewinną ignorancję historii. Odbył gruntowne studia, zaczynając od pallotyńskiego Seminarium Duchownego w Ołtarzewie i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, a kończąc na paryskiej Sorbonie. Studiował filozofię i literaturę polską. Święcenia kapłańskie przyjął w roku 1958.

Na pewno największą przygodą jego życia był wyjazd do Paryża; wyjazd ten stał pod znakiem przyjaźni z człowiekiem niezwykłym, księdzem Józefem Sadzikim, rówieśnikiem poznanym jeszcze w Ołtarzewie. Przyjaźń z Sadzikim miała dla biografii księdza Modzelewskiego charakter determinujący. Młodzi księża, wykształceni i odważni, sami – zdaje się, że nie bardzo oglądając się na hierarchię kościelną – projektowali dla siebie swoją przyszłość. Ksiądz Sadzik znalazł się w Paryżu w roku 1962, a ksiądz Modzelewski w 1963. W latach 1972–1987 ksiądz Modzelewski był ojcem superiorem paryskich pallotyńów, pięciokrotnie wybierany przez swych współbraci. Obaj – Sadzik i Modzelewski – wierni byli zasadzie apostołstwa, tak jak ją pojmował w połowie dziewiętnastego wieku założyciel zakonu pallotyńów, włoski ksiądz Wincenty Pallotti, ale niewątpliwie wiele uwagi poświęcali pytaniom dotyczącym wykładni tej zasady w naszych czasach.

Wkrótce zmodyfikowali tradycyjną filozofię apostołstwa, opowiadając się raczej za dialogiem. A w dialogu słuchają obie strony, nie

tylko jedna. Dialog zakłada zgodę na to, że druga strona, druga osoba, obca nam, różna od nas, kryje w sobie własną tajemnicę. Zawsze wiemy o tym, że my sami mamy swoją tajemnicę i ta wiedza jest źródłem naszej siły, ale bardzo niechętnie przyznajemy ten sam przywilej – królewski przywilej – innym. Tymczasem młodzi księża pallo-tyni potraktowali ideę dialogu poważnie i umieścili ją w herbie swojej paryskiej instytucji; uważa się, że była to idea i inicjatywa ks. Sadzika.

Od samego początku nie zważali na niezliczone polskie tabu, na podziały społeczności emigracyjnej. Zaprzyjaźnili się z redaktorem Giedroyciem i z całą grupą z Maisons-Laffitte; ta przyjaźń przetrwała wszystkie te lata i wszystkie polityczne ewolucje i rewolucje. I gdy Czapski był już bardzo słaby, ksiądz Zenon przyjeżdżał do Maisons-Laffitte, żeby odprawić dla niego mszę świętą. Ale opiekował się też Romanem Palestrem w jego ostatnich latach. I z pewnością innymi też osobami – był dyskretny, więc nie wiedziało się o tym.

Był człowiekiem skromnym i dobrym, i często podkreślał, że tylko kontynuuje dzieło księdza Józefa Sadzika. Ta skromność była czymś ujmującym – jest przecież właściwością niezmiernie rzadką. U księdza Modzelewskiego wydawała się cnotą najzupełniej naturalną. Zdawało się, że nie chciał zwracać na siebie uwagi, tak jakby mówił „nie patrzcie na mnie, patrzcie na to, co robię”. Miał też duże poczucie humoru, nieco w stylu brytyjskim.

Ksiądz Józef Sadzik stał się w polskiej literaturze – oczywiście głównie dzięki pełnej czułości uwadze, jaką poświęcił mu Czesław Miłosz – postacią legendarną. Filozof o zainteresowaniach estetycznych, pasjonujący się sztuką i literaturą, stał się nieledwie bohaterem literackim i kto wie, może młodsze pokolenia będą pytały: Czy ksiądz Sadzik istniał naprawdę?

Ksiądz Zenon Modzelewski nie miał łatwego zadania, gdy po przedwczesnej śmierci Sadzika w roku 1980 obejmował prowadzenie paryskiego Centre du Dialogue. Nie miał równie oczywistego, charyzmatycznego wdzięku, jakim obdarzony był ksiądz Sadzik. Dla przyjaciół ulicy Surcouf był zapewne do roku 1980 kimś, kto pozostawał w cieniu księdza Sadzika. Trzeba go podziwiać za to, że z niezwykłym taktem przejął i poprowadził przypadłe mu w udziale dziedzictwo – pomagała mu w tym Danuta Szumska. Tym większa jego zasługa, że dorobku „lat Sadzika” nie tylko nie zmarnował, lecz nawet pomnożył. To podczas Jego kadencji, w latach, gdy Polskę zmroził stan wojenny, sala na ulicy Surcouf stała się dla mieszkających w Paryżu – lub tylko przez Paryż przejeżdżających – Polaków przestrzenią witalną,

jedynym publicznym obszarem swobodnej wymiany intelektualnej. I zawsze „wysoki ksiądz” serdecznie witał gości.

Teraz, gdy ksiądz Modzelewski zmarł, wydaje się zupełnie oczywiste, iż jego życie stało pod znakiem podwójnej wierności: wierności pallotyńskiej misji i wierności młodzieńczej jeszcze przyjaźni z Józefem Sazdikiem. Był przy tym doskonałym organizatorem, umiał dbać o utrzymanie i rozwinięcie materialnej bazy „koncernu pallotynów”.

Przypomnijmy krótko, na czym polegają ogromne zasługi polskich pallotynów we Francji: składają się na nie działalność wydawnicza i odczytowa. Wydawnictwo Éditions du Dialogue opublikowało w serii „Znaki Czasu” 56 tomów i 5 tomów w zainicjowanej przez księdza Modzelewskiego serii „Świadkowie XX Wieku”. Książki wydane w tych seriach były bardzo zauważane w Polsce, informowały o nowych tendencjach w myśli teologicznej Zachodu, przyczyniały się do utrzymania niezbędnego dla kraju kontaktu z życiem intelektualnym Europy.

Centre du Dialogue założony został w roku 1974 (działalność wydawnicza zainicjowana została dużo wcześniej, jeszcze w latach pięćdziesiątych). To od tej pory mała uliczka Surcouf położona w 7. *arrondissement*, w samym sercu zamożnej, burżuazyjnej dzielnicy, o dwa kroki od placu Inwalidów – czyli i od grobu Napoleona – stała się jednym z najważniejszych punktów polskiego Paryża. Pomieszczenie położone na parterze zwyczajnej kamienicy jest kaplicą i salą odczytową jednocześnie. To jest miejsce szczególne – sygnalizują to wspinające witraże Lebensteina, których ciemny koloryst odgaduje się nawet na zewnątrz, i piękna głowa Chrystusa, płaskorzeźba Aliny Szapocznikow. Podobno pierwotnie miała tu być filia banku. Ale salę przy ulicy Surcouf czekało przeznaczenie ciekawsze niż szelest banknotów.

Dwa nurty działalności księży pallotynów – wydawnictwo i organizacja Centre du Dialogue – uzupełniały się i dopełniały. Na pierwszy rzut oka wydaje się może, że wydawanie pożytecznych książek jest osiągnięciem większym i, przede wszystkim, trwalszym niż z natury rzeczy efemeryczna akcja prowadzenia odczytów i spotkań autorskich w niewielkiej sali przy ulicy Surcouf. Tak się jednak stało, iż właśnie owa efemeryczna aktywność nabrała charakteru symbolicznego.

Księża pallotyni mieli bowiem odwagę i fantazję, żeby zapraszać do siebie, z wykładem, z wieczorem autorskim, z pogadanką, ludzi kultury często od Kościoła katolickiego bardzo odległych, zapraszać nie według przynależności ideowej, partyjnego klucza, lecz tylko we-

dług jednego kryterium: merytorycznej wartości. Dzięki temu udało się im stworzyć przestrzeń prawdziwie wolną.

W Centre du Dialogue występowali ludzie różnych poglądów i różnych wyznań. Zaczął Stefan Kisielewski, ale na długiej, bardzo długiej liście znajdziemy nazwiska najrozmaitsze. Tu czytał wielokrotnie nowe wiersze Czesław Miłosz (dla którego zapewne przez wiele lat paryska sala była nieomal jedynym miejscem żywego kontaktu z polską publicznością), tu Adam Michnik miał wspólny wieczór z Józefem Czapskim, tu występowali Jerzy Giedroyc, Jerzy Turowicz, Krzysztof Pomian, Andrzej Kijowski, Jan Kott, Karl Dedecius, Tadeusz Mazowiecki, Michał Borwicz, Michał Heller, Wojciech Karpiński, Wojciech Pszoniak, Sławomir Mrożek, Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki. I wielu innych. Częstym gościem na ulicy Surcouf bywał Konstanty Jeleński. Kazimierz Brandys miał kilka wieczorów autorskich, pojawiał się regularnie Aleksander Smolar.

Centre du Dialogue stał się – w konkretnie paryskiej przestrzeni – odpowiednikiem tego rozumienia katolicyzmu, katolicyzmu otwartego, które od lat znajdowało wyraz w krakowskim „Tygodniku Powszechnym”. Nie było w tym żadnej zmywy, tylko spontaniczne pokrewieństwo duchowe.

Na ulicy Surcouf księża pallotyni stworzyli coś niezwykłego: model polskiego kościoła otwartego. Stało się to jakby mimochodem, jakby bez planowania, bez podkreślania: my jesteśmy inni. A przecież nie było to łatwe. Można sobie wyobrazić podobne przedsięwzięcie grzęznące w prowincjonalności, w partyjnym, wąskim podejściu do wyboru zapraszanych gości. Ten sukces był zasługą księdza Zenona.

Książd Zenon Modzelewski tak zostanie zapamiętany: pogodny, uśmiechnięty, życzliwy, dotrzymujący wierności ideałom i przyjaźniom młodości.

Agnieszka

Agnieszka wstąpiła do STS-u w 1955 roku – po drugim programie. Naszym ideowym przywódcą był wtedy Witek Dąbrowski, najmłodszy poeta pokolenia pryszczatych, już drukowany, co nam bardzo imponowało. Agnieszka przyszła z konkurencyjnego teatrzyku – Dziennikarskiej Spółdzielni Satyrycznej DSS na UW. Zdążyła o nas napisać recenzję w „Po Prostu”, niezbyt zresztą przychylną. Jej akces do STS-u traktowaliśmy więc jako rodzaj Canossy i akt zwycięstwa. Całkowicie się wtedy od nas różniła. Nie tylko płcią, ale poglądami. Pochodziła z tak zwanego dobrego, mieszczańskiego domu. Jej ojciec, Wiktor Osiecki, był wziętym pianistą i kierownikiem muzycznym Teatru „Syrena” w Warszawie. Wychowany w Wiedniu starał się córce wpoić tradycyjne wartości. W epoce stalinowskiej nie było to mało. Ponieważ nie odziedziczyła po nim słuchu, zrezygnował z bólem z lekcji muzyki – natomiast twardo egzekwował naukę języków obcych i trening sportowy. Dzięki temu w wieku lat osiemnastu Agnieszka swobodnie mówiła czterema językami, świetnie grała w tenisa i biła rekordy na pływalni w stylu klasycznym. Gorzej było z klasykami marksizmu.

Papa Osiecki zdecydowanie preferował klasyków wiedeńskich i te poglądy przekazał córce. W domu, jak przed wojną, była gosposia, a Mama nie pracowała. Los sprawił, że właśnie w takiej dziewczynie zakochał się nasz bard w ciemnych okularach Witek Dąbrowski, który w tym czasie, jak Majakowski, pisał wiersze schodkami i wierzył, że słowo zmienia się w pocisk. Miłość do Agnieszki stała się dla niego prawdziwymi schodami. Z pasją nawracał Ją na swoją Wiarę. Wyśmiewał gosposię i po mieszczańsku spożywane obiadki. Jako dojrzwały poeta czuł się odpowiedzialny za teksty Agnieszki, korygował je i kontrolował. Agnieszka te uwagi przyjmowała z nabożną czcią należną mistrzowi.

W praktyce okazało się jednak, że Witek, dobry w teorii, na zebraniu rady artystycznej jako autor jest mało wydajny. Świetny poeta nie miał talentów satyryka i humorysty ani wyczucia sceny. W końcu wymagaliśmy od niego jednego programowego wiersza i wyciągnięcie

go w terminie było prawdziwą męką. Witek rodził powoli i w bólach. Natomiast Agnieszka tworzyła łatwo, lekko i przyjemnie. Jej teksty (choć nie programowe) w kolejnych programach coraz bardziej się podobały. Pełne polotu i dowcipu, wzruszające i śmieszne, znakomicie trafiały w nastroje społeczne. Gdy więc Witek odszedł od nas z powodów ideowych w 1957 roku – dość łatwo to przeboleliśmy. I nie było katastrofy. Gdyby wraz z nim odeszła Agnieszka – taka katastrofa niechybnie by nastąpiła. Agnieszka była bowiem już niezastąpiona. Trudno było sobie wyobrazić STS bez Jej piosenek.

Przywództwo duchowe od dawna objął Andrzej Jarecki, który sam lub w spółce z Ziemowitem Fedeckim pisał przewodnie teksty i formułował hasła typu „Mnie nie jest wszystko jedno”. Utwory Agnieszki, często prezentowane w bloku, jak słynny „Cyrk Piosenek” z Elą Czyżewską, z którego wyszli sławni *Kochankowie z ulicy Kamiennej* z muzyką Wojtka Solarza – były ozdobą każdego przedstawienia. W tej pierwszej, esteesowskiej erze muzykę do Jej tekstów pisali nasi muzycy: Marek Lusztig, Edward Pałasz, Jerzy Tyszkowski, Stanisław Młynarczyk, Wojciech Solarz i ja. Szybko na Jej talencie poznali się zawodowcy z zewnątrz, z którymi coraz chętniej współpracowała. Najpóźniej docenił Jej „amatorską studencką twórczość” własny Ojciec, z którym wspólnie napisali zaledwie parę utworów. Agnieszka często się z tego śmiała.

Jej najlepsze piosenki z STS-u z miejsca porywały znane gwiazdy estrady, które szybko je nagrywały – co wzbudzało żal w naszym zespole. Agnieszka się tym nie przejmowała, dobro utworu mając przede wszystkim na względzie. Tak było choćby z *Okularnikami*. Nasza Ziuta Utrata-Lusztig zaśpiewała ich na I Festiwalu Piosenki w Opolu, zdobyła nagrodę, ale rozgłos zawdzięczają nagraniem Sławy Przybylskiej, Aliny Janowskiej i Zofii Kucówny.

Agnieszka wcześniej wskazała talent businesswoman, jak byśmy dziś powiedzieli. Świetnie czuła rynek, ściśle współpracowała z największymi gwiazdami. Gwiazdy rozsławiały Jej piosenki, ale Ona, jako bezsporna gwiazdorka, opromieniała je swoim nazwiskiem. Wszyscy zabiegali o teksty Osieckiej. To była firma. Mimo że nie występowała na scenie jak Wojciech Młynarski czy Stanisław Tym – nie schodziła z niej nigdy. Zawsze w świetle reflektorów, podziwiana i podglądana, na ustach wszystkich. Wiadomo, że jak Agnieszka to Osiecka. Jedna taka sławna Agnieszka...

Jej przyjaźnie są legendarne. Nie ma wybitniejszej postaci, której by nie znała i nie sfotografowała. Galeria jest imponująca. Od Bułata

Okudźawy na Wschodzie po Tomasza Harlana i Dawida Halberstama na Zachodzie. A po drodze ile rodzimych słów? Różnych profesji. Aktorzy i lekarze, reżyserzy i malarze, muzycy i pisarze, politycy i playboye, biznesmeni i sportowcy. Wystarczy sięgnąć po niedawno wydaną albumową książkę *Na początku był negatyw*, by przekonać się o tym niezwykłym gwiazdzbiorze. Nie każdy zawodowy fotoreporter może się poszczycić taką kolekcją. Kiedy na to wszystko znajdowała czas? Tak intensywnie i dużo pisząc?

Agnieszka bardzo dawno zrozumiała, że w dzisiejszym świecie naprawdę trafić pod strzechy można tylko słowem wspartym muzyką, czyli piosenką. Nie poezją śpiewaną, która jest sztuczna i martwa, ale właśnie piosenką. Żywą i prostą. Gdzie słowo z muzyką tworzą nową jakość. Wsparte melodią nabiera niezwyklej mocy. Z pozoru banalny tekst staje się arcydziełem gatunku. Tak jak *Miłość ci wszystko wybaczy* Tuwima i Warsa. Takich małych arcydzieł, które są już współczesną klasyką, Agnieszka ma w swoim dorobku zadziwiająco wiele. I pod tym względem jest niewątpliwie najbardziej popularną poetką w kraju. Właśnie dzięki tej muzycznej formie. Warto wspomnieć, że najbardziej znanym wierszem obecnej laureatki Nobla – Wisławy Szymborskiej – jest wiersz *Nic dwa razy się nie zdarza* – zamieniony przez kompozytora Andrzeja Mundkowskiego w piosenkę. Jeszcze w latach sześćdziesiątych...

W życiu prywatnym była fascynująca. Umiała słuchać (szczególnie starszych), ale jeszcze lepiej opowiadać. Bystra obserwatorka, cudownie podpatrywała życie. Z lubością wyławiała śmieszności i absurdy. W miarę dobrotliwa, potrafiła być również złośliwa. Jedną anegdotką lub żartem załatwiała przeciwnika. Rozmowa z Nią była prawdziwą przyjemnością. Nic dziwnego, że od wczesnej młodości największe autorytety chciały ją poznać i swobodnie pogawędzić przy kawie. Łączyła dziewczęcy czar z wyjątkowym polotem i dowcipem. Nie ustępowała w żartach ani Słonimskiemu, ani Minkiewiczowi. Dlatego tak lubili z Nią przesiadywać. Przypominała im legendarne, przedwojenne panie, które z takim talentem i łatwością prowadziły salon literacki.

Podobnie błyskotliwa była w pisaniu. Wyszedłszy ze zwięzłej kabaretowej szkoły, jak ognia bała się nudy. Starła się uwieść widza czy czytelnika i przykuć jego uwagę. Szczególnie w ostatnich albumowych książkach doszła do przekonania, że pokolenia młodzieży wychowanej w kulturze obrazkowej nie można zdobyć samym słowem. Rolę muzyki w tym wypadku spełniało zdjęcie. Co innego widzieć namaszczony portret artysty, a co innego zobaczyć tegoż w kąpielówkach na

plaży, jak stroi głupie miny. Okazało się, że jak zwykle ma rację. Każda książka znajdowała się na liście bestsellerów i była masowo czytana. Dzięki Agnieszce dzisiejsza młodzież dowiedziała się o nas więcej niż z innych, bardziej uczonych źródeł. Co ważniejsze, zachęciła do czytania o tych prastarych czasach. W tym rola popularyzatorska Agnieszki jest ogromna. Gdyby nie Ona, działalność naszego STS-u mniej by interesowała. I nie przeszłaby do legendy. Jest niewątpliwie autorką kultową. Na całym świecie ma wielbicieli, którzy kolekcjonują wszystko, co napisała. Kasety, płyty, książki. Wiem o tym, bo ilekroć wyjeżdżam z Toronto mam zawsze zamówienia: – Przywieź mi nową Osiecką – mówią. A gdy zdobywam autograf Agnieszki, szczęście ich nie ma granic.

Tak było ostatnim razem. Właśnie prośby o autograf i zgodę na wystawienie w Toronto Jej słynnego musicalu *Niech no tylko zakwitną jabłonie* mnie do Niej sprowadziły. Znalazłem się w tym samym mieszkaniu, w którym we wczesnej młodości razem obchodziliśmy imieniny. Pani Maria Osiecka, już wtedy siwa, miała ponad lat czterdzieści. Agnieszka z czasem stała się do niej bardzo podobna. Bardzo przeżyła niedawną śmierć Matki. Pozornie z Nią wojowała, ale była niezwykle mocno związana. Skarżyła się na Jej brak. Mówiła, że niczego w domu nie może znaleźć. Mama na pamięć wiedziała, w której szufladce są różne rachunki i papiery. Mając pełną świadomość swej ciężkiej, nieuleczalnej choroby, słowem o niej nie wspominała. Jak dawniej prowadziła lekką, pogodną rozmowę. Wykazywała wyjątkowy hart. I niezwykłą godność. Niejednego mężczyzny nie byłoby na to stać.

Dlatego Jej śmierć uznano za nagłą. Wywołała taki szok. Nikt się jej nie spodziewał – poza Agnieszką. Do końca aktywna, z uśmiechniętą twarzą grała swą rolę jak najlepsza aktorka.

Głód przygody i ciekawość świata towarzyszyły Jej zawsze. W czasach żelaznej kurtyny doprowadziły do „Kultury”. Równie przed czterdziestu laty – w 1957 roku – pierwszy raz się tam zjawiła, przewożąc potajemnie maszynopis *Cmentarzy* Marka Hłaski. Potem, wróciwszy pod Dijon, gdzie byliśmy z STS-em na winobraniu, przywiozła zaproszenie do Maisons-Laffitte. Odtąd datuje się Jej długa i wierna przyjaźń z ludźmi z „Kultury”.

I właśnie wypowiedź o „Kulturze” w filmie dokumentalnym o Zofii Hertz jest ostatnim żywym słowem Agnieszki. Dokładnie w piątek, 28 lutego, zdążyła udzielić twórcy filmu, Jerzemu Sztwiertni, wywiadu w swoim mieszkaniu na Saskiej Kępie. Już chyba następnego dnia

nastąpiło nagle pogorszenie, znalazła się w szpitalu. Umarła w nocy z czwartku na piątek (z 6 na 7 marca).

Domyślam się, że w tym filmie jak zawsze ciekawie i żywo mówiła o Zofii Hertz i Zygmuncie (którzy traktowali Ją jak własną córkę), o Jerzym Giedroyciu, Jego bracie Henryku i innych przyjaciółach z Maisons-Laffitte. Od „Kultury” jako dwudziestoletnia dziewczyna rozpoczęła znajomość innego niż PRL świata i na „Kulturze” skończyła. Jest w tym coś głęboko przejmującego. I symbolicznego. Jakieś swoiste przesłanie. I testament.

Bohdan Osadczuk

Pożegnanie z Kedrynem

W Nowym Jorku odszedł w wieczność senior ukraińskiego dziennikarstwa Iwan Kedryn. Był to pseudonim Iwana Rudnyckiego, który tak się zrośł z jego życiem i pracą, że prawdziwe nazwisko mistrza trafnych i zawsze racjonalnych analiz politycznych odeszło w niepamięć. Kedryn to była marka przedniej jakości, która stała się w historii naszej prasy najdłuższym fenomenem. Kedryn bowiem dożył patriarchalnego wieku, do prawie okrągłych dziewięćdziesięciu dziewięciu lat. Zabrakło mu dla zaokrąglenia daty jednego miesiąca. Kiedy go widziałem w listopadzie ubiegłego roku, podczas wizyty prezydenta Leonida Kuczmy w Stanach Zjednoczonych, spodziewałem się, że za rok będziemy razem z nim obchodzić stulecie urodzin. Ale i bez tego jednego roku i miesiąca – to też dosyć długo, zwłaszcza kiedy zwążyć, że dziennikarze w ogromnej większości umierają młodo. Szybciej się spalają w emocjach polityki i tempa zawodu. Kedryn stał się samotnym wyjątkiem w tej regule. Był człowiekiem nieprzeciętnym nie tylko pod względem wieku, ale i zachowania świeżości umysłu i stylu. Pisał artykuły wstępne do najstarszego dziennika emigracji, nowojorskiej „Swobody”, i do organu weteranów „Wisti Kombatanta” aż do ostatniej chwili. Może mu pomagał stały dystans intelektualny, chłód do wydarzeń, wrodzona niechęć do traktowania spraw politycznych i społecznych emocjonalnie.

Był członkiem ongiś potężnego w życiu politycznym i towarzyskim Galicji klanu Rudnyckich. Siostra Kedryna, Milena Rudnycka była posłanką czołowej partii politycznej UNDO do Sejmu w latach trzydziestych, przywódczynią ukraińskiego ruchu feministycznego, działaczką na polu międzynarodowym w dziedzinie obrony praw mniejszościowych na forum Ligi Narodów w Genewie. Brat, Mychajło Rudnyckyj, był krytykiem literackim, wydawcą czasopisma „Nazustricz”, profesorem romanistyki i anglistyki. A jeszcze jeden z rodzeństwa, Antin Rudnyckyj, poświęcił się muzyce jako teoretyk, ale i jako kompozytor i dyrygent. Ostatnim z klanu, oprócz Kedryna, był przedwcześnie zmarły mój przyjaciel i kolega uniwersytecki, syn Mileny, histo-

ryk Iwan Łysiak-Rudnyckyj. Podwójne nazwisko pochodziło stąd, że Milena miała męża adwokata Łysiaka, który niezbyt dobrze czuł się w towarzystwie przytłaczającej go sławą i chwałą połowicy.

Zmarły patriarcha ukraińskiego dziennikarstwa po studiach we Lwowie i Wiedniu poszedł na pierwszą wojnę światową w ukraińskich legionach po stronie austriackiej, tj. w Siczowych Strilciach. Po przegranej wojnie z bolszewikami i katastrofie Republiki Zachodnio-ukraińskiej udał się z jej rządem na emigrację do Wiednia. Tam zabłysnął po raz pierwszy talentem analitycznym na łamach wiedeńskiego niezależnego tygodnika „Wola” wydawanego przez niestrudzonego redaktora pism ukraińskich w Petersburgu, Kijowie i Odessie, z zawodu pierwotnie i na końcu – lekarza, Wiktora Pisniaczewskiego. W 1922 roku Kedryn wrócił do Lwowa i wstąpił do redakcji gazety UNDO „Diła”, czyli „Czyn” albo „Sprawa”. Był to w historii prasy ukraińskiej poprzez wszystkie lata najlepszy i najpoważniejszy dziennik, wzorujący się trochę na wiedeńskiej „Neue Freie Presse” i na szwajcarskiej „Neue Zürcher Zeitung”. Tylko kijowska „Rada” mogła się w swym najlepszym okresie równać z tym lwowskim dziennikiem. Kiedy się dzisiaj czyta prasę ukraińską w Kijowie i Lwowie i porównuje z poziomem i ładunkiem intelektualnym zespołu „Diła”, regres w następstwie niwelacji komunistycznej i imperialnej jest po prostu groźny.

Iwan Kedryn miał lekki styl przedstawiania skomplikowanych problemów w sposób przejrzysty, konkretny i zrozumiały. Są to, obok rzetelności przekonań i przywiązania do zasady swobody słowa, najważniejsze wartości w tym zawodzie. Miałem okazję jako adept pracować – niestety bardzo krótko – pod jego kierownictwem. Imponował mi sposobem pracy, umiejętnością szybkiej reakcji, ale nie banalnej, i nieubłaganą walką z wszelkiego rodzaju nacjonalistyczną mitologią. Był europejskim dziennikarzem w pełni tego słowa. Musiał jednak swój talent i swoje możliwości przymierzać do naszych nie zawsze najlepszych warunków.

Kedryn był zwolennikiem porozumienia polsko-ukraińskiego. Dawał temu wyraz w okresie, kiedy był warszawskim korespondentem „Diła” w latach 1925–1931, a potem jako szef działu polityki. Jego postawa w stosunku do normalizacji stosunków między Warszawą i Lwowem była postawą ukraińskiego patrioty-demokraty. Popierał pozycję wojewody wołyńskiego Józewskiego. Współpracował z posłem z ziemi wołyńskiej Stepanem Skrypnykiem, potem metropolitą, a ostatnio przed śmiercią patriarchą, Mstysławem. Był doradcą, a na-

wet inspiratorem dla głównych rzeczników polityki UNDO. Wyrazem jego poglądów w tych sprawach były liczne artykuły w wydawanym przez Włodzimierza Bączkowskiego „Biuletynie Polsko-Ukraińskim”. Na emigracji, w Nowym Jorku, kontynuował tę linię. Był szczerym przyjacielem i zwolennikiem koncepcji „Kultury”.

Gustaw Herling-Grudziński

Pożegnanie przyjaciela Moskala

Mogę dokładnie ustalić datę i miejsce naszego pierwszego spotkania: wrześniowe popołudnie 1974 na pięterku mojej ulubionej kawiarni paryskiej Cluny. Nasza rozmowa była przeznaczona dla „Kultury”. Władimir Emelianowicz Maksimow wyjechał z Moskwy w lutym tego roku, w dniu banicji Sołżenicyna. „Wyjechałem z jednym gwoździem w głowie: założyć pismo. Napisałem do Sołżenicyna. Odpisał listem, w którym było między innymi takie zdanie: *Ja dumaju, Wam objazatielno nada swiazatsia s Poliakami iz »Kultury«*”. Powstał więc „Kontynent”, do międzynarodowego komitetu redakcyjnego weszli trzej Polacy: Józef Czapski, Jerzy Giedroyc i niżej podpisany. Podczas każdego „miesiąca lafickiego” odwiedzałem Maksimowa w jego mieszkaniu lub w redakcji na Lauriston, parę kroków od Etoile i Łuku Triumfalnego. Niekiedy odwiedzaliśmy go w dwójkę, z Jerzym Giedroyciem. A raz, pamiętam, przyszliśmy „w komplecie”, w trójkę, na zaproszenie mieszkającej u Maksimowa żony Sacharowa, Eleny Bonner.

Moim rozmówcą w Cluny był Rosjanin z gruba ciosany, otwarty, prosty, chwilami szorstki, bez żadnych „rafinacji intelektualnych”, rzeczywiście „z jednym gwoździem w głowie”, nasycony gniewem wobec „ojczyzny proletariatu światowego”, on – syn robotniczej rodziny. Jako młody chłopiec był w Komsomole, redagował tam jakieś pismo pod nadzorem Gorbaczowa. Mówił o nim zawsze, z cichym chichotem, *chitrij* albo *chitreńkij Miszka*. Kiedy myślę o jego wczesnym i radykalnym zerwaniu z komunizmem, przypomina mi się wyznanie pisarza amerykańskiego (Murzyna) Richarda Wrighta: za młodu przyjąłem komunizm jak komunię, zaraz potem wypłułem opłatek obrzydzony jego smakiem.

Podana mi na powitanie prawa dłoń Maksimowa, trudna do uściśnięcia z braku trzech palców, mówiła coś o jego życiu. On sam milczał o przeszłości, ale od wspólnych znajomych, Rosjan, wiedziałem że był współczesnym wcieleniem Gorkiego, samoukiem i „bosakiem”, wędrującym po Rosji i chwytającym się wciąż nowych zajęć. Te wę-

drówki pozwoliły mu napisać jedną z najlepszych porewolucyjnych powieści rosyjskich *Siedem dni stworzenia*, która odsoniła nieznana Rosję „głęboką”, Rosję mnożących się sekt religijnych.

W naszej rozmowie, drukowanej w październikowym numerze „Kultury”, uderza mnie dziś zakończenie, odpowiedź na moje pytanie o pierwsze doświadczenia na Zachodzie: „Widzi pan, to jest tak. Rozmawiam z kimś i mimochodem wtrącam, że zbliżyłem się do pewnego środowiska. Rzadka mina, grymas niesmaku: za mało na lewo. I nie wie biedaczek, że w tym środowisku tak samo wybrzydzą się na niego. Z początku znośłem to cierpliwie, ale ostatnio wybuchnąłem: Zdecydujcie się nareszcie, *kto iz was lewieje*. Cała ta licytacja lewicowości odbywa się pod znakiem antyfaszyzmu, pomijając na ogół równanie proste dla mnie, pisarza rosyjskiego świeżo przybyłego z Moskwy: komunizm to faszyzm”.

Z takimi poglądami nie mógł być w Paryżu nawet primadonną jednego sezonu. I w rzeczy samej stronili od niego luminarze francuscy, których wykarmiły sartroidalne idiotyzmy i filozofijki w rodzaju *Humanizmu i terroru* Merleau-Ponty’ego. Do końca mógł tylko liczyć przy każdej okazji na Ionesco. Swój pamflet, który pogrążył go ostatecznie w oczach paryskich „postępowców”, zatytułował *Saga o Nosorożcach*.

Z rodakami było różnie. Unikał marksistowskiej parafii Miedwiediew–Czalidze, poróżnił się szybko z Siniawskim (mając stuprocentową rację), związał się z Niekrasowem, Brodskim, Hellerem i Nataszą Gorbaniewską, uwielbiał Sacharowa i jego żonę. A przede wszystkim, na początku zwłaszcza, Sołżenicyna. Jak Sołżenicyn – pracując nad powieściowymi soliterami – mógł pisać ogromne listy do Maksimowa, pozostanie tajemnicą prywatnego izolatora w Vermont. Widywałem czasem te listy, kiedyśmy trochę popijali na Lauriston. W jednym była zwariowana nieco polemika z moim szkicem *Jegor i Iwan Denisowicz*, ogłoszonym po rosyjsku w „Kontynencie”. Jak mogłem – pieklił się wielki pisarz – porównać Sachalin Czechowa z sowieckim Gułagiem? „Wyszedł z niego Polak”, brzmiała konkluzja. Przypomniało mi się, że po Sołżenicynowskim *Liście do przywódców sowieckich* jeden z warszawskich literatów oznajmił triumfalnie w kawiarni: „A nie mówiłem? Wyszedł z niego w końcu Rosjanin!”. Na co obecny przy stoliku Słonimski: „A kto miał wyjść? Holender?”.

„Kontynent” był dobrym, bogatym i ciekawym pismem, redagowanym pewną ręką przez swego założyciela. Według mnie odegrał dużą rolę wśród emigrantów rosyjskich i w Rosji, gdzie jednak kapaniną docierał. Nie można go porównywać z „Kulturą”, ale z „Kulturą” nie

można też porównywać „Svědectví” Tigrida, a przecież każdy inteligentny Czech powie, że paryski periodyk Tigrida był ważniejszy od rzymskich „Listów” Pelikana.

Po raz ostatni widziałem Maksimowa na zorganizowanym przez niego sympozjonie rosyjsko-francuskim w Paryżu. Na pożegnalnym drinku trącił się ze mną kielichem i, pokonując przyrodzoną powściągliwość, szepnął mi prawie na ucho: „Nawet nie wiecie, wy z »Kultury«, ile wam zawdzięczamy”.

Przeskoczę do listopada 1992. Maksimow ma już za sobą kilka podróży do Moskwy, tam przeniósł z Paryża „Kontynent”, oddawszy go w ręce swego przyjaciela Winogradowa. Na zaproszenie Jerzego Giedroycia daje Nataszy Gorbaniewskiej wywiad dla „Kultury”. Czysta, stężona czerń albo „czarno na czarnym” (że zapożyczę ten zwrot od pisarza sycylijskiego Leonardo Sciascia). Rosję pod wodzą Jelcyna opanowała szajka żulików, ignorantów, oszustów; jest nawet nie na kolanach, lecz leży powalona i sparaliżowana. Biedna Natasza, tak z nim zaprzyjaźniona, tak mu wierna, próbuje łagodzić jego sądy. Ze skutkiem odwrotnym od zamierzonego. Na prośbę Jerzego napisałem krótki wstęp redakcyjny, dystansujący się w jakimś stopniu od wywiadu, podkreślający naszą rezerwę wobec tak ponurego, pesymistycznego obrazu.

W trzy lata później widać, ile miał racji, chociaż z rosyjskim „nadywem”, rozjuszony Maksimow, pełen rozpacz i goryczy. I widać też, jak ciężki popełnił błąd, przenosząc pismo do Moskwy i oddając je moskiewskiemu zespołowi. Gdyby mogło dalej bez żadnych zahamowań przemawiać z Paryża, jak to robi „Kultura”, jego głos brzmiałby inaczej; i byłby lepiej dosłyszany przez czytelników rosyjskich.

Jeżeli jest prawdą, jak twierdzą onkolodzy, że w procesie rozwoju raka zapaści psychiczne pogłębiają i przyspieszają chorobę nowotworową, to w jakiś sposób Maksimow umarł także w 62 roku życia na udękę przedwczesnego rozstania ze swoim dziełem.

Zofia Hertz

Maria Wasung (1905–1993)

Z Marysią spotkaliśmy się przed ponad pół wiekiem, dokładnie w końcu czerwca 1940 roku. Wywiezieni ze Lwowa tym samym transportem: Marysia z dwojgiem małych dzieci, 3-letnią Krysią i chyba 8-letnim Andrzejem, oraz ja z moim mężem Zygmuntem – my byliśmy we Lwowie przypadkowo, „przejazdem” ze Stanisławowa, czekając na możliwość powrotu do Warszawy.

I tak znaleźliśmy się wszyscy w Cyngłoku (Joszkarowska obłast, Maryjska ASSR), w dziewiczym prawie lesie. Było nas tam ogółem około 400 osób. Przez 16 miesięcy rąbaliśmy ten las, żeby zapracować na kawałek chleba i talerz kaszy czy wody zwanej zupą. Do dziś nie mogę zrozumieć, jak można tam było żyć i przeżyć. Sądzę, że gdybyśmy na chwilę pomyśleli, że możemy tam zostać na zawsze, to wolelibyśmy zginąć od razu. Ale byliśmy młodzi i przekonani, że musimy to przetrwać, i to przekonanie dodawało nam sił.

Nasze drogi z Marysią rozeszły się z konieczności w chwili, gdy zostaliśmy „amnestionowani”. Zygmunt i ja wypuściliśmy się w podróż przez Rosję w stronę Buzułuku, gdzie tworzyła się armia polska, a Marysia z dziećmi zupełnie inną drogą szukała możliwości wydostania się z tego koszmaru.

W końcu wyjechaliśmy wszyscy: Zygmunt ze swoją dywizją, ja ze sztabem, a Marysia z dziećmi dotarła do Libanu i tam z Krysią doczekała się końca wojny. Andrzej był w junakach, a potem pojechał do Londynu i już w nim pozostał do końca.

Marysię odnalazł po wojnie mąż Aleksander, który był internowany w Szwajcarii wraz z dywizją gen. Prugara-Ketlinga i zostali w Genewie. Spotkaliśmy się na nowo – był to chyba rok 1949 – na „Korneju” w Maisons-Laffitte. Marysia podjęła się przedstawicielstwa „Kultury” na Szwajcarię, gdzie było sporo Polaków. Połączyła nas stara przyjaźń i „Kultura” i nic już nas nie rozłączyło. Marysia i Krysia to była i jest rodzina.

Trudno mi uzmysłowić sobie, że Jej już nie ma. Były okresy, że widywałyśmy się często, czasem rzadziej, ale zawsze była Marysią. Nie miała lekkiego życia. Ciężko pracowała, ale zawsze pogodna, uśmiechnięta, nigdy się nie skarżyła i tak jak Zygmunt lubiła ludzi, którzy jej się tym samym odwzięczali. A to ważne.

Marek Żebrowski

Pan Henryk

W pierwszych dniach wojny Jerzy Giedroyc spotkał się ze swoim młodszym bratem, zwanym przez bliskich Dudą, a później Dudkiem. „Jurek obiecał mi pracę w 2. Oddziale albo w MSZ. Raptownie wyjechał” – zanotował 17-letni wówczas Henryk Giedroyc.

To był chyba nawet niezły pomysł. Dudek był wprawdzie jeszcze nieopierzonym licealistą, ale w dłuższej perspektywie – gdyby nie klęska wrześniowa – kto wie...? Zdolności językowe, jak sam to określał, miał małpie, z domu wyniósł porządne, przedwojenne maniere, naturę miał kameralną i powściągliwą, skłonny raczej do słuchania niż mówienia. Gdy się już odezwał, niejednego zaskakiwał precyzją myślenia oraz inteligentnym, ironicznym (i autoironicznym!), „angielskim” poczuciem humoru. Do tego zawsze miał dobrą prezencję. Możliwe, że istotnie byłby niezłym materiałem na dyplomatę prawdziwego lub takiego, któremu zadania zleca nie tylko resort spraw zagranicznych... Kto wie?

Natomiast Jerzy Giedroyc nie wiedział wówczas jeszcze, że świat, w którym funkcjonował, w którym istotnie mógłby ułożyć swemu bratu życie w strukturach państwowych Rzeczypospolitej – właśnie odchodzi do przeszłości. Zabierając go ze sobą w podróż, z której nigdy już nie mieli do Polski wrócić, wziął jednak na siebie odpowiedzialność za jego przyszłość i dbał o nią tak, jak umiał najlepiej i na ile pozwalały okoliczności. W Bukareszcie dopilnował, by Dudek zdał maturę. Następnie razem wstąpili do wojska, a po zakończonej wojnie Jerzy wiele zrobił, by jego młodszy brat kontynuował naukę – najpierw na turyńskiej politechnice, potem w ramach kursów językowych w Paryżu. Czuł się odpowiedzialny za dwudziestoparolatka, który – świeżo zdemobilizowany, po kilkuletniej przygodzie wojennej – do ślęczenia nad książkami nie miał zapału. Wyciągał go za uszy z najrozmaitszych kłopotów – wtedy, gdy Dudek postanowił się natychmiast żenić z niedawno poznaną piękną Włoszką, której imponował jego aliancki mundur, jak i wtedy, gdy nierozważnie naroził sobie długów. Nie wiedział, jak bardzo Dudek – świadom tego braterskiego poczucia odpowiedzialności – starał się swoje problemy załatwiać samemu tak, by się tylko Jerzy nie dowiedział...

Aż w końcu, w roku 1952, Jerzy – ponoć za namową Zofii i Zygmunta Hertzów – postanowił Dudka, wymęczonego biedną, szarą i wygłodniałą powojenną Anglią, ściągnąć do Maisons-Laffitte. Julia Juryś napisała w „Zeszytach Literackich”: „[...] przydzielono Mu zajęcie, biurko, zapewniono łóżko, wikt i opierunek. Należał do falansteru. Nie dano Mu tylko roli do odegrania”. To chyba nie do końca prawda. Odgrywał Dudek rolę ważną, choć na zewnątrz – niedostrzegalną. Był kimś więcej niż pozostali członkowie „falansteru”. Nie tylko współpracownikiem, ale – jedynym chyba człowiekiem naprawdę bliskim Jerzemu Giedroycowi. On, który swą samotność niemal kulturował, kochał młodszego brata i ufał mu bezgranicznie – nawet, jeśli nie była to miłość idealna. Nawet, jeśli nie potrafił na Dudka i jego życie patrzeć inaczej niż tylko przez pryzmat własnych doświadczeń i własnego charakteru. „Nie rób tego. Nam, Giedroyciom, małżeństwa się nie udają” – mówił, gdy Henryk poinformował go, że ma zamiar ożenić się z Ledą Pasquali. O ile małżeństwo Jerzego istotnie się nie udało, o tyle Henryk z Ledą kochali się, przyjaźnili i byli ze sobą szczęśliwi przez kolejne dziesięciolecia. Tym też wyróżniał się młodszy brat Redaktora na tle „zakonu” z Maisons-Laffitte. Miał swoje życie i potrafił się nim cieszyć.

Dlatego właśnie nigdy nie żył przeszłością, a namówienie Go na wspomnienia, wykraczające poza garść anegdot powtarzanych od lat odwiedzającym Maisons-Laffitte dziennikarzom, graniczyło niemal z cudem. Najbardziej sprzyjały temu niedziele, kiedyśmy zostawiali sami w domu „Kultury” przy 91, avenue de Poissy. Jego Gospodarz w drodze wyjątku akceptował mą obecność i ślęczenie nad dokumentami z lafickiego archiwum, choć – jak powtarzał – „w weekendy to jest dom, a nie instytucja”. O ile zazwyczaj umiejętność wspólnego milczenia jest dowodem wypróbowanej przyjaźni, o tyle w przypadku Pana Henryka była ona egzaminem wstępnym znajomości. Dopiero po pewnym więc czasie rozmowy przy obiedzie, który czasami Pan Henryk sam przygotowywał – był miłośnikiem dobrej kuchni – zaczęliśmy kontynuować popołudniami i wieczorami, przy szklaneczce whisky w *jardin d’hiver*. Choć bardziej interesowało Go to co żywe i aktualne – pasjonował się technicznymi nowinkami, cieszył kolejnym cyfrowym aparatem fotograficznym czy nowym telefonem i do późnej nocy zdarzało Mu się surfować po Sieci – dawał się wówczas „pociągnąć za język”. Opowiadał o swych bukareszteńskich i włoskich sympatiach, o życiu w tobruckich schronach, o Jerzym, Zosi, Zigmuncie i Józiu, o Ledzie i o wakacjach co roku spędzanych z nią na

Formenterze. O tym, co było do opisania, i o tym, czego nikt już się nie dowie.

Choć kochał swojego brata i nie odstępował o krok od wyznaczonej przez niego linii politycznej, potrafił w tych rozmowach oceniać go trzeźwo. A proszony o opinię na temat niektórych ostrzejszych wypowiedzi Redaktora, odmiennych od poglądów jego samego, uśmiechał się lekko: „Czy on tak mówił dlatego, że tak myślał, czy dlatego, że uważał, że w danej chwili to właśnie trzeba powiedzieć...? Jerzy był politykiem, ja nim nie muszę być”. Ale Jego żelazna lojalność wobec brata sprawiała, że oficjalny przekaz z Maisons-Laffitte musiał być w pełni zgodny z politycznym testamentem Redaktora. A choć nie ukrywał, że ciążyą Mu obowiązki, jakie spadły na Jego barki, kiedy miał już osiemdziesiąt jeden lat, wszedł w nie bez reszty, by spłacić dług, który – jak uważał – miał wobec Jerzego.

Dopóki bowiem w Maisons-Laffitte był Giedroyc, miała tam być i była „Kultura”. Mieszkańcy tego małego miasteczka nigdy się nie dowiedzieli, że jego nazwa stała się dla wielu osób moralnym punktem odniesienia. I nie dowiedzą się, dla jak wielu całe to miasteczko na zawsze zniknęło w nocy 21 marca 2010 roku wraz z przejściem do historii „Kultury”, z odejściem nie tylko „brata Redaktora”, ale przede wszystkim – mądrego i serdecznego, niezwykle życzliwego, a zwyczajnie dobrego człowieka, Henryka Giedroycia.

Nota edytorska

W edycji uwspółcześniono interpunkcję i ortografię oraz poprawiono pomyłki i błędy niezauważone w pierwodrukach. Zrezygnowano natomiast z korekty stylistycznej, pozostawiając charakterystyczne dla poszczególnych autorów zwroty i sformułowania. Pozostawiono także występujące w wersjach oryginalnych inicjały imion, rozwijając je lub uzupełniając w *Wykazie osób*. Ze względu na specyfikę tekstów odstąpiono od opatrywania ich wyjaśnieniami lub komentarzami redakcyjnymi.

Konstrukcja książki nie powinna być uważana za próbę zhierarchizowania środowiska „Kultury”. Nie odzwierciedla także składu (zmieniającego się na przestrzeni pięćdziesięciu pięciu lat) jego kolejnych kręgów. Z powodów oczywistych tom rozpoczynają wspomnienia poświęcone Jerzemu Giedroycowi. Po nich następują nekrologi stałych lokatorów domu „Kultury” w Maisons-Laffitte oraz publicystów, poetów i pisarzy, którzy w największym stopniu wpłynęli na kształt oblicza ideowego zarówno redagowanego przez nich periodyku, jak i wydawanej równolegle serii książek. Nie ma wśród nich tekstów dedykowanych Leo Lipskiemu i Wacławowi Alfredowi Zbyszewskiemu, ponieważ zostały przedrukowane we wcześniejszych tomach serii *W kręgu paryskiej „KULTURY”*. W dalszych partiach książki zostały zamieszczone wspomnienia o filozofach, historykach, politologach, socjologach, ekonomistach i dziennikarzach publikujących na łamach „Kultury”. Na jej kartach nie mogło zabraknąć nekrologów wiernych przyjaciół i dobrodziejów periodyku. W naturalny sposób tom zamyka wspomnienie o ostatnim dyrektorsze Instytutu Literackiego.

Miłym obowiązkiem edytora tomu jest złożenie podziękowań wszystkim, którzy przyczynili się do jego wydania. Zechcą je przyjąć w pierwszym rzędzie pani Marta Herling i Wydawnictwo Literackie oraz pan Anthony Miłosz. Składam je również panu Wojciechowi Sikorze, prezesowi Instytutu Literackiego KULTURA, oraz panu Andrzejowi Peciakowi, szefowi Działu Wydawnictw Instytutu Książki. Wdzięczny jestem także Ich Magnificencjom Rektorom Uniwersytetu Łódzkiego oraz władzom dziekańskim Wydziału Filozoficzno-Historycznego łódzkiej Alma Mater.

Źródła druku

- W. Zbyszewski, *Niedoszły polski „Lawrence of Arabia”...*, „Kultura” 2000, nr 10.
- C. Miłosz, *Uwagi wdzięcznego współbiesiadnika*, „Kultura” 2000, nr 10.
- B. Osadczyk, *Pożegnanie z Jerzym Giedroycem*, „Kultura” 2000, nr 10.
- W. Karpiński, *Jerzy Giedroyc, kustosz pamięci*, „Zeszyty Historyczne” 2010, z. 171.
- B. Osadczyk, *Wspomnienie*, „Zeszyty Historyczne” 2003, z. 145.
- I. Chruślińska, *Zosia*, „Zeszyty Historyczne” 2003, z. 145.
- R. Gorczyńska, *Wybór Zofii*, „Zeszyty Historyczne” 2003, z. 145.
- J. Czapski, *Zygmunt*, „Kultura” 1979, nr 11.
- C. Miłosz, *Był raz...*, „Kultura” 1980, nr 3.
- K. A. Jeleński, *Zygmunt Hertz, mój przyjaciel*, „Kultura” 1980, nr 1–2.
- B. Osadczyk, *„Oddychać razem”*, „Kultura” 1993, nr 4.
- W. Karpiński, *Płomień*, „Kultura” 1993, nr 3.
- K. A. Jeleński, *Marynia*, „Kultura” 1981, nr 7–8.
- P. Wandycz, *O Juliuszu Mieroszewskim*, „Zeszyty Historyczne” 1986, z. 78.
- J. Czapski, *Jerzy Stempowski*, „Kultura” 1969, nr 11.
- G. Herling-Grudziński, *Pożegnalny list*, „Kultura” 1969, nr 12.
- T. Terlecki, *„Pan Jerzy”*, „Kultura” 1969, nr 12.
- J. Czapski, *Querido Bob*, „Kultura” 1961, nr 9.
- G. Herling-Grudziński, *Przebity światłem*, „Kultura” 1969, nr 4.
- W. Iwaniuk, *Ostatni list*, „Kultura” 1969, nr 4.
- C. Miłosz, *Podzwonne*, „Kultura” 1969, nr 9.
- S. Mrozek, *Gombrowicz. Śmierć*, „Kultura” 1969, nr 9.
- K. Pomian, *Jeleński: szkic do portretu*, „Kultura” 1987, nr 7–8.
- C. Miłosz, *Konstanty: polskie tło*, „Kultura” 1987, nr 7–8.
- W. Karpiński, *Spotkanie z Kotem Jeleńskim*, „Kultura” 1987, nr 7–8.
- L. Tyrmand, *Hłasko*, „Kultura” 1969, nr 9.
- P. Wandycz, *Spotkanie z Markiem Hłaską*, „Zeszyty Historyczne” 2009, z. 169.
- M. Broński [W. Skalmowski], *Leopold Tyrmand (1920–1985)*, „Kultura” 1985, nr 7–8.
- W. Iwaniuk, *Józef Łobodowski*, „Kultura” 1988, nr 12.
- J. Czapski, *Czesław Straszewicz*, „Kultura” 1963, nr 10.
- T. Chrzanowski, *Stefan Kisielewski*, „Kultura” 1991, nr 11.
- W. Sznarbachowski, *Wspominając Kisiela*, „Kultura” 1992, nr 1–2.
- J. Czapski, *Stanisław Vincenz*, „Kultura” 1971, nr 3.

- S. Kossowska, *Pani Maria*, „Kultura” 1997, nr 5.
- J. Czapski, *James Burnham (1905–1987)*, „Kultura” 1987, nr 10.
- C. Miłosz, *Filozof odchodzi*, „Kultura” 2000, nr 7–8.
- S. Swianiewicz, *90-lecie Kazimierza Okulicza*, „Kultura” 1980, nr 4.
- W. Żeleński, *Władysław Wolski*, „Kultura” 1977, nr 3.
- J. Poniatowski, *Stanisław Gryziewicz*, „Kultura” 1965, nr 9.
- S. L. Andrzejewski, *Zbigniew Jordan*, „Kultura” 1980, nr 11.
- N. Kłosowska, *Mistrz*, „Kultura” 1984, nr 6.
- A. Kawałkowski, *Władysław Pobóg-Malinowski*, „Kultura” 1963, nr 1–2.
- K. Okulicz, *Stanisław Mackiewicz (natus 1897–obiit 1966)*, „Kultura” 1966, nr 3.
- B. Sulik, *Pan Adam*, „Kultura” 1978, nr 11.
- J. Chodakowski, *Nieszłonna z Londynu*, „Zeszyty Historyczne” 2002, z. 142.
- B. Osadczuk, *Śmierć Borysa Lewyckiego*, „Kultura” 1984, nr 12.
- J. Giedroyc, *Michał Heller*, „Kultura” 1997, nr 3.
- A. Matejko, *Odszedł światły człowiek*, „Kultura” 1983, nr 7–8.
- J. Giedroyc, *Śmierć Przyjaciela – Benedykt Heydenkorn*, „Kultura” 1999, nr 11.
- J. Giedroyc, *Norbert*, „Kultura” 1994, nr 10.
- M. Nowakowski, *Andrzej*, „Kultura” 1989, nr 10.
- D. Hiż, *Wspomnienie o Alicji Iwańskiej*, „Kultura” 1997, nr 4.
- A. Dobosz, *Droga Romana Zimanda*, „Kultura” 1993, nr 5.
- R. Habielski, *Świadectwo obecności. Stefania Kossowska (1909–2003)*, „Zeszyty Historyczne” 2003, z. 146.
- M. Danilewicz-Zielińska, *„Pułkownik Zamoyski”*, „Kultura” 1977, nr 1–2.
- K. A. Jeleński, *Pamięci Auberona*, „Kultura” 1976, nr 118.
- K. Morawski, *Anatol Muhlstein*, „Kultura” 1958, nr 1–2.
- S. Kossowska, *Aniela*, „Kultura” 1998, nr 11.
- J. Czapski, *Weltbürger*, „Kultura” 1964, nr 5.
- N. Kłosowska, *Witek Zahorski*, „Kultura” 1989, nr 5.
- C. Miłosz, *Śmieć Józefa Sadzika*, „Kultura” 1980, nr 10.
- K. Pomian, *Lebenstein: droga pod prąd*, „Kultura” 1999, nr 11.
- A. Zagajewski, *Ksiądz Zenon Modzelewski*, „Kultura” 1996, nr 7–8.
- J. Abramow-Newerly, *Agnieszka*, „Kultura” 1997, nr 4.
- B. Osadczuk, *Pożegnanie z Kedrynem*, „Kultura” 1995, nr 5.
- G. Herling-Grudziński, *Pożegnanie przyjaciela Moskala*, „Kultura” 1995, nr 5.
- Z. Hertz, *Maria Wasung (1905–1993)*, „Kultura” 1993, nr 5.
- M. Żebrowski, *Pan Henryk*, „Zeszyty Historyczne” 2010, z. 171.

Wykaz osób

- A**
Abramow-Newerly Jarosław 328
Abramowicz Ludwik 209, 236
Abramowicz Witold 207
Achmatowa Anna 120
Adamczewski Stanisław 104
Adenauer Konrad 257
Aftanazy Roman 38–40
Alliujewa Swietłana 200
Ancewicz Franciszek 225
Anders Władysław 11, 53, 55, 60, 71, 202, 210, 252, 273, 275
Andrzejewski Jerzy 52, 121, 124, 182
Andrzejewski Stanisław Leonard 222
Angerman Kazimierz 71
Antonescu Michaił 214, 215
Aragon Louis 61
Arand Gabriel 19
Arciszewski Mirosław 214
Arciszewski Tomasz 243, 244
Arendt Hannah 201, 203, 205
Ariès Philippe 81
- B**
Babicka Maria 283
Bacigalupo Giuseppe 287
Bacon Francis 96
Baczyński Krzysztof Kamil 148
Badeni Jan 275
Badeni Stanisław 21
Bahrianj Iwan 41
Balińscy, rodzina 145
Balzac Honoré de 114
Bandrowski 302
Barnaby lord 281
Barnes Djuna 152
Baron Corvo zob. Rolfe Frederick William
Bartel Kazimierz 210
Bataille Georges 82
Bau Zdzisław 73
Bączkowski Włodzimierz 24, 335
Beck Józef 16, 17, 23, 211, 235, 254, 296
Beckett Samuel 77, 178
Béjart Maurice 320
Bellmer 82
Berlin Isaiah 287–289
Bierut 120, 235
Binental Leopold 230
Biomfield Róża 283
Bissing Moritz von 293
Blake William 134
Bloch Alexandre 141
Bloch Ernst 304
Blum Leon 296
Bobiński Kazimierz 283
Bobkowska Barbara 109
Bobkowski Andrzej 106, 108–115, 217, 267, 299
Bobola Andrzej 271
Bobrowski Czesław 230
Bocheński Adolf 23
Bocheński Józef Maria (Inocenty) 190
Bocklin Arnold 319
Bogart Humphrey 156
Boguszewska Helena 271
Bonner Elena 336
Borkowski Andrzej 278
Borwicz Michał 327
Boy zob. Żeleński Tadeusz (Boy)
Bozewicz Władysław 71

- Brand Max 264
 Brandys Kazimierz 112, 113, 327
 Briand Aristide 295, 296
 Brodski 337
 Bronarski Ludwik 103
 Broński M. zob. Skalmowski Wojciech
 Brzozowski Stanisław 27, 50, 82, 187
 Buber-Neuman Margarete 302
 Buraczok Seweryn 75
 Burnham James 199, 200
 Burnham Marcia 200
- C**amus Albert 26, 148
 Caraman Philip 287, 289
 Carnarvon lord zob. Herbert Georg
 Carter Jimmy 169
 Cassou Jean 65
 Castelli Leo 319
 Cervantes Miguel de 53
 Chalandon Albin 19
 Chandler Raymond 166
 Chevènement Jean-Pierre 19
 Chilecka Eryka 257
 Chilecki Andrzej 256–259
 Chilecki Stefan 258
 Chlewaski (Klewański) Adam 94
 Chłapowski Alfred 294
 Chmielowiec Michał 274
 Chodakowski Jan 241
 Chojecki Mirosław 256
 Chowaniec Czesław 230
 Chruszczow Nikita S. 305
 Chruślińska Iza 9, 45
 Chrystus zob. Jezus Chrystus
 Chrzanowski Tadeusz 11, 180, 278
 Churchill Winston 291, 292
 Cieślewicz Roman 316
 Ciółkosz Adam 237–242
 Ciółkosz Lidia 238, 239, 242–244, 278
 Ciółkoszowie, rodzina 240–242
 Cioran Emil 78
 Codreanu Corneliu 214
 Colin Jean 192
 Conrad Joseph 98, 99, 109, 112, 115
- Corot Jean-Baptiste 83, 84
 Cybulska Zofia 302
 Czalidze Walerij 337
 Czapska Maria 42, 48, 56, 85–87
 Czapski Emeryk 71, 151
 Czapski Józef 5, 7, 8, 35, 40–42, 48, 53, 56, 57, 67, 72, 74–80, 81–87, 92, 94, 108, 138, 139, 141, 152, 178, 191, 199, 202, 217, 284, 286, 298, 299, 301, 315, 325, 327, 336, 341
 Czarnecki Leszek 10
 Czartoryscy, rodzina 279
 Czechow Anton P. 170, 337
 Czerniakow Adam 267
 Czyżewska Elżbieta 329
- D**anilewicz Ludomir 194
 Danilewicz-Zielińska Maria 194–198, 279, 284
 Dante Alighieri 193
 Daszyński Ignacy 242
 Dąbrowska Maria 27, 126
 Dąbrowski Witold 328
 Dean James 158, 163, 164
 Dean John 19
 Dedecius Karl 327
 Degas Edgar 83
 Delacroix Eugène 83
 Dembiński Henryk 224
 Déry Tibor 200
 Dior Christian 152
 Dmowski Roman 189, 209
 Dobosz Andrzej 264
 Dołęga-Mostowicz Tadeusz 171
 Doncow Dmytro 245
 Dostojewski Fiodor 77, 156
 Doufy Raoul 103
 Dubček Aleksander 25
 Drymmer Tomir 254
 Duchamp Marcel 318
 Dudek zob. Giedroyc Henryk
 Duff Cooper, rodzina 288
 Dunikowskie, siostry 88
 Dürer Albrecht 84

- E**greмонт Max 287
 Ehrlichmann John 19
 Einstein Albert 301, 303
 Eisenhower Dwiłht 235
 Else, słuźąca 107
 Éluard Paul 61
 Epikur 96
 Estreicher Karol 14
 Estreicher Stanisław 14, 27
 Eurypides 93
- F**aulkner William 103
 Feddecki Ziemowit 329
 Ferrero Guglielmo 100
 Fik Ignacy 181
 Fini Leonor 139, 144, 149
 Firbank Ronald 152
 Fiszer Emilia 230
 Fiszer Franciszek 287
 Flaubert Gustave 114
 Fonda Jane 169
 Ford Henry 140
 France Anatole 233
 Fredro Aleksander 100, 123
 Freud Zygmunt 11, 204
 Fryde Ludwik 94
 Frydman Sawa 225
- G**ałczyński Konstanty Ildefons 125, 148
 Gałęzowska Irena 230
 Garczyński Stefan 198
 Garder Michael 200
 Garliński Józef 275
 Gauchet Marcel 139
 Gaugler Karl 192
 Gaulle Charles de 27, 199, 217, 297
 Gawlik Jan Paweł 181
 Gennero Guiseppe 287
 Gerstenmeyer Eugen 304
 Giedroyc Henryk 9, 13, 43, 46, 55, 332, 340–342
 Giedroyc Jerzy 5–25, 27–43, 45, 46–49, 51, 52, 54–56, 70, 72, 90, 113, 139, 140, 163, 164, 189, 199, 213–215, 247, 252, 254, 276, 277, 282, 285, 286, 299, 325, 327, 332, 336, 338, 341–343
 Giedroyc Leda 46
 Giedroyc Tatiana 28
 Giedroycowie, rodzina 341
 Gierek Edward 25, 26
 Ginczanka Zuzanna 175
 Giscard d'Estaing Valéry 19
 Giza Hanna Maria 9
 Gliksman Jerzy 302
 Głębocki Jan 230
 Gogol Mikołaj 77
 Gołubiew Antoni 180
 Gombrowicz Witold 12, 26, 27, 29, 37, 49, 54, 76, 92, 110, 111, 123–130, 132, 136, 138, 141, 144–147, 151–153, 255
 Gomułka Władysław 25, 26, 120, 121, 267
 Goncourt Edmond de 27, 86, 114
 Goncourt Jules de 27, 86, 114
 Gorbaczow Michaił S. 336
 Gorbaniewska Natasza 318, 337, 338
 Gorczyńska Renata 49
 Gorecki Ludwik 145
 Gorki Maksym 336
 Goya Francisco de 320
 Grabowski Witold 214
 Gralewski Jan 263
 Green Graham 96
 Grochowska Magdalena 11
 Gruber Katarzyna 255
 Grydzewski Mieczysław 22, 271–275, 278
 Gryziewicz Maria 220, 221
 Gryziewicz Stanisław 219–221
 Grzybowski Wacław 230, 231
 Guevara Che Ernesto 203
 Gwiazdoski Tadeusz 295
- H**abielski Rafał 10, 270
 Halberstama Dawid 330
 Haldeman Harry Robbins 19
 Halévy Daniel 83, 86
 Harlan Tomasz 330
 Hartwig Julia 327
 Heer Friedrich 304

- Hegel Georg 26
 Heidegger Martin 309
 Heller Michał 247, 327, 337
 Hemingway Ernest 103, 114, 157
 Herbert Auberon 276, 286–292
 Herbert Aubrey 288
 Herbert Georg 287
 Herbert Zbigniew 141, 181, 276, 315
 Herder Johann 147
 Herling Marta 343
 Herling-Grudziński Gustaw 5, 13, 86, 94, 116, 136, 138, 141, 200, 242, 243, 315, 316, 336
 Hersch Jeanne 192, 201–205
 Hersch Liebman 201
 Hertz Aleksander 104, 249–251
 Hertz Mieczysław 72
 Hertz Paweł 39, 69, 84
 Hertz Zofia 8, 9, 13, 29, 30, 35, 43–50, 53, 55, 56, 59, 71, 72, 138, 256, 331, 332, 339
 Hertz Zygmunt 8, 12, 29, 30, 36, 42, 43, 47–49, 50, 53–58, 60–68, 70, 71–73, 79, 86, 87, 138, 148, 150, 152, 250, 313, 315, 339, 341
 Hertzowie, rodzina 72
 Heydenkorn Benedykt (Bumek) 252, 253
 Hitler Adolf 25, 302
 Hiż Danuta 260
 Hiż Henryk 260
 Hłasko Marek 27, 37, 48, 52, 54, 65, 72, 92, 103, 112, 154, 155, 157, 158, 160, 161, 163, 164, 200, 331
 Hoene-Wroński Józef 26, 27
 Hofmannsthal Hugo von 78, 83, 84
 Hohenzollernowie, dynastia 270
 Hołówko Tadeusz 16, 18
 Homer 193
 Hostowiec Paweł zob. Stempowski Jerzy
 Huczwanowycz Roman zob. Kotorowycz Hennadij
 Hume David 135
 Hypatia z Aleksandrii 205
 Iłowajska Irina 12
 Ionesco Eugene 337
 Irzykowski Karol 27, 173, 252
 Iwaniuk Wacław 114, 119, 175
 Iwańska Alicja 260–263
 Jaklicz Józef 230
 Jakubisiak Augustyn 230
 Jan XXIII 289
 Jan Paweł II 147, 205
 Janikowski Tadeusz 209
 Jankowski Czesław 236
 Janowska Alina 329
 Jarecki Andrzej 329
 Jasienica Paweł 183
 Jasiński Bruno 181
 Jaspers Karl 201, 202, 205
 Jastrzębski Wincenty 230
 Jaworski Władysław Leopold 27
 Jaworski Zygmunt 253
 Jedlicki Jerzy 267
 Jelcyn Borys N. 338
 Jeleńska Rena 26, 27, 315
 Jeleński Konstanty A. 9, 26, 53, 68, 70, 82, 85, 94, 132–151, 203, 286, 315–317, 319, 320, 327
 Jerzy VI Windsor 272
 Jeśman Czesław 287, 290, 291
 Jezus Chrystus 309, 326
 Jeż Tomasz Teodor 99
 Joliffe John 287
 Joliot-Curie Frédéric 303
 Jordan Zbigniew 222, 223
 Joyce James 77, 171
 Józewski Henryk 214, 334
 Juryś Julia 342
 Kamieniew Lew B. 301
 Kamiński Władysław 209
 Karpiński Jakub 37
 Karpiński Wojciech 34, 76, 86, 133, 134, 150, 327
 Katelbach Tadeusz 246
 Katon 236
 Kawałkowski Aleksander 227
 Kedryn Iwan zob. Rudnyckij Iwan

- Kennedy Jacqueline 28
 Kennedy John Fitzgerald 28
 Kieniewicz Stefan 144
 Kieślowski Krzysztof 38
 Kijowski Andrzej 327
 Kirkegaard Søren 86
 Kirow Siergiej M. 301
 Kisielewska Lidia 190
 Kisielewski Stefan, ps. Kisiel, Tomasz Sta-
 liński 37, 52, 121, 180–190, 327
 Kisielewski Waław 190, 257
 Kiszczak Czesław 189
 Kłoczowski Piotr 134
 Kłosowska Nika 224, 306
 Kłosowski Andrzej 194
 Koestler Arthur 200, 301
 Kołakowski Leszek 265
 Kołłątaj Hugo 147
 Komeda Krzysztof 158
 Kornacki Jerzy 271
 Kornat M. 11
 Kornelius Paweł 290, 291
 Korwin-Mikke Janusz 185
 Koskowski Bolesław 234
 Kossowska Stefania, ps. Quidnunc 11, 176,
 194, 270–278, 299
 Kossowski Adam 271, 278
 Kościakowski Marian 207
 Kot Stanisław 22, 36, 196
 Kotorowycz Hennadij 41, 42
 Kott Jan 124, 327
 Kowalewski Jan 52, 215
 Koziej-Żukowa Barbara 267
 Kozłowski Witold 230
 Kozuchowski Józef 230
 Kranc Felicja 299
 Kranc Kazimierz 299
 Krasiński Zygmunt 26
 Kraszewski Józef Ignacy 104
 Kruij Paul de 264
 Krukowiecki Roman zob. Wolski Władysław
 Krywicki Walter G. 200
 Krzeczkowski Henryk 37
 Krzemiński Edward 296
 Krzyżanowski Adam 36
 Krzyżanowski Bronisław 207
 Kubiak Zygmunt 181
 Kucharski Eugeniusz 100
 Kucówna Zofia 329
 Kuczma Leonid 333
 Kuncewicz Maria 271
 Kuroń Jacek 243
 Kwiatkowski 235

L
 Lam 231
 Lanckorońska Karolina 284
 Larbaud Valery 152
 Lasky Melvin 41
 Lauterbach Stanisław 23
 Lawrance Thomas Edward 288
 Lebenstein Jan 57, 58, 141, 309, 315–323,
 326
 Lechoń Jan 82, 299, 300
 Lednicki Waław 107
 Leigh Fermor Patrick 287
 Lelewel Joachim 228, 232, 236
 Lenin Włodzimierz I. 96
 Leopolda zob. Zimand Roman
 Lewyckij Borys 200, 245, 246
 Lichniak Zygmunt 176
 Lichtenberg Georg Christoph 134
 Lilpop Franciszek 299
 Lipper Elinor 302
 Lipski Jan Józef 242, 244
 Lipski Józef 18
 Lipski Leo 343
 London Jack 157
 Lusztig Marek 329

Ł
 Łobodowski Józef 28, 175, 176, 194, 274
 Łubieński Tomasz 133
 Łubkowski Adam 291
 Łychowski Tadeusz 214
 Łysiak-Rudnyckij Iwan 334

M
 Mackiewicz (Cat) Stanisław 21, 27, 208,
 210, 225, 233–236, 271

- Mackiewicz Józef 27, 147
 MacMillanowie 28
 Maczek Stanisław 176, 292
 Madariaga Salvador de 110
 Majakowski Władimir 328
 Maksimow Władimir E. 336–338
 Makuszyński Kornel 270
 Malczewski Jacek 319
 Malewicz Kazimierz 318
 Małcużyński Witold 103, 252
 Małowieski 209
 Małunowicz Leokadia 312
 Mamóń Bronisław 176
 Manteuffel Tadeusz 36
 Mao Tse-tung (Mao Zedong) 203
 Marat Jean-Paul 320
 Marbach John 192
 Margolin Julius 302
 Margrafski Andriej N. 244
 Maritain Jacques 80
 Marks Karol 26, 204
 Marshall George 110
 Martin-Chauffier Gilles 304
 Matejko Aleksander 249
 Matulewicz (Matulajtis) Jerzy 209
 Matuszewski Ignacy 21, 27
 Mauriac François 80
 Maurras Charles 27
 Mazowiecki Tadeusz 327
 McEwen Robin 287, 290–292
 Meir Golda 25
 Mereżkowski Dymitr 86
 Merleau-Ponty Maurice 337
 Micewski Andrzej 185
 Michajłow Michaił 200
 Michnik Adam 86, 140, 310, 327
 Miciński Bolesław 230
 Mickiewicz Adam 86, 87, 99, 145, 194, 198
 Mickiewicz Władysław 145
 Mieczysławska Aniela 299, 300
 Mieczysłowski Witold 299
 Miedwiediew Roj 337
 Mieroszewscy, rodzina 89
 Mieroszevska Ewa 88
 Mieroszevska Jadwiga (Inka) 88
 Mieroszevska Monika 88
 Mieroszevski Juliusz 7, 12, 55, 88–91, 138, 139, 286
 Mieroszevski Kazimierz 89
 Mieroszevski Sobiesław 89
 Międzyrzecki Artur 327
 Mihajlov Mihajlo 95, 96
 Mikołajczyk Stanisław 235, 241
 Miłosz Anthony 343
 Miłosz Czesław 5, 11, 12, 27, 29, 47, 49, 50, 52, 54, 55, 59, 62, 67, 70, 78, 94, 113, 123, 136, 138, 141, 143, 149, 152, 201, 224, 226, 255, 308, 315, 321, 325, 327
 Miłosz Janina 49, 50
 Miłosz Oskar 117
 Minkiewicz Janusz 330
 Miró Joan 322
 Mitterand François 19
 Młynarczyk Stanisław 329
 Młynarski Wojciech 329
 Mochnacki Maurycy 187, 232
 Modzelewski Zenon 315, 324–327
 Mołotow Władysław M. 59, 302
 Mond Bernard 295, 296
 Monod Jacques 147
 Montaigne Michel de 104
 Morand Paul 152
 Morawski Kajetan 215, 217, 293
 Mościcki Ignacy 235
 Mrokoszczak 154
 Mrozek Sławomir 129, 255, 327
 Mstysław 334
 Muggeridge Malcolm 287, 288
 Muhlstein Anatol 293–297
 Mundkowski Andrzej 330
 Mycielski Jerzy 14
 Mycielski Zygmunt 37
 Mydlarz 209
 Nabokov Siergiej 77
 Nabokov Władimir 77
 Najder Zdzisław 181
 Napierski Stefan 104

Napoleon Bonaparte 147
 Nasielski 264
 Neruda Pablo 61
 Niedziałkowski Mieczysław 234, 242
 Niekrasow Wiktor 337
 Nietzsche Fryderyk 78, 82
 Niewodniczański 197
 Niezabytowski Karol 277
 Nikifor 74
 Nora Pierre 139
 Norwid Cyprian Kamil 87, 191, 198
 Nowaczyński Adolf 22, 270, 271
 Nowakowski Marek 256
 Nowakowski Tadeusz 28
 Nowakowski Zygmunt 272
 Nowinowski Sławomir M. 5
 Noworol właśc. Noworolski 181
 Nullo Francesco 28

Odojewski Włodzimierz 49
 Okudźawa Bułat 329, 330
 Okulicz Kazimierz 16, 207, 208, 210–212, 233
 Ordon Konstanty Julian 28
 Orwell George 315, 321
 Osadczuk Bohdan 32, 41, 42, 74, 245, 333
 Osiecka Agnieszka 11, 48, 162, 328–331
 Osiecka Maria 331
 Osiecki Wiktor 328
 Ossowski Stanisław 264, 266
 Owidiusz Publiusz 101

Paczkowski Jerzy 230
 Palester Roman 325
 Pałłasz Edward 329
 Pankiewicz Józef 84
 Panna Czaczkes zob. Osiecka Agnieszka
 Paprocki Stanisław 246
 Parandowski Jan 271
 Pareto Vilfredo 100
 Parnicki Teodor 55
 Pascal Blaise 125
 Pasek Jan Chryzostom 127, 173
 Pasquali Leda 342

Patek Stanisław 293
 Patek Wiesław 254
 Pawlikowska-Jasnorzewska Maria 128
 Peciak Andrzej 343
 Péguy Charles 27
 Peiper Tadeusz 181
 Pelikán Jiří 338
 Petlura Symon 41
 Petrobej 287
 Phipps Frances 287, 288
 Piasecki Stanisław 22, 271
 Picasso Pablo 303
 Piłsudski Józef 14–17, 21, 25, 207–210, 227, 229–231, 234–236, 242, 296, 297
 Piotrowski 246
 Pisniaczewski Wiktor 334
 Plater Emilia 28
 Platon 264
 Pobóg-Malinowski Władysław 227–232
 Podgórski Tadeusz 246
 Polewka Adam 181, 182
 Pomian Grażyna 6, 9, 133
 Pomian Krzysztof 7, 9, 13, 132, 133, 315, 327
 Pomianowski Jerzy 12
 Poniatowski Józef 219
 Potocki Jan 134
 Potter Denis 240
 Proust Marcel 150, 173
 Prugar-Ketling Bronisław 339
 Prus Bolesław 185
 Pruszyński Ksawery 23, 147, 276, 277
 Prystor Aleksander 207
 Przybylska Sława 329
 Pszoniak Wojciech 327
 Puszkina Aleksander S. 77
 Putrament Jerzy 112, 121
 Puttkamer Marianna (Maryla) 144, 145
 Pużak Kazimierz 242

Quevedo Julio 115

Raczkiewicz Władysław 272
 Raczyńska Róża 300

- Raczyński Edward 300
 Raczyński Roger 18, 19, 214
 Radkiewicz Stanisław 235
 Read Benedict 278
 Redaktor zob. Giedroyc Jerzy
 Redford Robert 169
 Regamey Constantin 103
 Rhode Gotthold 212
 Ribbentrop Joachim von 59, 302
 Rocard Michel 19
 Rodzińska Halina 299
 Rodziński Artur 299
 Rogowicz Jerzy 213
 Rolfe Frederick William 152
 Roman Antoni 18, 19
 Röpke Wilhelm 173
 Rosner Ignacy 234
 Rothschild Diana de 295
 Rothschildowie, rodzina 295–297
 Rousseau Jean-Jacques 27
 Rousset Dawid 60, 302
 Rubel Ludwik 89
 Rudnicki Adolf 112, 113
 Rudnycka Milena 333
 Rudnyckyj, rodzina 333
 Rudnyckyj Antin 333
 Rudnyckyj Iwan 41, 333, 334
 Rudnyckyj Mychajło 333
 Rydz-Śmigły Edward 17
 Rzewuski Wacław Seweryn 28
- S**
 Sacharow Andriej 336, 337
 Sade Markiz de 320
 Sadkowski Wacław 181
 Sadzik Józef 57, 70, 73, 132, 147, 308–316, 321, 324–326
 Sainte-Beuve Charles-Augustin 28
 Salisbury, rodzina 292
 Salisbury Robert 287, 291
 Samsel Roman 176
 Sartre Jean-Paul 26, 96
 Sawinkow Wiktor 95
 Schiller Leon 99, 100, 104
 Schwitters Kurt 318
- Sciascia Leonardo 338
 Seicaru Pamfil 216
 Shackleton Edward lord 281
 Shaftesbury Antony 96
 Sidney Philip 143
 Sienkiewicz Henryk 178, 234
 Sieriebriakowa Galina 200
 Sikora Wojciech 343
 Sikorski Władysław 17, 231, 235, 296, 297
 Silone Ignazio 200
 Simon Claude 267
 Siniawski Andriej 95, 337
 Sipowicz Czesław 287, 289
 Sitwell Edith 106
 Siwicka Dorota 268
 Skalmowski Wojciech 165
 Skarga Piotr 122
 Skrypnyk Stepan 41, 334
 Skrzyński Aleksander 294
 Sławek Walery 15, 16, 231
 Sławińska Irena 312
 Słonimski Antoni 62, 182, 185, 330, 337
 Słowacki Juliusz 26, 86, 146
 Smolar Aleksander 327
 Snow Charles Percy 101
 Sobański Władysław 293
 Sokrates 130
 Solarz Wojciech 329
 Sołżenicyn Aleksander I. 95, 336, 337
 Sonnabend Ileana 319
 Sorel Georges 96
 Spinoza Baruch 100
 Spisak Michał 107
 Srokowski Konstanty 234
 St Oswald lord zob. Winn Rowland
 Stachiewicz Julian 227, 228, 231
 Stachiw Wołodymyr 246
 Stalin Josif W. 110, 120, 164, 168, 178, 199, 210, 246, 302, 303
 Staliński Tomasz zob. Kisielewski Stefan
 Staniewicz Witold 207, 208
 Staszic Stanisław 147
 Stawar Andrzej 52, 54, 94
 Stempowska Maria 98

- Stempowski Jerzy 7, 12, 27, 30, 37, 48, 75,
 84, 92–107, 117, 139, 146, 147, 286
 Stempowski Stanisław 147
 Straszewicz Czesław 54, 178
 Strawiński Igor 103
 Stroński Stanisław 106, 270, 275
 Strzetelski Stanisław 270
 Studnicki Władysław 234, 277
 Stupperich 42
 Sukiennicki Wiktor 188, 189, 224–226
 Sulik Bolesław 52, 237
 Supruniuk Mirosław A. 7, 9
 Sutton Francis 140
 Swianiewicz Stanisław 207, 224, 225, 277
 Swift Jonathan 97
 Syrokomla Władysław 236
 Szapocznikow Alina 309, 326
 Szczepanik Adam 214
 Szekspir William 61, 106, 320
 Sznarbachowski Włodzimierz 188, 246
 Sztwiertnia Jerzy 331
 Szumska Danuta 313, 325
 Szurlej Stanisław 270, 271, 273, 277
 Szurlejowie, rodzina 270
 Szurlejówna zob. Kossowska Stefania
 Szymborska Wisława 330
 Szypowska Irena 176

Śniadecka Ludwika 86, 146
 Świechowski Marian 207, 210
 Święcicki Tadeusz 21, 214
 Świętochowski Aleksander 22

Taraszkiewicz Bronisław 207
 Tarnowska Róża 285
 Tarnowski Jan 292
 Tavernier René 141
 Tenenbaum Henryk 18
 Terlecki Tymon 97, 278
 Thiercelin Eliane 193
 Tigrid Pavel 338
 Tolstoj Lew 77
 Topolski Feliks 275
 Toruńczyk Barbara 9

 Tukidydes 101
 Turowicz Jerzy 327
 Turyn Roman 74, 75
 Tutenchamon 288
 Tuwim Julian 137, 330
 Tym Stanisław 329
 Tyrchan Mikołaj 163, 164
 Tyrmand Leopold 154, 165–174, 181, 182,
 186, 267
 Tyszkiewicz Samuel 176
 Tyszkowski Jerzy 329
 Tzaut Dieneke 93, 95
 Tzaut Henryk 93

Uniłowska Maria 299
 Uniłowski Zbigniew 299
 Utrata-Lusztig Kazimiera 329

Valéry Paul 78, 97
 Vandervelde Emile 294
 Vincenz, rodzina 202
 Vincenz Stanisław 30, 147, 191–193, 202,
 203, 286
 Voltaire (Wolter, właśc. François-Marie
 Arouet) 27, 310

Wajda Roman 280
 Walejusz 297
 Walfisz Seweryn 230
 Walicki Michał 40
 Wallis Mieczysław 104
 Wałęsa Lech 185
 Wandycz Damian 230
 Wandycz Piotr 88, 163
 Wars Henryk 330
 Wasowski 41
 Wasung Aleksander 339
 Wasung Andrzej 339
 Wasung Krystyna 339
 Wasung Maria 339
 Wat Aleksander 12, 126, 315, 320
 Waugh Evelyn 152
 Weil Simone 82, 205
 Weintraub Wiktor 55
 Weiss Peter 320

- Weissberg-Cybulski Aleksander 200, 301–305
 Wertyński Aleksander 161
 Westphal Wilhelm Heindrich 301
 Wędkiewicz Stanisław 21
 Wielhorski Władysław 225
 Wierczak Karol 213
 Wierzyński Kazimierz 37, 90, 92, 106, 116, 117, 119–122, 194, 196, 274
 Wincenty Pallotti 324
 Winn Rowland 281
 Winogradow Igor 338
 Witkacy zob. Witkiewicz Stanisław Ignacy
 Witkiewicz Stanisław Ignacy 126, 173, 320
 Wittlin Józef 37, 112
 Własow Andriej 42
 Wolski Jan 249, 250
 Wolski Władysław, ps. GAMMA, Tański 11, 213–218
 Wolter zob. Voltaire
 Wraga Ryszard 24, 217
 Wright Richard 336
 Wróblewski Tadeusz 208
 Wścieklica Bolesław 209
 Wyka Kazimierz 266
- Y**
 Yandle Tom 287
- Z**
 Zabłocki Henryk 213
 Zaborowski Tymon 194
 Zaćwilichowski Stanisław 17, 214
 Zagajewski Adam 324
 Zahorski Witold 116, 306, 307
 Zahorski Witold Jr 307
 Zaleski August 235, 295
 Zamorski Kazimierz 302
 Zamoyscy, rodzina 181
 Zamoyski August 284
 Zamoyski Stefan 279–285
 Zarako-Zarakowski Stanisław 181
 Zaremba Paweł 246
 Zbinden Hans 192
 Zbyszewski Wacław Alfred 7, 8, 14, 35, 213, 276, 277, 343
 Zdziechowski Kazimierz 279
 Zełenko Konstanty 287
 Zieliński Adam 196, 197, 284
 Zięba Józef 176
 Zimand Roman, ps. Asmodeusz, Leopolda 171, 264–268
 Zinowiew Grigorij E. 301
 Zygmunt II August 145
- Ż**
 Żaba Norbert 254, 255
 Żebrowski Marek 340
 Żeleński Tadeusz (Boy) 22, 27, 62, 100, 185
 Żeleński Władysław 11, 213
 Żeligowski Lucjan 207–209
 Żeromski Stefan 126, 232
 Żółkiewski Stefan 112
 Żółtowska Janina 144–148

Spis treści

<i>Sławomir M. Nowinowski, Conducted by Jerzy Giedroyc</i>	5
<i>Wacław A. Zbyszewski, Niedoszły polski „Lawrence of Arabia”</i> ...	14
<i>Czesław Miłosz, Uwagi wdzięcznego współbiedniaka</i>	29
<i>Bohdan Osadczuk, Pożegnanie z Jerzym Giedroycem</i>	32
<i>Wojciech Karpiński, Jerzy Giedroyc, kustosz pamięci</i>	34
<i>Bohdan Osadczuk, Wspomnienie</i>	41
<i>Iza Chruślińska, Zosia</i>	45
<i>Renata Gorczyńska, Wybór Zofii</i>	49
<i>Józef Czapski, Zygmunt</i>	57
<i>Czesław Miłosz, Był raz...</i>	59
<i>Konstanty A. Jeleński, Zygmunt Hertz, mój przyjaciel</i>	70
<i>Bohdan Osadczuk, „Oddychać razem”</i>	74
<i>Wojciech Karpiński, Płomień</i>	76
<i>Konstanty A. Jeleński, Marynia</i>	85
<i>Piotr Wandycz, O Juliuszu Mieroszewskim</i>	88
<i>Józef Czapski, Jerzy Stempowski</i>	92
<i>Gustaw Herling-Grudziński, Pożegnalny list</i>	94
<i>Tymon Terlecki, „Pan Jerzy”</i>	97
<i>Józef Czapski, Querido Bob</i>	108
<i>Gustaw Herling-Grudziński, Przebity światłem</i>	116
<i>Wacław Iwaniuk, Ostatni list</i>	119

<i>Czesław Miłosz, Podzwonne</i>	123
<i>Sławomir Mrożek, Gombrowicz. Śmierć</i>	129
<i>Krzysztof Pomian, Jeleński: szkic do portretu</i>	132
<i>Czesław Miłosz, Konstanty: polskie tło</i>	143
<i>Wojciech Karpiński, Spotkanie z Kotem Jeleńskim</i>	150
<i>Leopold Tyrmand, Hłasko</i>	154
<i>Piotr Wandycz, Spotkanie z Markiem Hłaską</i>	163
<i>M. Broński [Wojciech Skalmowski], Leopold Tyrmand (1920–1985)</i>	165
<i>Wacław Iwaniuk, Józef Łobodowski</i>	175
<i>Józef Czapski, Czesław Straszewicz</i>	178
<i>Tadeusz Chrzanowski, Stefan Kisielewski</i>	180
<i>Włodzimierz Sznarbachowski, Wspominając Kisiela</i>	188
<i>Józef Czapski, Stanisław Vincenz</i>	191
<i>Stefania Kossowska, Pani Maria</i>	194
<i>Józef Czapski, James Burnham (1905–1987)</i>	199
<i>Czesław Miłosz, Filozof odchodzi</i>	201
<i>Stanisław Swianiewicz, 90-lecie Kazimierza Okulicza</i>	207
<i>Władysław Żeleński, Władysław Wolski</i>	213
<i>Józef Poniatowski, Stanisław Gryziewicz</i>	219
<i>Stanisław Leonard Andrzejewski, Zbigniew Jordan</i>	222
<i>Nika Kłosowska, Mistrz</i>	224
<i>Aleksander Kawałkowski, Władysław Pobóg-Malinowski</i>	227
<i>Kazimierz Okulicz, Stanisław Mackiewicz (natus 1897–obiit 1966)</i>	233
<i>Bolesław Sulik, Pan Adam</i>	237
<i>Jan Chodakowski, Niezłomna z Londynu</i>	241

Spis treści	359
<i>Bohdan Osadczuk, Śmierć Borysa Lewyckiego</i>	245
<i>Jerzy Giedroyc, Michał Heller</i>	247
<i>Aleksander Matejko, Odszedł światły człowiek</i>	249
<i>Jerzy Giedroyc, Śmierć Przyjaciela – Benedykt Heydenkorn</i>	252
<i>Jerzy Giedroyc, Norbert</i>	254
<i>Marek Nowakowski, Andrzej</i>	256
<i>Danuta Hiż, Wspomnienie o Alicji Iwańskiej</i>	260
<i>Andrzej Dobosz, Droga Romana Zimanda</i>	264
<i>Rafał Habielski, Świadek obecności. Stefania Kossowska</i> (1909–2003)	270
<i>Maria Danilewicz-Zielińska, „Pułkownik Zamoyski”</i>	279
<i>Konstanty A. Jeleński, Pamięci Auberona</i>	286
<i>Kajetan Morawski, Anatol Muhlstein</i>	293
<i>Stefania Kossowska, Aniela</i>	299
<i>Józef Czapski, Weltbürger</i>	301
<i>Nika Kłosowska, Witek Zahorski</i>	306
<i>Czesław Miłosz, Śmierć Józefa Sadzika</i>	308
<i>Krzysztof Pomian, Lebenstein: droga pod prąd</i>	315
<i>Adam Zagajewski, Ksiądz Zenon Modzelewski</i>	324
<i>Jarosław Abramow-Newerly, Agnieszka</i>	328
<i>Bohdan Osadczuk, Pożegnanie z Kedrynem</i>	333
<i>Gustaw Herling-Grudziński, Pożegnanie przyjaciela Moskale</i>	336
<i>Zofia Hertz, Maria Wasung (1905–1993)</i>	339
<i>Marek Żebrowski, Pan Henryk</i>	340
Nota edytorska	343
Źródła druku	344
Wykaz osób	347

PRZYGOTOWANIE DO DRUKU

Andrzej Peciak

REDAKCJA

Magdalena Janik

PROJEKT OKŁADKI I STRON TYTUŁOWYCH

Krzysztof Rumowski

SKŁAD I REDAKCJA TECHNICZNA

Artur Drozdowski

ZDJĘCIE NA OKŁADCE

Piotr Wójcik

ZDJĘCIE NA TYLE OKŁADKI

ze zbiorów Instytutu Literackiego

© Instytut Literacki Kultura 2016

© Marta Herling, Wydawnictwo Literackie

© 1969, 1980, 1987, 2000, The Estate of Czesław Miłosz. All rights reserved.

ISBN 978-83-61005-46-9

Publikacja współfinansowana przez Uniwersytet Łódzki



DRUK

Petit Lublin



INSTYTUT LITERACKI KULTURA

91 Avenue de Poissy, 78600 Le Mesnil-le-Roi

e-mail: kultura@il-kultura.fr, www.kulturaparyska.com

INSTYTUT KSIĄŻKI – DZIAŁ WYDAWNICTW

al. Niepodległości 213, 02-086 Warszawa

tel. 22 608 23 74, e-mail: czasopisma@instytutksiazki.pl, www.czasopisma-ik.pl